

„Kocham każde słowo”
JOHN GWYNNE

„Mistrzowsko opowiedziane”
MARK LAWRENCE



PARIAS

ANTHONY RYAN

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Trylogia Przymierza Stali

CZĘŚĆ 1

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

CZĘŚĆ 2

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

CZEŚĆ 3

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Dramatis personae

Mapa Albermine

O Autorze

Podziękowania

Karta redakcyjna

Okładka

ANTHONY RYAN



PARIAS

I

TOM
TRYLOGII
PRZYMIERZA
STALI



PRZEŁOŻYŁA
DOMINIKĄ REPECZKO

ILUSTRACJE
DOMINIK BRONIEK

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA

— TRYLOGIA —
PRZYMIERZA
STALI

- ◆ PARIAS
- ◆ THE MARTYR
- ◆ THE TRAITOR

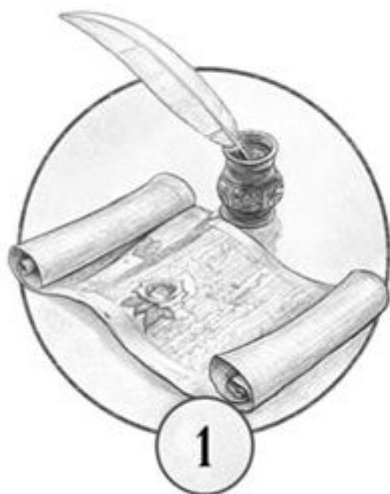
Pamięci niezującego George'a McDonalda Frasera, autora książek o Flashmanie, który jako pierwszy pokazał mi radość z oglądania świata oczyma łajdaka (w pewnym sensie).



CZEŚĆ 1.

„Powiadasz, że moje pretensje do tronu oparte są na kłamstwie, że rozpocząłem wojnę, w której na darmo przelano krew tysięcy. A ja pytam cię, Skrybo, jakie znaczenie mają w tym świecie prawda lub kłamstwo? A jeśli chodzi o przelaną krew, to słyszałem o tobie. Znam twoją historię. W kronikach zostanę opisany jako potwór, ale to ty okazałeś się o wiele bardziej krwawym człowiekiem niż ja”.

Z „Testamentu Pretendenta Magnisa Lochlaina”
spisanego przez sir Alwyna Skrybę.



Zanim zabiłem człowieka, lubiłem szukać ukojenia w widoku drzew. Leżenie na plecach w wysokiej trawie przy Królewskim Trakcie i wpatrywanie się w zielono-brązową gęstwę powyżej, skrzypiące gałęzie i liście szepczące na przedpołudniowym wietrze, przynosiło mi pożądaną spokój. Przekonałem się o tym już dziesięć lat temu, gdy jako chłopiec po raz pierwszy postawiłem stopę w tym lesie. Kiedy serce waliło dziko, a pot rosł czoło, prosta czynność patrzenia na drzewa dawała wytchnienie, tym słodsze, że krótkotrwałe.

Usłyszawszy stukot kopyt, któremu towarzyszył zgrzyt słabo nasmarowanej osi, przestałem wpatrywać się w drzewa i przewróciłem się na brzuch. Gdy odwróciłem wzrok od kojącego widoku, moje serce natychmiast przyspieszyło swój bieg, jednak zbyt dobrze byłem wyszkolony, żeby pozwolić, by coś takiego mi przeszkodziło. Pot zalewający mi pachy i spływający po plecach grubymi kroplami potęgował jeszcze bijący ode mnie smród i stanowił dodatkowy element przebrania, które tego dnia wybrałem. Wyjęci spod prawa rzadko dobrze pachną.

Podniosłem głowę na tyle, by dojrzeć zbliżającą się grupę i odetchnąłem głęboko na widok dwóch zbrojnych prowadzących karawanę. Bardziej zaniepokoił mnie dwaj żołnierze na pierwszym

wozie, uzbrojeni w kusze. Ani na chwilę nie przestawali przeczesywać wzrokiem pobocza po obu stronach drogi, prezentowali przy tym taki rodzaj czujności, jaka była zwykle skutkiem bolesnych doświadczeń.

Aczkolwiek ten odcinek Królewskiego Traktu nie leżał w zaznaczonych na mapach granicach Kniei Shavine, to w rzeczywistości droga wykreślała tu długi łuk przez północne obrzeża lasu. I chociaż ta graniczna część lasu nie dorównywała gęstością obszarom położonym głębiej, nadal oferowała aż nazbyt wiele potencjalnych kryjówek i należało zachować tu ostrożność, szczególnie w tak niespokojnych czasach.

Gdy grupa się zbliżyła, zobaczyłem lancę, wystającą ponad karawanę, porzecz przymocowany pod grotem trzepotał na wietrze tak energicznie, że nie sposób było dojrzeć wymalowanego na nim herbu. Jednak intensywne złoto i czerwienie ogłaszały wszystkim: barwy królewskie. Deckin jak zwykle dowiódł swej inteligencji i nieomyślności: ci ludzie stanowili eskortę dla posłańca Korony.

Poczekalem, aż cała grupa wyłoni się spośród drzew i doliczyłem kolejnych czterech konnych w ariergardzie. Ziemisty brąz i zieleń ich mundurów stanowiły dla mnie niejaki pocieszenie. Nie byli to królewscy, lecz książęce wojsko zaciężne z Kordwainu, czyli ludzie wyrwani z domów wichrem wojny, którzy nie dorównywali wyszkoleniem i niezłomnością żołnierzom Korony. Jednak ich uzasadniona ostrożność i ogólne wrażenie wojskowej dyscypliny już nie były takie pokrzepiające. Od razu doszedłem do wniosku, że ci żołnierze raczej nie rzucą się do ucieczki w stosownym momencie, co było raczej niefortunne i to dla wszystkich zainteresowanych.

Podniosłem się, gdy czoło kolumny znalazło się o kilkanaście kroków od nas, sięgnąłem po sękatą, owiniętą szmatami gałąź, która służyła mi za kulę i stanąłem prosto. Zacząłem często mrugać i marszczyć brwi w sposób, w jaki robi to człowiek wyrwany z drzemki. Pokuśtykałem w stronę drogi, trzymając nad ziemią poczerniałą bulwę obandażowanej stopy i bez najmniejszego wysiłku przywołałem na twarz minę kalekiego tępaka, z otwartymi niemądrze ustami. Gdy dotarłem do drogi, pozwoliłem, by

zabandażowana stopa przegarnęła błoto na skraju. Jęknąłem głośno w udawanym cierpieniu, potknąłem się i runąłem na kolana podpierając się rękami na środku poznaczonego koleinami traktu.

Nie zakładałem bynajmniej, że konie na pewno staną dęba, bo niejeden bojowy wierzchowiec przyuczony jest deptać leżącego człowieka. Na szczęście te zwierzęta nie zostały wyhodowane do rycerskiej służby i ku mojej satysfakcji oba zatrzymały się niesfornie, budząc niekłamaną irytację jeźdźców.

– Zjeżdżaj z tej przeklętej drogi, kuternogo! – warknął żołnierz po prawej, ściągając wodze, a jego wierzchowiec zakręcił się wystraszony. Jadący za nim wóz też się zatrzymał i, co najważniejsze, również podskakująca lanca posłańca Korony. Dwaj strzelcy osunęli się na wzgórek ładunku wypiętrzający się na wozie i obaj sięgnęli do kołczanów po bełty. Kusznicy unikają zwykle pozostawiania swej broni naładowanej przez dłuższy czas, gdyż zużywa się wtedy łuczysko i cięciwa. Jednak tego dnia owa zapobiegliwość mogła się okazać fatalna w skutkach.

Nie pozwoliłem sobie zatrzymać spojrzenia na wozie, zamiast tego wlepiłem w konnego wytrzeszczone, pełne strachu oczy, w których niewiele widać było rozumu. Minę tę ćwiczyłem wytrwale, niełatwo jest bowiem ukryć intelekt.

– Ruszże dupsko! – ponaglił mnie drugi jeździec, tonem odrobinę mniej gniewnym, tak jak pan zwraca się do głupiego psa. Kiedy nadal gapiłem się nań z ziemi, zaklął i sięgnął po bat przytroczony przy siodle.

– Błagam! – zaskomlałem, osłaniając głowę kulą. – W-wybaczenia błagam, szlachetne pany!

Niejednokrotnie zauważyłem, że taka zastraszona służalczość niezmiennie podsycala gwałtowne zapędy ludzi brutalnych i tak też stało się teraz. Twarz żołnierza pomrocniała, gdy odczepił bicz i pozwolił mu się rozwinąć. Chwost na końcu zawisł kilka cali ode mnie, kulącego się na drodze. Zerknąłem w górę i zobaczyłem, jak dłoń zaciska się na tłoczonych rękach bicz. Skóra była mocno wytarta, znak, że człowiek ten z prawdziwą przyjemnością sięgał po tę broń, gdy nadarzała się okazja.

Jednak, kiedy miał już się zamachnąć, zamarł i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Na wątpia Męczennika, ależ ty cuchniesz!

– Upraszam się wybaczenia – zaskamlałem. – Nijak nie poradze. To stopa, widzita, panie? Cała pognita, od czasu jak wóz mojego pana po niej przejechał. Na Szlaku Sanktuariów jestem. Będę błagał Męczennika Stevanosa, co by mnie na powrót poskładał. Nie skrzywdzilibyśta wiernego, prawda panie?

W rzeczywistości moja stopa stanowiła zdrowe zakończenie mojej równie zdrowej nogi. Smród, który tak uraził nos żołnierza, pochodził z mieszaniny dzikiego czosnku, ptasiego gówna i zgniłych liści. Jeśli przebranie ma być przekonujące, nie można w żadnym razie lekceważyć potęgi zapachu. W tym przypadku istotnym było, aby tych dwóch nie zobaczyło we mnie żadnego zagrożenia. Obolały młodzieniec napotkany na zdradliwej drodze, mógł wszak udawać. Ale sytuacja miała się całkiem inaczej, jeśli ów młodzieniec miał twarz pozbawioną znamion rozumu i nogę wydzielającą woń, jaką roztaczają zwykle gnijące rany, z którymi obaj żołnierze musieli mieć przecież do czynienia w przeszłości.

Gdyby sprawdzili mnie dokładniej, niezawodnie by mnie przejrzeni. Dostrzegliby pod brudem gładką skórę, a pod łachmanami smukłą, lecz mocną sylwetkę dobrze odżywionego chłopaka. Poświęciwszy odrobinę więcej czasu, bystre oko dostrzegłoby również małe wybrzuszenie noża pod moim wytartym kaftanem. Ale tym nieszczęśnikom brakowało bystrości wzroku i czasu, by się przyglądać. Minęła zaledwie chwila od momentu, gdy wytoczyłem się im na drogę, ale to wystarczyło, by cała ich grupa się zatrzymała. W trakcie mojego pełnego wrażeń i niebezpieczeństw życia odkryłem, że to właśnie w tych drobnych pauzach wypełnionych zamieszaniem, śmierć jest najbardziej prawdopodobna.

Żołnierza po prawej spotkała w postaci strzały o kruczym pierzysku i stalowym grocie z zadziarami. Przyleciała ze świstem od drzew i wgrzyła się mu w kark tuż za uchem, by wyjść ustami w fontannie krwi i strzępów języka. Gdy zsunął się z siodła, jego towarzysz dowiódł swego statusu weterana, puścił bicz i natychmiast sięgnął po swój półtorak. Był szybki, ale ja także. Wyrwałem nóż z pochwy i podparłszy się zabandażowaną nogą, wybiłem się mocno i wolną ręką złapałem za uzdę. Koń instynktownie stanął dęba, unosząc mnie o stopę, akurat tyle, bym

mógł wbić ostrze w gardło żołnierza, zanim ten zdążył całkiem obnażyć miecz. Dumny byłem z tego uderzenia, ćwiczyłem je bowiem równie intensywnie, co wyraz twarzy głupka – ostrze od razu otwierało właściwe żyły przeciwnika.

Gdy moje stopy dotknęły ziemi, wciąż trzymałem mocno wodze i musiałem uważać, by drobiący nerwowo zwierz nie przewrócił mnie na ziemię. Patrzyłem, jak żołnierz spada w pył drogi i kona, wydając ostatni oddech z wilgotnym charkotem. Poczulem ukłucie żalu widząc, jak szybka była ta śmierć. Z pewnością właściciel mocno zużytego bicza zasługiwał na dłuższą agonię. Jednak mój żal stłumiony został szybko, wspomnieniem jednej z wielu lekcji, które otrzymałem jako banita: „kiedy masz za zadanie zabić, zabijaj szybko i pewnie. Cierpienie to dogadzanie sobie, zachowaj je dla najbardziej potrzebujących”.

Kiedy uspokoiłem konia, było już niemal po wszystkim. Pierwsza salwa strzał powaliła większość zbrojnych, prócz dwóch. Obaj kusznicy leżeli już martwi, tak samo wozak. Jeden z żołnierzy wykazał się rozsądkiem, zawrócił konia i ruszył galopem, nie ocaliło go to jednak przed ciśniętym toporem, który wyfrunął, wirując, spomiędzy drzew i rozłupał mu grzbiet. Ostatni godny był podziwu, nawet jeśli głupi. Gdy posypały się strzały, jedna przebiła mu udo, druga wierzchowca, ale i tak zdołał się odtoczyć od miotającego się zwierzaka, podnieść, dobyć miecza i stawić czoła kilkunastu banitom, którzy biegli ku niemu od drzew.

Słyszałem wersje tej opowieści, wedle których, stanąwszy twarzą w twarz z tym dzielnym człowiekiem, Deckin Scarl osobiście zakazał swym bandytom go ścinać. Zamiast tego on i odważny żołnierz zaczęli ze sobą walczyć, jeden na jednego. Zraniwszy przeciwnika śmiertelnie, słynny banita siedział z nim do późnej nocy i obaj wymieniali się opowieściami z pól bitewnych i omawiali naturę kapryśnych tajemnic, które determinują los każdego z nas.

Ostatnimi czasy mnożą się podobnie nonsensowne pieśni i historie o Deckinie Scarlu, słynnym Królu Banitów z Marchii Shavine i, jak mawiają niektórzy, obrońcy prostaczków i biedoty. Jedną ręką zabierał, drugą rozdawał, jak głosi taka wyjątkowo paskudna ballada. Dzielny Deckin z lasu, silny był i dobry.

Jeśli, drogi czytelniku, jesteś skłonny uwierzyć tym słowom, to chciałbym ci sprzedać sześciogłowego osła.

Deckin Scarl, którego ja znałem, niewątpliwie był silny, miał dwa cale powyżej sześciu stóp i stosowną na ten wzrost ilość mięśni, choć w ostatnich latach brzuch mu zaczął rosnąć. I owszem, bywał dobry, ale rzadko, bowiem człowiek nie zostawał przywódcą banitów z Kniei Shavine, dzięki swej dobroci.

Po prawdzie jedyne słowa odnoszące się do tego dzielnego żołnierza, jakie padły z ust Deckina w mojej przytomności, brzmiały: „zabijcie tego durnia i bierzmy się do roboty”. Nie poświęcił nawet spojrzenia biedakowi, którego tuzin strzał posłał w objęcia Męczenników. Patrzyłem, jak Król Banitów wyłania się z cienia drzew, ze swym toporem w dłoni. Była to paskudna broń, o poczerniałym i wykrzywionym podwójnym ostrzu, którą zwykle miał w zasięgu dłoni. Zatrzymał się, aby ocenić moją pracę, przenikliwie oczy ukryte pod ciężkim nawisem brwi spojrzały w pierw na zewłok żołnierza, a potem na konia, którego zdołałem przejąć. Konie stanowiły cenną zdobycz, bo można było dostać za nie dobrą cenę, szczególnie w czasie wojny. A nawet jeśli nie udawało się ich sprzedać, to przecież w obozie zawsze brakło mięsa.

Mruknąwszy z wyraźną satysfakcją, Deckin szybko skupił uwagę na jedynym, który ocalał z zasadzki i to bynajmniej nie wskutek przypadku. „Jedna strzała znajdzie się choćby o jard od posłańca”, huczał tego ranka Scarl, „a oskóruję rękę, która ją wypuściła, od palców po nadgarstek”. Nie była to czcza groźba, bo wszyscy widzieliśmy, jak dotrzymywał takich obietnic złożonych w podobnych okolicznościach.

Królewski posłaniec był mężczyzną o chudym obliczu, nosił doskonale skrojony kaftan, portki i długi płaszcz, ufarbowany tak, by odzwierciedlał kolory królewskich mundurów. Udało mu się utrzymać wyraz twarzy pełen pogardliwej urazy, gdy Deckin złapał jego konia za uzdę. Mimo całej swej sztywnej godności i widocznego oburzenia, był na tyle mądry, by nie opuścić lancy. Królewski porporzec powiewał wysoko i dumnie nad sceną rzezi.

– Użycie siły lub utrudnianie wykonywania obowiązków posłańcowi Korony uważane jest za zdradę – oznajmił chudolicy

i trzeba było mu oddać, że głos zadrżał mu tylko nieznacznie. – Powinieneś to wiedzieć, kimkolwiek jesteś.

– W rzeczy samej, dobry panie – odparł Deckin, przechylając głowę. – I sądzę, że wiesz, panie, doskonale, z kim masz do czynienia, czyż nie?

Posłaniec zamrugał raz jeszcze, po czym odwrócił wzrok, nie zaszczyciwszy rozmówcy odpowiedzią. Widziałem już, jak Deckin zabijał za mniejsze zniewagi, ale tym razem jedynie się roześmiał. Uniósł dłoń i strzelił wyczekująco palcami.

Rysy posłańca stężały, gniew i upokorzenie załały jego oblicze czerwienią. Widziałem, jak rozszerzyły mu się nozdrza, drgnęły wargi, zapewne przygryzł je sobie, powstrzymując nierozważne słowa. To, że nie trzeba było prosić go ponownie, by sięgnął do pasa po skórzaną tubę z pergaminem, niewątpliwie dowodziło, że znał imię człowieka, który stanął przed nim.

– Lorine! – szczechnął Deckin, wyjmując tubę z odpornej dłoni posłańca, po czym podał ją smukłej, miedzianowłosej kobiecie, która zjawiała się u jego boku.

Według autorów ballad Lorine D’Ambrille była słynącą z urody córką jakiegoś lordziątka z dalekich stron, która wolała uciec z zamku ojca, niż oddać rękę szlachcicowi o złej reputacji i podłych nawykach. Przemierzywszy wiele dróg i przeżywszy wiele przygód dotarła do mrocznych lasów Marchii Shavine, gdzie miała szczęście zostać uratowana przed stadem rozszalałych wilków przez nikogo innego, jak życzliwego łotra – Deckina Scarla. Wkrótce rozkwitła między nimi miłość, która, ku mej irytacji, opiewana była przez lata, obrastając coraz bardziej absurdalną legendą.

Na tyle, na ile zdołałem ustalić, krew w żyłach Lorine nie była błękitniejsza od mojej, choć źródło stosunkowo wyszukanego sposobu wysławiania się i oczywistego wykształcenia rudowłosej panny do dzisiaj pozostają dla mnie tajemnicą. Pozostała niewiadomą, mimo że myślałem o niej naprawdę wiele. Jak we wszystkich legendach, i w tej tkwiło ziarno prawdy: Lorine była piękna. Miała urodę, która przetrwała lata leśnego życia, nadto jakimś sposobem potrafiła utrzymać swoje błyszczące miedziane włosy wolne od brudu i rzepów. Przepełniała mnie wtedy

nieokiełznana żądza młodości i nie mogłem się powstrzymać od wpatrywania się w Lorine, gdy tylko nadarzyła się okazja.

Otworzywszy tubę, wydo była znajdujący się w niej zwój i zmarszczyła lekko gładkie, odrobinę piegowate czoło, gdy czytała wiadomość. Jak zwykle wpatrywałem się zachwycony w jej twarz i moją fascynację stłumił na moment krótki, ale oczywisty spazm szoku, który przemknął przez rysy Lorine. Oczywiście dobrze to ukrywała, była przecież moją nauczycielką w sztuce kamuflażu i nawet intensywniej niż ja ćwiczyła się w ukrywaniu potencjalnie niebezpiecznych emocji.

– Przeczytałaś? – zapytał Deckin.

– Co do słowa, mój kochany – zapewniła go, odsłaniając w uśmiechu białe zęby, po czym ponownie schowała pergamin i zwróciła tubę.

Choć, jak wspomniałem, jej pochodzenie na zawsze pozostało okryte cieniem, odnotowałem skrzętnie sporadyczne wzmianki o scenach i podróżach z grupami komediantów, co pozwoliło mi wysnuć wniosek, że Lorine była kiedyś aktorką. Być może z tego powodu posiadała niezwykłą zdolność zapamiętywania dużej ilości tekstu po zaledwie kilku chwilach lektury.

– Jeśli mógłbym polegać na twojej uprzejmości, szlachetny panie – zwrócił się Deckin do posłańca, biorąc jednocześnie tubę z rąk Lorine. – Uznałbym to za największą przysługę, gdybyś mógł zanieść dodatkową wiadomość do króla Tomasa. Jak król królowi, proszę, chciałbym przekazać mu wyrazy mego najgłębszego i najszczerzego żalu w związku z tym niefortunnym i nieprzewidzianym opóźnieniem w podróży jego zaufanego człowieka, aczkolwiek było ono krótkie.

Posłaniec wpatrywał się w oferowaną mu tubę, jakby właśnie podano mu łajno, ale mimo to wziął ją do ręki.

– Takie sztuczki cię nie uratują – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – I nie jesteś królem, Deckinie Scarlu.

– Naprawdę? – Deckin wydał wargi i uniósł brew w widocznym zaskoczeniu. – Jestem człowiekiem, który dowodzi armiami, strzeże swoich granic, karze przewinienia i zbiera należne mu podatki. Jeśli taki człowiek nie jest królem, to kim jest?

Było dla mnie jasne, że posłaniec miał wiele odpowiedzi na to pytanie, ale będąc za pan brat z mądrością i obowiązkiem, wybrał milczenie.

– Zatem życzę ci, panie, miłego dnia i bezpiecznej podróży – powiedział Deckin, po czym cofnął się o krok i klepnął w zad konia, którego dosiadał królewski sługa. – Trzymaj się drogi i nie zatrzymuj się aż do zmroku, nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa po zachodzie słońca.

Klepięty koń ruszył posłusznie, a jeździec szybko zmieniał jego trucht w rączy galop. Wkrótce był już tylko plamą mielonego kopytami błota. Jego płaszcz migotał jeszcze wśród drzew czerwienią i złotem, aż do momentu, gdy posłaniec skręcił i znikł nam z oczu.

– Czego stoicie i się gapiacie! – warknął Deckin, obrzucając swych ludzi gniewnym spojrzeniem. – Mamy łupy do zebrania i mile do przejścia, zanim zmierzch zapadnie.

Wszyscy zabrali się do pracy ze zwyczajowym entuzjazmem, łucznicy obszukiwali powalonych strzałami żołnierzy, podczas gdy pozostali oblegali wóz. Chcąc do nich dołączyć, rozejrzałem się za jakim młodym drzewkiem, do którego mógłbym przywiązać zdobycznego konia, ale nie zdążyłem go znaleźć, bo Deckin zatrzymał mnie gestem.

– Tylko jedno cięcie – stwierdził, podchodząc bliżej i kiwając kudłatą głową nad ciałem żołnierza z batem. – Nieźle.

– Tak jak mnie nauczyłeś, Deckinie – odpowiedziałem z uśmiechem, który zaraz zbladł, gdy Scarl obrzucił konia taksującym spojrzeniem i gestem nakazał mi oddać wodze.

– Myślę, że oszczędzę mu gulaszu – oznajmił, gładząc dużą dłońią szarą sierść zwierzęcia. – To zaledwie młodzik. Jeszcze może być z niego dużo pożytku. Jak z ciebie, co, Alwynie?

Zaśmiał się tym swoim krótkim, zgrzytliwym śmiechem, a ja natychmiast mu zawtórowałem. Zauważyłem, że Lorine wciąż stała nieopodal, zrezygnowała z gorączkowego zbierania łupów i obserwowała naszą rozmowę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i lekko przechyloną głową. Jej wyraz twarzy wydał mi się dziwny, lekko ściągnięte usta wyrażały stłumione rozbawienie, a zmrużone powieki i zmarszczone brwi – powściągliwą troskę. Deckin zwykł rozmawiać ze mną częściej niż z innymi młodzikami

z bandy, co bywało czasem powodem wybuchów zazdrości, ale zazwyczaj nie ze strony Lorine. Dziś jednak najwyraźniej dostrzegła w okazywanej mi łasce jakieś dodatkowe znaczenie i zastanawiałem się, czy miało to coś wspólnego z wiadomością wiezioną przez posłańca.

– Zagrajmy w naszą grę, hm? – odezwał się Deckin, natychmiast skupiając na sobie całą moją uwagę. Obróciłem się i zobaczyłem, że ruchem głowy wskazuje ciała dwóch żołnierzy. – Co widzisz?

Podszedłem bliżej do trupów i obejrzałem je uważnie, zanim zacząłem odpowiadać. Staralem się nie mówić zbyt szybko, nauczywszy się na własnej skórze, jak bardzo Deckin nie lubił, gdy trąkotałem.

– Zasnęta krew na portkach i mankietach – zacząłem. – Powiedziałbym, że ma dzień albo dwa. Ten tutaj – wskazałem na żołnierza z grotem strzały wystającym z ust – ma świeżo zszytą ranę na czole, a miecz tego – mój palec przesunął się na wprost obnażone ostrze, które wciąż tkwiło w pochwie tego z batem – ma rysy i zadrapania, które nie zostały jeszcze oszlifowane.

– Co ci to mówi? – zapytał Deckin.

– Brali udział w walce, i to niedawno.

– W walce? – Uniósł krzaczastą brew i spytał spokojnie: – Jesteś pewien, że to tylko tyle?

Moje myśli zerwały się do biegu. Gdy Deckin przemawiał takim łagodnym tonem, to zawsze było niepokojące.

– Raczej w bitwie – poprawiłem się, świadom, że mówię zbyt szybko, ale nie potrafiłem powstrzymać potoku słów. – Była na tyle duża i ważna, że król powinien zostać poinformowany o wyniku. Ponieważ oddychali aż do tego poranka, zgadywałbym, że wygrali.

– Co jeszcze? – Deckin zmrużył oczy w sposób, który zapowiadał rychłe rozczarowanie. Najwyraźniej przeoczyłem coś oczywistego.

– To Kordwainczycy – udało mi się jakoś powiedzieć to powoli.

– Jechali z królewskim posłańcem, zostali wezwani do Marchii Shavine w interesach Korony.

– Tak – przyznał mi rację, a w jego głosie usłyszałem ten nieznaczny przydech, świadczący o powściąganej ekscytacji. – A jaki

jest główny interes Korony w tych niespokojnych czasach?

– Wojna Pretendenta. – Przełknąłem ślinę i uśmiechnąłem się ponownie, zadowolony z własnych wniosków. – Królewska armia stoczyła i wygrała bitwę z hordą Pretendenta.

Deckin opuścił brew i patrzył na mnie w milczeniu, świdrując nieruchomym wzrokiem bez mrugnienia, na tyle długo, bym po raz drugi tego ranka oblał się potem. Potem mrugnął i odwrócił się, by odprowadzić konia, mrużąc do Lorine, która zrównała się z nim krokiem. Słowa były wypowiedziane cicho, ale usłyszałem je, jak – jestem pewien – tego chciał.

– Wiadomość?

Lorine odpowiedziała tonem całkowicie neutralnym i z twarzą starannie pozbawioną wyrazu.

– Miałeś rację, jak zwykle, mój kochany. Stary drań postradał rozum i zmienił barwy.

Deckin nakazał uprzątnąć ciała z drogi i porzucić je głębiej w lesie, gdzie zainteresowanie wilków, niedźwiedzi czy lisów sprawi, że wkrótce pozostaną po nich jedynie anonimowe kości. Knieja Shavine to miejsce pełne głodu, a świeże mięso rzadko pozostaje bezpieczne, gdy wiatr poniesie jego woń między drzewa.

To, że Erchel znalazł jedyne żywego, można było uznać za przynębiająco przewidywalne. Erchel był tak samo głodny, jak każdy leśny drapieznik, ale głodem innego rodzaju.

– Skurwysyn jeszcze oddycha – wykrzyknął w zaskoczonym zachwycie, gdy kusznik, którego wlekliśmy przez paprocie, wydał z siebie zdezorientowany i pytający zarazem jęk. Zdenerwowany tą niespodziewaną oznaką życia u nieboszczyka, natychmiast puściłem jego ramię, pozwalając mu osunąć się na ziemię, gdzie jęczał przez chwilę, zanim podniósł głowę. Pomimo dziur w ciele, wyrwanych przez co najmniej pięć strzał, sprawiał wrażenie człowieka obudzonego z dziwnego snu.

– Co się stało, przyjacielu? – zagadnął Erchel, przykucnąwszy obok, z twarzą wykrzywioną w imponującym naśladownictwie troski. – Banici, co? Moi druhowie i ja znaleźliśmy cię przy drodze. – Spochmurniał, a w głosie pojawiła się szorstka nuta rozpacz. – Straszna to rzecz. To prawdziwe zwierzęta, niech ich Zatrata

weźmie. Nie martw się... – Krzepiącym gestem położył dłoń na kiwającej się głowie kusznika. – Już my się tobą zajmiemy.

– Erchelu – odezwałem się, z wyraźną nutą zakazu w głosie. Pochwycił mój wzrok. W jego oczach zapłonął jasny, pełen urazy błysk, bladą twarz o ostrych rysach wykrzywił grymas. Byliśmy w podobnym wieku, ale ja wyrosłem wyżej niż większość chłopaków w wieku siedemnastu lat, o ile w istocie tyle sobie liczyłem. Nawet dziś mogę tylko zgadywać, tak to już jest z bękartami z burdelu; urodziny są tajemnicą, a imiona prezentem, który daje się samemu sobie.

– Nie mamy czasu na twoje rozrywki – upomniałem Erchela. Morderstwo zwykle zostawiało we mnie tłący się gniew, a wymiana zdań z Deckinem tylko go pogłębiła, co czyniło mnie nad wyraz niecierpliwym.

W bandzie nie mieliśmy formalnej hierarchii. Deckin był naszym niekwestionowanym przywódcą, a Lorine jego zastępcą, ale dalej kolejność dziobania zmieniała się z czasem. Erchel, ze względu na swoje maniery i zwyczaje, niegodziwe nawet jak na standardy banitów, znajdował się obecnie dobrych kilka szczebli niżej ode mnie. Jako że był zarówno pragmatycznym tchórzem, jak i złośliwym psem, zwykle wycofywał się w obliczu nawet minimalnie większego autorytetu. Dziś jednak perspektywa zaspokojenia głodu okazała się silniejsza niż pragmatyzm.

– Goń się, Alwynie – mruknął, odwracając się z powrotem do kusznika, który, o dziwo, zebrał dość sił, by się nieco podnieść. – Nie marnuj sił, przyjacielu – poradził mu Erchel, sięgając zarazem do noża przy pasie. – Połóż się, odpocznij chwilę.

Wiedziałem, jakby to się dalej potoczyło. Erchel wyszeptałby jeszcze kilka pocieszających słów do tego nieszczęsnego człowieka, a następnie, uderzając szybko niczym wąż, wykułby mu oko. Potem nastąpiłyby kolejne pieszczotliwe zapewnienia, zanim wyłupiłby drugie. Później już gra toczyłaby się o to, jak długo ten biedak będzie konał, gdy nóż Erchela coraz głębiej penetrowałby jego ciało. Nie mogłem tego znieść w większość dni, a już na pewno nie dzisiaj. Nie słuchał mnie, co było wystarczającym usprawiedliwieniem dla kopniaka, którego wymierzyłem mu w szczękę.

Zęby Erchela szczęknęły głośno, gdy jego głowa poleciała w bok. Kopnięcie zostało wymierzone tak, by sprawić jak największy ból, nie powodując przy tym zwichnięcia szczęki, aczkolwiek nie sądziłem, by Erchel to docenił. Przez sekundę lub dwie mrugał w szoku, po czym jego wąska twarz wykrzywiła się w grymasie wściekłości, poderwał się na nogi, z zakrwawionymi zębami i z nożem gotowym do udzielenia odpowiedzi. Dobyłem własnego noża w mgnieniu oka i przykucnąłem na rozstawionych nogach, gotów do starcia.

Jeśli miałbym być szczery, powiedziałbym, że pojedynek mógł rozstrzygnąć się na korzyść każdego z nas, ponieważ równie sprawnie posługiwaliśmy się nożem. Ale lubię myśleć, że mój wzrost i ciężar przechyliłyby szalę na moją stronę. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, gdyż Raith upuścił ciało, które niósł, przeszedł między nami, kucnął i wbił własny nóż w podstawę czaszki kusznika.

– Marnowanie czasu to marnowanie życia – pouczył nas tym swoim dziwnym, melodyjnym akcentem, po czym wyprostował się i każdego po kolei obdarzył ciężkim, nieruchomym spojrzeniem. Raith miał wzrok, który w najlepszym wypadku trudno było mi wytrzymać, zbyt jasne niebieskie oczy przeszywały człowieka w sposób przywodzący na myśl jastrzębia. Raith był też duży, wyższy i potężniejszy niż Deckin, ale bez śladu brzucha. Jeszcze bardziej przykuwały uwagę intensywnie czerwone ślady, które tworzyły dwa ukośne paski na jasnobrązowej skórze jego twarzy. Zanim zobaczyłem Raitha podczas moich pierwszych, niepewnych kroków w obozie, nie widziałem jeszcze żadnego Kaeryty. Poczucie obcości i zagrożenia, jakie wzbudził we mnie tamtego dnia, nigdy właściwie nie przeminęło.

Ostatnimi czasy namnożyło się opowieści o Kaerytach i ich sekretnych, podobnie magicznych praktykach. Nie były powszechnym widokiem w Albermaine. Ci, którzy żyli pośród nas stawali się przedmiotem szyderstwa, jak również obiektem lęku, zawsze postrzegani jako obcy. Doświadczenie nauczyło nas ostatecznie, że podejście takie było głupotą, ale wtedy mieliśmy to jeszcze przed sobą.

Słyszałem wiele ciekawych opowieści o Kaerytach, każda z nich była pełna aluzji do czarnej magii i fatalnych losów misjonarzy Przymierza, którzy nierozważnie przekraczali granicę gór, by edukować te pogańskie dusze w naukach Męczenników. Tak więc szybko odwróciłem wzrok, podczas gdy Erchel, przebiegły, ale niekoniecznie bystry, okazał się nieco wolniejszy, co skłoniło Raitha do poświęcenia mu całej swojej uwagi.

– Zgodzisz się ze mną, szczurze? – mruknął cicho, zbliżył się i jego brązowe czoło na moment dotknęło bladych brwi Erchela. A gdy Raith pochylał się nad niższym chłopcem, jego naszyjnik zawisł między nimi. Taki zwykły rzemień z brązowymi amuletami, z których każdy był kunsztownie wykonaną miniaturową rzeźbą, a jednak jego widok mnie denerwował. Pilnowałem, żeby moje spojrzenie nie zatrzymało się na nim zbyt długo, ale zerkałem na naszyjnik wystarczająco często, żeby wśród zawieszek dostrzec wizerunki księżyca, drzew i różnych zwierząt. Jedna z nich zawsze przyciągała mój wzrok bardziej niż pozostałe: brązowa ptasia czaszka, którą uznałem za kruczą. Z niewytłumaczalnego powodu puste oczodoły budziły we mnie większy lęk niż nienaturalnie jasne spojrzenie jej właściciela.

Raith odczekał, aż Erchel przytaknie milcząco, po czym polecił:

– Zanieście go tam. – Kaeryta, ruchem głowy wskazał nam kępę wiązów kilkanaście kroków dalej, jednocześnie wycierając zakrwawione ostrze o kubrak Erchela. – I w drodze powrotnej możesz nieść mój tobolek. I lepiej, żeby niczego w nim nie brakowało.

– Kaerycki bękart – mruknął Erchel, gdy dźwigaliśmy zwłoki kusznika w stronę wiązowej kępy. Sprawiał wrażenie, jakby całkowicie zapomniał o naszej konfrontacji, co było dla niego typowe. Zastanawiając się nad jego losem, po tych wszystkich latach, dochodzę do wniosku, że Erchel, ohydny i straszny dusza, posiadał jednak umiejętność, której wcześniej nie zauważyłem: umiejętność darowania urazy.

– Podobno czczą drzewa i skały – mówił dalej, pilnując, by nikt poza mną go nie słyszał. – Żeby je ożywić, oddają się jakimś pogańskim rytuałom w świetle księżyca i kto wie co jeszcze. Moi

ludzie nigdy nie zadawaliby się z jednym z nich. Nie wiem, co Deckin sobie myśli.

– Może powinieneś go zapytać – zasugerowałem. – Albo ja mogę go zapytać za ciebie, jeśli chcesz.

Ta rzucona obojętnym tonem propozycja sprawiła, że Erchel zamknął usta niemal do końca naszej podróży. Jednak, w miarę jak zagłębialiśmy się w las i zbliżaliśmy do obozu, znalazł powód, by znowu mleć ozorem.

– Co tam było napisane? – zapytał półgłosem, gdyż Raith znajdował się nieopodal. – W wiadomości?

– A skąd mnie to wiedzieć? – odparłem i poprawiłem ciężący mi na ramieniu tobolek wypchany łupami. Zanim przyłączyłem się do reszty, ciała zostały już ogołoczone, ale w wozie znalazłem worek z posiłkiem, kilka marchewek i najcenniejsze ze wszystkiego – parę solidnych butów, które pasowałyby na mnie niemal idealnie po kilku drobnych przeróbkach.

– Deckin z tobą rozmawia. Tak samo jak Lorine. – Erchel szturchnął mnie łokciem, próbując tym sposobem wydusić ze mnie odpowiedź. – Co tam mogło być takiego, że Deckin tyle ryzykował tylko po to, by przeczytać tę wiadomość?

Pomyślałem o tym drgnieniu, które na ułamek chwili zmieniło wyraz twarzy Lorine, gdy czytała, i o tym, że niewzruszenie i z kamienną miną, stała i patrzyła, jak Deckin zmusza mnie do wyciągania wniosków. „Stary drań postradał rozum i zmienił barwy”, powiedziała. Lata spędzone wśród banitów nauczyły mnie doskonale wyczuwać zmianę wiatrów i kierunku, w którym podążaliśmy, przy czym Deckin zawsze znajdował się w centrum tych zmian. Nigdy nie lubił dzielić się swoimi przemyśleniami, wydawał polecenia, które wydawały się dziwne lub bezsensowne, a jego prawdziwe zamiary stawały się oczywiste znacznie później. Jak dotąd, jego ostrożne przywództwo zawsze prowadziło nas do zysków, przy czym z dala od żołnierzy i szeryfów księcia. Książę...

Zwolniłem mimowolnie, patrzyłem przed siebie niewidzącym wzrokiem, a mój umysł pracował nad spostrzeżeniem, które powinno było przyjść mi do głowy już na drodze. Strażnicy posłańca nie byli książęcymi żołnierzami z Marchii Shavine, ale Kordwainczykami, którzy dopiero co brali udział w kolejnej bitwie

w Wojnie Pretendenta. Żołnierzami w służbie króla, co rodziło pytanie: jeśli nie można było powierzyć eskortowania posłańca Korony żołnierzom z Marchii Shavine, to po której stronie walczył ich książę?

– Alwynie?

Głos Erchela wyrwał mnie z zamyślenia, znów maszerowałem rażno i spoglądałem bystro, nieuchronnie w stronę zwalistej postaci Deckina na czele kolumny. Dotarliśmy już do obozu i patrzyłem, jak gestem odprawia witających go ludzi i kieruje się do schronienia, które dzielił z Lorine. Intuicja podpowiadała mi, że żadne z nich nie dołączy do nas na wspólnej uczcie, zwyczajowej celebracji udanego przedsięwzięcia. Wiedziałem, że mają wiele do omówienia. Wiedziałem też, że muszę to usłyszeć.

– Czuję, że muszę ci coś powiedzieć, Erchelu – stwierdziłem, idąc już do swojego schronienia. – Kurewsko dużo gadasz.



Po rozlewie krwi następowała zawsze huczna uroczystość. Deckin niechętnie patrzył na pijaństwo, ale po udanym rajdzie zazwyczaj pozwalał, aby piwo i brandy płynęły wartko. Tak więc, kiedy zapadła już noc, a wieprz na różnie został upieczony do perfekcji, moi kamraci dawali upust swoim radościom lub pielęgnowanym żalom. Z biegiem lat zrozumiałem, że takie okazje były nieodzownym aspektem życia banity, wybuchy śmiechu, kłótni i śpiewu napędzane nadmiarem alkoholu i wszelkich środków odurzających, jakie udało nam się zebrać.

Często zastanawiam się, czy wciąż potrafię z nostalgią myśleć o tej zbieraninie wyrzutek, a potem, gdy oglądam we wspomnieniach kolejne twarze z tamtych lat, stwierdzam, że tak. Była tam Gerthe, druga po Lorine, jeśli chodziło o obiekt mojego pożądania. Miała policzki jak jabłuszka, które unosiły się w uśmiechu, gdy tańczyła, rozchylając spódnicę. W tańcu towarzyszyli jej Justan i Yelk, fałszerz i włamywacz, najbardziej oddana sobie para kochanków, jaką kiedykolwiek spotkałem. Stara, pomarszczona Hulbeth, która potrafiła ocenić wartość złota i srebra jednym kłapnięciem żółtych zębów i pociągnięciem języka, chichotała, paląc fajkę na spółkę z Raithem. Kaeryta nie był zbyt wylewny, ale przy takich okazjach prezentował pogodnie usposobienie, pykając ze swej ozdobnie rzeźbionej fajki, którą hojnie

dzielił się z zebranymi wokół niego banitami. W miarę upływu nocy, wszyscy oni pogrążali się w niepamięci, jaką zioło zasnuwało im umysły.

Na skraju ognia, Baker i Twine, nasi najlepsi łucznicy, popychali się nawzajem, co zwiastowało zbliżającą się walkę. Wśród tych ludzi przemoc była czymś zwyczajnym i nieuniknionym, gdy trunek rozluźnił języki i wydobyl z pamięci wcześniejsze zniewagi. Zgodnie z prawem Deckina mieliśmy pozostawiać wszystkie noże i inną broń tam, gdzie spaliśmy, więc rzadko zdarzały się poważne rany czy zabójstwa. Przyglądając się, jak obaj łucznicy machają jeden drugiemu rękami przed twarzą i wykrzykują coraz głośniej, ocenilem, że wymiana ciosów będzie krótka, ale obfitująca w siniaki. Zwykle przewracali się, przez jakiś czas szepieni, aż ich sprzeczką stawała się na tyle dokuczliwa, że Raith lub jeden z poruczników cieszących się posłuchem, odciągali ich od siebie. Do rana Baker i Twine stawali się znowu przyjaciółmi, wymieniali się żartami i porównywali siniaki.

Ich eskalującej kłótni przyglądał się krępy mężczyzna z głową ogoloną niemal do skóry, co równoważył olbrzymią brodą. W hierarchii bandy Todman stał kilka szczebli wyżej niż ja, cieszył się poparciem Deckina dzięki rozsądnemu stosowaniu siły, co czyniło go dobrym w walce, ale jeszcze lepszym, gdy przychodziło do wymierzenia kary. Był dużym mężczyzną, jak to często bywa w przypadku osób odpowiedzialnych za egzekwowanie zasad, ale nie dorównywał wzrostem Raithowi czy Deckinowi. Widząc wyczekiwanie w jego oczach, gdy bezładne machanie Bakera i Twine'a zamieniało się w ciosy, domyśliłem się, że Todman nie miałby nic przeciwko temu, aby bójka skończyła się mordem, a tym samym makabryczną egzekucją. Nie zawsze łatwo jest dociec źródła nienawiści, jaką jeden człowiek czuje do drugiego, ale w przypadku Todmana nie miałem z tym większych trudności. Podobnie jak Erchel, lubował się w okrucieństwie. Ale w przeciwieństwie do Erchela, za tym bestialskim spojrzeniem krył się bardzo ostry umysł.

Musiał instynktownie wyczuć, że patrzę na niego, bo przeniósł wzrok na mnie i wyraźnie zmrużył oczy. Naturą nienawiści jest odzwierciedlanie tego uczucia przez tych, których się nienawidzi, a Todman odzwierciedlał moją nienawiść z nawiązką.

Powinienem był spuścić wzrok, jak w przypadku Raitha, ale tego nie zrobiłem. Być może pół kubka brandy, które wychyliłem, sprawiło, że stałem się głupio odważny, ale sądzę, że mój brak ostrożności miał więcej wspólnego z przekonaniem, pielęgnowanym już od kilku miesięcy, że byłbym w stanie zabić Todmana, gdyby doszło do starcia. On miał przewagę siły i rozmiarów, ale ja byłem szybszy. Wystarczyłoby jedno dobre cięcie.

Przez twarz Todmana przebiegło drgnienie w reakcji na mój brak strachu, zrobił krok do przodu, skłaniając mnie do tego, bym wstał. Zgodnie z prawem Deckina nie miałem przy sobie noża, ale jeden tkwił wbity w na wpół zjedzonego wieprza. Wiedziałem, że zdołam dopaść ostrza, zanim Todman dopadnie mnie. W tym momencie uświadomiłem sobie, że Deckin może mi nie wybaczyć śmierci tak przydatnego porucznika i myśl ta przywołała spóźniony przypływ zdrowego rozsądku – zacisnąłem zęby i spuściłem wzrok. Było jednak całkiem możliwe, że ten wyraz skruchy nie ostudzi gniewu Todmana – moja podsycana brandy duma mogła skończyć się dla mnie laniem. Na szczęście, zanim Todman zdążył zrobić kolejny krok, Twine próbował wydłubać oko Bakerowi, a wynikała z tego przepychanka posłała ich prosto w ognisko.

Z pełnym irytacji kaeryckim przekleństwem na ustach, Raith poderwał się na nogi i rozdzielił walczących. Todman, jako że pilnowanie porządku należało do jego zadań, zobowiązany był pomóc, odciągnął więc Bakera, podczas gdy Raith owinął mięsiste ramię wokół karku Twine'a. Wszystkie oczy zwrócone były na szarpaninę przy ognisku, a ja uznałem, że to najodpowiedniejszy moment, aby się wymknąć. Nie powinienem już zwracać na siebie uwagi Todmana, poza tym miałem własną misję do wykonania.



Wraz z nadejściem zimy, banda Deckina zamieszkała wśród zarośniętych ruin w ciemnym sercu Kniei Shavine. Ruiny te w znacznej mierze stanowiły porozrzucane kamienie, czasem w swej zwietrzałej, pokrytej mchem nieregularności nie do

odróżnienia od zwykłych gładów. Ale w kilku miejscach z płataniny krzaków, korzeni i gałęzi wystawały wyraźne formy i struktury. I to była główna zaleta obozowania w tym miejscu, gdy deszcz stał się chłodny, a szron zaczął lśnić w świetle poranka, ponieważ te solidne ściany łatwo było przekształcić w schronienia, nie wspominając o tym, że dostarczały gotowych kryjówek na łupy i zapasy.

Niektórzy członkowie bandy twierdzili, że te ruiny pozostały po potężnym kiedyś mieście, które sięgnęło wielkości, by zostać zrównane z ziemią przez furję Zatrąty. Jeśli rzeczywiście tak było, to jakoś nie dostrzegłem dowodów na tę wielkość. Potężne miasto miałoby przecież posąg czy dwa, a wśród zielono szarych zarośli połyskiwałyby ślady dawnej świetności. Tymczasem ja nie widziałem żadnego. Tu i ówdzie widniały w kamieniu niewyraźne, wytarte wgłębienia, które można było wziąć za pozostałości wykutych słów, zbyt jednak zniszczonych, by w pełni dostrzec ich formę. Zresztą nikt w tym towarzystwie nie umiałby ich przetłumaczyć, a już na pewno nie ktoś tak niewykształcony jak ja.

Deckin i Loraine zajmowali oczywiście najlepsze z dostępnych miejsc, komnatę, niemal niezniszczoną o czterech grubych ścianach, dopełnionych dachem wykonanym ze splecionych gałęzi i ułożonych na nich liściach paproci. W pobliżu komnaty znajdowały się również zwietrzałe, porośnięte mchem pozostałości wielkiego, zwałonego filaru. Zgadywałem, że był to dawniej jakiś pomnik, mający blisko sto stóp, co lub kogo upamiętniał, na zawsze jednak pozostało tajemnicą. Upadek zniszczył filar jedynie częściowo. Pod jednym z granitowych fragmentów znajdowało się małe zagłębienie. Odkryłem je kilka tygodni wcześniej, szukając miejsca na ukrycie cenniejszych łupów. Wśród członków bandy kradzież była surowo zabroniona, ale wszelkie monety i inne kosztowności, które udało mi się zebrać, miały irytującą tendencję do znikania. Wprawdzie wynikało to głównie z mojego nawyku wydawania zarobionych pieniędzy niemal natychmiast po tym, jak wpadły do mojej sakiewki, ale byłem pewien, że niewielka część trafiła do kieszeni moich niegodnych zaufania kamratów. Kiedy dokładniej zbadałem ową kryjówkę, okazało się, że zapewniała ona wyraźny widok na wejście do schronienia Deckina i Loraine, nadto znajdowała się na tyle blisko, że słyszałam niemal każde wypowiedziane przez nich słowo.

– ...obejmujące w sumie dwanaście kompanii – mówiła z zamkniętymi oczami Lorine w ten charakterystyczny płynny sposób, gdy z typową dla siebie precyzją recytowała królewską wiadomość. Ona i Deckin siedzieli po obu stronach płonącego ognia, on przegarniał węgle poczerniałą gałązką, podczas gdy ona siedziała w spokojnym skupieniu. – Dziewięć pieszych i trzy konne. Odtąd liczyliśmy ponad trzy tysiące, sami dobrzy ludzie zaprzysiężeni na służbę Waszej Wysokości w obecności ascendanta Durehla Vearista, najstarszego i najbardziej szanowanego kłeryka Przymierza w Marchii Shavine. Ponadto naszą armię uzupełniły nie mniej niż trzy dwudziestki zbrojnych, którzy wcześniej służyli zdrajcy, księciu Rouphonowi Ambrisowi. Jestem przekonany, że Wasza Wysokość z radością przyjmie wiadomość o niezmiennej wierności tych mężów o mocnych sercach, którzy wybrali lojalność wobec króla, ponad przysięgi składane zradzieckiemu szlachcicowi...

Lorain zamilkła, bowiem Deckin przerwał jej, mówiąc cicho, jednak tonem wyraźnie ostrym:

– Raczej zdradzieccy dranie, na tyle sprytni, by wyczuć, z której strony wieje wiatr. – Gęsta broda poruszyła się, gdy grymas wykrzywił mu usta, tymczasem Lorine otworzyła oczy, aby rzucić mu pełne wyrzutu spojrzenie. – Wybacz, kochana. Mów dalej, proszę.

Lorine westchnęła, zamknęła oczy i podjęła recytację:

– Jeśli chodzi o siły Pretendenta, oceniam ich liczbę na ponad cztery tysiące pod bronią, i niemal równie licznych zwolenników, podążających za armią. Wasza Królewska Mość może zatem stwierdzić, że to o wiele mniej niż wcześniej przypisywano rebelianckiej hordzie, tym samym nie sposób nie kwestionować uczciwości nagrodzonych wcześniej za dostarczanie informacji, które teraz okazały się błędne lub wręcz fałszywe. Do tego listu załączam listę nazwisk tych osób, które pokornie sugeruję poddać aresztowaniu i konfiskacie mienia za tak haniebne naruszenie zaufania Waszej Królewskiej Mości.

Bez względu jednak na rzeczywistą liczebność wroga, gdyby Pretendentowi udało się połączyć swą hordę z kompaniami i zaciężnymi oddziałami księcia Rouphona, liczącymi grubo ponad tysiąc osób, dzień mógłby zakończyć się naszą porażką. To dzięki

opatrzności, a może i przychylności Męczenników, poznaliśmy drogę obroną przez księcia Rouphona, gdy jeden z jego zwiadowców wpadł w nasze ręce. Rozbiwszy obóz zaledwie dwanaście mil od zgromadzenia Pretendenta, księżę Rouphon został zaatakowany przez naszą armię o świcie, jego siły zaś wybite, pojmane lub rozproszone.

Loraine zamilkła na chwilę i widziałem, jak jej gardło pracuje, by zwilżyć nerwowo wyschnięte usta, a jednak gdy się odezwała, brzmiała równie spokojnie jak wcześniej.

– Mam również zaszczyt poinformować, że sam księżę jest teraz pod opieką championa Waszej Królewskiej Mości, sir Ehlberta Bauldry’ego, po tym jak pokonał on i rozbroił zdrajcę własną ręką.

Gdy tylko przywrócono porządek w oddziałach pod moim dowództwem, pomaszerowałem z całą prędkością na obóz Pretendenta i zadałem mu dotkliwą porażkę, pomimo zacieklego oporu jego zwolenników. Spieszę też donieść o fakcie niezwykle w mej opinii istotnym, że w szeregach rebeliantów znajdowało się wielu askarlijskich najemników sprzymierzonych z heretykami z Fjordowego Geldu. Do pokonania tych północnych dzikusów trzeba było nam rzucić najwięcej sił, wywiązała się najostrzejsza walka, która, ku mojemu głębokiemu ubolewaniu, pozwoliła uciec samemu Pretendentowi wraz z orszakiem liczącym może dwudziestu zdradzieckich rycerzy. Wasza Królewska Mość może być jednak pewien, że pościg za przywódcą rebeliantów wyruszył natychmiast i spodziewam się, że w ciągu kilku dni otrzymam wiadomość o schwytaniu Pretendenta lub jego śmierci.

Moje siły zajęły zamek Ambris, gdzie znajdzie mnie posłaniec Waszej Królewskiej Mości. Osoba, o której rozmawialiśmy przed moim odjazdem z dworu, została wysłana i ma przybyć wkrótce. Wiadomości uzyskane od patroli i płatnych informatorów nie potwierdzają jakoby pośród chłopów, rzemieślników i pomniejszych szlachciców doszło do jakichś niepokojów w związku z aresztowaniem księcia. Nie wydaje się też, by w tym księstwie panowała powszechna sympatia dla sprawy Pretendenta. Moim zamiarem jest, zgodnie z nakazem Waszej Królewskiej Mości, poddanie księcia Rouphona procesowi sądowemu w trybie natychmiastowym. Lista szlachetnie urodzonych jeńców została

również dołączona do tej wiadomości. Czekam na wytyczne Waszej Królewskiej Mości względem egzekucji, ułaskawienia lub okupu za wymienione na liście osoby. Pojmanych żołnierzy, zaciężnych i zwolenników skazano na śmierć na mocy mojego nakazu jako agenta koronnego z Nadzwyczajną Dyspensą.

Pozostaję najwierniejszym i najbardziej oddanym sługą Waszej Królewskiej Mości, sir Althus Levalle, komtur Kompanii Koronnej.

Słuchając treści listu Deckin zachowywał w większości niezmienny wyraz twarzy, za wyjątkiem chwili, gdy Lorine wspomniała o losie niefortunnego księcia Rouphona. Gałąź w potężnych dłoniach Deckina skrzypnęła i pękła, jej resztki trafiły zaś do ognia. Kiedy Lorine zakończyła swoją recytację, Deckin nie powiedział nic, pozwalając ciszy trwać.

– Althus – mruknął wreszcie, składając dłonie. – Jego obecność ma sens. Zawsze lubił walczyć z bałaganem. To człowiek, który czerpie przyjemność ze zmieniania chaosu w porządek.

– Znasz komtura Kompanii Koronnej? – zapytała Lorine, a ja usłyszałem nutę autentycznego zdziwienia w jej głosie. Najwyraźniej Deckin i przed nią miał tajemnice. Teraz jego broda poruszyła się w wyrazie lekkiej irytacji i Deckin potrząsnął głową.

– Kiedyś znałem. To opowieść na inną noc, moja kochana.

Lorine dobrze to ukrywała, ale ja dostrzegłem zmartwienie, które kryło się w kolejnej wypowiedzi, choć z samych słów nie można było tego wywnioskować.

– Zakładam, że wspomniana osoba to nowo wybrany książę Marchii Shavine. Ciekawe, kim on będzie.

– Lista kandydatów nie jest długa – zaśmiał się niewesoło Deckin. – Rywale Rouphona mają skłonność do nieprzewidzianych wypadków i nagłych chorób. – Znów się zaśmiał, tym razem z wyraźną nutą goryczy. – Nigdy nie był człowiekiem znanym z nadmiernej życzliwości dla tych, z którymi łączyły go więzy krwi.

– Być może jego następca będzie bardziej ugodowej natury. Prezent o odpowiedniej wartości mógłby przynajmniej ułatwić otwarcie drogi porozumienia. Oczywiście musimy uważać, jak się do niego zwrócimy... – Lorine urwała, gdy Deckin machnął lekceważąco dłonią.

– Nie ma znaczenia, kto to jest. – Podniósł się ze stęknieniem i pomasaował plecy. – Nadszedł czas, Lorine. Długo czekałem, ale teraz wreszcie nadszedł czas. Teraz, gdy Rouphon ma stracić głowę, szaleje wojna Pretendenta, a na północy szykują się kłopoty, okoliczności nie mogłyby być lepsze.

– Pretendent został właśnie pokonany. Wojna już się skończyła.

– Tak to wygląda, a przynajmniej o tym Althus próbuje przekonać króla. Zauważyłaś, że nie wspomniał o stratach własnych? Althus jest przede wszystkim człowiekiem obowiązku, ale gdy mu to pasuje, jest też zatraconym kłamcą. Zgaduję, że solidnie rozgromił siły księcia i pojmał go tak, jak mówił, głównie dzięki temu, że miał po swojej stronie sir Ehlberta. Prawdopodobnie udało mu się też pokonać Pretendenta, ale nie odniósł tak wielkiego zwycięstwa, jak twierdzi. Nawet jeśli napisał prawdę, to dopóki Pretendent oddycha, zawsze może zebrać kolejną armię. Domaganie się tronu na podstawie kropli królewskiej krwi zawsze będzie miało powab dla wywłaszczonych lub niezadowolonych. Daleko jeszcze do końca rebelii. Kiedy następnym razem podniesie swój sztandar, prawdopodobnie będzie to daleko od Marchii, co oznacza, że sir Althus i, co ważniejsze, straszliwy czempion króla również wkrótce będą daleko.

Lorine ponownie zamknęła oczy i opuściła głowę, a potem wzięła oddech i powiedziała coś, co wymagało niemałej odwagi:

– Posłaniec miał rację, Deckinie. Niezależnie od tego, jakim tytułem obdarzą cię chłopci i banici, pozostaje prawdą, że nie jesteś królem.

– Nigdy nie łudziłem się, że jest inaczej, moja droga. – W tonie i postawie Deckina nie było gniewu. Zbliżył się do Lorine, ujął jej podbródek swą dużą dłonią i zwrócił twarz kochanki ku sobie, czekając, aż ta otworzy oczy i na niego spojrzy. Następne słowa wypowiedział z łagodnym naciskiem, ale i niezachwianą pewnością.

– Jestem jednak zdecydowany zostać księciem.



Następnego ranka Deckin kazał nam zwinąć obóz i wziąć kurs na północ przez ukryte szlaki znane tylko kłusownikom i banitom. Jak zwykle nie podał żadnych wyjaśnień, a ci, którzy ośmielili się skarżyć na umęczone alkoholem głowy i niezliczone bóle, szybko milkli pod spojrzeniem Króla Banitów. Wszyscy byliśmy specjalistami w odczytywaniu jego zmiennych nastrojów i maszerowaliśmy obarczeni świadomością, że teraz jedno niewłaściwe słowo lub grymas spowoduje najsurowszą represję.

Zgłosiłem się na ochotnika do zwiadu, przed resztą grupy, która kluczyła przez zielony labirynt lasu. Maszerując z innymi, musiałbym mieć u boku Erchela, a obecnie moja tolerancja na jego towarzystwo uległa wyczerpaniu. Zwiad pozwolił mi też utrzymać stosowny dystans od Todmana, co uznałem za rozsądny środek ostrożności. Przychyłość Deckina oznaczała właściwie kilka dodatkowych chwil rozmowy, czasem pochwałą, ale nie zapewniała ochrony.

W grupie zwiadowców było nas czterech. Baker i Twine ze swoimi łukami pilnowali boków, ich kłótnia była już tylko niewyraźnym wspomnieniem, mimo nadto wyraźnych siniaków. Fornal, nasz najlepszy tropiciel i myśliwy, stanął na czele, a ja podążałem kilkanaście kroków za nim. Uzasadnienie takiego układu było proste, gdyby z lasu wyfrunęła strzała i powaliła myśliwego, ja zostałbym przy życiu, by podnieść alarm.

Chociaż rzadko się zdarzało, by szeryfowie czy książęcy żołnierze zapuszczali się tak głęboko w marchijską knieję, to przecież się zdarzało. Miałem bardzo mroczne wspomnienia o wydarzeniu sprzed lat, kiedy to nasza banda natknęła się na całą kompanię osobistej gwardii księcia Rouphona. Na szczęście godzina była późna i większości z nas udało się umknąć z tej chaotycznej potyczki. Byłem wtedy chłopcem zaledwie i ucieczka od tej okrutnej wymiany strzał i ciosów, która pod każdym względem przypominała prawdziwą bitwę, zostawiła po sobie niezatarte wrażenie.

Wodziłem spojrzeniem po drzewach po obu stronach Fornala. Myśliwy poruszał się z miarową płynnością, dziwną przy jego wychudzonej sylwetce, a tymczasem mój umysł wielokrotnie odtwarzał rozmowę Deckina i Lorine z poprzedniego wieczoru. „Jestem zdecydowany zostać księciem”. Jedną z klątw, nękającą ludzi

inteligentnych, jest siła wyobraźni, gdyż bystry umysł będzie badał mroczne możliwości z dużo większym zaangażowaniem.

Dokąd on nas prowadzi?, to pierwsze pytanie, które przyszło mi do głowy tego dnia, a zaraz po nim pojawiła się istna plaga kolejnych. Co on planuje? Dokąd zmierzamy? Jak on może sobie wyobrażać, że wyrzutek, nawet król wyrzutek, może zostać księciem?

Nie byłem tak głupi, by dzielić się tą wiedzą z kimkolwiek innym, bo zaufanie to luksus, z którego młodzi banicy szybko rezygnują. W innych okolicznościach szukałbym odpowiedzi u Lorine, bo od naszego pierwszego spotkania wiedziałem, że jest ona jedyną naprawdę mądrą duszą, wśród tej zbieraniny odpadków.

„Oto chłopak o bystrym spojrzeniu”. Pierwsze słowa, jakie Deckin skierował do mnie tego dnia, przed dziesięciu laty, gdy znalazł mnie brudnego i posiniaczonego w lesie.

Kiedy rajfur wypędził mnie ze skromnego schronienia w burdelu, zrobił to z niemałym entuzjazmem.

„Wynoś się stąd, bezużyteczny mały skurwysynu!”, to były ostatnie słowa, jakie do mnie powiedział, a przy tym jedno z najmiłszych. Różga zostawiała pręgi na moich pośladkach i grzbiecie, gdy uciekałem w stronę gęstych paproci na granicy zbiorowiska ruder, które do tej pory nazywałem domem. Zazwyczaj, kiedy rajfur się wściekał, ukrywałem się w gęstych liściach aż do zmroku, czekałem, aż upije się do nieprzytomności i wtedy zakradałem się z powrotem. Dziwki o cieplejszych sercach dzieliły się czasem ze mną kolacją, po czym wpełzałem na stryszek, by zasnąć. Ale nie tamtego dnia.

Z głuchym charkotem rajfur gonił mnie przez paprocie, różga cięła boleśnie po szyi i głowie, a ja niemalże wpadłem w ciemne objęcia lasu. Widok ściany poszarpanych cieni sprawił, że zatrzymałem się natychmiast, gotów przyjąć kolejne ciosy. Zdążyłem już nasłuchać się straszliwych opowieści o losie tych na tyle głupich, by zapuścić się do lasu. Przeklinając mój opór, kupler przykucnął, sięgnął po kamienie z drogi i zaczął mnie nimi obrzucać. Jeden trafił mnie w czoło i rozświetlił przed oczyma niezliczone gwiazdy. Pamiętam, że upadłem, a potem spowiła mnie czerń, a kiedy się rozwiała, zobaczyłem, że patrzę w górę na kołyszące się gałęzie.

Być może miałem omamy wywołane uderzeniem w czaszkę, ale czułem się wtedy tak, jakby las do mnie przemówił. Szelest liści i skrzypienie poskręcanych gałęzi połączyły się w głos, który nie wypowiadał zrozumiałych słów, a jednak do mnie mówił. W moim dziecięcym i zamroczonym umyśle brzmiało to jak powitanie, które jednak szybko zostało zagłuszone powitaniem Deckina.

Usiadłem i znalazłam się twarzą w twarz z bardzo dużym mężczyzną o gęstej czarnej brodzie i smukłą kobietą o miedzianych włosach, splecionych w długie, staranne warkocze. W brodzie wielkiego mężczyzny dostrzegłem biały błysk uśmiechu, a w jego oczach lśniła mieszanina rozbawienia i zainteresowania. Kobieta się nie uśmiechała, ale wyraz jej twarzy nie był niemiły. Teraz już wiem, że przy okazji naszego pierwszego spotkania Lorine nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, ale nawet wtedy uważałem, że w jej wyglądzie jest coś ponadczasowego i królewskiego.

– Jak ci na imię, chłopcze? – zapytał brodacz. Sięgnął, złapał mnie za ramiona i postawił na nogi. Ze względu na utrzymujące się oszłomienie, a może podpowiedź intuicji, nie uchyliłem się przed jego dotykiem, ani nie próbowałem uciekać.

– A-alwyn – odparłem niepewnie i zamrugąłem gwałtownie, bo rana na moim czole się otworzyła i krew zaczęła kapać mi do oczu.

– Alwyn, co? – Brodacz skrzywił się lekko, ocierając kciukiem krew z mojej brwi. – Kto ci tak dał na imię, matka czy ojciec?

– Nie znałem ich, a imię sam sobie dałem – wyjaśniłem, a strach przyspieszył bicie mojego serca, bo w miarę jak przytomniałem, docierało do mnie, że byłem sam w lesie z dwojgiem obcych. – Rajfur powiedział, że umarła, gdy mnie rodziła. I powiedział, że mój ojciec był tylko jakimś pierdołą, który ją pierdolił, a potem spierdolił. Tak powiedział.

Miedzianowłosa zbliżyła się do mnie i ukucnęła.

– Człowiek barwnych porównań, ten cały rajfur – odezwała się. Moje chłopięce spojrzenie zawisło na jej twarzy, bo takiego wyrazu jeszcze nie widziałem; mieszanina współczucia i gniewu, kryjąca się częściowo za ciepłym uśmiechem. – I całkiem niezły temperament – dodała, wyciągnęła chustkę z rękawa wełnianej bluzki i przycisnęła do mojego czoła. – Powiedziałabym, że temu

człowiekowi przydałaby się lekcja powściągliwości. – Podniosła cienką brew i zerknęła na brodacza. – Czy nie zgodzisz się, mój kochany?

– Jak najbardziej – prychnął wielki brodacz i wyprostował się tak, że musiałem wyciągnąć szyję, by spojrzeć mu w oczy. – Najlepiej będzie, jeśli zatrzymasz się na noc w naszym obozie, młody Alwynie. W garnku dusi się cała partia gołębi i będziemy potrzebować pomocy w zjedzeniu tego wszystkiego.

Pochylił się i wziął moją małą dłoń w swoją, podczas gdy kobieta ujęła drugą. Szedłem między z nimi, nie czując potrzeby ucieczki, ale też dokąd mógłbym uciec? Oczywiście, jedna noc w ich obozie szybko zamieniła się w tydzień, tydzień przerodził się w miesiąc, podczas którego nauczyłem się wielu nowych rzeczy. Po raz pierwszy w moim krótkim życiu nie spędzałem już każdej godziny, skręcając się z głodu lub ze strachu przed niespodziewanym uderzeniem różgi. W miarę jak miesiące przeradzały się w lata, coraz częściej miewałem ponure myśli dotyczące tamtego rajfura, aż wreszcie, gdy wyznałem Lorine wszystkie moje mściwe plany, poinformowała mnie niefrasobliwym, wesołym tonem, że niedługo po moim odejściu kuplera znaleziono uduszonego na progu burdelu. Życie nigdy nie powiodło mnie z powrotem do skupiska ruder, w którym się wychowałem, i nawet teraz nie czuję najmniejszej chęci, aby odwiedzić tamto miejsce, ponieważ nie mam tam nic do zobaczenia i nikogo do zabicia.

– Pssst!

Uklucie gałązki, która odbiła mi się od nosa przerwało wspomnienia i wzdrygnąwszy się spojrzałem wprost w surowe, potępiające oczy Fornala.

– Obudź się, poganinie! – rozkazał cicho, jak zawsze zwięźle. – Jeśli masz zamiar strzec moich pleców, rób to dobrze, żeby cię Zatrata wzięła.

Natychmiast przywołałem na usta uśmiech tak jasny i wesoły, jak tylko umiałem, wiedząc, że to podsyci gniew Fornala bardziej niż jakakolwiek riposta. W moich oczach był najbardziej niezwykłym banitą, jaki kiedykolwiek wędrował po Kniei Shavine, albowiem był gorliwym i wiernym wyznawcą Przymierza Męczenników. Niechęć do pozostałych łotrów z bandy Deckina płonęła w nim jasno, przy

czym najjaśniej chyba dla mnie, być może dlatego, że nigdy nie nudziło mi się podsycanie tego ognia.

Odetchnął głęboko, aby się uspokoić i wymruczał fragment świętych zwojów, który cytował zwykle, gdy wystawiałem na próbę jego cierpliwość.

– Prawdziwie wierni będą znosić obecność grzeszników i profanów, albowiem cierpienie oczyści ich w przytomności Serafilów – z tymi słowy odwrócił się i podjął ostrożny marsz wśród drzew.

Kilka mil dalej przysiedliśmy na pniu zwalonego jesionu, by zjeść naszą porcję solonej wieprzowiny. Zima nie zdążyła jeszcze pochwyścić lasu w swój uścisk, ale powietrze już nabrało ostrości, która wkrótce miała się zmienić w przesywający kości ziąb. Dla chłopaka o moich skłonnościach, mieszkanie w lesie miało wiele zalet, ale pogoda do nich nie należała – zimy wystarczająco zimne, by zabić i lata rodzące chmary muszek i różnych robaków tak licznych, że mogły doszczętnie pogrzebać koncentrację. Zawsze wołałem pogodniejsze, choć zbyt krótkie chwile wytchnienia wiosną i jesienią.

– Słyszałeś kiedykolwiek o rycerzu sir Ehlbercie Bauldrym? – zapytałem Fornala w czasie posiłku, głosem niewiele głośniejszym od szeptu, jakim posługiwaliśmy się zawsze w trakcie wędrówki.

– Nie nękać mnie swoją paplaniną, poganinie – odpowiedział Fornal. Z powodów, których nie dane było mi poznać, Fornal rezerwował tytuł poganina jedynie dla mnie. Pozostali byli prostymi grzesznikami.

– To ponoć królewski czempion – ciągnąłem beztrąsko. – Myślałem, że może spotkałeś go kiedyś, gdy parałeś się żołnierką.

Była to zamierzona drwina, zdawałem sobie bowiem sprawę, że czas spędzony przez Fornala pod sztandarami był dlań tematem bolesnym. Dowiedziałem o tym z kazań, które Fornal wygłaszał sam do siebie z braku innego audytorium. Wieczorem zazwyczaj kręcił się wokół swojego ogniska z zamkniętymi oczami, cytując w nieskończoność inwektywy ze Zwojów Męczenników, przeplatane rzadkimi, ale interesującymi wyrazami skruchy za liczne grzechy, które zabarwiły jego życie, skruchy, która nie przeszkodziła mu

związać się z najbardziej niesławną bandą banitów w całej Kniei Shavine.

Nie dalej jak latem widziałem, jak ten człowiek rozłupał siekierą czaszkę gwardzisty. Był równie bezwartościowy i podły jak każdy inny członek tej bandy, ale jego przekonanie o swoim niechybnym zbawieniu nigdy nie osłabło. Już dawno temu doszedłem do wniosku, że jego wiara jest żarliwą wiarą szaleńca i przestałem zastanawiać się nad sprzecznościami w jego zachowaniu, z wyjątkiem sytuacji, gdy znajdowałem się w centrum jego zakłamanych urojeń.

Spodziewałem się kolejnej zwięzłej odmowy, więc zdziwiłem się, gdy na twarzy Fornala pojawił się wyraz, który musiał być związany z ponurym wspomnieniem. Niektórzy mogliby nazwać banitę przystojnym, choć blask obłędu, który często płonął w jego spojrzeniu, raczej nie sprzyjał takiej ocenie. Teraz jednak Fornal wyglądał prawie normalnie, a kiedy się odezwał, w jego głosie nie było słycać potępienia.

– Kiedy go widziałem, nie był czempionem – powiedział. – Tylko młodym rycerzem w służbie króla Mathisa, ale nawet wtedy, we wszystkich księstwach nie było chyba wojownika, który mógłby mu dorównać. To, że człowiek tak wielki poruszał się z taką szybkością wydawało się... nienaturalne. A rzeź, jaką potrafił urządzić, nawet jeśli chodziło o buntowników, niektórym mogła wydawać się grzeszna. Ale nie lubował się w masakrze tak, jak inni rycerze, ani nie brał udziału w okrucieństwach, jakie zadawali jeńcom. Kiedy układaliśmy ciała, klęczał z należyłą powagą, gdy ascendant wygłaszał modlitwy. Prawdziwy rycerz Przymierza i Korony.

Dobrze, że go lubisz, skwitowałem w duchu, wspominając rozmowę Deckina i Lorine. Być może wkrótce go spotkamy.

– A sir Althus Levalle? – drążyłem. – Słyszałeś kiedyś o nim?

Fornal gwałtownie zmrużył oczy, co stanowiło wyraźny znak, że się zagalopowałem. Ten człowiek mógł być szalony jak ospowata małpa, ale nie był głupi.

– Skąd ta ciekawość, poganinie? – zapytał, przesuwając się tak, by siedzieć przodem do mnie.

– Słyszałem, jak rozmawiali ci Kordwainczycy na drodze – odpowiedziałem starannie obojętnym tonem, wzruszając ramionami. – Mówili, że stoczyli niedawno jakąś bitwę.

Spojrzenie Fornala bynajmniej nie złagodniało, wpatrywał się we mnie pytająco, najwyraźniej doszedł do głosu jego instynkt do wykrywania cudzych występków. Kolejne pytania zmusiłyby mnie do bardziej skomplikowanych kłamstw. Choć byłem wprawiony w oszustwie, to z Fornalem rzadko mi się udawało. Uratował mnie słaby aromat dymu, który przywiał nam w nozdrza południowy wiatr. Fornal i ja mrugnęliśmy równocześnie i obaj natychmiast kucnęliśmy.

Po drugiej stronie niewielkiej polanki Baker i Twine również podnosili się na nogi, każdy nakładał na cięciwę wyciągniętą z kołczanu strzałę. Tylko głupiec rozpaliby ogień w tym rejonie lasu. Nadal znajdowaliśmy się głęboko na ziemiach, które uważano za należące do Króla Banitów, książęcy żołnierze i szeryfowie byli zbyt sprytni, by zdradzać swoją obecność w taki sposób.

Fornal podniósł rękę, aby nas zatrzymać i trwał tak przez chwilę w bezruchu i ciszy, z zamkniętymi oczami, ale z rozdętymi nozdrzami. W końcu uniósł powieki i ruchem brody wskazał północny zachód, gdzie drzewa rosły odrobinę rzadziej. Ruszyliśmy, ustawivszy się w typowej dla zwiadu formacji, ja za Fornalem, a łucznicy na flankach. Zapach się wzmógł, aż wreszcie mogłem dostrzec pasma dymu dryfujące wśród gałęzi powyżej, a potem usłyszeliśmy głosy. Były ciche i brzmiały dziwnie, słów nie sposób było rozpoznać, ale prowadziły nas lepiej niż latarnia statki.

Przeszliśmy kolejnych pięćdziesiąt kroków i głosy stały się wyraźne, nie miałem już wątpliwości, że mówią w nieznanym mi języku. Rzuciłem Fornalowi zdziwione spojrzenie, a on skrzywił się i odpowiedział wymawiając bezgłośnie:

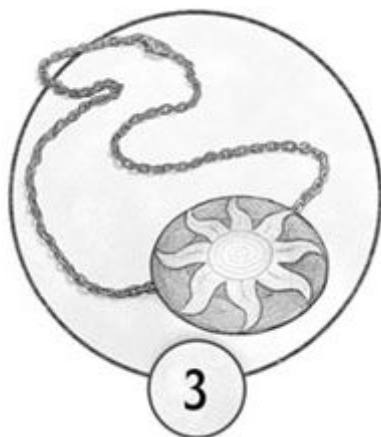
– Askarlijczycy.

Gwałtownym ruchem głowy wskazał szeroki pień wiekowego cisu, rosnącego kilka kroków dalej. Wspiąłem się za nim po poskręcanych konarach z łatwością, jaką dały mi lata praktyki. Gdy znaleźliśmy się na wysokości dwudziestu stóp ponad dnem lasu, zobaczyliśmy obóz. Źródło dymu stało się widoczne od razu – stos drewna, z którego unosiła się białoszara mgła. Przez baldachim

z liści i gałęzi nie do końca widać było ludzi, ale oceniłem, że kręciło się tam ich około tuzina. Dwoje rzucało się w oczy, bo ciągle wędrowali tam i z powrotem przez kłęby dymu. Wysokość ich głosów wskazywała na gorącą kłótnię, a słowa były mieszaniną miękkich samogłosek i ostrych wykrzykników.

– Masz pojęcie, o czym mówią? – szepnąłem do Fornala.

– Nie kalam się mową heretyków – mruknął, przyglądając się obozowi. – Ale to dzicy z północy, nie ma wątpliwości. – Spojrzał na mnie. – Znajdź Deckina. Powiedz mu, że w lesie są intruzi.



Zanim Deckin wkroczył do obozu intruzów, kazał go otoczyć. Poruszając się z cichą i wyćwiczoną szybkością, banda uformowała krąg, który odcinał wszystkie potencjalne drogi ucieczki. Askarlijczycy nie wystawili żadnych wart, które ostrzegłyby ludzi w obozie, co sprawiło, że zacząłem się zastanawiać nad beczelną ignorancją tych intruzów. Nie wiedzieli, gdzie się znajdują?

Kłótnia, trwająca podczas formowania naszej pułapki, ucichła nagle na widok zwalistej sylwetki Deckina wyłaniającej się spomiędzy drzew. Lorine szła po jego prawej stronie, Raith po lewej, a Todman, który lubił trzymać się w zasięgu wzroku Deckina, podążał za nim. Dołączyłem do pozostałych i ustawiliśmy się w szeregu na skraju małej polany, gdzie ci dziwni ludzie rozbili obóz. Naliczyłem dwunastu przybyszy, ośmiu mężczyzn i cztery kobiety. Podczas wypraw do miast portowych na wybrzeżu spotkałem kilku ludzi z Fiordowego Geldu, najbardziej na północ wysuniętego księstwa Albermaine, zabranego Askarlijczykom przez jednego z przodków króla Tomasa. Ci ludzie przypominali mieszkańców Geldu, byli o cal lub dwa wyżsi od mieszkańców księstw południowych, mieli bladą skórę, a włosy jasne lub jasnobrązowe. Ponadto wszyscy byli uzbrojeni i opancerzeni, choć słabo. U pasów nosili przytroczone topory i toporki, a skórzane zbroje ozdobione mieli żelaznymi płytami. Natychmiast zauważyłem, że skóry

rozdarłe były i poplamione, a twarze intruzów pokryte mieszaniną potu, brudu i krwi, charakterystyczną dla tych, którzy przeżyli brutalną konfrontację.

Tylko jeden nosił miecz. Najwyższy z całej grupy, miał masę lnianych włosów splecionych w warkocze, z których część się rozplątała, przez co przypominały stóg siana miotany wiatrem. Wyraz twarzy obcego był nie mniej dziki, wpatrywał się w Deckina szeroko otwartymi oczami, z lekko rozchyłonymi ustami. Nie dostrzegłem w tym obliczu strachu, raczej szaleńczy spazm ulgi. Życie banity szybko uczy oceniać, czy spotkanie będzie miało charakter polubowny, czy też zakończy się przemocą. Czytając w twarzy północnika nie miałem wątpliwości, w jakim kierunku to zmierza.

Po jego lewej stała dziewczyna o włosach jeszcze bardziej złotych niż te potarganego szermierza. Uznałem, że jest w moim wieku, choć brak jakichkolwiek blizn pod warstwą brudu na twarzy świadczył o tym, że jej życie było znacznie wygodniejsze. Była najslabiej uzbrojona z całej grupy, posiadała jedynie sztylet o długim ostrzu, nie nosiła też zbroi, choć jej odzienie zdawało się solidne. Przerażone spojrzenie, którym obrzuciła Deckina, a potem resztę bandy, odpowiedziało mi, że posiadała również umysł o wiele bardziej racjonalny niż jej sianowłosa towarzysz.

Deckin nic nie powiedział, zatrzymał się dziesięć kroków przed szermierzem i założył ramiona na piersi. Wydawało się, że leśne powietrze gęstnieje, gdy przybysz z północy wpatrywał się wielkimi, głodnymi oczami w tego imponującego banitę, tymczasem Deckin spoglądał na niego z wyczekiwaniem. W końcu szermierz przemówił, szybko, z ostrym akcentem, w swoim własnym języku, a słowom towarzyszyła spora ilość śliny. Przyjął postawę bojową na ugiętych kolanach i chwycił za rękojeść miecza. Dziewczyna również się odezwała, słowa pozostały niezrozumiałe, ale słaby i drżący tembr jej głosu pozwalał domyślać się w nich rozpaczliwego ostrzeżenia przerażonej duszy. Pozostali wymieniali niepewne spojrzenia i widziałem lśnienie potu na rękojeściach toporów, gdy chwyтали je nerwowymi dłońmi.

Deckin poruszył gęstą brodą i zmarszczył brwi, słysząc niezrozumiałą wypowiedź szermierza.

– Gerthe! – zawołał, zerkając przez ramię, by przywołać znawczynię języków. Gerthe była panną o wielu talentach, z których większość była kosztownej i cielesnej natury, ale Deckin najbardziej cenił jej niezwykłą znajomość języków. Nauczyła się swojego fachu w portach na wybrzeżu Shavine i potrafiła płynnie posługiwać się aż siedmioma różnymi językami, a dogadać się w pół tuzinie kolejnych.

– Askarlijczycy, jak sądzę? – spytał Deckin, gdy zjawiała się u jego boku.

Gerthe pokiwała twierdząco głową.

– Chyba z południowych geldów.

– I co mówią?

Na uśmiechniętej zwykle twarzy Gerthe pojawiła się niechęć. Spojrzała na Deckina, potem na jasnowłosego szermierza.

– To... nie było miłe, Deckinie.

– Po prostu mów.

Kaszlnąwszy, by pozbyć się z głosu wysokich tonów, Gerthe przetłumaczyła tak niefrasobliwie, jak było to możliwe.

– Co to za szumowiny się zbliżają? Przyszliście żebrać czy kraść? W obu przypadkach mam do zaoferowania tylko śmierć.

Deckin parsknął śmiechem, a reszta bandy poszła w jego ślady. Śmiech sprawił, że północnicy zbliżyli się do siebie, z wyjątkiem szermierza, który najwyraźniej uznał to za obrazę swojej godności. Wypluwając kolejne słowa, wyciągnął miecz i zaczął machać nim w stronę Deckina, a następnie dookoła siebie, jego zachrypnięty głos był niemal komiczny w swej surowości.

– Śmiejcie się, bezwartościowe śmiecie – relacjonowała Gerthe. – Śmiejcie się, bo ja, Skeinweld, Miecz Altvaru, pošlę was do grobu!

To, naturalnie, wywołało tylko więcej radości i kpin, rozwścieczając północnika tak, że jego twarz przybrała karmazynowy odcień. Nasze rozbawienie jednak minęło natychmiast, gdy Deckin podniósł rękę. Na jego twarzy odmalowało się to poważne skupienie, które wszyscy dobrze znaliśmy. Cokolwiek miało się stać, nie będzie zabawne.

– Powiedz temu durnemu łajdakowi, że jest w moim lesie bez pozwolenia – polecił Deckin, zerknąwszy na Gerthe. – Powiedz mu, że tytułem myta wezmę ten piękny miecz, którego najwyraźniej nie

potrafi używać. Po tym będzie miał bezpieczną drogę na wybrzeże, gdzie on i jego przyjaciele znajdą statek, którym będą mogli spłynąć do domu.

Była to niezwykle hojna oferta, Deckin rzadko bywał tak wyrozumiały dla intruzów. Jednak zdawało się, że Askarlijczyk ledwie słyszy słowa wypowiedane przez Gerthe. Kiedy skończyła mówić, jego rysy przemienił absurdalny zapał i jasnowłosa wskazał Deckina, a gdy ten odsunął się na kilka kroków, z ust obcego znów popłynęły potoki słów. Głos północnika był teraz łagodniejszy, a jego usta poruszały się szybciej.

– Więcej obelg? – zapytał Deckin Gerthe.

– Modlitwy – odparła ze ściągniętą twarzą, ona, Lorine i inni cofnęli się o kilka kroków. – Jego śmiertelna oda do Altvaru.

Przez twarz Deckina przemknął wtedy cień, zbyt krótki, bym mógł w pełni odczytać kryjące się za nim emocje. Z początku myślałem, że to może pogarda, ale teraz sądzę, że była to raczej mieszanina żalu i litości. Zniknął w jednej chwili, zastąpiony tym samym twardym skupieniem. Stojąc naprzeciw Askarlijczyka, Deckin uniósł ręce, wciąż puste, gdyż topór miał przypięty do pasa.

– No i co? – zapytał.

Jasnowłosa jeszcze przez chwilę szeptał swoje modlitwy, po czym chwycił miecz w obie ręce, ryknął wściekle i zaszarżował. Wszystko skończyło się w mgnieniu oka, tak jak się tego spodziewałem. Deckin właściwie ocenił przeciwnika; nawet ja mogłem stwierdzić, że ten Askarlijczyk nie jest prawdziwym szermierzem. Jego chwyt na rękojeści był zbyt mocny, a równowaga ciała słaba. Zaszarżował z ogromną prędkością, nie dając sobie szansy na unik, gdy Deckin uchylił się zwinnie, owinął obie ręce wokół szyi jasnowłosego i przygniótł go do ziemi. Stęknął z wysiłkiem i szarpnął, a ja usłyszałem głośny trzask pękającego kręgosłupa.

Deckin podniósł się z drgającego ciała i odwrócił, by spojrzeć na pozostałych północników. Kilku otwarcie płakało nad śmiercią swojego rodaka, ale większość była zbyt porażona przerażeniem, by choćby drgnąć. Wyjątek stanowiła złotowłosa dziewczyna, przyglądała się śmierci szermierza z twarzą, która zdradzała jedynie zmęczenie. Kiedy jasnowłosa legł nieruchomo, wyciągnęła z za pasa

długi sztylet i rzuciła go na ziemię. Spojrzawszy na swoich towarzyszy, łagodnie wypowiedziała słowo po askarlijsku, a oni szybko poszli w jej ślady, topory i łuki padały tworząc stertę u stóp Deckina.

– Myślę, że na dziś przeszliśmy dość mil – oznajmił, wyjmując miecz z wiotkiej dłoni martwego północnika. Oręż różnił się od mieczy spotykanych w księstwach Albermaine, ostrze było szersze, a rękojeść krótsza, wykonana tak, by pasowała do chwytu jedną ręką.

– Gerthe, zapytaj naszych gości, czy zechcieliby dołączyć do nas na kolacji. Rano mogą zabrać swoją broń i ruszyć w drogę, ich myto zostało zapłacone krwią – zawiesił głos, by obejrzeć krawędź ostrza, na którym ślizgał się promień słońca i chrząknął z uznaniem, po czym dodał z lekkim uśmiechem: – i stałą.



W trakcie kolacji Deckin kazał mi dołączyć do siebie. Raith, Lorine i Gerthe również byli obecni, podobnie jak północna dziewczyna. Zobaczyłem Todmana, przechadzającego się po drugiej stronie ogniska, którego blask oświetlał surową, pełną urazy minę. W odpowiedzi uniosłem ku niemu kubek piwa i uśmiechnąłem się ciepło. Zyskałem oczekiwaną nagrodę, zmarszczenie brwi zmieniło się we wściekły grymas i Todman odszedł w mrok. Zauważyłem też poruszającą się wśród drzew mniejszą postać, której głodne oczy łąpały blask ogniska. Podczas gdy nienawistne spojrzenie Todmana spoczywało na mnie, Erchel skupiał się całkowicie na naszym złotowłosym gościu.

Jedząc, Deckin zadawał dziewczynie liczne pytania. Zachowywał się jak sympatyczny gospodarz wobec mile widzianego gościa, ale dziewczyna była najwyraźniej zbyt mądra, by nie dostrzec prawdy i nie zrozumieć swego położenia. Przez większą część posiłku patrzyła przed siebie, rzadko odrywając oczy od ognia i tylko po to, by rzucić zmartwione spojrzenie na swoich gospodarzy. Pozostali mieszkańcy północy byli skupieni przy sąsiednim ognisku,

umieszczonym w samym sercu obozu, co sprawiało, że wszelkie próby ucieczki były bezcelowe i niebezpieczne.

– Berrine – przedstawiła się dziewczyna, gdy Gerthe przetłumaczyła prośbę Deckina. Askarlijka odpowiadała krótko i bez emocji, czy to z obawy przed obrażeniem gospodarzy, czy też by nie zdradzić zbyt wiele na swój temat.

– Berrine – powtórzył Deckin. – Imię o przyjemnym brzmieniu. Co oznacza?

– Córnka Morza – wyjaśniła Gerthe. – Askarlijczycy lubią nawiązywać do morza. Chyba wszystkie ich pieśni i opowieści w jakiś sposób o nim wspominają...

– Tylko jej słowa, dziękuję, Gerthe – wtrąciła Lorine. Uśmiechnęła się życzliwie, gdy Gerthe zamilkła. – Myślę, że wszyscy chcielibyśmy poznać bardzo interesującą opowieść o tym, jak ona i jej przyjaciele znaleźli się tutaj.

Widziałem, jak usta Askarlijki zacisnęły się lekko, to był tylko ułamek ruchu, całkowicie przegapiony przez pozostałych, ale mnie powiedział coś wyjątkowo istotnego. Obserwowałem ją uważnie, gdy słuchała, jak Gerthe relacjonuje prośbę Lorine. Odpowiedź dziewczyny była tak samo lakoniczna jak poprzednie. Wyczułem jednak ukrytą gorycz w jej słowach, którą w późniejszym życiu nauczyłem się określać jako młodzieńczy idealizm skonfrontowany z doświadczeniem.

– Pochodzi z Geldu Aldvir, najbardziej południowej z prowincji, gdzie władają Siostry Królowe Askarlii – tłumaczyła Gerthe. – Ona i pozostali należą do czegoś, co nazywa się Skardryken. – Gerthe zmarszczyła brwi w zakłopotaniu przy następnych kilku zdaniach. – Nie jestem pewna co to dokładnie jest, ale skard oznacza topór, a ryke to coś w rodzaju suplikanta lub kapłana.

Gdy Berrine usłyszała to tłumaczenie, jej usta na ułamek chwili wygięły się w pogardliwy łuk, co zaraz z powodzeniem ukryła. A ja po raz kolejny zostawiłem dla siebie to, co mi ów grymas powiedział.

– Fanatycy – podsumował Deckin. – Wojownicy zaprzysiężeni Altvarowi, askarlijskim bogom.

– Tak sądzę – przyznała Gerthe i zmieszanie widoczne na jej twarzy ustępowało powoli, w miarę jak Berrine mówiła dalej. –

Miesiące temu zza morza przybył człowiek, posłaniec tego, który nazywał siebie Prawdziwym Królem Południowych Krain.

– Pretendent – domyśliła się Lorine. – Więc szukał sojuszu z Siostrzanymi Królowymi.

– Mówi, że królowe nie chciały go przyjąć – podjęła Gerthe chwilę później. – Ale pozwolono mu mówić do każdego, kto chciał słuchać. Obiecał wielkie rzeczy wojownikom o mocnym sercu, którzy przyjdą i będą walczyć ze znieawidzonymi południowcami. I nie tylko złoto, ale także ziemię w Fiordowym Geldzie, który zostanie zwrócony Siostrzanym Królowym, gdy Pretendent zdobędzie tron.

Deckin prychnął drwiąco.

– Ona i wszystkie te pozostałe młokosy uwierzyły w to łajno, prawda?

– Podobno odzyskanie Fiordowego Geldu to święte zadanie powierzone Skard-rykenom. To właśnie o to walczyli. Nie interesowało ich złoto.

– A szkoda – stwierdził Deckin, obdarzając Berrine współczującym uśmiechem. – Bo będzie im potrzebne, jeśli zamierzają kupić przejście do domu. Niech opowie mi o bitwie. Jak dotkliwą porażkę poniósł Pretendent?

Twarz Askarlijki pociemniała, w odpowiedzi na to pytanie dźwięczał wyraźnie gniew.

– Ona mówi, że stracił może najwyżej dwa tuziny ludzi, z własnej armii – tłumaczyła Gerthe. – Według niej Pretendent dowiedział się o nadciągającej Kompanii Koronnej i zwinął obóz, zanim zdążyli zaatakować. Askarlijczycy powstrzymali królewskich, podczas gdy większość armii Pretendenta uciekła. Ocalała tylko ona i ci inni. Od wielu dni uciekają przed żołnierzami króla.

Widziałem, jak Deckin rzucił Lorine wymowne spojrzenie, po czym zwrócił się ponownie do mieszkanki północy.

– Nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony. Jeśli ten głupiec z mieczem był w tym względzie jakąś wskazówką, to ci Skard-rykeni nie potrafią godnie walczyć z pokrytym muchami gównem. I nie mów jej tego – dodał ze znużeniem, gdy Gerthe zaczęła tłumaczyć jego słowa.

Deckin przeniósł spojrzenie z dziewczyny na mnie i pytająco uniósł brew.

– Zatem, Alwynie, czy ten fanatyczny wyznawca fałszywych bogów kłamie, czy nie?

Byłem pod wrażeniem tego, jak Berrine zdołała znieść ciężar mojego spojrzenia, utrzymując przy tym ściągnięte w zmieszaniu brwi. Niewątpliwie przekonało to pozostałych, iż nie miała pojęcia, że moje następne słowa mogą oznaczać jej śmierć. W ostatnich miesiącach Deckin coraz częściej korzystał z mojej zdolności wykrywania nieprawdy, daru wynikającego z tego, co sam określał jako zbyt bystre oczy i umysł zbyt zajęty myśleniem. Nie było w tym nic skomplikowanego, po prostu instynktowna zdolność do dostrzegania fałszu w połączeniu głosu i wyrazu twarzy. Nie zawsze miałem rację, co miało niefortunne konsekwencje dla nieprzekonująco prawdomównych. Ale częściej miałem rację, niż się myliłem, przynajmniej taką mam nadzieję.

Prawdopodobnie podniosłoby to nieco moją pozycję, gdybym podzielił się wszystkim tym, co widziałem na twarzy Berrine, ale nie zrobiłem tego. Zamiast tego zwróciłem się do Deckina i potrząsnąłem głową.

– Jeśli kłamie, to jest w tym bardzo dobra.

Spojrzenie Deckina przeniosło się na Raitha. Kaeryta nie patrzył na dziewczynę, ani nie zdradzał szczególnego zainteresowania tym, co mówiła, zamiast tego wpatrywał się w ogień, i czubkami palców dotykał jednego z amuletów na swoim naszyjniku: czaszki wrony pokrytej jakimś drobnym pismem. Podniósł oczy i nieznacznie skinął Deckinowi głową, po czym wznowił kontemplację ognia. Widziałem, jak podczas tej milczącej wymiany zdań Lorine poruszyła się z niezadowoleniem. Już wcześniej zauważyłem, że owo rzadkie, ale oczywiste zasięganie opinii Raitha, nie spotykało się z jej aprobatą. Trzymać z banitami to jedno, ale trzymać z heretykiem oznaczałoby potępienie ze strony Przymierza i prawa, a to potępienie było niebezpieczne nawet dla Króla Wyrzutków.

– Podziękuj jej za szczerość – polecił Deckin Gerthe, odprawiając obie kobiety skinieniem głowy. – Gdy wstanie dzień, ona i jej towarzysze będą wolni i mogą odejść, jak powiedziałem.

Podaj jej nazwiska kapitanów statków przemytniczych, którzy zgodzą się zawieźć ich do domu, ale uprzedź, że cena będzie wysoka.

Gerthe miała już zabrać Berrine od ogniska, ale zatrzymało ją rozkazujące chrząknięcie Deckina.

– Powinna dostać za to przyzwoitą cenę – powiedział, podnosząc miecz, który zabrał zabitemu Askarlijczykowi. – Rekompensata za jej uczciwość. Poza tym, nigdy nie miałem wiele pożytku z miecza. – Schował broń do pochwy i rzucił zaskoczony Berrine, która złapała oręż i prawie go upuściła, zanim zdołała przycisnąć do piersi.

Deckin zamilkł, gdy Gerthe i Berrine odeszły, najwyraźniej nieświadome wagi spojrzenia Lorine. Zaryzykowałem i przyjrzałem jej się dokładniej, dostrzegłem na pięknej twarzy Lorine zmartwienie zmieszane z oczekiwaniem, emocje, których postanowiła nie ukrywać. Było dla mnie jasne, że właśnie wydarzyło się coś ważnego. Opowieść Berrine potwierdziła przypuszczenia Deckina, że Wojna Pretendenta jeszcze się nie skończyła, co oznaczało, że kurs, który nam wyznaczył, nie zostanie zmieniony. A to z pewnością nie podobało się Lorine, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości.

– Skoro Pretendent jest na wolności – powiedziała, gdy milczenie Deckina się przeciągało – okolice Ambraside pełne będą patroli.

– Na pewno będą tam się kręcić żołnierze – przyznał Deckin, wyraźnie skupiony na czymś innym. – Ale przypuszczam, że większość konnych Althusa wyruszyła w pogoń za Pretendentem, gdziekolwiek ten się udał. A Althus nie opuści miasta przed egzekucją księcia. Nie martw się, kochana. – W jego głosie zadźwięczały ostrzejsze nuty, a wzrok był wymowną instrukcją dla Lorine. – Przykaż wszystkim, aby dobrze wypoczęli. – Deckin podniósł się i szybkim spojrzeniem ogarnął ogniska. – Będziemy jutro utrzymywać szybkie tempo, zmierzamy do zamku Ambris, jeśli jeszcze się nie domyśliliście.

Odwróciwszy się, odszedł w mrok. I, co było istotne, Lorine nie poszła za nim. Zamiast tego skierowała twarde, oskarżycielskie spojrzenie na Raitha.

– Jeśli te twoje bibeloty są takie potężne, jakim sposobem nie ostrzegły go przed tą ścieżką?

Kaeryta nadal poświęcał całą swoją uwagę tańczącym płomieniom i wciąż trzymał w palcach czaszkę wrony.

– Niektórymi ścieżkami trzeba podążyć – odpowiedział, a w jego melodyjnym głosie brzmiało tak wyraźne rozmarzenie, że zacząłem się zastanawiać, czy nie wypalił już swojej fajki. – Bez względu na wszystkie ostrzeżenia.

Wargi Lorine wykrzywiły się w pogardliwym grymasie.

– Swego czasu znałam takich, jak ty – prychnęła. – Handlarze amuletów i tkacze uroków biorący pieniądze od uczciwych ludzi za opowiadanie im kłamstw, które tamci chcą usłyszeć. To wszystko jest gównem warte.

– Nie biorę zapłaty innej niż moja część łupów – odpowiedział Raith, tonem wciąż spokojnym, choć w końcu zdecydował się odwzajemnić jej spojrzenie. – A gdzie, powiedz proszę, masz tu uczciwych ludzi?

Lorine zgarnęła płaszcz i wstała od ognia, na jej twarzy malowała się wyraźna niechęć.

– Pierdol się, ty heretycki draniu – powiedziała do Kaeryty, po czym spojrzała na mnie. – Słyszałeś Deckina. Idź spać.

Patrzyłem, jak odchodzi w noc, kierując się w przeciwnym kierunku niż Deckin. Niezgoda między nimi była tak rzadka, że ten widok wprawił mnie w zakłopotanie i niepokój.

– Ścieżki do przebycia, losy do wypełnienia.

Odwrociłem się z powrotem do Raitha i zobaczyłem, że powrócił do kontemplacji ognia. Jednak zamiast kruczej czaszki, trzymał teraz w pięści cały naszyjnik. Na jego twarzy malował się ten sam niezmacony spokój, ale spomiędzy potężnych palców wypływała strużka krwi, a zamknięta pięść drżała. Widok ten był fascynujący, ale też zbyt odpychający, bym mógł patrzeć dłużej. Odstąpiłem od ogniska, wślizgnąłem w cień, stwierdziwszy, że lepiej się nie żegnać.



Berrine patrzyła na mnie z nieukrywaną podejrzliwością, gdy położyłem się, wybierając zagłębienie w pniu starego dębu, zaledwie kilka stóp od miejsca, w którym kulili się Askarlijczycy.

– Piękna i sucha noc – rzuciłem, rozwijając zszyte, wypełnione futrem koce, które tworzyły moje posłanie. – Jest za co dziękować opatrności.

Nie odpowiedziała, przyglądając się z niezmiennym wyrazem twarzy, jak się układam. Jej towarzysze spali, zapewne z powodu zwykłego wyczerpania, niektórzy chrapali, co było nietypowe dla naszego towarzystwa. Banici, którzy chrapią, rzadko wytrzymują długo w lesie, a instynkt przetrwania zwykle zmusza ciało do zachowania ciszy nawet we śnie.

Oparty plecami o dąb, zabawiałem się, podrzucając kamień. Zebrałem go z ziemi, odchodząc od ogniska i Raitha; niewielki płaski kamyk o odpowiednio ostrych krawędziach. Berrine śledziła wznoszenie się i opadanie kamienia spod zmrużonych powiek. Nadal siedziała z rękojeścią miecza opartą o ramię i rękoma wokół pochwy. Musiała być zmęczona, a jednak jej spojrzenie pozostawało skupione, a głowa nie opadała. Podejrzewałem, że gdyby zasnęła, to by nie chrapała.

Zaprzestałem przerzucania kamienia, gdy płonące drewno zmieniło się w dymiące żarem węgle. Wkrótce las podjął swą nocną pieśń złożoną ze skrzywienia gałęzi i szelestu liści urozmaicanych od czasu do czasu skrzekiem i szuraniem niewidzialnych stworzeń. Potrzeba było doświadczonego ucha, aby wychwycić dźwięki, które nie pasowały do tej pieśni, słabe skrobanie o ziemię i przytłumiony trzask pękających łodyg paproci. Na szczęście moje ucho było bardzo doświadczone.

Poczekalem, aż kilka kroków po mojej prawej stronie zakołysało się niedorosłe drzewko. Ruch był nieznaczny, za to pod wiatr. Cisnąłem kamień i usłyszałem, jak uderza o ciało. Rozległ się krótki jęk, stłumiony szybko potokiem przekleństw.

– Spieprzaj, Erchel – poleciłem cicho i twardo. Wyciągnąłem nóż, wiedząc, że zobaczy blask ostrza nawet w tak słabym świetle księżyca.

Był to najbardziej niebezpieczny moment, chwila przerwy, w której pragnienia Erchela walczyły w nim o lepsze z instynktem

przetrwania. Mógł dobyć ostrza i rzucić się na mnie, ale wynikłe z tego zamieszanie niewątpliwie obudziłyby cały obóz, nie wspominając już o gniewie Deckina. Nadto, gdyby doszło do pojedynku na noże, nie wiadomo który z nas by wygrał. Stłumiony jęk będący na poły wyrazem wściekłości powiedział mi że, dziś przynajmniej, w Erchelu zwyciężył rozsądek. Chwilę później dostrzegłem między drzewami jego żylastą sylwetkę. Zastanawiałem się czy ta jego niechęć do chowania urazy dojdzie do głosu i rano, zważywszy nagrodę, jakiej go pozbawiłem. Dla Erchela splugawienie panny jak Berrine było zajęciem ze wszech miar ulubionym, aczkolwiek nie sądziłem, by ona okazała się łatwą ofiarą.

– Nie wróci – zapewniłem ją.

Na twarzy Berrine, oświetlonej częściowo promieniami księżyca, którym udało się przedrzeć przez baldachim gałęzi, malował się teraz lęk. Kiedy nie odpowiedziała, ułożyłem się na mym posłaniu i przykryłem kocem. Wiedziałem, że sen nadejdzie szybko, mimo ekscytujących przeżyć, jakie przyniósł dzień, banici szybko uczą się spać, gdy mogą.

Pierwsze macki snu poczęły pełznąć przez mój umysł, gdy Berrine się odezwała, szepcząc doskonałym, choć akcentowanym ciężko abermańskim.

– Czego chciał?

Westchnąwszy usiadłem i odkryłem, że przesunęła się o cal bliżej, wciąż mocno trzymając miecz.

– A jak sądzisz, czego chciał? – odpowiedziałem pytaniem. Przebiegła spojrzeniem przez okoliczne cienie, a dreszcz, jaki zdławiła, powiedział mi, że do niej sen jeszcze długo nie przyjdzie.

– Moje podziękowania – szepnęła. – Jeśli oczekujesz jednak zapłaty... – Zamilkła, słysząc mój cichy śmiech, a lęk widoczny na jej twarzy zdmuchnął moje rozbawienie.

– W ramach odpłaty chętnie przyjmę więcej informacji – odparłem. – Jeśli zechcesz mi ich udzielić. Mówisz po abermańsku lepiej niż po askarlijsku, a akcent masz z Fjordowego Geldu. Nie jesteś tak naprawdę jedną z nich?

– W moich żyłach płynie askarlijska krew – zasyczała z żarliwym naciskiem. – Jak w żyłach każdego prawdziwego Fjordanina, niezależnie od tego, którym południowym królom

musieliśmy się kłaniać. – Jej głos załamał się na sekundę, a kiedy odezwała się znowu, mówiła z wyćwiczonym rytmem, jak gdyby recytowała święte zwoje. – Są tacy, którzy postępują wedle dawnych praw, z czasów zanim nasz Geld został skradziony, z czasów zanim nasza słabość pohańbiła nas w oczach Altvaru, a nasza krew została splugawiona przez zwyczaje południowców i ich występłą wiarę.

Zauważyłem, że w miarę jak mówiła, jej dłonie zaciskały się na mieczu. Jakby chciała czerpać przekonanie ze stali ukrytej w pochwie. Zrozumiałem wtedy, że jej dusza poślubiona była wierze, tak jak dusza Fornala, aczkolwiek chwilowo wstrząśnięta ostatnimi wydarzeniami.

– Twój przyjaciel – zacząłem, ruchem głowy wskazując miecz – ten, który nim władał. Chciał umrzeć, prawda?

Opuściła głowę i usłyszałem, jak głośno przełyka smutek.

– Skeinweld – mruknęła. – Miał serce prawdziwego askarlijskiego wojownika. Ale umiejętności handlarza wełną. Tym zajmował się jego ojciec, na wybrzeżach Geldu Aldvir, gdzie sprawy układają się lepiej niż gdziekolwiek w Askarlii. A jednak tam właśnie narodzili się skard-rykeni, między młodymi, lecz prawdziwymi synami i córkami Askarlii. To właśnie do Geldu Aldvir uciekłam, gdy nie mogłam już znieść pobłażliwości mojej rodziny dla waszej wiary czczącej śmierć. I tam poznałam Skeinwelda, a także moje prawdziwe powołanie wśród skard-rykenów. Tam usłyszeliśmy słowa emisariusza Prawdziwego Króla.

Zamilkła i westchnęła z goryczą.

– Sądziliśmy, że nadszedł nasz czas. Że staniemy do walki w tej wojnie i wywalczymy wolność dla Geldu. Ale wojna nie jest wcale taka, jak przedstawiają ją sagi. Wojna to ciężkie życie w niedostatku między pomiotem o najgorszych nawykach. Wojna to oszustwo i morderstwo.

Nie ponaglałem jej, gotów wysłuchać, gdyby miała coś więcej do powiedzenia. Są sprawy, z których ludzie nie zwierzyliby się przyjacielom lub rodzinie, a odkrywają je przed obcymi, albowiem opinia obcego nigdy nie ma znaczenia.

– To – rzekła Berrine, gładząc dłonią pochwę miecza – był miecz dziada Skeinwelda, którym władał on w wielkiej wojnie przeciwko południowej armii. Skonał z tym mieczem w dłoni,

zdobywając zarazem zasłużone miejsce pomiędzy potężnymi w Wiecznym Dworze. Skeinweld chciał pójść w ślady poprzedniego właściciela miecza, być wojownikiem, jak ten, o którym słyszał tak wiele. Jednak, gdy zaczęła się bitwa...

Cienie zagrały na jej twarzy, gdy opuściła głowę. Tym razem wiedziałem, że powinienem się odezwać.

– Uciekł – powiedziałem.

– Wszyscy uciekaliśmy. – Podniosła głowę i zaśmiała się ponuro, a oczy miała błyszczące i mokre. – Wszyscy my, potomkowie Altvaru, skard-rykeni. Uciekaliśmy.

– Zatem to wstyd go do tego popchnął.

Kiedy się znów odezwała, usłyszałem w jej głosie strach i zdumienie, jak u kogoś, kto wspomina przerażający koszmar.

– Myślę, że to widok tego potwora, przeciwko któremu nas posłali, olbrzymia zakutego w stal, który rozniósł ludzi Prawdziwego Króla jak wiatr roznosi żdźbła słomy po ściernisku. Na jego hełmie czerwienił się płomień i zdawał się palić, gdy olbrzym walczył. Widziałam, jak mocniejsi, o odważniejszych sercach uciekali przed gniewem potwora. Dlaczego zatem my nie mieliśmy uciec? Kiedy już byliśmy głęboko w lesie, kiedy ucichł nasz lęk, wtedy przyszedł wstyd. Skeinweld krzyczał na nas z gniewem, na mnie, winił nas za to, że zakazaliśmy go naszym tchórzostwem. Po prawdzie, on pierwszy rzucił się do ucieczki i dobrze o tym wiedział. Gdybyście się nie zjawili, znalazłby sposób, by ze sobą skończyć, jeśli nie ostrzem to liną.

– Nigdy nie wiesz, kim ktoś jest, póki nie złączą szczekać ostrza – mruknąłem. Była to jedna z mądrości Deckina, którą podzielił się ze mną w czasie mych pierwszych dni z banitami. Dwóch ludzi z jego bandy postanowiło rozsądzić swój spór przy użyciu noży. Jeden odniósł cięcie w ramię i uciekł do lasu. Wrócił wieczorem, skrywając wstyd za wymuszoną wesołością i zgodą na rozsądzenie sporu. Deckin powitał go serdecznym uściskiem, a potem strzaskał mu czaszkę jednym uderzeniem swego pokrzywionego topora.

– Wszyscy ludzie są tchórzami pod takim czy innym względem – rzekł mi wtedy, gdy patrzyłem, jak odciągają zwłoki tamtego. – Ale na nic mi człowiek, który ucieka otrzymawszy tylko

jedno cięcie. Dwa, mówią, że jesteś sprytny, a trzy, że uparty. – Przykucnął i zostawił skrwawiony odcisk palca na czubku mojego nosa. – Pamiętaj o tym, młody Alwynie.

– Nie jestem wojowniczką – przyznała Berrine, rozwiewając moje wspomnienie. Opuściła wzrok, by spojrzeć mi w oczy i otarła łzy zniecierpliwioną dłonią. – Teraz już to wiem. Zostałam osłabiona południowymi zwyczajami, uczyniona miękka przez wasze tradycje. Teraz muszę znaleźć inny sposób, by służyć Altvarowi. Siostrzane Królowe przywrócą bogów Fiordowemu Geldowi, przegnąją splugawienie waszego Przymierza. Tak zostało przepowiedziane.

Jej oczy zapłonęły nagłym, gorączkowym oddaniem. Co sprawiło, że stęknąłem z pogardą. Polubiłem ją za jej uczciwość. Ale to zawzięte przywiązanie do jej bogów przywołało żałosne porównanie. Była drugim Fornalem, po prostu cytowała inne pisma.

– Prawdziwa wyznawczyni, co? – westchnąłem i ułożyłem się ponownie na posłaniu. – I proszę, powiedz mi, kto to przepowiedział? Jakiś oblepiony brudem pustelnik, który spędził lata, głodując w jaskini, aby przyzwać tę wizję? Bo to zazwyczaj tak jest.

– A okręty Altvaru przetoczą się po morzach, by przynieść ogień niewiernym. To, co ukradzione zostanie odzyskane. To, co pomordowane zostanie pomszczone. – Podniosła głowę triumfalnym ruchem. – Tako rzecze Altvar-Rendi, najświętsze ze wszystkich pism.

– Stare słowa, na starym papierze. – Ziewnąłem i zamknąłem oczy. – Nie powstrzymały cię przed ucieczką z pola walki. Nie powstrzymają i następnym razem.

Gdy już osuwałem się w sen, odezwała się ponownie, jej słowa były głuche, wypowiedziane po askarlijsku, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu moja pamięć zachowała je aż po dziś dzień. Minione lata pozwoliły osiągnąć mi mistrzostwo w posługiwaniu się kilkoma językami, w tym askarlijskim, wiem zatem, że słowa, które wtedy powiedziała, były cytatem z Altvar-Rendi, zbioru mitów i legend, które formują podstawy askarlijskiej wiary.

– I przemówił Ulthnir, Ojciec Altvaru: każda bitwa jest jako kuźnia, a każda dusza, która przetrwa jej płomienie, staje się silniejsza.

Doświadczenia mego długiego i interesującego życia, skłaniają mnie dziś do konkluzji, że Ulthnir, jak wielu bogów przed nim, pieprzył głupoty.



Kiedy się obudziłem, Berrine i jej przyjaciele już odeszli. Deckin jak zawsze dotrzymał słowa – pozwolił im o świcie wyruszyć w kierunku wybrzeża, a nawet obdarzył kilkoma workami ziarna, żeby mieli co jeść w trakcie podróży. Oczywiście Fornal potępiał wszelką pomoc udzielaną heretykom z północy i gdy podjęliśmy marsz, musiałem wysłuchiwać jego tyrad na ten temat.

– Ci, którzy zamykają serca na przykład Męczenników i łaskę Serafilów będą cierpieć za swe występki w tym życiu i następnym – zapowiedział mi, gdy zatrzymaliśmy się, aby odpocząć. – Albowiem ich grzechy zbliżają nas do początków Drugiej Zatrady.

Dotarliśmy do górnych rubieży Kniei Shavine, gdzie drzewa rosły rzadziej i tworzyły rozległe polany, których najlepiej było unikać. Zatrzymaliśmy się na skraju jednej z nich, gdzie pośrodku rósł samotny szkarłatnik. Nawet późną jesienią stanowił widok nader miły dla oka, nie żeby Fornal cokolwiek zauważył.

– Lekcja, którą powinieneś sobie przyswoić, młody niewdzięczniku. – W ciągu ostatnich dni, gdy Fornal zwracał się bezpośrednio do mnie, „niewdzięcznik” stopniowo zastępował „poganina”. Doszedłem do wniosku, że działo się tak w wyniku mego nieustannego oporu wobec lekcji, których udzielał mi ten samozwańczy nauczyciel spraw duchowych. Nie znosiłem tego, ponieważ nie prosiłem o edukację.

– Pozwól, aby ta nauka dotarła do twojej duszy – mówił dalej. – Podążaj za przykładem Męczenników i poznaj życie pełne pokoju i spełnienia.

– Oni nie poznali – odburknąłem. Nauczyłem się już, że kiedy Fornal zaczynał prawić kazania, najlepiej jest trzymać język za zębami, w przeciwnym wypadku zawsze kończyło się to na wielogodzinnych, nużących sporach. Ale czasami ślepotą Fornala na wygłaszane przez niego absurdalności niszczyła moją powściągliwość.

– Co?! – zapytał ostrym tonem, a ręka niosąca ciastko do ust znieruchomiła w pół drogi.

– Męczennicy – odpowiedziałem. – Już sam tytuł mówi wszystko. Umarli, wszyscy. Setki, może tysiące tych nieszczęsnych łapserdaków zostało skazanych na śmierć z powodu słów zapisanych tysiące lat temu. I z tego co wiem, ich śmierć nie była łatwa i szybka. Jeśli to jest przykład, za którym mam podążać, dziękuję za troskę, ale myślę, że wolę pozostać poganinem.

– Krew Męczenników – zazgrzytał Fornal – zmywa grzechy ludzkości, dzięki czemu Boskie Portale Wiecznego Królestwa pozostają otwarte i płynie stamtąd nieprzerwanie łaska Serafilów. Jeśli jej kiedyś zbraknie, powstaną Malecytowie...

– ...a Serafilowie będą zmuszeni ponownie spuścić na świat Zatrąbę, aby oczyścić go z zepsucia – zakończyłem, lekceważąco przewracając oczami. – Trochę to dziwne, nie sądzisz? Wszystkie te niezliczone uskrzydłone magiczne istoty żyjące w raju na niebie, którego nikt z nas nie może zobaczyć, gotowe zniszczyć świat, aby udowodnić, jak bardzo nas kochają. Przypomina mi to pewnego mężczyznę, którego kiedyś znałem, ten mężczyzna szczególnie upodobał sobie jedną dziwkę. Kochał ją tak bardzo, że zwykł płacić rajfurovi, żeby raz w tygodniu obił ją do krwi, tak aby żaden inny klient na nią nie spojrział.

– Nie porównuj bezgranicznej miłości Serafilów z jakimś wiarołomnym nikczemnikiem! – skarcił mnie Fornal nierozsądnie głośno i jednocześnie pochylił się gwałtownie, żeby złapać mnie za ramię, gubiąc przy tym swoje ciastko.

– Lepiej się uspokój – poradziłem, spoglądając w jego szeroko otwarte oczy, płonące ogniem wiary. Nóż zdążyłem wyjąć wcześniej i teraz przyłożyłem ostrze do ręki Fornala zaciśniętej na moim

rękawie. Nie miałbym oporów przed podcięciem mu żyły lub dwóch, Fornal zapewne by to zrozumiał, gdybym nie podsycił jego „słusznego” gniewu do nieuzasadnionego wrzenia. Jego dłoń jeszcze mocniej zacisnęła się na moim ramieniu, a moja na nożu, wszystko zmierzało ku brutalnej kulminacji, gdy nagle dłoń Deckina spoczęła na barku Fornala.

Deckin się nie odezwał, jego gest też nie był szczególnie mocny, ale to wystarczyło, by skłonić Fornala do rozluźnienia uścisku. Myśliwy cofnął się, z twarzą pobladałą z gniewu i rozdętymi nozdrzami. Gwałtownie nabrał w płuca chłodnego powietrza, by ostudzić swój gniew.

– Skończyłem z tym niewdzięcznikiem – oznajmił. Pamiętał o ostrożności na tyle, by nie podnieść głosu i nie dopuścić, aby zabrzmiały w nim nuty sprzeciwu, ale jego ton był nader stanowczy. – Jego nikczemne maniery i plugawe herezje zbyt mocno plamią moją duszę.

Wzrok Deckina spoczął na mnie i mimowolnie cofnąłem się o krok, zanim udało mi się nad sobą zapanować i stanąć nieruchomo. Deckin nie był zadowolony, a to nigdy nie wróżyło niczego dobrego, niemniej próba ucieczki w tej chwili oznaczałaby dotkliwszą karę. Stałem więc, gotowy na cios. Jeśli Deckin będzie łaskawy, może skończy się na policzku. Jeśli nie, obudzę się godzinę lub dwie później ze spektakularnym siniakiem na szczęce i być może obluźowanym zębem.

Jednakże, ku mojemu zdumieniu Deckin tylko pokręcił głową.

– Weź Erchela i idź do Lorine. Nadszedł czas na nowe przebranie. I lepiej naucz się dobrze roli, zanim dotrzemy do zamku Ambris.



– Wciąż zbyt schludnie – zdecydowała Lorine, zacisnęła usta i obrzuciła nas obu taksującym spojrzeniem. Migając nożyczkami, poprzecinała szwy i zrobiła otwory w wełnianej kamizeli i miękkich skórzanych portkach, które miałem na sobie. Wcześniej kazała mi

tarzać się w ziemi i paprociach, by ubrudzić odzienie, po czym hojnie użyła wina i piwa, tworząc przekonujący wzór plam. Nie pracowała tak nad strojem Erchela, ponieważ nie trzeba było wiele, by wyglądał na ubożego, tępego głupka.

– Dlaczego zostałeś wyrzucony ze swojej wioski? – zapytała mnie, chowając nożyczki.

– Upiłem się i wychędożyłem córkę jednego chłopca. Była zaręczona z synem kowala, więc musiałem uciekać albo stanąć pod pręgierzem obok niej.

– A prawdziwy powód?

Jedna z najcenniejszych lekcji oszustwa, jakich udzieliła mi Lorine, polegała na tym, aby przygotować kolejne warstwy kłamstw, wokół jakiegoś zawstydzającego albo grożącego karą sekretu, którego wyznanie stworzy więź zaufania.

– Uderzyłem suplikanta, bo macał moje jaja? – zasugerowałem po chwili zastanowienia.

– Tak, to się sprawdzi – stwierdziła, kiwając głową z zadowoleniem. – Ale mów może o laniu, a nie jednym ciosie. Żołnierze lubią krwawe opowieści. – Uniosła brew, spoglądając na Erchela, a gdy zaczął przedstawiać swoje kłamstwa, zamknęła mu usta podniesieniem ręki. Mimo całej swojej przebiegłości, Erchel był kiepskim kłamcą, a jego opowieści były albo absurdalnie zawiłe, albo makabrycznie odrażające.

– Jesteś półgłówkiem, który ukradł świnie – powiedziała. – Miej oczy szeroko otwarte, usta rozchylone i pozwól, żeby Alwyn mówił. Spotkaliście się na drodze. Słyszeliście, że w Ambriside może się znaleźć dla was jakieś zajęcie, a przynajmniej darmowe piwo na okoliczność procesu księcia. Gdzie znajdziesz żołnierzy najbardziej skłonnych do rozmowy?

– Najtańsza piwiarnia lub karczma – odpowiedziałem.

– Tak jest. – Lorine pokiwała głową zadowolona, że dobrze odrobiłem lekcje. – Pamiętaj, unikaj Kompanii Koronnej za wszelką cenę. Są zbyt bystrzy i nie potrzebują rekrutów. Szukaj księżęcych, im bardziej pijanych i chciwych tym lepiej.

Przeniosła spojrzenie na Erchela i jej wzrok stwardniał.

– Deckin chce informacji, nie krwi czy łupów – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zbieracie co się da i wracacie,

miejmy nadzieję, że nikt nawet nie zapamięta, że tam byliście. Zrozumiano?

Rzadko widziałem, by Lorine poświęcała Erchelowi tak wiele uwagi. Odkąd pięć lat wcześniej jego wuj wprowadził go do obozu Deckina, Lorine traktowała Erchela z wyraźną pogardą. Uczyla go, tak jak uczyla wszystkie szczenięta, ale było jasne, że nie przejęłaby się, gdyby pewnej nocy zniknął bez śladu. Ze swojej strony Erchel zawsze starał się okazywać jej szacunek należny głównemu porucznikowi Deckina. Nawet gdy myślał, że nikt nie patrzy, na Lorine spoglądał raczej z wyrazem tłumionego strachu niż odrażającego głodu, którego bym się u niego spodziewał. Ale w końcu w naturze drapieżników leży strach przed groźniejszą bestią.

– Jasne – mruknął teraz, kiwając głową i unikając jej twardego spojrzenia.

Lorine chrząknęła cicho i cofnęła się o krok.

– Imiona?

– Ash – powiedziałem. – Krótkie i łatwe do zapamiętania. Tatko był wypalaczem węgla drzewnego. – Ruchem podbródka wskazałem Erchela. – A tego tu nazywam Gaduła, bo się prawie wcale nie odzywa

– Dobrze. – Stukając palcem w podbródek, raz jeszcze obejrzała nas od stóp do głów. – Obaj jesteście zbyt dobrze odżywieni, jak na mój gust, więc dostaniecie tylko połowę racji, dopóki nie dotrzemy do zamku Ambris. Nie marudzić, to tylko dwa dni.



– Nie błagał.

Pomarszczone brwi starego wozaka poruszyły się, malując na jego twarzy coś, co uznałem za wyraz podziwu, gdy spoglądał ku południowym szczytom zamkowych murów. W tym miejscu fortyfikacje były najniższe, a fosa najwęższa, wybrano je z rozmysłem, ponieważ zapewniało wyraźny widok na makabryczną

ekspozycję na szczycie blanek. Światło dnia już gasło, ale niebo było czyste i mogłem zobaczyć rysy wystarczająco wyraźnie. Tylko raz w życiu widziałem księcia Rouphona, przez krótką chwilę, dwa lata wcześniej, gdy za Deckinem wszedłem na polanę w zachodnim lesie. Przykucnęliśmy w gęstych krzakach i patrzyliśmy, jak człowiek ten przejeżdża obok na roslym koniu, z sokołem na nadgarstku i myśliwymi ze stadem psów gończych, którzy podążali za nim. Przypomniałem sobie, że twarde, nieruchome rysy Deckina stanowiły nieprawdopodobnie wierne odbicie twarzy szlachcica na szlachetnym koniu. Przypomniałem sobie również nienawiść, którą widziałem w oczach Króla Banitów i teraz zastanowiłem się, jak bardzo Deckin chciałby być tutaj, by delektować się końcem tego człowieka.

Pomimo śladów zostawionych przez tortury i zwiotczenia, które przychodzą wraz ze śmiercią, wciąż byłem w stanie stwierdzić, że głowa wbita na kolec to rzeczywiście głowa księcia Rouphona Ambrisa, do niedawna rycerza Albermaine i władcy Marchii Shavine. Pozostałe głowy były dla mnie anonimowe z powodu pośmiertnego wzdęcia lub ran, ale uznałem, że to ci, którzy zostali schwytani razem z księciem, członkowie rodziny lub poplecznicy, dzielący z nim przekonania i zdradę, a ostatecznie koniec.

– Widziałeś proces? – zapytałem wozaka, na co ten odpowiedział lekceważącym kliknięciem języka.

– A jakże, dziś rano, choć nie było zbyt wiele do oglądania. Postawiono księcia na szafocie obok innych zdrajców, Lord Konstabl odczytał zarzuty i zapytał, czy ktoś podniesie miecz w ich obronie, jak to się robi zawsze. Oczywiście nikt nie wystąpił. Nie, kiedy stał tam Królewski Czempion, a obok niego, szeregiem, Kompania Koronna. Ascendant Durehl podszedł do skazańca, by wysłuchać testamentu, a gdy skończył, sir Ehlbert jednym machnięciem wielkiego miecza pozbawił księcia głowy. Tylko księcia, miarkuj sobie. A potem olbrzym odszedł i resztę zostawił katu.

– Słyszałeś testament księcia? – zapytałem, świadomy, że Deckin chciałby wiedzieć.

– Za daleko. I wątpię, by po tych męczarniach zostało mu dużo sił na gadanie. Ale, jak mówiłem, jasne było, że nie błagał. – Wozak znów spojrział na głowę na murze i znów kliknął językiem. – Nie był

taki zły, jak na szlachcica. Uczciwy, zazwyczaj. Hojny z jałmużną, gdy zbiory były marne. Z tego, co o nim mówili, nie chciałbyś go widzieć w pobliżu swojej córki, no i nie był to człowiek, z którym można się zdrzeć, jeśli się chciało zachować całą skórę.

Woznica raz jeszcze kliknął językiem i potrząsnął lejcami swojego wołu, zwierzę posłusznie ciągnęło wóz wzdłuż fosy.

– Na waszym miejscu, chłopcy, nie pchałbym się do miasta – doradził nam przez ramię. – No chyba, że macie ochotę pomaszerować pod sztandarami. W mieście aż się roi od żołnierzy.

Podniosłem rękę w podziękowaniu i obróciłem się ku rozległym zabudowaniom wyrastającym na wschód od głównej bramy zamku, z płaskich łąk ciągnących się wzdłuż brzegu rzeki Leevin, która zasilala fosę. Lata względnego spokoju pozwoliły miastu Ambriside rozrosnąć się w duże, choć chaotyczne zbiorowisko domów, zajazdów, warsztatów i stajni. Mimo że spędziłem dzieciństwo w podobnym, choć mniejszym skupisku ruder, zapach dymu i łąjna wzbudził we mnie raczej niechęć niż nostalgię. Wolałem lasy, bo wśród drzew, nawet biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa, wszystko było prostsze.

– Wiem, jak brzmiał – powiedział Erchel.

– Co?

– Jego testament. – Ruchem podbródka wskazał głowę przechyloną pytająco na murze. Tak jak wcześniej wszelka wrogość wobec mnie rozwiała się bez śladu, mimo że Erchel z pewnością miał gdzieś paskudnego siniaka od kamienia, którym go trafiłem.

– Ja, Księżę Rouphon Ambris, proszę Serafilów o wybaczenie mych licznych grzechów. – Erchel naśladował szyderczo sposób mówienia szlachciców. – Przez lata sadzałem tłusty zadek na grzbiecie koni, których nie hodowałem. Żarłem jedzenie, którego nie zasiałem i mięso, którego nie sprawiłem. Cały ten czas chędożyłem służące, które mi się podobały i brałem dla siebie nie swoje złoto i dobra, zasłaniając się podatkami Korony. Od czasu do czasu jechałem tu i ówdzie i wyrzynałem do nogi jakichś nieszczęsnych skurwysynów, których król mi kazał wyróżnić. A potem obróciłem się przeciwko niemu, za to że nie uczynił mnie bogatszym, niż już byłem. I tak oto skończyłem. A teraz oczyść mą duszę, ty nadęty draniu, żebyś mógł na zawsze żyć w raj.

Spojrzał na mnie z szerokim uśmiechem.

– Powiedz tak Deckinowi. To mu się spodoba.

– Nie. – Pamiętałem wyraz twarzy Deckina tego dnia, gdy śledziliśmy księcia na polowaniu. Raz jeszcze spojrzałem na ponury rząd głów, po czym odwróciłem się i ruszyłem w stronę miasta. – Na pewno mu się nie spodoba. Chodź, Gaduło, róbmy, co do nas należy.

Zgodnie ze wskazówkami Lorine odszukaliśmy najgorzej wyglądającą karczmę, doszedłszy do wniosku, że tylko żołnierze z największym pragnieniem odwiedzać będą miejsce z najtańszym piwem. Znaleźliśmy sobie miejsca na tyłach brudnej izby, aczkolwiek wymagało to zastraszenia dwóch kmiotków, którzy już tam siedzieli. Dwóch starszych mężczyzn o wyleniałych brodach i chudych, naznaczonych zmęczeniem obliczach, jakie mają ci urodzeni do pług i motyki, patrzyło na nas czujnymi oczyma, ale żaden z nich się nie ruszył. Jeden skrzywił się nawet i miał zapewne wysyczyć ostrzeżenie, ale zamilkł, gdy Erchel pochylił się i wyjął mu z dłoni gliniany kufel.

– Wypierdalać, tak? – rzekł z uprzejmym uśmiechem, mrużąc przy tym oczy dla podkreślenia przekazu, wykrzywił się do tego i rozdał nozdrza. Była w tej minie wystarczająca zapowiedź przemocy, aby dwaj biedacy porzucili stół i samą karczmę.

– Czyli to jest najlepsze miejsce? – spytał Erchel, odstawiając kufel z pełną odrazą miną. – Nawet pijak nie zamoczyłby ust w tych szczynach.

– Pijak szuka gorzały, nie piwa. – Wskazałem na beczki z brandy widoczne za plecami rosnącego karczmarza. – Im tańszej, tym lepiej. Nie przejmuj się, zaraz przyjdą. I przestań gadać, jesteś półgłówkiem, pamiętasz?

Zgodnie z moimi przewidywaniami, niedługo potem pojawiło się kilku żołnierzy z książęcych oddziałów zaciężnych. Weszli bez tej swady charakterystycznej dla tych, którzy dopiero co założyli mundur. Pomarszczone twarze były jednolicie posępne. Ponure wydarzenia poranka najwyraźniej wprawiły ich w ponury nastrój i chęć zalania go alkoholem. Wojna, jak zdążyłem się nauczyć, odziera młodość z niewinności. Żołnierze zrzucili broje, ale mieli sztylety i miecze u pasów. Wszyscy byli czysti i mieli przycięte włosy, ale ich odzienie, głównie skórzane kaftany i portki, uzupełnione

węlnianymi koszulami, były połatane i mocno zużyte, jak to zwykle bywa z ubraniem, które nieustannie jest naprawiane.

– Brandy – zawołał jeden z nich do karczmarza, rozejrzawszy się po ciemnym wnętrzu. – I niech to będzie najlepsze co masz, przyjacielu.

Rzucił na szynkwias kilka monet i wraz ze swoimi towarzyszami, zajął miejsca najbliżej paleniska. Kilku mieszczuchów siedzących tam wcześniej, umknęło z dużo większą skwapliwością niż tych dwóch biedaków, których wystraszył Erchel. Przyglądaliśmy się, jak żołnierze siedzą w milczeniu, podczas gdy karczmarz nalał każdemu miarkę brandy do glinianego kubka. Kiedy skończył, ten który płacił – potężny mężczyzna o twarzy pociętej zmarszczkami dużo gęściej niż u jego towarzyszy – posępnie uniósł swój kubek. Pozostali poszli w jego ślady.

– Niech dzięki będą Męczennikom za krótką kampanię. Błagajmy ich, by przyjęli do siebie duszę księcia Rouphona – rzekł. – Niezlomne serce, które zbłądziło, niemniej zasłużyło na lepszy koniec.

Pozostali żołnierze wymruczeli słowa poparcia, po czym wszyscy wychylili zawartość kubków i zdało się, że ich posępność wyparowała w jednej chwili.

– Więcej! – zażądał ten o pomarszczonej twarzy, podnosząc pusty kubek w stronę karczmarza. – I nie przestawaj polewać, póki ci nie każemy.

W miarę jak oni pili, Erchel i ja odgrywaliśmy nasze role, skuleni w kącie ledwie sączyliśmy piwo, dając do zrozumienia, że nie stać nas na zakup kolejnego. Raz po raz zerkałem na żołnierzy i odchylałem się w ich stronę wyraźnie próbując usłyszeć opowieści, które zaczęli snuć, w miarę jak brandy poprawiała im nastrój i luzowała języki.

– Widziałem go przy Brodzie Velkina – mówił jeden. Miał ramiona szersze niż jego towarzysze, a jedno ucho okaleczone tak, że przypominało małą różową kapustę. Wyglądało na to, że on też, szybciej niż pozostali osiągnął stan upojenia. Konieczny do głośnego opowiadania anegdot. – Książę... Były książę prowadził szarżę razem z sir Ehlbertem u boku. Woda stała się biała, gdy przez nią pędzili, a potem czerwona, gdy wrócili stępem, zaledwie kwadrans później.

Tylko Męczennicy wiedzą, ilu chłopów nacięli tego dnia, bo nie było tam żadnego szlachcica. Nigdy jeszcze się tak słabo nie obłowił.

– Coś cię ciekawi, chłopcze?

Poderwałem oczy na Pomarszczoną Twarz, mrugając przy tym przestraszony, po czym szybko odwróciłem spojrzenie. Wiedziałem z doświadczenia, że teraz zdarzy się jedna z dwóch rzeczy. Pomarszczona Twarz wygłosi jakieś ostrzeżenie, okraszone grubym słowem, albo wstanie od stołu i rozpocznie rozmowę, która mogła się potoczyć w dwóch możliwych kierunkach. Wszystko zależało od tego, ile ci żołnierze mieli pieniędzy. Zazwyczaj żołdakom płacono nagrodę za każdego młodzika, którego udało im się zwabić w szeregi. Pomarszczona Twarz miał niewątpliwie pustą sakiewkę, bo podrapał się po karku i zbliżył do nas z przyjaznym uśmiechem.

– No, nie mogę mieć wam za złe podsłuchiwania. Przyjacieli mój opowiada ciekawą historię, choć to nie jego najlepsza. Dobrze mówię, Pots?

– Nawet nie bliska najlepszej – zgodził się Pots i roześmiał głośno. Jednak w oczach jego pojawił się nagły błysk chciwości. Najwyraźniej Pots nie był aż tak pijany, aby przeoczyć okazję na swoją część nagrody. – Najlepsza to chyba ta o szturmowaniu cytadeli Couravel, bo i tam byłem. To był ostatni dzień Wojny Książąt i co to był za dzień. Sokolnik... – mrugnął do Pomarszczonej Twarzy – czemu nie postawisz tym chłopcom piwa, a ja im wszystko opowiem.

I tak też się stało. Erchel i ja siedzieliśmy, wytrzeszczając szeroko oczy w milczeniu, pozornie spowodowanym również alkoholem. Pots opowiadał swoje historie, a Sokolnik dolewał nam piwa. W miarę upływu godzin, opowieści o bitwach zmieniły się w opowieści o łupieniu i kobietach.

– Dziewczęta mogą okazać przychylność mężczyźnie, który jest miły i ma pieśń na podorędziu, ale to mężczyźni z wieloma bliznami i pełną sakiewką poruszają je naprawdę.

Zaśmiałem się jak należało, choć ten akurat mężczyzna o złamanym nosie i twarzy z wyraźnymi żyłami budził we mnie nieprzyjemne skojarzenia z sukinsynami, których pełno było w zamtuzie, za każdym razem, gdy przez miasto maszerowała armia. Niewątpliwie mieli oni wiele blizn, ale rzadko pełne sakiewki

i żywili stanowczo zbyt wielkie upodobanie do wymierzania kopniaków małym chłopcom, którzy niechcący weszli im w drogę.

– Książę też tam był? – wtrącił Erchel, gdy Pots opowiadał kolejną historię. Udało mi się powstrzymać spojrzenie pełne nagany, chociaż złośliwy błysk w jego oczach sprawił, że miałem ochotę poderwać się i zdzielić go pięścią przez blat. Erchel najwyraźniej uznał, że rola milczącego przygłupa mu nie odpowiada, co niechybnie miało uczynić nasze zadanie o wiele bardziej skomplikowanym, niż było to konieczne.

– Były książę – oznajmił Sokolnik tonem na tyle ostrym, by Erchel ze skruchą opuścił wzrok.

– Nie, wtedy akurat nie – odpowiedział Pots. Snuł historię, którą już słyszałem, opowieść o Bitwie Braci była dobrze znana: wielkie starcie dwóch armii dowodzonych przez dwóch braci szlachetnej krwi, którzy stanęli po dwóch stronach w Wojnie Książąt. Gdy bitwa dobiegła końca, jeden z braci trzymał w ramionach drugiego, konającego od ran, zalewał się łzami żalu i prosił Męczenników o przebaczenie. Deckin, który sam był weteranem Wojny Książąt, zapewnił mnie, że ten pełen tragizmu epos w rzeczywistości był niewiele więcej niż wielką nierozstrzygniętą potyczką, po której ocalały brat naszczał na zwłoki drugiego, albowiem nienawidzili się serdecznie przez całe życie.

– Po prawdzie jego widziałem tylko przy Brodzie Velkina – kontynuował Pots – ale widziałem dość, żeby wiedzieć, że był to rycerz z krwi i kości. – Zachmurzył się i wlał w siebie kolejną porcję brandy, po czym mruknął: – Nie tak jak ten zasraniec, co czai się na północy. Z niego to dopiero będzie pieprzony książę.

– Zasraniec? – powtórzyłem, pamiętając, by mówić niewyraźnie i zmarszczyć przy tym brwi, sugerując niezbyt głębokie zainteresowanie i stanowczo niewielką zdolność do zapamiętania tego, co usłyszałem.

– Kuzyn z drugiej linii, czy coś takiego – odpowiedział Pots. – Jedyne szlacheckie zad, który miał do tego księstwa jakiegokolwiek prawa wynikające z pokrewieństwa, jaki mogli znaleźć, niech Męczennicy mają ich w opiece.

– Pots. – W głosie Sokolnika zadźwięczały twarde tony.

Jednakże jego towarzysz, zbyt wiele już wychylił kubków, aby słuchać słów przestrogi.

– Książę Elbyn Blousset, jak kazali nam go nazywać. To jak zakładanie złotej wstążki na szyję martwego wieprza. Zamieniłem kilka słów z nim i sir Ehlbertem, kiedy byliśmy zakwaterowani w tym jego gównianym zamku. – Zaśmiał się niewesoło i dalej mówił już wysokim, płaczącym głosem. – Ale ja nie jestem człowiekiem wojny, dobry panie. Zostawiam takie rzeczy wam...

Chciałem zapytać o dokładną lokalizację tego gównianego zamku, ale ręka Sokolnika uderzyła ciężko w stół wraz z surowym nakazem milczenia. Pots skrzywił się ze złością, ale nie był wystarczająco pijany, aby ryzykować awanturę, więc zamilkł posłusznie, pozostawiając towarzyszowi opowiadanie o rozkoszach żołnierskiego życia.

– Widzę, że nie jest wam obcy codzienny trud, tak jak mnie kiedyś – zauważył Sokolnik. – Lata całe spędziłem w terminie u okrutnego mistrza, plecy bolały od jego laski i niekończącej się harówki, do której mnie zmuszał. Ale nic takiego was nie spotka, gdy pomaszerujecie pod sztandarem.

– Myślałem, że żołnierze cały czas są chłostani – skomentował Erchel, przeciągając niewyraźne słowa, z przekonującym brakiem skupienia w spojrzeniu. Cieszyła go ta rola, czerpał wyraźną radość z tego, że udało mu się oszukać żołnierzy, co obudziło mój niepokój, gdyż w przypadku Erchela podstęp zawsze poprzedzał mroczniejsze czyny.

– W naszej kompanii tylko tchórze smakują bata – zapewnił go Sokolnik, wzruszając ramionami. – I jestem więcej niż pewien, że dwóch takich krzepkich młodzieńców nigdy nie uciekłoby z pola walki...

Dzień zmienił się w noc, Pots i Sokolnik byli na tyle uprzejmi, że zaprosili nas do swojej kompanii, gdzie nie brakło trunków i ciekawych opowieści. Wiedziałem, jak to się skończyło dla nieszczęśników na tyle głupich, by wejść w pułapkę. Rankiem budzili się z bolącą głową, przykuci do wózka z srebrnym suwerenem wepchniętym w usta. Sierżant uwalniał ich od suwerena, zapewniając, że zostanie on zwrócony wraz z kolejnym, gdy odsłużą pięć lat pod sztandarem. W obliczu szalejącej Wojny Pretendenta,

wszelakich obozowych gorączek, jak ospa, i innych niebezpieczeństw związanych z żołnierskim życiem, szanse na odebranie obu suwerenów były nikłe. Dni, w których młodzi ludzie przybywali pod sztandary, szukając chwały, dawno już się skończyły, stąd konieczność uciekania się do tak nikczemnych taktyk, by utrzymać liczebność kompanii.

Deckin powiedział mi kiedyś, że są dwa rodzaje ludzi chętnych do żołnierki: szaleni i zdesperowani. Pozostali garną się do służby nie bardziej niż do pracy w kopalniach.

– Najpierw muszę się odlać – zapowiedziałem, niepewnie podnosząc się na nogi. Plan był taki, że Erchel i ja udamy się chwiejnym krokiem do dołu kloaczego na tyłach tawerny i po prostu znikniemy. Żołnierze będą przeklinać swoje kulawe szczęście i to, że wymknęliśmy się z pułapki, po czym prawdopodobnie szybko o nas zapomną. Przed świtem wrócilibyśmy do obozu i opowiedzieli Deckinowi wszystko, co usłyszeliśmy.

– Będziem szczyć po drodze – oświadczył głośno Erchel, wstał i dopił resztki piwa. – Mata brandy, tak?

– Całą beczkę – zapewnił Sokolnik, klepiąc go po ramieniu, po czym poprowadził w stronę drzwi. – Dzięki uprzejmości samego Pretendenta. Drań uciekł i zostawił nam cały swój grog.

Wyszliśmy z karczmy, prosto w chłodne powietrze, ziemia powleczone była warstwą świeżego szronu. Zimno pomagało przewyciężyć skutki nocnego picia. Kiedy szliśmy razem z Sokolnikiem i Potsem, wnętrzości zacisnęły mi się w twarde węzeł, zrodzony ze świadomości, że nie ma już szans na uniknięcie brzydkiego zakończenia wydarzeń tego wieczoru. Pozostali żołnierze zostali w tyle, co składało się szczęśliwie dla nas, ale nie dla tych dwóch. Podczas gdy Kompania Koronna została zakwaterowana w zamku Ambris, oddziały księstwa rozłożyły się po drugiej stronie rzeki, prawdopodobnie miały stanowić zabezpieczenie przed ewentualnymi kłopotami ze strony mieszczan. Erchel poczekał, aż przejdziemy przez wąski drewniany most na drugi brzeg i tam się zatrzymał. Kiwał się w przód i w tył, z twarzą ściągniętą zmieszaniem jak u osoby nadmiernie pijanej.

– Ja... – mruknął i zatoczył się ku gęstym trzcinom przy brzegu rzeki. Po chwili dobiegł stamtąd odgłos gwałtownych torsji.

– Ten się musi trochę zahartować – skomentował wesoło Pots, gdy Erchel pluł, wystarczająco głośno, by ściągnąć na siebie uwagę obu żołnierzy. – Kilka lat pod sztandarem i będziesz miał jelita jak z żelaza.

Na szczęście ich kapitan zaniedbał wystawienia warty na moście, a patrole pilnujące obozu były zbyt oddalone, by zauważyć to, co wydarzyło się chwilę później.

Podręczną broń miałem ukrytą za paskiem na plecach: ciasno zwinięta, sześciocalowa tuba ze skóry, na jednym końcu mieściła kulkę stopionego metalu. Niezbyt przydatna w bójce, gdzie nóż lub pałka działały lepiej, ale w takich momentach jak ten, we wprawnych rękach dobrze się spisowała, a moje ręce były dobrze wyćwiczone. Obciążony koniec trafił Sokolnika za uchem i zwałił go na ziemię, jakby każde ścięgno w jego nogach zostało przecięte w tej samej chwili. Jego upadek wywołał zdziwione stęknienie Potsa, który odwrócił się, by spojrzeć na mnie, alkohol w jego żyłach sprawił, że źrenice nie chciały się rozszerzyć, ustąpiły jednakowoż, gdy Erchel wbił mu mały sztylet w podstawę czaszki.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?! – wyszczałem z wściekłością, postąpiłem naprzód i chwyciłem za grubo tkaną koszulę Erchela. Jego twarz zmieniła się w tę typową dlań maskę na poły skruszoną, na poły ironicznie rozbawioną, przez co miałem ogromną ochotę, by zdzielić go między oczy.

– Widzieli nasze twarze – odparł, wzruszając cienkimi ramionami. – Trupy nie miały językami.

– Mieliśmy spieprzać dużo wcześniej, ty obłąkany draniu.

W jego oczach lśniło zadowolenie z siebie, przypominał chłopca przyłapanego z palcem w świeżo upieczonym cieście i zapragnąłem zamienić pałkę na nóż. Mogłem go tu zadźgać i wrócić do obozu, wątpiłem, by Deckin miał o to pretensje. Niemniej byłem świadomy, że to po części moja wina. Uniemożliwiłem Erchelowi morderstwo uprzedniej nocy, a on pielęgnował swoją chorą potrzebę aż do teraz. Najwyraźniej potrafił nie chować urazy, ale nie był w stanie oprzeć się urokowi zemsty. I to ja będę musiał wyjaśnić sprawy Deckinowi. Jednakże to nie świadomość mimowolnego współdziałania w tym mordzie powstrzymała moją rękę. Znałem

Erchela od dzieciństwa. Przy całej swojej okropności, wciąż był jednym z nas. Poza tym, on też miał nóż.

– Rankiem będzie nas ścigać cała pieprzona kompania – zgrzytnąłem zębami, odpychając go jednocześnie.

– Napadnięci przez rabusiów. – Erchel strzepnął krew z ostrza swego noża i wzruszył ramionami. – W lasach pełno banitów.

– Widziano, jak wychodziliśmy z nimi z karczmy, ty skończony durniu! Żołnierze ograbieni przez tych, którym starali się wsunąć suwerena to jedno, cały czas się zdarza, ale morderstwo to już zupełnie co innego! Sam to możesz powiedzieć Deckinowi i nie oczekuj, że będę dla ciebie kłamał, sukinsynu.

Jego półuśmiech zbladł i zadrżał pod moim twardym spojrzeniem, zniknęło poczucie wyższości. Dopiero teraz, gdy dreszczyk emocji związany z morderstwem zaczął słabnąć, Erchel pomyślał o konsekwencjach. Staliśmy tak nieruchomi, w milczeniu, gdy Sokolnik wydał z siebie słaby jęk, przypominając nam obu, że nie mamy zbyt wiele czasu.

– Powinienem się nim zająć – zaproponował Erchel.

– Nie. – Podsycanie jego szaleństwa kolejnym zabójstwem tak szybko po poprzednim nie byłoby rozsądne. – Sam to zrobię. Przeszukaj tego i wciągnij go do rzeki. Przy odrobinie szczęścia prąd go zniesie.

Dobiłem Sokolnika jednym z jego własnych sztyletów, wbilem go szybko i głęboko w szyję żołnierza, przytrzymałem i przekręciłem ostrze, aż ten zadrżał i legł nieruchomo. Miał jeszcze jeden nóż schowany w bucie, który przełożyłem do swojego, po czym przeszukałem zwłoki, znajdując lekką sakiewkę i medalion Przymierza. Było to grubo ciosane słońce z brązu, symbol Męczennicy Hersefony, pierwszej zmartwychwstałej Męczennicy, której błogosławieństwo miało zapewnić szczęście. Zaśmiałem się cicho z goryczą, gdy spojrzałem na ten drobiazg – kiepsko wykonany przedmiot o niewielkiej wartości. Mimo to zatrzymałem go, założyłem łańcuszek na szyję, po czym chwyciłem nogi Sokolnika i powlokłem go do rzeki.

Musieliśmy wejść do rzeki i brodzić w kurczącej jaja wodzie, by mieć pewność, że prąd poniesie trupy. Nie mieliśmy czasu, by zebrać kamienie i obciążyć zwłoki. Ich towarzysze mogli za chwilę

wyjść z karczmy i ruszyć do obozu. Woda wypełniła kieszenie i buty nieboszczyków, ciągnąc ich na dno, ale wiedziałem, że gazy zrodzone z martwych ciał wkrótce znów wypchną je na powierzchnię.

Próbując pozbyć się wody z ubrań, ruszyliśmy biegiem w stronę drzew, wprost w ciemne i zapraszające objęcia lasu. Biegając, rozważałem i odrzucałem kolejne plany zamordowania Erchela. Nie było czasu ani pewności, że się uda. Gdy będziesz kontynuował opowieść spisaną na tych kartach, zrozumiesz miły czytelniku, dlaczego od tamtej pory nie było dnia, w którym nie żałowałem, że nie wymyśliłem wtedy sposobu na poderżnięcie mu gardła.



Zatem zabójstwo? – zapytał Deckin, głosem pozbawionym wszelkich emocji. – Dwa zabójstwa, dokładniej mówiąc – dodał, wpatrując się we mnie bez mrugnienia.

– Kiedy jeden padł, drugi też musiał – odpowiedziałem, starając się, by zabrzmiało to tak samo beznamiętnie. Jak dotąd prawie się nie odzywałem, pozwalając Erchelowi wyjąkać swój raport, w cichej nadziei, że wina spadnie jedynie na niego.

– No tak. – Głos Deckina był teraz cichszy. – Tylko że nie pamiętam, abym kazał kogokolwiek zabijać, nie mówiąc już o zabiciu dwukrotnym. Lorine... – Jego głos podniósł się odrobinę, gdy spojrzał, gdzie stała, oparta o drzewo, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i ponurą miną. – Czy pamięć mnie zawodzi? Czy ja zleciłem zabójstwo?

– Nie – odparła tonem pozornie niewzruszonym, jednak wyraz jej twarzy pozostał posępny, wskutek potępienia albo rozczarowania. – Nie sądzę, abyś to zrobił, kochany.

– Ależ musiałem. Z pewnością. – Krzaczaste brwi Deckina połączyły się w grymasie udawanego zakłopotania. – Bo jeden z członków tej bandy dokonał zabójstwa. Zatem... – podniósł wzrok

zwracając się do pozostałych, albowiem cała banda stała w milczeniu między pobliskimi drzewami – musiałem wydać taki rozkaz, czyż nie?

Jedna z jego olbrzymich dłoni wystrzeliła niczym atakujący wąż i zamknęła się wokół szyi Erchela, któremu oczy wyszły na wierzch, gdy palce się zacisnęły, a ramię Deckina wyprostowało, unosząc chłopaka tak, że palcami stóp ledwie dotykał ziemi.

– Bo ci, którzy zaszczycają mnie swą lojalnością są mądrzejsi – mówił dalej Deckin, na tyle głośno, by było go słychać, mimo rżenia Erchela. – Prawda?

Kiedy ta bestia, jaką był gniew Deckina wyrwała się na wolność, lepiej było nie zmuszać go do powtarzania pytań, więc natychmiast zabrzmiał chór potwierdzeń, a mój głos był w tym chórze najgłośniejszy.

– Czy w dobroci swojej nie przyjąłem cię do tej bandy? – Przyciągnął Erchela bliżej, a w jego słowach słychać było wibracje warkotu. – Zastrąca o szurzejącej gębie, przywleczonego do mojego obozu przez własnego krewniaka, bo rodzina nie mogła już dłużej znieść jego zwyczajów? Mam zbyt miękkie serce, czyż nie, Lorine?

Erchel początkowo był na tyle mądry, by trzymać ręce opuszczone po bokach, ale jego pozbawione powietrza płuca zmusiły dłonie, aby chwyciły nadgarstek Deckina, bez szczególnego efektu. Przywiodły mi na myśl mokre liście czepiające się gałęzi, gdy wiatr goni deszcz przez korony drzew, a trzask, który dobył się z gardła Erchela, gdy coś ustąpiło pod naciskiem, skojarzył mi się z trzeszczeniem konaru.

– Twoja wspaniałomyślność jest właściwie sławna, mój kochany. – Zauważyłem, że Lorine zmarszczyła się lekko, gdy chwyt Deckina zacisnął się jeszcze mocniej. Oderwała wzrok od beznadziejnych zmagañ Erchela i skupiła się na mnie, by przenieść się na ułamek chwili na wykrzywioną wściekłością twarz Deckina. To była wyraźna instrukcja, żebym się odezwał. Nie wiedziałem, że darzyła Erchela jakąś szczególną sympatią, zresztą nikt z nas go nie lubił, jej troskę tłumaczyłem sobie chęcią utrzymania liczebności naszej grupy. Jednak nie tylko z powodu jej znaków, zdecydowałem się otworzyć usta. Kiedy Deckin skończył z jednym samowolnym zabójcą, co mogło go powstrzymać przed zajęciem się drugim?

– Mówili, że umarł dobrze – powiedziałem, przełknąwszy z wysiłkiem ślinę, co miało ustrzec mnie, przed zdradzieckim załamaniem głosu. – Książę, znaczy.

Deckin zaprzestał zaciskania palców i zwrócił na mnie swoje niewielkie oczy. Erchel nie przestał się dusić i charczeć.

– Czyżby? – zapytał Król Banitów. – I jakimi to słowy pożegnał się z życiem?

– Ten, z którym rozmawiałem nie był dość blisko, by usłyszeć książęcy testament. – Nie zdołałem przełknąć raz jeszcze, ale udało mi się nie zakaszleć. – Ale był dzielny. Nie błagał o życie.

Deckin nieznacznie zmrużył oczy, nozdrza rozděły mu się, gdy nabrał głęboko powietrza. I ten właśnie moment wybrał Erchel, by wycharczeć zabarwioną czerwienią płwocinę na rękę Deckina. Była to raczej niezależna od woli konsekwencja duszenia, a nie akt oporu, bo Erchel wiedział, że nawet w obliczu niechybnej śmierci byłby to bardzo głupi pomysł.

Deckin stęknął z odrazą i odrzucił Erchela, którego chude ciało uderzyło o drzewo, po czym zsunęło się po pniu na ziemię.

– Plagi – powiedział Deckin, kierując to słowo do całej bandy.

Todman i Baker znali swoje obowiązki, postąpili do przodu i złapali Erchela za nogi. Zerwali z niego ubranie i zawlekli go do podwójnego szeregu utworzonego przez resztę członków bandy. Wszyscy trzymali już gotowe pałki lub kije, niektórzy z chęcią, inni obojętnie, ale każdy gotowy wykonać polecenia Deckina.

Todman wymierzył Erchelowi mocnego kopniaka w goły tyłek, kierując go w lukę między szeregami. Pierwszy cios padł, zanim ten zrobił krok, Baker wymierzył mu solidne uderzenie w uda skórzanym pasem, który trzymał na takie okazje. Trzeba było oddać Erchelowi, że zdołał utrzymać się na nogach i chwiejnie, ale bez pomocy szedł między szeregami pod gradem ciosów. Coraz bardziej żałosne krzyki i szloch nie budziły już takiego uznania, mimo nowego, chrapliwego brzmienia jego głosu. Jednak ja byłem całkowicie skupiony na Deckinie. W ciągu lat spędzonych z banitami otrzymałem kilka kar, lanie i chłostę, gdy moje kradzieże lub plugawy język zwróciły uwagę Deckina. Ale nie byłem jeszcze zmuszony do wytrzymania plag, kary, która niejednokrotnie odbierała życie.

W końcu powieki niewielkich oczu Deckina drgnęły i Król Banitów zwrócił się do Lorine:

– Nie pozwól im go zabić – polecił, ruchem głowy wskazując trwającą kaźń. – Gówniarza można wciąż wykorzystać, a jego wuj jest mi jeszcze winien przysługę.

Przytaknęła i nagrodziła mnie leciutkim wygięciem warg, gdy odchodziła.

– Dobra, wystarczy! – zawołała stanowczym, lecz przyjemnym tonem. Nawet pogrążony w strachu nie mogłem nie zauważyć zmysłowego ruchu jej bioder, ale mruknięcie Deckina sprawiło, że natychmiast spojrzałem na niego.

– Przejdźmy się, młody Alwynie. Chciałbym usłyszeć więcej, jak księżę odważnie spotkał swój koniec.

Podszedłem za Deckinem do zwalonego, porośniętego mchem pnia wysokiej brzozy w sporej odległości od obozu. Idąc za nim, wodziłem spojrzeniem od jego szerokich pleców do otaczającego nas lasu, przez chwilę zastanawiałem się, czy nie uciec między drzewa. Być może chciał się ze mną rozprawić na osobności, w ustronnym miejscu, z dala od reszty, bo część członków bandy darzyła mnie sympatią. Albo może chciał mnie okaleczyć, pozbawić ucha lub oka, co według innych byłoby w istocie życzliwością, bo czyż nie byliśmy świadkami, jak nie tak dawno odciął jednemu kutasa i jaja?

Ale ja nie uciekłem, częściowo dlatego, że nie miałem dokąd, poza wątpliwą drogą w ramiona zimna i samotnej śmierci głodowej. Odegrała tu również swoją rolę głupia lojalność, bo tak to już jest z chłopcami przygarniętymi przez banitów; hojność silnych rodzi szczególną formę przywiązania, którą niełatwo zniweczyć. Wolę jednak myśleć, że szedłem za nim niczym posłuszny pies, albowiem byłem pewien, że chęć mordy już z niego uszła. Szedł przygarbiony, z pochyloną głową, co sugerowało ponure rozczarowanie, nastrój, który zazwyczaj skłaniał go raczej do refleksji niż do przemocy.

Jego oddech rozkwitł białą chmurką, gdy Deckin westchnął, siadając na pniu zwalonej brzozy. Gestem zachęcił mnie, bym usiadł obok i wyciągnął wyczekująco dłoni.

– Monety.

Podąłem mu szybko mieszek zabrany ze zwłok Sokolnika. Zazwyczaj Deckin zabierał połowę i oddawał resztę, ale nie dzisiaj.

– Tylko tyle? – spytał, utykając kieszeni za pasem.

– Mam jeszcze to. – Niezbyt zgrabnie wyjąłem zdobyte noże. – I to. – Złapałem za łańcuszek na szyi, ale Deckin prychnął pogardliwie na widok topornie wykonanego dysku.

– Hersefona, co? Zatrzymaj tę sukę. Człowiek sam wykuwa swój los na tym świecie.

Wypuściłem łańcuszek z palców i Deckin zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Dlaczego nie zabiłeś Erchela? – zapytał, z cieniem zainteresowania zaledwie.

– Nie wiedziałem, czy byś sobie tego życzył. Ale miałem ochotę.

– Bzdura! Nie zrobiłeś tego, bo nie chciałeś. Bo nie jesteś taki jak on. Dla ciebie zabijanie to nie jest przyjemność tylko obowiązek. Wszyscy urodzeni zabójcy są banitami, ale nie wszyscy banici są zabójcami. – Broda mu zafalowała, gdy uśmiechał się zadowolony z własnego dowcipu. – Dla Erchela zabijanie jest równie słodkie jak pieprzenie. Wiesz to, przecież widziałeś. Tymi... – Położył mi jedną dłoń na ciemieniu, po czym uniósł drugą i powiódł szorstkimi palcami od brwi w dół zmuszając mnie do zamknięcia powiek.

– One, Alwynie – palce nacisnęły lekko na moje gałki oczne, żeby zabolalo i żebym przypomniał sobie, że miał dość siły, by wepchnąć mi je prosto do mózgu, jeśli będzie miał na to ochotę – one mają dla tej bandy największą wartość, największą wartość dla mnie. Od razu to zrozumiałem, gdy znaleźliśmy cię przed laty, same kości w łachmanach, ledwie trzymałeś się życia i miałeś takie bystre oczy. Oczy kogoś, kto widział wiele i ma za nimi ukryty wielki mózg, w którym przechowuje wszystko to, co zobaczy. Lorine jest moim doradcą, Raith przewodnikiem po tym, co niewidoczne, Todman moim katem, ale ty jesteś moim szpiegiem, tym który widzi wszystko, co zobaczyć trzeba. I wiesz, że pewnego dnia zobaczysz, że Erchela należy dobić i kiedy nadejdzie ten moment, odbierzesz mu życie swoją ręką. – Palce raz jeszcze nacisnęły mi na powieki, tym razem odrobinę mocniej, po czym Deckin wypuścił mnie z westchnieniem. – To jest twoja kara, Alwynie, ponieważ nie zareagowałeś na to, co pokazały ci twoje oczy. Jeśli masz jakieś uwagi, wygłoś je teraz.

Zamrugalem, pozbywając się łez i odpowiedziałem, nie pozwalając sobie nawet na najkrótszą zwłokę, głosem pewnym i pozbawionym drżenia:

– Żadnych uwag, Deckinie.

– Zatem dobrze. To stanie się za kilka tygodni, więc się tym teraz nie zamartwiaj. Erchel ma nieco koneksji, właściwych krewnych, a to znaczy, że najpierw trzeba się będzie potargować. – Zamilkł, znów kierując ku drzewom puste spojrzenie i tak siedział, przez długi czas.

– Zatem – mruknął wreszcie – widziałeś, jak skończył książkę?

– Nie. To się stało rano. Ale podobno rozmawiał z ascendantem i to dobrą chwilę. Ascendant Durhel nie był zadowolony, jeśli chodzi o całą tę sprawę. Ani... – odkaszlnąłem – ani Królewski Czempion, tak słyszeliśmy.

– Ale wywiązał się z obowiązku, czyż nie? Tak czy inaczej wziął miecz i ściął dla króla łeb tego bękarta i zdrajcy.

Nie odpowiedziałem, nie byłem pewien, czy Deckin naprawdę chce pełnego opisu udręczonych szczątków, wbitych na kołec na murach zamku Ambris. Na szczęście Deckin odezwał się ponownie, zanim ja zdążyłem wykrztusić jakąkolwiek odpowiedź.

– Tylko że on nie był bękartem – mruknął. – Ja jestem. Jednym z wielu. Wiesz, że nie mam tak naprawdę pojęcia, ilu moich braci i siostr biega po tym księstwie? Czterech znam, natknąłem się jeszcze na kilku innych nieprawdopodobnie podobnych. Każdy z nich był nieuznanym owocem książęcych lędźwi i biedny jak mysz, tak jak ja.

Pozwolił, by słowa te zawisły między nami, sekret, który tak naprawdę sekretem nie był, pochodzenie Deckina od dawna stanowiło bowiem przedmiot plotek, a nawet otwartych dyskusji. Podobieństwo było widoczne dla każdego, zaś sam Deckin nigdy nie zaprzeczał pokrewieństwu, ale też nie chciał na ten temat rozmawiać. Wszyscy wiedzieliśmy, że wspomnianie księcia Rouphona w obecności Króla Banitów może mieć nieprzewidywalne konsekwencje.

– Jeśli dobrze pamiętam, nie poznałeś swego ojca, prawda? – zapytał, gdy już zacząłem się zastanawiać, czy czegoś nie powiedzieć.

– Nie, Deckinie – zaśmiałem się wymuszenie, jak to czyniłem często, gdy wypływał temat mego dzieciństwa. – Mógł to być każdy z tysiąca kutasów, które zawitały do burdelu w tamtym miesiącu.

– Zatem możesz uważać się za szczęściarza, odkryłem, że ojcowie są dla swych synów zwykle źródłem wielkich rozczarowań. Kto był przy egzekucji?

– Poza Czempionem i ascendantem, wspomniano jedynie Lorda Konstabla. Ich trzech, Kompania Koronna i grupa żołnierzy z innych księstw. Chyba spodziewali się kłopotów ze strony mieszkańców miasta.

– Ale żadnych nie było, prawda? – Jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, skrytym w gęstwinie brody. – Tolerowali swego księcia, może nawet go trochę lubili, ale nigdy go nie kochali. Mało kto go kochał.

Przechylił głowę, żeby patrzeć wprost na mnie, a spojrzenie, jak i głos nabrały teraz ostrości.

– Czego się dowiedziałeś? Zakładając, że udało ci się wyciągnąć coś z tych nieszczęsnych sukinsynów, zanim ich pozabijałeś.

Odpowiedziałem szybko, zadowolony ze zamiany tematu.

– Nowy ksiązę, Elbyn Blousset, ponoć został wezwany. To kuzyn w drugiej linii straconego księcia...

– W pierwszej – poprawił mnie Deckin. – To syn siostry mojego dziada. Co jeszcze?

– Żołnierze mówili, że przez pewien czas byli zakwaterowani w zamku Blousset. Sir Ehlbert tam był. Podśluchali ich rozmowę. Wygląda na to, że Blousset był zbyt tchórzliwy, by walczyć ze swoim kuzynem.

– Tchórzostwo i rozsądek to często jedno i to samo. Co jeszcze?

– To tyle. Jeszcze sporo opowieści o bitwach, w których brali udział, plotki o znienawidzonych sierżantach i kapitanach, jak zwykle. Nie dowiedziałem się nazwy zamku.

– Znam tę nazwę. Zamek Sheline, siedziba rodziny Blousset od trzech pokoleń. Kupa główna, ale mury ma mocne i trudno je szturmować. Na szczęście wątpię, czy będzie przebywał w swym zamku. – Znów pogrążył się w milczeniu, tym razem na krótko, bo zaraz skinął głową w stronę obozowiska. – Idź jeść. Powiedz Lorine,

że zaraz przyjdę. I, Alwynie – dodał, gdy już wstałem – nie mów jej o czym rozmawialiśmy. – Uśmiechnął się samymi wargami, spoglądając na mnie z surowym nakazem. – Bez względu na to, jak słodko będzie prosić.

– Nie powiem, Deckinie.

Odwrócił się i zapatrzył przed siebie, a ja oddaliłem się niezwłocznie, poganiany strachem i ulgą, aby szukać przyjemniejszego zajęcia.



– To nie jest warte mojej dłoni, co dopiero niewymownych – oświadczyła Gerthe, oglądając medalion spod przymrużonych powiek z mieszaniną rozbawienia i pogardy.

– To podarunek. – Zaprezentowałem w pełni mój zwycięski uśmiech. Ćwiczyłem go od jakiegoś czasu razem z tonem głosu, który uważałem za łobuzersko czarujący. – Dowód mego szacunku.

– Ale twoim szacunkiem się nie najem, prawda? – zaśmiała się Gerthe lekceważąco. – I nie przełknę niczego od ciebie, póki nie znajdziesz czegoś lepszego niż gówniany bibelot z Męczennicą. Czy ja ci wyglądam na pobożną dziewczynę, Alwynie?

– Zawsze wyglądałaś mi na damę wielkiej bystrości, że nie wspomnę o niewysłowionej urodzie.

– A niech cię! – roześmiała się ponownie i wezbrała we mnie odrobina optymizmu, albowiem była w tym śmiechu autentyczna wesołość. – Niewysłowiona. Znowu zbierasz słowa, co? Podśłyszałeś to w Ambriside?

Uniosła brew, policzki jej błyszczały zdrowo i przez moje nękane żądzą ciało przebiegł dreszcz pragnienia.

Deckin znalazł Gerthe jakiś rok wcześniej, błąkała się w południowej części lasu, po tym jak wyrzucono ją z zamtuza, gdy rajfur odkrył, że miała zwyczaj sięgać lepkiemi palcami do kieszeni klientów. Jej umiejętności, zarówno te językowe, jak i cielesne były wysoko cenione w naszej bandzie. Jednakże Deckin był pracodawcą sprawiedliwym i domagał się, aby Gerthe dostawała za swe usługi

odpowiednie wynagrodzenie, zwykle na poziomie poza moim zasięgiem.

– Ten kupiec, którego trzymaliśmy dla okupu zeszłej wiosny dużo gadał – wyznałem, wzruszając ramionami.

– Czyżby? Szkoda zatem, że nie zatrzymałeś swojej części, nie marnowałbyś mojego czasu na bezsensowne targi. Zmykaj, młodzieńcze. Jestem zajęta gotowaniem. – Wróciła do zajęcia, które jej przerwałem, czyli mieszania gulaszu z zająca.

– W takim razie poproszę miskę tego, skoro tylko to mogę dostać – powiedziałem i wyciągnąłem dwa szelągi, stanowiące resztkę mojej fortuny. Każda zarobiona przeze mnie moneta zwykle prześlizgiwała mi się między palcami z irytującą skwapliwością. Mogę z dumą powiedzieć, że nabyłem w życiu najróżniejsze umiejętności, niestety oszczędzanie nigdy nie stało się jedną z nich.

Gerthe chciała trzy szelągi, ale przynajmniej w tym przypadku gotowa była się targować. Zabrałem z jej rąk pełną miskę i odszedłem. Wystarczyło, że posmakowałem gulaszu, a mój głód natychmiast dał o sobie znać ze zdwojoną siłą, pałaszowałem więc, aż mi się uszy trzęsły. Idąc przez obóz wymieniałem z innymi wyrzutkami zdawkowe ukłony i ciche powitania. W lesie rzadko kto podnosił głos, zdradzieckie echo niosło się bowiem o wiele dalej, niż wydawało się to możliwe i mogło zwrócić niepożądaną uwagę.

Lizak, nazywany tak z uwagi na brak języka, powitał mnie bezzębny uśmiechem, Hulbeth – figlarnym mrugnięciem i uśmiechem na pomarszczonej, ospowatej twarzy, nierozłączni Justan i Yelk pomachali do mnie z zacienionego wnętrza swego schronienia, gdzie, jak podejrzewałem, jeszcze przed chwilą tonęli w godnej pozazdrosczenia błogiej intymności Todman, Baker i Twine, ledwie co oderwali się od gry w kości. Baker i Twine skinęli mi głowami, ale spojrzenie Todmana zatrzymało się na mnie na chwilę dłużej.

– Gulasz dostałeś, ale dupy nie? – zapytał z uśmiechem satysfakcji. – Nawet Gerthe ma swoje standardy.

Powinienem mu posłać uśmiech i oddalić się bez komentarza, zamiast tego jednak przystanąłem i odpowiedziałem mu takim samym niewzruszonym spojrzeniem, nie przestając przy tym niespiesznie jeść gulaszu. Zazwyczaj Todman budził we mnie strach

dorównujący nienawiści, ale nie dzisiaj. Wedle moich obliczeń zabiłem tyle samo ludzi, co i on, i choć był niewątpliwie silniejszy, to ja byłem szybszy.

– Pomóc ci w czymś, chłopcze? – spytał, podchodząc bliżej. Zaprezentował swoją pogardę i brak obaw, zakładając ramiona na piersi, przez co dłonie znalazły się z dala od noża przy pasie. W tamtej chwili wiedziałem, że zabicie go leży absolutnie w granicach moich możliwości. Był zbyt nieostrożny i za bardzo lubił demonstrować swoją wyższość. Wystarczyłoby rzucić mu w twarz miskę z gulaszem, potem jeden szybki ruch noża, podczas gdy on wciąż by pluł i złorzeczył. I nie byłoby już Todmana.

Zduśłem w sobie tę chęć. Miałem świadomość, że zabicie tak pożytecznego członka bandy zaraz po niedawnym niepowodzeniu wystawiłoby wielkoduszność Deckina na próbę, której nie zdołałby sprostać. Nie spuściłem jednak wzroku. Gdyby Todman uderzył pierwszy, nikt nie mógłby mnie winić za to, co stałoby się później.

Jednak, ku mojemu zdumieniu, Todman nie zaatakował.

Patrzył, jak jem swój gulasz, a ja patrzyłem, jak nozdrza mu się rozdymają, a twarz czerwienieje z bezsilnej wściekłości. Najwyraźniej tak jak ja oceniłem jego możliwości, on ocenił moje. I wiedziałem, patrząc na niego, że był to człowiek, który szczerze żałował, że nie zabił mnie przed laty.

– Wszystko się zmienia, chłopcze – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Jego łaska słabnie za każdym razem, gdy coś spieprzysz. A ona też nie będzie tu zawsze.

Ledwie wypowiedział te słowa, a natychmiast zacisnął usta, jego policzki też nie były już czerwone, a powleczone błądzą strachu. W tym towarzystwie jedno niewłaściwe słowo mogło oznaczać śmierć, a on właśnie powiedział ich kilka. Mówić źle o Lorine było równie niebezpiecznie, co krytykować przywództwo Deckina. Może nawet bardziej, wzięwszy pod uwagę jej niesamowitą zdolność do znajdowania tych o niewłaściwych poglądach.

Uniosłem brew, zapraszając Todmana w ten milczący sposób, by kontynuował swoje wywody, czego oczywiście nie zrobił.

– Idź gapić się na kogoś innego – burknął, odwracając się do mnie plecami. – To gra dla mężczyzn. – Kucnął i wrzucił szeląg do kręgu, po czym stracił go natychmiast po niezdarnym rzucie kośćmi.

Dopilnowałem, by usłyszał, że się śmieję, zanim poszedłem dalej.

Gdy kończyłem gulasz, mój spacer z miską przywiódł mnie w pobliże ogniska Fornala. Jak to zwykle bywało, myśliwy urządził sobie nocleg w znacznym oddaleniu od reszty. Była to niewypowiedziana, obustronna umowa, że on nie będzie nas dręczył swoją niekończącą się paplaniną, w zamian za sposobność uniknięcia widoku naszych nieskończone grzesznych zachowań. W konsekwencji tego, zazwyczaj trzymał się na uboczu, póki Deckin nie zdecydował, że go potrzebuje, przy czym samotność Fornala jakoś nie zatrzymywała nigdy potoku płynących inwektyw.

– Jako z poświęceniem, tak i ze współczuciem... – mówił, gdy wyszedłem z za potężnego wiązu i zobaczyłem, jak chodzi wokół niewielkiego ogniska, z zamkniętymi oczyma i głową odchyloną do tyłu, podczas gdy dobywał kolejne słowa z głębin studni pamięci. – Jako ze współczuciem, tak i z odwagą. Ze słowami tymi Męczennik Lemtuel przyjął cierpienie, strzał swych prześladowców, pogan o czarnych sercach, ale jedno spośród nich nie było całkiem czarne...

– A Lemtuela to nie zachłostano na śmierć? – zapytałem, przerywając mu gwałtownie recytację.

Brwi Fornala ściągnęły się gniewnie, gdy otworzył oczy i skierował na mnie i surowe, i osądzające spojrzenie.

– Wybatożony setką uderzeń, potem przebity setką strzał, z których żadna go nie zabiła i to jeden z pogan musiał zakończyć jego cierpienia. Tak z poświęceniem, tak ze współczuciem.

– A, racja – odparłem z szerokim uśmiechem, który wcale nie złagodził tego osądu w jego spojrzeniu.

– Pamiętasz moje słowa? Że z tobą skończyłem, niewdzięczniku?

– Pamiętam. Pamiętam też, że gównu mnie to obeszło. – Prowokowanie go nie należało do czynów mądrych, bo Fornal był daleko bardziej niebezpieczny niż Todman. A jednak, gdy tylko znajdowałem się w jego towarzystwie, nigdy nie brakło mi śliny na szyderstwa.

A jednak zamiast spodziewanych grózb czy nawet wymachów pięści, tym razem Fornal się roześmiał. Był to krótki, chrapliwy dźwięk, dziwny tylko dlatego, że rozlegał się tak rzadko.

– Myślisz, że nie widzę twojej duszy, niewdzięczniku? – zapytał, tonem pełnym sprawiedliwej satysfakcji. – Widzę cię naprawdę. Myślisz, że jesteś sprytny, a jednak jesteś głupszy od reszty tych szumowin. Oni są ślepi na swój los, ty masz dość rozumu, by dostrzec swój, a jednak tego nie czynisz powodowany gnuśnością i strachem. Jak myślisz? Jakie będzie twoje życie? Myślisz, że pewnego dnia poprowadzisz tę bandę, że będziesz nowym Królem Banitów? Nie. Zatrata upomni się o ciebie o wiele wcześniej.

Jęknąłem z teatralnym zdumieniem i ruszyłem dalej. Kazania Fornala o Męczennikach były nużące, ale kiedy zaczynał gadać o Zatracie, stawał się nieznośny.

– Nadchodzi, niewdzięczniku – wołał za mną, płonąca w nim pasja kazała mu porzucić zakorzeniony głęboko zwyczaj zachowania ciszy. – Przywołana grzechami i rozpustą tego świata hipokrytów! Nie oszczędzi cię! I nadejdzie pożoga! I nadejdzie cierpienie! Jako było wcześniej, tak stanie się raz jeszcze, gdy ponownie utracimy łaskę Serafilów...

W tym momencie, drogi czytelniku, możesz spodziewać się relacji z mojego często wspomnianego Objawienia. Czy to był właśnie moment mojej epifanii? Czy kazania tego bezrozumnego fanatyka otworzyły mi oczy na prawdę Przymierza i skierowały na drogę do ostatecznego odkupienia?

Pokróćce: nie. Nie wierzyłem ani jednemu słowu, nie wtedy, gdy pokiwałem mu szyderczo na do widzenia i odszedłem, a jego głos ścigał mnie przez las. Moja wiara przyszła później. Dar, którego nigdy nie chciałem i za który nie czuję wdzięczności. Jeśli z pokrętej, często chaotycznej ścieżki mojego życia można wyciągnąć jakąś naukę, to jest nią wiedza, że prawdziwa wiara, nie bezmyślna hipokryzja zdesperowanych, przerażonych kundli jak Fornal, jest bardziej przekleństwem niż błogosławieństwem. Nie, żeby ten biedny dureń o tym wiedział. To dziwne, ale nigdy nie czułem doń nienawiści, gdy myślę o nim teraz, myślę z mieszaniną litości i pogardy, bo przecież trudno jest znienawidzić człowieka, który uratował ci życie.



Knieja Shavine była znacznie większa, zanim potrzeby kuźni i stoczni wysłały hordy drwali i smolarzy, które spustoszyły las do jego dzisiejszych rozmiarów.

Mimo że to spustoszenie trwało, kiedy grasowała banda Deckina, knieja w mej pamięci wciąż jest ogromna. Często myślę o niej jako o potężnym zwierzu, rozległym lewiatanie prastarych drzew z nielicznymi polanami i niezliczonymi, zdławionymi przez korzenie wąwozami, gdzie sprytni i doświadczeni banici mogli miesiącami, a nawet latami wymykać się księżącym szeryfom.

Kiedy więc nadszedł czas, aby zwinąć obóz i ruszyć ku Polanie Leffolda, uczyniliśmy to w ostrożnie wolnym tempie, w ciszy i doskonałym porządku przemykaliśmy z jednej kryjówki do następnej. Zmarły książę lubił od czasu do czasu wysłać oddziały żołnierzy i myśliwych w co ciemniejsze regiony kniei, gdzie przy odrobinie szczęścia jego ogarom udawało się wywęszyć jednego czy dwóch szubrawców, w sam raz na szubienicę. Czy ten nowo mianowany kuzyn okaże się równie sumienny pozostawało na razie pytaniem bez odpowiedzi i Deckin nie miał ochoty ryzykować i zwiększać tempa wędrówki.

Jego decyzja nie zyskała wielu zwolenników, aczkolwiek nikt nie był tak głupi, by to powiedzieć. Podróżowanie u progu zimy

oznaczało dni przykrego marszu po oszronionej ziemi, gdzie zwierzyny było mało, a ogniska nie chciały płonąć. Noce były jeszcze gorsze – dygotałem w ciemności całe godziny i jedyną ulgą bywało towarzystwo Gerthe, która zgadzała się czasem przytulić do mnie dla rozgrzewki. Niestety, zgadzała się tylko na tulenie, a ja zbyt dobrze pamiętałem o jej ostrym sztylectcie, by zaryzykować śmielszy ruch ręką.

Polana Leffolda znajdowała się jakieś dwadzieścia mil na północ, w gęstym lesie, między sercem księstwa a jego podmokłą granicą na północnym wschodzie. Dotarcie do polany wymagało pokonania kilku mil otwartego terenu, co robiliśmy jedynie w nocy i zawsze w starannie ustalonym porządku. Łucznicy szli rozstawieni po obu flankach, dobre trzydzieści kroków od głównej grupy skupionej wokół Deckina i Lorine, ze sztyletami i różną bronią w rękach. Jako że brakło mi umiejętności łuczniaka i nie byłem dość rosy, aby zostać jednym ze strażników, zazwyczaj wysyłano mnie przodem w roli zwiadowcy, gotowego ostrzec pozostałych przenikliwym gwizdnięciem. Idąc przez otwarty teren banda poruszała się błyskawicznie, pokonując przestrzeń w tempie niewiele mniejszym od biegu. Chociaż ludzie byłego księcia rzadko wyruszali na patrole w nocy, zdarzało się, że jego szeryfowie zastawiali zasadzki w regularnie uczęszczanych miejscach. Tego dnia uśmiechnęło się do nas szczęście i dotarłem do linii drzew, nie zauważywszy żadnego problemu. Las żył, pełen trzasków i skrzypienia gałęzi. Nawykłem do życia w kniei, ale samotne przebywanie w ciemnej dziczy stanowiło zawsze nieprzyjemne doświadczenie, budziło we mnie strach zrodzony z instynktownego przeświadczenia, że nie było to miejsce i czas dla ludzi.

Dlatego też powinienem cieszyć się na widok Lorine, spieszącej w moją stronę z pióropuszem oddechu bielejącym w ciemności, a jednak było coś w wyrazie jej twarzy, co natychmiast mnie zdenerwowało. Uśmiechała się ostrożnie i obrzuciła mnie jasnym, taksującym spojrzeniem kogoś, kto pilnie wypatruje reakcji drugiej osoby. Zaniepokoiła mnie widoczna w jej twarzy sztuczność, jak również i to, że tak łatwo zauważyłem fałsz. Lorine była zwykle o wiele lepszą aktorką.

– Pomyślałam, że przyda się druga para oczu – oznajmiła. – Skoro nie ma z tobą Erchela.

Rzeczywiście, najczęściej prowadziłem zwiad z Erchelem, ale wskutek otrzymanej kary nie mógł wiele więcej, jak tylko człapać przed siebie, krzywiąc się w cierpieniu. Odpowiedziałem Lorine skinieniem głowy, chuchając i zacierając dłonie. Rozejrzała się ostentacyjnie i odetchnęła z satysfakcją. Być może, gdyby nie ten udawany uśmiech, w moim zasnutym pożądaniem umyśle zrodziłaby się myśl, że Lorine tak to zorganizowała, by mieć nieco prywatności dla flirtu ze mną. W ramach szczególnej nagrody za moją pracę. Niebezpieczna, ale niezmiennie kusząca fantazja, która rozviała się niemal w tej samej chwili, w której przyszła mi do głowy. Ogarnęła mnie paląca chęć ucieczki, wyćwiczony instykt ostrzegał, że szykowała się bardzo, bardzo niebezpieczna rozmowa.

Lorine stuliła dłonie wokół ust i po trzykroć zahukała jak sowa, dając pozostałym znać, że droga jest wolna. Dopiero gdy wokół nas zaczęły pojawiać się znajome cienie odezwała się ponownie.

– Zakładam, że wiesz, co zamierza? – mruknęła.

– Oczywiście, że nie. – Chuchnąłem w dłonie i rozglądałem się niby czujnie, tak by nie spojrzeć jej w oczy.

– Na pewno nie jesteś głupi, Alwynie. Co to, to nie. Wiem, że nas szpiegujesz. Że słyszysz i widzisz więcej, niż powinieneś. – Czulem jej spojrzenie na sobie, mimo chłodu zaczynało mi się robić gorąco i żar ten nie miał nic wspólnego z wyobrazeniami, jak byłoby znaleźć się sam na sam z tą kobietą. Jak to zawsze w życiu bywa, w porównaniu do marzeń rzeczywistość okazała się ostra i nieprzyjemna. – Powiedz mi... – śnieg zachrząścił pod jej butami, gdy podeszła bliżej – co on według ciebie planuje?

– Coś z nowym księciem. – Zaryzykowałem zerknięcie na jej twarz. Nie uśmiechała się już, tylko wpatrywała we mnie intensywnie badawczym spojrzeniem. – Może sążnisty okup. Już to przecież robiliśmy. Złapiemy księcia i król będzie musiał słono zapłacić, żeby go dostać z powrotem.

– Łapaliśmy kupców i jednego czy dwóch szlachciców. To co innego. I skąd ta pewność, że Deckin chce złota za księcia?

„Zdecydowany jestem zostać księciem”. Nie powtórzyłem tego, co Deckin powiedział tamtej nocy, choć Lorine na pewno

wiedziała, że ich słyszałem. Czułem się, jakbym ugrzązł w jamie pełnej jadowitych węży.

– A czego innego miałbyś chcieć? – Pożałowałem tego pytania, gdy tylko słowa opuściły moje usta, bo przyciągnęło Lorine bliżej.

– On z tobą rozmawia – powiedziała cicho. – Mówi ci rzeczy, których nie mówi mnie. Więc między bękartami jest mocna, co? Ty mi powiedz, czego on pragnie.

Pochwyciłem jej przenikliwy wzrok i zrozumiałem, że to nie było retoryczne pytanie. Ona naprawdę myślała, że wiem coś, czego ona nie.

– Czasem rozmawiamy – przyznałem. – On wiele mówi, ale niewiele z tego wynika.

– Powie ci więcej, kiedy ogarną go sentymenty, kiedy będzie musiał wyładować cały ten smutek, całą tę nienawiść i miłość do człowieka, który go spłodził. Kiedyś mówił to mnie. Teraz tobie.

Jej ręka poruszyła się, szybko i gwałtownie, cofnąłem się o krok spodziewając się ostrza. Zamiast tego jednak, coś zamigotało w powietrzu między nami, odbijając słabe światło księżyca, gdy wpadło do mojej dłoni. Życie wcześniej nauczyło mnie, by nigdy nie pozwolić, aby spadająca moneta dotknęła ziemi, bo zawsze znajdzie się wiele rąk gotowych po nią sięgnąć. Srebrny suweren ważył nie więcej niż kilka szelągów, ale zaciążył mi w dłoni, bardziej nawet, gdy Lorine dodała do niego kolejny.

– On będzie mówił ci różne rzeczy – zaczęła – rzeczy, które ja muszę usłyszeć, dla dobra nas wszystkich.

Zamilkła gwałtownie, gdy obróciłem dłoń i obie monety zrobiły małe dziurki w śniegu, gdy spadły.

– Zawsze cię lubiłem, Lorine – powiedziałem. Jej twarz nagle straciła wszelki wyraz, ale chyba też zbladła odrobinę. Spojrzałem ponad ramieniem Lorine na cienie spieszące ku drzewom, zwalisty zarys sylwetki Deckina był wśród nich największy.

– Więc – dodałem, odwracając się od tej nieruchomej maski, jaką stała się jej twarz – zapomnę o tym. I lepiej, żebyś i ty zapomniała.



Polana Leffolda stanowiła chyba najlepiej strzeżony sekret banitów, których bandy przemierzały niegdyś Knieję Shavine, była dogodnie położonym, gotowym miejscem spotkań, gdzie różne grupy wyjętych spod prawa przychodziły zawrzeć sojusze lub rozstrzygnąć spory. Z nieznanых powodów nie została odkryta przez żadnego księcia ani szeryfa, co sprawiło, że stała się miejscem pielgrzymek ludzi naszego pokroju; nie byłes prawdziwym banitą, dopóki nie zobaczyłes Polany.

W tamtych czasach słowo „amfiteatr” nie znajdowało się jeszcze w moim leksykonie, ale z pewnością to miejsce było kiedyś właśnie tym. Prowadzące w dół rzędy schodków tworzyły misę wokół kolistej płaszczyzny o średnicy około czterdziestu kroków. Całość zarosła oczywiście korzeniami i chwastami, ale granit i marmur widoczny pod kocem przysypanej śniegiem zieleni jasno wskazywał, że nie była to naturalna formacja krajobrazu. Choć kamienie popękały już i porosły mchem, miejsce to wciąż tchnęło majestatem, a mój młodzieńczy umysł wyczarowywał najróżniejsze i z pewnością dalekie od prawdy wizje za każdym razem, gdy tu się zjawialiśmy.

Wyobrażałem sobie masę ludzi tłoczących się na tych schodach, wszyscy wiwatowali lub gwizdali, oglądając to, co działo się na arenie poniżej. W rzeczywistości nie mam pewności, że była to rzeczywiście arena. Pisma sprzed Zatrąty są rzadsze niż złoto i choć niektóre z nich nawiązują do walki jako formy rozrywki, inne mówią o ludziach, którzy tak samo uwielbiali sztuki i poezję jak krwawe widowiska. Wtedy jednak takie przypuszczenia były poza zasięgiem mojej wyobraźni i nadal fantazjowałem o krwawych starciach starożytnych, niewolnych wojowników. A potem zwycięzcy z pewnością cieszyliby się względami jednej lub dwóch wielbicielek, których nieokiełznane żądze rozpałał widok krwi...

– Alwynie.

Obróciłem się i dostałem w twarz zewłokiem królika o białym futrze, co niebotycznie rozbawiło Justana.

– Czas gotować! – powiedział mi, wciąż się śmiejąc i podał mi upolowane stworzenia.

Był mężczyzną niewielkiej postury i zdołałbym bez trudu spuścić mu lanie, ale mimo jego upodobania do psikusów, był on najmniej podłym z członków bandy i nie sposób go było nie lubić. Nadto niezwykle sprawnie operował nożem, co zwykle gasiło wszelkie myśli o małostkowej zemście.

– Niech ci pomoże któreś ze szceniąt – odpowiedziałem, mając na myśli kilkanaście niedorostków w naszej kompanii. Po odniesionym ostatnio sukcesie uważałem, że takie zadania są poniżej mojej godności.

– Rozkaz Deckina. – Justan cofnął się i autorytatywnie skinął głową w stronę młodzików przygotowujących ognisko na skraju areny. – Chce urządzić dla naszych gości prawdziwie smaczną ucztę, a gdy mój najdroższy Yelk wyruszył ze swoim zadaniem, ty jesteś drugim z kolei najlepszym kucharzem.

Byliśmy na polanie już niemal trzy tygodnie. Gdy przybyliśmy na miejsce, Deckin wybrał posłańców. Ku mojemu zaskoczeniu, wśród nich znalazł się też Erchel.

– Pamiętaj, żeby powiedzieć wujowi, dlaczego kulejesz i skąd masz te wszystkie zadrapania – polecił mu Deckin i podał mu coś, w czym mniej wykształcone oczy zobaczyłyby jedynie kłęb postrzępionego sznura. W rzeczywistości były to cztery kawałki liny, różnej długości, związane w bardzo szczególny węzeł, którego wykonanie nie jest możliwe dla większości rąk. Niewielu banitów potrafi czytać, ale każdy w Marchii Shavine warty swojej ceny znał znaczenie tych węzłów: wezwanie od Króla Banitów.

Erchel, zastraszony i bojaźliwie posłuszny, jakim nie widziałem go nigdy wcześniej, pokiwał głową i bez cienia sprzeciwu pokuśtykał na wschód. Pozostałe węzły powierzono Twine'owi, Bakerowi i Yelkowi i wysłano ich w trzy pozostałe strony świata. Czekając, aż wezwania Deckina doczekają się odpowiedzi, budowaliśmy schronienia przed coraz dotkliwszym chłodem i coraz cięższym śniegiem, zbierając co się dało z okolicznych lasów. Poprzedniego wieczoru zwiadowcy donieśli o bandach wyrzutków nadchodzących ze wschodu i zachodu, co oznaczało, że Polana Leffolda będzie wkrótce świadkiem największego od wielu lat

zgromadzenia banitów, z których każdy będzie oczekiwać od gospodarza odpowiedniego podjęcia.

Westchnąwszy przełknąłem dalsze protesty i ruszyłem w stronę paleniska.

– Będziemy potrzebować więcej drewna i o wiele więcej wody.

Najbardziej imponującymi zdobyczami naszych myśliwych była para wyrosniętych dzików, które zostały odpowiednio wypatroszone, nabite na rożen i teraz miały obracać się nad ogniem przez wiele godzin, aż będą gotowe do podania. Zarządzałem moją grupą podwładnych ze skutecznością sierżanta, wyznaczając im niezliczone zadania, konieczne, gdy szykuje się posiłek dla wielu osób. Z licznych garnków i kociołków unosiły się obłoki pary, pyrkotała w nich zupa aromatyzowana dzikimi ziołami i szpikiem z kości. Posiadaliśmy całkiem przyzwoite zapasy soli i Deckin dał mi pozwolenie na ich wykorzystanie. Prawdziwe przyprawy trafiały się rzadziej, choć mieliśmy mnóstwo czosnku i tymianku. Gniewne spojrzenie naszego przywódcy skłoniło jednak banitów do oddania prywatnych zapasów pieprzu i cukru, a Gerthe oddała nawet niewielki węzełek z szafranem.

– Zamierzałam to sprzedać na wiosnę – mruknęła z ponurą niechęcią i miałem ochotę oddać jej szafran w zamian za szczególną przysługę. Jednak czując na plecach spojrzenie Deckina tylko uśmiechnąłem się przeprasząco i poszedłem dodać cenne szkarłatne listki do miski z olejem z mielonych orzechów.

Moi młodzi podkomendni przeważnie wykonywali swoje zadania z cichą starannością, bez skarg i kłótni. Jedną ze sprzeczności życia poza nawiasem prawa było to, że ci, którzy zostali powołani doń w młodym wieku, często zachowywali się lepiej, niż można by oczekiwać od dzieci, ale przecież strach jest świetnym narzędziem dyscyplinującym. Nie należało jednak sądzić, że „szczenięta” pozostawały całkowicie posłuszne, albowiem konieczność okazjonalnej korekty była nieunikniona.

– Oj! – huknąłem, uderzając Uffela w tył głowy, gdy jego ręce, zamiast rąbać kości na bulion zawędrowały jakoś ku spódnicom siedzącej obok dziewczyny. Jeśli nie liczyć Lorine, Elga była najładniejszą buzią w naszej bandzie. Miała trzynaście lat,

aczkolwiek mogła uchodzić za młodszą, co czyniło ją pożytecznym członkiem wypraw na rzeźnię miejskich mieszkań. Uffel był od niej o rok młodszy, ale męskie żądze wezbrały w nim wcześniej, wraz z coraz gęściej sypiącymi się pryszczami pełnymi ropy, które pokrywały mu twarz od brwi po szyję.

– Wracaj do pracy – warknąłem, patrząc na niego gniewnie. Posłuchał, ośmieliwszy się jednak na łypnięcie spode łba. Elga, pogodna duszyczka, zachichotała i posłała mu w powietrzu całusa, na co on tylko bardziej wykrzywił krostowatą twarz. Elga nadąsała się, po czym odwróciła do mnie i ukloniła się z wyćwiczoną gracją.

– Dzięki ci za obronę mego honoru, szlachetny panie.

– Taki ze mnie szlachetny pan, jak z ciebie dama. – Nóż w mojej dłoni ciął chrzan z taką prędkością, że prawie tracił kontury. Kiedy sięgałem po kolejny korzeń, zauważyłem Todmana rozmawiającego z Lorine. Zamienili zaledwie kilka przelotnych słów, ale zwróciło to moją uwagę, bo rzadko w ogóle ze sobą rozmawiali. Lorine zdawała się żywić do Todmana niechęć niemalże równą mojej i spodziewałem się, że każda wymiana zdań między nimi będzie krótka i ostra. Tym razem jednak była inna. Słowa, których nie usłyszałem, zostały wypowiedziane bez oczywistej niechęci, a raczej z ostrożną zwięzłością.

– Założę się, że ją byś nazwał damą – odezwała się Elga. – I nie tylko.

Spojrzałem na uśmiechniętą szelmowsko buzię, po czym wskazałem na wpół rozgnieciony czosnek w jej mózdzierzu.

– Jeśli zaraz tego nie zrobisz, będziesz mogła nazywać mnie szlachetnym, gdy skroję ci skórę osinową różgą.

Elga znów się nadąsała, ale posłusznie wróciła do pracy, tymczasem ja patrzyłem, jak Lorine i Todman rozchodzą się w przeciwnych kierunkach, wspominając ciężar dwóch srebrnych suwerek, które włożyła mi w dłoń. Nasuwające się pytanie było tyle oczywiste, co bardzo niepokojące i budzące głęboką rozterkę.

Ile wsunęła w dłoń jemu? Czego oczekiwała w zamian? I najbardziej kłopotliwe ze wszystkich: czy powinienem powiedzieć Deckinowi?



Ponoć w innych częściach świata bandy wyrzutków przyjmują rozmaite nazwy, ale w Kniei Shavine nie zaprzątamy sobie głowy formalnościami. Grupy łączyły się i rozchodziły tak często, że nie sposób było tego śledzić. Banda Deckina była pod tym względem wyjątkiem, ponieważ przez ponad dekadę pozostawała mniej lub bardziej spójną grupą pod jednym przywództwem. Normą były raczej luźno powiązane gangi, często zrodzone z więzów rodzinnych. Te kryminalne bractwa działały, dopasowując się do niejasnej, pozbawionej wyraźnych granic zmiennej mozaiki terytorialnej.

Chociaż Deckin cieszył się niekwestionowanym przywództwem w Kniei Shavine, jego absolutna władza obejmowała serce i południową część lasów. Na zachodnich krańcach trzymały się rozmaite frakcje rodziny Sakhel, które żerowały na karawanach wiozących towary z nadmorskich portów. Mniej zamożna północ pozostawała prowincją, gdzie grasowały mniejsze z band kontrolowane przez braci Thessil, którzy podobno byli kiedyś sierżantami pod sztandarem starego księcia, ale wypadli z łask, bo bez książęcego pozwolenia splądrowali o jedną wioskę za dużo.

To na wschodzie najtrudniej było zauważyć, aby wśród wyrzutków panował jakikolwiek porządek. Różne rody banitów z dziada pradziada wiodły właśnie o niejasnym początku i bezskutecznie walczyły o panowanie. To właśnie jeden z tych rodów, Cuttersowie, wygnał Erchela jeszcze jako chłopca, gdy jego skłonności stały się nie do zniesienia nawet dla jego własnych, nikczemnych krewnych. Deckin przyjął go w ramach przysługi, oczywiście po otrzymaniu odpowiedniej opłaty. Cuttersowie mieli nadzieję, że dyscyplina panująca w bandzie Deckina z czasem wyprostuje pokręconą duszę Erchela. Jak się teraz okazało, jego najdonońszą jak dotąd rolą było pełnienie roli przewodnika dla swojej rodziny.

Krewniacy Erchela przybyli pierwsi, grupa licząca około trzydziestu osób, wszyscy w różnym stopniu podobni do szczurów. Inni banicy ze wschodniej kniei zjawili się na polanie niedługo po

nich, sześć band o różnej liczebności, a każda spoglądała na pozostałe z dziką wrogością, która w normalnych warunkach byłaby wstępem do starcia. Jednak zgodnie z nakazem starego zwyczaju, na Polanie nie wolno było przelać krwi, a ci łajdacy, przy wszystkich swoich wadach, byli zawzięcie przywiązani do tradycji.

Patrzyłem, jak Erchel stoi z boku, gdy Drenk Cutter, jego stryj witał się z Deckinem, obaj śmiali się serdecznie, poklepując się po plecach. Erchel oczy miał spuszczone, plecy przygarbione, bez wątpienia obawiał się, że przyciągnie zbyt wiele uwagi. Zastanawiałem się, czy jest świadom, że jedną z wielu spraw, które miały być omawiane na tym spotkaniu, była sprawa pozbawienia go życia, jednakże miałem co do tego wątpliwości. Erchel posiadał wprawdzie godny pozazdroszczenia spryt i nosa do kłopotów, ale nie był intrygantem czy manipulatorem. Jego instykt wyszlifowany był tak, by zapewnić Erchelowi przetrwanie, osobiście uważałem go za niezdolnego do myślenia o czymś więcej niż tylko o kolejnym dniu.

Następni przybyli bracia Thessil, obaj zbliżali się do czterdziestego roku życia, obaj mocno zbudowani, prowadzili grupę liczącą sześćdziesiąt osób. Deckin powitał ich w sposób bardziej formalny niż krewniaków Erchela, ukłonił się obu, lekko, ale z szacunkiem, a następnie uścisnął im dłonie. Bracia nie byli bliźniakami, ale mieli taki sam wzrost i ubiór i obaj przyjęli podaną rękę z identyczną sztywną ostrożnością. Nosili się z żołnierska i ubierali schludnie, co odróżniało ich od większości banitów zgromadzonych na polanie. Przyglądając się, jak usiłują ukryć pogardę, widoczną w ich grubo ciosanych rysach, gdy spoglądali na zebranych banitów, uznałem ich za ludzi, którzy woleliby pozostać pod sztandarem.

Ostatni zjawili się Sakhelowie, największa po naszej banda, licząca sobie setkę członków, którzy wyłonili się o zmroku spomiędzy drzew. Na przestrzeni lat ich grupa rozpadała się i formowała ponownie niezliczoną ilość razy, jednak zachowali jednolitość strojów i zdobienia twarzy. Słyszałem, że wywodzili się z wojowników wygnanych z mroźnych pustkowi północnego Fiordowego Geldu wiele pokoleń temu – legenda ta zdała mi się całkiem wiarygodna, gdy zobaczyłem wiele wytatuowanych twarzy, z przebitymi nosami i uszami. Sakhelowie byli również bandą

najlepiej uzbrojoną, każdy jej członek nosił miecz lub topór, niektóre inkrustowane runami, świadczącymi o starożytnym pochodzeniu.

Przewodziła im wysoka kobieta o jasnych włosach, które wydawały się złote w świetle gasnącego dnia. Wąż długiego warkocza splewał ze środka jej czaszki, w pozostałych miejscach wygolonej do cna i pokrytej gęstymi tatuażami run. Ona i Deckin byli prawie tego samego wzrostu i od razu zauważyłem, że oboje w tym samym momencie przechylili głowy.

– Szybko się postarzałeś – stwierdziła kobieta z szerokim uśmiechem. – Widzę siwiznę w twojej brodzie.

– Odrobinę. – Deckin uśmiechnął się równie szeroko. – Ale ty, Shilvo, to raczej odmłodziłaś jeszcze.

– A idźże! – roześmiała się i padli sobie w objęcia. – Tęskniłam za tobą, stary łotrze! – powiedziała mu, po czym chwyciła go dłonią za kark i zetknęli się czołami. – Wychodzi na to, że Ojciec się mylił. Przetrwałeś sam dłużej niż jedno lato.

– Niewiele brakowało, a miałbyś rację. Niemal straciłem głowę już pierwszego tygodnia, a nie lata. – Deckin objął Shilwę za ramiona i poprowadził w głąb polany. – Mam świniaki na rożnie i piwo, które trzeba wypić.

Jak można się było spodziewać, gdy najgorsze szumowiny całego księstwa zebrały się razem i zostały ugoszczone obfitością jedzenia i trunków, noc okazała się huczna. Moja starannie przygotowana ucztą zniknęła pochłonięta żarłocznie w kilka chwil. Wszystko zostało zjedzone bez, muszę to stwierdzić, większego uznania dla mojej pracy, czy choćby podstawowej uprzejmości w postaci podziękowania. Moje subtelnie opracowane smaki zalane zostały rzeką piwa i brandy, przez co wiele głosów podniosło się w pieśni. Nieliczni wśród nas, wyrzutków, muzycy przynieśli flety i mandoliny i wkrótce rozbrzmiał na wpół melodyjny hałas, a na arenie rozpoczęły się tańce. Tu i ówdzie dochodziło do przepychanek, ale nie do bijatyk, prawo Polany i groźba niełaski Deckina wystarczyły, aby stare waśnie zostały odłożone na bok, przynajmniej na tę jedną noc.

Zachowawszy sporą porcję mojego najstarannie przygotowanego gulaszu, wziąłem miskę i udałem się na poszukiwanie Gerthe, mając nadzieję, że jej upór w sprawie

otrzymywania wynagrodzenia został nadwerężony spora ilością trunku. Niestety nadzieje te prysły, gdy zobaczyłem, jak znika w mroku z dwoma wytatuowanymi łotrami z klanu Sakhel. Z jej głośnych chichotów wywnioskowałem, że, istotnie, dziś odłożyła interesy na bok, tylko że nie dla mnie.

Pocieszałem się gulaszem i kubkiem brandy i przyglądałem goszczonym kobietom, szukając potencjalnej szansy. Jedyłą, która odwzajemniła moje spojrzenie była dziewczyna o wąskiej twarzy, siedząca między krewniakami Erchela. Zacząłem obmyślać plan, jak wyłuskać ją z tego podejrzliwego towarzystwa, kiedy rozległ się głos Deckina, silny i dźwięczny:

– Podoba wam się ta uczta, przyjaciele?

Muzyka i pieśń umilkły zagłuszone wiwatami zebranych złoczyńców.

– Macie pełne brzuchy? – zapytał Deckin, odsłaniając zęby w uśmiechu, co wywołało kolejną falę wiwatów. – Czy piwo, którym was podjąłem raduje wasze dusze? Czy serca w was rosną?

Nastąpiły kolejne wiwaty, kufle i kubki zostały podniesione wysoko, i nagle owo hałaśliwe wyrażanie wdzięczności ucichło, albowiem twarz Deckina pomroczyła, a ściągnięte wargi obnażyły teraz zęby w nienawistnym grymasie.

– Wszyscyście bandą bezrozumnych cip!

Z ustami wykrzywionymi w szyderstwie surowej oceny powiódł wzrokiem po twarzach pustych bądź zdumionych. Zauważyłem, że tylko Shilva Sakwa nie wyglądała na zaskoczoną, tą gwałtowną zmianą nastroju i ukryła uśmiech za uniesionym kuflem. Słyszałem wcześniej, jak Deckin wspominał o niej czasami. Zazwyczaj szorstko, acz z szacunkiem. Teraz jednak zrozumiałem, że ich związek jest o wiele głębszy i dłuższy niż wcześniej podejrzewałem. Shilva, tak samo jak ja, wiedziała, że pełne wściekłości przemówienie, jakie mieliśmy usłyszeć, było przedstawieniem starannie przygotowanym, aby osiągnąć bardzo szczególny wynik.

– Jakże łatwo byłoby was wszystkich pozabijać tej nocy – huczał Deckin. – Mógłbym poderznąć gardło każdemu z was, zatraceni. Zaprawić wasze trunki cykutą, która stępiłaby wasze zmysły, i nawet byście tego nie wyczuli, głupcy. Myślicie, że jesteście

tu bezpieczni? – Szerokim gestem ogarnął ruiny starożytnego amfiteatru. – To tylko kupa starych kamieni. Myślicie, że las ten stanowi naszą ochronę? Mylicie się. Jest naszym więzieniem. Stary książe zaryzykował zdradę i za to zginął. Nowy książe jest królewską marionetką i możecie postawić wasze dusze na to, że pierwsze, co Tomasz nakaze swej pacynce, to rozprawić się ostatecznie i na zawsze z nami wszystkimi.

Deckin zamilkł na chwilę, obrócił się i przywołał do siebie Fornala.

– Wielu z was zna tego człowieka – rzekł, kładąc dłoń na ramieniu Fornala. – I wiecie, że jest to człowiek, który, choć związał się z wyrzutkami, nigdy nie kłamie. Nazywają go Fornalem Prawdomównym. Powiedz im więc, Prawdomówny, o jeńcu, którego wzięliśmy na królewskim trakcie i co nam ten jeniec powiedział, zanim skonał.

Fornal, o którym przed dzisiejszą nocą nikt nigdy nie powiedział „prawdomówny”, odkaszlnął i podniósł wzrok na tłum banitów. Zazwyczaj, gdy trafiała mu się rzadka okazja przemówić przed większą publicznością, czynił to głosem silnym, głosem kaznodziei, cytującym pismo tak długo, jak długo słuchacze byli w stanie to znieść. Teraz mówił znacznie ciszej, aczkolwiek wciąż na tyle głośno, by słyszeli go wszyscy obecni. Dla tych, którzy go znali, był to głos kłamcy.

– Żołnierz, którego pojaliśmy, był śmiertelnie ranny i wkrótce też opuścił ten świat. Desperacko pragnął obecności suplikanta, by ten wysłuchał jego testamentu, ostatecznie jednak zrzucił ciężar swej duszy przede mną, bo widział, że jestem prawdziwie oddany Przymierzu Męczenników. – Fornal zamilkł na sekundę zaledwie, ale ja widziałem, jak gardło jego pracuje nerwowo, by zwalczyć nagłą suchość. – Człowiek ten był kapitanem kompani Kordwainu i znał całkiem sporo królewskich rozkazów przeznaczonych dla nowego księcia. Powiedział, że tysiąc królewskich i setka rycerzy mają zostać odesłani z wojny z Pretendentem. Dołączą do książęcych zaciężnych, by przeczesać tę przeklętą knieję od krańca do krańca. Każdego parszywego drania, którego pojną, czeka szubienica. Jeśli trzeba będzie, spalą las do gołej ziemi, by wyłapać wszystkich. A gdy nadejdzie wiosna, nie

będzie już więcej banitów nękających Marchię Shavine. Tak rozkazał król i tak się stanie. – Raz jeszcze przełknął ślinę, ale rysy jego zastygły w niezłomną i pewną maskę człowieka prawdomównego. – To usłyszałem z ust umierającego, który nie miał powodu kłamać.

– I to nie wszystko! – dodał Deckin, a mnie nagle ścisnęło w dołku, bo jego dłoń wyciągnęła się ku mnie, a palce skinęły nakazująco. – Niektórzy z was znają tego młodego banitę. – Śmiech zebranych przywitał mnie, gdy wstałem i podszedłem do Deckina, zmuszając się do zażenowanego uśmiechu. – Nazywają go Lisem z kniei Shavine. Ma najbystrzejsze oczy i uszy w całym księstwie i choć zatwardziały z niego kłamca... – jego dłoń spoczęła na moim ramieniu, lekko, ale jej ciężar równy był wadze suwerenów Lorine – ale nigdy nie okłamuje mnie, bo chce zachować te swoje bystre oczy! – Nastąpił kolejny wybuch śmiechu i dłoń na moim ramieniu zacisnęła się odrobinę. – Powiedz im, Alwynie.

Nie zakaszlałem. Nie przełknąłem nerwowo śliny. Zamiast tego przywołałem na twarz grymas ponurej niechęci i podniosłem czyste, uczciwe spojrzenie ku zaabsorbowanym twarzom ludzi, którzy wpatrywali się we mnie w milczącym oczekiwaniu.

– To prawda, wszystko to prawda – powiedziałem. – Ostatnio wysłano mnie na przeszpiesi do Ambraside. Nasłuchałem się opowieści żołnierzy o nagrodach, jakie im obiecano, srebrnego suwerena za głowę każdego banity, którą przyniosą. Niektórzy opowiadali nawet, jak to zabawią się z każdą kobietą, jaką złapią, zanim jeszcze odetną im głowy. Z dziewczynkami też, i śmiali się z tego.

Delikatny nacisk palców Deckina powiedział mi, że dość nakłamałem, może nawet za bardzo. Jednakże narastający pomruk gniewu wokół nas świadczył o tym, że słowa moje trafiły we właściwą strunę.

– Widzicie zatem, przyjaciele. – Dłoń Deckina ześlizgnęła się z mojego barku, gdy odszedł on o kilka kroków, unosząc ręce w geście, który był rozkazujący i błagalny zarazem. – Widzicie, że nie wezwałem was tutaj po to, byśmy zaplanowali jakąś wielką kradzież dla napełnienia sakiewek. Wezwałem was tutaj, byśmy zaplanowali, jak przetrwać.

Pozwolił wybrzmieć pomrukowi gniewnej zgody, zanim podjął ostrzejszym już tonem, bardziej rozkazującym:

– Ta knieja należy do nas. Wedle wszelkich praw natury i sprawiedliwości, las ten jest nasz. Albowiem wywalczyliśmy go i zapłaciliśmy krwią. A teraz książątko bez pochodzenia, królewski podlizuch, który nigdy nie podniósł miecza w obronie domu i rodziny, chce nam ten las odebrać. Zamierzam go powstrzymać. Zamierzam położyć kres ukrywaniu się i rejterady, gdy uciekać musimy przed gorszymi od siebie. Zamierzam pokonać tego króla, Tomasa Dobrego, którego znamy wszyscy jako Tomasa Pijawkę, tego kłamcę, tego złodzieja, który pograżył kraj w biedzie i zalał go krwią, a jednak wciąż wymaga lojalności od ludzi, których pozbawił wszystkiego. Jeśli chce głów, dajmy mu jakieś. Dajmy ze sto. Tysiąc, jeśli trzeba będzie. Tyle, ile trzeba, by zrozumiał wreszcie, że knieja nie należy do niego i nigdy nie będzie. A zacznijmy od tego podlizucha, tego przydupasa, którego wysłał przeciwko nam. Kto jest ze mną?

Pomruk zmienił się w krzyk, a krzyk stał się rykiem. Wszyscy złodzieje, rzezimieszki, koniokrady, nożownicy, szulerzy i dziwki poderwali się na nogi, wykrzykując z całych sił pragnienie przyłączenia się do sporu Deckina Scarla. Zauważyłem jednak, że ich przywódcy wiwatowali z daleko mniejszym entuzjazmem. Bracia Thessil klaskali i wymieniali ze swymi ludźmi gorliwe uśmiechy, ja jednak nie miałem wątpliwości, że była to gra. Stryj Erchela, Drenk, był najbardziej wylewny, rozlał piwo wykrzykując poparcie wraz z jego dziko wrzeszczącymi krewniakami, ale nawet w jego niewielkich, pijanych oczach połyskiwał niepokój. Z powodów, których nie potrafiłem wyjaśnić, najbardziej kłopotliwa była, w mych oczach, reakcja Shilvy Sakhel – śmiała się ona głośno, podczas gdy jej ludzie pohukiwali i krzyczeli, rozpaleni głodem oczekiwania. Jej śmiech nie był jednak przejawem entuzjazmu, raczej pełnym zaskoczenia, serdecznym rechotem kogoś, kto usłyszał wyjątkowo zabawny żart.

Ramię Deckina otoczyło moje i w miarę jak wiwaty grzmiały, Król Banitów uściśnął mnie mocno.

– Niezła robota, chłopcze – powiedział cicho, nadal uśmiechając się do tłumu gości. – Zawsze kłamiesz najlepiej, gdy

znajdujesz się w centrum uwagi. Nie sądzę jednak, że trzeba było wspominać o dziewczynkach.

– Przepraszam, Deckinie.

– Och, nic się nie stało. – Poklepał mnie po piersi. – Zeżrą każde gównno, które im zaserwuję i jeszcze poproszą o dokładkę.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, jak spochmurniał odrobinę, zatrzymawszy spojrzenie na Shilvie, która wciąż dawała upust swojej radości.

– Jednak rankiem – westchnął – nadejdzie ta trudniejsza część.



To nie jest armia. – Danick Thessil był starszym z braci i to on głównie mówił. Jak się spodziewałem, jego pozorny entuzjazm dla planu Deckina wyparował o poranku. Rubin, młodszy brat, milczał, zachowując ponurą minę przez większą część tej konwersacji. – A to nie są żołnierze. – Danick machnął ręką w stronę polany, gdzie gęstniały obłoki dymu nad ognisk, w miarę jak kolejni banici budzili się, aby odcierpieć skutki poprzedniej nocy.

Deckin zwołał przywódców pozostałych grup na małą polanę w pewnej odległości od starożytnego amfiteatru. I włączył mnie do tego dostojnego zgromadzenia, ku memu ogromnemu zdumieniu. Mniejszym zaskoczeniem okazał się rozkaz Deckina, bym pozostał na uboczu i nic nie mówił, chyba że zostanę wywołany do odpowiedzi. Danick Thessil jako pierwszy zaferował swoje wątpliwej wartości przemyślenia na temat proponowanego przedsięwzięcia, a wyrazy twarzy pozostałych świadczyły o podobnym przywiązaniu do realizmu. Drenk Cutter wyraźnie odczuwał skutki wypicia zbyt dużej ilości piwa, ale jego zaczerwienione oczy mimo to lśniły sprytem. Podobnie jak u bratanka, jego instynkt przetrwania był doskonale wyszlifowany i nie mogły go zmącić, żadne emocje, jakie Deckin obudził w pozostałych członkach klanu. Shilva Sakwa uśmiechała się

półgębkiem, a chwilami nawet śmiała się pod nosem. Najwyraźniej jej rozbawienie wywołane wypowiedzią Deckina nie minęło.

– To jeszcze nie jest armia, istotnie – przyznał Deckin. Często podziwiałem jego umiejętność do zmiany nastroju w zależności od potrzeby. Gniewne natchnienie z minionej nocy zostało zastąpione celową, spokojną perswazją. – Ale będzie. Wszystkie rewolucje zaczynają się od iskry, która rodzi ogień. Polujemy na kupców i szlachciców, nie na biedotę. Oni wiedzą, kim są ich prawdziwi wrogowie. Ilu zmarło zeszłej zimy, bo ich zapasy zrabowano w imię zbierania królewskich podatków? Ilu tej zimy ma puste brzuchy i chore dzieci?

– Polujemy na kupców i szlachtę, bo oni mają pieniądze – powiedziała Shilva, wciąż uśmiechnięta. – Biedota ich nie ma. Ani broni, zbroi czy koni. Nie, żeby nam na tym zbywało.

– Kosa albo siekiera mogą zabić równie szybko jak miecz – odparł Deckin. – Zbroja jest użyteczna, kiedy się ją nosi. Nie zamierzam uderzyć wtedy, gdy nasi przeciwnicy będą wyszykowani do bitwy.

– Zatem zabijemy nowego księcia, prosty lud powstanie, dając nam wsparcie i księstwo będzie nasze, tak? – Shilva wyglądała, jakby znów miała parsknąć śmiechem.

– Jaką mamy alternatywę? – Deckin skinął w stronę, gdzie stałem opierając się o drzewo w pozie, która, miałem nadzieję, wyrażała nonszalancką pewność siebie. W rzeczywistości głowa bolała mnie od nierozważnego mieszania piwa i brandy, a wnętrzości targał uporczywy, mdlący bulgot, który miał tyle samo wspólnego ze strachem, co wybrykami minionej nocy. – Słyszeliście, co mówił chłopak. Ruszą na nas, Shilvo. Nie miej wątpliwości.

Wzrok jasnowłosej banitki pomknął w moją stronę i rozbawienie na jej twarzy zastąpił głęboki namysł. Starłem się odpowiedzieć równie nieruchomym i badawczym spojrzeniem, zachowując przy tym nieprzeniknioną minę, ale nie wytrzymałem i mrugnąłem raz czy dwa.

– Chcesz mnie wciągnąć podstępem w wojnę, przyjacielu? – zapytała, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Mój żołądek wybrał ten niefortunny moment, aby wydać wilgotne warknięcie, i poczułem, jak zdradliwa strużka potu zaczyna

pełznąć po mojej czaszce od czubka w stronę czoła.

– Chyba znasz mnie na tyle, żeby wiedzieć, że nie – odpowiedział Deckin. – I wiem, że przystąpiłabyś do wojny tylko wtedy, gdyby były z niej zyski. I będą. Zmierzając do swojego księstwa, Elbyn wiezie skrzynię pełną złotych suwerenów, które zgodnie z rozkazem króla mają być rozdzielone między innych szlachciców. Kiedy go pochwycimy, podzielicie się zawartością skrzyni. – Rozłożył ręce, żeby zapewnić braci i Drenka, że ich też obejmuje jego hojność. – Ja nie wezmę ani monety. Po wszystkim, możecie przyłączyć się do mnie i zabezpieczyć naszą przyszłość w tym księstwie lub wrócić do swoich nor bez cienia pretensji z mojej strony. – Zamilkł na moment, pozwalając, by przynęta zrobiła swoje. Jedna trzecia skrzyni pełnej królewskich złotych suwerenów warta była ryzyka ze strony każdego banity, albowiem stanowiła szansę na spełnienie ambicji nas wszystkich, równie słynnej, co rzadko osiąganey: wygodnej emerytury.

– I twój chłopak widział też tę skrzynię? – zapytała Shilva, wodząc wzrokiem ode mnie do Deckina. Pochwyciły mnie szpony paniki, że zostanę wezwany do wygłoszenia kolejnego kłamstwa, które na pewno wykryje ta kobieta, o aż nadto przenikliwych oczach. Na szczęście kolejne kłamstwo wygłosił Deckin.

– Myślisz, że mam tylko jednego szpiega? – Rzucił Shilvie spojrzenie spod uniesionej brwi. – Teraz zaprocentuje to, co wypracowałem przez lata. W tym księstwie jest wielu takich, którzy są mi winni lojalność większą niż jakiemuś odległemu królowi, którego nigdy nie widzieli, czy tchórzliwemu fircykowi wyniesionemu do książęcej godności przez zwykły przypadek krwi – mówił z twardym, niepodważalnym autorytetem, wpatrując się w ich twarze po kolei. – Słowem ręcę, że złoto tam będzie, a wiecie, że słowa nie dają lekko i nigdy nie łamię.

To przynajmniej było prawdą. Co do reszty, któż mógł to wiedzieć? Moje liczne dochodzenia i niekończące się rozważania nad wydarzeniami, które nastąpiły potem, nie potwierdziły, ani nie zaprzeczyły istnieniu legendarnych suwerenów, które rzekomo miały przywieźć ze sobą świeżo upieczony książę. Mogę jedynie z całą pewnością stwierdzić, że w tej chwili wszyscy obecni, nawet

sceptyczna Shilva Sakwa, uwierzyli w niezłomne słowo Deckina Scarla.

– Gdzie? – spytała po krótkiej chwili zastanowienia. – Kiedy?

– Zamek Duhbos – odparł Deckin. – Siedziba lorda Duhbosa, naj słynniejszego i najbardziej poważanego rycerza w Marchii Shavine, który jest, jak się złożyło, mężem siostry nowego księcia. Elbyn musi szybko zapewnić sobie wsparcie, jeśli chce rządzić księstwem. Wątpię, aby Duhbos był zadowolony z tego, jaki koniec spotkał Rouphona, razem walczyli w Wojnie Książąt. Orszak księcia najprawdopodobniej już tam dotarł, ale będzie zobowiązany pozostać do czasu uczty z okazji Tłustego Księżyca. Wcześniejszy wyjazd byłby obrazą dla jego szwagra, który będzie również oczekiwał deszczu drogich podarków.

– Zabijanie w czasie Tłustego Księżyca jest rzeczą niegodną – wtrącił Drenk Cutter wysokim, ochrypłym głosem. – Ponoć sprowadza to Malecytów, którzy dopuszczają się na ziemi plugawych czynów. – Przez sekundę patrzył na Deckina, po czym parsknął szczekliwym śmiechem. – Ale gównu mnie to obchodzi. Za tyle suwerenów pozwoliłbym Malecytom zerznąć moją babkę. Moi ludzie staną za tobą, Deckinie, możesz na to liczyć, ale... – na wychudłej twarzy odmalował się wyraz powagi – musisz zapomnieć o tym, o co mnie prosiłeś.

Deckin wzruszył ramionami i machnął lekceważąco dłonią.

– Dobrze. Ale nie będę trzymał twego bratanka ani chwili dłużej. Chcesz, żeby ten zatraceniec żył, zabieraj go i obu wam życząc szczęścia.

Bracia Thessil wymienili długie spojrzenia. Choć pracą umysłu przewyższali przeciętnych banitów, nadal napędzała ich chciwość i marzenie o wygodnej starości. Nadto najpewniej martwiła ich ewentualna reakcja pozostałych członków bandy, gdyby nie odpowiedzieli na wezwanie Deckina.

– Jedna trzecia złota – oznajmił Danick. – I pierwszy chcę wybierać z zasobów zamkowej zbrojowni.

– Stoi – rzekł Deckin i odwrócił się do Shilvy z wyczekującą miną. – Twój ojciec marzył zawsze o własnym składzie kupieckim w Farinsal – naciskał. – Za twoją część mogłabyś kupić sobie flotę.

– Mój ojciec miał głowę pełną marzeń – odpowiedziała. Jej rozbawienie minęło bez śladu, jeśli wciąż uważała ten pomysł za żart, to za kiepski. – Ostatecznie to marzenia go zabiły. Marzenia mają zdolność przyćmiewania rozsądku. – Wyprostowała się z głębokim westchnieniem rezygnacji. – Ale moi ludzie szarpią się na smyczy po twych wspaniałych słowach i pewnie pójdą za tobą, nawet jeśli odmówię im błogosławieństwa. Wchodzę w to, Deckinie, ale wiedz, że gdy tylko dostanę swoją część, natychmiast ruszam do domu.

– Moja pani... – Deckin pochylił głowę w dwornym ukłonie – nie spodziewałbym się niczego innego.

– Zamek Duhbos to solidna forteca – wytknął Denick. – A jego pan to zawołany żołnierz. Szturmowanie murów nie wchodzi w grę.

– I nic takiego nie planuję – zapewnił go Deckin. – Znam zamek z czasów, gdy byłem chłopcem i pracowałem w tamtejszych stajniach, wtedy dobrze poznałem jego sekrety. Istnieje droga, ukryta i trudna, ale święteczna ucztą zamaskuje nasze wejście, będziemy w środku załatwiać nasze sprawy, zanim jeszcze usłyszą pierwszy alarm.

– Trzeba nam listy – stwierdziła Shilva. – Kogo zabić, kogo oszczędzić.

– Żadnej listy. – Rysy Deckina wyrażały ponurą pewność, mówił cicho, ale nieubłaganym tonem. – Żadnego oszczędzenia. Wszyscy muszą zginąć, każdy szlachcic, żołnierz i sługa, w przeciwnym razie przedsięwzięcie to skazane będzie na porażkę, zanim jeszcze się zacznie.

– Lord Duhbos cieszy się powszechną sympatią – zauważył Danick. – Zarówno wśród pospólstwa, jak i szlachty. A jego małżonka nie ma jeszcze osiemnastu wiosen.

– Ale ma łono, w którym już może wzrastać ziarno zasiane przez jej męża. – Deckin odpowiedział jeszcze ciszej, jednak nie mniej rozkazująco. – Linia Ambrisów musi się skończyć. Wszyscy muszą zginąć. Nikogo nie oszczędzimy.



– Chcesz mi coś powiedzieć, Alwynie?

Jak na mężczyznę tak wielkiego, Deckin miał niepokojącą umiejętność pojawiania się za czyimiś plecami, bez najmniejszego ostrzeżenia. Jestem pewien, że sprawiało mu to nieustającą przyjemność, niemal tak wielką, jak wypowiedanie nieoczekiwanych i niechcianych pytań.

Jedno spojrzenie na jego spokojny, ale uparty wyraz twarzy powiedziało mi, że wykręcanie się lub protesty byłyby bezcelowe, a nawet niebezpieczne. Rozpoczęliśmy marsz do Bagiennego Jeziora dzień po jego naradzie z innymi przywódcami, cztery grupy zmierzały do punktu zbornego we wsi Omszały Młyn, każda inną drogą z obawy przed zwróceniem na siebie niepożądaney uwagi. Mimo to przemieszczanie się tak licznych złoczyńców nie mogło pozostać całkowicie niezauważone, zwiadowcy mieli rozkaz uciszyć leśniczych i inne sługi książęce, które mogliby napotkać. Dano im również pozwolenie, by w razie konieczności zajęli się nawet biedakami, jednym słowem każdym, kto byłby zbyt dociekliwy albo skłonny biec do najbliższego szeryfa z cennymi wieściami. W efekcie oznaczało to, że Deckin udzielił zgody na to, by banici z Kniei Shavine mordowali i rabowali w drodze na północ. Jak na sławnego czempiona ludzi niskiego stanu, wydawał się wyjątkowo niewzruszony tym, co im zgotował, gdyż jego umiejętność odczytywania moich nastrojów pozostała niezawodna jak zawsze.

– Masz niemało odwagi, gdy pięści i ostrza idą w ruch – dodał, zrównując się ze mną. – Jednak w międzyczasie ten twój wielki mózg zaczyna mieć pożywkę ze wszystkich możliwych strachów. Szczególnie, gdy masz jakieś powody do obaw. Wyrzuć je z siebie.

W gruncie rzeczy, dwie kwestie dręczyły mnie ponad inne i zdecydowałem się powiedzieć to, co uważałem za mniej groźne.

– Książęca skrzynia pełna suwerenów – postarałem się, aby w moim głosie nie było słyhać żadnych emocji poza zwykłą ciekawością.

– Co z nią?

– Wydaje mi się, że jeśli mamy być teraz żołnierzami, a nie banitami, przejęcie tego księstwa będzie kosztowne. Jeśli oddamy wszystkie te suwereny innym, co nam zostanie? Banici zawsze mogą

odejść i ukraść więcej, jeśli trzeba, ale żołnierze potrzebują zapłaty, jeśli mają pozostać w szeregach.

Deckinowi błysnęło w oku, gdy spojrział na mnie z ukosa, a jego broda poruszyła się w sposób, który znamionował pełną rozbawienia satysfakcję.

– Zaledwie dzień drogi od mojej wielkiej przemowy, a ty już przestałeś myśleć jak złodziej. – Roześmiał się i dał mi żartobliwego kuksańca. – To coś, nad czym warto się zastanowić, oczywiście. Jednym z powodów, dla których tak długo wstrzymywałem się z rozpoczęciem tego planu, była kwestia zapłaty. Bo masz rację, młody Alwynie, żołnierzom trzeba płacić. Uwierz mi jednak, że sprawa jest już załatwiona. – Zamilkł i dodał już z daleko mniejszą wesołością: – Albo będzie wkrótce, teraz wiem, gdzie Ogar składał głowę.

– Ogar? – powtórzyłem, bo po raz pierwszy słyszałem to miano i przewyciężyło to moją zwyczajną ostrożność. Wypytywanie Deckina nigdy nie było dobrym pomysłem, szczególnie, gdy nie miało się na to pozwolenia.

– Lepiej, żebyś nie zawracał sobie tym głowy – powiedział, a błysk w jego oku zmienił się w lśnienie ostrzeżenia.

Szybko opuściłem głowę, nisko, jak dyktowała skrucha.

– Przepraszam, Deckinie.

Mruknął cicho, ale nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Co jeszcze, Alwynie? Wyczuwam, że martwi cię coś więcej niż tylko przyzwoity udział w łupach.

Powinienem wiedzieć, że wywęszy obie niepokojące mnie kwestie, przy czym głośnie wspomnianie o tej drugiej było niewątpliwie niebezpieczne.

Jednak, gdy Król Banitów przewiercał kogoś tym stalowym, wymagającym spojrzeniem, milczenie nie wchodziło w grę. Odetchnąwszy głęboko, rozejrzałam się, by zyskać pewność, że w zasięgu słuchu nie ma nikogo innego.

– Lorine... – zaczęłam, a Deckin przerwał mi wybuchając śmiechem.

– Do ciebie też przyszła? – zapytał, gdy się uspokoił. – Chciała znać szczegóły naszych pogawędek, jak mniemam. I co ci oferowała? Srebrnego suwerena?

– Dwa – odparłem, prowokując kolejny wybuch śmiechu.
– Todmanowi dała jednego. Jakbym mógł powiedzieć mu coś, co byłoby warte więcej od szurczego gówna.

– Powiedział ci?

– Oczywiście. To nie jest człowiek, który by się wahał, gdy może wyjednać sobie przychylność. W przeciwieństwie do ciebie, co?

Nagle szarpnięcie serca skłoniło mnie do wydukania jakiego wyjaśnienia, on jednak uciszył mnie ruchem głowy.

– Uspokój się, chłopcze. Nie po raz pierwszy Lorine draży tam, gdzie nie powinna i zapewne nie ostatni. Intrygi i knowania to jej największa umiejętność, poza nękaniami mnie swoimi frasunkami. – Ściągnął brwi w ponurym grymasie. – Przyznam, że kiedy już będzie po wszystkim, nie wiem, co z nią począć. Zrobienie z niej księżnej spowoduje całą masę rozmaitych komplikacji.

– Księżnej? – Słowo wymknęło się mi, zanim zdołałem ugryźć się w język, spłynęło z niego pod wpływem zaskoczenia, jak również olśnienia. Słyszałem, jak deklarował swoje ambicje, ale usłyszeć te słowa ot tak, było bardziej szokujące. Więc on naprawdę chce to zrobić, pomyślałem, i zaraz po tym przeszył mnie spazm niepokoju, że Deckin może poczuć się urażony, ale on tylko roześmiał się ponownie.

– A jak myślisz, do czego zmierzał ten mój wielki plan, Alwynie? Nie może być księstwa bez księcia, prawda?

Tym razem udało mi się powstrzymać potok pytań, które kipiały w mojej głowie, i ograniczyć odpowiedź do niezbyt mądrej miny, godnej kalekiego żebraka, którego tak często udawałem.

– Chcesz wiedzieć, jak zwykły bękart mógłby się odważyć i zasiąść na książęcym tronie? – zapytał Deckin. – Myślisz, że z pewnością król nigdy nie tolerowałby takiego skandalu. Pozwól, że podzielę się z tobą nauką, którą otrzymałem od mojego ojca. Pewnie uważasz, że go nienawidziłem, i masz rację. Jak mógłbym nie nienawidzić człowieka, który odmówił uznania mnie? Człowieka, który skazał swojego syna, swojego najstarszego syna, dodam, na życie w głodzie i łajdactwie. Jednak nienawiść nie rodzi się z obojętności, lecz z doświadczenia. Nienawidziłem go, bo go znałem. Moja matka może i nie była jego ulubienicą spośród kobiet,

które trzymał w różnych domach i zamkach, obdarzywszy każdą tytułem ochmistrzyni, i opłacał godziwie, bo zawsze był hojnym rozpustnikiem. Moja matka miała ostry język, który nie zawsze wetowała jej słynna uroda, wystarczająco ostry, by zmusić ojca do znalezienia dla mnie miejsca, gdy z niemowlęcia zmieniałem się w skrzeczącego, irytującego malca. Najpierw obracałem rożen w kuchni, pocąc się godzinami w żarze ognia i zastanawiając się, czy tym razem upiekę się razem z mięsem. Później wywoziłem gnój ze stajni, pielilem ogrody i wykonywałem wszelkie inne prace, do których zmuszali mnie jego zarządcy. Wszyscy wiedzieli, czyja krew płynie w moich żyłach, nie była to żadna tajemnica, ale też nie temat, który można było poruszać, a już na pewno ja nie mogłem. Nie szczędzono mi ani różgi, ani pięści, dawano do jedzenia ochłapy i wysyłano do spania z psami. Mój ojciec lubił swoje psy, był dla nich bardzo dobry i znał imiona wszystkich. Kłębiły się wokół niego, szczekały i łasiły się, gdy rozdawał smakołyki i czułe słowa, słowa, jakich nigdy nie wypowiedział do mnie. Przeżyłem lata pod jego dachem, wleczony w jego orszaku z jednego zamku do drugiego, i przez cały ten czas nie usłyszałem ani jednego słowa z ust mego ojca. Ale to nie dlatego go nienawidziłem, choć twierdzę, że to wystarczający powód. Moja matka zmarła miesiąc po moich trzynastych urodzinach. Jakiś rodzaj choroby zrodzonej z obrzęku w jej łonie, tak mi powiedzieli, a raczej powiedzieli jemu, ja stałem obok, kuląc się i próbując nie płakać. Wydaje mi się, że to właśnie przez moje pociąganie nosem zwrócił na mnie uwagę, ten jeden, jedyny raz. Przez chwilę taksował mnie spojrzeniem. „Teraz jest wystarczająco wytrzymały”, powiedział zarządcy. „Zaprowadź go do sierżanta”.

Deckin zamilkł, a jego spojrzenie stało się nieobecne. Widziałem po jego twarzy, że wspominał te wydarzenia z niechęcią i rozumiałem, że rzadko snuł tę opowieść, może nawet nigdy jej jeszcze nie opowiedział.

Kiedy znów się odezwał, uczynił to z udawaną, wystudiowaną lekkością człowieka, który przez całe życie był cynikiem.

– Sześć lat pod sztandarem. Miałem szczęście zostać żołnierzem, gdy Wojny Książąt znów nabrały rozpędu. Jeśli jakikolwiek skurwysyn powie ci, że bitwa to wspaniała rzecz, masz

moją zgodę na wycięcie mu kłamliwego języka. Mimo to, dzięki armii zyskałem cenną wiedzę i wiele przydatnych umiejętności. Nauczyłem się, że aby poderznąć gardło leżącemu rannemu, trzeba mu zacisnąć dłoń na ustach i pochylić się nad nim, aby inni myśleli, że łagodzisz jego ostatnie chwile dobrym słowem. Nauczyłem się, że żołnierze często trzymają swoje najcenniejsze drobiazgi w butach, pamiętaj o tym, jeśli kiedykolwiek będziesz miał okazję poszukiwać łupów na polu bitwy. Ale przede wszystkim nauczyłem się tego, że szlachta nie dba o życie tych, nad którymi się stawia, wszystko, na czym jej zależy, to bogactwo i władza. Bliźniacze pragnienia. Widzisz, maszerując poza zamkiem mojego ojca więcej dowiedziałem się o mojej rodzinie niż w czasie spędzonym w jego murach. Okazało się, że nie dalej niż dwanaście dekad temu krewni mojego ojca byli ledwie o stopień wyżej od najgorszej biedoty. Roszczenia Rouphonów do książęcego tronu zrodziły się, gdy poprzedni książę zirytował jakiegoś króla lub innego władcę w kwestii spornych praw wodnych lub czegoś w tym rodzaju. Nieważne. Ważne jest to, że wszystko to doprowadziło do krwawej masakry, po której zubożała rodzina Ambris nagle okazała się niepewną posiadaczką praw do tytułu książęcego... Ambris, które król zdecydował się poprzeć, ponieważ biednych ludzi zawsze łatwiej przekonać do siebie niż bogatych. Pełny brzuch po życiu w zimnie i głodzie może kupić głęboką lojalność. Co więcej, pierwszy książę rodu Ambris, sir Miltram, sam był bękartem, tak jak ty i ja. To wszystko zostało zapisane w kronikach, trzeba tylko poszukać. Wspomniano również, choć to niełatwo znaleźć, że sir Miltram, zdobywszy tytuł i księstwo, spędził kolejny rok, polując i mordując każdego nieszczęśnika, w którego żyłach płynęła choćby kropla krwi starego księcia. Gotowość do zrobienia tego, co konieczne, bez względu na skrupuły, od dawna była jedną z cech mojej rodziny. Ten pierwszy książę, przy swym marnym pochodzeniu, wiedział coś bardzo ważnego. Jeśli chodzi o władzę: można ją odziedziczyć przez prawo krwi, ale prawdziwie zdobyć i utrzymać można ją tylko poprzez jej przelanie. Pretendent to człowiek bez kropli królewskiej krwi, mimo że twierdzi inaczej, z całą armią u boku i sporą szansą na przejęcie tronu Algathinetów. W tym królestwie niejednym bękart zaszedł wysoko i może zrobić to ponownie.

– Wszyscy muszą zginąć – powiedziałem głosem tak mdłym i słabym, jak tylko mogłem. – Nikogo nie oszczędzimy.

– Tak. – Uśmiechnął się ponuro i zatrzymał, zmuszając mnie do tego samego. – Masz – powiedział, sięgając do kieszeni płaszcza z niedźwiedziej skóry. – Nagroda za twoje wystąpienie na Polanie. Nie chciałem, żebyś ją od razu roztrwonił.

Ujął mój nadgarstek i upuścił na dłoń srebrnego suwerena.

– Kazałem Gerthe zapomnieć o innych klientach, gdy dotrzemy do Omszałego Młyna. – Objął mnie za ramiona, gdy podjęliśmy wędrówkę przez śnieg. – Dostaniesz swoją izbę w karczmie. A kiedy w przyszłości będziesz mówił o mnie, Alwynie, bez względu na to, co będą mówić inni, ty mów o mnie dobrze.

Resztę dnia szliśmy razem, a on opowiadał o bitwach, które widział jako żołnierz, o sierżancie, którego zamordował, kiedy zdezerterował, i o wszystkich swoich przygodach, które spotkały go później. Lubię myśleć, że tego dnia nauczyłem się od Deckina Scarla więcej niż przez wszystkie poprzednie lata. Jednak najważniejsze czego nauczyłem się od niego, było to, że każda ambicja jest głupotą, jeśli nie idzie w parze z rozsądkiem.



Omszały Młyn był jedyną większą osadą, która wyrosła w granicach północnej części Kniei Shavine. Istniały inne przysiółki i skupiska nędznych chałup rozrzucone na obrzeżach wielkich zielonych polaci, ale tylko o Omszałym Młynie można było powiedzieć, że jest prawdziwą wioską.

Jej status prawny pozostawał stale nierozstrzygniętą kwestią, gdyż wszystkie wsie w księstwie miały otrzymać prawa miejskie, głównie po to, żeby ułatwić ściąganie podatków. Ponieważ osiedlanie się w kniei było stanowczo wzbronione, więc wieś w świetle książęcych rejestrów w ogóle nie istniała. Jednakże mieszkańcy Młyna przekazywali znaczną część rocznych dochodów książęcym leśniczom, którzy należeli zarazem do najcenniejszych klientów tutejszych karczm i burdeli, i dbali o to, aby książę otrzymał, co mu należne. W ten sposób Omszały Młyn mógł istnieć i być użytecznym przystankiem dla banitów i leśników. Chociaż w granicach wsi nie obowiązywał uznany tradycją pokój, jak na Polanie Leffolda, to nadal powszechnie akceptowano Młyn jako teren neutralny, gdzie obowiązywał rozejm pomiędzy książęcymi szeryfami a banitami, pod warunkiem, że jedni i drudzy nie pojawiali się w wiosce zbyt licznie i w tym samym czasie.

Wielu ludzi Shilvy Sahken dotarło do Omszałego Młyna przed naszym przybyciem, podobnie jak kilkunastu rzezimieszków braci

Thessilów. Rozbili obóz na granicy wioski i nad brzegiem rzeki, w pobliżu młyna, od którego pochodziła nazwa wsi.

– Skąd ci wszyscy zatracenci, Deckinie? – zapytała Izzie Sakwa ze stopni swojej gospody. – Wczoraj cała banda dzikusów z zachodu, dzisiaj wy.

Izzie była kobietą słusznej postury. Niemal dorównywała wzrostem Deckinowi, a już na pewno reputacją i pozycją. Przedmiot, który dał początek jej przezwisku, miała zawsze pod ręką, zawieszony na szyi, na szerokim pasie skóry i wedle plotek wypełniony monetami. Największa gospoda w mieście, faktoria handlowa i młyn znajdowały się w posiadaniu Izzie bądź jednego z jej licznych dzieci. Stanowili żyty klan i nie należało im wchodzić w drogę. Ludzie, którzy powodowali kłopoty w Omszałym Młynie mieli skłonność znikać po cichu i bez śladu. W normalnych okolicznościach Deckin rzuciłby jowialnie kilka uspokajających słów, tego dnia jednak odpowiedział Izzie równie pochmurnym spojrzeniem.

– Mamy interesy na północy – odparł twardo. – I to nie jest kwestia negocjacji. – Odczepił od pasa ciężki mieszek i rzucił go Izzie. – Za niedogodności. Za dwa dni ruszymy w drogę. Do tego czasu będziemy tak cicho, jak sobie życycie, a wszystkie towary i piwo zostaną opłacone, ale chcę, żeby twoi ludzie siedzieli w domach i nigdzie się nie kręcili.

Na szerokiej, pociętej zmarszczkami twarzy Izzie pojawił się grymas niechętniej frustracji, Sakwa dokładnie i niespiesznie zbadała zawartość mieszka. Z pewnością była w tym lesie kimś, z kim należało się liczyć, ale była też na tyle mądra, by rozpoznać człowieka potężniejszego, zwłaszcza gdy przynosił jej pieniądze.

– Nie chcę nic o tym wiedzieć. – Pociągnęła nosem, zawiązując mieszek, po czym wrzuciła go do swej sakwy. – Bez względu na to, o co chodzi. Zjawią się szeryfowie i nie zagwarantuję wam, że nikt z moich nie będzie gadał.

– Nie zjawią się – zapewnił ją Deckin. – Po prawdzie, mogę ci powiedzieć, że upłynie sporo czasu, zanim znów zobaczycie szeryfa.

Sakwa raz jeszcze pociągnęła nosem, w jej zmrużonych oczach błysnęła ciekawość, ale ostrożność, jak zawsze u Izzie, wygrała z chciwością i kobieta nie zadała już żadnych pytań.

– I pewnie chciałbyś dużą izbę, co? – zagadnęła domyślnie.
– Owszem. – Dłoń Deckina opadła na moje plecy, co wywołało zduszone chichoty. – Ale nie dla mnie.



– Wiesz, Alwynie... – Gerthe westchnęła i materac zafalował, gdy uniosła głowę z moich kolan, by oprzeć ją na moim ramieniu. – Muszę przyznać, że spodziewałam się ździebko więcej entuzjazmu.

Przetarłem palcem brew, by zgarnąć z niej zlepiony potem kosmyk włosów i odpowiedziałem zdyszany:

– Trzy razy to jak dla mnie dość entuzjastycznie.

– To nieźle, przyznaję. – Skubnęła zębami płatek mojego ucha, drażniąc mnie rozkosznie, ale nie na tyle jednak, by wzbudzić we mnie zapal do dalszych zmagania. – Ale u takiego młodzieńca jak ty... – Cmoknęła z dezaprobatą. – Kiedyś, w Farinsal, najął mnie guwerner pewnego lordziątka. Pięć razy dobił do portu tej pierwszej nocy. Ledwie chodziłam na drugi dzień. – Zachichotała na poły z nostalgią, a na poły uwodzicielsko, jej palce zatańczyły po moim wilgotnym brzuchu i przełożyła nogę przez moje uda. – Mam swoje standardy, rozumiesz, a za całego suwerena można naprawdę dużo kupić. Nie chcę, żebyś pobiegł do Deckina i powiedział, że się rozczarowałeś, tak?

– Nie jestem rozczarowany. – Wycisnąłem na jej czole pełnego wdzięczności całusa. – Tylko... zmęczony.

Westchnęła ponownie i porzuciwszy dalsze zaczepki, wtuliła się we mnie. Mimo ciemności czułem, że patrzy na mnie, oczyma, które dostrzegały niemal to samo, co moje, gdy tylko miała odpowiedni nastrój.

– To nie zmęczenie – mruknęła. – Znowu myślisz. Biedny Alwyn. – Dźgnęła palcem moją skroń. – Tu zawsze zbyt wiele się dzieje. O co chodzi tym razem? Zapomniałeś coś powiedzieć Deckinowi? Czy kombinujesz, jak tu wreszcie pozbyć się Todmana? – Zachichotała, gdy stężałem cały. – W porządku. Ja też go nie lubię.

Zatem... – Raz jeszcze sprawiła, że materac podskoczył, tym razem nagłaco... – O co chodzi?

– Wiesz, co Deckin planuje?

– Byłam jakby zajęta czymś innym, gdy wygłaszał swą mowę, ale popytałam innych. Chce przejąć księstwo.

– A jak chce je przejąć? Tego też się dowiedziałas?

– W ten sam sposób, w jaki bierzemy wszystko inne, jak sędzę.

– Chce, żebyśmy zabili wszystkich w tym zamku. Każdego szlachcica, każdego sługę, nawet... – Umilkłem, przytłoczony wizją ciężarnej oblubienicy lorda Duhbosa, którą miałem przed oczami nawet w trakcie niedawnych wysiłków. Nigdy nie widziałem tej kobiety i nie wiedziałem, czy ten stary cap istotnie uczynił ją brzemienną, ale nie powstrzymało to mego umysłu przed tworzeniem kolejnych obrazów młodej piękności o porcelanowej cerze i nabrzmiałym brzuchu, leżącej bez życia pośród swych krewniaków. „Wszyscy muszą zginąć”.

– Zabijałeś już wcześniej – powiedziała Gerthe. – I ja także, jeśli oto chodzi. Taki los tych z nas, którzy zdecydowali, że nie umrą w rynsztoku, gdzie się urodzili. Nie oplakuj szlachciców, Alwynie. Oni nigdy nie zapłaczą nad tobą.

Przytuliła się mocniej i wznowiła kuszenie z natarczywą niecierpliwością, aż wreszcie sięgnęła w dół i mruknęła z zadowoleniem.

– To już lepiej. Do roboty.

Miała mnie właśnie dosiąść, gdy zza zamkniętego okna usłyszałem nagły, ostry krzyk. Rosnące zgromadzenie banitów przez całą noc było źródłem coraz głośniejszego szmeru rozmów, przeplatanej okazjonalną piosenką lub wybuchem hałaśliwego śmiechu. Ale ten dźwięk brzmiał inaczej, to był krzyk zrodzony z bolesnego zaskoczenia, a nie z żartobliwego dogadywania. Gerthe go zignorowała, próbowała się usadowić i jęknęła zirytowana brakiem reakcji z mojej strony.

– No do kurwy nędzy, Alwynie...

– Cicho! – Nasłuchiwałem z wytężeniem, gdy rozległ się kolejny krzyk. Początkowo myślałem, że to ludzie Shilvy wdali się w bójkę, jak to lubią czynić złoczyńcy, gdy noce im się dłużą. Jednak w tym krzyku była dodatkowa szorstkość, przeszywająca nuta, znak,

że zadana została prawdziwa, może nawet śmiertelna rana. A bardziej jeszcze niepokojące było ciche, ale słyszalne brzęknięcie stali uderzającej o stal. Następny dźwięk sprawił, że Gerthe zeszytniała. Oboje rozpoznaliśmy ten twardy i suchy trzask. Kusza.

– Kurwa! – W mgnieniu oka zsunęła się ze mnie i zgarnęła ubrania. Ja starałem się znaleźć swoje. Wciągnąłem portki i koszulę i począłem wzuwać buty, tak się spieszyłem, że paznokciami ranilem własną skórę, albowiem na zewnątrz hałas przybrał na sile i rozległ się charakterystyczny chór ludzi toczących bitwę.

– Czekaj! – syknąłem, gdy Gerthe, znacznie lepiej wyćwiczona w pospiesznym zakładaniu ubrań ruszyła do drzwi. Zasznurowałem buty, narzuciłem kubrak i założyłem pas z nożami, po czym dobyłem dwóch najdłuższych. W dłoni Gerthe zobaczyłem ostrze w kształcie półksiężyca, które nosiła na wypadek kłopotów.

– Klótnia czy szeryf? – zapytała, krzywiąc się, gdy zgiełk na zewnątrz został przerwany wieloma twardymi stuknięciami.

– Za wiele kusz na klótnię. – Złapałem ją za rękę i poprowadziłem ku schodom. – Zapomnij o walce. Biegnij w stronę drzew. Jeśli nas rozdziela, wracaj na Polanę.

Zbiegliśmy po schodach, ale oboje stanęliśmy na widok ciał leżących w poprzek wejścia do gospody. Leżały jedno na drugim, kobieta z wytatuowanymi ramionami, która wyglądała na jedną z klanu Shilvy, spoczywała pod drgającym ciałem mężczyzny. Miał poranioną twarz i nie od razu rozpoznałem Bakera w zalanej krwią masce. Jego rozerwane usta poruszały się, gdy próbował formować słowa, ale w oczach widniała już pustka nadchodzącej szybko śmierci.

Znów zabrzmiały krzyki i rozległ się grzmot kopyt, który oderwał moje spojrzenie od umierającego łuczника. Wpatrzyłem się w mrok za drzwiami. W ciemnym prostokącie przemykały sylwetki biegnących mężczyzn, za którymi przetoczyły się konie w pełnym galopie. Trwało to jedynie chwilę, ale zobaczyłem błysk ognia odbity w pancerzu, co znaczyło, że do wioski przybyli rycerze, a nie ludzie szeryfa, noszący zwykle skórzane zbroje. Wnioski były oczywiste. Możliwe, że jakiś patrol szeryfa przypadkiem wpadł na tymczasową armię Deckina, ale żaden rycerz nigdy nie zjawiłby się w Omszałym Młynie, chyba że w bardzo konkretnej sprawie.

– Tylne wyjście – rzuciłem i pociągnąłem Gerthe przez pustą izbę, odsuwając na bok powywracane stoły i ślizgając się po rozlanym piwie. Na szczęście w drzwiach na tyłach nie leżały trupy, czego nie można powiedzieć o drodze za nimi. Krew ciemniała w oszronionych koleinach. Tylko połowę zabitych stanowili banici, pozostali byli wieśniakami, których i tak ścięto bez wahania. Wodziłem po nich wzrokiem, aż wypatrzyłem zwaliste zwłoki, które rozpoznałem. Nawet po śmierci Izzie zdołała utrzymać swoją sakwę, której zawartość rozsypała się w kałuży krwi właścicielki. Ale większy szok wywołały dwa mniejsze ciała leżące obok. Gdy się zbliżyliśmy, z piersi Gerthe wyrwał się szloch.

Śmierć zwykle ograbia twarze z urody, ale blada buzia Elgi pozostała śliczna, gdy dziewczyna wpatrywała się w niebo niewidzącym wzrokiem. Ciało Uffela leżało na niej. Z jego rozerwanego odzienia i nienaturalnie powykręcanych członków obojga wywnioskowałem, że Uffel zasłonił Elgę własnym ciałem, chcąc uratować ją przed śmiercią pod końskimi kopytami. Nadaremnie.

Oderwałem spojrzenie od zwłok i rzuciłem okiem w obie strony, po czym przebiegłem na drugą stronę drogi, ciągnąc za sobą Gerthe za rękę. Okrążyliśmy gospodę i, usłyszawszy parskanie i tętent galopujących koni, przez płot przeleźliśmy do chlewu. Kucnęliśmy i nasłuchiwalismy łomotu końskich kopyt i zgiełku walki i rzezi. Wkrótce protestujące popiskiwanie świń zmusiło nas do zmiany miejsca. Po kilku chwilach gorączkowych uników i biegu od jednej kryjówki do drugiej znaleźliśmy się w wąskiej szczelinie między szopą a chatą. Zaledwie dwadzieścia jardów dalej znajdował się zbawienny azyl lasu.

Linie drzew oświetlał migotliwy blask podpalonych domostw. Chór krzyków za naszymi plecami dowodził tego, że bitwa szybko zmieniała się w masakrę, której świadkiem nie chciałem być.

– Chodź – szepnąłem, mocniej ujmując dłoń Gerthe i ruszyłem w stronę drzew. Zdołałem zrobić zaledwie kilka kroków, gdy jej uścisk zwiotczał nagle, a ona gwałtownie wciągnęła powietrze. W innych okolicznościach posłuchałbym pewnie wyćwiczonego instynktu i biegłbym dalej, ale trudno jest porzucić kobietę, którą pieprzyło się przez ostatnie kilka godzin.

Zatrzymałem się, obróciłem i poczułem gwałtowną ulgę, bo Gerthe wciąż stała. Aczkolwiek jej opuszczone ramiona i bezwładnie pochylona głowa nie mogły należeć do kogoś żywego. Trzeba było sekundy, bym zauważył lotkę sterczącą ze środka jej klatki piersiowej. Bełt przyszpilił Gerthe do ściany szopy. Dlaczego nie usłyszałem zwalnianej cięciwy pozostanie dla mnie wieczną tajemnicą, aczkolwiek lata doświadczeń nauczyły mnie, że w czasie rzezi zmysłom umyka wiele rzeczy.

Terkot korby sprawił, że odwróciłem wzrok od Gerthe, wiotkiej niczym szmaciana lalka, w stronę człowieka, który stał kilkanaście jardów dalej. Miał na sobie starą i zaniedbaną kołczugę, której czerwono-brązowe, pordzewiałe kółka kontrastowały ze świeżo wypolerowaną płaszczyzną napierśnika. Widoczna pod źle dopasowanym hełmem gładka twarz, zroszona była potem i powleczone bładością. Nie przestawał kręcić korbą. Nasze oczy się spotkały, jego były jasne i pełne strachu, zrozumiałem wtedy, że to młokos niewiele starszy ode mnie. Młodziak, który mimo strachu zdołał tej nocy zabić przynajmniej raz. Zdołał też, co zauważyłem w następnej chwili, naciągnąć cięciwę do połowy.

Dłoń Gerthe wyslizgnęła się z moich placów. Rzuciłem się do szarzy. Kłęby śniegu podnosiły się za mną, z gardła wyrывał mi się chrapliwy warkot dzikiego gniewu. Bardziej doświadczony żołnierz rzuciłby kuszę i dobył sztyletu. Ale ten był tylko przestraszonym chłopcem, młodszym jeszcze, niż początkowo sądziłem. Trzeba mu było oddać, że zanim doń dobiegłem, zdążył dociągnąć cięciwę do zamka, ale bełt, który wydobyl z kołczanu, wyfrunął mu z ręki, gdy schyliłem się najpierw, po czym wyprostowałem gwałtownie, wbijając mu nóż pod brodę. Oplotłem go ramieniem i przewróciłem, wciąż pchając nóż głębiej. Upadek zapewnił mi ostatnią uncję nacisku i ostrze dosięgnęło mózgu.

Szarpnął się pode mną, zakaszłał, opluwając mi twarz krwią, i legł nieruchomo. Dźwignąłem się z trupa i szybko rozejrzałem w poszukiwaniu innych żołnierzy, ale żadnego nie zobaczyłem, chwyciłem więc martwego chłopca za nogi i zaciągnąłem go do szopy. Nie byłem obeznany z paskami i zapięciami, które trzeba było obłaskawić, aby zdjąć i założyć napierśnik, więc zajęło mi kilka gorączkowych minut szamotaniny, zanim zamknąłem swoją klatkę

piersiową w ciężkiej konstrukcji. Z hełmem poszło mi łatwiej i, jak uznałem, pasował mi lepiej niż poprzedniemu właścicielowi. Nie wiedziałem, ile mam czasu, zostawiłem zatem pozostałe wyposażenie zmarłego chłopca, poza sakiewką z marnymi ośmioma szelągami oraz kołczanem i kuszą, które zgarnąłem ze śniegu, gdy już wyszedłem z szopy.

Nie uciekaj, nauczyłem się w duchu, przyjąłem, jak miałem nadzieję, żołnierską postawę i ruszyłem przez śnieg, obierając rozmyślnie pokrętną trasę wiodącą ku ciemnej ścianie lasu. Teraz widziałem już innych – halabardzistów odzianych w czerwień i złoto, barwy, które oglądałem ostatnio w dzień egzekucji poprzedniego księcia. Żołnierze króla. Przeczesywali obrzeża wioski i przebijali każdego nieszczęśnika, który jeszcze dychał.

Po mojej stronie kraniec Omszałego Młyna wyznaczało wiodące do lasu wzniesienie, które oferowało doskonały widok na centrum wsi. Duża jej część była spowita dymem z płonących domów. Jeśli nie liczyć kilku leżących na uboczu budynków, każde domostwo w Omszałym Młynie pożerały płomienie, tworzące jaskrawy spektakl zmieniających się cieni, które odgrywały sceny o różnym stopniu grozy.

Widziałem, jak jeden z członków bandy Shilvy, potykając się, nie przestawał wymachiwać toporem na otaczający go krąg opancerzonych oprawców. Wielki, kudłaty facet o imponującej posturze, wykrzykiwał wyzwiska w dialekcie Fiordowego Geldu przy każdym bezskutecznym zamachu, jego krzyki zmieniły się we wrzask bólu, gdy jeden z żołnierzy ruszył do przodu i wbił mu w nogę grot halabardy. Wrzaski zmieszały się ze śmiechem, gdy pozostali żołnierze zamknęli okrąg, podnosząc i opuszczając halabardy i gizarmy.

– Czego stoisz i się gapisz, durniu jeden!

Zobaczyłem krępego halabardnika biegnącego przez śnieg nieopodal. Zalał mnie żar ulgi i wdzięczności za agonalny kaszel zabitego kusznika, bo krew musiała rozmyć moje rysy na tyle, by w ciemności jego towarzysz nie zauważył zamiany.

– Powal tego skurwysyna! – krzyknął, wskazując na coś w pobliżu drzew.

Podążywszy wzrokiem wzdłuż jego ręki, wyłowiłem na tle kołyszących się cieni drzew biegnący kształt – długonogą postać, która poruszała się w imponującym tempie. Niewielu było w naszej bandzie ludzi o takim wzroście, a tego widywałem na tyle często, że rozpoznałem sylwetkę natychmiast. Miałem przed sobą Fornala.

Nie będę twierdził, że zawahałem się przed podjęciem działania. Nie będę, drogi czytelniku, obrażał twojej przenikliwości i opisując udrękę lub niechęć, gdyż czuję, że wiesz już, jaka była moja dusza na tym etapie naszej historii. Chciałbym jednak, aby wiadomym było, że nie odczuwałem żadnej przyjemności, gdy wyciągnąłem bełt z kolczanu i ułożyłem go w łożu kuszy. Nie czerpałem też przyjemności z podniesienia broni i celowania, gdy kolczasty grot sunął nad śniegiem, póki nie napotkał uciekającego cienia Fornala. Mimo wszystkich swoich wad, nudnych przekonań i niekończących się kazań, był jednym z nas i zwolnienie cięciwy sprawiło mi ból. Oczywiście nie taki, jak Fornalowi.

Nie byłem szczególnie wprawny ani doświadczony w posługiwaniu się kuszą, ale Erchel i ja bawiliśmy się jedną ze skradzionych na tyle często, że opanowałem podstawy. Poza tym uważam, że bliskość niechybnej śmierci wyostrza umiejętności, jeśli tylko uda się opanować strach na tyle, by powstrzymać drżenie rąk.

Bełt wyrysował w powietrzu płaski łuk, trafił Fornala w ramię, obrócił i cisnął na ziemię, ku zadowoleniu mego nowego towarzysza.

– Przynajmniej masz oko. No dalej... – klepnął mnie w ramię, mijając – pozwolę ci zatrzymać połowę tego, co ma przy sobie.

Ruszyłem jego śladem przez śnieg znacznie wolniej, odwracając nieustannie głowę, by sprawdzić, jak daleko są pozostali żołnierze. Na szczęście, gdy dotarłem do Fornala, najbliżsi byli już ponad sto kroków dalej.

– Jeszcze masz siły do walki, co? – zauważył halabardnik radośnie, unikając kopnięć długich nóg Fornala. Ten wpatrywał się w nas z twarzą wykrzywioną wściekłością i bólem, z barku sterczał mu zakrwawiony grot bełtu, a jedno ramię zwisało wiotko i bezużytecznie. W drugiej ręce trzymał nóż i raz za razem próbował się podnieść i rzucić na halabardnika, zanim ból powalił go ponownie.

– Błagam was, Męczennicy – usłyszałem, jak sapie – dajcie mi siłę, abym mógł zadać cios niewiernym.

– Pobożny banita! – wykrzyknął żołnierz z pełnym zachwytem zaskoczeniem. – Wybacz, przyjacielu. – Uniknął kolejnego zamachu Fornala i uderzył go drzewcem halabardy w bok głowy. – Męczenników nie ma tu dziś w nocy. Przybyliśmy tylko my, wymierzyć sprawiedliwość.

Jego uśmiech zgasł gwałtownie i halabardnik wymierzył kolejny cios w skulone plecy Fornala, sądząc po dźwięku, na tyle mocny, by złamać mu żebro.

– I nie możesz powiedzieć, że niezasłużoną, co? – Na jego twarzy odmalował się szeroki uśmiech złośliwego upodobania i ponownie opuścił drzewce halabardy, powodując kolejny głuchy trzask pękającej kości.

– Masz! – Podał mi halabardę i dobył z pochwy przy pasie tasak. – Oszczędzimy sobie kłopotu wleczenia jego ciała. – Przycisnął butem grzbiet Fornala i oburącz uniósł tasak. – Nadszedł czas na ostatnią modlitwę, przyjacielu.

Odwrócił się do mnie i mrugnął porozumiewawczo, najwyraźniej szykował się do odrąbania Fornalowi głowy, gdy tylko ten się odezwie. Zaraz jednak popatrzył na mnie z tępym zaskoczeniem, bo w wiosce wystrzeliły nowe płomienie, na tyle wysokie, by oświetlić moją twarz.

– Pojmali już Deckina Scarla? – zapytałem. Żołnierz zamrugał i zobaczyłem, że na jego twarzy pojawia się zrozumienie. Zaczął obracać się w moją stronę, ale nie na tyle szybko, by uniknąć mojego ataku – wbiłem mu w twarz grot halabardy. Byłem dumny z tego pchnięcia, jedno uderzenie wystarczyło, by posłać stalowy kolec przez kości i chrząstki, wystarczająco głęboko, by przerwać kręgosłup. Żołnierz zwiotczał i jego ciężar wyrwał mi halabardę z rąk, tymczasem ja rozglądałem się czujnie, by mieć pewność, że żaden z jego towarzyszy nie był świadkiem jego śmierci.

– Niewdzięczniku – zabrzmiał słaby, pełen cierpienia głos.

Fornal leżał na plecach, z ust unosiła mu się para zabarwiona szkarłatem, a śnieg pod jego plecami ciemniał od krwi płynącej z ran. Odpowiedziałem na jego spojrzenie, przez moment chciałem zaoferować mu wyjaśnienie, może nawet przeprosić, ale

wiedziałem, że byłaby to obelga dla umierającego człowieka. Zamiast tego podniosłem upuszczony przez żołnierza tasak, po czym przykucnąłem u boku Fornala.

– Zabrali go? – spytałem. – Deckina?

Westchnął z jękiem i skinął lekko głową. Słowa dobywały się w urywanych, pełnych cierpienia stęknięciach.

– Zdjęli warty... najpierw cicho... Nie wiedzieliśmy... co się dzieje, póki nie zaczęli z kuszy... Wtedy byli... wszędzie. Zbyt wielu, by walczyć...

Znieruchomiał, jego wzrok stracił ostrość, więc nim potrząsnąłem.

– Deckin – powtórzyłem z naciskiem.

– Walczył... zabił kilku... potem, wysoki rycerz... czempion... przybył.

Zerknąłem ku wiosce, próbując dostrzec wśród dymu wysoką postać zakutą w zbroję.

– Bauldry – szepnąłem. – Jest tu?

– Z rycerzami... i innymi. Pokonał Deckina... kijem. Nawet nie... wyjął miecza. Kazał ludziom... związać. Wszyscy inni... – Fornal znów zwiotczał, a jego oczy znów przygasły.

– Justan? – Potrząsnąłem nim. – Lorine?

– Nie widziałem. Uciekłem... – Zobaczyłem cień wstydu w gasnących oczach. Czuję, jak uchodzi z niego siła, głowa opadła mu bezwładnie na bok. – Zawstydziłem Męczenników... moim strachem... – Jego dłonie zatrzepotały słabo niczym ranne ptaki próbujące poderwać się do lotu. – Błagam was... święci Męczennicy... błogosławieni Serafilowie w łaskowości swojej... zobaczcie moją skruchę i przyjmijcie duszę... Nie odmawiajcie mi wstępu...

Nadal bełkotał swoje modlitwy, jego ręce trzepotały coraz żywiej, a głos nabierał mocy. Widziałem to już wcześniej, konający znajdowali w sobie ostatki sił, zanim jeszcze zabrała ich śmierć. Mógłby bredzić jeszcze przez minutę lub dwie, zwracając na siebie uwagę. Istniała również szansa, że jeśli zostawię go przy życiu, jakiś żołnierz wycisnie z niego wiedzę, że nie wszyscy członkowie bandy Deckina Scarła zginęli tej nocy.

– Cśśś. – Położyłem mu dłoń na czole i przytrzymałem. – Męczennicy i Serafilowie, wiedzą, co jest w twoim sercu.

To chyba uśmiech, jaki mu posłałem zdradził moje zamiary, bo nigdy wcześniej nie uśmiechałem się do niego, chyba że z szyderstwem. Rysy Fornala stężały w wyrazie, który widywałem u niego najczęściej: zimnego, rozczarowanego osądu.

– Niewdzięcznik – powiedział cicho, ale wyraźnie.

Przyłożyłem ostrze tasaka do jego szyi i mój uśmiech zgasł.

– Tak – potwierdziłem.



Kuszę wyrzuciłem, gdy tylko dotarłem do ściany drzew, szybko dołączyły do niej napierśnik i hełm. Miałem do pokonania wiele mil przed świtem, nie zdołałbym tego uczynić z takim obciążeniem. Zachowałem jednak tasak. Broń miała przyjemny ciężar, a sądząc po tym, z jaką łatwością otworzyła gardło Fornala, miała też ostrze, z którego mógłbym być później zadowolony. Zapiąłem żołnierski pas na piersi, tak że broń spoczywała na plecach i nie obijała się o nogi, po czym ruszyłem biegiem. Wkrótce zaczął padać śnieg, na tyle gęsty, że pokonał barierę gałęzi i pokrył ziemię pod nimi. Utrudnił mi ucieczkę, ale pocieszała mnie świadomość, że wkrótce zasypie moje ślady i spowolni pościg. Mimo to biegłem, z wytężeniem nasłuchując odległego skowytu ogarów. Moje ślady mogły zniknąć pod śniegiem, ale woń spoconego, zakrwawionego młodzieńca na pewno nie.

Jeszcze będąc dzieckiem nauczyłem się, że kluczem do skutecznej ucieczki jest poddanie się swoim lękom. Kiedy śmierć wydaje się pewna, w ciele odzywają się głęboko zakorzenione instynkty, dając mu siłę i szybkość, które normalnie są poza zasięgiem śmiertelników. Nie próbowałem utrzymywać stałego tempa, pozwalałem panice zmuszać się do pędu, a umysłowi odtwarzać koszmar rzezi, którą próbowałem zostawić za sobą. Zwiotczała nagle dłoń Gerthe, mękę wysokiego topornika Shilvy, ostatni, krwawy skowyt Fornala, gdy ostrze tasaka wgrzyzło się

głęboko w jego szyję. Do tego dochodziły okropności, których nie widziałem na własne oczy, ale wiedziałem, że miały miejsce wśród płonących ruin wioski. Kolejne lata przyniosły mi prawdę o tym, co wydarzyło się podczas Masakry w Omszałym Młynie, jak historia nazwała tę straszną noc, a prawda ta okazała się daleko gorsza nawet od gorączkowych wyobrażeń mojego przerażonego mózgu.

Z czasem dowiedziałem się, że bracia Thessil zostali uwięzieni w stodole i przez pewien czas bronili się tam dzielnie. Kiedy stodoła została podpalona, wyszli z niej i walczyli dalej, nie bacząc na płonące ubrania i włosy. Rubin zginął szybko, ale Danicka schwymano i zmuszono do oglądania, jak żołnierze bezczeszczą zwłoki jego brata. Relacje różnią się co do tego, ale według większości z nich, Danick spotkał swój koniec, gdy powiesili go na skrzydłach młyna, używając jelit Rubina jako liny.

Shilva Sakwa nie znalazła się wśród wielu ofiar tej nocy. Jednak większość z jej dzikiego klanu nie miała tyle szczęścia, podobnie jak mieszkańcy Omszałego Młyna. Ci, którzy nie zginęli na początku rzezi, zostali ścięci podczas prób ucieczki albo zapędzeni na ogrodzone pastwisko. Rankiem szeryf odczytał dekret książęcy, nazywając ich nielegalnymi osadnikami na szlacheckich ziemiach i tym samym zobowiązanych do pełnienia służby.

Wśród tych, którzy przeżyli tę noc, należy wyróżnić bezładną bandę ze wschodu. Po opuszczeniu Polany Leffolda, krewni Erchela najwyraźniej powoli zmierzali w kierunku Młyna i ich lenistwo uratowało im życie. Szybko też rozplynęli się w kniei i wrócili na lepiej sobie znane tereny łowieckie. Przynajmniej tak głosi historia.

Co do Deckina, no cóż, drogi czytelniku, poznasz jego los w odpowiednim czasie, ponieważ był on zawsze związany z moim.

Wszystkie te przykre sprawy poznałem znacznie później, a tej nocy to moja płodna wyobraźnia zmuszała mnie do biegu. Płuca płonęły żywym ogniem, nogi bolały, stopy i ręce stały się niebieskie i zimno pozbawiło je czucia, ale wciąż biegłem. Wyczerpanie pokonało mnie wreszcie, kiedy śnieg przestał już padać, a niebo, którego skrawki widziałem między gałęziami pojaśniało, przybierając mniej głęboki odcień szarości. Nogi ugięły się pode mną i wpadłem głową naprzód w zaspę, skórę miałem zbyt zmarzniętą, by poczuć zadrapania. Przez sekundę byłem całkowicie niezdolny do

ruchu, zachodziła wręcz obawa, że się uduszę, wreszcie zebrałem w sobie dość determinacji, by odwrócić się na plecy. Patrzyłem w górę na przepłatające się, obciążone śniegiem gałęzie i obserwowałem, jak mój oddech unosi się niczym para z gotującego się czajnika.

Wraz z odpoczynkiem nadszedł też nieuchronny ból, do obolałych kończyn wracało uczucie, a wysiłek związany z biegiem zbierał swoje żniwo. Cierpienie kłusające moje ciało, okazało się na tyle wielkie, by doprowadzić mnie do krzyku, ale i tak czułem wdzięczność, bo ból daje przecież siłę. Wiedziałem, że muszę wstać. Wiedziałem, że bezruch oznacza śmierć. Mimo to chciałem leżeć, ból mijał szybko, za to wzrok mi się mącił, a przerażenie gasło, bo żaden umysł nie może wiecznie tkwić w strachu. Wkrótce oblodzona warstwa śniegu, na której leżałem, zaczęła przypominać ciepły materac, taki jak ten, który dzieliłem z Gerthe zaledwie kilka godzin temu...

Wspomnienie ostatniego spojrzenia na zwłoki Gerthe, szmacianej lalki wiszącej na ścianie szopy wystarczyło, by zmusić mnie do ruchu, bo do gasnącego bólu dołączył gniew. Nie zasłużyła sobie na to, pomyślałem, podnosząc się, wsparty na rękach wbitych w śnieg. Z tym akurat można by się kłócić. Gerthe była doświadczoną złodziejką i kradła z prawdziwym entuzjazmem, była też dziwką i nie wahała się chwycić za nóż, gdy zaszła taka potrzeba. A jednak była na swój sposób człowiekiem dobrym. Co więcej, była rodziną, jedyną, jaką wówczas miałem. Tak samo jak Baker, Twine, Lorine, a nawet Todman, którego planowałem kiedyś zabić. Teraz wszyscy oni leżeli martwi, o ile dopisało im szczęście.

Krzycząc z wysiłku, dźwignąłem się i zachwiałem. Nie byłem zdolny biec, ale udało mi się zmusić do pospiesznego truchtu. Moja dalsza wędrówka składała się z głodnych dni i pełnych przerażenia, drżących nocy, podczas których nie miałem odwagi rozpalić ognia. Nawet zimą można było zastawić sidła na króliki lub zające, ale nie da się jednocześnie przemierzać las i żyć z tego, co ma do zaoferowania. Jadłem więc korzenie wydłubane z wysiłkiem z twardej ziemi lub czasem orzechy, gdy udało mi się trafić na skrytkę jakiejś pechowej wiewiórki. Było to pożywienie skromne

i ciężkie dla żołądka, ale uchroniło mnie przed prawdziwym głodem, aż w końcu dotarłem do Polany Leffolda.

Od dawna banici mieli w zwyczaju zostawiać zapasy w skrytce na polanie jako zabezpieczenie na wypadek okoliczności takich jak te, w których ja się znalazłem. Dobra leżały ukryte za dużym, ruchomym kamieniem pośród ruin między drzewami po zachodniej stronie amfiteatru. Przesunięcie tego kamienia zajęłoby chwilę lub dwie w normalnych okolicznościach, ale ja byłem tak osłabiony, że moje wysiłki trwały jakąś godzinę, jak nie dłużej. Kamień zgrzytał po oszronionej ziemi cal po calu, aż w końcu odsłonił szczelinę na tyle dużą, bym mógł sięgnąć po skarb. Zapasy nie były obfite: trochę suszonej wołowiny, gliniane garnki z marynowaną cebulą i jagodami oraz antałek piwa. W sumie nie starczyłoby tego na nakarmienie całej bandy dłużej niż przez jeden dzień. Dla mnie jednak była to prawdziwie obfita uczta, na którą rzuciłem się z niecierpliwością.

Głód ma na ciało ciekawy wpływ, żołądek buntuje się, gdy dostaje obfite pożywienie. W konsekwencji, wkrótce musiałem wymiotować znaczną część tego, co zjadłem. Później tkwiłem długo skulony obok kryjówki, stękając z bólu, który szarpał mi jelita, od czasu do czasu wybuchając przenikliwym śmiechem, bo jednak własne przetrwanie zdawało mi się zdumiewającą niespodzianką. Chciałbym powiedzieć, że jedynie przy tej okazji doświadczyłem tego głębokiego zaskoczenia, ale, jak zobaczycie, byłoby to bardzo dalekie od prawdy.

Tej nocy zima spadła na knieję z zapierającą dech w piersi mocą, zaryzykowałem więc rozpalenie ognia. Usadowiwszy się w owalnym centrum starożytnej kamienniej misy, skrzesałem nieco iskier na niewielki stosik rozpałki i gałęzi, mając nadzieję, że wznoszące się wokół stopnie zasłonią płomienie. Polana Leffolda była dobrze strzeżoną tajemnicą, ale kto wie, co wydobyto z banitów schwytanych w Omszałym Młynie? Musiałem oprzeć się pokusie i ruszać dalej, choć niczego tak nie pragnąłem, jak poddać się przekonaniu, że to starożytne miejsce oferuje jakąś nadprzyrodzoną ochronę. Ale Deckin miał rację, to była tylko kupa starych kamieni, których położenie mogli już poznać ludzie szeryfa lub straszliwy sir Ehlbert Bauldry.

Podczas panicznej ucieczki potężny czempion urósł jeszcze większy w moim znękanym przerażeniu umyśle, przybierając monstrualne rozmiary i prześladował mnie w snach, w tych rzadkich chwilach, gdy udało mi się zmrużyć oko. Kto podniesie oręż w obronie tego zdrajcy?, pytał zza przyłbicy, trzymając w górze skrwawioną głowę, tyle że nie była to głowa księcia Rouphona, a jego nieuznanego bękarta, który drgał w uścisku opancerzonych palców i ociekał krwią. Oczywiście, nie tak to wyglądało w dniu śmierci księcia. Wtedy jeszcze nie widziałem nigdy sir Ehlberta, ani nie słyszałem jego głosu i nie miałem sposobu sprawdzić, czy istotnie jest to ten chrapliwy, niemal nieludzki zgrzyt, który dobywał się z hełmu we śnie. Ale moja wyobraźnia była zawsze wielce pomysłowym dręczycielem. Tamtej nocy na Polanie Leffolda, gdy przysunąłem się do marnego ognia i poddałem się zmęczeniu, przemówiła do mnie głowa Deckina.

Uciekłeś, powiedział Deckin. Patrzył na mnie mlecznobiałymi oczami z szarymi plamami źrenic, które jakimś sposobem były równie przenikliwe, co za życia. W jego tonie pobrzmiewała zaś nuta żalu i krzywdy, bardziej niż oskarżenia. Dlaczego uciekłeś, Alwynie? Czyż nie byłem zawsze dla ciebie sprawiedliwy? Zginąłbyś, gdyby nie ja, a jednak zabiłeś Fornala i uciekłeś...

Obudziłem się zziębnięty do kości jedynie po części, dlatego że moje ognisko w ciągu nocy zamieniło się w zwęglony, czarny krąg. Usiadłem oparty plecami o ścianę areny, rozglądając się po dużej, pustej niecce jeszcze niedawno wypełnionej świętującymi banitami. Wydawała mi się teraz większa i o wiele zimniejsza. A jednak po raz kolejny poczułem pokusę, by tu zostać. Skoro ja uciekłem, to inni też mogli. Może zmierzali tutaj i spotkamy się w ponurym, ale pełnym ulgi nastroju. Gdyby pojawiło się ich wystarczająco wielu, powstałaby nowa grupa, grupa Alwyna, spadkobiercy Deckina... Te absurdalne wyobrażenia umarły, gdy zacząłem śmiać się z goryczą, potrząsając przy tym głową.

– Nikt się nie zjawi – powiedziałem sobie głośno, bo dlaczego miałbym siedzieć cicho? – Jeśli komuś udało się uciec, to szukali schronienia gdzie indziej.

Przypomniałem sobie, że krewniaków Erchela nie było we wsi, gdy zaczęła się rzeź, co oznaczało, że ewentualne schronienie

czekało na mnie we wschodniej części kniei. Perspektywa wstąpienia do bandy złożonej z ludzi, w żyłach których płynęła krew Erchela, nie była zbyt kusząca, ale samotna śmierć z głodu lub zimna też nie. Kiedy siedziałem tak pogrążony w beznadziejnej rezygnacji, przyszła mi do głowy myśl, najpewniej zrodzona z koszmaru, który śniłem chwilę wcześniej. Wzięli Deckina żywcem.

Zamek Duhbos znajdował się wystarczająco blisko, o ile racjonowałem prowiant i trzymał się z dala od dróg i osad. Zamek Duhbos, gdzie królewski czempion z pewnością zabrał swoją zdobycz, by postawić Króla Banitów przed obliczem książęcej sprawiedliwości.

– I co? – zapytałem tonem pełnym szyderstwa. – Co zrobisz, gdy tam dotrzesz?

Jest sposób, aby dostać się do środka, odpowiedział jakiś zdradziecki idiota, ukryty głęboko wewnątrz mnie. Ten, o którym mówił Deckin.

– Nie! – Poderwałem się na nogi, zgrzytając zębami i potrząsając głową tak mocno, że wzrok mi się zmącił. – Nie ma, kurwa, szans!

Dlaczego uciekłeś?, zapytał zdrajca, podsuwając mi wspomnienie drgającej, ociekającej krwią głowy Deckina. Czyż nie byłem zawsze dla ciebie sprawiedliwy?

Zacisnąłem powieki, zaplatając ciasno ręce na piersi, czując, jak narasta we mnie przymus. Często zastanawiałem się nad tym, że jednym z przekleństw ludzkiej egzystencji jest skłonność do uzależnień. Niektórzy przechodzą przez życie jako niewolnicy trunków, odurzających ziół, pokus cielesnych lub złudnych obietnic kości albo kart. Moim nałogiem zawsze był pęd do nierozsądnych działań, pragnienie podążania ku dramatycznym zakończeniom, nieposkromiony apetyt na robienie nieoczekiwanego. Spędziłem godzinę lub więcej zmagając się ze zdradzieckim głosem, który zmuszał mnie do przypomnienia sobie każdego miłego i pokrzepiającego słowa, jakie usłyszałem od Deckina, ignorując jednocześnie kuksańce, groźby i nierzadkie lania. Wszystko na próżno.

Gdy pakowałem tobolek, powtarzałem sobie, że to misja zrodzona z ciekawości i sentymentu, nic więcej. Chciałem poznać los

Deckina, to wszystko. Czy nie zasługiwał przynajmniej na to, aby ktoś stał się świadkiem jego końca? Próba uratowania go była jedynie fantazją, w dodatku zabójczą. Ale dni męczącej podróży i samotne noce nieuchronnie prowadziły do spekulacji, te zaś rozdziły plany. Będzie zamknięty w lochu, więc nawet jeśli uda mi się dostać do zamku, jak miałbym go uwolnić? Cele w lochach mają zamki, więc potrzebne są klucze. Kto ma te klucze? Strażnik, który być może jest człowiekiem gustującym w mocnych trunkach lub, jeszcze lepiej, podatnym na przekupstwo. Ale jak przekupić człowieka, gdy nie ma się monet? Ukradnij trochę, ty zatraćcu...

I tak przez całą długą drogę do zamku Duhbos, mój umysł banity układał i odrzucał niezliczone plany wyzwolenia Deckina Scarla. I gdy tak planowałem, wiedziałem doskonale, że to głupota najgorszego rodzaju, która w krótkim czasie doprowadzi do tego, że chłopak z wieloma perspektywami i o niemałych zdolnościach zostanie powieszony obok swojego mentora. Pomimo niecichnącego szeptu zdrajcy wewnątrz mnie i coraz bardziej zawiłych knowań, które podsuwał, nie wątpiłem, że tak naprawdę krocę ku swojej zgubie i już nigdy nie zobaczę Deckina Scarla.

Mylłem się w obu kwestiach.



Czy ktoś wystąpi, by unieść broń w obronie tego zdrajcy? – Głos Lorda Konstabla dźwięczał wyraźnie w chłodzie porannego powietrza. Odpowiedział mu jedynie szmer zgromadzonych mieszczan i biedoty. Słyszałem nieco gniewu wśród tych pomruków i szeptów, a nawet kilka modlitw do Męczenników, ale żadnych okrzyków sprzeciwu, a już na pewno nikt nie pokwapił się przyjąć wyzwania konstabla. Wśród dziesiątek gapiów, którzy zgromadzili się tego dnia przed szafotem, żaden nie zamierzał podnieść broni w obronie Deckina Scarla. Ten zaś klęczał na skraju platformy, zgarbiony i zakrwawiony w ciasnych objęciach ciężkich łańcuchów. Zgolono mu brodę i włosy, odsłaniając twarz, będącą zadziwiającą wystawą blizn, strupów i sińców o wielu odcieniach. Za nim stał rycerz imponującej postury, w pełnej zbroi płytowej, która błyszczała jasno, podobnie jak mosiężny orzeł przedstawiony na napierśniku. Orzeł, nie płomień, pomyślałem, przyglądając się rycerzowi. Nie był to zatem słynny sir Ehlbert Bauldry. Na platformie szafotu stało jeszcze czterech rycerzy w barwach Kompanii Koronnej, i to wszystko. Z nieznanых powodów, Królewski Czempion nie był obecny przy kaźni.

Dotarłem do zamku Duhbos tego samego ranka, wlokąc się z wysiłkiem po oblodzonej, rozjeżdżonej kołami wozów drodze i znalazłem się wśród wielu ludzi, którzy przybyli obejrzeć nadchodzące widowisko. Nie musiałem z wysiłkiem zdobywać

informacji ani kręcić się w pobliżu plotkujących, powód tego zgromadzenia był na ustach wszystkich: dziś zobaczą egzekucję samego Króla Banitów.

Podobnie jak zamek Ambris, zamek Duhbos zyskał własną kolekcję ruder pod murami. Szafot wzniesiono na połaci trawy oddzielającej chałupy od fortyfikacji. Widząc krótką murawę doszedłem do wniosku, że w tym miejscu odbywają się zwykle turnieje lub targi. Zgromadzonych gapiów było znacznie więcej, niż można by wnioskować ze skupiska ruder czy nawet rozmiaru samego zamku. Sądząc po płaszczach i tobołkach, które nosili, większość z nich przeszła kilka mil, by być świadkiem egzekucji Deckina Scarla, i to w środku zimy.

– Teraz nie wygląda jak król, prawda? – mruknął jeden z gapiów do swojego sąsiada. Powietrze aż gęste było od takich uwag. Niektórzy żartowali lub wygłaszali kąśliwe komentarze. Inni szemrali o dawnych spotkaniach z Deckinem Scarlem, a ich głosy barwiła niemała satysfakcja. Ani razu nie usłyszałem słowa współczucia, nie dostrzegłem ronionych łez. Mimo swej sławy i okazjonalnych, czysto pragmatycznych aktów dobroci, Deckin pozostał banitą. Ludzie jego pokroju zasługiwali na taki właśnie koniec, tak zawsze było i zawsze będzie.

Parłem naprzód, aż do miejsca, gdzie ludzie stali stłoczeni tak mocno, że nie mogłem uczynić już kolejnego kroku. Znalazłem się jednak na tyle blisko, by widzieć twarze zgromadzonych na platformie i słyszeć wszystkie wypowiedane tam słowa.

– Spójrz tylko, zdrajco! – zawołał Lord Konstabl, odwracając się, by wskazać na pochyloną głowę więźnia. Konstabl, mimo swojego potężnego głosu, był mężczyzną szczupłym, o wiotkich kończynach, w mniej ponurych okolicznościach wydawałby się komiczny. Sposób, w jaki powiewały poły jego długiego płaszcza i frędzle u czapki, przywodził na myśl wybryki i podskoki jarmarcznej małpy. – Zobacz, jak głęboko lud tego księstwa przekonany jest o twojej zdradzie – warknął – albowiem żaden nie podniesie ręki w obronie twojego nędznego życia!

Ta teatralna surowość i niemal rozgorączkowany wyraz twarzy jasno świadczyły o tym, że człowiek ten cieszy się zarówno ze swojego zadania, jak i związanego z nim rozgłosu. W tym momencie

przyjął melodramatyczną pozę, z podniesioną głową i ręką wyciągniętą w stronę tłumu. Gdyby Lorine to widziała, z pewnością roześmiałyby się z profesjonalną pogardą.

Szukałem jej na platformie, ale oprócz Deckina nie było tam innych skazańców. Za to na krenelażu nad bramą zamku straszyl szereg głów. Miałem okazję zaledwie rzucić na nie okiem, za bardzo były dotknięte rozkładem, bym rozpoznał ich rysy. Jedna miała długie włosy, które powiewały na wietrze, ale stałem zbyt daleko, by stwierdzić, czy te trzepoczące pasma mają barwę miedzi.

– Ten człowiek od dawna był postrachem dobrego ludu tego księstwa – kontynuował konstabl. – Został bowiem skazany przed obliczem ludu, Korony i Przymierza za tak wiele niecznych czynów, że wymienienie ich wymagałoby całego dnia i nocy. Ale wiedźcie, dobrzy ludzie, że karę jego określono, nie z uwagi na zbrodnie, jakich się dopuścił, lecz zdradę. Niechaj stanie się powszechnie wiadome, że ten – konstabl ściągnął wargi w odrazie, wyciągnąwszy rękę w stronę Deckina, wskazując go palcem w niezachwianym oskarżeniu – bezwartościowy kundel, nie zadowolili się złodziejstwem i krwawym mordem, ale posunął się do czynów jeszcze nikczemniejszych, dopuścił się bowiem plugawej zdrady względem Korony. Ten człowiek, z premedytacją, napadł i okradł przedstawiciela Korony, nie mniej nie więcej, a królewskiego posłańca. Przedstawiono również mocne dowody na to, że spiskował ze zdrazieckim buntownikiem Magnisem Lochlainem, znanym powszechnie jako Pretendent, w celu wzniecenia gwałtownego buntu w tym księstwie. Zrobił to, by pomścić sprawiedliwą egzekucję swojego ojca, zdrajcy i fałszywego księcia Rouphona Ambrisa. Pytam was, dobrzy ludzie z Marchii Shavine, czy był kiedykolwiek człowiek bardziej zasługujący na egzekucję?

Konstabl rozłożył szeroko ręce, bez wątpienia oczekując, że tłum odpowie mu okrzykami krwiożerczego poparcia. Tymczasem odpowiedź była raczej połączeniem szemrzącego przyzwolenia i warczącego oczekiwania, do tego przerywanego kaszlnięciami i nielicznymi niecierpliwymi pomrukami. Twarz konstabla poczęła drgać z gniewnego zakłopotania, a na jego policzki wkradł się różowy rumieniec, który szybko przybrał odcień głębokiej czerwieni, kiedy z szafotu dobiegł go nowy dźwięk.

Gdy głowa Deckina zaczęła podskakiwać, krew bryznęła z ran na tych, którzy stali najbliżej. W pierwszej chwili pomyślałem, że dostał ataku kaszlu, a później, w miarę jak z jego gardła poczęły dobywać się dziwne dźwięki, że ogarnął go jakiś rodzaj hysterii. Wtedy Deckin podniósł głowę, odsłaniając twarz o rysach zniekształconych cięciami i popalonych, ale też tworzących maskę szczerzej wesołości. Deckin Scarl się śmiał.

– Uciszyć tę świnię! – szczerknął konstabl, władczy gestem wyrzucając rękę w stronę rycerza, który stał za Deckinem. Jednak zamiast zgodnie z oczekiwaniami wymierzyć cios w głowę jeńca, rycerz jedynie obrócił głowę w przyłbicy tak, by w milczeniu obserwować Lorda Konstabla przez otwory w zasłonie. Konstabl pobladł gwałtownie, ale jego wąską twarz wykrzywił grymas gniewu. Widziałem, że człowiek ten toczył wojnę z własną dumą. Jako najwyższy rangą wśród obecnych przedstawiciel prawa koronnego, to on decydował o przebiegu egzekucji i właśnie został publicznie zlekceważony. Jego status wymagał ogłoszenia nagany, ale perspektywa upomnienia tego rycerza była mało atrakcyjna. Na szczęście oszczędzono mu przełamywania oporów, albowiem Deckin przestał się śmiać i postanowił przemówić:

– Zabij mnie za prawdziwe przewiny, skoro musisz – powiedział konstablowi, a zgrzytliwe słowa formowane spuchniętymi i popękkanymi wargami docierały do mych uszu bez przeszkód. – Nie przeczę, że zasłużyłem. Ale nie każ mnie za kłamstwo, ty nic niewarty zdrańcu!

Przez chwilę konstabl wodził spojrzeniem między Deckinem a krnąbrnym rycerzem. Wreszcie coraz głośniejszy chór kaszlnięć i pomruków irytacji tłumu gapiów przypomniał mu, że musi dokończyć egzekucję.

Wziąwszy głęboki oddech, konstabl wyprostował się i odchylił lekko, zwracając się do tłumu. – Niechaj będzie wiadomo, że nasz władca, wielki król Tomas, pierwszy tego imienia i najgodniejszy łaski Serafilów, pełen jest miłosierdzia i współczucia, nawet wobec tych najbardziej nikczemnych. Żaden jego poddany, czy to szlachetnej, czy pospolitej krwi, nie zostanie skazany na śmierć bez szansy na oczyszczenie duszy. – Przerwał, by machnąć ręką w kierunku tyłu szafotu. – Niech zatem komunikant Ancred,

Nadworny Kapelan Zamku Duhbos, zbliży się, aby wysłuchać testamentu zdrajcy.

Komunikant Ancred, wysoki, wiekowy starzec o długiej, siwej brodzie, przystąpił do Deckina na drżących nogach, krokiem pełnym niezdecydowania. Poruszał się mocno zgarbiony i odniosłem wrażenie, że w pionie utrzymuje go jedynie kostur ściskany płamistymi dłońmi. Spoglądając w obwisłą i pomarszczoną twarz widziałem, jak niewiele entuzjazmu przejawiał wobec swojego zadania, dostrzegłem nawet błysk strachu w jego wodnistych oczach.

Kiedy już zatrzymał się i pochylił u boku Deckina, jego głos był cienkim tryblem piszczałki, którego większość obecnych nie mogła nawet usłyszeć.

– Wyznaj swe winy i wystrzegaj się kłamstwa – zaintonował. – Serafilowie wiedzą bowiem wszystko, co kryje się w twojej duszy. Uczcij ofiarę Męczenników prawdą i przyjmij ich oczyszczającą łaskę.

Pomimo ran zniekształcających twarz Deckina, wciąż mogłem dostrzec na niej wyraz kwaśnej pogardy, z jaką odpowiedział kapłanowi.

– Mego ojca wysłuchał ascendant – stwierdził, kręcąc głową ze znużeniem. – A ja dostałem cuchnącego szczochami starego capa.

Śmiech, który przetoczył się przez gapiów, nie był szczególnie głośny, ale konstabl i tak zgromił ich surowym spojrzeniem. Otworzył nawet usta, zapewne z zamiarem wygłoszenia równie surowej nagany, ale Deckin mu przerwał.

– Złożę testament – powiedział z wysiłkiem, ale wystarczająco głośno, by dotrzeć do wszystkich obecnych. – Ale nie przed tym głupcem, który tylko przeszkadza Męczennikom. Złożę testament przed nimi. – Ruchem głowy wskazał zebranych.

– Nie masz żadnych praw, zdrajco! – warknął konstabl, ruszając w stronę Deckina. – Nie masz prawa mówić! Nie masz prawa zrobić czegokolwiek innego niż umrzeć za swoje zbrodnie...

Jego głos zamarł, gdy rycerz zastąpił mu drogę. Wcześniej duma stłumiła strach lorda konstabla, ale teraz ów strach przerodził się w absolutne przerażenie, gdy zza zasłony hełmu padło kilka krótkich słów. Ani ja, ani nikt inny ze zgromadzonych nie usłyszał, co powiedział rycerz, głos jego był zbyt cichy i zbyt zniekształcony

przez przyłbicę. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Lord Konstabl usłyszał je bardzo wyraźnie.

Przełknąwszy nerwowo ślinę, odsunął się od rycerza, a spocone dłonie wytarł o długi płaszcz, po czym je złączył nerwowym ruchem. Jeszcze chwilę poświęcił, by się opanować i znowu przemówił do tłumu:

– Zgodnie ze zwyczajem i prawem Przymierza, zdrajca może złożyć testament.

Deckin rzucił konstablowi krótkie, pełne politowania spojrzenie, po czym zgarbił się i z trudem dźwignął się z kolan. Stał niepewnie, nogi mu drżały, a łańcuchy grzechotały na belkach platformy. Ręce skute miał kajdanami i początkowo myślałem, że zacisnął je w pięści, dopóki nie zobaczyłem, że wszystkie palce zostały odcięte aż do drugiego knykcia. I chociaż słowa, które wypowiedział, na zawsze zostaną w mojej pamięci, to chyba widok tych rąk pchnął mnie na drogę, którą podążałem w kolejnych latach. Nie raz i nie dwa te dłonie zostawiły na mej skórze liczne sińce i budziły lęk, jednak gdy patrzyłem na nie teraz, pamiętałem tylko te chwile, kiedy spoczywały na moim ramieniu w geście pokrzepienia i pochwały. Najmocniej tkwił w mojej pamięci dzień naszego spotkania w lesie, świadomość wyzwolenia, płynąca z jego dotyku. Bez względu na to, czego dopuścił się Deckin Scarl, to niewątpliwie uratował mi życie.

– Nie proszę Serafilów o przebaczenie – zaczął Deckin, głosem z początku ochrypłym, ale coraz mocniejszym, szczególnie po tym, jak wyprostował plecy, krzywiąc się z bólu. – Zrobią ze mną, co zrobią i niech ich szlag trafi, jeśli nie podoba im się to, co widzą.

Słowa te wywołały zduszone pomruki śmiechu wśród gapiów, a także wstrząśnięte spojrzenie komunikanta Ancreda. Niewiele brakowało, a starzec by się przewrócił, tak szybko starał się oddalić chwiejnym truchtem od tego banity-heretyka. Jego wysiłki podsyciły jeszcze wesołość tłumu.

– Jeśli chodzi o zdradę – kontynuował Deckin – nie będę ukrywał, że zamierzałem zdobyć to księstwo, ale nie ze względu na to, co spotkało mojego ojca. Król zabrał jego głowę nie bez powodu i ja mu jej nie żałuję. Nie, planowałem zdobyć księstwo, bo mogło być moje, prawem siły i woli, jeśli nie krwi. Wszystkie księstwa

i wszystkie królestwa tak się właśnie zdobywa i nie pozwólcie, by te szlachetne skurwysyny mówiły wam, że jest inaczej. Jeśli to zdrada, to niech tak będzie i nie będę prosił o przebaczenie. Pretendenta zaś nigdy nie spotkałem, ani nie miałem z draniem nic wspólnego, więc i w tym przypadku nie trzeba mi przebaczenia. Ale... – Jego głos osłabł, a głowa opadła lekko i Deckin musiał zapanować nad drżeniem nóg, bo niemal odmówiły mu posłuszeństwa. – Ale proszę o wybaczenie was – mówił dalej. – Stoję przed wami skazany jako złodziej i morderca, słusznie, albowiem byłem złodziejem i zabójcą. Mógłbym się tłumaczyć, ale byłyby to kłamstwa, a wy już je wszystkie słyszeliście. Mógłbym powiedzieć, że kradłem, aby jeść, a zabijałem, by zachować to, co ukradłem. Ale prawda jest taka, że kradłem i zabijałem z powodu ambicji. Nie żałuję, że okradałem szlachciców, ani tego, że ich zabijałem, żałuję jednak, że okradałem was. Żałuję, że odebrałem życie ludziom takim jak wy, waszym pobratymcom. To były moje prawdziwe zbrodnie i za nie proszę was o wybaczenie. – Znów przerwał, spuszczać wzrok, a na jego poobijanej, pokiereszowanej i popalanej twarzy pojawił się wyraz smutku. I wtedy mnie zobaczył. Deckin zawsze posiadał niezwykle bystry wzrok, potrafił dostrzec zasadzkę lub ofiarę w delikatnej zmianie odcienia lasu i tak szybko, że zdawało się to nienaturalne. Teraz z taką samą łatwością jego spojrzenie wyłowilo moją twarz wśród tłumu. Oczy rozszerzyły mu się nieznacznie, ale zniekształcona twarz pozostała niewzruszona, nie dał po sobie poznać, że mnie zauważył, jedynie kąciaki ust drgnęły mu niemal niedostrzeżenie. Przez jedno uderzenie serca patrzył mi prosto w oczy, po czym odwrócił wzrok, ale nawet ta krótka chwila wystarczyła, abym zobaczył dość, by wiedzieć, że Deckin Scarl umrze tego dnia z odrobiną pocieszenia.

– Moja banda, ci, którzy za mną podążali, wszyscy zginęli – powiedział, jeszcze bardziej chrapliwym głosem. – Ale jeśli ich dusze zostały tu, aby usłyszeć ten testament, to chcę, by wiedzieli, że ceniłem ich służbę i towarzystwo bardziej, niż byliby skłonni przypuszczać. Sprzecaliśmy się i walczyliśmy ze sobą, ale też razem znosiliśmy głód i zimno, tak jak to bywa w rodzinie, a rodzinę należy cenić, podobnie jak życie. – Jego spojrzenie pomknęło z powrotem do mnie, ale tylko na ułamek chwili. – Życia nie należy marnować na

bezsensowne właśnie czy beznadziejne przedsięwzięcia. Tyle się nauczyłem.

Mrugając, spojrział na rycerza i skinął mu głową.

– Dziękuję ci, stary przyjacielu.

Rycerz nie odpowiedział, przynajmniej nie tak, bym mógł to usłyszeć. Położył opancerzoną dłoń na ramieniu Deckina i skłonił go do ponownego ukłęknięcia. Nie chciałem widzieć, co będzie dalej. Chciałem uciec, ukryć się w jakimś kącie i szlochać. Ale tego nie zrobiłem. Ucieczka byłaby zdradą. Z tego, co wiedziałem, ja jeden pozostałem przy życiu z całej bandy złoczyńców, których nazwał rodziną. Jedynym, który miał być świadkiem jego końca i odczuwać z tego powodu smutek, a nie radość.

Rycerz z orłem na napierśniku zrobił, co należało, szybko i nad wyraz skutecznie. Nie zatrzymał się na chwilę, by podsyć napięcie tłumu, nie dodał zbędnych gestów, podnosząc i opuszczając miecz. Nie pozwolił też, co mogło być jego intencją, aby Scarl wygłosił ostatecznie deklaracje. Stałem skamieniały, patrząc, jak głowa Deckina spadła z jego karku przy pierwszym ciosie. Ciało osunęło się na platformę z głuchym uderzeniem, a z kikuta trysnęła krew, najpierw silnym strumieniem, który jednak zmienił się zaraz w wątlą strużkę.

Nigdy wcześniej nie byłem świadkiem egzekucji zdrajcy, więc dopiero później dowiedziałem się, że zwyczajem było, iż kat podnosił odciętą głowę i ogłaszał, że dokonała się sprawiedliwość w imieniu króla. Ten rycerz jednak nie miał zbyt wiele szacunku dla zwyczajów. Gdy tylko dopełnił swego obowiązku, wykonał efektowny zwrot i wrócił na swoje miejsce, przyjmując tę samą postawę co wcześniej, z zakrwawionym mieczem skierowanym w dół. Nie odwrócił głowy, gdy zapadła cisza i wyraźnie nie miał zamiaru zauważyć wyczekującego spojrzania Lorda Konstabla.

Ku mojemu zaskoczeniu, nie rozległy się żadne okrzyki ani wiwaty. Gdy miecz opadł, ludzie gwałtownie nabrali powietrza i nic poza tym, nie było wybuchu radości, której się spodziewałem. Zazwyczaj, gdy pętla zaciskała się na szyi banity albo heretyk cierpiał z powodu publicznego biczowania, powietrze aż drżało od głośnych wiwatów. Może przyczyną był testament Deckina albo jego niezwykle szybka śmierć, w każdym razie tamtego dnia tłum nie

znalazł powodu, by świętować śmierć Króla Banitów z Kniei Shavine.

Przyglądałem się, jak konstabl sztywnieje zirytowany obojętnością rycerza, jak na jego poczerwieniałej twarzy maluje się mieszanina obrzydzenia i rezygnacji, jak schyla się po ściętą głowę i chwytą ją obiema rękami.

– Patrzcie... – zachrypiał, prostując się i podnosząc wysoko zwiotczałą i krwawiącą głowę, by wszyscy mogli ją zobaczyć. Głos go zawiódł, więc zakaszał, by przywrócić mu wcześniejszą krzepkość. – Oto głowa Deckina Scarla, zdrajcy i banity. Niech jego imię zostanie zapomniane. Chwała królowi Tomasowi!

Nierozważnie zdecydował się potrząsnąć głową Deckina, by dodać mocy swym ostatnim słowom, i ochlapał własny płaszcz posoką, co raczej zepsuło ten moment. Konstabl nie zdołał ukryć spazmu obrzydzenia, który przerodził się w szarpnięcie torsji i lordowskie wymiociny zmieszały się z krwią banity. Odpowiedź tłumowi była równie żenująca, ograniczyła się bowiem do szmeru niechętnego posłuszeństwa w miejsce spodziewanego wybuchu gorliwej lojalności.

– Chwała królowi Tomasowi – mruknąłem wraz z innymi.

Tłum rzedniał z każdą chwilą, ludzie zmierzali głównie w stronę wioski, gdzie zapewne karczmy pękały w szwach. Znalazłem miejsce, gdzie mogłem się zatrzymać i obserwować rycerza z orłem na piersi. Czekał, aż Lord Konstabl i towarzyszący mu funkcjonariusze odejdą, i wtedy dopiero zmienił pozycję. Kilku zamkowych służących wspięło się po schodach, by zabrać zwłoki, ale szybko zostali odesłani krótkim rozkazem i stanowczym machnięciem ręki.

– Precz! – warknął rycerz i gestem wezwał stojących niżej królewskich. Kilku natychmiast weszło na platformę i starannie zawinęli ciało i głowę w muślinowy całun, po czym dzwignęli zwłoki na ramiona, znieśli po schodach i oddalili się ze swym ciężarem w stronę ciemnej bryły zamku.



Trzy miałem się najbardziej zacienionego kąta gospody, nie chcąc przyciągać wzroku żołnierzy, którzy tłoczyli się w jej podłej izbie. Ci, którzy przybyli obejrzeć egzekucję, rozeszli się już, zabierając tobołki wyruszyli w długą drogę powrotną do swoich gospodarstw lub wiosek. Miejsce po nich zapełnili żołnierze spragnieni grogu. Rozpocząłem ten wieczór z jasnym zamiarem: będę siedział cicho i zbierał wszelkie możliwe szczegóły dotyczące śmierci Deckina i innych. Szczególnie zależało mi na poznaniu imienia rycerza, który nosił orła na napierśniku.

Nauczyłem się o wiele więcej, niż chciałem na temat zemsty i jej niezliczonych zawiłości, ale chyba najważniejszą lekcją była ta, że zemsta zaczyna się od rzeczy niewielkich, od ziarna, z którego wyrastają monstrualne gałęzie. Waśnie są nieodłączną i w pewnym sensie konieczną częścią życia banity, ponieważ zapewniają pewien porządek w chaotycznej codzienności tych, którzy muszą żyć poza prawem. Zdrada nieuchronnie prowadzi do śmierci lub jej zapowiedzi, podobnie jak zabójstwo tego, którego nazywasz przywódcą.

Tak więc, gdy siedziałem i słuchałem żołnierskich plotek, nie znajdując w nich nic interesującego, mój nawykły do pracy umysł

ponownie zaczął snuć intrygi. Zamiast dziwacznych planów uratowania Deckina wymyślałem równie absurdalne plany zamordowania rycerza z orłem, kimkolwiek by nie był. Widok głowy Deckina toczącej się po deskach szafotu pogłębił moje złe samopoczucie. Jak to bywa w przypadku, gdy nieszczęście dotyka młodych mężczyzn, rozbudziło ono nierozważny apetyt na piwo, które w tym lokalu nie było tak rozwodnione, jak można by się spodziewać.

– Jeszcze jedno, dobry panie – poprosiłem niewyraźnie karczmarza z wymuszonym humorem stawiając kufel na szynkwasię. Począł, aż przesunę szeląg po nierównym drewnie, zanim zabrał się do napełniania naczynia. Ogarnęło mnie nagle zmęczenie i oparłem się mocno o szynkwasię, czując, jak wzbiera we mnie smutek, który, nie do uwierzenia, doprowadził mnie do łez. Przygnębiająca świadomość, że jestem teraz zupełnie sam, przywołała wspomnienia tej pierwszej nocy w lesie, kiedy byłem chłopcem. Przypomniałem sobie, jak bolały sińce, które zostawił na mojej skórze rajfur. Jak skomlałem, umykając niezdarnie, dopóki Deckin i Lorine mnie nie znaleźli.

Gdy pochyliłem się niżej nad blatem, mój nieostry już wzrok zawadził o drobny, metaliczny błysk. Zamrugalem, aby pozbyć się wilgoci spod powiek i zobaczyłem medalion Przymierza dyndający przed moimi oczami. To był tak lekki, nieistotny drobiazg, zapomniałem, że mam go na szyi. „Zatrzymaj tę sukę”, przypominałem sobie słowa Deckina dotyczące szczęścia, jakie dają Męczennicy. „Człowiek sam wykuwa swój los na tym świecie”. Chwyciłem mały brązowy krążek i uśmiechnąłem się krzywo na myśl o tym, że ten medalik był moim talizmanem ochronnym w czasie ostatniej podróży. Jak Fornal by się na mnie wściekł za wyrażenie tego szczególnego poglądu.

– Wyznawca Męczennicy Hersefony, prawda?

Zamrugalem i ponownie przetarłem oczy, zanim odwróciłem się, by spojrzeć na mężczyznę u mego boku. Od razu rozpoznałem w nim żołnierza, ale nie takiego, jakich zwykłem widywać. Szczupłą twarz miał czysto ogoloną, a tunikę w kolorach króla. W pochwie u pasa poza mieczem miał jeszcze sztylet z kamieniem w głowicy i rękojeścią oplecioną drutem. Sztylet mógł być na pokaz, ale miecz

na pewno nie. Żołnierz spoglądał na mnie z przyjaznym wyrazem twarzy, ale w jego spojrzeniu była przenikliwość, która zapewne obudziłaby w mojej głowie dzwonek alarmowy, gdybym nie wypił tyle rozwodnionego piwa.

– I oto – zacytowałem, podnosząc kufel do żołnierza – kiedy jej krewni złożyli ją w ziemi, jej ciało było okaleczone, a oddech ustał, a jednak wstała w porannym słońcu i żadne rany nie szpeciły jej urody. – Uśmiechnąłem się i wziąłem spory łyk piwa. – Tak w każdym razie mówią zwoje.

– Taki młody, a już uczony w pismach Przymierza. – Żołnierz roześmiał się, siadając obok mnie i machając do karczmarza. – Brandy, i jedna dla mojego pobożnego przyjaciela.

– Nie uczony – mruknąłem, obracając w palcach medalion. – Ale miałem... nauczyciela. Człowiek, który wiedział wiele o Męczennikach, choć głównie interesował się Zatrata.

– Był suplikantem? – zaciekawiał się żołnierz.

– Raczej nie – roześmiałem się ponownie, tak cynicznie, że śmiech ten wydał mi się zgrzytem. Moja wesołość zgasła jednak szybko, gdy wspomnienie śmierci Fornala rozbłysło w mojej głowie jasno i brzydtko.

– Nie bądź smutny, przyjacielu. – Dłoń żołnierza, lekka, ale silna, potrząsnęła mnie za ramię. – Mamy przecież co świętować. Głowę Deckina Scarla wreszcie nabito na pał, tak jak to być powinno. Wypij za to – wepchnął mi do ręki kubek z brandy – jeśli nie masz innych powodów do opijania.

– Dopuścił się wielu złych czynów, co do tego nie ma wątpliwości – mamrotałem, podnosząc kubek do ust, jednak zatrzymałem rękę w pół ruchu i spojrzałem na towarzysza podejrzliwie. – Czy wrzuciłeś tu suwerena?

Żołnierz zaśmiał się ponownie i poklepał mnie po plecach.

– Jestem z Kompani Koronnej, przyjacielu. Ci, którzy maszerują pod sztandarem Korony, nie muszą uciekać się do takich sztuczek, gdy potrzebują rekrutów. Widziałem mężczyzn, którzy walczyli o ten przywilej – zniżył głos do konspiracyjnego szeptu – i o ten żołd. Dostajemy po trzykroć tyle, co wykrztusi książę, plus część okupu, gdy złapiemy jakiegoś szlachcica. Nagrody też, przy

niektórych okazjach. Każdy z nas dostał dwa srebrne suwereny za udział w schwytaniu tego gównozercy Scarla.

W tym stwierdzeniu była kalkulacja, która powinna skłonić mnie do ostrożności, zarówno słowa, jak i spojrzenie świadczyły o tym, że człowiek ten oczekuje reakcji. Tymczasem, ku mojemu zawstydzeniu, nadto byłem oszołomiony, aby zrozumieć wskazówkę.

– Byłeś tam? – zapytałem. – Tam... kiedy go ujęto?

– A jakże. Walka była trochę cięższa, niż się spodziewaliśmy, jeśli mam być szczerzy. Straciliśmy trzech ludzi z naszej kompanii i dwudziestu kilku z oddziału księcia i szeryfa. Najgorsze były te dranie z tatuażami. Ale w końcu dostaliśmy ich wszystkich, oprócz kilku uciekinierów. Tchórzliwe szczury, uciekli do lasu i pozwolili, żeby ich pobratymców wyrżnięto jak wieprze.

Podniósł swój kubek do ust, ale gdy pił, ani na moment nie spuścił ze mnie wzroku, tak intensywnego, że w końcu obudził mój niepokój.

Powolnym spojrzeniem ogarnąłem karczmianą izbę i odkryłem dwóch kolejnych żołnierzy przy drzwiach. Nie trzymali kufli, ich dłonie spoczywały na rękojeściach mieczy. Kątem oka zerknąłem w lewo i zobaczyłem kolejnego, opartego o szynkwias. Był wyższy od pozostałych o kilka cali, a obok miecza miał u pasa zwinięty kawałek mocnej liny. Żaden z nich nie patrzył bezpośrednio na mnie, co stanowiło wystarczająco czytelną informację.

Nic tak nie otrzeźwia człowieka jak strach. Przepływa od stóp do głów, przywracając jasność myśli znacznie szybciej niż jakikolwiek lek czy eliksir. Dodaje też drżenie rąk i zdradliwe drżenie w głosie, które na szczęście umiałem ukryć. Nie zdołałem jednak stłumić chrząknięcia, zanim ponownie się odezwałem. Był to nieznaczny dźwięk, ale ludzie tacy jak żołnierze Korony, musieli potraktować go jako dowód, że w ich sidła wpadła jakaś ofiara.

– To musiała być niezła walka – stwierdziłem, przybierając ton tępy i pozbawiony zainteresowania, po czym wziąłem spory łyk brandy.

– Tak było – zgodził się żołnierz. – Przyznaję, że będę z niej bardziej dumny niż z najgorszej nawet bitwy z bandą Pretendenta. Widzisz, chłopcze – pochylił się ku mnie odrobinę, mówiąc z cichą, żarliwą szczerością – miałem osobiste rachunki do wyrównania. Od

niedawna żywię wielką nienawiść do banitów. Wojna jest zawsze paskudna, ale staje się jeszcze paskudniejsza, gdy trzeba pomścić krew. Krew rodzinną. – Jego ręka popełzła i spoczęła na moich ramionach, a on kontynuował towarzyskim tonem z niezachwianą pewnością siebie. – Nie pochodzę z bogaczy, ale z biedoty też nie. Ojciec pracował na roli, ale miał własną ziemię, więc radziliśmy sobie lepiej niż większość. Miał jednak trzech synów i wszyscy oni dożyli wieku męskiego z łaski Serafilów, tymczasem tylko najstarszy mógł odziedziczyć gospodarkę. Ja byłem najmłodszy, a Ralf średni. Mogliśmy zostać w domu, jak sądzę, ale nie jest łatwo pracować jako zwykły sługa u własnego brata, więc kiedy przez okolice przemaszzerowały sztandary, uznaliśmy, że to dobry wybór. Nie było wtedy tyle walk, co teraz, więc sierżanci byli nieco bardziej wybredni. Ale byliśmy obaj silnymi chłopakami, dobrze odżywionymi i ta cała praca na gospodarstwie dała nam silne mięśnie, więc nas wzięli. Z czasem wybrano mnie do Kompanii Koronnej. Ralf, niech go Męczennicy mają w opiece, trochę za bardzo lubił pić i bić, więc pozostał zbrojnym w książących szeregach. Rozkazy sprawiły, że przez lata prawie się nie widzieliśmy, aż do niedawna, gdy obowiązek wezwał mnie z powrotem do Marchii Shavine. Tyle że brat, którego tym razem widziałem, był martwy. Jakiś skurwysyn przebił go nożem, tak samo jego przyjaciela.

Żołnierz przerwał, by ponownie napić się brandy, niespiesznie podniósł kubek do ust, zaciskając zarazem rękę na moich ramionach. – Prawdę mówiąc wcale bym go nie poznał, ale jego sierżant zapewniał, że to zwłoki Ralfa. Twarz miał całą spuchniętą i nadgryzioną przez ryby. Najwyraźniej ten, kto go zabił, wrzucił go potem do rzeki. Minęły trzy dni, zanim wypłynął. W kompanii myśleli, że zdezerterował, co jest haniebnie, bo przy wszystkich swoich wadach, Ralf nie był tchórzem. Kazałem suplikantowi napisać o tym list do domu. Matula go nie przeczytała, ale szwagierka zna litery. Kiedy go wysyłałem, chciałem zwrócić podarek, który dała mu tego dnia, kiedy wymaszzerowaliśmy pod sztandarami. Mnie też taki dała. Jest, widzisz, jak i ty bardzo pobożna i ma szczególne upodobanie do męczennicy Hersefony. „Będziecie potrzebować szczęścia”, powiedziała nam obu. – Ręka żołnierza zniknęła za kołnierzem tuniki i wyłowiała mały, brązowy

krażek, zawieszony na łańcuszku. – „A ona przynosi szczęście”. – Położył dłoń na blacie obok mojej i zobaczyłem, że jego medalion jest niemal identyczną wersją tego, który wciąż zwisał z moich palców. – Ma rękę do takich drobiazgów, moja matula – kontynuował żołnierz. – Sprzedaje je na targach i jarmarkach. Zrobiła jeden medalion dla mnie i drugi dla Ralfa. Nie, żebyś znał go pod tym imieniem. Miał dar oswojania ptaków, więc ludzie nazywali go Sokolnikiem. Co ciekawe, kiedy wyłowili go z wody, nie miał swojego medalionu. – Żołnierz westchnął i przyciągnął mnie bliżej jeszcze, ściszył głos tak bardzo, że był to nieledwie szept. – Nienawiść to nic dobrego, chłopcze. Zżera człowieka od wewnątrz, jak larwa, która żeruje na twojej duszy. Moja nienawiść była na tyle silna, że po tym wszystkim, co zrobiłem w Omszańm Młynie, udałem się do suplikanta w poszukiwaniu wskazówek. „Czy Męczennicy wybaczą człowiekowi, który rozkoszuje się tak wielką ilością krwi?”, zapytałem go. Chcesz wiedzieć, co mi powiedział? „Przykład Męczenników jest tym, do czego należy w życiu dążyć, ale Serafilowie odmawiają swej łaski tylko tym, którzy w żaden sposób nie starają się dążyć do tego celu”. – Jego usta musnęły moje ucho, poczułem na skórze gorący, pachnący brandy oddech. – A ty jak bardzo starasz się dążyć, ty mały skur...?

Minione lata nauczyły mnie wielu sposobów wyślizgnięcia się z uścisku przeciwnika, w większości zależnych od prawidłowego obliczenia rozmiaru i możliwości obu stron. Ten mężczyzna był o cal wyższy ode mnie, cięższy i miał o wiele więcej mięśni. Jego umiejętność posługiwania się ostrzem też nie budziła najmniejszych wątpliwości. Ale on był żołnierzem, a nie banitą. Żołnierze wiedzą, jak walczyć, a banici znają sztuczki.

Podczas gdy on snuł swą tragiczną opowieść, ja trzymałem w ustach większość brandy, teraz odrobinę obróciłem głowę i splunąłem mocnym strumieniem prosto w jego oczy. Niezależnie od tego, jak silny i sprawny jest człowiek, jego ciało zawsze zareaguje całkowicie instynktownie na niespodziewany ból i pieczenie. Żołnierz szarpnął się do tyłu z pełnym zdumienia stęknieniem, jego uścisk na moich ramionach rozluźnił się na tyle, że mogłem uderzyć go łokciem w usta, twardym uderzeniem miażdżąc mu wargi o zęby.

Gdy głowa żołnierza odskoczyła do tyłu, brocząc krwią, dałem nura pod szynkwias. Upadłem na kolana, przetoczyłem się, gdy wielki drań z tyłu wykonał zamach, chwytając mnie za nogi, ale nie udało mu się mnie utrzymać, więc uciekłem. Zignorowałem drzwi, gdzie pozostali dwaj żołnierze już szarżowali w moją stronę, zamiast tego wskoczyłem na stół i rzuciłem się w stronę najbliższego okna, z rękami uniesionymi tak, by osłonić głowę. Na szczęście okiennice były stare i spróchniałe, ustąpiły przy pierwszym uderzeniu, pozostawiły jednak kilka drzazg zarówno w moich rękach, jak i twarzy.

Wylądowałem ze stęknieniem na twardym śniegu na zewnątrz, ledwo czując wstrząs spowodowany nagłym podmuchem lodowatego powietrza, podniosłem się na nogi i zacząłem uciekać. Pokonałem zaledwie kilkanaście jardów i coś wyłoniło się z ciemności, wirując. To był umiejętnie wymierzony rzut, okuta laska wślizgnęła się między moje nogi we właściwym momencie, by pozbawić mnie równowagi i posłać na ziemię. Krzycząc, odrzuciłem laskę i dźwignąłem się ponownie, tylko po to, by otrzymać oszałamiający cios w skroń. Podobnie jak cios laską i ten został zadany z wielką precyzją, do tego z siłą wystarczającą do pozbawienia mnie zmysłów. Gdy upadłem, dostrzegłem mężczyznę, który zadał ten cios – niskiego, wymizerowanego faceta w barwach Kompanii Koronnej, nie widziałem go z innymi w karczmie. Może nie był banitą, ale też znał wiele sztuczek. Gdy leżałem zbyt oszołomiony, by się poruszyć, usłyszałem chrzęst wielu butów na śniegu. Dźwięk ten przywrócił mi siły na tyle, że zdołałem stanąć, choć na krótko, zanim sznur zapętlił się nad moją głową. Zachłysnąłem się, gdy lina się napięła, zwała mnie z nóg i pociągnęła po ziemi, wierzgającego ze wszystkich pozostałych mi sił.

I tak, drogi czytelniku, zostałem złapany.



Walczysz, co? – zapytał głos, zanim kopnięcie wbiło mi but w trzewia i moje zmagania ustały, gdy złożyłem się wpół. – Czy mój brat walczył? Założyłbym się, że nigdy nie dałeś mu szansy! – Kolejny kopniak, tym razem w głowę, sprawił, że zobaczyłem całe niebo gwiazd, ale, niestety, nie był wystarczająco silny, aby odebrać mi przytomność lub znieczulić, bo miałem dostać o wiele więcej kopniaków. Zakryłem głowę i części intymne rękami, gdyby nie były zajęte szarpaniem sznura na szyi.

– W porządku, podnieście go.

Kopanie ustało, ustawiono mnie do pionu i powleczono, zwiotczałego i krwawiącego z dala od karczmy. Mętym wzrokiem, przez zasłonę czerwieni dostrzegałem kształt dużego dębu rosnącego w centrum wioski, którego jeden konar zwiślał wystarczająco nisko, by można przezeń przerzucić linę.

– Powinieneś być dumny, chłopcze – powiedział mi żołnierz, uśmiechnięty szeroko mimo spuchniętych warg i zaczerwienionych zębów. – Umrzesz tego samego dnia, co twój sławny przywódca.

Cisnęli mnie na ziemię pod dębem, a on wyciągnął swój sztylet z granatem w główicy i przysunął ostrze do mojej twarzy, podczas gdy jego towarzysze ryknęli śmiechem pełnym oczekiwania.

– Nie martw się – pocieszył mnie brat Sokolnika, mrużąc oko.
– Dbam, by ostrze było czyste, więc rana nie będzie ropieć. Nie żeby miała na to czas. Ale najpierw najważniejsze. – Lina zaszurała po gałęzi i pętla wokół mojej szyi zacisnęła się po raz kolejny. Udało mi się wsunąć pod nią palce, co oznaczało, że nie udusiłem się od razu, ale też i nie tego chcieli moi oprawcy. Naprężyli linę, podnosząc mnie z ziemi, podczas gdy ja walczyłem ze stryczkiem, szarpiąc się w bezrozumnej panice, jaka ogarnia człowieka w obliczu nieuchronnej śmierci.

– O to chodzi, chłopcze! – zawołał jeden z nich, zanosząc się rechotem. – Zatańcz dla nas!

Dudniący w mojej głowie puls szybko zagłuszył ich przekleństwa, a gdy lina wtłoczyła mi palce w szyję, mój wzrok przygasł po raz kolejny. Miotalem się z całej siły, usta pokryła mi piana, a oczy stały się tak duże i obrzmiałe, że musiały chyba wyleźć z czaszki. Jednak ciało pozbawione powietrza nie może walczyć wiecznie, choć bardzo chciałem, żeby było inaczej, moje ręce zwiotczały uchwycone przez linę, a machanie nogami ustało w drgawkach. Przestałem widzieć na czerwono, wszystko wokół zaląła szarość, a potem, szybciej niż się spodziewałem, nieprzenikniona czerń.

Jeśli jesteś pobożny, mój czytelniku, oczekujesz zapewne w tym momencie kwiecistego opisu Boskich Portali, płonących w niebiosach jasnym i cudownym światłem, których strzegli Serafilowie, podczas gdy chór Męczenników śpiewał mi na powitanie. Biorąc pod uwagę, jak żyłem do tamtego momentu, wybaczam ci, jeśliś wyobrażał sobie moje niekończące krzyki, gdy Malecy wciągnęli mnie do swojej ognistej domeny, żądając mej nędznej duszy dla siebie. Bez względu na to, którą wybrałeś wersję, z przykrością muszę cię jednak rozczarować.

To prawda, że umarłem tamtej nocy na chwilę, bo gdy czerń zamknęła się wokół mnie, poczułem, że moje serce się zatrzymało. Pomimo mnóstwa bzdur napisanych przez niegodnych bajkopisarzy, którzy pretendują do miana uczonych lub kronikarzy, ta wizyta w krainie śmierci nie była momentem mojego objawienia. Wszystko to nastąpiło znacznie później. Nie, drogi czytelniku. Z bólem muszę ci powiedzieć, że kiedy czułem, jak cichnie ostatnie, słabe uderzenie

mojego serca, nic nie widziałem. Niczego nie czułem. Wszystko się po prostu... zatrzymało.

– Zabiliście go, wy niezdarne fujary!

Żołnierz wypluwał słowa z wściekłością, a warkot ten zdawał mi się wyjątkowo głośny, nawet bolesny. Tak samo jak lodowaty pocałunek oszronionej ziemi na moim policzku. Jeszcze bardziej bolesny, choć był to wspaniały rodzaj agonii, okazał się wielki haust chłodnego powietrza, które wciągnąłem do płuc, zapowiadał bowiem męki torsji i zrzućanie żółci.

– Widzisz? – odezwał się inny głos. – Mówiłem ci, że jeszcze nie odszedł.

Chłód zniknął z policzka, zastąpił go dotyk dłoni, która uniosła mi głowę. Kilka mocnych uderzeń przywróciło mi ostrość wzroku i zobaczyłem żołnierza z karczmy. Nie uśmiechał się już z udawaną sympatią, jak to czynił wcześniej, teraz miałem przed sobą zakrwawione, dzikie oblicze człowieka, którego bez reszty pochłonęła zemsta.

– Dobrze – mruknął, przewracając mnie na plecy. – Przytrzymajcie go! – rozkazał przyjaciałom. – Na pewno będzie się wrywał.

Spróbowałem się szarpać, ale zdołałem uczynić jedynie drgnienie bądź dwa i tuzin rąk przygniotło mnie do ziemi, a brat Sokolnika zaczął zrywać ze mnie ubranie używając sztyletu, by rozciąć kubrak i portki, odsłaniając mnie od piersi, aż po pachwiny.

– Powinienem cię ostrzec – wysyczał, pochyliwszy się nade mną, oczy miał otwarte szeroko i pełne głodu. – Na farmie nigdy nie byłem dobry w wytrzewianiu świń. – Zmienił chwyt na rękojeści sztyletu i opuścił sztych, póki ten nie dotknął mojej skóry na tyle mocno, aby dobyć z niej koralik krwi.

– Zawsze kwiczały najdłużej i najgłośniej...

– Co to za zamieszanie!

Głos dobiegł zza pleców żołnierzy otaczających mnie kręgiem. Nie był szczególnie głośny, ale przesycony takim autorytetem, że skłonił ich wszystkich, by mnie puścili i stanęli prosto. Żołnierz o zakrwawionej twarzy zwlekał odrobinę dłużej. Wykrzywił się w grymasie czystej frustracji, po czym uniósł jednak sztylet i podniósł się, by stanąć na baczność.

– Znaleźliśmy kolejnego złoczyńcę, sir Althusie – rzekł krótko i z szacunkiem. – To jeden z ludzi Scarla, przysięgam. A także – jego pełen nienawiści wzrok wrócił do mnie na moment – morderca mojego brata.

– O. Jednego z tych, których wyciągnęliśmy z rzeki w Ambriside, prawda?

– Tak, mój panie.

– Uhm.

Żołnierze opuścili głowy, a śnieg zaskrzypiał pod ich butami, gdy się cofnęli. Mężczyzna, który wpatrywał się we mnie z góry był wysoki i dobrze zbudowany. Miał trzydzieści parę wiosen, włosy przystrzyżone przy skórze i krótką, schludnie przyciętą brodę. Nosił kaftan z drogiego materiału i futra, a po jednej stronie pysznił się wyhaftowany złotą nicią orzeł. Spojrzenie tego mężczyzny było władcze i nieznoszące sprzeciwu, ale ja nie mogłem oderwać wzroku od orła.

Ten rycerz, sir Althus, wpatrywał się w moją twarz przez długą chwilę, zmrużywszy lekko oczy, co mógłbym uznać za znak, że mnie rozpoznał, gdybym nie był pewien, że nigdy wcześniej mnie nie widział.

– Jakie macie dowody? – mruknął, spoglądając na zakrwawionego żołnierza.

– Tu jest dowód, mój panie. – Żołnierz przykucnął i zerwał medalion z mojej szyi, po czym zaprezentował go wraz ze swoim. – Są takie same, jeden został zrobiony dla mnie, drugi dla mego brata. Tylko w jeden sposób ten skurwysyn mógł położyć na nim rękę.

Sir Althus tylko uniósł brew na te słowa. Wziął medalion z dłoni żołnierza, zbliżył się do mnie i przykucnął przy moim boku. Po raz kolejny jego spojrzenie zawisło na mej twarzy dłużej niż zdało się to normalne w przypadku szlachcica patrzącego na pojmanego banitę.

– Jak ci na imię, chłopcze?

Musiałem stoczyć walkę z atakiem kaszlu, a potem potrzebą przełykania, zanim moje gardło zdolne było wykrztusić odpowiedź.

– Gab... mój panie.

– Gab. – Jego twarz pozostała właściwie niewzruszona, ale dostrzegłem wyraźne drgnienie kącików ust, co natychmiast mi

powiedziało, że człowiek ten ma ucho do kłamstw. – Powiedz mi zatem, Gabie – zakołysał mi medalionem przed twarzą – jak wszedłeś w posiadanie tej cennej rodzinnej pamiątki?

– W-wygrałem... panie, w-w kości.

– Mały, kłamliwy skurwieli!

Żołnierz obrócił się i unióś nogę, by stanąć mi na piersi, ale znieruchomiał pod surowym spojrzeniem kucającego rycerza.

– Kto gra o medalion z męczennicą, panie – zapytał więc, opuścił nogę, za to podniósł raz jeszcze dwa medaliony. – Poza tym one nie są warte złamanego szeląga.

– Widziałem, jak ludzie grali o najróżniejsze rzeczy, gdy przyszła im na to ochota – odpowiedział sir Althus spokojnie, jego wzrok wciąż głównie skupiony był na mnie. – Raz byłem świadkiem jak jeden chłop założył się o własną dupę, taki był pewien swojego szczęścia. – Zaśmiał się krótko. – Wyszło na to, że się pomylił. Tak to już jest z kośćmi. Nikomu nie są posłuszne. Rzucisz raz i zdobędziesz bogactwo, rzucisz drugi – spojrzał na mnie spod uniesionej brwi i z uśmiechem, który wydał mi się niewłaściwy w tych okolicznościach – i cię wygrzmocą.

– On... – zawahał się żołnierz, wyraźnie zmagając się z kipiącą w nim furią, którą z pewnością dałoby się usłyszeć w jego głosie, gdyby zwracał się do kogoś o niższym statusie. – On nie jest tutejszy, mój panie. Zjawił się tutaj w dzień egzekucji Scarla, całkiem sam i to w środku zimy. Skąd przyszedł, jeśli nie z jakiejś nory banitów?

– To istotnie ciekawe – przyznał sir Althus, przechylając głowę. – Nie jest to zacne odzienie – dodał, wskazując palcem skraj mej oponczy – ale nie jest to też odzienie biedaka.

– Prezent od mojego pana na pożegnanie, wasza lordowska mość – odpowiedziałem, głos już mi się nie rwał. Zyskał za to chrapliwość, której się nigdy nie pozbyłem do końca, nawet po tak wielu latach. – Nie mógł mnie zatrzymać. Nie było dość pracy. Od tamtego czasu wędruję, próbując znaleźć jakieś inne miejsce. Usłyszałem, że na zamku lorda Duhbosa może się znaleźć jakieś zajęcie dla stolarza.

– Jeszcze więcej gówna – zasyczał żołnierz przez zaciśnięte zęby. Przy rozdętych nozdrzach pojawiła się para. – On jest złoczyńcą, mój panie. Wyraźnie to czuję.

– Twój nos nie może stanowić dowodu, żołnierzu. – W głosie rycerza zabrzmiały ostre tony odprawy, które najwyraźniej obudziły w jego podkomendnych niezgorszą obawę. Wszyscy żołnierze natychmiast wyprężyli się jeszcze bardziej i stanęli jeszcze sztywniej, wliczając w to pogrążonego w żałobie brata o zakrwawionej twarzy. Zemsta to potężny eliksir, ale nawet on nie zdołał skłonić tego człowieka, by spróbował podważyć autorytet, jakim cieszył się sir Althus.

– Ty mu to uczyniłeś? – zapytał mnie rycerz, ruchem głowy wskazując zakrwawioną twarz żołnierza.

– Strach mnie zdjął, mój panie – odpowiedziałem, próbując się uśmiechnąć, co wskutek pobicia musiało uczynić mnie podobnym wielobarwnemu gargulcowi. – Czasem nie wiem, ile mam siły...

– Siły? – wszedł mi w słowo, wstając. – No cóż, przekonamy się, jaki jesteś silny. Odwrócił się do otaczających nas żołnierzy. – Królewski edykt o wymierzeniu natychmiastowej sprawiedliwości dotyczył tylko tych, których znaleziono w towarzystwie Deckina Scarla. Zgodnie z prawem Korony, o winie tego chłopca zadecyduje książę Elbyn, po przesłuchaniu, na którym można będzie przedstawić wszelkie dowody na to, że chłopak jest banitą, jak również wysłuchać tego, co on ma do powiedzenia w tej kwestii. Na razie pewnym jest, że zranił żołnierza z Kompanii Koronnej i za to odpowie.

Podniósł rękę w krótkim geście i zbliżyła się do nas inna grupka żołnierzy. Podobnie jak moi oprawcy, ci też odziani byli w królewskie barwy, ale zdali mi się schludniejsi, i tak jak rycerz nosili na piersiach złotego orła. Na ich widok ci pierwsi odstępili pospiesznie, choć nie obyło się bez pełnych niechęci spojrzeń.

– Jeden dzień pod pręgierzem powinien być wystarczającą karą – zdecydował sir Althus, gdy podnoszono mnie na nogi. Byłem zbyt słaby, by iść, zarzucili więc sobie moje ręce na szyje i tak mnie ponieśli. Zatrzymali się po kilku krokach, gdy rycerz uniósł rozkazująco rękę.

– Byłeś głupcem, przychodząc tutaj – powiedział, nachyliwszy się do mnie, głosem tak cichym, że nikt inny nie mógł go usłyszeć. Gdyby nie to, że doznane obrażenia stępiły mi zmysły, to pewnie poderwałbym głowę ogarnięty falą paniki, gdy usłyszałem następne

słowo. W tym stanie jednakże mogłem tylko przechylić głowę i spojrzeć na niego ze smutkiem, gdy powiedział:

– Alwynie.



Podczas gdy większość wieśniaków spodziewa się właściwie, że życie swoje, zwykle niedługie, spędzą pracując na roli, i rzadko zdarzy się coś, co przerwie monotonię tego mozołu, mieszkańcy miast mają zazwyczaj znacznie więcej rozrywek. Grupy grajków odwiedzają miasta w większości księstw, nawet w czasach wojny, i zazwyczaj zjawiają się w święta poszczególnych męczenników. Podobnie jak sokolnicy, druciarze, handlarze i rzemieślnicy, dostarczyciele wątpliwej jakości leków, wszyscy oni tworzyli wędrowny targ i znajdowali licznych klientów wśród ruder, wyrastających wokół zamku, portu lub często uczęszczanego mostu. Nieraz zastanawiał mnie fakt, że mimo tak wielu różnych rozrywek, żadna nie cieszy mieszczuchów bardziej niż delektowanie się męką i upokorzeniem nieszczęśnika, który miał takiego pecha, aby trafić pod pręgierz. Jak dzieci, które złapały lisa w sidła, pomyślałem, gdy coś miękkiego i zgniłego rozprysło się na moim policzku. Okrucieństwo bez konsekwencji jest często pokusą nie do odparcia, zwłaszcza dla tych, którzy urodzili się, by przez życie całe codziennie walczyć o byt. Tak więc to nie rzemieślnicy i kupcy z miasta zebrali się, aby obrzucić mnie swoimi brudami, ale ich służący lub czeladnicy, a także pijacy i żebracy, którzy zwykle czaili się na obrzeżach życia miasta. Ci byli zdecydowanie najgorsi, wydłubywali kamienie, aby dodać je do nieustannego deszczu gnijących warzyw i przeżutych przez psy kości. Jak na ludzi, którzy tak bardzo cierpieli z powodu zimna lub skutków pijaństwa, wzrok mieli niezmacony, a siłę ramion godną uwagi. Gdy kamienie jeden po drugim odbijały się od mojego czoła, nosa lub brody, byłem wdzięczny za cuchnące łajno i innego rodzaju brud, którymi już zostałem obrzucony; zrodzony z nich odór, utrzymywał z dala wszelkie płyny cielesne, które w przeciwnym razie mogłyby spowodować zakażenie moich licznych ran.

Jak można się było spodziewać, kaskadzie pocisków towarzyszył grad obelg. Po raz kolejny to mieszkańcy miasta mieli najbarwniejsze opinie. Wiele z nich umknęło mojej oszołomionej i osłabionej świadomości, ale kilka wybranych perełek pozostało w mojej pamięci do dzisiaj.

– Świniojebca, kradnący dzieci syn kurwy! – krzyczała kobieta z nosem tak czerwonym od nadmiaru alkoholu, że mój półprzytomny umysł podsunął mi myśl, że przywiązała sobie jabłko do twarzy.

– Masz to, ty gównozercu! – chrypiał chudzielec, tańcząc boso na oszronionej ziemi, gdy rzucał we mnie rozbitym garnkiem. Na szczęście nie miał on tak celnego oka jak jego kamraci i ostre krawędzie odłamków zaledwie otarły się o moje ciemność, po czym roztrzaskały na grubych deskach pręgierza.

Moja kara nie została jednak pozostawiona całkowicie w rękach niezdyscyplinowanej gawiedzi. Żołnierze odczekali, aż słońce całkiem wszędzie, po czym zmusili mnie bym ukląkł, a następnie włożył szyję i nadgarstki w trzy zagłębienia wykute w ciężkiej, żelaznej belce tworzącej dolną połowę pręgierza. Gdy górna belka znalazła się na miejscu, sierżant odczytał moją karę rosnącemu tłumowi mieszczan. Krótkie obwieszczenie wspominało oczywiście o mojej potencjalnej przynależności do bandy Deckina. Być może właśnie dlatego, gawieź zbierała pociski, zanim żołnierz doczytał do końca.

Zwinąwszy zwój, sierżant ujął halabardę i wyskrobał w lodowatej ziemi krzywą linię w odległości około dwudziestu kroków od pręgierza, tworząc w ten sposób granicę, poza którą nie wolno było wyjść żadnemu z moich oprawców. Nierzadko zdarzało się, że ludzie umierali w dybach, gdy pragnienie sprawiedliwości tłumowi wymykało się spod kontroli. Nieustanny deszcz odpadków, kamieni i wyzwisk trwał przez większą część dnia. Od czasu do czasu zdarzała się przerwa, gdy gromada moich katów szła zebrać więcej pocisków lub dodać sobie werwy napitkiem. Tych przerw bałem się bardziej niż kamieni, ponieważ przywracały one czucie mojej pokiereszowanej twarzy jak również odrobinę przytomności.

Wiedziałem, że zostałem złapany i znałem swój los. Cierpienie, którego doświadczałem teraz, było niczym, wobec tego,

co miało nastąpić później. Zostanę postawiony przed księciem celem przesłuchania. I choć umiałem się wysławić, to żadne udawanie czy wymyślona historia nie mogły mnie uwolnić z tej szczególnej pułapki. Przy czym nie spodziewałem się nawet, że rano będę mógł cokolwiek powiedzieć. Usta miałem porozcinane i spuchnięte, szyja pulsowała nieznośnym bólem po tym, jak niemal zostałem powieszony, do tego miałem wrażenie, że mój rozum słabnie w miarę trwania męki. Każdy kamień, który trafiał w moją zwieszoną bezwładnie głowę, każde plaśnięcie plugastwa o skórę, a nawet niekończące się przekleństwa, sprawiały, że uciekałem coraz dalej ze świata. Wycofałem się niczym żółw do swojej skorupy, znajdując schronienie w wyblakłych wspomnieniach i marzeniach o rzeczach, które nigdy nie były mi dane i nigdy nie będą.

Tak całkowicie poddałem się delirium, że kiedy uderzenie szokującego zimna przywróciło mnie do świata, odkryłem, że nadeszła noc, a plac miejski opustoszał. Niebo było czyste i roziskrzone gwiazdami, a okoliczne domy pogrążone w ciemnościach, jeśli nie liczyć słabego blasku świec, sączącego się z za zamkniętych okiennic. Kilku pijaków czaiło się po kątach, ale żaden nie ośmielił się podejść bliżej, dzięki kilkunastu królewskim żołnierzom ustawionym wokół pręgierza.

– Nadal tam jesteś? – usłyszałem i w polu mojego widzenia pojawiła się brodata twarz sir Althusa. Zerknął w moje zapuchnięte oczy, po czym odsunął się, odrzucając na bok wiadro, którego użył, żeby zlać mi głowę lodowatą wodą. – Oczywiście, że jesteś. Mówił przecież, że niełatwo cię zabić.

Wyciągnął glinianą fajkę i począł nabijać główkę ziołem, obserwując beznamiętnie, jak mrugam i parskam, wracając do przytomności. Choć nie czułem już rąk ani, prawdę powiedziawszy, reszty ciała, miałem wrażenie, że głowa i twarz płoną mi żywym ogniem. Nie zaskoczyło mnie, że nie mogę już oddychać przez nos, spędziłem długie chwile dysząc z bólu, gdy zimne powietrze i woda wnikały w moje najróżniejsze rany.

– Proszę – mruknął sir Althus, zaciskając zęby na cybuchu, i przyłożył mi flaszkę do warg. Woda wypełniła mi usta, smakowała cudowniej niż najśłodszy nektar i niosła ukojenie spieczonemu i posiniaczonemu gardłu. Wypiłem wszystko, po czym wyteżyłem

szyję, by spojrzeć na sir Althusa, który znów wsunął cybuch między zęby i uderzył krzemieniem nad główką wypełnioną liśćmi. Wyćwiczony, zręczny gest, którego efektem był pachnący piżmem i kwiatami dym, gdy sir Althus zaczął pykać z fajki.

– Widziałem gorsze rzeczy – stwierdził z zadumą, przyjrzawszy się mojemu poturbowanemu obliczu. – Ale wątpię, by jakakolwiek panna kiedykolwiek nazwała cię przystojnym. Spróbuj tego. – Wyjął fajkę z ust i umieścił cybuch między moimi spuchniętymi wargami. – To trochę złagodzi ból.

W tamtych czasach fajkowe liście stanowiły rzadkość, sprowadzano je z daleka, zza morza, co sprawiało, że kosztowały odpowiednio dużo, więc był to luksus, którym mogli się cieszyć tylko szlachcice. Po pierwszym wdechu rozkaszałem się ponownie, ale po chwili, gdy dziwnie słodki dym dotarł do moich płuc, poczułem, że ogień, który ogarniał moją twarz zaczyna powoli gasnąć.

– Nie za dużo. – Sir Althus zabrał fajkę, zanim mogłem wciągnąć więcej błogosławionego dymu. – Nie chciałbym, żebyś stracił przytomność, prawda? Najpierw sobie trochę pogadamy. – Wytarł cybuch fajki o tunikę, zanim ponownie uniósł go do ust, westchnął, siadając na najwyższym stopniu niewielkiego podestu, na którym ustawiono pręgierz. – Przeprosiłbym za ten... spektakl, gdybym nie był przekonany, że na to zasługujesz, a nawet na więcej. – Usiadł tak, że bez wysiłku mogłem zobaczyć jego twarz i przeszyło mnie intensywne spojrzenie spod uporczywie zmarszczonych brwi. – Zabiłeś brata tego człowieka, prawda, Alwynie?

Różne odpowiedzi pchały mi się na usta, od tępego zaprzeczenia po rozpaczliwe przypisywanie winy temu, który, jak zakładałem, już dawno nie żył. Był to straszny, krwiożerczy łotr o imieniu Erchel. Zmusił mnie do życia poza prawem, panie, przysięgam na wszystkich Męczenników. Ale jedynym dźwiękiem, który ostatecznie wydobył się z moich ust, był zmęczony jęk rezygnacji, w którym sir Althus usłyszał wystarczająco dużo prawdy, by mruknąć z satysfakcją.

– Tak myślałem. Rozkazy Deckina, jak mniemam?

Odpowiedziałem na jego zmarszczenie brwi zmarszczeniem swoich i jęknąłem, gdy wysiłek wywołał nawrót bólu i wzmógł śączenie się krwi z otwartych ran.

– Nie? – Rycerz uniósł brwi w zaskoczeniu. – Założę się, że nie był zadowolony, kiedy mu powiedziałeś. Zawsze trzeba było na niego uważać, gdy jego temperament dochodził do głosu. Widziałem kiedyś, jak pozbawił życia łuczника, który zbyt głośno narzekał na przegraną w karty. Ale był wtedy młodszy, może złagodniał z wiekiem, a może to tylko jego sympatia do ciebie uratowała cię przed nożem?

Walczyłem, by twarz moja pozostała nieruchoma, po części z obawy przed kolejną falą bólu, ale też zdradzeniem niebezpiecznych tajemnic temu nazbyt spostrzegawczemu rycerzowi. Jednak wzmianka o jego wcześniejszej znajomości z Deckinem sprawiła, że nieznacznie, lecz z wyraźną ciekawością zmrużyłem oczy.

– To prawda – zapewnił mnie. Dym zasnuwał mu zęby, gdy się uśmiechał. – Znałem go, jeszcze za czasów, gdy nazywał się Deckin Rožen. Tak nazywano go w zamku poprzedniego księcia, ze względu na lata spędzone na obracaniu mięsa nad ogniem. Nie było to imię, za którym przepadał, ale właśnie takiego użył sierżant, kiedy kazał nam dukać przysięgi. Zostaliśmy zaprzysiężeni tego samego dnia, wiesz? Dwóch chłopców, którym jeszcze nie całkiem jaja opadły i nagle byliśmy żołnierzami maszerującymi na wojnę.

Sir Althus przerwał, zaciągnął się głęboko fajką i wypuścił bladoszary obłok, śmiejąc się przy tym z żalem i goryczą zarazem. Kiedy podjął swoją opowieść, zauważyłem, że mówił już inaczej, miękką modulacją głosu i precyzyjną wymowę szlachty zastąpiły szorstkie tony i obcięte samogłoski pospólstwa.

– Myślałbyś, że oszczędzili nam najgorszego, przynajmniej przez jakiś czas. Że poczekali, aż trochę podrośniemy, zanim ustawili nas w szeregu z halabardami, które ważyły więcej od nas. Ale nie tak było pod sztandarami pod koniec Wojny Książąt. Bez względu na wiek, na to jak wątłe miałeś ramiona i czy w ogóle umiałeś posługiwać się bronią, walczyłeś, jak wszyscy pozostali i, jeśli Męczennicy użyczyli ci szczęścia, to udawało ci się przeżyć. Pomagało też, jeśli miałeś przyjaciela, który pilnował twojego tyłka, gdy robiło się zbyt gorąco. Widzisz to? – Sir Althus podciągnął rękaw, ukazując łatę bladej, pozbawionej włosów skóry umięśnionego ramienia. – Beł z kuszy przeszedł na wylot od końca do końca

podczas drugiego oblężenia Ilvertrenu, czy może trzeciego? – Wzruszył ramionami. – Kto by pamiętał. Chodzi o to, że nigdy później nie byłem tak bliski śmierci, i to Deckin zniósł mnie z murów, zanim jakiś inny zapalczywy drań mógł dokończyć dzieła.

Kolejna fala bólu sprawiła, że jęknąłem głośno, rycerz przerwał, i ponownie przysunął fajkę do moich ust, tym razem pozwalając mi nacieszyć się nią nieco dłużej. Dym złagodził moją mękę, ale też zmącił mi wzrok. Kiedy sir Althus usiadł ponownie, jego twarz stała się niewyraźna i zniekształcona, ale jego słowa docierały do mnie z całkowitą jasnością.

– Upływ czasu i koleje wojny ostatecznie nas rozdzieliły – powiedział z nutą nostalgicznego żalu. – Mnie trafiła się szansa w Kompanii Koronnej i skorzystałem z niej bez wahania, tymczasem on wolał pozostać pod sztandarem księcia. Podejrzewam, że już wtedy postanowił zostać banitą, ciągnęło go do Marchii Shavine, przez ojca, którego nienawidził. To była jego wielka obsesja, wielki plan ostatecznej zemsty. Jakże musiało go to zirytować, gdy księżę Rouphon znalazł sposób, by własnym staraniem położyć głowę na katowskim pieńku.

Rycerz potrząsnął głową z nikłym śmiechem. Nie patrzył już na mnie, tylko w dal, niewidzącym spojrzeniem, z czego wywnioskowałem, że ta opowieść nie była w rzeczywistości przeznaczona dla mnie. Moja obecność była dogodną okazją, aby opowiedzieć historię, którą nie mógł podzielić się ze swymi szlachetnymi przyjaciółmi.

– Tak więc – mówił dalej po chwili krótkiego, ponurego namysłu – Deckin został banitą, ja zaś, po wielu perypetiach, zostałem rycerzem. Nie będę cię kłopotał szczegółami mojej nobilitacji, Alwynie, bo podejrzewam, że nic cię to nie obchodzi. Dość powiedzieć, że o ile kiedyś kłaniałem się i salutowałem tym, którzy urodzili się uprzywilejowani, teraz inni kłaniają się i salutują mnie. Kilka lat temu ojciec króla Tomasa uderzył mnie mieczem i nazwał mnie sir Alhusem Levalle'em, komturem Kompanii Koronnej. Mam żonę szlachetnej, choć nieszczególnie godnej krwi, własny zamek oraz ziemie i poddanych. Takie nagrody możesz sobie wywalczyć na wojnie, jeśli żyjesz wystarczająco długo. Deckin też mógł to osiągnąć, gdyby nie ta jego obsesja, bo zawsze był lepszym

żołnierzem i to właśnie powiedział, gdy zaledwie trzy noce temu siedziałem w lochu przy nim, jak teraz siedzę obok ciebie. Oprawcy księcia zadawali mu męki, ale on nie odezwał się ani słowem, nie do nich. Ale ze mną rozmawiał. „Umarłbyś kilkanaście razy, gdyby nie ja”, powiedział i nie mogłem zarzucić mu kłamstwa. „Jesteś mi winien z tuzin przysług, stary przyjacielu. Ale poproszę cię tylko o dwie”.

Nagle, głębokie znużenie pochwyliło w tamtej chwili moje ciało, sprawiło, że głowa mi opadła, a z ust wydobył się kolejny jęk. Może był to skutek fajkowych liści albo głębokiej nocy, ale wszystko wokół stało się ciemne. Gdy sir Althus odezwał się ponownie, jego głos zdawał mi się jedynie odległym echem.

– Poprosił mnie jedynie o dwie rzeczy. Po pierwsze, żebym to ja dzierżył miecz, gdy zostanie mu wymierzona królewska sprawiedliwość. „Wolę śmierć z rąk przyjaciela, jeśli jesteś gotów się zgodzić”. Nigdy nie uchylałem się przed obowiązkami, Alwynie. Obowiązek to obowiązek i przysięgałem go wypełniać. Dobrze byś o tym pamiętał; składaj przysięgę tylko wtedy, gdy jesteś gotów jej dotrzymać, nawet w obliczu śmierci. Fałszywa przysięga nie ma żadnej wartości, a jedyną nagrodą, jaką przynosi, jest nieufność i wrogość innych, zwykle tych, którzy są znacznie bogatsi i potężniejsi, niż ty będziesz kiedykolwiek. Jeśli więc dajesz swoje słowo, upewnij się, że go dotrzymasz. Tak jak ja dotrzymałem go, gdy ściałem głowę człowieka, którego niegdyś kochałem jak brata. Jak dotrzymuję go teraz. Druga prośba Deckina sprowadzała się do tego, bym miał baczenie na pewnego młodzieńca, chłopaka na tyle sprytnego, żeby uniknąć rzezi w Omszałym Młynie, ale, jak podejrzewał, nie na tyle bystrego, żeby trzymać się z dala od tego miejsca.

Mocna dłoń chwyciła mój podbródek, zmuszając do podniesienia wzroku na jego bezkształtną, rozmytą twarz. Pomimo rosnącej dezorientacji, zauważyłem ponury żal w oczach i głosie sir Althusa.

– Deckin prosił, bym cię stąd zabrał i znalazł dla ciebie miejsce w moim domostwie, ale dzięki twoim przygodom ostatniej nocy stało się to niemożliwe. Obawiam się, że sumienie gryzłoby

mnie odrobinę zbyt mocno, gdybym dał bezpieczne schronienie temu, kto zamordował żołnierza.

Jego słowa obudziły głęboko we mnie trzepot paniki, ale stosunkowo niewielki, stłumiony działaniem liści, jak również cierpieniem i głodem, które mnie nękały.

– Ale nie martw się – kontynuował sir Althus, jego głos był teraz jeszcze bardziej odległy, wydawało mi się, że rycerz przemawia z przeciwległego końca bardzo długiego tunelu. Z powodu stanu, w jakim się znajdowałem, nie wszystkie słowa sir Althusa zapadły mi w pamięć, więc pisząc tę relację byłem zmuszony domyślać się wielu. Jednak postawiłbym sporą sumę, że uczyniłem to z ogromną dokładnością i sir Althus niewątpliwie by to potwierdził, jeśli tylko by mógł, co, jak wiedzą studenci historii, miejsca mieć nie może.

– Nie zawlokę cię też przed oblicze nowego księcia, aby cię osądził – rzekł mi, jak sądzę, gdy gwałtownie pogrążyłem się w nieświadomości. – Ta suka, którą sobie upodobał, z pewnością potwierdziłaby twoją przynależność do bandy Deckina, a wtedy niczego nie mógłbym dla ciebie zrobić. Nie, ciebie czekają Wyrobiska, mój chłopcze. Szczęśliwym trafem kajdannik właśnie zbierał łotrów z lochów lorda Duhbosa. Dostaje dwadzieścia szylingów za każdą duszę, którą dostarczy do Wyrobisk, więc łatwo dał się namówić, żeby wziął jeszcze jedną. Ten żołnierz, który tak bardzo chciał cię wypatroszyć, na pewno będzie się ciskał, ale srebrny suweren powinien go uciszyć, zwłaszcza gdy powiem mu, gdzie trafiłeś. Gdy już spędzisz trochę czasu w Wyrobiskach, może dojdiesz do wniosku, że pętla i wypuszczenie jelit byłoby lepsze w ostatecznym rozrachunku...

Wiem, że mówił więcej, ale te słowa przepadły na zawsze. Pamiętam, że obserwowałem, jak buty zlewały się z szybko opadającą chmurą czerni, a głos rycerza stawał się żalobnym, bezsłownym zawozeniem.

Nie zobaczyłem sir Althusa Levalle'a przez kilka kolejnych lat, a kiedy to nastąpiło, to mimo wdzięczności, jaką mu jestem winien, i w przeciwieństwie do myśli o Deckinie, które budzą we mnie żal, poczułem wtedy wielki gniew. To prawda, że sir Althus ocalił mi życie, więc nie powinienem go nienawidzić, ale skazał mnie na zagładę, więc ja też tak uczyniłem.



O budziłem się przy dźwiękach pieśni, niezbyt melodyjnej i śpiewanej w języku, którego nie znałem, równie przy tym entuzjastycznej, co głośniejszej. Z trudem otworzyłem sklezione krwią powieki, podniosłem głowę i niemal natychmiast uderzyłem nią o coś twardego, albowiem powierzchnia, na której leżałem, gwałtownie się przechyliła. Wzrok miałem wciąż zaćmiony, ale kołysząca się podłoga i skrzypienie osi powiedziały mi, że znalazłem się na jakimś wozie. Natomiast smród potu i wyschniętego gówna – że nie znalazłem się tam sam.

– Śpiąca królewna nie jest jednak martwa – skomentował ktoś, a moje zasnutę mgłą spojrzenie powędrowało w stronę bladego, rozmytego owalu. Głos był kobiecy, ale nieco chrapliwy i sądząc po akcencie, jego właścicielka pochodziła spoza Marchii. Któreś z południowych księstw, pomyślałem.

– Może to być kolejny, który słałoby na umyśle – mówiła dalej, a ja nie przestawałem wpatrywać się w nią pustym wzrokiem z rozdziawionymi ustami. Twarz zbliżyła się i dostrzegłem zmarszczone brwi nad małymi, przenikliwymi oczami. – Jesteś głupkowaty? – zapytała z rozmyślną powolnością. – Rozumiesz słowa?

– Rozumiem zasrane słowa – mruknąłem, irytacja przezwyciężyła bowiem moje oszołomienie. Chciałem odepchnąć tę dręczycielkę, podniosłem więc rękę i odkryłem, że krępuje ją metalowa obręcz przymocowana do krótkiego łańcucha. Przeszywający ból, gdy żelazo wgrzyzło się w mój nadgarstek, sprawił, że syknąłem głośno, a oczy mi zwilgotniały, co miało ten pozytywny skutek, że odzyskałem ostrość wzroku i mogłem rozeznaczyć się w otoczeniu.

Moje początkowe zdziwienie, że niebo nad moją głową podzielone było na szereg nierównych kwadratów przerodziło się w zaprawione goryczą przerażenie, gdy zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w klatce. Płaskie, żelazne pręty przymocowano do burt wozu, w miejscu, gdzie się krzyżowały wzmocniono je dodatkowo wielkimi śrubami. Wprawnym spojrzeniem poszukałem natychmiast śladów rdzy, ale znalazłem ich niewiele, co oznaczało, że klatki nie da się łatwo rozwalić. Nadto odkryłem z niesmakiem, że klatkę eskortowało sześciu jeźdźców w nieznanym mi barwach szarości i czerni. Moją uwagę przykuł las, ciągnący się po obu stronach drogi. Składał się głównie z wysokich sosen wyrastających z kobierca oszronionych paproci. To nie była Knieja Shavine, którą znałem tak dobrze.

Wróciłem spojrzeniem do kobiety, która powitała mnie po przebudzeniu i odkryłem, że ledwie wyrosła z wieku dziecięcego. Jej włosy stanowiły masę zmatowiałych czarnych kolców, obramowujących owalną twarzyczkę, może nawet ładną, trudno to jednak było stwierdzić z powodu grubej warstwy brudu. Ciało miała zbyt chude, by obudzić moje pożądanie, nie żebym w tamtej chwili był zdolny do takich rozrywek. Obok niej znajdowało się źródło zapachu, który mimo zapuchniętego nosa uznałem za wyjątkowo obrzydliwy, był nim bardzo duży mężczyzna, chyba równie szeroki, jak wysoki. Leżał tak, gruby i odrażająco brudny, pogrążony w bezruchu senności, a jego podbródki i brzuch dygotały za każdym razem, gdy podskakiwał na kamieniach. Obledzony był w cienkie szmaty, ale sądząc po strużkach pary, które unosiły się z jego zwiotczałych ust, zdołał jednak przetrwać zimno.

– Nazywam go Śpiącym Dzikim – oznajmiła dziewczyna z kolcami, swoim zgrzytliwym akcentem. – Założyłam się

z Milczącym Głupolem, że ty obudzisz się pierwszy, nie żeby on przyjął zakład.

Ruchem głowy wskazała kolejnego pasażera, na widok którego szarpnęłam łańcuchami w zaskoczeniu.

– Raith!

Kaeryta nie zwrócił na mój okrzyk większej uwagi, całkowicie skoncentrowany na zwalistej sylwetce woźnicy, siedzącego na koźle tej klatki na kołach. Ten uniósł kudłatą głowę, w kolejnym wybuchu pieśni. Głos niezbyt melodyjny, za to silny, pieśń dźwięczała wśród drzew echem obcych słów.

– Często tak robi – rzuciła wyjaśniająco dziewczyna i skrzywiła się boleśnie, zmieniając pozycję, aby ulżyć swym plecom. – Lepiej nie mówić mu, żeby się zamknął, nawet jeśli masz na to wielką ochotę. Ma solidny kij i nie waha się go użyć.

– Raith – powtórzyłem, naprężając łańcuchy, by wyciągnąć rękę do Kaeryty. Tym razem odwrócił się do mnie i nagle patrzyłem wprost w pustą skorupę, marny cień człowieka, którego znałem. Poprzeczny wzór znaków na jego twarzy wydawał się teraz bardziej żywy, stanowił karmazynowy kontrast z niezdrowym, woskowym połyskiem skóry. Raith miał na sobie potargany, pozbawiony rękawów kaftan, ramiona, które niedawno jeszcze grube i umięśnione, teraz stały się wyraźnie cieńsze.

– Jesteście przyjaciółmi? – zapytała czarnula. – Mam nadzieję, że jesteś bardziej rozmowny niż on. Siedzi tam i cały dzień gapi się na kajdannika. Nie tyka tych skrawków, które dostajemy do jedzenia. Jakby chciał umrzeć.

– Deckin... – zacząłem i uświadomiłem sobie, że nie mam wiele więcej do powiedzenia, bo nie ulegało wątpliwości, że Raith albo już wie, co mu chciałem zakomunikować, albo go to nie obchodzi. W jego spojrzeniu dostrzegłem jedynie mętne przebłyski rozumu, jednakże nie mając w zasięgu innych źródeł informacji, nie potrafiłem zrezygnować z nacisków.

– Lorine – spróbowałem. – Czy widziałeś...?

– Rozcięła go – powiedział Kaeryta, głosem płaskim i monotonnym. – Otworzyła go na całej długości.

– Kogo? – Obrzuciłem go zaskoczonym spojrzeniem spod zmrużonych powiek. – Kogo pocięła?

Raith jednak nie miał już ochoty do udzielenia mi odpowiedzi. Mrugając, odwrócił się i wznowił pełną fascynacji obserwację szerokich pleców naszego woźnicy. Z westchnieniem uznałem swoją porażkę i się cofnąłem, a wtedy zauważyłem, że po raz pierwszy, od kiedy sięgałem pamięcią, Raith nie miał na szyi swojego naszyjnika z amuletami.

– Ile czasu od wyjazdu z zamku Duhbos? – zapytałem dziewczynę. Zwróciła na mnie ostrożne, ale połyskujące ciekawością spojrzenie i dopiero po dłuższej chwili zdecydowała się mi odpowiedzieć.

– Trzy dni, odkąd wpakowali cię do wozu razem z Milczącym Głupolem i tą bryłą loju. Palcem stopy trąciła sflaczałe ciało Śpiącego Dzika. – Od trzech tygodni odmrażam sobie tu dupę. Myślałam już, że nie będę miała towarzystwa. – Uśmiechnęła się niewesoło i przez moment widziałem jej żółte zęby, zaraz jednak ściągnęła usta i znów obrzucała mnie nader badawczym spojrzeniem. Wiedziałem, że jest banitką, nie musiałem nawet wysłuchiwać jej historii, po prostu miała to szczególne spojrzenie, widoczną w nim częściowo dziką, ledwo kontrolowaną energię charakterystyczną dla młodych złodziei. W pewien sposób znalazłem pocieszenie w świadomości, że czarnowłosa dziewczyna pragnie wyrwać się z tej klatki równie mocno jak ja. Zawsze dobrze jest mieć pomoc, gdy chce się zerwać łańcuchy.

– Alwyn – przedstawiłem się, opierając plecy o kraty i posłałem jej uśmiech, którego natychmiast pożałowałem, bo otworzył niektóre z moich ran.

– Alwyn i co dalej? – zapytała.

– Alwyn, naprawdę.

– Alwyn prawdziwy? Prawy?

Znów pokazała żółte zęby w szerokim uśmiechu, natomiast ja zgromiłem ją miazdzącym spojrzeniem.

– Kiedy cię tu wepchnęli, wspominali Deckina Scarla – powiedziała, ściszywszy nieco głos, rzuciła przy tym nieufne spojrzenie na okryte futrem plecy nużącego kajdannika. – Czy to prawda? Wędrowałeś z nim?

Rozważałem czy nie skłamać ponownie, ale nieuczciwość wydawała się teraz przejawem słabości. Deckin i reszta byli martwi,

a Raith i ja, jedyni ocalali z tej legendarnej bandy łotrów, w drodze do krótkiego żywota w Wyrobiskach.

– Wędrowałem z nim – przyznałem. – Kradłem z nim. Zabijałem też, gdy było trzeba. – Spróbowałem wzruszyć ramionami, ale po raz kolejny tylko mocniej zacisnąłem łańcuch. Został przymocowany do wozu za pomocą solidnej żelaznej klamry, która, podobnie jak pręty, wolna była od rdzy. Nagły gniew sprawił, że kopnąłem w nią, szarpiąc jednocześnie za łańcuch w próżnej nadziei, że uda mi się wyłamać choć kilka drzazg wokół mocowania.

– Nie rób tego! – syknęła ostro dziewczyna, ostrzegawczym spojrzeniem wskazując kajdannika. Orientowałem się, że jego śpiew przycichł i zmienił się w nucenie zaledwie, a sam kajdannik przechylił lekko głowę, dzięki czemu ujrzałem rumiane, nakrapiane czoło. Ostrzeżenie czarnuli, jak i moje zmysły, doskonale wyćwiczone w dostrzeganiu zagrożenia, skłoniły mnie do zaprzestania wysiłków. Opuściłem głowę i siedziałem cicho, dopóki kajdannik nie wyprostował się ponownie i nie wznowił swojej pieśni.

– Kiedy piosenka cichnie – poinformowała mnie szeptem dziewczyna – wtedy trzeba się martwić.

Zdecydowanie ładna pod całym tym brudem, uznałem, gdy mój gniew skłęśł już i zdołałem przyjrzeć się jej twarzy bardziej wnikliwie. I sprytna, oceniałem dalej, dostrzegłszy w jej oczach błysk przebiegłości. Nauka udawania głupiego najtrudniej przychodzi ludziom mądrym i doszedłem do wniosku, że ta dziewczyna nigdy nie zadała sobie trudu, żeby tej sztuczki spróbować.

– Przedstawiłem się – przypominałem jej. – A ty nie odpowiedziałaś tym samym. To niegrzeczne.

Nie odezwała się od razu, siedziała w milczeniu, przypatrując mi się z namysłem bez jednego mrugnięcia, tymi bystrzymi oczami, które, jak zauważyłem, miały błady odcień błękitu.

– Toria – powiedziała wreszcie. – Nie pytaj, skąd jestem, ani dlaczego trafiłam do tej klatki. – Kolejny nijaki, żółtożębny uśmiech. – To nie jest twój pieprzony interes. Wystarczy powiedzieć, Alwynie nie-Prawy, że nie jestem dziwką, więc nie oczekuj niczego poza rozmową.

– Nawet nie przyszłoby mi do głowy – odpowiedziałem szczerze. Zgiąłem kolana, aby się do niej przysunąć, wysiłek włożony w przywrócenie życia zeszywniałym mięśniom okazał się dość bolesny. Opuściłem głowę i ściszyłem głos do szeptu, tak aby słowa nie dotarły do naszego śpiewającego dozorczy. – Zakładam, droga pani, że nie lubisz siedzieć tu w łańcuchach. Nie wyobrażam sobie również, aby kopalnie oferowały pociągającą perspektywę w temacie możliwej długowieczności.

– To ci dopiero zręczna gadka – pochwaliła Toria z krzywym uśmiezkiem. – A może powiesz po prostu, co ci, do ciężkiej zarazy, chodzi po głowie?

– Mówię, że nie mam ochoty skończyć na Wyrobiskach i spędzić następnych lat zapracowując się na śmierć. Między tutaj a tam na pewno trafi się przynajmniej jedna okazja na zrzucenie tych łańcuchów. Będzie łatwiej, jeśli wykorzystamy ją razem. – Zerknąłem na Raitha, zanim dodałem z dużą dozą wątpliwości. – Wszyscy troje.

– Jak na kogoś, kto obudził się ledwie kilka minut temu, wydajesz się strasznie pewny co do naszych możliwości.

– Czas jest po naszej stronie. – Spróbowałem się uśmiechnąć, ale szybko z tego zrezygnowałem, bo z moich zmasakrowanych warg popłynęła strużka krwi. Splunąłem i dodałem: – Bo czas przynosi możliwości. Musimy tylko być na nie gotowi.

– To znaczy, że nie masz planu, tylko chęci. – Potrząsnęła głową z pogardą zabarwioną odrobiną rozbawienia. – Męczennicy, zbawcie mnie od mężczyzn z ambicjami, którzy myślą, że świat zawsze obróci się tak, by dostosować się do ich planów.

– A to też wcale zręczna gadka. I co jest złego w ambicji?

– Cóż, zacznijmy od tego, że wsadziła cię do tej klatki, ze mną, prawda?

Spuściłem wzrok i westchnąłem ogarnięty nagłym znużeniem.

– Nie – mruknąłem z rezygnacją, odsuwając się od Torii – to sentyment i głupota mnie tu wsadziły.

Patrzyła, jak się układałam skulony na boku, zwinięty wokół zaciśniętych dłoni, by uchronić je przed zamarnięciem. Wiedziałem, że nie powinienem pozwalać sobie na drzemkę, bo

gdyby zrobiło się zimniej, mógłbym już się nie obudzić, jednak zmęczenie przyszło z nagłą, nieodpartą falą i czułem, jak niesie mnie nieuchronnie w stronę snu.

– Ej! – Stopa Torii, niewielka i obleczona w but z cienkiej skóry, jednak irytująco twarda, wbiła się w mój pośladek. – Śpij tylko wtedy, gdy wóz się zatrzyma. Kajdannik o zmroku rozpała ogień. Jeśli nie będziesz błagał, może nawet rzuci ci trochę jedzenia.

Chciałem już zbyć jej słowa lekceważącym prychnięciem, ale zamarło mi ono na ustach, ponieważ wzmianka o jedzeniu zrodzi nadzieję w każdej wygłodzonej duszy. Wciąż jednak znużenie trzymało mnie mocno w swym uścisku i ciągnęło w kierunku czarnej otchłani pożądane zapomnienia.

– Strażnicy – dodała szeptem Toria, z wystarczającą dozą natarczywości, bym podniósł ciężką głowę.

– Co z nimi?

– Oni są leniwi. On nie. – Ruchem głowy wskazała woźnicę, zanim spojrzała mi bystro w oczy. – Prawie wcale nie sypia. Ale ci strażnicy, którzy jadą za wozem... Wątpię, żeby ich obchodziło, czy wóz dotrze do Wyrobisk pełen, czy nie.

Tym razem prychnięcie jednak dobyło się z moich ust, ale był to raczej wyraz rozbawienia niż lekceważenia.

– Wygląda na to, że ktoś tu hołubi własne ambicje.

Parsknęła śmiechem i natychmiast spojrzała czujnie na kajdannika. Zanim ponownie zajęła poprzednią pozycję, dodała jeszcze cicho:

– Masz rację. Wyrobiska mnie nie kuszą. Wcale. – Widząc, że głowa znów mi opada, zmęczenie bowiem ogarnęło mnie ponownie, jeszcze raz dźgnęła stopą mój zadek. – Żadnego spania! Poczekaj do zmroku. Możesz być pewien, że do tego czasu będę kopać twoje dupsko co minutę. I nie musisz mi dziękować.



Kilka następnych dni dostarczyło mi wielu dowodów na słuszność uwag Torii. Strażnicy eskortujący wóz, wyraźnie zaniedbywali swoje

obowiązki, jechali w zbyt dużej odległości od pilnowanego ładunku, co, jak się domyślałem, zawdzięczaliśmy smrodowi roztaczanemu przez naszego korpulentnego towarzysza, nieustannie pogrążonego we śnie. Otaczający nas las też obserwowali pobieżnie, spędzając większość dnia z pochylonymi głowami, ograniczając się tylko do kierowania końmi albo prowadząc ze sobą nudne rozmowy. Zauważyłem, że wszyscy byli starsi niż większość żołnierzy, których spotykałem dotychczas, każdy z nich miał więcej niż trzydzieści lat na karku. Mieli kolekcje blizn i wygląd ludzi twardych, którzy niejedną kampanię mieli za sobą, ale zarówno ich zbroje, jak i broń sprawiały wrażenie zaniedbanych, wywnioskowałem więc, że minęło sporo czasu, odkąd brali udział w walce.

– Starzy, zmęczeni żołnierze to mój ulubiony gatunek – mruknąłem do Torii pewnego wieczoru. – Tacy jak oni bardzo cenią sobie własne przetrwanie. Wiele ryzykowali za czasów młodości i odkryli, że ich odwaga osłabła tak samo jak ich wiara w chwałę zdobytą na polu walki.

– I co? – zapytała Toria, z policzkami wypchanymi marchewką, podrzuconą nam przez kajdannika. Przykucnął on przed dużym ogniskiem, rozpalonym wystarczająco blisko wozu, by zapewnić więźniom trochę ciepła. Jednakże, aby cieszyć się blaskiem ognia, musieliśmy napinać łańcuchy i przyciskać się do ciała Śpiącego Dzika, narażając się na jego zapach. Raith się do nas nie przyłączył, ani nie zgodził się zjeść czegokolwiek, pomimo moich uporczywych nalegań. Po prostu nieustannie wpatrywał się w kajdannika, który ze swojej strony reagował na obserwację całkowitą obojętnością.

– Więc – odpowiedziałem, obgryzając jednocześnie moje pół marchewki, nigdy nie przepadałem za tym warzywem, teraz jednak smakowało słodziej niż ciasto miodowe – jeśli będą musieli wybrać między swoim zdrowiem i życiem, a pozwoleniem nam na ucieczkę, jest szansa, że wybiorą to pierwsze.

Kajdannik dostarczał nam jedzenie w niewielkich racjach, tylko tyle, by utrzymać nas przy życiu, nie dość jednak, by wzmocnić nasze siły. Toria nadal zachowała energię i żywotność, bo jej drobne ciało wymagało stosunkowo niewiele pożywienia. Ale mnie każdy dzień spędzony w klatce osłabiał i sprawiał, że ucieczka stawała się

marzeniem coraz bardziej odległym, za nic jednak nie chciałem go porzucić.

– Więc musimy stwarzać zagrożenie – stwierdziła Toria ze sceptyczną miną. – Na to mamy niewielkie szanse.

– To niekoniecznie my musimy być źródłem tego niebezpieczeństwa.

Popatrzyłem na las, nadal tworzyły go głównie sosny – wyprężeni na baczność, wysocy, bezimienni strażnicy zmierzchu. Przez całą podróż usłyszałem jedynie odległy skowyt wilka i nocne wrzaski borsuka lub lisa. To było dzikie miejsce, z pewnością, ale niewystarczająco dzikie.

– Wiesz może, gdzie dokładnie jesteśmy? – zapytałem Torię.

– Dokładnie? Nie. Ale sądzę, że będzie jakieś pięćdziesiąt mil od Wyrobisk. Leżą w miejscu, gdzie stykają się ziemie księstw Alberis, Althiene i Marchii Shavine. Bardzo dogodne miejsce dla szlachty, by mogli porzucać skazańców.

Zamilkłem, chrupiąc resztę marchewki i próbując wyłuskać z pamięci każdy skrawek wiedzy o wschodnich regionach Marchii Shavine. Podróżowałem sporo w obrębie księstwa, ale nigdy poza nie i rzadko kiedy dalej niż kilka mil od granic bezpiecznej kniei.

– Bagno Nehlis – powiedziałem, gdy w mojej pamięci pojawił się fragment rozmowy z Klantem, kolejnym starym żołnierzem, który trafił do bandy Deckina po kłótni ze swoim kapitanem. – Doszło tam do bitwy na początku Wojen Książąt. Wielu tam potonęło z powodu ciężaru zbroi czy czegoś takiego. Ciągnie się po zachodniej stronie rzeki Siltern na wiele mil. Przypuszczam, że każdy, kto zmierza do kopalni, będzie musiał ominąć bagno lub się przez nie przepawić.

– Więc uciekamy na bagna, a te leniwe dranie są zbyt przerażone, by ruszyć w pogoń. – Oczy Torii, błyszczące jasno i żywo w świetle ogniska, skupiły się na zwalistej postaci kajdannika. – Może to się sprawdzi, jeśli chodzi o nich, ale nie o niego. Nawet jeśli w ogóle uda nam się pozbyć łańcuchów i wydostać z tej klatki.

Podążyłem spojrzeniem za wzrokiem Torii i też popatrzyłem na naszego dozorcę. Jak zwykle siedział obrócony do nas plecami i jak zwykle coś nucił. Żołnierze nigdy nie dzielili z nim ogniska, woleli obozować sami, kilka jardów dalej. Nie słyszałem też, aby

w trakcie naszej podróży zamienili z kajdannikiem choć jedno słowo. Prości ludzie unikali zwykle przedstawicieli jego profesji, ale nie wiedziałem dotąd, że kajdannikami gardzili również żołnierze. Zauważywszy, jak unikają jego spojrzenia, doszedłem do wniosku, że przyczyną tego był w tym samym stopniu lęk, co obyczaj. Tylko kilka razy udało mi się dostrzec twarz naszego dozorcę, przekonałem się, że jest to dziwnie odbarwiona maska z czerwonych plam i bladej, prawie białej skóry. Zastanawiałem się nawet, czy kajdannik nie cierpi na jakąś chorobę, ale wyglądał na zdrowego i z pewnością nie brakowało mu jedzenia, choć nam go szczędził. Ponadto nigdy nie mówił. Jedyne dźwięki, jakie wydobywały się z jego ust, przybierały formę niezrozumiałej pieśni, co dowodziło jasno, że zdolność mowy posiadał.

Spytałem Torię, czy zna język, w którym kajdannik wyśpiewywał te drażniące uszy piosenki. W jej wzroku pojawiła się nagła ostrożność, najpierw zerknęła czujnie na dozorcę, po czym odpowiedziała cicho:

– Kaerycki.

– On jest Kaerytą? – zapytałem i Toria zgromiła mnie spojrzeniem, albowiem z zaskoczenia podniosłem nadto głos. Popatrzyłem na Raitha, po raz pierwszy zauważyłem, jak bardzo wzór znaków na jego twarzy przypominał szpetną maskę kajdannika. Zakładałem dotąd, że skoro wszyscy Kaeryci pochodzą z tego samego regionu za południowymi górami, będą mieli ten sam kolor skóry. No i język pieśni w niczym nie przypominał znacznie bardziej melodyjnego języka, którym czasem posługiwał się Raith.

Odkrycie, że oto znaleźliśmy się w niewoli jednego z jego pobratymców, wywołało uśmiech na moich zniekształconych wargach, a także wiele domysłów na temat tego, w jaki sposób ten poganin znalazł się w królestwie Albermaine i został kajdannikiem. Najwyraźniej był to człowiek interesujący, ale doświadczenie nauczyło mnie już, że im bardziej ktoś jest interesujący, tym większe może stanowić zagrożenie. Nawet wtedy, gdy zbliżałem się do kresu mojej niedojrzałej młodości, wyczuwałem w tej interesującej duszy wielkie niebezpieczeństwo.

– Trafi nam się szansa – powtórzyłem z uporem, bardziej dla siebie niż Torii. – Zawsze się trafia. Tylko sekunda lub dwie, ulotna

rzecz, może umknąć, zanim ją dostrzeżemy, więc musimy być czujni... – Zamilkłem, bo nucenie kajdannika gwałtownie ucichło. Pochylił głowę w taki sam sposób, jak wtedy, gdy ocknąłem się po raz pierwszy. Byłem pewien, że knuliśmy zbyt cicho, by mógł to usłyszeć, jednak dostrzegłem rozbawiony półuśmiech, zanim dozorca odwrócił swoją cętkowaną twarz i wznowił nucenie.

– Alwynie... – zaczęła Toria zmartwionym szeptem, ale zamilkła zaraz, zgromiona moim spojrzeniem.

– Wypatruj szansy – powiedziałem jej, cedząc słowa jak rozkaz. – Nadejdzie. Tylko poczekaj.



Następnego ranka obudziłem się gwałtownie, wyrwany ze snu piskiem otwieranych drzwi klatki. Powietrze było jeszcze chłodniejsze niż dotąd, a ja zadrżałem, gdy ujrzałem krajobraz za kratami. Drzewa zostały zastąpione przez zamglony, porośnięty trawą przestwór bagna. Wiedziałem, że zaledwie kilkaset kroków od drogi mokradło zmieni się w torfowisko, po którym nie odważy się stąpać żaden człowiek w zbroi, o ile nie postradał zmysłów. Co innego jednak zdesperowany banita.

Wytęskniona perspektywa ucieczki sprawiła, że na widok otwartych drzwi klatki, moje serce zaczęło bić szybciej. Jednak radosne podniecenie opadło, gdy tylko uświadomiłem sobie, że nadal krępują mnie łańcuchy. Toria leżała obok Śpiącego Dzika, krzywiła się w sposób, który zapowiadał rychłe przebudzenie. Raitha natomiast nie było. Nie słyszałem też pieśni kajdannika.

– Caihr teasla?

Głos sprawił, że pomknąłem spojrzeniem ku dwóm postaciom za klatką. Kajdannik stał nad klęczącym Raithem. Wstrząsnął mną widok człowieka, którego bałem się przez lata, tak zastraszonego, z głową wciśniętą między uniesione ramiona, przypominającego dziecko oczekujące ciosu od rozgniewanych rodziców. Jego twarz pozostała nieruchoma, a oczy szeroko otwarte, podczas gdy na obliczu kajdannika malowała się pogarda. Po raz pierwszy miałem

okazję obejrzeć jego twarz w całości. Czerwone ślady na bladej skórze były o wiele bardziej rozległe niż u jego pobratymca. Ciągnęły się od brwi do szyi, a ich chaotyczny wzór i wyraźny kontrast, jaki tworzyły ze skórą, przywodziły na myśl płomień. Trudno mi było ocenić wiek naszego dozorca, miał zmarszczki wokół oczu i ust, ale ani śladu siwizny w masie splątanych, czarnych włosów. Kajdannik pochylił się nad Raithem i podniósł do ucha banity coś, co zagrzecotało cicho, gdy tym potrzęsnał: naszyjnik Raitha.

– Caihr teasla? – powtórzył kajdannik, a w jego głosie słyszałem drwinę. Bez względu na to, co znaczyło to pytanie, on najwyraźniej znał już odpowiedź. Wyprostował się, wypowiadając zlepek słów w tym obcym języku, zbyt szybko, abym zdołał je wychwycić. Najwyraźniej jednak Raith nie miał z tym kłopotu, ponieważ jego wyraz twarzy w końcu uległ zmianie. Banita zamknęła oczy i wziął długi, drżący oddech, po czym podniósł wzrok na stojącego nad nim kajdannika. Kiedy ponownie otworzył oczy, płonęły one jasnym, niezłomnym płomieniem buntu.

– Ihs Doenlish kurihm ihsa gaelihr – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Pogarda na twarzy kajdannika zmieniła się nagle w gniew, zobaczyłem jednak, że najpierw przemknął przez jego oblicze spazm strachu. Potężna pięść uderzyła Raitha w policzek. Usłyszałem trzask pękającej kości, a banita zachwiał się i runął w bagnisko. Zakasłał krwią, tymczasem kajdannik przesunął się, tak by jego stopy znalazły się po obu stronach głowy Raitha, po czym pochylił się nisko, by wypowiedzieć pytanie w tym samym, niezrozumiałym języku:

– Vearath?

Raith jeszcze przez jakiś czas trząsł się na ziemi, spluwając kawałkami zębów, aż z kilku urywanych oddechów zebrał dość sił, by podźwignąć się odrobinę.

– Vearath?! – krzyknął kajdannik z naciskiem.

Jednak zamiast odwrócić się w jego stronę, Raith wykrzywił szyję, by spojrzeć na mnie. Milczący, sparaliżowany przerażeniem człowiek, którym był przez cały czas trwania tej podróży, zniknął i znów zobaczyłem Raitha, którego znałem kiedyś, o wzroku spokojnym i nieugiętym.

– Ścieżki do przebycia... – dławił się, krew spływała mu po brodzie – los, który trzeba spotkać...

Kajdannik wydał z siebie dziki warkot wściekłości i jego ręce pochwyciły głowę Raitha w zaciekłym uścisku. Żyły wystąpiły na dłoniach i nadgarstkach dozorca, gdy nieustępliwie zwiększał nacisk. Widziałem ludzi umierających na różne sposoby, ale żaden z nich nie rozstał się z życiem w ten sposób. Zamknąłem oczy, ale wilgotny chrzęst czaszki Raitha poddającej się sile kajdannika wstrząsnął mnie konwulsyjnym dreszczem. Gdybym miał coś jeszcze w żołądku, teraz bym to zwrócił.

– O kurwa... – Otworzyłem oczy i zobaczyłem Torię wpatrującą się w widok za kratami z absolutną fascynacją. – Wcześniej nic takiego nie zrobił.

Zmusiłem się, by patrzeć, jak kajdannik wlecze zwłoki Raitha w podmokłą trawę obrzeżającą drogę. Usłyszałem niewyraźny plusk, gdy ciało trafiło do bagna. Kiedy dozorca pojawił się ponownie, zatrzymał się na skraju drogi i z ponurą miną spojrzął na naszyjnik, który trzymał w ręku, aby zbadać brązowe drobiazgi wiszące na rzemieniu. Widziałem, jak jego wzrok najdłużej zatrzymał się na kruczej czaszce, ale nie dostrzegłem w oszpeconej twarzy wielkiego zainteresowania. Zaraz wykrzywił się w pogardliwym szyderstwie i wrzucił naszyjnik do bagna, by dołączyć do zamordowanego właściciela. Kiedy wrócił do wozu i zamykał drzwi klatki, usłyszałem, jak mruczy chrapliwie w nieznanym języku:

– Ishlichen.

Słowo miało brzmienie obelgi lub przekleństwa, a brwi kajdannika trwały ściągnięte gniewnie, gdy ten przeszedł na przód wozu i zajął swoje miejsce na koźle. Niestety, jego najwyraźniej kiepski nastrój nie powstrzymał go przed rozpoczęciem pieśni. Gdy potrząsnął lejcam, wóz znów potoczył się po drodze, głos kajdannika wzniósł się wysoko, bardziej jeszcze fałszywy niż zwykle.



Minęły kolejne trzy dni, zanim pojawiła się nasza upragniona szansa, w formie daru, o który nikt nie prosił, który jednak rozkwitł w mej piersi kwiatem ogromnej wdzięczności.

– On nie żyje! – Toria raz po raz dźgała czubkiem stopy w napięty brzuch Śpiącego Dzika, czym wywołała najobrzydliwszy i najbardziej długotrwały pierd, jaki wydało z siebie bezwładne ciało. Wstaliśmy wraz ze świtem, dygocąc z zimna, i stwierdziliśmy, że obłoczki pary przestały już unosić się nad mięsistą twarzą naszego towarzysza. Wielkie jak góra brzuszysko też przestało podnosić się i opadać. Jego skóra miała trupi wygląd, na kończynach blada i poznaczona rysunkiem żył, ciemna od krwi w miejscu, gdzie stykała się z deskami wozu. Ja jednak widziałem już ludzi w podobnym stanie, którzy podrywali się w pełnej przerażenia czujności, gdy kopano dla nich grób.

Napiąłem łańcuchy, by lepiej przyjrzeć się rysom Dzika, wargi mu zwiotczały i cofnęły się od zębów w charakterystycznym grymasie śmierci, pewność, że on już nie usiądzie przyniosła mi ulgę. Gdyby głód i chłód nie podsycaly mojej desperacji, z pewnością wyciągnąłbym naukę z losu Raitha i pomyślałbym, co mówi to o naszym dozorczy. Jednak byłem zdeterminowany nie zmarnować okazji, jaką stwarzała konieczność usunięcia zwłok Dzika.

– On nie żyje! – powtórzyłem deklarację Torii, podnosząc głos w stronę szerokich pleców kajdannika. On zaś nucił nadal, nawet się nie odwrócił w naszą stronę, nie mówiąc już o zatrzymaniu wozu.

– Ej! – krzyknąłem, wyteżając do bólu moje wciąż niezagojone gardło, by przebić się przez jego śpiewy. – Ten skurwiel nie żyje! Słyszysz mnie! Nie możesz nas tu zostawić z trupem!

Te słowa rozbawiły naszą eskortę, żołnierze jechali teraz bliżej, albowiem droga wiodąca przez bagno była znacznie węższa, więc doskonale słyszałem, jak się śmieją.

– Przynajmniej będziecie mieli co jeść! – odpowiedział jeden z nich. Był najstarszy i co za tym idzie najbardziej zniszczony z całej szóstki, pokiereszowaną twarz znaczyły czerwono-sine wzory żył i bladeść, świadczące o nadmiernym upodobaniu do alkoholu. Właściwie żołnierze traktowali mnie i Torię z obojętnością, czasem rzucali nam tylko jedno czy dwa pogardliwe spojrzenia, ale ten weteran lubił nas kasać wątpliwej jakości dowcipami, zwykle w nocy, po tym jak butelka brandy okrążyła już ognisko. Teraz zarechotał z rozbawieniem i zaczął wypowiadać kolejną kąśliwą uwagę, jednak ów klejnot dowcipu pozostał nieznany, bo żołnierz gwałtownie zacisnął usta, gdy kajdannik zatrzymał wóz.

Żołnierze szybko skierowali swoje wierzchowce na skraj bagna, żeby odpowiednio oddalić się od wozu. Tak samo postąpili przed śmiercią Raitha, wyglądało na to, że byli przyzwyczajeni do sposobów działania kajdannika, a może i mieli już okazję się przekonać, co się wydarzy, jeśli będą mu przeszkadzać.

Wóz zakołysał się, skrzypiąc, gdy kajdannik zszedł z kozła, potem przeszedł na tył, by włożyć ciężki klucz w kłódkę wielkości cegły, która zabezpieczała drzwi klatki. Mina Kaeryty nie wyrażała przy tym niczego szczególnego, zmarszczył tylko lekko brwi, jak to zwykli czynić ludzie wykonujący często powtarzany obowiązek. Ku mojemu zaskoczeniu, to nie pozbawiona wyrazu twarz obudziła we mnie największy niepokój, ale to że kajdannik przestał śpiewać. Gdy pochylił się w głąb klatki i mocno chwycił łańcuchy Torii, z jego ust nie dobywało się nawet najcichsze nucenie.

Spodziewałem się warkotu ostrzeżenia albo przynajmniej gniewnego spojrzenia, ale Kaeryta zdjął Torii kajdany szybkim obrotem klucza i kilkoma zręcznymi ruchami nadgarstków. Cofnął

się z łańcuchem w rękę i gestem nakazał jej wyjść z klatki, co uczyniła z pewnym trudem. Zgrzytała zębami z wysiłku, zmuszając ciało do ruchu, do którego nie było przyzwyczajone. Ledwie dotknęła stopami ziemi, a ręka kajdannika opadła na jej ramię i zmusiła do ukłęknięcia. Straciłem ich oboje z oczu, gdy kucnął, po czym usłyszałem grzechot łańcuchów zapętlanych wokół szprych koła. Wyprostowawszy się, Kaeryta ponownie sięgnął w głąb wozu, by teraz zdjąć moje kajdany. Zauważyłem zmianę w jego wyrazie twarzy, beznamietna, odruchowa ostrożność stopniowo ustępowała miejsca jednoznacznemu, choć przytłumionemu rozbawieniu. Spojrzał mi w oczy i kąciki jego ust uniosły się wyraźnie, podczas gdy ręce z automatyczną precyzją uwalniały mi nadgarstki. Moja pewność siebie skłęsała nieco, gdy zrozumiałem, że mam przed sobą człowieka rozbawionego własnym żartem.

Kajdannik cofnął się i pochylił kudłatą głowę w zaproszeniu. Starąłem się ćwiczyć mięśnie nóg i rąk, napinając je, gdy tylko miałem pewność, że nasz dozorca tego nie zauważy, ale wyjście z klatki i tak okazało się bardzo bolesne, podobnie jak dotknięcie zamrożonej ziemi owiniętymi w szmaty stopami. Jeszcze nie teraz, ostrzegałem się w duchu. Zgarbiłem się, bo ból atakował mnie w najróżniejszych miejscach, nie przestawałem jednak rozglądać się ukradkiem. Wokół widziałem jedynie trawę i mgłę, bez jednego nawet drzewa czy wzgórza, które zmąciłoby tę monotonię. Ułatwiło to przynajmniej wybór trasy ucieczki. Poczekam, aż spróbuje mnie znowu zakuć. Usiądę grzecznie i cicho, jak przystało na pokonanego więźnia, potem szybkie uderzenie w nos i znikam.

Nie mogłem się powstrzymać i nie popatrzeć na Torię, choćby tylko przelotnie. Siedziała na zamrożonej ziemi, oplatając rękoma i nogami koło wozu, i wpatrywała się we mnie z twardą rezygnacją. Jej wzrok i mina przyniosły mi pewnego rodzaju pocieszenie, oboje wiedzieliśmy bowiem, że tylko jedno z nas ucieknie z klatki, a jednak jej spojrzenie nie było w żadnej mierze oskarżycielskie. Mimo to, myśl, że będę musiał ją zostawić, wzbudziła we mnie poczucie winy równie silne co i niewytłumaczalne.

– Proszę.

Drgnąłem gwałtownie na dźwięk głosu kajdannika. Dziwnie modulował głos, a jego śpiewny akcent brzmiał w moich uszach

całkowicie obco. Tak mną wstrząsnęło, kiedy odezwał się po albermańsku, że nie zdołałem złapać rzuconego mi klucza. Wymknął się moim dłoniom i upadł na wyboistą drogę, musiałem więc zgiąć bolący grzbiet, by go odzyskać. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że Kaeryta wskazuje palcem zwłoki Śpiącego Dzika.

– Nie chcesz z nim dzielić klatki – powiedział z tym swoim dziwnym akcentem, formując słowa z precyzją kogoś posługującego się językiem, który jest dlań obcy. – Więc go wyciągnij.

Byłem przygotowany na przemoc i ten nagły brak łańcuchów krępujących ręce pozostawił mnie w stanie niezdecydowania. Kaeryta stał i patrzył na mnie, przechylił przy tym głowę z zaciekawieniem. Dzieliło go ode mnie dobre sześć kroków, co stanowiło całkiem dogodny odstęp dla chłopaka przyzwyczajonego do unikania ataków.

– Tak – potwierdził i wygięcie jego ust przerodziło się w pełen uśmiech – możesz uciec. – Wskazał otaczające nas bagno. – Nie pójdę za tobą. Oni też nie. – Kiwnął głową w stronę strażników na koniach. Nie mogłem nie zauważyć ich poważnych min, tworzących ostry kontrast dla rozbawienia kajdannika. Wyraźnie nie zamierzali się do nas zbliżać. To byli ludzie, dla których okrucieństwo stanowiło rekreację, ale w tej chwili sprawiali wrażenie bardziej przestraszonych niż chętnych do udziału w rozrywce. Siedzieli nieruchomo w siodłach, patrząc na rozgrywające się wydarzenia, jak to czynią ludzie niezdolni oderwać wzroku od paskudnego widowiska. Spodziewają się, że tu umrę, zrozumiałem, przenosząc uwagę z powrotem na kajdannika. Nadal się uśmiechał, on też nie uczynił najmniejszego ruchu, by się do mnie zbliżyć.

– Najbliżej do bagna będzie w tym kierunku – oznajmił, wyciągając rękę. – Musisz tylko przejść milę, walcząc z grząskim gruntem. Potem będziesz się błąkał na skraju bagna i powoli zamarzał. Po pewnym czasie spróbujesz wrócić do drogi, ale już ci się to nie uda. Zimno zabije cię najszybciej, chyba że zdecydujesz się utopić. Ale może nie. – Widziałem, że powstrzymuje śmiech. – Może znajdzie cię jakiś życzliwy rybak sprawdzający swoje sieci. Może ta dobra dusza wciągnie cię na pokład łodzi i zabierze do swojej miłej, cieplej chaty. – Nie zdołał powstrzymać się dłużej. Śmiech wyrwał mu się z gardła, przenikliwy chichot, który przywodził na myśl na

wpół uduszonego kota. Kiedy już się nieco uspokoił, opuścił dłoń na głowę Torii. Twarz dziewczyny ściągnęła się w pełnym przerażenia obrzydzeniu, kiedy on delikatnie przegarnął palcami zmatowiałe kolce jej włosów. Wspomnienie tego, co te ręce zrobiły Raithowi, bez wątpienia płonęło w jej umyśle równie jasno, jak w moim.

– Ale musisz wiedzieć – podjął kajdannik – że jeśli uciekniesz, ona umrze. Nie zabiję jej. Ale nie dam jej jedzenia ani wody. Do Wyrobisk jeszcze pięć dni drogi. – Przechylił głowę mocniej, unosząc brwi w wyrazie szczerego zainteresowania. – Myślisz, że wytrzyma tyle?

Jego rozbawienie rozwiało się bez śladu, zastąpione intensywnym skupieniem, przewiercał mnie wzrokiem w sposób, który przypominał mi Deckina, kiedy ten dumiał nad swoim kolejnym planem. Nasz dozorca był niewątpliwie bardzo zainteresowany wynikiem tego testu. Ponure spojrzenia strażników, którzy przyglądali nam się bez śladu zdziwienia, powiedziały mi, że nie jestem pierwszym, który został poddany tej próbie. Ile ciał leżało na bagnach przy tej drodze? Ilu zdesperowanych głupców uciekło, zamiast zostać, by ratować towarzysza, którego ledwie znali?

Zawsze jest szansa, przypomniałem sobie, gdy mój wzrok nieuchronnie powędrował ku Torii. Ona nie chciała na mnie patrzeć, siedziała z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami, oszczędzając mi w ten sposób widoku swojego strachu. Fakt, że ta uprzejmość, o ile to była uprzejmość, pozostawiła wybór całkowicie w moich rękach, wywołał we mnie krótki spazm niechęci. Gdyby nie Toria, nie ociągałbym się ani chwili dłużej. Gdyby nie Toria, zaryzykowałbym niemalże pewną zagładę wśród bagien. Odpowiadałbym tylko za siebie. Przepląnąłbym pieprzone bagno, gdyby trzeba było i niech Zatrata weźmie życzliwych rybaków.

Zdławiwszy jęk, chwyciłem mocniej klucz, który rzucił mi kajdannik i na chwiejnych nogach ruszyłem w stronę wozu. Przeciągnięcie coraz bardziej cuchnących zwłok Śpiącego Dzika z wozu na drogę w moim stanie nie było łatwe, wymagało długich minut wytężonych wysiłków, tym bardziej, że ani kajdannik, ani jego eskorta nie spieszyli się z pomocą.

– Wrzuc go w mokradło – poinstruował Kaeryta, gdy ciało w końcu spadło z wozu i, uderzywszy o ziemię, wypuściło kolejny

podmuchał śmierdzącego gazu. – To jest królewski trakt i nie powinien być splugawiony szczątkami banitów.

Zrobiłem, jak kazał, brnąłem w głębokim po kolana bagnie, ledwie trzymając się na nogach z wysiłku, wlokąc cuchnący zewłok Śpiącego Dzika w trawę. Przeznaczone mi było nigdy nie poznać jego imienia ani zbrodni, które zaprowadziły go do klatki na kołach. Jednak bez względu na to kim był i jakich występków się dopuścił, nie mogłem sobie wyobrazić, żeby zasłużył na śmierć wśród obcych ludzi i smętny koniec na poboczu drogi, niczym sterta śmieci. Widziałem martwe psy, które otaczano większym szacunkiem.

Wysiłek wyczerpał mnie do tego stopnia, że czołgałem się z powrotem do wozu, do klatki wciągałem się na rękach, których nie czułem. Upadłem przy pierwszej próbie, co wywołało kolejny przenikliwy chichot kajdannika. Teraz, gdy poznał już wynik swej próby, wydawał się być bardziej skłonny do śmiechu, a mój nędzny stan bawił go niepomierne.

Gdy podciągnąłem się ponad deski wozu, pochylił się nade mną, zbliżył usta do mojego ucha i wyszeptał tą swoją przesadną wymową:

– Prawie zawsze decydują się na ucieczkę. Nawet ci, którzy mają krewnych przykutych do koła. Strach banity przed łańcuchami zwykle zwycięża. Ale ty zostałeś. – Poczułem jego dłoń na szyi i dotyk ten był bardziej lodowaty niż podmuch zimowego powietrza. – To cię nie odkupi. Wyrobiska poddadzą ci jeszcze wielu próbom, chłopcze. Ale one raczej też nie przyniosą ci odkupienia. Obaj wiemy, że nie zostałeś dla niej. Po prostu jesteś zbyt mądry, by uciekać – mówił zaledwie szeptem, ale mnie się wydało, że krzyczy, gdy dodał: – Fornal chce wiedzieć, czy nadal jesteś niewdzięcznikiem. Chyba powiem mu, że z całą pewnością tak.

Wepchnął mnie do klatki, potem wepchnął Torię i sprawnie zakuł nas ponownie w kajdany i zatrzasnął drzwi. Spojrzałem na niego przez kraty, jego czerwono-biała twarz była niewzruszona, jeśli nie liczyć błysku wzajemnego zrozumienia, które z czasem przypieczętuje nasz los. Poznałem już złych ludzi, podłych, brutalnych, chciwych, ale nigdy dotąd nie stanąłem w obliczu człowieka prawdziwie złego. Teraz patrzyłem na kogoś takiego i wiedziałem, co widzę.



Całe życie słyszałem opowieści o Wyrobiskach, bo banici często bali się ich bardziej niż stryczka. Około sto lat temu jeden z bardziej pragmatycznych przodków króla Tomasa stanął przed podwójnym dylematem. Na wschodnim skraju Marchii Shavine odkryto bogate pokłady rudy żelaza. Jednak wydobycie tej cennej rudy z ziemi wymagało szybów o niespotykanej wcześniej głębokości i ogromnego nakładu pracy w bardzo niebezpiecznych warunkach i jeśli zmuszono by do niej miejscowych, to z pewnością zakończyłoby się to rozruchami. Jednak wskutek kolejnej tury waśni dynastycznych i związanej z nimi bitwy, ten sprytny król pojmał kilkuset jeńców, niewątpliwie winnych buntu. Egzekucja takiej liczby więźniów za jednym zamachem sprawiłaby, że jego dziedzictwo na zawsze zostałoby splamione tytułem rzeźnika, który to przydomek niektórym królom przeszkadza szczególnie. Geniusz tego władcy polegał na znalezieniu jednego rozwiązania dla obu problemów: buntownicy mieli odtąd wydobywać rudę. Przez kolejne lata, gdy rebelianci wymierali, w każdym księstwie królestwa szukano nowych rekrutów, których można by wysłać do miejsca znanego od pewnego czasu pod nazwą Wyrobisk. Do kopalni rudy trafiali zazwyczaj malkontenci i banici, którym brakło wystarczającej reputacji, aby ich egzekucja była godnym przykładem. Toria i ja byliśmy więc idealnymi kandydatami.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać po przybyciu do kopalni, ale widok nijakiej, drewnianej palisady o wysokości zaledwie dwudziestu stóp był niespodzianką. Częstokół wił się przez pofałdowaną, pozbawioną drzew okolicę na kilkaset kroków w każdą stronę. Jego południowy kraniec znajdował się przy kamiennym zamku o raczej skromnych wymiarach i ponurym wyglądzie. Kajdannik zatrzymał wóz przed wieżą strzegącą zewnętrznego muru zamkowego, po czym zszedł z kozła, otworzył klatkę i uwolnił nas z kajdan. Strażnicy, którzy eskortowali nas w trakcie podróży, wjechali konno na dziedziniec nie rzuciwszy kajdannikowi słowa czy spojrzenia na pożegnanie. On też nie raczył zwrócić większej uwagi na ich odjazd.

Gdy wyszliśmy za Torię z klatki, zdało mi się, że czuję słaby powiew nadarżającej się okazji, wrażenie to jednak okazało się krótkotrwałe, zauważyłem bowiem kilkunastu stojących w pobliżu żołnierzy. Większość z nich była uzbrojona w halabardy, ale kilku trzymało łuki. Krępy mężczyzna w mundurze sierżanta wystąpił naprzód, obdarzył kajdannika przelotnym spojrzeniem, po czym z grymasem niezadowolenia skupił się na ładunku.

– Tylko dwóch? – zapytał sucho i ze zniecierpliwieniem. Podobnie jak strażnicy z eskorty unikał wzroku Kaeryty i trzymał się dobrze poza jego zasięgiem.

– Zacząłem z czterema. – Kajdannik wzruszył szerokimi ramionami. – W zimie zbiory są marne, a nowy książę Marchii bardzo chętny do wieszania.

Sierżantowi spieszyło się, by zakończyć sprawę z kajdannikiem, ale taksujące spojrzenie, jakim obrzucił Torię i mnie skłoniło go do targów.

– Nie dam za tych dwoje pełnej ceny – stwierdził i na jego twarzy o prymitywnych rysach pojawił się grymas niezadowolenia. – W tym stanie nie przeżyją tygodnia.

– Nieprawda – odpowiedział mu Kaeryta. Nie dodał nic więcej, tylko wpatrywał się w sierżanta, aż ten odwzajemnił spojrzenie. Od razu poznałem, że sierżant był człowiekiem przyzwyczajonym do władzy i przemocy nieodłącznie związanych z jego rolą, a jednak reagował na kajdannika tak samo jak tamci żołnierze z eskorty.

Jednakże, czy z powodu dumy, czy głupoty, nie dał się zastraszyć, zacisnął zęby i ściągnął gniewnie brwi.

– Jak to? – zapytał.

Kaeryta nie wyglądał na urażonego kwestionowaniem jego opinii, zamiast tego wskazał na mnie palcem.

– Ten przetrwa lata i w końcu spróbuje uciec. Powinniście go pilnować. Ta – palec przesunął się w stronę Torii – nie jest tak... znacząca. Ale jest silniejsza niż się wydaje. – Odwrócił dłoń wnętrzem do góry i wyciągnął ją do żołnierza. – W każdym razie, ich praca tutaj przyniesie zysk twemu panu i dlatego wymagam zapłaty w całości.

W pierwszym odruchu sierżant chciał niewątpliwie przystąpić do kłótni. Widziałem, jak na jego twarzy rozgrywa się mała wojna – mięśnie mu drgały, zmarszczki robiły się głębsze. Nienawiść i strach walczyły ze sobą, aż w końcu strach, zwykle najsilniejszy, jak to wynikało z mojego doświadczenia, zwyciężył i tym razem i sierżant sięgnął po sakiewkę przy pasku.

Po otrzymaniu swoich czterdziestu szelągów kajdannik ruszył do wozu, ale nieoczekiwanie zawahał się i zawrócił w moją stronę. Nie byłem świadomy, że wpatruję się w niego w sposób szczególnie wyzywający. Od czasu próby na drodze otrzymywałem jeszcze mniej jedzenia niż wcześniej, przez co w mojej głowie nie było miejsca na nic innego niż głód. Jednak Kaeryta musiał dostrzec coś w moim zachowaniu, bo podszedł bliżej, a płomienne ślady na jego czole zafalowały poprzecinane zmarszczkami. Gdybym nie był tak wyczerpany i pogrążony w letargu, być może uprzytomniłbym sobie, że ten wyraz twarzy oznaczał strach, wynikający z popełnienia bardzo poważnego błędu w ocenie. Jednakże to zrozumienie przyszło znacznie później. W tamtej chwili mogłem tylko odpowiedzieć na jego wzrok, całkowicie obojętnym spojrzeniem zgaszonych oczu, w głowie miałem tylko jedną myśl, że może ci nowi dozorczy zgodzą się mnie nakarmić.

– Chwilę. – Kajdannik zatrzymał sierżanta, unosząc swoją sakiewkę. – Tego odkupię..

– Nie mogę – przerwał mu żołnierz z wyraźną satysfakcją. Zaprezentował rabosz z dwoma świeżymi nacięciami. – Już

zaznaczyłem na kiju, widzisz? Jego lordowska mość bezwzględnie każe sprawdzać rabosze każdego dnia. I nie ma z nim żartów.

Widziałem, że Kaeryta przykucnął nieco, zdawało się, że czerwone ślady na jego twarzy przybierają głębszy odcień.

– Zapłacę podwójnie – zaproponował, rozsznurowując rzemyki mieszka. Na ten widok sierżant się zatrzymał, ale nawet perspektywa dodatkowego zarobku nie skłoniła go do rezygnacji z dokuczenia kajdannikowi. Strach zwykle wygrywa z nienawiścią, to prawda, ale jedno zawsze rodzi więcej tego drugiego.

– Za późno – uciął sierżant z wyraźną satysfakcją. – A teraz – rzucił wymowne spojrzenie na stojących w pobliżu żołnierzy – nadszedł chyba czas, abys zabrał stąd swój pogański, kaerycki zadek. Wiesz, że moi chłopcy nie lubią, gdy się tu snujesz.

Z ust kajdannika wymknęło się ciche syknięcie, rzucił ostatnie, zasępięte spojrzenie w moim kierunku i wygłosił krótkie zdanie w tym samym języku, w którym rozmawiał z Raithem:

– Eornlisch dien tira.

Mimo że byłem bez reszty zaabsorbowany dręczącym mnie głodem i zimnem, które ogarnęło już wszystkie części mego ciała, nadto w żaden sposób nie mogłem pojąć znaczenia jego wypowiedzi, przeszła mnie ona lodowatym dreszczem. Mój strach podsycala jeszcze tajemnica słów, które skierował do mnie po zakończeniu swojej próby na drodze: „Fornal chce wiedzieć, czy nadal jesteś niewdzięcznikiem”.

Instynktownie odrzucałem sens tych słów, podobnie jak cofnąłem się przed złem, które widziałem w spojrzeniu kajdannika, gdy zamykał klatkę. Nie miałem pojęcia, jakim sposobem ten Kaeryta poznał los Fornala i przezwisko, jakim tamten lubił mnie oczerniać. Jakiś pierwotny zmysł ostrzegał mnie przed zbytnim zagłębianiem się w te dziwne zjawiska. Mogłem być pewien tylko jednego: zło tkwiące w tym człowieku i jego zdolność do poznawania rzeczy, których znać nie mógł, były ze sobą nierozłącznie związane, gdzieś za tą paskudną maską z płomieni. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego, a kiedy wreszcie ustąpił i odszedł do swojego wozu, czerpałem prawdziwą ulgę ze świadomości, że wkrótce zostaną wrzucony w stosunkowo bezpieczne objęcia kopalni.

– Słuchaj mnie, chłopcze! – szczerknął sierżant, odwracając moją uwagę od odjeżdżającego kajdannika mocnym uderzeniem w ciemię. Stał za nami, spoglądając na zakupioną parę wycieńczonych nieszczęśników. – Czterdzieści szelągów – mruknął kwaśno, potrząsając głową, po czym zakaszłał, wyprostował się bardziej i kontynuował już beznamietnym tonem, jakim recytuje się często powtarzane słowa. – Zapamiętajcie sobie dobrze, gdyż nikt nie będzie wam tego powtarzał. Zgodnie z prawem Korony zostaliście dożywotnio oddani w służbę lorda Eldurma Gulatte, z łaski jego królewskiej mości strażnika Zamku Loftlin i Królewskich Kopalni, szumowinom takim jak wy znanych lepiej jako Wyrobiska. Lord Eldurm słynie ze swojej wspaniałomyślności i szczodrobliwości, okazywanych swym poddanym, pod warunkiem, że przestrzegają oni bardzo mądrych zasad ustanowionych przez jego szacownego przodka sto lat temu. Po pierwsze, jeśli będziecie dobrze pracować, zostaniecie nakarmieni. Po drugie, jeśli będziecie sprawiać kłopoty, zostaniecie wychłostani. Po trzecie, jeśli będziecie sprawiać kłopoty po raz drugi, zostaniecie obwieszani. Po czwarte, jeśli podejmiecie jakąkolwiek próbę ucieczki od obowiązku uczciwej pracy, zostaniecie obwieszani. Poza tym – posłał nam pusty uśmiech, który z pewnością oferował już niezliczonym nieszczęśnikom – wy brudni zatraceni, łamiący królewskie prawo, możecie robić, co wam się, kurwa, podoba. Czyż to nie wspaniale?

Odwrócił się, by przywołać parę strażników. Podobnie jak żołnierze na drodze, ci również nosili te same szaro-czarne barwy, choć zdecydowanie byli mniej zastraszeni. Obecność kajdannika zdławiła brutalność tamtych sześciu, ale tych tutaj nic nie ograniczało. Zdawałem sobie sprawę, że tu wystawieni byliśmy na większe ryzyko, spuściłem zatem wzrok ze stosownym szacunkiem i uległością, po czym szturchnąłem Torię, by zrobiła to samo, albowiem nadal rozglądała się swoimi zbyt bystrych oczami.

– Umieście ich na kilka dni w drewnutni i nakarmcie, zanim zepchniecie na dół – poinstruował sierżant strażników. – W przeciwnym razie nie wytrzymają tygodnia, a jego lordowska mość ostatnio kręci nosem na straty.



Szopa, do której nas wepchnięto, była mała i ciasna, do tego zawalona kłodami drewna, skuliliśmy się razem na podłodze w poszukiwaniu choćby odrobiny ciepła. Ale zaraz, ku mojemu ogromnemu zdumieniu, strażnicy dali nam kilka koców oraz całkiem solidną porcję chleba, sera i wody.

– Nie zjadaj wszystkiego na raz – ostrzegłem Torię, gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi, a ona rzuciła się na chleb. – Brzuch, który był pusty przez tak długi czas, musi ponownie przyzwycząić się do jedzenia. Jeśli będziesz jeść zbyt szybko, wyrzuci wszystko z powrotem.

Posłuchała i zaczęła żuć wolniej, nadal jednak, choć siedzieliśmy blisko siebie, unikała mojego spojrzenia. Otuliłem nas oboje kocami i obłoczki naszych oddechów mieszały się w chłodzie. Po próbie kajdannika Toria mówiła niewiele, ale nader gorliwie wywiązywała się z zadania, które sama na siebie nałożyła: utrzymywania mnie za dnia w stanie czuwania. Oboje też tak samo cierpieliśmy z powodu jeszcze większej powściągliwości, z jaką kajdannik wydzielał nam jedzenie. Mimo że byłem tak blisko młodej kobiety, nie czułem pożądania, tylko głód, a w miarę jak ustępował spowodowany nim ból, coraz potężniejsze i doskonale mi znane uczucie nienawiści do naszego niedawnego dozorczy.

– Nawet jeśli zajmie mi to całą resztę życia – powiedziałem z ustami pełnymi sera – znajdę tego pogańskiego drania.

Toria poderwała na mnie oczy, po czym natychmiast uciekła spojrzeniem w bok, a ja odniosłem wrażenie, że pominęła milczeniem coś, co było niewypowiedziane istotne.

– Co? – zapytałem natarczywie.

– To, co powiedział – mruknęła i zamilkła, cała sztywna z niechęci.

– Mówisz po kaerycku? – zdziwiłem się, a kiedy nie odpowiedziała, dałem jej naglącego kuksańca w bok.

– W południowych księstwach często widuje się Kaerytów – przyznała z wyraźnym oporem. – Głównie handlarzy wędrujących

między portami. Podchwyciłam kilka słów, gdy byłam młodsza. Eornlich, to znaczy „przeznaczenie”. Chyba powiedział: przeznaczenie to kłamstwo. Ale nie był za bardzo co do tego przekonany.

– Jakie przeznaczenie?

– Skąd mam to, na Zatrąte, wiedzieć? Bez względu na to jakie – wzruszyła ramionami – jak nic żałował, że nie zabił cię na drodze.

Z tym nie mogłem się kłócić. Miałem zamiar, gdy już przyjdzie odpowiedni moment, zapytać kajdannika o jego dziwne słowa i może nawet dać mu szybką śmierć, jeśli będzie odpowiednio rozmowny.

– Nie uciekłeś – stwierdziła Toria, wrywając mnie z wymyślania sposobów krwawej zemsty. – Nie uciekłeś na bagna. Dlaczego nie?

– Jak powiedział, szybko bym tam zginął. Mądrzej było zostać.

Po raz kolejny podniosła swoje jasne przenikliwe oczy na moją twarz.

– Kłamiesz. To niedobrze.

Rosnąca kula jedzenia w żołądku przywróciła mi siły i humor na tyle, bym się zaśmiał krótko. – Dlaczego?

– Bo kiedy nie uciekłeś, zaciągnęłam dług, dług życia. To wiele znaczy tam, skąd pochodzę.

– A gdzie to jest? Jeszcze mi nie powiedziałaś.

Jej owalna twarz drgnęła w grymasie irytacji, po czym Toria oderwała z bochenka kolejny kęs.

– To nie ma znaczenia. Liczy się to, że nie wolno mi pozwolić ci umrzeć.

– Kto mówi, że ci nie wolno?

– Serafilowie, oczywiście. Jeśli przeze mnie umrzesz, to nigdy nie pozwolą mi przejść przez Portale.

Śmiech ponownie wezbrał mi w gardle, ale zamarł, gdy zobaczyłem powagę malującą się na jej twarzy. Nie była to ta nieprzejednana, pełna wiary pewność Fornala, ale nadal był to wyraz głębokiego przekonania.

– Najlepiej będzie więc, żebym przez ciebie nie umarł – odpowiedziałem. – Choć podejrzewam, że nie będziesz musiała

długo się starać, bo nie mam zamiaru tkwić w tym miejscu ani godziny dłużej, niż muszę i zaryzykuję wszystko, żeby stąd uciec.

– To się nigdy nikomu nie udało. Każdy banita w królestwie o tym wie: nie ma ucieczki z Wyrobisk.

– W ciągu ostatnich kilku tygodni powinienem był umrzeć przynajmniej kilkanaście razy, a jednak nadal oddycham. I nie martw się, nie zostawię cię. – Otoczyłem ją ramieniem. Po raz pierwszy jej dotknąłem, poczułem same kości i mięśnie, z zaledwie sugestią krągłości. Po części spodziewałem się, że Toria mnie odepchnie, ale ona przysunęła się bliżej, skuszona ciepłem, które oferowałem.

– I tak nie będę ci dawać dupy – zapowiedziała stanowczo. – Dług nie ma znaczenia.

– Postaram się ukryć, że złamałaś mi serce, moja pani.

Z gardła Torii wyrwał się cichy dźwięk, niemalże śmiech, jednak jej następne słowa nie miały w sobie cienia wesołości.

– Lepiej weź ten swój gładki język w karby. Wątpię, żeby docenił go ktoś z naszych przyjaciół górników.

Cud, jakim było jedzenie i odrobina ciepła, szybko nam spowszedniały i naszą szopę wypełniła nuda pełna niespokojnego oczekiwania. Toria i ja poczęliśmy wymieniać się opowieściami z życia banitów, relacjonując sobie nawzajem najróżniejsze wyczyny, od zabawnych porażek, do nieoczekiwanych zysków. Ku mojej irytacji, Toria pozostała niezmiennie tajemnicza, gdy rozmowa zahaczała o jej pochodzenie, z tego jednak co udało mi się wyłuskać zaczynała życie poza prawem w Dulsjan, najbardziej wysuniętym na południe księstwie Albermine. Później kradła i oszukiwała w Alundii, po czym przeniosła się do Alberis, najludniejszego i najbogatszego księstwa w królestwie. Najbardziej ciekawiły mnie jej opowieści o Couravel, wspaniałym mieście, w którym król Tomash miał swój pałac i jak powiadano, żyło tak wielu ludzi, że nie sposób było ich policzyć. Z opisów Torii wynikało, że jest to nie najlepsze miejsce dla ludzi naszego pokroju.

– Większość domów stłoczona jest jedne na drugich, przez co ulice są wąskie, zapchane gównem, żebrakami i prawie trupami. Nie napełnisz sobie kieszeni, chyba że chcesz podrzynać gardła dla jednego z gangów. Gangi mają dziwki i piwiarnie, i cały czas walczą

ze sobą nawzajem. Nawet jeśli się stąd wydostaniemy, to tam nie wrócę.

Toria z kolei była bardzo zainteresowana opowieściami z czasów, które spędzałem u boku legendarnego Deckina Scarla. Wiedziałem, że był postacią powszechnie znaną w Marchii, ale najwyraźniej w dalszych częściach królestwa jego sława osiągnęła absurdalną wielkość.

– Powiedz – zapytała, naciągając mocniej koc, bo w powietrzu czuć było już chłód nocy – naprawdę dawał biednym?

– Kiedy chciał, żeby trzymali gęby zamknięte albo wyświadczyli mu przysługę. W większości jednak to, co ukradliśmy, wydawali sami.

– Wszystko? Na pewno trochę zatrzymał. – Przechyliła się, by spojrzeć na mnie podejrzliwie. – Nie ukrywałbyś przede mną jakichś cennych informacji, prawda? Wydaje mi się, że gdzieś głęboko w kniei Schavine jest miejsce, gdzie Deckin Scarl przechowywał swój skarb.

– Jeśli miał jakieś skarby, to nigdy ich nie widziałem.

– Nic nie rozumiesz. – Wykrzywiła usta z irytacją. – Mapa wskazująca miejsce, w którym Deckin Scarl przechowywał swoje łupy, na pewno byłaby warta suwerena. Tuzin takich map byłby wart wiele więcej, szczególnie gdyby sprzedawał je z ogromną chęcią jedyny żyjący człowiek z jego słynnej bandy.

– Słusznie mówisz. – Pozwoliłem, by mój umysł banity podsuwał mi swobodnie najróżniejsze możliwości. – Taka mapa mogłaby też przyciągnąć zainteresowanie strażnika chętnego, by jednej ciemnej nocy rozstać się ze swoim kluczem.

– Ale najpierw musielibyśmy ją narysować i opisać, a tego ja nie potrafię.

– Ja też nie. Ale jest o czym pomyśleć w nadchodzących dniach.

– Albo latach.

– Dniach – powtórzyłem twardo z niezachwianą pewnością. Dziś ów młodzieńczy optymizm budzi jedynie mój uśmiech. – Mam wiele do zrobienia, a nie zrobię tego marnując czas w kopalni.



Moja pewność doznała pierwszego z wielu ciosów, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Wyrobiska w całości. Nie spodziewałem się wiele, może tunelu prowadzącego do podziemnych szybów, którego wyjście byłoby pilnie strzeżone. Zamiast tego, gdy brama otworzyła się na tyle szeroko, by strażnicy mogli wepchnąć mnie i Torię, zobaczyłem olbrzymi krater o średnicy mniej więcej trzystu kroków i głębokości przynajmniej stu. Wzdłuż ścian wykuto pojedynczy, nieprzerwany chodnik, który niczym stopnie wiódł spiralą w dół do podobnego arenie dna. Ścianę nad tą spiralą znaczyło kilka mrocznych prostokątów, które musiały być niczym innym jak wejściami do poszczególnych szybów. Ludzie znikali w nich i wyłaniaли się nieustannie, ci, którzy wychodzili, uginali się pod ciężarem niesionych na plecach worków, podczas gdy ci, którzy zmierzali w przeciwnym kierunku szli nieco szybciej i choć plecy mieli wyprostowane, to głowy zwieszane ze zmęczenia. Ludzie z workami wchodzili po spirali, by zrzucić swoje brzemię na wielki stos w pobliżu krawędzi krateru. Pozbywszy się ciężaru zawracali i schodzili do zsypu. Scena ta była niewątpliwie przygnębiająca, jednak mój opętany ucieczką umysł skoncentrował się na tym, że cały ten krater można było obserwować bez najmniejszego kłopotu ze szczytu drewnianego muru, który go otaczał. Zauważyłem, że ów częstokół składał się z dwóch połączonych chodnikami barier, z których wewnętrzna była znacznie bardziej wytrzymała niż zewnętrzna. Nie umknęło też mojej uwadze, że wśród strażników obserwujących krater, znajdowało się niemało kuszników.

– Nikt w przeciągu stu lat, pamiętasz? – westchnęła Toria, gdy strażnicy zamknęli bramę. Kiedy obudzono nas ze spokojnej drzemki, podjęliśmy krótką próbę zainteresowania ich rozmową o mitycznym skarbie Deckina, która to próba została szybko ukarana.

– Macie mapę, co? – zapytał jeden z nich, po czym uderzył mnie w żebra pięścią obleczoną w rękawicę. Cios nie był na tyle silny, żebym zgiął się wpół, ale wystarczył, by szarpnęły mną bolesne

torsie. – Zawsze mają pieprzoną mapę – rzucił do swego towarzysza, kiedy wyprowadzali nas z szopy.

Toria miała na tyle przyzwoitości, by z zakłopotaniem wzruszyć ramionami, zanim wypchnięto nas przez bramę z wesołą radą.

– Pamiętajcie, żeby szybko zdobyć przyjaciół. – Strażnik zawiesił głos, by obdarzyć Torię lubieżnym spojrzeniem. – Szczególnie ty, kochanie.

Roztarłem obolałe żebra i podjąłem poszukiwanie jakichkolwiek błędów w tym, co jak szybko zrozumiałem, było perfekcyjnie skonstruowaną pułapką. Torię znacznie bardziej obchodziły nasze najbliższe perspektywy. Klepnęła mnie w ramię i ruchem głowy wskazała kratę. Reakcja współwięźniów na nasze przybycie ograniczyła się do kilku zmęczonych spojrzeń. Nikt jednak nie spróbował do nas podejść. Jakiś czas temu na polecenie Deckina pozwoliłem się schwytać ludziom szeryfa i wrzucić do więzienia w jednym z pomniejszych zamków. Była to część planu mającego na celu uwolnienie starego druha Króla Banitów, który, jak się okazało, zdążył zejść na suchoty jeszcze przed moim przybyciem. Tam więźniowie rzucili się na mnie jak szczury na świeży kawałek mięsa. Lanie, które otrzymałem, z pewnością zmieniłoby się w coś gorszego, gdybym nie wyciągnął z buta małego nożyka i nie wylupił paru oczu. Tymczasem tutaj pochód więźniów nie ustał nawet na chwilę, dopiero Toria zauważyła dwie postacie, jedną małą, drugą dużą, które wspinały się po spiralnym chodniku, wyraźnie zmierzając w naszą stronę.

Gdy się zbliżyły, zrozumiałem, że ta mniejsza to kobieta, włosy miała posiwiałe, ale twarz, choć poznaczona zmarszczkami, zachowała pewną gładkość, która utrudniała ocenę wieku. Natomiast mężczyzna u jej boku mógł, wedle mojej oceny, mieć lat około czterdzieści, aczkolwiek szybko miałem się dowiedzieć, że nawet krótki czas spędzony w wyrobiskach dodaje lat twarzy i ciała. Wysoki więzień miał włosy, jak i brodę, przyszczyżone niemal przy skórze, do krótkiej szarej szczeciny. Na jednym oku miał opaskę, a wokół niej ciało poznaczone było starymi bliznami, które na tle ciemniejszej skóry przypominały bladą pajęczynę. Uznałem, że to musi być tutejszy przywódca. W każdym więzieniu jest jakiś, jeden

więzień, który dzięki sprytowi i brutalnej sile dominuje nad pozostałymi. Wystarczył mi jednak jeden rzut oka na jego ręce, większe niż ręce Deckina, bym doszedł do wniosku, że rzucanie mu wyzwania absolutnie nie wchodzi w grę. Z nienawistnego błysku w jego jedynym oku wywnioskowałem, że nawet jeśli nie sprzeciwię się otwarcie, to i tak nie zostanie mi oszczędzona rytualna demonstracja dla podkreślenia, kto tu rządzi.

Dlatego też było dla mnie niemałym zaskoczeniem, kiedy to kobieta odezwała się pierwsza. Co więcej, mówiła z jeszcze bardziej zaskakującą płynnością prawdziwego wykształcenia. Nie była to może wymowa szlachcianki, ale na pewno nie pochodziła z pól bądź ulic.

– Witajcie, przyjaciele – zaczęła, uśmiechając się lekko, z dłonią przyłożoną do piersi. – Nazywają mnie Sylde, to – wyciągnęła rękę w kierunku jednookiego – jest Piwowar. A wy, jeśli można wiedzieć, kim jesteście?

– Alwyn – odrzekłem równie uprzejmie, dodając przy tym ukłon. – To jest Toria. Znaleźliśmy się w tym miejscu wskutek prawdziwie nikczemnej niesprawiedliwości...

– To nie ma znaczenia – poinformowała mnie Sylde. Przemówiła, nie podnosząc nawet głosu, a jednak w jej słowach dźwięczał wystarczający autorytet, by powstrzymać potok moich kłamstw. – Z jakiego powodu tutaj jesteście, nie ma żadnego znaczenia – dodała. – Wszystko co liczy się teraz, to wasze zachowanie w tym świętym miejscu.

Określenie to było tak nieoczekiwane, że powtórzyłem je mimowolnie z pytającym zdziwieniem:

– Świętym?

– Tak. – Wciąż miała na wargach uśmiech, emanujący znajomym spokojem, przez co jej następne słowa były już mniej zdumiewające. – Możecie spojrzeć na tę wielką rysę w ziemi i widzieć tu jedynie miejsce nieustannego znoju i kary. Ale tak naprawdę zostaliście pobłogosławieni możliwością wkroczenia do najbardziej boskiej świątyni przykładu Męczenników i łaski Serafilów.

– O kurwa – mruknęła Toria z niesmakiem, na szczęście zbyt cicho, by usłyszała ją ta nieszczęsna kobieta.

– Świętyni? – zapytałem, doświadczając przy tym wysoce niezwykłego uczucia, że nie bardzo wiem, co teraz powiedzieć. – Rozumiem.

– Nie – roześmiała się kobieta i był to dziwnie przyjemny dźwięk, ponieważ pozbawiony choćby nuty złościwości czy potępienia. – Nie rozumiesz, ale może z czasem... – Przechyliła głowę i podeszła bliżej, przywodząc mi na myśl kota, wpatrującego się w coś, co może okazać się pożywieniem lub tylko niejadalnym śmieciem. – Powiedz mi, Alwynie, dlaczego Ahlianna odmówiła ręki królowi Lemeshillowi?

Kolejna próba, uświadomiłem sobie. Jednakże, w przeciwieństwie do gierki kajdannika, tym razem, dzięki Fornalowi, wiedziałem dobrze, jak grać. Przywołałem zatem na twarz odpowiednio pobożną minę i uznałem, że cytat będzie tutaj najskuteczniejszą odpowiedzią.

– Jakże ja, któram słyszała słowa Serafilów i poznała prawdę o Zatracie, mam oddać swe serce i ciało komuś takiemu jak ty. Możesz i potężny, i odważny, ale serce twoje skalane jest dobrodziejstwem i niezliczonymi oszustwami Malecytów.

Sylda łagodnie skinęła głową, z niepokojącym brakiem zachwyty dla mojej imponującej recytacji. Zamiast tego postąpiła bliżej kolejny krok, wpatrując się we mnie bez mrugnienia przenikliwym spojrzeniem.

– I co się z nimi stało?

Ponieważ zapamiętałem tylko ten jeden fragment z tej opowieści, musiałem sklecić streszczenie najlepiej, jak mogłem, przywołując w pamięci kazania Fornala.

– Rozgniewany odrzuceniem Lameshill skazał Ahliannę na śmierć. Doprowadzony do obłędu poczuciem winy, przysiągł wierność Przymierzu i rozpoczął Pierwszą Krucjatę Męczennika, niszcząc armię zniewolonych przez Malecytów, aż w końcu sam poległ w bitwie zgładzony plugawym i nienaturalnym sposobem. W Zwojach Przymierza, on i Ahlianna, zostali nazwani drugim i trzecim Męczennikiem.

– Tak – odparła kobieta łagodniejszym już tonem, ale twarda przenikliwość w jej oczach świadczyła o czymś zgoła innym. Może i Sylda była pobożna, ale jej wiara nie okaleczyła rozumu, jak to

często bywało z innymi. Nie miałem wątpliwości, że ta kobieta potrafiła stwierdzić, że wypowiedane słowa znaczą dla mnie niewiele.

– A teraz oboje przebywają za Boskimi Portalami, czyż nie? Na całą wieczność związani miłością.

To była pułapka, ale uniknąłem jej bez trudu.

– Serafilowie obiecali wieczną łaskę tym, którzy będą podążać za przykładem Męczenników. Ale jedynie Serafilowie wiedzą, co leży za Portalami. Nagroda, jaka czeka na nas, kiedy nasz czas na ziemi dobiegnie końca, nie jest nam znana. Ponieważ wiedza mogłaby nas osłabić. – Spojrzałem na nią spod zmarszczonej urazą brwi. – Dywagacje na taki temat to herezja.

– W rzeczy samej. – Cofnęła się lekko i teraz jej uwaga skupiła się na Torii. – Czy ty również jesteś tak uczona w pismach Przymierza, moja droga?

– Na tyle uczona, na ile trzeba – odparła Toria sucho. Jak zawsze dotychczas jej niekwestionowana bystrość nie obejmowała ukrywania uczuć, spoglądała na parę nowo przybyłych z głęboką podejrzliwością. Jak na kogoś, kto przywiązywał nieziemskie znaczenie do długu, jaki w jej odczuciu u mnie zaciągnęła, jej reakcja na pobożną Syldę była co najmniej dziwna.

– Jej pobożność różna jest od mojej – wtrąciłem się – ale zapewniam was, że to wiara nas połączyła. Ma ona wobec mnie zobowiązanie i obawia się, że jeśli go nie wypełni, ściągnie na siebie gniew Serafilów.

Sylda uniosła pytająco brwi, na co Toria odpowiedziała wzruszeniem ramion, potwierdzając niejako moje słowa.

– Ocalił mnie – powiedziała. – Jeśli nie spłacę tego długu, rozgniewam Serafilów.

– Rozgniewasz? – Brwi Syldy uniosły się jeszcze wyżej. – Przymierze nie wspomina, by Serafilowie zdolni byli do takich uczuć, przynajmniej nie prawdziwe Przymierze.

Toria spochmurniała, jej usta wykrzywił grymas uporu.

– To twoja prawda, nie moja.

Spodziewałem się, że ta zadziorność rozgniewa Syldę, ale ona tylko się roześmiała i odwróciła.

– Nie obawiajcie się, przyjaciele, ponieważ wszyscy, którzy starają się podążać za przykładem Męczenników, są mile widziani w naszej świątyni, bez względu na to, jakie schizmy rozrywają naszą wiarę za murami. – Skinęła na nas zapraszająco i ruszyła w dół spirali. – Chodźcie, pokażę wam nasze miejsce kultu.

Toria i ja nie zwlekając podążyliśmy za nią i oboje zatrzymaliśmy się gwałtownie, gdy Piwowar zastąpił nam drogę. Jego oko przyglądało nam się uważnie, połyskując mieszaniną ostrzeżenia i podejrzliwości.

– Oboje są zbyt sprytni – warknął z szorstkim marchijskim akcentem, przy czym słowa jego skierowane były do towarzyszki, choć nie przestawał patrzeć na nas. – Zbyt łatwo przychodzą im kłamstwa, szczególnie temu. – Dźgnął mnie w pierś wielkim paluchem. – Nie podoba mi się to.

– Nie słyszałam żadnych kłamstw – stwierdziła Syllda i uznałam to zdanie za wielce znaczące. Najwyraźniej w jej rozumieniu pobożność nie wykluczała nieuczciwości, albowiem wiedziałem doskonale, że przejrzała mnie równie łatwo jak gładkie szkło. – Poza tym – dodała – potrzebujemy sprytu, czyż nie?

Usta Piwowara drgnęły wyraźnie i widziałem, że wielkolud próbuje stłumić ochotę do kłótni. To było bardzo dziwne więzienie, zrozumiałem bowiem, że prawo tu stanowi nie brutalna siła tego człowieka, ale słowo niewielkiej, pobożnej kobiety.

– Nie daj się zwieść, chłopcze – rzekł Piwowar, pochylając się nade mną tak blisko, że jego kwaśny oddech owionął moją twarz – jestem pobożny, ale wycisnę każdą kroplę krwi z twojego strzaskanego zewłoku, jeśli zrobisz, albo powiesz coś, co mogłoby skrzywdzić ascendantkę Sylldę.

– Ascendantkę? – Spojrzałem na drobną postać kobiety schodzącą wzdłuż ściany, zauważyłem, jak przechodząc nagradzała więźniów ciepłym uśmiechem. Oni zaś w większości odwracali wzrok lub odpowiadali półukłonem, kładąc dłoń na piersi – jak wedle zwyczaju okazywało się szacunek starszemu rangą kapłanowi Przymierza. Byłem ciekaw, czy tytuł ascendantki Syllda dała sobie sama, czy, choć wydawało się to nieprawdopodobne, naprawdę była wysokim członkiem kleru. A jeśli tak, jakim sposobem trafiła do tej dziury?

– Lepiej już chodźmy – powiedział Piwowar, ruszając za Syldą. Kiedy my mijaliśmy innych więźniów, żaden z nich nam się nie uklonił, ale wszyscy pospiesznie odwracali wzrok. Sylda może i budziła powszechny szacunek, ale Piwowar budził powszechny strach. Gdy mijaliśmy wlokących się gęsiego nieszczęśników, zauważyłem kilka gniewnych spojrzeń rzuconych Piwowarowi, kiedy był bezpiecznie odwrócony plecami. W większości wyczytałem w nich ponurą urazę słabych do kogoś silnego. Ale zdarzały się też płonące spojrzenia prawdziwej nienawiści lub długo pielęgnowanego żalu. Niektórzy spoglądali też pożądliwie na Torię, nieliczni nawet na mnie.

– Na co się, kurwa, gapisz, szcurze – warknęła w stronę jednego nadmiernie zainteresowanego więźnia, o niezwykle wąskiej twarzy i wydatnym nosie. Ten cofnął się o krok, ale najwyraźniej nie był zdolny odwrócić spojrzenia, wskutek czego musiałem powstrzymywać Torię, która już zamierzała zamachnąć się pięścią.

– Daj spokój – powiedziałem, starając się, by zarówno mój ton, jak i twarz, nie wyrażały żadnych emocji, gdy powlokłem Torię za sobą.

– Nie lubię, jak się tak gapią – prychnęła, wrywając rękę z mojego uścisku.

– Może powinnaś się przyzwyczać. – Prześlizgiwałem się spojrzeniem po mijanym rzędzie niemytych ciał, odzianych w poplamione ziemią ubrania, którym niewiele brakowało do szmat.
– Nie wydaje mi się, że jest tu wiele kobiet.

Schodziliśmy za Piwowarem, aż na samo dno krateru. Tutaj też pracowali więźniowie, kilkunastu z nich wynosiło worki z szybu i układali je u podstaw ściany. Różnili się od innych więźniów, nie byli bowiem całkiem wychudzeni, a ich odzienie prezentowało się lepiej, oni też spoglądali na nas znacznie przyjaźniej.

– Z przyjemnością chciałabym powitać naszego nowego brata i nową siostrę w świątyni. – Sylda przywołała nas gestem. – Alwyn i Toria.

Więźniowie przerwali prace, by skinąć nam głowami, niektórzy przykładali rękę do piersi, jak to czynią pobożni wierni Przymierza, witając swoich pobratymców. Przywołałem na twarz wyraz odpowiedniej powagi i odwzajemniłem ów gest, Toria

zaplatała ramiona na piersi i ograniczyła się do sztywnego kiwnięcia głową. Choć ta grupa różniła się od więźniów, których widzieliśmy w wyższych partiach krateru, a nawet było w niej kilka kobiet, Toria pozostała czujna i podejrzliwa.

– Chodźcie – wezwała nas Syl da, kierując się do ciemnego portalu szybu kopalnianego. – Jak sądzę, chcielibyście pomodlić się w świątyni Męczenników, zanim przejdziemy do innych spraw.

Powstrzymałem się przed zadaniem aż nazbyt oczywistego pytania, ale Toria nie była tak powściągliwa.

– Jakich spraw?

– Wszystko w swoim czasie, młoda siostr o – odpowiedziała jej Syl da z łagodnym rozbawieniem, a jej głos wrócił do nas echem, gdy kobieta zniknęła w ciemności szybu.

Toria zatrzymała się z wyraźną obawą. Rzuciłem wymowne spojrzenie na Piwowara, który stał u wejścia do szybu, czekając na nas, ale Toria wciąż się wahała. Wtedy objąłem ją za ramiona i delikatnie poprowadziłem naprzód. Czulem, jak drży i wstrzymuje oddech, gdy pochłonął nas cień.



Podczas naszej wspólnej drogi doszedłem do wniosku, że Toria jest duszą zwykle nieustraszoną, a przynajmniej dobrze wyćwiczoną w ukrywaniu swego strachu. A jednak to, jak gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy weszliśmy do tunelu, przeczyło moim wnioskom.

– To ciemność czy ciasnota? – zapytałem cicho.

– Jedno i drugie – odszepnęła. Oczy jej lśniły odbiciem pochodni płonącej gdzieś przed nami. Wiedziałem, że przytłaczająca obecność Piwowara za naszymi plecami tylko wzmacnia obawy Torii.
– Nie lubię tak bardzo tracić z oczu nieba.

– Jestem tutaj – powiedziałem, w nadziei, że stwierdzenie tej oczywistości przyniesie Torii odrobinę ukojenia. – Poza tym wątpię, żeby oni nam źle życzyli.

– Są zbyt przyjaźni. – Blask w jej oczach zamigotał, gdy rozglądała się nerwowo. – Co to za więzienie?

Ściszyłem głos, jak tylko mogłem i zbliżyłem usta do jej ucha:

– Takie z kapliczką. Co znaczy, że są tu ludzie gotowi wierzyć w nadzieję. Możemy to wykorzystać.

Zamilkła na chwilę, a potem przełknęła ślinę z wyraźnym wysiłkiem i odpowiedziała mi wymuszonym śmiechem, wyrzucając niewyraźne słowa:

– Albo możemy sprzedać im mapę do skarbu Deckina.

– Tak – zaśmiałem się w odpowiedzi i pokrępiąco ścisnąłem jej ramiona. – Zawsze mamy jeszcze mapę.

Do jednej pochodni dołączyły kolejne, w miarę jak schodziliśmy głębiej i zobaczyłem wyraźniej chropowate ściany i zaskakująco gładką podłogę. Czuję, że opada ona łagodnie w dół. Powietrze tu było tak ciepłe, że moja skóra oblała się rumieńcem. Miało też zapach stęchlizny, woń wilgotnego kamienia mieszała się z lekkim powiewem rozkładu. Nie była to woń szczególnie przykra, a przede wszystkim wolna od odoru ekskrementów. Ludzie, którzy tu pracowali mieli przynajmniej na tyle rozsądku, by znaleźć miejsce, gdzie pozbywali się swoich nieczystości.

Po kolejnych kilkuset krokach dotarliśmy do skrzyżowania, gdzie szyb łączył się z kilkoma innymi, z których dochodził stukot oskardów. Zmuszeni byliśmy zejść na bok, gdy mijał nas więzień podążający na powierzchnię z workiem świeżo wykopanej rudy.

– Praca to cena, jaką płacimy za przebywanie w tym sanktuarium – wyjaśniła Sylدا. Zatrzymała się u wylotu najwęższego z tuneli, jedyne go, z którego nie dobiegały dźwięki wyętej pracy. – Piwowarze, bądź tak dobry i zaprowadź Torię do kwatery, zadbaj też, by miała narzędzia, jakie będą jej potrzebne. Alwynie – wskazała mi cichy tunel – proszę, chodź ze mną.

Toria stęzała w moim uścisku, gdy instynkt banity doszedł w niej do głosu i kazał uciekać.

– Wszystko dobrze – szepnąłem. – To tylko następna klatka. Bądź cierpliwa.

Westchnąwszy, wyprostowała się, strącając zarazem moją rękę, po czym ruszyła za Piwowarem wprost w paszczę największego z tuneli.

Sylda czekała na mnie z wyczekującym uśmiechem, póki i ja nie wkroczyłem w głąb tunelu. Jego koniec ginął w czerni tak absolutnej i nieprzeniknionej, że zdawała się pochłaniać światło pochodni, którą niosła moja przewodniczka. Wyczuwając, że dalsze pytania nie będą raczej mile widziane, szedłem w milczeniu do chwili, gdy Sylда sama zaczęła pytać.

– Czy Alwyn to twoje jedno miano?

– Owszem – odparłem i zaraz zdławiłem kwecistą kłutwę, gdy uderzyłem głową o niskie i nierówne sklepienie tunelu. – Jak to

zwykle bywa w przypadku bękartów.

– Ale nie banitów. Na przykład poza tymi murami Piwowar znany jest jako Piwowar Rzeźnik. Może o nim słyszałeś?

– Nie sędzę. – Istotnie niczego o nim nie słyszałem, co wydawało się dziwne, ponieważ banici o jakiegokolwiek reputacji byli zwykle znani bandzie Deckina. Pomyślałem, że być może Piwowar trochę wyolbrzymił swoją reputację wrzutka.

– Nieważne. Zatem skoro on był rzeźnikiem, wyznaj, kim ty byłeś?

– Przez lata obrzucano mnie wieloma wyzwiskami, większość z nich była zbyt wulgarna bądź bluźniercza dla uszu ascendantki. Aczkolwiek raz jeden banita o pewnej reputacji nazwał mnie Lisem z Kniei Shavine. To wszystko miało miejsce przed, jak to nazywam, oświeceniem...

Dobiegł mnie z jej strony stłumiony dźwięk i trzeba było chwili, bym się zorientował, że to zduszony śmiech.

– Jakże pięknie mówisz – stwierdziła. – Edukowałeś się?

– Jedynie w prawdzie Przymierza. Miałem szczęście do nauczyciela, człowieka, który dzięki swemu dobremu sercu i głębokiej znajomości zwojów, zawrócił mnie z drogi banity i otworzył me serce na łaskę Serafilów.

– Rzeczywiście człowiek godzien pochwały. Jak go spotkałeś?

– Wraz z kilkoma innymi uprawialiśmy swój proceder przy Królewskim Trakcie, bez większego powodzenia, muszę przyznać, i wtedy go spotkałem. Człowiek ten, prosty fornał, pielgrzymował do sanktuarium Męczennika Stevanosa, bez cienia trwogi, wiedział bowiem, że wiara go ochroni. I tak też się stało. Gdy moi kompani go zaatakowali, nie podniósł ręki w swojej obronie, zamiast tego począł recytować Pismo. Moi towarzysze głusi byli na jego przesłanie, ale ja... – Zamilkłem, kręcąc głową. – Prawda tnie dotkliwiej niż nóż, a tego dnia rozcięła moją duszę, ascendantko Syldo, do głębi. Oddałem wszystkie moje łupy kompanom, byle tylko pozostawili fornala w spokoju i razem z nim wyruszyłem do sanktuarium. Tam spojrziałem na relikwie Męczennika Stevanosa i poczułem, jak łaska Serafilów wypełnia moją duszę i wymazuje moje grzechy. Niestety – dodałem z przekąsem – kiedy szeryf mnie złapał, moje grzechy nie zostały wymazane z jego rejestrów i tak trafiłem tutaj.

– Opowieść piękna i zarazem smutna. Czy choć jedno słowo z tego jest prawdą?

Zatrzymałem się i odwróciłem, w twarzy Syldy nie dostrzegłem cienia wesołości. Patrzyła na mnie twardo, z niewzruszonym pytaniem w spojrzeniu i wyczekującą miną kogoś, kto nie wątpi we własny autorytet i wiedziałem, że jest to twarz prawdziwej ascendantki Przymierza. Nigdy nie zastanawiałem się poważniej nad różnymi, niecodziennymi koncepcjami, dotyczącymi wiedzy i przenikliwości, jakimi rzekomo zostali obdarzeni kapłani wyższej rangi, ich zdolności do nieomylnego dostrzegania prawdy, do ferowania wyroków w kwestiach prawa bądź sporów. Jednak niebywała łatwość, z jaką ta kobieta przejrzała moją warstwę kłamstw, sprawiła, że zacząłem się zastanawiać, czy jednak nie ma w tych koncepcjach ziarna prawdy.

Przez chwilę miałem ochotę kłamać dalej, może nawet ubarwić moją opowieść żartobliwymi protestami, że moje odkupienie w sanktuarium Męczennika Stevanosa uczyniło mnie niezdolnym do oszustwa. Ale banita z odrobiną rozsądku wie, kiedy jego maska przestaje być nieprzenikniona. Nie miałem wątpliwości, że moje szanse na przetrwanie i ewentualną ucieczkę zależą wyłącznie od przychylności tej kobiety.

– Człowiek, który nauczył mnie praw Przymierza naprawdę był fornałem – powiedziałem. Staralem się uśmiechnąć, w ramach przeprosin, ale z powodów, których nie mogłem zrozumieć, moje wysiłki zakończyły się nieładnym skrzywieniem ust i tak już krzywych dzięki wypadkom pod pręgierzem. – Przynajmniej w poprzednim życiu – dodałem, pokaszując, odkryłem że w gardle mi zaschło i musiałem przełknąć ślinę, zanim odezwałem się ponownie. – Ale głęboko wierzył, choć tak jak ja był członkiem bandy Deckina Scarla.

– I gdzie on jest teraz? Ten pobożny złoczyńca?

– Martwy. – Do dziś nie wiem, dlaczego mówiłem dalej, słowa po prostu płynęły niczym piwo z otwartej beczki. – Ja go zabiłem. Musiałem. Resztę bandy pojmano albo wybito. Był ranny i tylko by mnie spowolnił. Chciałem udawać, że to było miłosierdzie, że oszczędziłem mu bólu, ale prawdę powiedziawszy martwiłem się, że powie żołnierzom, jeśli pojną go żywcem.

– Zatem... – podeszła o krok bliżej i moje czoło pokryło się kroplami potu, gdy pochodnia znalazła się o cal od mojej twarzy – czy nie będzie słusznym powiedzieć, Alwynie, że zasłużyłeś na pobyt tutaj? Zasługujesz na karę, czyż nie? Za morderstwo, którego się dopuściłeś? Za inne grzechy, których z pewnością było wiele?

Jej spojrzenie mnie unieruchomiło, nawet nie drgnąłem, mimo nieprzyjemnej bliskości pochodni. W głowie dzwonił mi refren wyświechtanych zaprzeczeń, jakie powtarzają wszyscy banici: jaki wybór miał bezdomny bękart, syn kurwy? Jakie inne ochłapy zostawiają nam szlachcice? Czy nie zrobiłabyś tego samego? Ale ten chór wymówek był teraz już tylko głosem małego zawodzącego stworzenia i to za sprawą tej kobiety, nie miałem co do tego wątpliwości.

– Tak – zgodziłem się głosem wypranym z emocji. – Zasłużyłem na pobyt tutaj. Zasłużyłem na pręgierz i na to, żeby mnie powiesili, jak chcieli. Zasłużyłem na to wszystko i jeszcze więcej.

Sylda zamrugnęła powoli i cofnęła się, a jej usta wykrzywił lekko smutny uśmiech satysfakcji.

– Większość myśli, że droga Męczenników to jedynie cierpienie i poświęcenie – powiedziała, mijając mnie, była tak drobna, że uczyniła to bez trudu nawet w ciasnym tunelu. – Ale ta większość się myli, bo ich prawdziwa nauka leży w potędze wiedzy. Każdy Męczennik, który zginął dla Przymierza uczynił to, mając pewną wiedzę na temat tego, kim jest i jakich działań wymaga od niego wiara. Chodź, a ci pokażę, czego Przymierze wymaga od ciebie.

Ruszyła przed siebie, a ja podążyłem za nią, ciągnięty nagłą potrzebą psa podążającego tropem swego pana. Nie umiałbym powiedzieć, jak długo za nią szedłem, nasłuchując pilnie każdego słowa, które mogłaby wypowiedzieć. Nawet w chwilach, gdy mój stosunek do Deckina Scarla był niemalże wiernopoddńczy, nie doświadczałem tak desperackiej potrzeby aprobaty czy raczej, jak zrozumiałem to później, rozgrzeszenia.

Szyb doprowadził nas w końcu do komnaty, której wymiary skrywała całkowita ciemność, dopiero pochodnia Sylidy rzuciła blask na kamienne ściany. Wznosiły się one na wysokość co najmniej dwudziestu stóp, po czym tonęły w mroku, podczas gdy odległe echo naszych kroków pozwalało domyślać się ogromu tej przestrzeni.

– Witaj w Sanktuarium Męczennika Callina – rzekła Sylدا i dotknęła pochodnią innej, umieszczonej na ścianie w prymitywnej, żelaznej kunie.

– Callin? – Imię to brzmiało znajomo, ale wygrzebane z pamięci szczegóły okazały się bardzo skromne. Przypomniało mi się, że Fornal wymamrotał to miano przy kilku okazjach, zazwyczaj wtedy gdy godzina była późna, a on siedział zmęczony i rozłuszczony niewdzięcznością i niechęcią publiki.

– Nie znasz jego historii? – Z goryczą potrząsnęła głową i zapaliła kolejną pochodnię. – Zawsze mnie zaskakuje, że ci, którzy najbardziej skorzystaliby z jego przykładu, zwykle nie znają w ogóle imienia Callina.

Zapaliła jeszcze trzy pochodnie i łączny blask wszystkich odsłonił większość komnaty. Ściany zarówno z gładkiego, jak i chropowatego kamienia wznosiły się, by zagłębić się łukiem w anonimowej pustce, w sposób, który przypominał mi bardziej ozdobne kaplice Przymierza. Oświetlona część podłogi miała przynajmniej pięćdziesiąt kroków szerokości, reszta ginęła w mroku.

– Tak – zgodziła się ascendantka, po raz kolejny demonstrując swą niezwykłą umiejętność zaglądania w moje myśli – dziwne, że tak doskonała kaplica stworzona została przypadkową dłonią natury, jeśli cokolwiek na tym świecie jest przypadkowe. Spójrz tutaj, proszę.

Zbliżyła się do jednego z gładkich płatów kamienia, gdzie cienie drgały wokół czegoś, co uznałem za niepraktycznie małe drzwi. Kiedy podszedłem, przekonałem się, że to nisza wykuta w skale. Nawet moje niewprawne oko dostrzegало bez wysiłku, że ręce, które ją wykonały, były rękoma mistrza. Idealnie płaska podstawa i boki, które schodziły się przepięknymi łukami. We wnętrzu znajdował się niewielki gliniany słoј z pokrywką.

– Inne kaplice ozdabiają swoje ołtarze każdą relikwią, jaką uda im się zdobyć – powiedziała Sylда. – Wiele z tych relikwii, jeśli nie wszystkie, to oszustwo. Fałszywe relikwie stworzone specjalnie dla kleryków, którzy łakną większej liczby pielgrzymów. Tutaj jednak odkryliśmy, że trzeba nam tylko jednej relikwii dla naszego ołtarza, albowiem Męczennik Callin był człowiekiem, który nauczył się unikać fałszu bogactwa.

Wsunęła swą pochodnię do pustej kuny przy niszy i uniosła pokrywkę glinianego słoja.

– Spójrz, Alwynie – powiedziała, przywołując mnie skinieniem dłoni. – Święta relikwia Męczennika Callina.

Nigdy wcześniej nie widziałem prawdziwej relikwii. Odwiedzałem rozmaite sanktuaria w Marchii Shavine wyłącznie w celach złodziejskich. Gdybym rzeczywiście wszedł do kaplicy Męczennika Stevanosa, wtedy tuziny kości, pasy zdartej skóry i poczerńiałe szaty zdobiące ołtarz z pewnością zrobiłyby na mnie większe wrażenie niż ta zawartość.

– Szeląg? – Rzuciłem ascendantce sceptyczne spojrzenie, po czym znów popatrzyłem na pojedynczą miedzianą monetę na dnie słoja.

– W istocie – przytaknęła Syllda. – Możesz obejrzeć z bliska, jeśli chcesz.

Zawahałem się, zanim sięgnąłem po monetę. Chociaż byłem niewierny, całe życie obcowałem z legendą Przymierza i perspektywa dotknięcia prawdziwej relikwii była onieśmiałająca. Jednak gdy dotknąłem szeląga, nie nawiedziły mnie wizje Serafilów, a moja dusza nie została zalana ich łaską. Poczułem jedynie chłód metalu, a przed oczyma miałem jedynie małą monetę, podobną do innych, którym pozwoliłem prześlizgnąć się przez moje palce w czasie burzliwego i nierozważnego życia. Podniosłem ją do światła i zobaczyłem, że awers różni się od tego, co zwykłem oglądać na monetach koronnych. Używane obecnie szelągi miały wybitą głowę króla Tomasa lub jego zmarłego ojca, podobno znacznie potężniejszego króla Mathisa Czwartego. Tymczasem na monecie w mojej dłoni widniała głowa kobiety, co było niezwykle.

– Królowa Lisselle – wyjaśniła Syllda, patrząc, jak przyglądam się relikwii. – Jedyna kobieta z dynastii Algathinetów, która zasiadała na tronie. Za jej czasów biedota nazywała ją Krwawą Liss, bo królowa nie została pobłogosławiona miłosiernym sercem.

– Ile to ma lat? – zapytałem, obracając monetę w świetle pochodni. Nie zdołałem odczytać niewyraźnych cyfr na rewersie.

– Podejrzewam, że minęły blisko dwa stulecia od czasu, gdy tę monetę wybito i trafiła w końcu do sakiewki Callina. Powiedział, że to jedyna moneta, którą zarobił uczciwie i dlatego też tylko ją jedyną

zatrzyma. Widzisz, przez większość swojego życia Callin był jak ty banitą. Historia jego odkupienia ma liczne wersje, ponieważ jego zwój zapisany został niewprawną ręką, a ci, którzy go kopiowali, mieli jeszcze mniej umiejętności w tym zakresie. Wiadomo jednak, że gdy otrzymał wizję Drugiej Zatrady, porzucił swoje nikczemne zwyczaje, a potem przemierzył Albermine wzdłuż i wszerz, głosząc swoje kazania. „Zaprawdę powiadam wam, Druga Zatrada pochłonie bogaczy, ale oszczędzi biedaków, jeśli ci otworzą swe serca dla Przymierza”, nauczał. „Tylko ci, którzy zaznali ubóstwa, dostąpią zbawienia”.

Choć słowom Syldy nie sposób było się oprzeć, podobnie jak jej spojrzeniu, to nie utraciłem jednak swej skłonności do cynizmu.

– Wątpię, żeby trafił do wielu – mruknąłem z drwiącym uśmiechem. Ascendantka jednak tylko uśmiechnęła się szerzej.

– Wręcz przeciwnie, podczas swoich podróży Callin zebrał wielu wyznawców – powiedziała. – W pewnym momencie wędrowało z nim ponad dwa tysiące osób. Dwa tysiące chłopów, żeby było jasne. Ci szlachetnej krwi pozostali jak jeden głusi na jego przesłanie i nie byli zadowoleni, że tylu dzierżawców porzuca gospodarstwa, by podążyć za pozbawionym butów złodziejem, który nigdy się nie mył i głosił, że posiadanie ziemi jest obrzydliwością w oczach Serafilów. Gdy przychodziło do rozdzwieków w królestwie, królowa Lisselle z makabryczną skutecznością likwidowała ich przyczyny. Callin został schwytany, a jego zwolennicy rozpedzeni. Jednym z najczęściej przeinaczanych fragmentów w jego zwojach jest ten dotyczący prywatnej audiencji u królowej, wiedza o tym, co zaszło między nimi naprawdę przepadła na zawsze. Niemniej królowa okazała mu łaskę, skazując go na ścięcie. Uniknął zatem śmierci, jaka staje się zwykle udziałem heretyków, co wielce wzburzyło wyższych rangą kapłanów Przymierza, których kazania Callina niepokoiły równie mocno jak szlachtę. Kiedy Callina przywieziono do katowskiego pnia, wręczył tę monetę, swoją jedyną własność, katu jako zapłatę za jego pracę. – Syllda wyjęła mi z dłoni słoje i trzymała go w wyciągniętej ręce, póki nie wrzuciłem do środka monety. – Trafiła do mnie dawno temu, ale to opowieść na inną okazję. – Postawiła naczynie w doskonale wyrzeźbionej niszy i umieściła na nim pokrywkę. – Skromna relikwia, pamiątka po

człowieku, który cenił pokorę ponad wszystko. Wiedział bowiem, że kiedy się ukorzymy, zostajemy odkupieni.

Podniosła oczy i ponownie schwytała mnie mocą swego wzroku, uwięziła równie łatwo, jak kajdany więziły mnie przykutego do wozu kajdannika.

– Czy chcesz się ukorzyć, Alwynie? Czy chcesz dostąpić odkupienia, podążając za przykładem Męczennika Callina?

Pieśń słabego, rozpaczliwego chóru kłamstw zabrzmiała we mnie i zaraz ucichła. Mówienie tej uwięzionej znakomitości Przymierza tego, co chciała usłyszeć, było niewątpliwie dobrą strategią, a jednak nie chciałem dalej kłamać. Nie jej.

– Nie wiem – odparłem z prostą szczerością. – Choć zasłużyłem niewątpliwie, by się tu znaleźć, pragnę jedynie stąd uciec, odzyskać wolność.

– Wolność. – To słowo zabarwiło jej ton rozbawieniem, aczkolwiek spojrzenie pozostało niezmiennie poważne. – I co byś z nią począł?

Ledwie rozchyliłem usta, a popłynęła z nich prawda, rwącym strumieniem, który mnie samego zaskoczył pasją.

– Mam rachunki do wyrównania. Zniewagi do odplacenia. – Szczęki mnie zabolowały, gdy niepohamowana furia zwarła je z ogromną siłą. – Ludzi do zabicia! Wiem, że przez to jestem w twych oczach potępiony, ale nie będę zaprzeczał.

– Kogo? – zapytała, unosząc z zaciekawieniem brwi. – I dlaczego?

Powiedziałem jej zatem. Wszystko. Każdy szczegół mojego nikczemnego życia. Opowiedziałem jej o zbrodniach, jakich się dopuściłem względem innych i jakich dopuszczono się względem mnie. Wyliczałem wszystkich, których zamierzałem zgładzić. Todmana, jeśli wciąż jeszcze dychał, bo wciąż ropiała we mnie głęboka uraza. Brata żołnierza, którego zabiłem i wszystkich jego towarzyszy, za to, że chcieli mnie powiesić i wypatroszyć. Lorda Althusa Levalle'a za jego zakłamane miłosierdzie. Kajdannika, za śmierć Raitha i próbę na drodze, która zostawiła najświeższy ślad, na mojej rosnącej liście pomsty.

Wreszcie zamilkłem, spocony i zaczerwieniony, pozbawiony tchu swoją przemową. Czekałem na kojące słowa ascendantki,

wiedziałem bowiem, że będzie chciała pouczyć mnie o głupocie mściwości, wytłumaczyć, że zemsta przyniesie mi jedynie pustkę i jeszcze więcej przemocy w moim i tak okrutnym życiu.

Tymczasem ona zamyśliła się na moment, ścigając brwi i usta.

– Nie mogę nie zauważyć, że na twojej liście brakuje kilku imion.

Wyprostowałem się, patrząc na nią ze zdumieniem.

– Brakuje?

– Owszem. Jeśli naprawdę chcesz odplacić za krzywdy uczynione tobie, wygląda mi na to, że większość miała swój początek w ataku na Omszały Młyn, czyż nie?

Pokiwalem głową bez słowa, a ona znów zadumała się na moment.

– Sława Deckina Scarla dotarła nawet do nas. I wnioskuję po jego reputacji, że był on zbyt przebiegły, aby beztrudno wpakować się w pułapkę. Chyba że w twojej opinii Kompania Koronna natrafiła na twoją bandę przypadkiem?

– Wiem, że musieliśmy zostać zdradzeni – odparłem. – Ale nie pojmuję, kto mógłby to uczynić. Może jeden z wieśniaków pobiegł zawiadomić ludzi szeryfa...

– I jakimś sposobem żołnierzom króla udało się przypuścić doskonale zaplanowany atak tej samej nocy? Nie, oni czekali na przybycie Deckina, zapewne od kilku dni, jeśli nie tygodni. To znaczy, że zostali poinformowani o jego planach z dużym wyprzedzeniem. Jak sądzę, lista ludzi, którzy wiedzieli, jak i kiedy zastawić taką pułapkę jest raczej krótka. Warto by też zastanowić się głębiej nie nad tym, kto zginął w Omszałym Młynie, ale kogo tam nie było i co za tym idzie nie zginął tej nocy?

Minęło zaledwie kilka sekund, zanim mój umysł ułożył odpowiedź, a słowa popłynęły z ust w rozbryzgu gniewnej plwociny.

– Krewniacy Erchela! Ich tam, kurwa, nie było!

– Alwynie! – napomniała mnie dobitnie, rzucając wymowne spojrzenie na relikwię w niszy.

– Przepraszam – odpowiedziałem z odruchową skruchą.

Sylda skinęła głową, przebacząc mi niestosowne zachowanie.

– Powinieneś wziąć też pod uwagę osoby, których śmierci tej nocy nie widziałeś i których głowy nie zostały nabite na pal, na zamkowych murach. Niewiedza w danej kwestii może również wiele powiedzieć.

Osoby, których śmierci nie widziałem... Nie widziałem śmierci Todmana, ale nie tylko jego. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że poza Fornalem i Gerthe, lista członków bandy, których śmierci byłem pewien, okazała się dość krótka. Losy większości pozostały mi nieznanne. A to znaczyło, że lista potencjalnych zdrajców była bardzo długa i jak miałem oddzielić winnych od niewinnych, skoro miałem zapracowywać się na śmierć w tej przeklętej kopalni?

– Widzę twój gniew – odezwała się Syllda, przerywając coraz bardziej spieniony strumień moich myśli. – Twoje pragnienie zapłaty. Powiedz mi... dlaczego człowiek taki jak Deckin Scarl wzbudził tak wielkie pragnienie sprawiedliwości?

Mój gniew opadł nieco, teraz już wrzał tylko lekko, bowiem beznamiętna dociekliwość ascendantki przyniosła mi namiastkę spokoju. Przez ułamek chwili znów byłem chłopcem zagubionym w lesie, wpatrującym się w wielkiego brodacza oczyma pełnymi łez i desperacji.

– Ponieważ... – musiałem przełknąć, zanim udało mi się wypchnąć słowa przez zaciśnięte gardło. – Ponieważ tylko jego jednego obchodziłem.

– Aha. – Nie powiedziała nic więcej, ale zaraz jej twarz przybrała ten szczególnie intensywny, szczery wyraz prawdziwej ascendantki. – Jeśli chodzi o wolność, której tak pragniesz, ja mogę ci ją dać.

– Jak?

Znowu spoglądała na mnie, twardo i badawczo zarazem, jak wtedy, gdy przepytывała mnie z wiedzy o Przymierzu, i tak samo jak wtedy, teraz też przechyliła głowę, taksując mnie wzrokiem po kociemu. Stała tak, pogrążona w milczącej kalkulacji, a ja nie miałem najmniejszej wątpliwości, że kryje się w niej potężny intelekt, jak również pewna bezwzględność. Ascendant czy nie, mądry i miły czy wręcz przeciwnie, nikt nie przetrwa w takim miejscu tylko dzięki tym cechom.

– Jeśli zawiedziesz moje zaufanie – zaczęła, zabierając swoją pochodnię – nie będę w stanie ochronić cię przed gniewem Piwowara. Jest on prawdziwym i oddanym sługą Przymierza, ale jego... uchybienia bywają zarówno spektakularne, jak i paskudne.

Gestem wezwała mnie, abym poszedł za nią ku najbardziej zacienionym rejonom tej zbudowanej przez naturę katedry.

– Swoją wolność zdobędziesz, oczywiście, poprzez akceptację Przymierza – mówiła, a ja podążałem za chybotającym się światłem jej pochodni. – Jak również poprzez ogrom nauki i wysiłków cielesnych. Obawiam się, że tych ostatnich będzie najwięcej, ale nawet wierni muszą jeść. Znaczna część waszej pracy będzie polegała na wydobywaniu rudy i wynoszeniu jej na powierzchnię w zamian za jedzenie, które utrzymuje nas przy życiu. Ponieważ nasza grupa jest wydajniejsza niż inne, otrzymujemy więcej jedzenia i lepszego, niż ci nieszczęśnicy, którzy stronią od naszej pobożnej drogi. To pożywienie i przestrzeganie nakazów Przymierza zapewniają nam siły potrzebne do tego.

Zatrzymała się nagle i musiałem się wysilić, żeby nie wpaść jej na plecy. Oddaliliśmy się jakieś sto kroków od pozostałych pochodni i miałem wrażenie, że dryfujemy w bezkształtnej pustce, tak nieprzenikniona była ciemność wokół nas. Wciąż słyszałem jednak różne dźwięki. Woda spływała gdzieś szybkim strumieniem, na tyle niedaleko, że czułem na skórze dotyk wilgoci. Syllda podniosła swoją pochodnię i światło prześlizgnęło się po wodnej kurtynie wypływającej ze szczeliny w skale nad naszymi głowami.

– Bezpośrednio nad tym miejscem przepływa rzeka Siltern – powiedziała ascendantka, wskazując mrok za wodną kurtyną. – Jej wschodni brzeg leży pięćdziesiąt jardów w tamtym kierunku. – Kiedy przybyłam tu przed laty, wodospad nie istniał. Ta kaskada ukryta była w tonach skały. Widzisz, Alwynie, czego mogą dokonać wierni, jeśli ich oddanie jest szczerze i niesłabnące?

Wtedy to zobaczyłem, nietypową regularność skały, za spadającą wodą, proste krawędzie i ostre wyżłobienia, świadczące o tym, że kamień ten poddawany był działaniu kilofa i dłuta. Za kaskadą ściana zakrzywiła się mocno, tworząc swego rodzaju lej, który kończył się małym, ciemnym otworem. Podeszedłem bliżej i wyrwało mi się westchnienie pełne nadziei i podniecenia. Tunel był

niewielki, zdołałby pomieścić dorosłego mężczyznę na czworakach, ale niewątpliwie był to tunel.

– Jak daleko sięga? – zapytałem i kucnąłem, by przejść przez kurtynę wody, nie zważając na chłód.

– Nie dość daleko – odparła Sylدا. – Carver, jedyny murarz wśród nas, twórca tego tunelu, mówi, że dotrzemy do drugiego brzegu rzeki w ciągu czterech lat. Radzi, aby potem jeszcze przez sześć miesięcy kopać prosto, zanim wydrążymy kanał w górę, w ten sposób na pewno nie przebijemy się do koryta.

– Cztery i pół roku – mruknąłem i moje podniecenie skłębło znacznie. Przekleństwem młodych jest doświadczanie czasu jako powolnego kołowrotu pół roku. Dla mojego młodzieńczego, żądnego zemsty serca okres czterech i pół lat zdawał się istną wiecznością.

– Nie będę cię zmuszać, byś do nas dołączył – zapewniła mnie spokojnie Sylда. – Jeśli tylko chcesz, ty i twoja przyjaciółka możecie poszukać w tym miejscu własnej drogi, jednak bez względu na to, jakie plany wymyślicie, zapewniam cię, że nie zadziałają. Tutejsi strażnicy są zbyt dobrze opłacani i zbyt boją się swojego pana, by dać się przekupić, a jego przodek zaprojektował doskonałą klatkę. Jedyna droga do wolności prowadzi tędy. – Zamilkła na chwilę i posłała mi kolejny blady i smutny uśmiech, po czym zawróciła w stronę katedry. – Chodź, przed wieczorną zmianą masz czas, aby zadomowić się w swojej kwaterze, a później zasiąść z nami do posiłku. Zazwyczaj czytamy wtedy z tych kilku zwojów, które mamy w swym posiadaniu. Może zechciałbyś do nas dołączyć.

– Nie umiem czytać – powiedziałem, podążając za nią z takim samym psim oddaniem, jak wcześniej i, prawdę mówiąc, z jakim podążałem przez kolejne cztery lata.

Ascendantka Sylда zatrzymała się wtedy i westchnęła z odrobiną niesmaku.

– No cóż – zerknęła na mnie – tak po prostu być nie może.



CZEŚĆ 2

„Pytasz czasem samego siebie, Skrybo: Dlaczego służyć Przymierzu i królowi? Jakie mnie czekają nagrody? Co mogą mi dać takiego, czego nie mógłbym sam sobie podarować? Przymierze utrzymuje, że chroni twą duszę, podczas gdy król mieni się obrońcą twego ciała. Jedno i drugie kłamie, a twym największym grzechem jest to, że służyysz tym kłamstwom”.

Z „Testamentu Pretendenta Magnisa Lochlaina”
spisanego przez sir Alwyna Skrybę.



Często dumałem nad zdolnością człowieka do tworzenia więzi z ludźmi, z którymi nie ma właściwie nic wspólnego, a sir Eldurm Gulatte jest wyjątkowo trafnym przykładem tej tajemnicy. Ja urodziłem się w burdelu, on w zamku. Nie odziedziczyłem nic poza nierozważnym językiem mojej matki, jak twierdził rajfur, natomiast sir Eldurm po śmierci ojca stał się właścicielem zarówno wspomnianego zamku, jak i Wyrobisk, których ów zamek strzegł. Sir Eldurm był więc jednym z najbogatszych szlachciców w królestwie Albermaine, podczas gdy ja, w chwili naszego pierwszego spotkania, pozostawałem pozbawionym grosza banitą skazanym na katorżniczą pracę pod ziemią. Być może jedynym, co łączyło sir Eldurma i mnie, dzięki cierpliwym naukom ascendantki Syldy, była umiejętność czytania. Aczkolwiek różniło nas to, że ja po prawie czterech latach spędzonych w Wyrobiskach, potrafiłem płynnie zarówno czytać, jak i pisać, podczas gdy on, sympatyczny tępak, pozostawał zdecydowanie kiepski w obu tych dziedzinach.

– „Rozpalasz moje lędźwie” – przeczytałem, starając się nie jękać, bo na pergaminie, który mi wręczył widniały koślawe i plamiste bazgroły. – „Twoje usta są jak...” – przerwałem, odcyfrowując z wysiłkiem następnych kilka słów, wydrapanych

niemal nieczytelnie przez sfrustrowane pióro – „...dwa pyszne czerwone kęski najlepszego mięsa”.

Opuściłem pergamin, by spojrzeć na lorda Eldurma spod uniesionych brwi. Stał przy oknie swej komnaty, najwyższej komnaty w zamku, ze splecionymi ramionami, przy czym jednym palcem drapał się w zadumie po przypominającej kowadło szczęce. Może i miał bystrość i urok wychodka, ale złociste loki i regularne rysy z pewnością pasowały do obrazu rycerskiego bohatera, za którego chciał uchodzić. Jednakże jego próby uwodzenia pięknych panien pozostawały dalekie od ideału poety.

– Zbyt...? – zaczął, szukając odpowiedniego słowa.

– Kwieciste – dokończyłem. – Może, mój panie, „rubiny na atlasowej poduszce” pasowałyby lepiej.

– Tak! – zgodził się i zbliżył, aby z entuzjazmem grzmotnąć w stół wielką dłonią. – Na Męczenników, Skrybo, ascendantka Syllda nie miała się z prawdą w swych pochwałach. Może w oczach Korony jesteś banitą, ale w moich najlepszym poetą w całym królestwie – zaśmiał się, głośno i serdecznie, co często robił w tamtych czasach. Jak na człowieka, który spędził całe swoje dorosłe życie nadzorując jedno z najbardziej żalonych i pogardzanych miejsc w całym Albermaine, sam był zaskakująco pogodną duszą. Czasami boli mnie myśl o jego ostatecznym losie, ale wtedy przypominam sobie niezmiennie wysokie stopy trupów, które każdego miesiąca czekały przy bramie na wywiezienie, i wtedy ów ból staje się znacznie mniejszy.

– Cieszę się, że mogę ci służyć, mój panie – zapewniłem, odkładając na bok pergamin i sięgając po pióro. – Czy mogę zapytać o pełen adres młodej damy?

– Lady Evadine Courlain – odpowiedział Eldurm, a powaga na jego twarzy złagodniała, ustępując miejsca tęsknocie. – Róża z Couravel.

– To formalny tytuł, mój panie?

– Właściwie nie. Ale herbem jej rodziny jest czarna róża, więc myślę, że ten tytuł będzie jej schlebiał, prawda?

Nawet bezmózgiemu bykowi udaje się raz na jakiś czas znaleźć właściwą dziurę, pomyślałem, kiwając głową z aprobatą.

– W rzeczy samej, mój panie.

Zanurzyłem pióro w inkauscie i zacząłem stawiać litery, gładkie płynne linie pojawiały się na pergaminie z szybko precyzją.

– Słowo daję, Skrybo! – zawołał lord – masz ładniejsze pismo niż sama ascendantka.

– Była moją najwspanialszą nauczycielką, panie – odpowiedziałem, nie odwracając uwagi od powierzonego mi zadania. To była moja pierwsza wizyta w tej komnacie, w ogóle pierwsza w murach zamku, chociaż pozyskane umiejętności pozwoliły mi już wcześniej kilkakrotnie wyjść poza bramy kopalni. Niewielu strażników potrafiło czytać, a ci, którzy potrafili, mieli niewielkie umiejętności w pisaniu. Przejęcie obowiązków pisarza garnizonu było pierwszym etapem planu ascendantki Syldy, który miał zapewnić jej zgromadzeniu lepsze traktowanie. Teraz, gdy jej kolana coraz bardziej protestowały podczas wspinaczki do bramy, obowiązek ten spadł na mnie, wraz z nowym mianem. Dla Syldy, Torii i innych nadał byłem Alwynem, nawróconym członkiem bandy legendarnego Deckina Scarla. Dla strażników, a teraz także dla tego szlachetnego tępaka, byłem po prostu Skrybą.

– Jeśli wolno mi zasugerować, mój panie – zacząłem, skreśliwszy formalny początek listu – „Wiedz, że podsyciłaś ogień w moim sercu”, może być bardziej... stosowne niż wzmianka o lędźwiach.

– Słusznie – zgodził się, pochmurniejąc nieco. – I prawdopodobnie mądre. Jej straszny ojciec na pewno przeczyta list, zanim ten znajdzie się w pobliżu jej delikatnej dłoni. A sama panna ma wyraźnie pobożny charakter.

Chociaż moje uszy były zawsze zachłanne na informacje, które mogłyby dać mi przewagę, oparłem się impulsowi, by zapytać o tego straszego ojca i jego uczucia wobec niedosłego zięcia.

– Sługa – ostrzegęła niejednokrotnie Sylda – musi znać swoje miejsce, Alwynie. I tym właśnie teraz jesteś, przynajmniej do czasu, gdy nadejdzie dzień naszego wybawienia.

Nie byłem jedynym sługą wyciągniętym z szeregów tych, którzy pracowali w kopalni. Większość pokojówek, zarządców i kucharzy, którzy dbali o niekończące się potrzeby zamku, była więźniami, dzień spędzali na ziemi, ale po zapadnięciu zmroku niezmiennie wypychano ich przez bramy w objęcia Wyrobisk.

Słyszałem wiele o okrucieństwach ojca sir Eldurma, który ustanowił strażnikom rządu strachu z regularnymi, często kończącymi się śmiercią, chłostami i stręczeniem co bardziej atrakcyjnych więźniarek. Jego syn rządził o wiele łagodniej, na co niemały wpływ miała ascendantka Syllda, która znała go od dziecka. Jednakże, choć w porównaniu z ojcem można było nazwać go oświeconym, nie pozwolił na złagodzenie tradycyjnych rygorów, wedle których zarówno więźniowie, jak i strażnicy wiedli swój żywot. Dla rodziny Gulatte punkt honoru stanowiło to, że nigdy nie pozwolili więźniowi uciec i sir Eldurm nie miał najmniejszego zamiaru wyłączyć się z tej tradycji. Na pewno nie był też skłonny znosić zbyt ciekawskiego skryby, niezależnie od tego, jak ładne ten miał pismo.

Ukończenie listu trwało aż do zachodu słońca. Sztuka liternictwa wymaga czasu i skupienia, ale elokwencja sir Eldurma wymagała również sporej ilości edycji, zanim osiągnęła choć odrobinę spójności. Po ukończeniu, list zajmował cztery strony wypełnione wylewnymi wyznaniem miłości i oddania, które powinny skłonić mnie do cynicznych drwin pod adresem autora, ale zamiast tego wzbudziły jedynie litość.

Chociaż robiłem, co mogłem, aby złagodzić niezgrabne sformułowania sir Eldurma i nieco rozpaczliwe błagania, aby lady Evadine zapewniła jego sercu spójność, udzielając jednej tylko krótkiej odpowiedzi, wiedziałem, że to wysiłki beznadziejne. Oczywiście nigdy nie spotkałem lady Evadine Courlain. Nie wiedziałam nic o jej rodzinie ani o tym, jak spotkała tego młodego i żarliwego szlachcica i zdobyła jego uczucie. Wiedziałem tylko, że mieszkała gdzieś w mieście Couravel i, wnioskując wyłącznie z treści i tonu listu lorda Eldurma, pod względem pozycji i urody była równie do niego niepodobna, jak łabędź do ropuchy.

Zadowolony z mojej pracy, odcisnął w wosku swoją pieczęć i odprawił mnie z kwitem na dodatkowe racje żywnościowe. Swoje bogactwo odebrałem przy bramie. Posiłki w kopalni prawie zawsze były suche, ponieważ niełatwo znieść na dół miskę wypełnioną papką, a pożywienia strażnicy nie skąpili. Nawet w ponurych czasach, gdy władzę sprawował ojciec sir Eldurma, panowało przekonanie, że górnicy z pustymi brzuchami wydobywają zwykle

mało rudy. Śmierć głodowa nie zaliczała się zatem do niebezpieczeństw grożących więźniom Wyrobisk.

Odebrawszy dwa worki z warzywami i niewielką porcję mięsa, o którego pochodzenie lepiej było nie pytać, musiałem jeszcze poświęcić kilka chwil na sprawdzenie prowadzonej przez sierżanta księgi przyjazdów i zgonów. Na podstawie trwającego od lat porozumienia z Syldą, przygotowywał on pierwszy szkic cotygodniowego sprawozdania, a ja sprawdzałem je pod kątem pisowni i oczywistych błędów. Po naniesieniu poprawek przepisywałem raport do oficjalnego rejestru, który potem przedstawiano do akceptacji lordowi Eldurmowi.

– „Skonał z bólu brzucha” – przeczytałem na głos wpis dotyczący ostatniego zgonu. Wielki i brutalny przemytnik, pochodzący z kordwańskiego wybrzeża, został przywieziony do kopalni na początku miesiąca i miał ambicję zostać królem tego miejsca. Jako że brakło mu manier i lekceważył prawa Przymierza, nie zyskał sympatii Syldy. Próby zastraszania innych więźniów również nie zyskały mu przyjaciół. Jego zwłoki znaleziono w pobliżu najwyższego szybu z kilkoma dużymi dziurami w brzuchu, charakterystycznymi ranami po uderzeniu kilofem. Przypomniałem sobie, że prycza Piwowara była pusta przez większą część poprzedniej nocy, czego nie należało mówić Syldzie.

– Z pewnością umarł w bólu, bez względu na przyczynę – oznajmił sierżant Lebas, przewiercając mnie wymownym spojrzeniem. – Śmierć wskutek przemocy wprawia jego lordowską mość w bardzo nerwowy nastrój. A tego byśmy nie chcieli, prawda, Skrybo?

Lebas był tym samym sierżantem, który przed czterema laty nie zgodził się mnie odsprzedać kajdannikowi, teraz, z niemałym zaskoczeniem, zdałem sobie sprawę, że byłem o cal wyższy od niego. Nie dorównywałem mu budową, ale myśl o tym, że mogę nań spojrzeć z góry, i tak sprawiła, że uśmiechnąłem się leciutko.

– Oczywiście, że nie – zgodziłem się i postarałem, by mój uśmiech stał się wyrazem pokornego ustępstwa. Ugiąłem też lekko kolana, kiedy sprawdzałem kolejne wpisy. Mężczyźni tacy jak sierżant nie lubili, gdy ludzie im podlegli przewyższali ich pod jakimkolwiek względem. Przepisanie wszystkich informacji do

oficjalnego rejestru było pracą trwającą minuty raczej niż godziny i choć sumiennie poprawiałem niezdarną pisownię sierżanta, pilnowałem, żeby nie wprowadzać żadnych zmian w liczbach. Sylدا powiedziała mi wyraźnie, że wszelkie pomyłki w rachunkach nie są moim zmartwieniem, bo z pewnością, gdy chodziło o wydawanie pieniędzy jego lordowskiej mości, sierżant sam pilnował swoich spraw.

– Bardzo dobrze – orzekł Lebas, kiwając głową z zadowoleniem. – Masz. – Rzucił mi jabłko, owoc, który rzadko trafiał do worków z jedzeniem, zaraz za pierwszym poleciał kolejne. – Jedno dla ciebie, jedno dla ascendantki. – Rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. – Dopilnuj, żeby to dostała.

– Tak zrobię.

Zanim przeszedłem przez bramę, ukryłem oba jabłka w worku. Widok takich bogactw z pewnością wzbudziłby głodny gniew wśród więźniów, którzy zajmowali górne rejony szybu. Potocznie nazywano ich Odrzuconymi, brakło im pobożności i przyzwoitych manier przez co nie nadawali się do zgromadzenia Syldy, odrzucały ich też i inne grupy zajmujące środkowe poziomy krateru. Jako że zajmowali sztolnie w pobliżu bramy, ich wędrówka z ciężkimi workami w górę krateru trwała najkrócej, ale też wydobywali rudę z najuboższych pokładów. Pozyskanie wymaganej ilości rudy z górnych szybów wymagało dwukrotnie większego nakładu pracy niż z tych położonych niżej, co oznaczało, że Odrzuconym często obcinano racje żywnościowe za niewykonanie obowiązku. Od czasu, gdy awansowałem do rangi skryby, mijanie tych wpatrzonych we mnie, pełnych urazy twarzy stanowiło nieprzyjemną konieczność.

– A więc, Alwynie – zagaiła Sylدا później, gdy wierni zebrali się na wieczorny posiłek. – Jakie wieści z zewnątrz?

Wieczory wśród członków zgromadzenia składały się z posiłku, po którym następowały dwie godziny mozołu w tunelu. Ja, jak i większość z nas, chciałem spędzić więcej czasu pracując nad naszą drogą ucieczki, ale Sylدا nalegała, byśmy zachowali siły na wydobywanie odpowiednich ilości rudy. Zgromadzenie było zdecydowanie najbardziej wydajną grupą w kopalni, co wraz z podjętymi przeze mnie obowiązkami skryby, zapewniało łaskę sir

Eldurma i lepsze racje żywnościowe. Zawartość worków, które zaniósłem na dół, została równomiernie rozdzielona pomiędzy innych członków zgromadzenia, w imię podtrzymywania naszych wspólnych wysiłków, jednocześnie mogłem być pewien, że mój stosunkowo korzystny status nie będzie wzbudzał żadnych pretensji ze strony moich towarzyszy.

– Pretendent wciąż jest za granicą – powiedziałem, przypominając sobie strzępy informacji, które udało mi się wyłowić z plotek strażników i korespondencji zaśmiecającej biurko sir Eldurma. – Gdzieś między Kordwainem a Fjordowym Geldem, tak mówią. Ma albo dziesięć tysięcy ludzi, albo ledwie trzy, w zależności od tego, kogo się słucha. Wedle plotek, król ma ogłosić kolejny zaciąg, by rozprawić się z nim raz na zawsze.

– Tak samo twierdzili w przypadku ostatnich pięciu zaciągów – parsknął Piwowar, krzywiąc się na wspomnienie własnej służby pod sztandarami. – Jak dla mnie może sobie wziąć tron i zaraza na niego.

– Wojna nigdy nie jest sprawiedliwa – powiedziała mu Syllda. – Niezależnie od wyniku. – Spojrzała na mnie spod pytająco uniesionej brwi. – Coś jeszcze godnego uwagi?

– To co zwykle. – Wzruszyłem ramionami. – Zamieszki tu i tam. Ludzie są strasznie zmęczeni płaceniem podatków na rzecz wojny. I są źli nie tylko na szlachciców. Słyszałem, że pewien aspirant w Couravel został wyciągnięty z lektyki przez tłum biedaków. Podobno rozebrali go do naga i obrzucali gównem przez całą drogę do katedry.

– Herezja – mruknął Żywopłotnik. Był wśród nas stosunkowo nowy, spędził w Wyrobiskach zaledwie rok, mimo to zaskarbił sobie szacunek Sylldy głębią swojej pobożności.

– „Bogaci gardzą biednymi za ich nędzę i potępiają ich zawiść” – wyrecytowała Syllda łagodnym tonem fragment ze Zwoju Męczennika Callina. Zauważyłem, że ostatnio rzadko cytowała cokolwiek innego. – „Jednakże nigdy nie mogą pojąć, że bogaty człowiek to tylko biedak, któremu dopisało szczęście”. Wyżsi kapłani Przymierza stają się coraz bardziej bogaci, a więc biedni stają się coraz bardziej zazdrośni. Wydaje mi się, że lekarstwo na to drugie leży w tym pierwszym, prawda?

Ukryłem uśmiezek, widząc, jak Żywopłotnik ze skruchą opuścił głowę. Był gorliwy i umiał cytować pisma Przymierza lepiej niż którykolwiek z nas, oczywiście z wyjątkiem Sylidy, ale nie potrafił myśleć i działać samodzielnie. Jeśli istniała dusza lepiej przystosowana do życia w zgromadzeniu niż Żywopłotnik, nigdy jej nie spotkałem.

– I zmarł mąż siostry króla – dodałem. – Lord Alferd jakiś tam.

– Zmarł jak? – zapytała Sylida z jakiegoś powodu zainteresowana tym okrucieństwem wiadomości.

– Nie w bitwie, tyle udało mi się ustalić. Wskutek choroby, tak mówili strażnicy. Większość uważała, że to ospa Vehlmana, bo zmarły lord lubił zabawiać się z ladacznicami, aczkolwiek kilku wspomniało o truciznie, ale zawsze o niej wspominają, gdy ktoś ważny umiera niespodziewanie.

– Nazywał się lord Alferd Keville – powiedziała Sylida, głos miała miękki, a spojrzenie odległe. Rzadko dumiała nad swoim życiem przed Wyrobiskami, ale kiedy to robiła, zwykle wspomnienia prowokowała śmierć kogoś z dawnych znajomych. – I był na swój sposób dobrym człowiekiem, zasługującym na lepszy los. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała szeptem tak cichym, że wątpiłem, aby ktokolwiek poza Piwowarem i mną mógł go usłyszeć. – I lepszą narzeczoną.



Podaj mi najmniejsze dłuto! – Głos Torii zabrzmiał w czarnej głębi tunelu, a echo podkreśliło jeszcze pełne irytacji ponaglenie.

Przed rokiem nasz tunel, nad którym pracowaliśmy tak długo trafił na pierwszą z licznych podziemnych komór, które miały bardzo szczególne oddziaływanie na rozlegające się w nich dźwięki. Pierwsza z nich zamieniała wysoki głos w niemal doskonały baryton, podczas gdy ta największa z dotychczas napotkanych, sprawiała, że najcichszy nawet szept trwał przez całą wieczność. Na początku przyjęliśmy to odkrycie z radością, ponieważ komory stanowiły gotowe przejście przez skałę. Jednak Carver, były murarz i nadzorca tego wielkiego projektu, szybko zauważył, że komory te nie tylko nie pomagają nam w ucieczce, ale wręcz jej zagrażają. Nasz tunel osłabił naturalne struktury, które stworzyły podziemne komnaty, stawiając nas w obliczu najstraszniejszego zagrożenia w Wyrobiskach: zawału.

Jedynym rozwiązaniem było wzmocnienie różnych pęknięć i szczelin, które stworzyliśmy, co było zajęciem nader żmudnym, musieliśmy bowiem ograniczać nasze prośby o wydanie dodatkowego drewna. Zastępowanie starych stempli i podpór w miarę potrzeb należało oczywiście do naszych stałych zadań, ale nagły wzrost zapotrzebowania na drewno na pewno wzbudziły

podejrzenia. Lord Eldurm może i był tępakiem pod wieloma względami, ale ani na chwilę nie przestawał być też bystrym dozorcą.

Konieczność zabezpieczenia tunelu dodała całe miesiące do naszego i tak długiego planu, aczkolwiek, tak naprawdę, Sylde nigdy nie określiła dokładnej daty naszej ucieczki. Jak zawsze wydawała się zadowolona, służąc swej kongregacji w podziemnej katedrze, prowadziła codzienny rytuał błagań i coroczne obchody świąt ku czci najważniejszych Męczenników. Chociaż już podczas naszego pierwszego spotkania zdobyła moje oddanie, jeśli nie duszę, spokój ascendantki skłonił mój wiecznie podejrzliwy umysł do zastanowienia. Czy to możliwe, że ten cały plan może być jakąś formą oszustwa? Sposobem na utrzymanie nas w pokornym milczeniu i skłonieniu do służby dzięki wiecznie niespełnionej obietnicy wyzwolenia, gdy tymczasem Sylde wypełniała nasze dusze dogmatami Przymierza?

Moja nieufność zmalała, gdy zakończyliśmy odbudowę skalnych komór i podjęliśmy drążenie tunelu, ale nigdy do końca nie pozbyłem się podejrzeń, że Sylde tak naprawdę wcale nie chce uciekać z Wyrobisk. Miałem świadomość, że nieufność moją podsyca jeszcze zadanie, nad którym skupiałem się w wolnych chwilach, aczkolwiek nie trafiały się często takie w ciągu minionych lat. Niekończące przemyślanie o zdradzie rodzi podejrzania wobec wszystkich.

Pociotki Erchela, myślałem, i niewielki nożyk, jaki nosiłem przy sobie wyciął elegancki zawijas w podporze, obok której kuciałem. Jak tysiąc razy wcześniej, przeglądałem w myślach każdą twarz, jaka mignęła mi na Polanie Leffolda, każde imię, jakie usłyszałem, każdego krewniaka, wspomnianego przez Erchela.

„Wujek Drenk jest teraz przywódcą”, powiedział mi kiedyś Erchel. „Musiał najpierw zabić kuzyna Frella. Poszło o zapłatę dla dziwki, pewnie wymyśloną, żeby usprawiedliwić bójkę. To bardzo sprytny człowiek, ten mój wujek...”

– Dłuto!

Stopa Torii szturchnęła mnie w ramię, przerywając mi kalkulacje, które, jak wiedziałem, i tak skończyłyby się na niczym.

Przez te długie cztery lata mogłem znaleźć tylko określoną liczbę odpowiedzi, one jednak zrodziły o wiele więcej pytań.

– Znajdziesz diamenty, dzielimy się po połowie – zastrzegłem, wyjmując z worka potrzebne narzędzie, po czym schyliłem się do tunelu, aby umieścić je w dłoni Torii.

– Goń... – stęknęła, wsuwając dłuto w niewidoczną dla mnie szczelinę w skale – się. Wszystko będzie moje. I całe złoto, i rubiny też.

Kłótnie o nieodnalezione skarby stały się naszym wspólnym żartem od czasu pierwszej szychty w tunelu, jednak ostatnio ów żart jakoś przestawał mnie bawić. Chociaż wydawało się, że ucieczka wreszcie znalazła się w naszym zasięgu, rozmowy o bogactwach przypominały mi, że gdy wydostaniemy się z oków tej kopalni, nie będziemy mieli ani szeląga. Żałowałem, że słynna mapa do skarbu Deckina nie miała w rzeczywistości jakichś podstaw. Niestety, choć Deckin był bezgranicznie spragniony bogactw innych, nigdy nie gromadził swoich.

– Będziemy potrzebować tego wszystkiego, kiedy się stąd wydostaniemy – powiedziałem znacznie poważniejszym tonem.

– Przymierze nas wyżywi, gdy dotrzemy do Callintoru, przynajmniej przez jakiś czas. – Toria zamilkła i tunel wypełnił się dźwiękami uderzeń młotka. Z czasem oboje wyspecjalizowaliśmy się w górnictwie, ale Toria lepiej umiała radzić sobie z upartymi kawałkami skał. Nadto niewielkie rozmiary pozwalały jej wcisnąć się w szczeliny niedostępne dla większości z nas.

– Uważaj – ostrzegła i natychmiast odstępiałem na bok, a z tunelu wytoczył się ciężki kamień. Ostatnio drążyliśmy pod górę, albowiem Carver zdecydował, że możemy już kierować się ku powierzchni.

– Callintor leży dwanaście mil od rzeki – przypomniałem jej. – To spory dystans dla ludzi poruszających się piechotą, ściganych przez konnych.

– Żeby się stąd wydostać, przebiegłabym sto mil w pół dnia, co tu mówić o dwunastu. – Słyszałem, jak sapie, wychodząc z tunelu, aż wreszcie usiadła przed wejściem, zmęczona, ale z zapasem energii wystarczającym, aby obdarzyć mnie nieszczerym uśmiechem. – Poza tym, czyż nasza obdarzona łaską Serafilów ascendantka nie

oświadczyła, że naszym celem jest miasto-sanktuarium? – Przestała się uśmiechać i głośno nabrała powietrza z wyraźnym oburzeniem. – Czy ty – zaczęła szeptać, łapiąc się za serce – sprzeciwisz się życzeniom ascendantki, Alwynie?

– Goń się – mruknąłem. Usiadłem obok niej i odkorkowałem niewielką butelkę. Pociągnąłem łyk, delektując się pieczeniem brandy na języku, po czym podałem flaszkę Torii. – Masz. Utop te bluźnierstwa.

– Do tego potrzeba więcej trunku. – Napila się, łykając łapczywie, a nie sącząc, co było niepokojąco typowe dla tych rzadkich okazji, gdy trunek trafiał w nasze ręce. Oparłem się chęci zabrania jej butelki. Obojgu nam nie było lekko, ale dla Torii życie w kopalni okazało się szczególnie ciężkie.

Mimo wszelkich trudów i niedostatków ja z biegiem lat stałem się wyższy i szerszy w ramionach, podczas gdy Toria zachowała swą drobną posturę, jej ramiona nie stały się szersze, a bardziej żylaste. Niewielki wzrost sprawił, że stała się celem dla co bardziej śmiałych więźniów spoza naszej kongregacji, szczególnie nowych, którzy nie wiedzieli, że przekraczanie niepisanych, ale surowych zasad panujących w Wyrobiskach niesie za sobą śmiertelne konsekwencje. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej Toria została wciągnięta do szybu przez trzech rozbójników z Altien, niedawno przybyłych do kopalni. Na szczęście nader zręcznie posługiwała się calowym ostrzem, które zawsze nosiła przy sobie, zdołała więc wydłubać oko i obciąć palec czy dwa, żeby utrzymać napastników na dystans, zanim Piwowar i ja przybiegliśmy sprawdzić, co to za zamieszanie. Po chwili w szybie leżało dwóch martwych rozbójników z Altien, trzeci ostał się żywy, za to pozbawiony oczu, dla podkreślenia naszego stanowiska w tej kwestii. Pozostali więźniowie zostawili go, by błąkał się i zawodził, aż wreszcie głód dodał kolejne zwłoki do miesięcznego żniwa. Jak zawsze strażnicy nie kwapili się z zadawaniem pytań.

– Dobrze – oświadczyła Toria i otarła usta wierzchem dłoni. – Ukradłeś jego lordowskiej mości?

– W kuchni pracuje służąca, która mnie lubi.

– Ladacznica – uśmiechnęła się szeroko, oddając znacznie lżejszą butelkę.

– Mogłaby być moją matką. Lubi mnie za mój krzywy uśmiech i dobre słowo od czasu do czasu, to wszystko.

– Daj jej coś więcej, a może następnym razem dostaniesz dwie butelki. – Toria zerknęła przez ramię w niewielki otwór tunelu. – Carver mówi, że jeszcze rok – mruknęła. – Co najmniej.

– Jeśli tyle trzeba, to trzeba.

– A gdy już będziemy wolni, posłusznie pójdziemy za ascendantką do Callintoru, tak?

Milczałem. Do tej pory niewiele o tym rozmawialiśmy, a gdy już się zdarzyło, moje odpowiedzi były właściwie starannie sformułowanymi unikami. Tym razem Toria nie zamierzała mi na to pozwolić.

– Tak? – Trąciła mnie barkiem. – Powlecjemy się za nią, gdy będzie wygłaszać kazania, tak jak wierni członkowie kongregacji, którymi przecież jesteśmy.

– Piwowar pójdzie. I Carver – roześmiałem się. – Pewnie Żywopłotnik też. Ty i ja możemy iść, gdzie będziemy chcieli.

– Odnaleźć tych wszystkich ludzi, którzy są na twojej liście do zabicia?

– To moja lista. Nie musisz iść ze mną.

– Gówno prawda. I dobrze to wiesz. – Sięgnęła po butelkę z brandy, którą jej oddałem, po chwili żartobliwego oporu. – Pójdę za tobą i pomogę ci zabić kogo trzeba, po prostu nie jestem już pewna, czy ty chcesz podążać tą drogą. Widzę, jak chłonisz jej słowa. Jak na nią patrzysz, gdy cię uczy. To nie miłość, to coś znacznie gorszego. Myślisz, że będzie zadowolona, gdy porzucisz jej świętą misję, żebyś nurzać się w krwi? Dobrze wiesz, że nie będzie. A ja wiem, że wystarczy jedno jej słowo, a pójdiesz za nią tak, jak ja pójdę za tobą.

Nic nie powiedziałem, czułem na sobie wzrok Torii, gdy wzięła kolejny długi łyk z butelczyny.

– Oboje wiemy, kim ona myśli, że jest – stwierdziła już nieco niewyraźnie. – Kim chce być. Zaraza, może nawet ma rację. Zacznijmy od tego, że Przymierze musiało mieć powody, żeby ją tu zamknąć. Powody, o których jeszcze nam nie powiedziała. Pewnie ich wystraszyła, tych wszystkich chciwych hipokrytów, i mieli rację, że jej się bali. Czy wiesz, że od trzystu lat nie było nowego Męczennika? Może i Przymierze kocha starych Męczenników, ale

możesz się założyć o własny zadek, że nowych by nienawidzili. Nowy Męczennik oznacza zmianę, oznacza rozpieprzenie wszystkiego, co zbudowali, wszystkiego, co ukradli.

Podniosła butelkę do ust po raz kolejny i zakłęła. Patrzyłem, jak osusza flaszkę do ostatniej kropelki, a potem odrzuca ją od siebie. Szkło roztrzaskało się gdzieś w ciemnościach poza zasięgiem blasku rzucanego przez naszą małą świecę, zapowiadając chwilę pełnej napięcia ciszy.

– Żeby zostać prawdziwą Męczennica musi umrzeć – powiedziała Toria. – A kiedy Męczennik umiera, zwykle zabiera ze sobą tych, którzy za nim podążają. Tak stoi we wszystkich zwojach, choć suplikanci nie mówią o tym zbyt często. Krwawy to ranek, gdy zmartwychwstaje Męczennik. Tak mawiają w moich stronach.

– Nienawidzisz jej, bo w oczach twoich pobratymców byłaby apostatką. To, co głosi, nie pasuje do tego, czego cię uczono...

– Nie nienawidzę jej – przerwała mi. – I to jest najgorsze. Ma dar, który sprawia, że ludzie ją kochają, nawet gdy wiedzą, że da im tylko zgubę. Ale bez względu na to, czy ją kochamy czy nie, nie ma sensu stąd uciekać, by przed końcem roku skończyć na stosie dla heretyków... – Zamilkła z irytacją, gdy obróciłem się w stronę tunelu, ze zmarszczeniem brwi nasłuchując słabego echa, które nie współgrało z jej tyradą.

– Słuchasz mnie? – Pchnęła mnie ze złością.

– Cicho! – warknąłem i zajrzałem do mrocznego wnętrza tunelu, wytężając wzrok, by wykryć źródło dziwnego, nieznanego mi dźwięku, łączącego syk z brzęczącym grzechotem.

– Słyszysz to?

– Co... – Umilkła, bo echo nagle stało się głośniejsze, a grzechotanie i syk zmieniły się w falujący huk, który oboje rozpoznaliśmy z przerażającą wyrazistością.

– Zawał!

Chciałem ją złapać za ramię, ale Toria, nigdy nie wahała się w takich sytuacjach i pędziła już przede mną na czworakach do następnej komory.

Ruszyłem za nią, raniąc sobie ręce w gorączkowej ucieczce. Poczulem, jak pierwszy z osypujących się głazów uderza mnie w nogi. Przez ostatnie cztery lata byliśmy świadkami kilku zawałów

i upiornego losu tych, którzy utknęli w tunelu ze zmiażdżonymi kośćmi i wciąż trzymali się życia, ale świadomi, że nie będzie dla nich ratunku.

– Szybciej! – krzyczała Toria, gdy przeciskałem się przez wąski tunel. Złapała mnie za ramię i ciągnęła, klnąc przez zacisnięte zęby. – Dlaczego musiałeś tak kurewsko urosnąć!

Wydostałem się z tunelu z krzykiem ulgi i padłem na Torię. Komorę wypełniła natychmiast gęsta chmura pyłu i żwiru. Zacisnęliśmy usta, zatkaliśmy nosy palcami i po omacku szukaliśmy stempli przy wejściu do następnej komory. Oddychanie tym pyłem było równie niebezpieczne, co utknięcie pod toną skałą.

Czołgałem się, póki wolną ręką nie trafiłem na chropowate drewno. Toria zacisnęła dłoń na moim pasie i chwiejnie podążyliśmy przejściem do znacznie większej komory, znajdującej się jakieś dwadzieścia jardów dalej. Miałem wrażenie, że płuca płoną mi żywym ogniem i nie zdołałem opanować potrzeby nabrania powietrza. Pył dotarł aż tutaj, ale nie był już tak gęsty, więc oddech mnie nie zabił, ale kaszlałem i charczałem, aż w końcu chmura zaczęła opadać.

Otarłem zapłakane oczy i zobaczyłem Torię, zgiętą wpół, która wyrzucała z siebie mieszaninę brandy i pyłu. Spojrzałem w kierunku tunelu. Jedynym źródłem światła była pochodnia umieszczona w belce wbitej w ścianę, jej blask był jednak zbyt słaby, żebym zobaczył cokolwiek więcej, ale niecichnący łoskot i syk osypujących się kamieni powiedział mi, że dyskusja sprzed kilku chwil jest teraz prawdopodobnie bez znaczenia. Ucieczka była teraz tak odległa, jak gwiazdy w pogodną noc. Jednak w tym przypadku, chociaż raz, moje czarnowidztwo okazało się bezpodstawne.



– Cóż za niezwykła rzecz. – Carver stał w pionowym szybie, wpatrując się w atramentową czerń powyżej, i w zadumie przeczesując palcami swoją gęstą, czarną brodę.

Tydzień trwało żmudne usuwanie kamieni z tunelu, niektóre z nich musieliśmy rozbijać na mniejsze, żeby je wyciągnąć. Wszystko to usypaliśmy na kupę w Kaplicy Męczennika Callina. Gdyby tyle skał pojawiło się nagle na powierzchni, niewątpliwie wzbudziłoby to podejrzenia strażników. Spodziewaliśmy się, że sam tunel też będzie zasypany, ale odkryliśmy, że przecinał teraz kolejną skalną komorę, węższą od pozostałych za to sięgającą znacznie wyżej niż poprzednie.

– Masz pojęcie, jak wysoko to sięga? – zapytał Piwowar, podnosząc swoją pochodnię, jednak płomień oświetlał jedynie wilgotną ścianę i ani śladu sklepienia.

– Trudno powiedzieć. – Carver jeszcze przez chwilę głaskał swoją brodę, po czym nagle odrzucił głowę do tyłu i posłał w mrok głośny okrzyk. Jego głos odbił się echem, ale nie tak długim, jak się spodziewałem, krzyk wrócił do nas niesamowicie czysty i głośny.

– Słysząc, że mocno się zwęża po jakichś trzydziestu stopach – podsumował Carver. – Moim zdaniem jesteśmy tu tylko pięćdziesiąt stóp pod ziemią.

Poza Carverem, Piwowarem i mną, tylko Sylدا była na miejscu zawału i zauważyłem, że teraz nie wzięła udziału w wymianie znaczących spojrzeń. Zamiast tego stała z ramionami splecionymi na piersi, głową opuszczoną i brwią ściągniętą w namyśle. Na jej twarzy nie widać było ani śladu pełnej zdumienia radości, która rozświetlała niezbyt piękne oblicze Piwowara.

– Nielatwo będzie się tam wspiąć – mówił dalej Carver, położywszy dłoń na wilgotnej ścianie jaskini. – Ale możliwe, jeśli mielibyśmy dość drewna, żeby zrobić drabiny. Jeśli udałoby się nam zdobyć więcej gwoździ, mógłbym zrobić z nich klamry i przymocować drabiny do skały...

– Ile czasu? – przerwała mu Sylدا, wciąż z tą samą miną.

– To wszystko zależy do zapasów, ascendantko. – Carver przepraszająco rozłożył ręce. – Gdybyśmy mieli wszystko, czego nam trzeba, to można to zrobić w dwa tygodnie.

– Tygodnie – powtórzył Piwowar ze śmiechem, ale spoważniał nagle, gdy jego wzrok padł na Syldę.

– Oblicz, czego potrzebujemy – nakazała Carverowi. – Bądź tak dokładny i oszczędny, jak to możliwe. – Obrzuciła obu mężczyzn

twardym spojrzeniem, a w jej głosie zabrzmiały rozkazujące nuty, co zdarzało się niezwykle rzadko. – Nie mówicie niczego pozostałym. Jeśli zapytają, mówicie, że prace przy tunelu zostały wstrzymane, póki nie będziemy pewni, że jest bezpiecznie. – Nie spuszczała z nich wzroku, póki obaj nie skinęli głowami z powagą.

– Alwynie – zwróciła się do mnie – chodź ze mną.



Kwaterna ascendantki Syldy znajdowała się nieopodal wejścia do świątyni, była to niewielka grota mieszcząca jedynie siennik i małe biurko. To biurko wykonał dla niej stolarz, zesłany do Wyrobisk za to, że dokonał krwawego mordu na swojej żonie i synu swego pana, przyłapawszy ich na spółkowaniu. Był jednym z pierwszych członków kongregacji i zanim zmarł z powodu czarnego płuca, wyrabiał z imponującym kunsztem różne przedmioty z tych resztek drewna, które udało mu się pozyskać. Biurko było jego największym i najbardziej cenionym osiągnięciem, a ja cenilem je tak samo jak sama ascendantka, ponieważ to właśnie przy tym biurku nauczyła mnie liter.

– Przynieś wody i cały atrament, jaki ci pozostał – poleciła mi, gdy znaleźliśmy się w jej kwaterze. – Mam coś do podyktowania i może to zająć trochę czasu.

Zgromadziwszy wymagane rzeczy, usiadłem na sienniku i złożyłem biurko, jak zawsze zachwycając się pomysłowością jego konstrukcji. Na pierwszy rzut oka wydawało się zwykłą, lakierowaną skrzynką z zawiasami z jednej strony. Kilka zręcznych ruchów przekształcało skrzynkę w biurko, wyposażone w cztery wąskie nogi, kałamarz i skórzaną powierzchnię do pisania, nachyloną pod odpowiednim kątem, umożliwiającym wygodne trzymanie pióra. Już dawno postanowiłem, że niezależnie od sposobu, w jaki opuszczę to miejsce, biurko opuści je ze mną.

– Ozdobniki nie są potrzebne – powiedziała Sylda, kiedy zacząłem zapisywać datę na górze strony, jak to czyniłem zawsze, gdy mi coś dyktowała. Zazwyczaj upiększałem litery i cyfry

skomplikowanymi zawijasami, dodając ozdóbki tu i owdzie, w tym czasie Sylva zbierała myśli. Dzisiaj to nie było potrzebne.

– Najlepiej sprawdzi się proste pismo – dodała z uśmiechem. – Testament powinien być stonowany, nie sądzisz, Alwynie?

Moje pióro zrobiło brzydką rysę, którą próbowałam usunąć z przekleństwem na ustach. W Wyrobiskach papier był bardzo cenny, wymagał długich targów ze strażnikami albo ryzykownej kradzieży w komnatach lorda Eldurma.

– Testament?!

– Godzina wyzwolenia już niemal nadeszła, więc wydaje się, że to odpowiedni moment. – Przechadzała się tam i z powrotem w wejściu do komnaty, jak to miała w zwyczaju podczas dyktowania. Była najspokojniejszą z dusz, niemal zawsze, bo czynność wyrażania swoich myśli była jedyną, która powodowała u niej wzburzenie. – Ucieczka do Callintor będzie ryzykowna, a ja nie jestem już młoda.

– Dotrzesz do celu – obiecałam, głosem bardzo poważnym i bardzo stanowczym. – Nawet jeśli Piwowar albo ja będziemy musieli nieść cię całą drogę.

– Nie mam wątpliwości, że byś to zrobił. – Uśmiechnęła się ponownie, ale przelotnie i z pewnością uśmiech ten nie był łagodnym wygięciem ust, jakie widywałam tak często.

– Powiedz mi, Alwynie – przesunęła sztywną dłonią, po ciasno splecionej, szaroczarnej grzywie – jak twoim zdaniem trafiłam tutaj? Po tylu latach musiałeś wyrobić sobie jakieś zdanie na ten temat?

Jej spojrzenie uznałam za nieprzyjemnie bezpośrednie, skupiłam więc uwagę na papierze przede mną. Plama atramentu był niewielka, ale irytująco nieusuwalna. W zależności od tego, co wyniknie z naszej ucieczki, być może będę miał szansę przygotować bardziej dopracowaną wersję tego dokumentu, ale cenny oryginał pozostanie na zawsze splamiony. Miałem nadzieję, że moje milczenie skłoni ją do porzucenia pytania, ale ona nadal milczała i wpatrywała się we mnie stanowczo, dopóki nie zgodziłam się odpowiedzieć.

– Toria uważa, że Przymierze ukartowało to, żeby cię tu wysłać – odparłam. – Uważa, że przerażała ich twoja pobożność i obawiali się, że czasem staniesz się Męczennikiem, pierwszym po wielu latach.

– Och. – Sylدا zacisnęła usta z cieniem zaskoczenia. – W takim razie Toria jest najwyraźniej zdolna do większej wnikliwości, niż przypuszczałam. To niedopatrzenie z mojej strony. Jednak w tym przypadku się pomyliła. Poza tym nie pytałam o jej zdanie, tylko o twoje.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, podczas której Sylدا wpatrywała się we mnie wyczekująco.

– W Wyrobiskach słyszy się niejedno – powiedziałem wreszcie. – Opowieści o zdradzie i niewinności. „Mój brat ukradł mi cały spadek, ale go nie zabiłem!”, „To nie ja wyszedłem z tawerny z tą wszeteczną, która później skończyła naga i martwa w rzece!”, „Moi sąsiedzi kłamali, że to ja zabiłem tego kupca, bo chcieli zagarnąć moją ziemię!”. I tak w koło, a to wszystko, to kopiec parującego krowiego łajna. Przez te cztery lata nie spotkałem jeszcze kogoś, kto nie zasługiwał na pobyt tutaj w taki czy inny sposób.

Na moment powrócił jej łagodny uśmiech.

– Zatem przynajmniej twoją przenikliwość oceniłam właściwie. – Podjęła swój spacer i niecierpliwym ruchem dłoni wskazała moje pióro. – Nie zapisuj, póki ci nie powiem. – Odetchnęła głębiej i podjęła głosem czystym, na tyle jednak cicho, by jej słowa nie odbijały się echem. – Toria miała po części rację. Część wysokich hierarchów Przymierza istotnie obawiała się ewentualnego męczeństwa kobiety, która awansowała do rangi ascendanta przed trzydziestym rokiem życia. Jednakże, ku ich zadowoleniu, wkrótce potem udowodniłam, że ich obawy były bezpodstawne. Zaczęłam służbę na północy Altien. Urodziłam się w szanowanej i dość zamożnej rodzinie kupieckiej, w młodości więc miałam sporo wolnego czasu, aby podążać tam, gdzie wiodła mnie wrodzona ciekawość. Zostałam również obdarzona niezdolnością do porzucenia duszy w potrzebie. Te dwie cechy doprowadziły mnie oczywiście do drzwi miejscowej kaplicy, z czasem zaczęłam też błagać aspiranta, aby pozwolił mnie, niegodnej, wypełniać rozkazy jako suplikantce. Wiekowy aspirant i trzech równie wiekowych kapłanów niższych stopniem, podejrzewam, że zgodzili się, żeby mieć kogoś zdolnego wyszorować podłogi. Ja, jak to zwykle bywa w moim przypadku, miałam już w planach coś więcej niż zwykłą harówkę.

W mieście i na okolicznych gospodarstwach było wielu chorych i zniedołężniałych, więc postanowiłam ich odwiedzać, służąc ich duszom, ale też zapewniając strawę i komfort ich ciałom. Początkowo aspirant niechętnie patrzył na moje szastanie starannie gromadzoną dziesięciną, ale ułagodziła go wdzięczność okazana przez mieszczan i chłopów. Wdzięczność miała przynieść więcej dziesięciny niż pozwalanie wyznawcom, by raz w tygodniu płaszczyli się przed ołtarzem. Ale ja nie zajmowałam się jedynie chorymi. Widzisz, umiałam mówić. Mówić w sposób, który przykuwał słuch i wzrok, jeśli tylko słowa płynęły właściwie. A płynęły. Ze zwojów płynęły wprost do mego serca, a stamtąd wypływały przez usta. Mówiłam, a wielu słuchało.

Zazwyczaj suplikacje w dniu poszczególnych Męczenników cieszyły się dobrą frekwencją, jednak były nudne i tak krótkie, jak było to w mocy aspiranta, nikt bowiem nie lubi stawać przed znudzoną i zniecierpliwioną publicznością. Tymczasem po moim pierwszym kazaniu kaplica stała się znacznie pełniejsza. W kolejnym tygodniu wierni stali pod ścianami i tłoczyli się w drzwiach. Zaczęłam wygłaszać kazania na polu za kaplicą, ale i ono okazało się za małe, takie tłumy przybywały wysłuchać słów suplikantki Syldy. – Ściągnęła brwi w grymasie znamionującym zarówno sięganie do wspomnień, jak i zdumienie. – Prawdę mówiąc, nigdy tak naprawdę nie rozumiałam ich potrzeby gromadzenia się wokół mnie. Myślałam wtedy, że to przesłanie Przymierza, starożytne i niezmienne, ale teraz głoszone nowym głosem. Ponadto, strach przed Drugą Zatrąą jest zawsze zachętą do pobożności. Dziś jednak, po wielu latach rozważań, nie jestem już taka pewna, czy takie były przyczyny. Ze smutkiem stwierdzam, że niektórzy ludzie obdarzeni są talentem łowienia dusz samym tylko słowem. Nie zrozum mnie źle, Alwynie, nie dostrzegam niczego... nienaturalnego. Przypomnij sobie, jak uczyłam cię historii, niewątpliwie potrafisz wskazać tych wielkich ludzi, którzy z pewnością posiadali tę umiejętność. Założyłabym się również, gdyby nie było to poniżej godności ascendantki, że Pretendent musi posiadać podobną zdolność, jak inaczej człowiek o tak niskiej pozycji mógłby zebrać pod swymi sztandarami tak wielu? – Uśmiechnęła się blade i potrząsnęła głową. – Nieważne. Musisz mnie powstrzymać, jeśli

znów zaczną zbaczać w stronę domysłów. Wracając do mej opowieści, wystarczy rzec, że owo rosnące poparcie wiernych w ciągu dwóch lat od przyjęcia święceń jako suplikantki wyniosło mnie do rangi aspirantki i dało własną parafię. To, że owa parafia znajdowała się w znacznej odległości od poprzedniej powinno mi dać do myślenia, ale wtedy niezdolna byłam do podejrzliwości względem Przymierza. Tak więc udałam się, gdzie mi polecono, podróżując trudnymi drogami i przemierzając bagna i torfowiska, aż znalazłem się w sanktuarium Męczennika Lemtuela. Pamiętasz jego historię, mam nadzieję?

– Pierwszy Męczennik północnego brzegu – odparłem posłusznie. – Obdarty ze skóry za to, że nauczał praw Przymierza pogan wyznających askarlijskich bogów.

– Dokładnie tak. A oskórowawszy go poganie cisnęli jego ciało w bagna w księstwie Kordwain. Odnaleziono je wiele lat później, zachowało się bowiem w zdumiewająco nienaruszonym stanie, i wzniesiono kaplicę, by je tam złożyć. Tam właśnie wysłało mnie Przymierze, do miejsca niewątpliwie świętego, ale też takiego, gdzie latem roi się od krwiożerczych robaków, a zimą zalegają grube warstwy lodowatej mgły. Później dopiero zrozumiałam, że tę parafię wybrano mi z założeniem, iż niewielu z mojego rosnącego stadka wiernych zechce podążyć za mną w te odludzia i założenie to okazało się właściwie słuszne. Niektórzy oczywiście poszli za mną, kilka dziesiątek wiernych, którzy wcześniej gromadzili się tłumnie, aby usłyszeć każde moje słowo. Sanktuarium Męczennika Lemtuela miało stać się moim więzieniem, starannie wybranym miejscem, gdzie nadto popularna, początkująca aspirantka zwiędnie w izolacji, jeśli nie padnie ofiarą przypadkowej gorączki. Ale ja zamieniłam zesłanie w azyl, przy wydatnej pomocy dziwnie nietkniętych rozkładem zwłok Męczennika Lemtuela. Powszechnym zwyczajem jest, że chorzy i kalecy wędrują wzdłuż Szlaku Sanktuariów w nadziei, że zostaną uzdrowieni przez sam widok świętych szczątków, praktyka, którą zawsze uważałam zarówno za interesowną, jak i odrażającą. Koncepcja jakoby kości Męczenników miały właściwości lecznicze nie pojawiła się nigdzie w zwojach, Przymierze oferuje wprawdzie wskazówki dotyczące dobrego i zdrowego życia, ale jego domeną jest przede wszystkim dusza, a nie

ciało. Moje kazania na ten temat stały się niewątpliwie jedną z przyczyn mojego zesłania do tak odległej parafii. Z uwagi na swoje położenie, z dala od uczęszczanych traktów, Sanktuarium Lemtuela jest jednym z najrzadziej odwiedzanych miejsc na Szlaku, ale i tak co jakiś czas kilku utrudzonych pielgrzymów docierało, do naszych drzwi. Dowiedziałam się od mych suplikantów, że niemal wszyscy odchodzą przygnębieni i załamani, ich różne dolegliwości nie zostały bowiem wyleczone, a duszę przygniatało rozczarowanie i perspektywa powrotnej podróży przez bagno. Niektórzy niechybnie tonęliby w spowitych mgłą wodach pokonani przez zmęczenie albo zgubiwszy drogę.

Nie mogłam pozostać obojętna wobec ich niedoli, ustanowiłam zasadę, że żaden pielgrzym nie mógł odejść, dopóki nie upewniłam się, że jest wystarczająco silny, aby odbyć podróż powrotną. Obok kaplicy postawiłam dom uzdrawiania, który wkrótce przyciągnął nie tylko pielgrzymów. Kordwańskie bagna, choć położone na uboczu, nie są bezлюдne, torfiarze i rybacy mieszkają wzdłuż kanałów w pobliżu wybrzeża, to lud wytrzymała, ale przecież też przytrafiają im się rany i choroby. Oni też przybyli do mojej kaplicy w poszukiwaniu pomocy, a ja, zgodnie z nauką Przymierza, tej pomocy udzieliłam. Miałam już nieco wiadomości na temat uzdrawiania, a z biegiem lat uczyłam się coraz więcej, jednak zawsze byłam kimś więcej niż tylko uzdrowicielką, a moja umiejętność zdobywania serc słuchaczy nigdy nie osłabła.

Trwało to przez większą część dekady, ale w końcu Sanktuarium Męczennika Lemtuela stało się przyzwoitej wielkości wioską pod rządami Przymierza, miejscem, gdzie chorzy na duszy lub ciele przychodzili po uzdrowienie, podczas gdy inni... – Umilkła. Z westchnieniem oparła się o drzwi wiodące do jej kwatery i opuściła głowę. Nagle wydała mi się znacznie starsza, cała ta witalność, która nie pozwalała dostrzec zmarszczek na jej twarzy i siwizny w jej włosach, zgasła nagle i przede mną stała zmęczona kobieta, postarzała bardziej niż można by wnioskować z jej wieku.

Kiedy podjęła opowieść, w jej głosie słyszałem nieznaną mi dotąd głęboki smutek.

– Inni przybywali po odkupienie i rozgrzeszenie, jakie może dać jedynie łaska Serafilów, po złożeniu prawdziwego

i niewzruszonego świadectwa naszych najgorszych grzechów. Pewnego chłodnego poranka na przełomie jesieni i zimy do kaplicy przybyło troje ludzi: dwaj młodzi rycerze eskortujący młodą kobietę o szlachetnym wyglądzie i brzuchu nabrzmałym od dziecka. Ona zjawiała się w Sanktuarium z dwojga powodów: pierwszym było bezpieczne powicie dziecka, drugim wyznanie swoich grzechów.

Wzrok Syldy znów spoczął na mnie. Wyprostowała się i zmęczenie w jej rysach rozwiło się równie szybko, jak je spowiło.

– Teraz możesz zacząć pisać.

I pisałem, podczas gdy ona mówiła, moje pióro nie przestawało kreślić znaków na stronie. Powstały dokument wywołuje we mnie ukłucie wstydu, gdy wracam doń myślą, ponieważ nie przypomina pracy prawdziwego skryby. Są w nim liczne błędy, skreślenia, plamy atramentu, albowiem historia, którą usłyszałem, niejednokrotnie sprawiła, że dłoń mi drgnęła, a nawet zdrząła. Kiedy Sylde skończyła, zrozumiałem, że moje przekonanie o tym, że wszyscy więźniowie Wyrobisk zasłużyli sobie na swój los było strasznie naiwne.

– Dziękuję ci, Alwynie, za twoje oddanie i sumienność, z jakimi mnie wysłuchałeś – powiedziała Sylde, gdy postawiłem ostatnią kropkę. – Powierzam tę relację tobie i tylko tobie. Zabierzesz ją stąd i kiedy nadjedzie właściwy czas, ogłosisz jej treść.

– Kiedy? – Spoglądałem na plik zapisanych stron, jak człowiek patrzy na zwiniętego i syczącego węża. – Komu mam to ogłosić?

Nie miałem żadnych wątpliwości co do prawdziwości testamentu Syldy i, po części dzięki jej naukom, miałem spore pojęcie o konsekwencjach, gdyby jego treść stała się powszechnie znana. Ascendantka wręczała mi coś o wielkiej mocy, ale i zgubnych następstwach.

– Będiesz wiedział – zapewniła mnie. – A teraz – zaczęła z werwą, którą znałem tak dobrze – musimy wymyślić wyjątkowe kłamstwo, żeby przekonać lorda Eldurma do dostarczenia nam dodatkowego drewna.



Zostałem lorda Eldurma pogrążonego w rozpacz i, szczęśliwie dla moich celów, roztargnieniu. Siedział zgarbiony za swym biurkiem, zarzuconym większą niż zwykle liczbą nierozpieczętowanych listów. Tylko jeden z nich został otwarty, dostrzegłem za ledwie, że to krótka notka, albowiem czytanie do góry nogami przedstawiało pewną trudność. Skreślona została pismem spiczastym i nierównym, dowód pośpiechu u piszącego, co uczyniło treść jeszcze trudniejszą do odcyfrowania. Udało mi się jednak przeczytać ostatnią linijkę i dziwnie wyraźny podpis: „Pozostając w niezmiennej przyjaźni, Evadine”.

Wyglądało na to, że lord Eldurm otrzymał odpowiedź na swe awanse i uznał ją za rozczarowującą.

– Drewno? – zapytał tonem, w którym zabrzmiała nikła doza zainteresowania, ledwie przy tym oderwał wzrok od liściku.

– Tak, wasza lordowska mość – odparłem z powściąganą gorliwością. – Żeby w pełni zbadać nowo odkrytą żyłę. – Ruchem głowy wskazałem skałę, którą umieściłem na biurku, sękatą, brzydką grudę, z brązowymi plamami o metalicznym połysku. – Carver sądzi, że może być ich znacznie więcej.

Lord Eldurm zamrugał i odnalazł w sobie dość energii, by skupić spojrzenie na odłamku skały.

– Miedź, co?

– W rzeczy samej, mój panie.

W rzeczywistości ta grudka miedzi była jedyną, jaką kiedykolwiek wykopano w Wyrobiskach, zrobił to swym kilofem Piwowar i zgodnie z instrukcjami ascendantki nigdy nie zgłosił tego lordowskiej mości. Carver istotnie rzekł, że miedzi na pewno jest więcej, ale nie było sposobu, by odkryć, gdzie właściwie, chyba że przez przypadek albo znacznym nakładem pracy. Biorąc pod uwagę, że miedź jest droższa od żelaza, Sylva wiedziała, że odkrycie opłacalnego pokładu w Wyrobiskach spowoduje napływ dodatkowych więźniów. Aby zdobyć część takiego skarbu lordowie wysłały hordy zbirów, a nie tylko swych najgorszych złoczyńców.

Lord Eldurm uniósł lekko brwi i zacisnął usta w namyśle.

– Ojciec zawsze uważał, że znajdziemy tam więcej bogactw, jeśli tylko będziemy kopać wystarczająco głęboko.

– Człowiek wielce przenikliwy.

– Nie. – Eldurm westchnął i ponownie skupił się na liściku, wyciągnął rękę i powiodł palcem po elegancko skreślonym podpisie. Był to drobny gest, ale powiedział mi, że niezależnie od zniechęcającej odpowiedzi lady Evadine, lord pozostał mężczyzną w siłach beznadziejnej tęsknoty.

– Mój ojciec – mówił dalej monotonna i niewyraźnie – był nikczemnikiem, który nigdy w życiu nie otworzył książki, wygłaszał najplugawsze bluźnierstwa przeciwko Przymierzu, a głównym źródłem jego radości było okrucieństwo. Kiedy skonał, żałowałem jedynie, że moja biedna matka zmarła wcześniej i nie mogła cieszyć się widokiem jego cierpienia. Być może... – Ucichł, zmarszczył brwi i raptownie szeroko otworzył oczy w nagłym zrozumieniu. Pochylił się do przodu, a jego spojrzenie ożyło, gdy mocniej chwycił list. – Być może dlatego jestem niegodny. Ona widzi we mnie grzech, grzech nienawiści do własnego ojca!

Ty biedny, żalony draniu, pomyślałem, pilnując, by żadne emocje nie odbiły się na mojej twarzy. Wyrobiłem sobie doskonałe wyczucie, kiedy najlepiej trzymać język za zębami. Obok

umiejętności pisania i czytania była to prawdopodobnie najcenniejsza nauka, jaką otrzymałem w Wyrobiskach.

– Muszę zrzucić ten ciężar – stwierdził lord Eldurm. Raz jeszcze przeczytał list całkowicie nim zaabsorbowany, przypomniał mi o tych rzadkich momentach, gdy Fornalowi udało się przekonać samego siebie, że zyskał nowe i niezwykle doniosłe zrozumienie nauki Przymierza. A to wspomnienie przywołało kolejne: ulubiony cytat Sylidy ze Zwoju Męczennika Callina. „Każdy człowiek jest kłamcą, ale najgorsze są kłamstwa, które wmawia sam sobie”.

Temu zakochanemu głupcowi nie przyszło do głowy, co uznałem za dziwne, że pobożna lady Evadine może widzieć większy grzech w zniewoleniu nieszczęśników w kopalni niż w nienawiści do człowieka, który z pewnością w pełni na to zasłużył.

– Przeznaczeniem naszym jest podążać innymi drogami – odczytał szeptem lord Eldurm, a list zadrżał mu w dłoni. – Teraz wiem już, co muszę uczynić. Muszę zmienić swą drogę, tak by pasowała do jej. – Roześmiał się i opuścił dłoń z listem, by spojrzeć na mnie. – Jutro sprowadzisz ascendantkę Sylde. Jeśli jest ktoś, kto może oczyścić mą duszę z grzechu, to tylko ona.

Przełknąłem uwagę o niesprawnych kolanach ascendantki, zanim dotarła do mych ust. Złudzenia jego lordowskiej mości stwarzały nam doskonałą okazję i Sylida z pewnością gotowa była znieść nieco bólu, byle tej okazji nie przepuścić.

– Tak uczynię, mój panie – odparłem, kłaniając się z powagą i posłuszeństwem, po czym prostując się, dodałem: – A... drewno?

– Tak, bardzo dobrze. – Machnął dłonią w stronę drzwi. – Powiedz sierżantowi Leasowi, żeby dał ci, co trzeba. I kongregacja ascendantki ma dostać trzy dodatkowe worki z jedzeniem w nagrodę za swoje znalezisko.

– Za co cała kongregacja z serca dziękuje waszej lordowskiej mości. – Ukłoniłem się ponownie, ale on już nie zwracał na mnie uwagi. Kiedy wychodziłem, stanął przy oknie, wpatrując się w dal, z rękami założonymi za plecy, wielokrotnie przy tym zaciskał palce, co uznałem za wyraz rozpaczliwej nadziei. W późniejszych latach często myślałem, że gardziłbym nim o wiele bardziej, gdyby nie fakt, że z czasem pod wieloma względami stałem się jego lustrzanym odbiciem.



– Dobrze, że ten szyb nie musi przetrwać dłużej – stwierdził Carver, gładząc wilgotną ścianę. – Nie podoba mi się, jak blisko rzeki jesteśmy.

Zahaczyłem ramię o szczebel drabiny, spojrzałem w górę i zobaczyłem, jak krytycznym spojrzeniem obrzuca wyższą część szybu. Komin stał się węższy i pomiędzy skałami zaczęła pojawiać się ziemia, zwiększyła się też ilość wody. Czasami tworzyła strużki, które zaledwie zwilżały kamień, ale w innych miejscach tryskała ze ścian nieustannie błyszczącym łukiem. Jednak mnie bardziej niepokoiły jęki i zgrzyty otaczającego nas kamienia, którym czasem towarzyszyły drżenia, gdy zapadały się niewidoczne dla nas szczeliny lub woda rzeźbiła sobie nowe, prawdopodobnie niebezpieczne.

– Ale wytrzyma, prawda? – zapytałem, mrugając przy tym z irytacją, bo wielka kropla wody rozprysła się akurat pośrodku mego czoła.

– Na razie. – Mokre macki brody Carvera, zwykle gęstej i zbliżonej rozmiarem do borsuka, bryznęły mi w twarz deszczem kropel, gdy murarz pokręcił głową. – Ale nie długo. Rzeka nie kończy się tam, gdzie ma brzegi, rozumiesz? Niektóre toczą swe wody pod ziemią na mile w każdą stronę, a koniec końców woda zawsze pokona kamień.

Mój wzrok przesunął się na żelazny uchwyt mocujący drabinę do ściany szybu. Była to prymitywna rzecz, zrobiona z częściowo stopionych gwoździ i kawałków złomu, jedna z wielu brutalnie wbitych w skałę w ciągu ostatnich czterech tygodni. Bez zaprawy mocującej nie było najmniejszych wątpliwości, że kłamry prędzej czy później puszczą. Zwykle obfite wydobycie rudy żelaza przez członków zgromadzenia zmniejszyło się znacznie, gdy wszystkie nasze wysiłki skupiliśmy na szybie. Lord Eldurm zaakceptował niedobór ten jako cenę, za znalezienie mitycznego pokładu miedzi. Ale jego wyrozumiałość nie mogła trwać wiecznie, niezależnie od tego, ile dni spędzi, oczyszczając swą duszę przed ascendantką Syldą.

– Przebijemy się na powierzchnię za trzy dni, mniej więcej – oznajmił Carver. – A wtedy nie będziemy mogli już czekać. Musisz jej to powiedzieć.

Spojrzał w dół, szukając moich oczu. Choć był on chyba najłagodniejszą duszą między członkami kongregacji, to w miarę jak zbliżał się dzień naszej ucieczki dostrzegałem rosnącą w nim desperację. Podążający za głosem Sylidy więźniowie pozostali pobożni, ale obserwując, jak z dnia na dzień bardziej łakną wyzwolenia z Wyrobisk, zastanawiałem się, jak długo potrwa ich oddanie.

– Powiem jej – obiecałem, złącząc po drabinie, ze wszystkich sił starając się nie słyszeć protestujących zgrzytów kłamr.

Zastałem Syldę pochyloną nad najnowszą kopię Zwoju Męczennika Callina. Duma zabrania mi opisywać ową kopię jako najpiękniejszego wydania jego historii, ale orzekli tak inni skrybowie, a ci, którzy tego nie zrobili, mogą być zaliczeni do gromady zazdrosnych bazgraczy niegodnych tego tytułu.

Właściwie głównie na historii odkupionego złodzieja Sylida uczyła mnie liter i moja pierwsza próba zapisania tej opowieści przypominała pracę najbardziej nieudolnego dziecka. Zatrzymałem ją. Inne prace, być może ważniejsze, zgubiłem lub zniszczyłem na przestrzeni lat, ale na zawsze zachowałem ten pierwszy niezdamny krok na ścieżce skryby. Nie chodziło tylko o naukę liter, ale o zrozumienie ukryte za tymi wszystkimi niekształtymi słowami, ponieważ prowadząc moją rękę Sylida prowadziła również mój umysł. Historię tego mrocznego królestwa. Linie krwi rodów i koligacje, które je łączyły. Ugoda między Przymierzem a Koroną, którą Sylida nazwała „zgubną koniecznością”. Wszystko to poznałem dzięki męczeństwu Callina, złodzieja, który skradł jej serce trzy wieki po swej śmierci.

– Znalazłaś jakiś błąd? – zapytałem, stając w progu jej kwatery. – Kolejny niezbyt zręczny zdobnik?

– Nie. – Uśmiechnęła się, podnosząc wzrok. – Jest to, na tyle, na ile może istnieć małżeństwo atramentu i pergaminu, najpiękniejszy i najdoskonalszy dokument, jaki kiedykolwiek widziałam. Twoje umiejętności może nie są nieskończone, Alwynie, ale są znaczące.

Miałem ochotę posłać jej pełen zadowolenia z siebie uśmiech, oparłem się jednak pokusie i odpowiedziałem uniżenie:

– Dziękuję ci niezmiernie, ascendantko.

Sylda jak zawsze umiała przejrzeć moją obłudę i na te słowa pociągnęła wymownie nosem.

– Duma i próżność w końcu cię zgubią – skarciła mnie z westchnieniem. – Mówże. Okazujesz mi taki szacunek tylko wtedy, gdy masz do powiedzenia coś, co spotka się z mej strony z protestem.

– Szyb zostanie dokończony w ciągu trzech dni – powiedziałem. – Carver twierdzi, że ten szyb długo nie wytrzyma.

– Rozumiem. – Odłożyła zwój na bok i gestem nakazała mi zająć to miejsce, co zawsze. – Uświadomiłam sobie, że już od dawna nie rozmawialiśmy na temat twoich kalkulacji. Do jakich wniosków doszliśmy ostatnio?

Ściągnąłem brwi w koncentracji i zawahałem się w progę.

– Szyb...

– Słyszałam, Alwynie. – Z naciskiem wskazała składane biurko, aż ustąpiłem i zająłem swe zwykłe miejsce. – A teraz – powiedziała z uśmiechem pełnym oczekiwania – twoje kalkulacje.

– Dużo myślałem o pociotkach Erchela – zacząłem. – Próbowałem sobie przypomnieć tyle imion, ile tylko mogłem. Zrobiłem listę jego kuzynów, wujów, stryjów, ciotek i innych. Miał mnóstwo krewniaków, ale jakoś nie byli to wyróżniający się ludzie, jeśli nie liczyć kilku historii o wyjątkowo zręcznych złodziejstwach, czy wyjątkowo okrutnych morderstwach. Tylko wuj Erchela był godnym uwagi i choć mógłby mieć w tym udział, to jakoś nie sądzę, aby był na tyle łebski, żeby przygotować tę pułapkę. A przynajmniej nie taką, której Deckin nie przejrzałby w mgnieniu oka.

Nie potrafię powiedzieć, ile razy odbywaliśmy ten dziwny rytuał. Opowiadałem jej wszystko, co udało mi się wydobyć z zakamarków pamięci, a ona prowadziła mnie przez wspomnienia, próbując dotrzeć do ukrytych tam znaczeń. Było to zajęcie niezwykle frustrujące, ale czasem przynosiło owoce, ujawniające wiele szczegółów, które wcześniej umknęły mojej uwadze. Na przykład zrozumiałem, że akcent Todmana był fałszywy i w rzeczywistości mój wróg pochodził z jednego z południowych księstw. Stało się również jasne, że Gerthe była tak samo biegła w sztuce kradzieży, jak

i sprzedawania swego ciała i władania językami. Dzięki niezwyklej zręczności swych palców Gerthe sama sprawiała, że mój mieszek zawsze okazywał się zbyt lekki, bym mógł zapłacić za jej usługi. No i był jeszcze sam Deckin.

Większość wniosków, do jakich doprowadziła mnie Sylde, sprowadzała się do rzeczy drobnych, jak teraz już oczywisty dla mnie fakt, że Deckin znał litery na tyle, co i ja w tamtych czasach. Inne odkrycia wymagały głębszych przemyśleń i dedukcji. Dzięki pomocy Syldy zacząłem wyraźnie dostrzegać obsesję, która doprowadziła Deckina i tych, co podążali za nim, do zguby, obsesji, która na koniec rozkwitła w szaleństwo.

„Człowiek, którego opisałeś”, powiedziała mi Sylde, „chciał osiągnąć tylko jedno, zwrócić na siebie uwagę ojca, czy to poprzez swą sławę banity, czy też mordując ojca własnymi rękami. Kiedy Czempion Króla ściął księciu głowę, Deckin został pozbawiony celu, do którego dążył od dziecka. Zdarzało się już, że ludzie tracili rozum z błahszych powodów”.

Niewątpliwie Deckin stracił życie wskutek zdrady, ale teraz wiedziałem już, że zatknął swoją głowę na palu na długo przed tym, zanim uczyniliśmy pierwszy krok w stronę Omszałego Młyna.

– Już wcześniej omówiliśmy krewniaków Erchela – przypomniała mi Sylde. – I doszliśmy do podobnych wniosków. Co prowadzi nas do czego?

– Do zastanawiania się nad tym, kto miał umysł zdolny do tego, aby przygotować taką pułapkę. – Bez względu na to, jak wielka była moja niecierpliwość, by wrócić do naszej, miejmy nadzieję rychłej ucieczki, rozważania nad tym zagadnieniem zawsze całkowicie przykuwały moją uwagę. – I to bardzo krótka lista, którą już omówiliśmy.

– Zróbmy to ponownie.

– Todman, okrutnik, ale nie pozbawiony sprytu, choć zawsze uważałem, że był zbyt wielkim zwolennikiem Deckina, by działać przeciwko niemu, a już na pewno nie zrobiłby tego w pojedynkę. Fornal mógłby to zrobić, gdyby nie był tak uwikłany... pochłonięty swoim oddaniem Przymierzu. Raith był wystarczająco inteligentny, ale nie sprawiał wrażenia ambitnego. I... – Zamilkłem, wzruszając

ramionami. – Jedyna osoba na tyle bystra i nieustępliwa, żeby tego dokonać, skończyła z głową na palu, na murach zamku Duhbos.

– Tak, słodka Lorine. Powiedz mi, Alwynie, co dokładnie zobaczyłeś, gdy popatrzyłeś na te głowy na murze? Jak dobrze się im przyjrzałeś?

Prawdę powiedziawszy, tego wspomnienia nie przepatrywałem równie dokładnie, co innych, było bowiem paskudne. Poza tym przewodnictwo Syldy wiodło mnie po innych ścieżkach rozmyślań, aż do teraz.

– Zobaczyłem martwych – odparłem, krzywiąc się na wspomnienie. – Daleko ode mnie i gnijących, ale jedno z nich na pewno było kobietą...

Zamilkłem, moje myśli zdominowało wspomnienie długich włosów, które powiewały za jedną z głów niczym poszarpany proporzec. Często zdawało mi się, że włosy te połyskiwały jak miedź, ale przecież mogła być to jedynie sztuczka porannego słońca.

– To musiała być ona – stwierdziłem, ale w moim głosie brzmiała teraz świeża niepewność, którą podsyciły kolejne słowa Syldy.

– Dlaczego? Bo tak założyłeś? Jeszcze się nie nauczyłeś, że świat nie zawsze przystaje do naszych założeń? Przez te lata opowiedziałeś mi wiele o Lorine, aczkolwiek podejrzewam, że twoje przywiązanie do niej było znacznie większe, niż przyznawałeś. Tak to już bywa z żądzą i głupotą młodości, wstyd skłania nas do samooszukiwania się w latach późniejszych. Pamiętaj, czego cię nauczyłam, odrzuć fałsz i zobacz prawdę.

Zapatrzyłem się przed siebie niewidzącym wzrokiem, podążając za wskazówkami, które mi przekazała, gdy uczyła mnie podążania jedną ścieżką rozważań.

„Przywołaj najpierw najstarsze ze wspomnień i podążaj za tropem, który ci wyznaczy”.

Moim najstarszym wspomnieniem była piękna twarz z malującym się na niej pół uśmiechem i pół grymasem, gdy Lorine zobaczyła w lesie obdartego, chlipiącego chłopca.

„Masz szczęście, młody człowieku”, powiedziała, gdy dotarliśmy do obozu i prowadziła mnie do schronienia, które dzieliła z Deckinem. „Niedawno natknęliśmy się na bardzo hojnego

handlarza tkanin. Lepiej ubierzmy cię odpowiednio, jak sądzisz? Nie możesz chodzić w takim stanie. Inni zaczęliby gadać”.

Reszta bandy odpowiedziała wtedy śmiechem i dotarło do mnie, jak zręcznie Lorine odwoływała się do ich poczucia humoru, stanowiła żywy kontrast dla niezbyt wesołych nastrojów Deckina. Ta myśl poruszyła inne wspomnienia, wspomnienia o tym, jak bardzo inni ją lubili, jak umiejętnie zdobywała przyjaźń nowo przybyłych. Kobiety były dla niej jak siostry, mężczyźni jak bracia albo jak kochający, ale wiecznie rozczarowani zalotnicy, albowiem żaden nie ośmieliłby się wyciągnąć ręki w stronę kobiety Deckina. Bali się go, niektórzy go nawet kochali, tak jak poganie kochają mściwego boga, a Lorine lubili, słuchali jej i zasięgali jej rad.

Wreszcie śladem tych wspomnień dotarłem do szalonego planu Deckina, by zdobyć księstwo w drodze krwawej masakry. Lorine była uzdolnioną aktorką, nie miałem jednak wątpliwości, że za nic nie chciała brać w tym udziału. Dlatego wrzuciła mi w dłoń suwereny, suwereny, których przyjęcia odmówiłem, ale przecież były też inne dłonie, na przykład Todmana.

– Może jakieś suwereny wpadły do jej rąk, zanim wpadły do moich – mruknąłem na głos, gdy myśli podążały niezbadanymi dotąd drogami.

– Czyje suwereny? – zapytała Sylva głosem cichym i pełnym napięcia, jak zawsze, gdy odprawialiśmy nasz rytuał. – Kiedy? Gdzie?

– Niejeden raz mogła się wymknąć – odparłem. – Musiała domyślać się, co Deckin planował, zanim miecz skrócił życie jego ojca. Pierwszą informację o tym, że księżę zmienił strony zyskaliśmy jesienią. To zawsze była pracowita pora. Miałyby wiele okazji, żeby odszukać kogoś z ludzi szeryfa albo strażnika leśnego i zapłacić mu, żeby przekazał list, obietnicę zdrady w zamian za nagrodę albo gwarancję wolności, gdy plany Deckina doprowadziły nas wszystkich do zguby. Jednak musiałyby otrzymać odpowiedź i wysłać jeszcze jedną wiadomość, żeby pułapka została na pewno zastawiona w Omszałym Młynie.

Na mojej twarzy odmalowała się pustka, jak zawsze gdy zaczynałem wyrzucać z siebie wnioski.

– Erchel. Kiedy Deckin posłał go, żeby wezwał swoich pociotków na Polanę Leffolda. Lorine musiała dać wiadomość jemu

i obietnice dla wuja, jeśli ten będzie tańczył, jak ona mu zagra. Bez Deckina, bandy ze wschodu musiały się wzbogacić i wkrótce knieja mogłaby zyskać nowego króla. Ale... – moje wygładzone spokojem rysy nagle wykrzywiła frustracja – głowa na murze.

Wspomnienie zamku Duhbos pociągnęło moje myśli ku żołnierzom i tawernie. Stamtąd kolejny krok włókł nieodmiennie w stronę pręgierza.

– Nie! – Syllda dostrzegła niechęć na mojej twarzy, instynktowną niechęć wobec cierpienia i ślepa wściekłość, jaką wywołało to wspomnienie. – Twoje myśli zawiodły cię tam nie bez przyczyny. Idź ich tropem.

Myśli zawiodły mnie oczywiście do bólu, upokorzenia, pieczenia gówna w świeżo otwartej ranie, chrzęstu nadgarstków w dybach, gdy chciałem szarpać wściekle moich oprawców, i do lorda Althusa... Potok myśli zwolnił, gdy w moim polu widzenia pojawił się rycerz, znów usłyszałem ton żartobliwej pogardy, jakim snuł swoją historię, opowieść, która zawierała drobny kąsek o wielkim znaczeniu: słowa wyłowione z bagna zmęczenia i agonii, które je niemal zagłuszyły, ale nie do końca. „Nie zawlokę cię też przed oblicze nowego księcia, aby cię osądził”, powiedział mi lord Althus. „Ta suka, którą sobie upodobał, z pewnością potwierdziłaby twoją przynależność do bandy Deckina...”.

– Ta suka, którą sobie upodobał – mruknąłem. – Ta suka... To nie głowa Lorine była na murze.

– Nie. Sądzę, że nie jej.

Spokojna pewność w jej głosie sprawiła, że zamrugąłem, coś sobie uświadamiając.

– Wiedziałaś.

Odpowiedziała wzruszeniem ramion, co natychmiast roznieciło znajomy gniew.

– Cały ten czas. – Nie zdołałem zdusić urazy w głosie.

– Nie całkiem. Na pewno od chwili, kiedy po raz pierwszy opowiedziałeś mi swoją historię w całości.

– Dlaczego zatem mi nie powiedziałaś?

– Zgodziłeś się, abym była twoim nauczycielem. Czego bym cię uczyła, udzielając ci odpowiedzi, zanim dowiedziałaś się, jak prawidłowo zadać pytanie?

Zdławiłem chęć odpowiedzi i spróbowałem przekierować swój gniew w kierunku tych, którzy bardziej na niego zasłużyli: Lorine, Todman, Erchel i jego brudni krewni. Lord Althus. Lista coraz dłuższa. I skreślę z niej każde zatraczone imię. Rosnąca wściekłość musiała odmalować się na mojej twarzy, bo Sylدا przyłożyła dłoń do mojego policzka, jej dotyk był chłodny i uspokajający.

– Zrozumienie powinno być drogą do mądrości – pouczyła mnie łagodnie. – Utoniesz, jeśli poddasz się podszeptom wściekłości.

– Sprzedała go – wychrypiałem. – Człowieka, którego kochała...

– Człowieka, który, jak sam powiedziałaś, wiódł was wszystkich ku zgubie.

– I tak byliśmy zgubieni. Wymordowali dziesiątki w Omszałym Młynie. Jeśli chciała wyjść cało z planów Deckina, mogła po prostu zniknąć. Wziąć ze sobą Todmana, czy innego fiuta, którego kusila i po prostu spieprzyć pewnej ciemnej nocy. Deckin może by jej nawet szukał, ale nie długo. Nie, kiedy planował masakrę.

– Zatem dlaczego? – zapytała Sylدا, wygładzając moje czoło dotykami palców. – Co takiego zyskała, zdradzając go.

Mój gniew płonął jeszcze, ale nagły przypływ zrozumienia zmienił ogień w tłący się żar.

– Przede wszystkim pieniądze. Deckin zwykł mawiać, że jego głowa warta jest swojej dziesięciokrotnej wagi w złocie, taką nałożono na nią cenę. I miał rację. Ale wątpię czy tylko pieniądze. Lorine zawsze była ambitna. Wygląda mi na to, że zamieniła banitę na księcia. Trafila jej się całkiem niezła okazja.

Z jakiegoś powodu mój głos załamał się na ostatnim słowie i znów mimowolnie odwróciłem wzrok, a dłoń Syldy zsunęła się z mego czoła, gdy odwróciłem się od niej, z wysiłkiem przełykając ślinę.

– Często się zastanawiam – powiedziała – czy ocaliłam cię, czy skazałam na potępienie. Czelując twój umysł stworzyłam lepszego człowieka czy lepszego banitę? Wiesz, że mam misję za murami tego więzienia, Alwynie, powiedz mi, szczerze, czy chcesz być jej częścią?

Chwilę trwało, zanim pozbyłem się spod powiek nienawistnej wilgoci i suchości w gardle. Kiedy odwróciłem się, żeby spojrzeć w jej oczy, nie drżał mi już ani wzrok, ani głos.

– Mogę powiedzieć, że będę podążał za tobą tak długo, jak będziesz chciała mi rozkazywać, bo mam wobec ciebie dług tak ogromny, że nigdy nie zdołam go spłacić. Jednak w chwili, gdy twoja misja ulegnie zakończeniu, niezależnie z jakiego powodu, ruszę wypełnić własną.

Przyglądała mi się z namysłem, ale poza tym nie dostrzegalem żadnych emocji, szukałem jakichś oznak rozczarowania bądź wyrzutu, ale nie znalazłem niczego.

– Zatem wszystko wskazuje na to, że sam trafiłeś niegorszą okazję. – Pociągnęła nosem i wstała. – Bądź tak dobry i zbierz wszystkich w kaplicy. W końcu musimy zaplanować ucieczkę.



I oczywiście musi padać – skrzywiła się Toria, mrugając uporczywie, by obronić się przed wilgocią, gdy spoglądała w górę czarnego szybu. Zakładałem, że podziela moje rosnące obawy, co do stabilności całej konstrukcji. Nie widzieliśmy wyjścia na powierzchnię, które Carver stworzył rankiem tego dnia, ale nieustannie padający deszcz, urozmaicany od czasu do czasu kaskadą błota, był zarówno pokrzepiający, jak i przerażający. Pod naciskiem Syldy moment naszej ucieczki wyznaczono dobrze po zachodzie słońca, kiedy to strażnicy będą zmęczeni, a ciemność zapewni osłonę uciekającym ludziom.

Każdy z nas niósł bukłak pełen wody i zapas jedzenia wystarczający na dwa dni. Nie było to wielkie obciążenie, żebyśmy mogli utrzymać dobre tempo w drodze do wyczekiwanego sanktuarium Callintora. Wielu z nas postanowiło się również uzbroić. Toria i ja poza nożami mieliśmy też pałki zrobione z trzonków kilofów. Piwowar zdołał zbudować kuszę, co wymagało wielomiesięcznych wysiłków, które na szczęście udało nam się ukryć. Była to rzecz godna pozazdroszczenia, doskonale wykonana o mocnym łączysku ze sprytnie wykonanym zamkiem, co świadczyło o tym, że Piwowar był człowiekiem daleko zdolniejszym, niż sobie z tego zdawałem sprawę. Oprócz kuszy miał przytroczony do pleców zmodyfikowany kilof, którego ostrze wyklepał młotkiem w szeroki, zawiadacki półksiężyc. Ze sposobu, w jaki trzymał się cały czas

blisko Sylidy wywnioskowałem natychmiast, że ta broń nie była przeznaczona dla niego i poczułem nawet odrobinę litości na myśl o prześladowcach, którzy mogliby zbliżyć się tej nocy do ascendantki.

Poprzedni dzień upłynął nam na torturach oczekiwania, przygotowywaliśmy zapasy i szykowaliśmy na to, co miało nastąpić. Sylida spędziła z lordem Eldurmem więcej czasu niż zwykle, najwyraźniej chcąc całkowicie oczyścić jego duszę z grzechu, zanim na zawsze opuścimy Wyrobiska. Zastanawiało mnie, jak to możliwe, że tak nieskomplikowany człowiek jak nasz szlachetnie urodzony dozorca może mieć duszę tak bardzo potrzebującą oczyszczenia, ale przypisałem to głęboko ukrytemu współczuciu dla tych trudzących się pod jego nadzorem. W miarę upływu dnia coraz bardziej niepokoiło mnie zachowanie naszych współwięźniów. Członkowie kongregacji podejmowali wysiłki, by postępować zgodnie z rutyną, ale ze względu na konieczność ukończenia szybko i przygotowania zapasów, jedynie część z nas odbywała podróż ku krawędzi krateru. To musiało zostać zauważone, na pewno przez innych więźniów i może nawet jednego czy dwóch bystrookich strażników.

Kiedy niebo pociemniało i zaczął padać deszcz, Sylida wreszcie zjawiała się w kaplicy, zmęczona, ale z uśmiechem pełnym satysfakcji. Powiodła spojrzeniem po pełnych napięcia i oczekiwania twarzach.

– Dobrze jest zostawić za sobą oczyszczoną duszę – powiedziała.

– Miejmy nadzieję, że to ostudzi jego gniew, gdy odkryje naszą nieobecność – powiedziałem.

Ku memu zdumieniu Sylida roześmiała się głośno, był to dziwny dźwięk w powietrzu aż gęstym od pełnego łęku napięcia.

– Są rzeczy, które pozostają nawet poza dokonaniem Męczenników. – Odetchnęła i ruszyła w stronę ukrytego tunelu. – Idziemy?

– Nie chcesz chwilę odpocząć? – zapytałem. – Marsz do Callintoru będzie trudny...

– Nie, jeśli będzie mnie podtrzymywać łaska Serafilów. – Machnęła lekko dłonią. – A czuję niewątpliwie, że są oni dziś z nami.

Sylida mądrze wybrała czterech najniebezpieczniejszych członków kongregacji, którzy mieli być pierwsi na drabinie.

Najpierw wchodziła Toria, jako najszybsza z nas, do tego ona najlepiej widziała w nocy. Piwowar podążał za nią z kuszą gotową do zlikwidowania każdego nieszczęśnika, którego Toria dostrzeże. Żywopłotnik ze swoją procą wspinał się za nimi. Spędziwszy większość życia w dziczy doskonale radził sobie z tą bronią i podobnie, jak to było w przypadku Fornala, jego gorliwa pobożność nie przeszkadzała mu umoczyć rąk we krwi, gdy zachodziła taka konieczność. Ja wchodziłem za nim i pomagałem Syldzie. Mieliśmy upewnić się, że wyjście jest bezpieczne, wtedy kolejni członkowie zgromadzenia ruszą naszym śladem, na powierzchni zaś stworzą niewielkie grupy i każda uda się inną drogą do Callintoru. Podróżowanie wspólnie było tylko pozornie bezpieczniejsze, taka liczba uciekinierów aż prosiła się, by ją zauważyć, a gdyby nas dostrzeżono następstwem mogła być już tylko rzeź. Niezależnie od tego, jaką prowizoryczną broń stworzyliśmy, nie mieliśmy szans w starciu z opancerzonymi ludźmi na koniach, nawet przy całej przychylności Serafilów.

Carver ostrzegął, że drabina wytrzyma obciążenie zaledwie pięciu osób na raz. Gdy wspinałem się za Żywopłotnikiem, miałem wrażenie, że i pięć to zbyt wiele, z trudem tłumiliłem nerwowe wzdrygnięcia, słysząc pisk kłamr i jęk drewna.

Wspinaczka wydawała się trwać znacznie dłużej niż to konieczne, czas rozciągał się, jak to często bywa w przerwach przed wydarzeniami doniosłymi i nieodwracalnymi. Uświadomiłem sobie, że każdy szczebel drabiny pokonuję z przewrotną niechęcią. Ta noc miała przynieść mi albo śmierć, albo wolność. Kiedy już wyjdę z tego szybu, nie będę mógł uczynić kroku wstecz. Ostatnie cztery lata stanowiły pod wieloma względami pasmo trudów i cierpienia, ale też znalazłem w Wyrobiskach schronienie bezpieczniejsze niż jakiegokolwiek inne, które znałem jako banita. Więcej się też tu nauczyłem. Mój umysł i umiejętności rozwinęły się pod światłym przewodnictwem Sylidy, a członkowie kongregacji, choć w większości nieciekawi, okazali się o wiele mniej kłótlivi i skłonni do rozbudzania mojej mściwej strony, niż członkowie skazanej na zagładę bandy Deckina. Toria natomiast była jedyną istotą, którą mogłem naprawdę nazwać przyjacielem. Tego wieczoru to wszystko mogło się skończyć.

Zimne i bolesne plaśnięcie grudy błota o czoło wystarczyło, żeby położyć kres moim rozmyśleniom i wszelkiej niechęci. Kierunek ten został obrany przed laty i nie można było go porzucić pod wpływem tchórzliwego kaprysu. Poza tym jaki człowiek myślałby o Wyrobiskach jak o domu?! Sylدا miała swoją misję, ja swoją. Żadne z nas nie mogło wypełnić swojej, wykopując rudę, która napełniała sakiewki szlachciców.

W miarę jak zbliżaliśmy się do szczytu szybu, deszcz przybrał na sile i protesty drabiny utonęły w huku gromu. Spojrzawszy w górę zobaczyłem wyjście, doskonale widoczne w blasku błyskawicy i smukłą sylwetkę Torii, przypominającą pełznącego pająka, który zresztą zniknął w ciemności, gdy tylko błyskawica zgasła. Poczułem, jak drabina odchyła się i kołysze pod przerażającym kątem, gdy Piwowar przecisnął swe ogromne ciało przez wylot szybu. Zdusiłem przekleństwo, gdy but Żywopłotnika na chwilę otarł się o skórę mojej głowy i kolejna błyskawica pokazała mi, że on również się wydostał.

Zatrzymałem się na moment, by pozbyć się spod powiek rozmazanych, barwnych plam, po czym pokonałem kilka ostatnich szczebli. Czekałem przy krawędzi otworu, czując na twarzy pieszczotę wilgotnej, targanej wiatrem trawy, zerknąłem w dół spodziewając się zobaczyć tam Sylde, jednak szyb pozostał ciemny i pusty.

– Ascendantko! – zasyczałem niecierpliwie, zaglądając głębiej w mrok. I wtedy usłyszałem coś nowego, harmonię dźwięków, które zostały pochłonięte przez huk burzy. Krzyki. Wrzaski. Niektóre gniewne. Niektóre pełne bólu. A także stłumiony, ale dla mego wprawionego ucha aż nadto wyraźny szcęk metalu o metal.

– Syldo! – zawołałem. Ogarnięty paniką zsunąłem się kilka szczebli i zatrzymałem, gdy kolejna błyskawica wyłowiła z ciemności blady owal twarzy ascendantki. Ciemność zalała go w następnej chwili, ale przez ten jeden moment zobaczyłem na twarzy Syldy więcej emocji niż przez minione lata. Szlochała, ale też uśmiechała się, tym łagodnym uśmiechem, który znałem tak dobrze, który mówił spotkanym ludziom, że ona wie wszystko, co warto wiedzieć. Ale dostrzegłem też smutek, ogromny smutek lśniący w mokrych studniach jej oczu. Później próbowałem się przekonać,

że było tam też poczucie winy, ale miałem świadomość, że to tylko kłamstwo powtarzane ku własnemu pokrzepieniu. Dusza posiadająca tak wielką pewność jest niezdolna do winy.

– Wszyscy zasługujemy, żeby tu być, Alwynie – powiedziała. Ledwie ją słyszałem, przez burzę nad głową i odgłosy walki poniżej. – Ale niektórzy zasługują na drugą szansę. Ja jej nie potrzebuję, albowiem to jest moja parafia i tu pozostanę.

– Kurwa mać! Nie bądź głupia! – Panika zdarła z mych słów pozory formalności. Zszedłem niżej i wyciągnąłem rękę tam, gdzie, jak myślałem, będzie jej dłoń. – Już prawie wyszliśmy. Twoja misja! Pamiętaj o swojej misji!

– Ty jesteś moją misją, Alwynie. Testament, który ci dałem. Zwój Męczennika Callina. Ty i one jesteście moim darem dla świata, który zawiodłam. Wiem, że w swym sercu nie poznałeś jeszcze prawdy Przymierza, ale poznasz z czasem. Jestem tego pewna.

– Chodź ze mną i sama się przekonaj! – Machałem ręką w ciemności jak obłąkany, desperacko szukając jej dotyku, ale poczułem jedynie ulotne ciepło jej oddechu na palcach, gdy wypowiedziała ostatnie słowa, jakie miałem od niej usłyszeć.

– Zostawiłam list lordowi Eldurmowi, z zaleceniem, aby nie czytał go przed północą. Powiedziałam, że to ostatni etap jego oczyszczenia. Żeby dusza wolna była od grzechu, musi znać samą siebie, swą prawdziwą naturę. On jest dozorcą tych, którzy zasługują na karę. Ty jesteś człowiekiem, który szuka rozliczenia, co doprowadzi cię do czegoś znacznie lepszego. – Ucichła na ułamek chwili. Jej usta ucałowały mą dłoń, a potem palce coś w nią wsunęły. – Żegnaj, Alwynie.

Znów zamilkła, a potem usłyszałem głuchy odgłos uderzenia. Położyło kres głosom poniżej, na chwilę, bowiem nagle kakofonia odrodziła się jeszcze dziksza niż wcześniej. Chór gardeł wykrzyczał z rozpaczą imię Syldy, szczęk i łomot broni odbijały się głośnie echem przez kilka szaleńczych chwil, po czym powoli ustały. Buntownicze okrzyki zdławiło agonalne charczenie przeplatane uderzeniami o wilgotnej nucie, jakie słychać w każdej masarni.

Wisiałem tam, wpatrzony w czern poniżej, a deszcz padał na mnie nieustannie. I nagle drabina zadygotała gwałtowniej niż

przedtem, jęcząc i piszcząc, gdy kilkanaście lub więcej osób zaczęło się wspinać po niej jednocześnie.

– Alwynie! – Głos Torii wypełnił szyb, przenikliwy i zdesperowany. – Gdzie jesteś, kurwa twoja mać?!

Ogarnęło mnie znajome poczucie celu, instynkt banity ponownie doszedł do głosu z zimną nieustępliwością. Ona nie żyje. Ratuj się.

W ciągu kilku szaleńczych sekund pokonałem odległość pozostałą do wyjścia i wyłoniłem się na zalaną deszczem łąkę, porośniętą wysoką trawą, którą bezlitośnie chłostała burza.

– Ascendantka! – krzyknął Piwowar, chwytając mnie mocno za ramię. Wyrwałem się, wpatrując się w monetę spoczywającą w mojej dłoni: jedyną relikwię męczennika Callina, ostatni dar ascendantki. Wsunąłem ją do kieszeni, przykucnąłem przy otworze, oparłem dłonie na najwyższym wsporniku drabiny i szarpnąłem.

– Gdzie ona jest? – Piwowar nie ustępował, zaciskając swoje wielkie łapska na moich ramionach. Podniosłem wzrok na człowieka, który znalazł się w szponach rozpaczy raczej niż wściekłości. Wiedziałem, że moje następne słowa nie były dlań zaskoczeniem, a jednak zraniły go głębiej niż jakiegokolwiek ostrze.

– Nie żyje! – krzyknąłem mu w twarz, a Piwowar opuścił bezwładne nagle ramiona. – Strażnicy znaleźli tunel! Oddała życie, żeby ich spowolnić! Jeśli nie chcesz do niej dołączyć, to mi pomóż. – Ostanie zdanie wystękałem, podejmując próby oderwania klamer od ściany szybu.

Stał nieruchomo, sparaliżowany rozpaczą, wstrząs rozchylił mu usta. Ledwie się ruszył, gdy Toria go odepchnęła. Przykucnęła i wbiła nóż we wspornik, próbując go poluzować. Drabina wygięła się mocniej, gdy wspinający się po niej strażnicy zbliżyli się do szczytu. To, z jakim uporem opierała się zniszczeniu skłoniło mnie do refleksji, że Carver powinien mieć więcej wiary we własne rzemiosło.

– Ani... kurwa... drgnie! – Kolejny grzmot niemal zagłuszył przekleństwo Torii, która nie przestawała pracować nad klamrą. Podniosłem na moment wzrok i zobaczyłem, że Żywopłotnik stoi zgarbiony, patrząc pusto przed siebie, nawet nie drgnął na moje błuzniercze wołanie o pomoc.

– Zostaw! – Odciągnąłem Torię od szybu i wstałem. – Musimy uciekać, albo nie będziemy mieli szansy..

Drgnąłem, gdy coś szybkiego i ciężkiego przemknęło mi cal przed nosem. Ryk Piwowara, gdy opuścił udoskonalony kilof na drabinę, był dość głośny, by konkurować z gromem. Ranił też uszy, tyle było w nim czysto zwierzęcego bólu i furii. Zapłonęła błyskawica, odsłaniając jego twarz wykrzywioną w morderczym grymasie, zanim ponownie opuścił kilof. Górne szczeble drabiny zmieniły się w drzazgi. Kolejne pół tuzina uderzeń zmieniło w proch skałę otaczającą wylot szybu. Z otworu uniósł się na moment obłok pyłu, któremu towarzyszył chór szybko milknących krzyków. Ziemia zadrżała mi pod stopami, gdy szyb się zawalił, kilka ton skały osunęło w zawale, zmieniając nieszczęsnych strażników w miazgę.

Gdy drżenie ziemi ustało, Piwowar wciąż stał nad zawalonym szybem, uznałem, że żywił jakąś szaleńczą nadzieję, że dane mu będzie rozbić czaszkę strażnika, który cudem jakimś ocalał i zaraz wystawi głowę. Wiedziałem, że istniała szansa, żeby Piwowar i wciąż milczący i nieruchomy Żywopłotnik stali tak, pełniąc wartę nad miejscem śmierci Syldy, aż pojawi się pogoń z Wyrobiska. Zapewne już za kilka godzin, jeśli nie wcześniej. Czuję jednak, że winien im jestem po raz ostatni okazać braterstwo. W końcu byliśmy członkami tej samej kongregacji.

– Chciała, żebyśmy przeżyli – powiedziałem Piwowarowi, podchodząc bliżej, choć nie na tyle blisko, by znaleźć się w zasięgu jego kilofa. Burza osłabła trochę, więc nie musiałem krzyczeć, tylko deszcz wciąż padał, gęsty i przenikliwie zimny. – Jeśli dzisiaj zginiecie, to ją zdradzicie!

Spojrzał na mnie, już nie z wściekłością, a raczej podejrzliwością.

– Skąd wiedzieli? – zapytał, niepokojąco spokojnie. Patrząc w jego jedyne oko, wątpiłem, czy prawda w tej chwili nie spowoduje tragicznej i prawdopodobnie śmiertelnej reakcji. Może i byłem niemal tak wysoki jak on, ale nie miałem najmniejszych szans dorównać mu siłą, zwłaszcza gdy wypełniała go szalona wściekłość.

– Jakoś wzbudziliśmy podejrzzenia – odparłem, wzruszając bezradnie ramionami. – Może to odrzuceni? Może jeden ze strażników? Kto wie?

– Nie – odezwał się nieoczekiwanie Żywopłotnik cienkim i zgrzytliwym głosem i potykając się ruszył w naszą stronę. Miałem wielką ochotę wbić mu na powrót nieco rozumu, ale zanim zdążyłem podnieść pięść, zaczął mówić dalej, krztusząc się słowami. – Nie. To była zdrada. Nikt spoza zgromadzenia nie wiedział. – Padł na kolana, szlochając żałośnie i począł chwytać skały, które zamknęły szyb. – Męczennica Syllda zginęła z ręki zdrajcy!

– Rzecz do przemyślenia w innym momencie – stwierdziłem, odwróciłem się i zabrałem mój worek z jedzeniem i innymi cennymi przedmiotami. Złożone biurko było zdecydowanie najcięższym wśród nich, ale nie czułem pokusy, by je porzucić ani wtedy, ani w żadnym innym momencie. – Idziemy do Callintoru – dodałem, ruchem głowy wskazując Torię i ruszyłem w kierunku ciemnej, nieregularnej ściany lasu na wschodzie. – Chodźcie z nami albo nie. Wiedźcie jednak, że jeśli zechcecie umrzeć tutaj, zbeczcieście pamięć ascendantki.

– To byłeś ty! – Słowa Żywopłotnika były ledwie zrozumiałe, wykrzyczane szybko, w potoku plwociny. Pospiesznie zagroził mi drogę, a krótki błysk błyskawicy odsłonił nóż w jego dłoni. – Ty nigdy nie byłeś jej prawdziwym uczniem. Widziałem to. Widziałem. Widziałem, że pozostałeś głuchy na prawdę, którą głosiła. Ty sprzedałeś ją lordowi!

– W głowie ci się, kurwa, pomieszało! – Chciałem go ominąć, ale musiałem się zatrzymać, bo raz jeszcze stanął mi na drodze. Oczy miał wytrzeszczone i dzikie, ale nóż trzymał z wprawą. Później dopiero zrozumiałem, że ten człowiek całkowicie poddał się naukom Sylldy, oddając jej każdą uncję wiary, która mu pozostała. Kiedy jej boska misja zakończyła się, zanim jeszcze się zaczęła, nic mu nie zostało. Został pozbawiony celu i był zbyt zdesperowany, aby wypełnić pustkę.

– Ona jest teraz Męczennicą! – bełkotał Żywopłotnik, zgiął kolana, ustawiając się w pozycji do walki. – I ty jesteś jej zabójcą. Tych, którzy przelewają krew Męczenników czeka tylko jeden koniec. Każdy zwój Przymierza o tym mówi.

Pozwoliłem, by mój worek zsunął się na ziemię i odzwierciedliłem pozycję Żywopłotnika z nożem w jednej i pałką w drugiej ręce. Toria ustawiła się po mojej prawej i zrobiła to samo.

Wiedziałem, że starcie będzie krótkie i paskudne. Nie mieliśmy więcej czasu na dyskusje, a bez względu na to, w jakim stanie znajdował się Żywopłotnik, był zabójczym nożownikiem. Miałbym wiele szczęścia, gdybym wyszedł z tego z raną czy dwiema.

Z tyłu rozległo się głuchoe stuknięcie, któremu towarzyszył odgłos wibrującej struny. Żywopłotnik wyprostował się gwałtownie, na moment stanął w sztywnym bezruchu, po czym rozpoczął chaotyczny taniec wśród kołyszącej się trawy, potykał się na sztywnych nogach, które podrygiwały spazmatycznie, podczas gdy z jego ust wydobywały się dziwne, gardłowe pomruki. Przyczyna jego cierpienia była ukryta w mroku, aż do momentu, gdy odległy błysk błyskawicy obrysował grot bełtu z kuszy, wystający mu z czoła. Spowity cieniem Żywopłotnik osunął się na ziemię, zakaszłał i pierdnął, wypuszczając z siebie obrzydliwy odór – testament Żywopłotnika dla świata, który nie będzie za nim tęsknił.

Obróciłem się, by zobaczyć, jak Piwowar odrzuca kuszę i podnosi swój worek.

– Za ciężka, żeby ją nieść – oświadczył i minął nas, kierując się w stronę odległego lasu. – Idziecie? – spytał i puścił się biegiem, podczas gdy my z Torią wpatrywaliśmy się bez słowa w jego malejącą sylwetkę.



Wielki i ciężki Piwowar zdołał jednak utrzymać takie tempo, biegnąc przez las i łąki, że Toria i ja ledwie za nim nadążaliśmy. Wszyscy nauczyliśmy się na pamięć drogi wiodącej do Callintoru, zanim jeszcze weszliśmy do tunelu wiodącego na powierzchnię. Powtarzaliśmy wskazówki słowo po słowie, zgodnie z poleceniem Syldy. Trasa ucieczki, kręta, czasem irytująco zmienna, pomijająca najczęściej używane drogi, została ułożona przez tych członków kongregacji, którzy dobrze znali okoliczne tereny.

Przez las, na wschód od rzeki, recytowałem w myślach, upewniając się co jakiś czas, że Toria biegnie przy mnie. Tak długo, póki nie natkniesz się na strumień. Potem wzdłuż strumienia na północ, aż do ruin starego młyna. Stamtąd mieliśmy podążać przez otwarte tereny, prosto na północ aż do Callintoru – perspektywa, która nie budziła we mnie entuzjazmu. W lesie czułem się jak w domu, gdy burza ucichła wreszcie, a wschodzące słońce ukazało nam nasze otoczenie, wprawne oko banity natychmiast pozwoliło mi dostrzec liczne kryjówki, bądź miejsca dobre na urządzenie zasadzki. Narodziło się we mnie pragnienie, by zaprzestać tego wycieńczającego biegu, zatrzymać się i szukać azylu wśród drzew, pragnienie, które zdławiłem bezlitośnie. Nie po to uciekłem z najgorszego więzienia w Albermine, by wrócić do smutnego życia w lesie.

Odpoczywaliśmy jedynie przez chwilę, zatrzymawszy się pod osłoną największego z drzew, przełknęliśmy kilka łyków wody i odrobinę jedzenia. Nikt się nie odzywał, albowiem słowa byłyby teraz zbyt ciężkie, jednak ja czułem dręczącą potrzebę wypytania Piwowara o zabójstwo Żywopłotnika. Jedyne co nas kiedykolwiek łączyło, to oddanie Syldzie, po jej śmierci jego uczynki stały się dla mnie niezrozumiałe, szczególnie, że nie mogłem wyczytać w jego twarzy niczego poza wyczerpaniem, a w oczach widziałem jedynie pustkę, jaka bierze się z żałoby.

Cały dzień powstrzymywałem się przed zadaniem tego pytania, podążając za niestrudzonym Piwowarem wzdłuż biegu strumienia. Cały czas nadstawałem uszu, nasłuchując rytmicznego łomotu kopyt lub zawodzenia ogarów. Pozwoliłem sobie na odrobinę nadziei, że lord Eldurm zobaczy zawałony szyb i uzna, że pochłonął on wszystkich niedoszłych uciekinierów wraz z kilkoma nieszczęsnymi strażnikami. Jednak taki optymizm był bez dwóch zdań niebezpieczny. Może i Eldurm był sympatycznym idiotą, ale samą próbą ucieczki splamiliśmy honor jego rodziny, a żaden szlachcic, nawet usychający z beznadziejnej tęsknoty za kobietą, nie mógł przejść do porządku dziennego nad taką obrazą. Eldurm z pewnością poszuka przynajmniej wylotu szybu, znajdzie go, a zaraz obok – trupa z bełtem w głowie. Jego psy od razu podejmą trop i poprowadzą jego lordowską mość do lasu. Wprawdzie mieliśmy przynajmniej trzygodzinną przewagę na starcie, ale zniknie ona szybko, gdy gonić nas będą konni.

Dłuższą przerwę zrobiliśmy dopiero przy zrujnowanym młynie, starożytnym budynku, który stał tu pewnie jeszcze w czasach pierwszego Trójkrólewia. W porośniętych mchem kamieniach można było się dopatrzeć dawnego przeznaczenia budowli, ale z potężnego niegdyś koła pozostała jedynie żelazna piasta przeżarta rdzą ponad wszelkie wyobrażenie.

Schowaliśmy się we wnęce utworzonej z trzech skarłających ścian. Toria upadła na czworaki, gdy tylko się zatrzymała. Zwymiotowała jedzenie, które zjadła wcześniej, po czym zwała się na plecy i leżała tak zdyszana i ze spoconą twarzą, wpatrując się w niebo przez splątane gałęzie. Nie była w stanie wykrztusić z siebie

choćby słowa, ale udało jej się zmusić do grymasu, kiedy wydyszałem:

– Mogę wziąć twój nóż, gdy już umrzesz?

Rzuciłem worek na ziemię i oparłem plecy o ścianę, zamierzając stać tak, póki nie minie wyczerpanie. Jednakże moje nogi miały w tym względzie własne pomysły i natychmiast złożyły się pode mną. Leżałem ogłuszony i odrętwiały wysiłkiem i lękiem przed nim, póki nie odzyskałem sił na tyle, aby dźwignąć się do pozycji siedzącej. Piwowarowi udało się oprzeć o ścianę bez przewracania. Siedziałem i patrzyłem, jak robaki roją się wokół jego spoconej twarzy, i nie mogłem się nadziwić, że wciąż miał kilof przytroczony do pleców.

– Dlaczego? – zapytałem. Pytanie sprawiło, że przestał wpatrywać się przed siebie niewidzącym spojrzeniem i skupił je na mnie, aczkolwiek wciąż nie potrafiłem powiedzieć, czy w jego wzroku widziałem gniew, czy tylko rozpacz.

– Bo mi kazała – odpowiedział. – Gdy mieliśmy rozpocząć jej misję, do mnie należało zadbać o twoje bezpieczeństwo. Nie widziałem w tym sensu, ale kazała mi przysiąc, że tak uczynię bez względu na to, co się z nami stanie.

– Kiedy dotrzemy do Callintoru, możesz zapomnieć o tej przysiędze – oznajmiłem i jęcząc z wysiłku sięgnąłem po worek. – Możesz też czuć się zwolniony z niej już teraz, jeśli chcesz.

– Nie ty mnie będziesz z niej zwalniał.

Podniosłem wzrok znad worka i zobaczyłem, że on wciąż wpatruje się we mnie z większym nawet skupieniem niż przed chwilą i świadomością celu.

– Nie potrzebuję obrońcy – zaprotestowałem, na co on roześmiał się jadownicie.

– Rzeczywiście byłeś głuchy na prawdę słów Męczennicy Syldy – rzekł mi Piwowar. – Znaj siebie ponad innych. Pamiętasz? Ty, Alwynie Skrybo, jesteś człowiekiem, którego inni zawsze będą chcieli zabić. Sam bym to zrobił już lata temu, gdyby mi nie zabroniła.

– Nie. – Wróciłem do grzebania w worku i wreszcie wyciągnąłem jabłko, które odłożyłem na podróż. – Najwyżej byś próbował.

Odgryziony kęs jabłka był wspaniały, zalał moje usta płynną słodyczą. Ugryzłem raz jeszcze i spojrzałem w stronę Torii, która podnosiła się powoli.

– Masz. – Rzuciłem jej na wpół zjedzony owoc. – Z pustym brzuchem daleko nie pobiegiesz.

– Kolejny dar od jego lordowskiej mości? – Łypnęła na jabłko podejrzliwie, po czym zmusiła się, by je ugryźć. Jej obwisłe policzki i przygięty grzbiet bardzo mnie niepokoiły, widziałem w jej oczach obojętność, która powiedziała mi, że ciało zbliża się do granicy możliwości. Toria była silna i zwinna, lata pracy wyćwiczyły jej mięśnie, nikt jednak nie mógł tak biec bez końca.

– Od strażnika – odpowiedziałem. – Za napisanie mu listu do ukochanej. Jedz i napij się porządnie.

Miałem nadzieję, że przerwa potrwa do wieczora, pozwalając Torii wypocząć na tyle, by bez większych trudności dobiec do Callintoru. Jednak los rzadko bywa tak hojny. Dźwięk był odległy i słaby, przyniesiony wschodnim wiatrem i łatwo można było go przeoczyć wśród szelestu liści i śpiewu leśnych ptaków, ale moje uszy banity wciąż były równie czujne i bystre jak oczy. Nadal daleko, uznałem, przechyliwszy głowę, by przez moment nasłuchiwać odległego skowytu. Ale złapały nasz trop.

– Ogary – powiedziałem i skrzywiłem się boleśnie, wstając.

– Nic, kurwa, nie słyszę – zaprotestowała Toria, gdy pochyliłem się, aby ją podnieść.

– W takim razie masz szczęście, że ja coś słyszę. Zostaw to. – Wyrwałem worek z jej ręki i odrzuciłem w paprocie. – Nie możemy już się zatrzymywać.

Spojrzałem jej w twarz i zaniepokoiłem się jeszcze bardziej. Prawdziwe wyczerpanie jest niepomiernie zdradliwe, kłamie swym ofiarom, szepcze obietnice, których nie może dotrzymać, udaje, że niebezpieczeństwo nie istnieje i wszystko będzie w porządku, jeśli poleżysz tu tylko przez minutę. Widziałem, jak te myśli odbijają się na twarzy Torii, podjąłem zatem oczywistą, choć wielce ryzykowną decyzję.

Uderzenie było mocne, moja dłoń trafiła Torię w policzek i szczękę z wystarczającym impetem, by zostawić sińca. Reakcja Torii była satysfakcjonująco szybka.

– Drań!

Uchyliłem się przed cięciem, które mogło rozplatać mi gardło i dwoma pchnięciami wymierzonymi w moją pierś.

– Nakarmię cię własnym kutasem, skurwysynu! – Ugięła kolana, zmieniając nieustannie chwyt na nożu, co było popularną taktyką, mającą na celu zmylenie przeciwnika. Jej twarz płonęła czerwienią za wyjątkiem bladego śladu mojej dłoni, w jasno błyszczących oczach niemal nie było widać oznak wyczerpania.

– Zabijesz mnie później – powiedziałem, po czym wziąłem ostatni łyk wody z bukłaka i jego też wyrzuciłem. – Teraz jednak musimy biec.



Po godzinie zostawiliśmy las za sobą i daliśmy nura w pole pszenicy. Zachodzące słońce malowało kołyszące się łany na czerwonożółtą barwę, którą na pewno uznalibyśmy za zachwycającą w innych okolicznościach. Na nasze szczęście pszenica była wysoka, niemalże gotowa do zżęcia, co oznaczało, że gdy biegliśmy pochyleni, mogliśmy ukryć się przed wzrokiem naszych prześladowców. Jednakże nic nie mogło nas ukryć przed nosami ich ogarów.

W miarę jak dzień zbliżał się do końca, odległy skowyt zmienił się w chór szczeknięć i zawodzenia. Wiedziałem, że to głosy wilkarów, psów hodowanych specjalnie do polowania na ludzi, nie na leśną zwierzynę. Były to psy wysokie w kłębie i zazwyczaj wystarczająco silne, by w pojedynkę przewrócić dorosłego mężczyznę. Obawiałem się ich kłów, to prawda, ale jeszcze bardziej bałem się biczy i mieczy ich panów. Psy szkolono tak, by zatrzymały ofiarę, a nie zabijały, co mogło się zdarzyć jedynie wskutek ich nadmiernego entuzjazmu. Nie miałem jednak wątpliwości, że lord Eldurm chciał pojmać swych zbiegłych podopiecznych żywcem. Trzy trupy zrobiłyby niewielkie wrażenie na pozostałych więźniach Wyrobisk, albowiem ci aż nadto przyzwyczajeni byli do widoku śmierci. Za to trzech żywych zbiegów poddanych niekończącym się

mężom, po których czekało ich powieszenie przed bramą, dostarczyłoby wyraźnego i zapadającego w pamięć przykładu.

Takie myśli sprawiały, że biegłem mimo bólu, który teraz pulsował już w każdym mięśniu mego ciała. Toria, jak nic myślała coś podobnego, ponieważ jakimś cudem zdołała dotrzymać mi kroku, choć zdarzyło się jej potknąć kilka razy. Miałem nadzieję, że nie przyjdzie jej później słono zapłacić za ten wybuch sił, jednak o to zamierzałem się martwić później.

Tak jak wcześniej i teraz Piwowar biegł pierwszy, aczkolwiek nawet on zaczął opadać z sił. W końcu zmęczoną stopą trafił na kretowisko i zwałił się na ziemię w płątaninie kończyn.

– Nie – usłyszałem, jak stęknął wściekły na siebie samego, używając kilofa, by znów dźwignąć się na nogi. – Zrób chociaż tyle, ty żałosny kundlu.

Mniej więcej w połowie pola wysiłek związany z biegiem stał się tak ogromny, tak wszechogarniający, że czułem zbliżający się moment, w którym moje ciało po prostu się podda. I niewątpliwie tak by się stało, gdybym nie dostrzegł czerniejących w oddali iglic. Było ich cztery, każda wieńczyła dach świątyni innego męczennika w Callintorze. Wznosiły się ponad łąn pszenicy, jak czarne groty włóczni, doskonale widoczne na tle czerwieniejącego nieba.

Toria upadła ponownie z żalonym jękiem.

– Dalej! – Oplotłem jej wąską talię ramieniem i zmusiłem, by wstała, drugą ręką gorączkowo wskazywałem iglice. – Spójrz! Już prawie jesteśmy!

Szarpałem i popychałem ją przez chwilę, aż wreszcie wyszliśmy z pszenicy i zobaczyliśmy Piwowara, który zataczał się, bliski całkowitego wyczerpania, potykając się o koleiny wyżłobione kołami wozów. Kilkanaście jardów dalej znajdował się brzeg wąskiej, ale głębokiej rzeki, a po jej drugiej stronie wznosił się częstokół świętego miasta-sanktuarium: Callintoru. Rozejrzawszy się zrozumiałem, że droga, na której się znaleźliśmy, ciągnęła się wzdłuż brzegu w obie strony, ale w zasięgu wzroku nie było mostu ani bramy.

– Wygląda na to, że ździebko zboczyliśmy z kursu – wysapałem, pozwalając, by Toria wysunęła się z mojego chwytu.

Osunęła się na kolana i z głową odrzuconą do tyłu, spazmatycznie chwytała powietrze.

– Główna brama jest tam. – Piwowar wskazał kciukiem wschód kawałeczek dalej...

Później dowiedziałem się, że czasami wilkary szkolone są tak, by zamilknąć, gdy zbliżają się do ofiary. Szczekanie i skowyty rozbrzmiewające, kiedy psy podążają tropem upatrzonej zwierzyny, mają służyć ich ludzkim panom. Jednak odpowiednio wyszkolone wilkary, gdy są już blisko schwywania zdobyczy, niezmiennie cichną. Bestia, która wyskoczyła z pszenicy i wylądowała na plecach Piwowara, dorównała mu chyba wzrostem, gdyby tylko poruszała się na tylnych łapach. Jej kudłate ciało było ciężkie na tyle, by w oka mgnieniu przygwoździć potężnego uciekiniera do ziemi. Zwierz wykręcił szyję i rozwarł wielkie szczęki, z godną węża szybkością i precyzją zamierzał uchwycić podniesioną rękę Piwowara.

Skoczyłem bez zastanowienia i zatopiłem nóż w ścięgnach tuż za szczęką wilkara. Oplotłem go nogami, chwyciłem drugą ręką i odtoczyłem się w bok. Bolesnie uderzyłem plecami w ziemię, ale utrzymałem chwyt z dziką siłą zrodzoną z chęci przetrwania. Pies miotał się ze mną w desperackiej furii. Wyrwałem nóż z rany i dwukrotnie jeszcze dźgnąłem go w szyję, w nadziei znalezienia odpowiednio wielkiej żyły. Miałem szczęście, albowiem pierwszy cios okazał się wyjątkowo celny i szczęki ogara kłapały już tylko, nie czyniąc mi krzywdy. Utoczyłem bestii sporo krwi, nie zdołałem jej jednak położyć trupem.

Świsnęło powietrze i wilkar wyprężył się ze skowytem, po czym życie opuściło kudłate ciało. Odpelźłem na kolanach, patrząc jak Piwowar stopą przytrzymuje klatkę piersiową zabitego zwierzęcia i wyciąga z niej kilof.

Szelest pszenicy sprawił, że Piwowar obrócił się na pięcie. Kolejny wilkar wyskoczył z ładu niczym zabójcza plama szarości, po czym cofnął się nagle z gniewnym skomleniem, gdy coś małego, ale szybkiego trafiło go w oko. Zerknąłem w prawo i dojrzałem Torię, ściskającą procę, którą zabrała martwemu Żywopłotnikowi. Wystarczył jeden wprawny ruch ręką i kolejny kamień uderzył zdezorientowanego psa w zad. Wilkar natychmiast przestał interesować się Piwowarem i całą swoją uwagę skupił na Torii,

ściągnął wargi, odsłaniając zabójcze kły i przywarował, szykując się do skoku. To był śmiertelny błąd. Piwowar miał dość czasu, by podnieść swój kilof i opuścić księżycowe ostrze z całą siłą mocarnych ramion. Krew bluznęła, głowa wilczarza potoczyła się po piachu, a ciało przez moment jeszcze darło ziemię pazurami i podskakiwało w nieprzyzwoitym tańcu.

Przenikliwe wołanie rogu kazało mi spojrzeć ku polu pszenicy, która kołysała się gwałtownie, tam gdzie kilka długich kształtów sunęło w naszą stronę. Za nimi ujrzałem jednak coś, co przeraziło mnie znacznie bardziej – gasnące słońce połyskiwało na zbrojach przynajmniej tuzina konnych. Lord Eldurm nie uznał za stosowne zabrać swego rodowego sztandaru, ale i tak, bez najmniejszego trudu, rozpoznałem jego wysoką sylwetkę na przedzie. Obnażony miecz w dłoni szlachcica sugerował, że być może wcale nie chodziło mu o długotrwałe tortury.

– Zapomnijcie o bramie – powiedziałem, wstając i ruszyłem ku rzece. – Przeplniemy.

Złapałem mocno worek, w którym kryło się moje biurko i zabezpieczone skórą skarby, jakimi były testament Syldy i Zwój Męczennika Callina, po czym rzuciłem go z całą siłą, na jaką jeszcze było mnie stać. Zanim zanurzyłem się w wodzie, zobaczyłem, jak ląduje wśród trzcin po przeciwnej stronie. Płynąca powoli woda była ohydna, pełna szlamu, cuchnąca ściekami ludzkimi jak i zwierzęcymi. Ale ledwie zwracałem na to uwagę, młócąc ją uderzeniami ramion, bowiem rosnący huk kopyt dodawał mi sił. Dotarłem do trzcin porastających przeciwległy brzeg i miotałem się wśród nich tak długo, póki nie znalazłem swojego worka, dopiero wtedy wylazłem na brzeg i stanąłem chwiejnie, patrząc na stare, pokryte zaprawą pnie, które formowały mury Callintoru. Kiedy osunąłem się po tej szorstkiej barierze, zrozumiałem, że nie mam jak zwrócić uwagi tych, którzy się znajdowali po drugiej stronie. Syllda uczyła nas cierpliwie, jakich słów powinniśmy użyć, gdy prosimy o schronienie, ale co z tego był za pożytek, skoro nikt tych słów nie mógł usłyszeć?

Poczułem na twarzy deszcz kropel – Piwowar dotarł do muru, po czym zwałił się obok mnie z głośnym sapnięciem, które powiedziało mi, że i jego siły w końcu się wyczerpały. Odgłosy

chlapania i wysokich stęknień kazały mi spojrzeć ku rzece, gdzie Toria właśnie wychodziła z wody. Wydostawszy się podpełzła do nas, po czym wymierzyła mi słaby policzek.

– Oddaję... – jęknęła. – Zasrańcu...

Nasza trójka leżała pod murami miasta, byliśmy zbyt zmęczeni, by się ruszyć, gdy tuzin uzbrojonych i opancerzonych mężczyzn zatrzymał konie po drugiej stronie rzeki. Wilkary kręciły się zmieszane w kółko, najwyraźniej odstraszone przez smród i głębokość wody. Jeden z jeźdźców, myśliwy zapewne, nie miał bowiem zbroi tylko skórzane odzienie, zsiadł z konia i począł przywoływać psy. Jego spojrzenie, poczerwieniałe od żalu i poczucia winy, przenosiło się nieustannie między nami a ciałami zabitych ogarów. Jednak moim głównym zmartwieniem był lord Eldurm, a nie jego pogrążony w żalobie łowczy.

Uniesiona zasłona przyłbicy odsłaniała mroczną, pokrytą plamami twarz mężczyzny, którego nie przestawały nękać wściekłość i poczucie zdrady. Nie mogłem żadnym sposobem poznać treści listu, który zostawiła mu Syllda, ale mordercza furia, którą widziałem w jego spojrzeniu, pozwalała mi przypuszczać, że nie były to miłe słowa. Powiedziała mu prawdę, uznałem z jękiem znużenia, obserwując, jak szlachcic macha niecierpliwą ręką do jednego ze swoich ludzi. Niełatwo słuchać prawdy.

Widok naładowanej kuszy, którą żołnierz złożył w ręce lorda Eldurma, wzbudził w moim wyczerpanym do cna ciele lekki dreszcz strachu. Ale i tak nie byłem w stanie zrobić nic więcej, niż drgnąć, gdy szlachcic podniósł kuszę, osadzając jej kolbę na ramieniu i celując wzdłuż łoża.

– Przynajmniej zabija własnymi rękami – zauważył obojętnie Piwowar.

– Nie jest taki najgorszy, prawdę mówiąc – mruknąłem równie apatycznie.

– Zaraza na niego i jego szlachecki zad – odezwała się Toria, zbyt wyczerpana, aby nadać swym słowom zwykłej jadowitości. – I tak nas pozabija, nie?

W rzeczywistości, w pierwszej próbie lord Eldurm posłał bełt z kuszy w jeden z mocarnych bali co najmniej stopę nad naszymi głowami. Patrzyłem, jak wściekle domaga się kolejnego bełtu,

a następnie schodzi z konia i próbuje przeładować broń; rozbawiło mnie to niespodziewanie i roześmiałem się głośno. Widać było, że jego lordowska mość nie ma pojęcia, jak działa kusza, bezskutecznie szarpał za linkę, zamiast kręcić korbą. Po kilku bezowocnych próbach zmuszony był oddać kuszę żołnierzowi, którego poganiał natarczywymi słowy, gdy ten naciągał cięciwę i mocował w zamku. Przez cały ten czas śmiałem się coraz bardziej, aż w końcu mój śmiech stał się tak głośny, że docierał na drugą stronę rzeki.

To podsycało jeszcze kipiącą wściekłość lorda Eldurma, wyrwał załadowaną kuszę z rąk żołnierza, podniósł i strzelił, nie marnując nawet chwili, aby wycelować. Bełt wbił się w ziemię metr od nas, co sprawiło, że roześmiałem się jeszcze bardziej.

– Wygląda na to, mój panie – zawołałem do niego, stwierdziwszy z zaskoczeniem, że ten atak wesołości pozwolił mi odzyskać odrobinę sił – że jesteś równie dobry w strzelaniu, jak i w zalotach!

– Zawrzyj plugawą gębę, Skrybo! – odrzyknął, a trawiąca go furia sprawiła, że głos osiągnął wysokie i przenikliwe tony. Odrzucił kuszę i doskoczył do swego wierzchowca, by wyciągnąć miecz z przytroczonej do siodła pochwy. Gniew najwyraźniej odebrał mu rozum, bo wszedł do wody, mimo że ciężka zbroja musiała pociągnąć go na dno i jak nic groziło mu utonięcie w zasnutych głównym odmętach. Jego ludzie szybko rzucili się za nim i wyciągnęli go z rzeki, nie bacząc na głośne protesty, wszyscy zwalili się na lśniący stos, gdy on bezskutecznie próbował się uwolnić.

Teraz już śmiałem się do rozpuku, dosłownie odkryłem, że jest jak najbardziej możliwe, by z czystej wesołości zmoczyć własne spodnie.

– Zaprzestańcie natychmiast tego niegodnego zachowania!

Głos dochodził z góry, szorstki, zgrzytliwy, jednak rozbrzmiewał z wystarczającą siłą i autorytetem, by położyć nagły kres zarówno wysiłkom lorda Eldurma, jak i mojej wesołości. Podniosłem wzrok i w pierwszej chwili myślałem, że to sowa spogląda na mnie ze szczytu muru. Nad wąską, spiczastą brodą mrugało dwoje przeogromnych oczu. Przez sekundę wpatrywałem się w nie w skonfundowanym milczeniu, aż głowa sowy przekrzywiła się nieco i dostrzegłem kościstą rękę trzymającą coś na

kształt drewnianej oprawy, w której umocowane były grube soczewki. Wielgachne oczy zmalowały nieco, gdy ich właściciel skupił wzrok na stercie opancerzonych mężczyzn po drugiej stronie rzeki.

– To najświętsze miejsce w całym Albermine, jeśli nie liczyć Katedry Męczennika Althinora! – zaczął wąskolicy z grzmiącym oburzeniem. – Jak śmiecie kalać tę świętość przemocą.

– Ja... – Głos lorda Eldurma ucichł, gdy rycerz spróbował oderwać się od swych zbrojnych, co udało mu się wreszcie przy akompaniamencie zgrzytów i pisków metalu. – Ja jestem sir Eldurm Gulatte – przedstawił się, prostując w pozie na tyle godnej, na ile pozwolił trzęsący nim gniew. – Lord Strażnik Królewskich Kopalni, ci zaś łajdacy... – wskazał nas, skulonych u podstawy muru trzęsącym się palcem – to moi więźniowie, których czeka niezwłoczna egzekucja, za próbę ucieczki z dożywotniej służby..

– Ascendancie! – krzyknąłem, dźwignąwszy się z trudem i cofnąłem się o kilka kroków od muru. – Jesteście, panie, tu ascendantem, prawda?

Domyśliłem się jego rangi po czerwonym obszyciu kaptura habitu. Poza tym kapłan niższej rangi nie mógł przemawiać głosem tak rozkazującym. Dzięki naukom Syldy wiedziałem, że w Callintorze zawsze rezydowało czterech ascendantów, po jednym na każdą ze świątyń.

Wąska twarz i olbrzymie oczy znów skierowały się w moją stronę, tymczasem ja, nie czekając na odpowiedź, podniosłem swój worek.

– Jestem w posiadaniu najwspanialszej istniejącej kopii Zwoju Męczennika Callina, od którego świętego imienia nazwano to miasto. Mam też jedyną relikwię, jaką pozostawił po sobie Męczennik Callin i – zawiesiłem głos dla lepszego efektu – ostatni testament ascendantki Syldy Doiselle. Jako prawdziwi wyznawcy Przymierza Męczenników, ja i moi towarzysze błagamy sługi tego świętego miejsca o azyl.

Początkowo oczy spoglądały na mnie bez cienia emocji, ale zmrużyły się lekko na wspomnienie relikwii i jeszcze mocniej na dźwięk imienia Syldy. Nie przestały się we mnie wpatrywać po tym, jak już zamilkłem i odpowiedziałem na ten badawczy wzrok spojrzeniem przepelnionym rozpaczliwym błaganem. Sylda

ostrzegła mnie, bym nie uciekał się do błagań, bo tych, którzy mieli tu władzę, rzadko poruszały takie prośby. Udzielenie azylu było jak najbardziej w gestii kapłanów Przymierza, ale nie było to regulowane prawem i często ascendanci udzielali schronienia pod wpływem kaprysu, jeśli nie dla łapówki, a ja właśnie wydałem jedyną monetę, jaką mieliśmy.

– Ten człowiek jest kłamcą i mordercą! – zawołał lord Eldurm, głosem jeszcze wyższym i jeszcze bardziej przenikliwym niż kiedykolwiek wcześniej. Jednak ukryte za szklami oczy ascendanta ledwie drgnęły.

– Azyl zostanie udzielony – ogłosił, opuszczając ramkę z soczewkami i odsłaniając twarz. Na pierwszy rzut oka nie był człowiekiem imponującym, oblicze miał blade i wyróżniające się jedynie swoją zwyczajnością. Ale spojrzenie spod przymrużonych powiek zdradzało te samą inteligencję, którą dostrzegałem u Syldy, tyle że pozbawioną jej współczucia. Od razu wiedziałem, że jest to człowiek niezwykle wyrachowany.

– Udajcie się do bramy – polecił nam, machnąwszy dłonią ku wschodowi, po czym spojrzał w kierunku grupy lorda Eldurma. – Wasza lordowska mość, jeśli masz zastrzeżenia względem mojej decyzji, możesz je przedstawić na piśmie Radzie Luminarzy w Couravel. Pragnę ci jednak przypomnieć, że jestem świadkiem tego wydarzenia, a jakakolwiek przemoc w granicach tego miasta niesie ze sobą zarówno karę ekskomuniki z Przymierza, jak i wyrok śmierci z rozkazu Korony.



Spojrzałem na wyciągniętą dłoń ascendanta Hilberta, wciąż zbyt zmęczony, by mieć siły na ukrycie obawy. Widok tej dłoni był makabrycznie fascynujący, knykcie nabrzmiały do rozmiarów kasztanów, a ciało pokryte wzorem wybrzuszonych żył. Atrament barwiący opuszki palców na trwale ciemnoniebieski kolor, nie pozostawiał wątpliwości, że to ręka człowieka, który spędził większość swoich dni pracując z piórem i pergaminem. Plamy na

moich palcach nie były tak ciemne, ale wiedziałem, że jeśli uda mi się kontynuować pracę skryby, pewnego dnia z pewnością dorównam mu pod tym względem.

Niezależnie od stanu rąk Hilberta, najwyraźniej zachowały one sporą sprawność, co wywnioskowałem po głośnym i zniecierpliwionym pstryknięciu. Odbiło się ono zwielokrotnionym echem od ścian komnaty, do której mnie zaprowadzono, miejscu położonym na tyłach kaplicy Męczennika Callina, o niewielkiej powierzchni, ale wysokich, łukowo wysklepionych sufitach. W komnacie byliśmy tylko we dwóch, Toria i Piwowar czekali w korytarzu na zewnątrz w towarzystwie pół tuzina krzepkich świeckich sług w czarnych tabardach gwardzistów Przymierza.

Nasza podróż tutaj okazała się zaskakująco szybka, witający nas gwardziści nie marnowali czasu na uprzejmości i prowadzili nas dziwnie prostą aleją wprost do świątyni. Po drodze minęliśmy kilku gapiów, ale nasze przybycie nie wzbudziło szczególnego poruszenia, co oznaczało, że z przygnębiającą wyrazistością słyszałem gniewną tyradę lorda Eldurma. On i jego ludzie szli naszym śladem wzdłuż brzegu rzeki po samą bramę, a każdy krok czyniliśmy, drżąc, że kolejny bełt z kuszy pomknie w naszą stronę. O dziwo, gdy wybawienie znalazło się na wyciągnięcie ręki, gniew jego lordowskiej mości nie wydawał mi się już zabawny.

– Splugawiłeś mój honor, Skrybo! – wściekał się lord Eldurm, gdy przechodziliśmy przez bramę. – Naszczałeś, chamie, na moją szczodroblivość. Nie myśl, że ta dziura ukryje cię na zawsze! Pewnego dnia zrobię ci prezent, Skrybo! Naszyjnik, wykonany z twoich własnych wnętrzności...

– Relikwia – zażądał ascendant o wąskiej twarzy i znów pstryknął palcami. – I testament. Nie będę się spierał, chyba że chciałbyś przejść z powrotem przez bramę i prosić lorda Eldurma o litość. Schronienia można odmówić, tak samo jak go udzielić.

„Kiedy nadejdzie właściwy moment”, powiedziała mi Sylđa. „Będiesz wiedział, kiedy”. I wiedziałem. Wiedziałem, że oddanie pełnej i nieocenzurowanej wersji jej testamentu w ręce tego człowieka byłoby bardzo dużym, być może śmiertelnym, błędem. W życiu trzeba bardziej uważać na myślicieli niż na okrutników, miałem jasność, że ascendant Hilbert był człowiekiem, który bardzo

dużo myśli. Wyobrażałem sobie, że ujawnię zwierzenia Syldy spotkawszy duszę o niezrównanej mądrości i pobożności, jakiegoś starego, mądrego kapłana lub innego mędrca, który najlepiej będzie wiedział, co zrobić z tak niebezpieczną wiedzą. Hilbert na pewno nie był tym człowiekiem. Nie znaczyło to jednak, że nie miałem dla niego podarku.

– To zdumiewająca historia. – Przełknąłem z wysiłkiem ślinę, walcząc z emocjami, które tylko po części były udawane, po czym podałem mu monetę z kieszeni, zanim sięgnąłem do worka po testament. – Poruszy serca wszystkich, którzy go wysłuchają.

Hilbert przez chwilę obracał monetę w palcach, podnosząc ją do ewidentnie słabych oczu, po czym chrząknął z zadowoleniem, upewniwszy się co do jej wieku. Jednak największe jego zainteresowanie wzbudziły obwiązane sznurkiem pergaminy.

– Czytałeś to? – zapytał, nie spróbował nawet odwiązać sznurków, tylko postukał w pergamin czubkiem poplamionego palca, ostrożnie, jakby sprawdzał temperaturę czajnika.

– Podyktowała go mnie. – Otarłem wilgoć z oczu i uśmiechnąłem się niepewnie. Worek trzymałem pod łokciem w nadziei, że zainteresowanie dokumentami, które Hilbert miał w ręku, okaże się na tyle duże, że kapłan nie będzie się upierał przy przeszukaniu. Gdyby to uczynił, odkryłby inną, znacznie dłuższą wersję testamentu Syldy, choć miałyby pewnie trudności z jej odczytaniem. – Jestem skrybą.

Ascendant Hilbert skinął zdawkowo głową, nieodmiennie skupiony na testamencie.

– I jest to, twoim zdaniem, wyczerpująca relacja?

– Z tego co wiem, jak najbardziej. – Zmarszczyłem brwi, żeby zasugerować ascendantowi moje zdziwienie z nieznaczną domieszką obrazy. – To nie była kobieta, która tolerowałaby nieuczciwość, swoją czy innych.

– Nie była – zgodził się Hilbert, wzruszając lekko ramionami – przynajmniej nie wtedy, gdy ją znałem, choć trwało to bardzo krótko. Kiedy umarła?

Nie widziałem powodów, aby kłamać w tej kwestii. Hilbert doskonale wiedział, że jestem banitą i jakiej zbrodni dopuściłem się ostatnio. Uznałem jednak, że lepiej nie oświecać go co do roli, jaką

Sylda odegrała we własnej śmierci. Oficjalnie Przymierze nie potępiało samobójstwa, ale nadal było ono źle widziane przez duchownych.

– Dwa dni temu, ascendancie. Wykopaliśmy tunel, by uciec z Wyrobisk. Zawalił się, zanim zdążyła się wydostać. Wszyscy zginęli, cała kongregacja, poza mną i moimi towarzyszami.

Dopiero teraz Hilbert spojrział na mnie.

– Stworzyła kongregację w Wyrobiskach?

– W rzeczy samej, ascendancie, i była przez nas naprawdę kochana.

– Czyli ucieczka wbrew prawu była jej pomysłem?

– Owszem. Ale wierzę, że zamierzała złożyć ten testament w ręce Przymierza, wraz z kopią Zwoju Męczennika Callina.

Nie czekając na pozwolenie wyciągnąłem zwój ze skórzanej tuby, która go zabezpieczała podczas naszej ucieczki z Wyrobisk. Ascendant obejrzał oferowany mu zwój bez szczególnego zainteresowania, po czym wyciągnął po niego rękę. Kiedy rozwinął pierwsze kilka cali, jego brwi uniosły się w wyrazie zaskoczenia.

– To twoje dzieło? – zapytał, nie czyniąc żadnych starań, by ukryć powątpiewanie.

– Moje. Ascendantka Sylda była najlepszą z nauczycielek.

Spochmurniał i odwrócił się, by przejść do wielkiego dębowego biurka, za którym zasiadł z oboma dokumentami.

– Nie powinienes używać jej tytułu – pouczył mnie. – A przynajmniej nie wtedy, gdy może usłyszeć cię ktoś z duchowieństwa. Odebrano jej tytuł, gdy król Mathis ogłosił wyrok. Wiesz, jaką zbrodnię popełniła, jak mniemam? Skoro ty spisywałaś jej testament.

– Wiem, ascendancie. – Zawahałem się, a on się obrócił i patrzył mi w oczy, póki nie podałem mu odpowiedzi. – Morderstwo.

– Tak. – Hilbert znów skoncentrował się na zwoju, wykorzystując płaską powierzchnię blatu rozwinął go jeszcze bardziej. – Morderstwo innego kapłana. Niektórzy byliby gotowi twierdzić, że to najgorsza zbrodnia, jaką może popełnić sługa Przymierza. – Przyjrzał się bliżej zwojowi, z ustami ściągniętymi w wyrazie, jak miałem nadzieję, podziwu. – Szkoda, że nie zapisano go na welinie – mruknął z zadumą. – Pergamin jest irytująco

kruchym materiałem. Jak podejrzewam, spędzisz z nami trochę czasu, prawda, Alwynie Skrybo?

Skłoniłem się, przełykając westchnienie ulgi.

– Z radością wykonam jeszcze jedną kopię, ascendancie.

– Tak. – Po raz pierwszy na jego twarzy pojawiło się ożywienie, kąciaki ust uniosły się odrobinę zaledwie, bo, jak podejrzewałem, nie uśmiechał się zbyt często. – Wykonasz. Wszyscy, którzy otrzymują azyl w naszych murach muszą zarobić na swe utrzymanie. Dostaniecie dach nad głową i wyżywienie, tak długo, jak będziecie na nie pracować. W Callintorze nie używamy pieniędzy i nie tolerujemy występków, jakie wynikają z ich użycia. Hulanki, pijaństwo, przekleństwa, pobłażanie nieczystym żądom ciała i każda forma przestępczości większej lub mniejszej są tu surowo zakazane. Złamanie tego zakazu karane jest tylko w jeden sposób: wydaleniem. Modlitwy odbywają się o pierwszym brzasku i zachodzie słońca i są obowiązkowe. Wybór świątyni pozostawiamy tobie, niemniej... – wskazał zwój – skoro tak dobrze znasz historię naszego Męczennika, nie wyobrażam sobie, byś chciał modlić się gdzie indziej.

Skłoniłem się raz jeszcze, bo umiałem rozpoznać zalecenie od pierwszego słowa.

– Oczywiście, ascendancie.

Gdy ponownie spojrział na testament na biurku, z jego twarzy znów zniknęły emocje.

– Ile kopii tego wykonałeś?

– Ani jednej, zgodnie z zaleceniami asce... – zająknąłem się na tytule, co ku mojemu zdumieniu zirytowało mnie bardziej, niż byłbym skłonny przypuszczać. Jeśli ktokolwiek zasługiwał na ten tytuł to właśnie ona. – Pani Sylde – dokończyłem.

– Dobrze. I niech tak zostanie. – Zerknął na mnie raz jeszcze, kalkulacje były w jego spojrzeniu aż nadto widoczne, choć być może dla mniej wyczulonych oczu jego wyrachowanie nie było aż tak oczywiste. Kolejne pytanie ascendant zadał zdawkowym tonem, co stanowiło dla mnie sygnał, że próbuje zamaskować głębsze zainteresowanie odpowiedzią. – Jakich zbrodni się dopuściłeś? Że zostałeś zesłany do Wyrobisk?

Odpowiedziałem z niewzruszoną szczerością, między innymi dlatego, że nie widziałem powodu, by kłamać.

– Złodziejstwo, przebywanie i polowanie w lasach książęcych oraz członkostwo w bandzie Deckina Scarla.

– Samego Króla Banitów, co? – Jego usta ponownie wygięły się niemal niedostrzegalnie. – Powiedz mi, naprawdę miał siedem stóp wzrostu i mógł zadusić człowieka jedną ręką?

– Był potężnym mężczyzną, ascendancie, ale nie aż tak wielkim. I gdy widziałem, jak kogoś dusił, to zawsze obiema rękoma.

Usta ascendanta wyprostowały się natychmiast i cień przemknął przez jego twarz, kapłan ponownie skupił uwagę na zwoju.

– Stróże pokażą tobie i twym towarzyszom odpowiednie kwatery – oznajmił machnięciem dłoni, kierując mnie w stronę drzwi. – W zeszłym tygodniu wydaliśmy kilku łotrów za prowadzenie spelunki z kośćmi i trunkami, więc dom powinien być wolny. Koniecznie wróćcie na wieczorne suplikacje. Jutro rano po suplikacjach zgłosisz się tutaj do pracy w skryptorium. Jeśli twoi przyjaciele nie dorównują ci umiejętnościami, mogą poszukać uczciwego zajęcia w ogrodach lub zagrodach.

Ukloniłem się raz jeszcze, tym razem jednak znacznie niżej, by zaznaczyć głębię mojej wdzięczności. Jednak ascendant Hilbert w ogóle tego nie zauważył, teraz całą jego uwagę pochłaniał testament. Nie przestawał gładzić dłonią sznurków, w sposób, który nie zostawiał najmniejszych wątpliwości, że zostaną zerwane, gdy tylko zamknę za sobą drzwi.



Jak już zapewne zauważyłeś, drogi czytelniku, miałem w swym życiu niejedną okazję, by zapoznać się z więzieniami. Często przy tym dumiałem nad ciekawą kwestią, że stan uwięzienia, niezależnie od tego, jak bardzo jest łagodny, nieuchronnie staje się nieznośny. Potrzeba było czterech lat ciężkiej pracy w tajemnicy, aby uciec od trudów Wyrobisk, ale po zaledwie trzech miesiącach w murach Callintor, moje myśli ponownie zwróciły się ku wyzwoleniu.

Ale dlaczego?, zapytacie. Nie dostawałeś jedzenia? Nie otrzymaliście dachu nad głową? Czy twoje dni nie były wypełnione owocną i ważną pracą? Czyż nie uczyłeś się codziennie czegoś nowego od swoich towarzyszy w skryptorium? Na wszystkie te pytania odpowiadam stanowczym „tak”, a jednak, gdy nadeszło święto Męczennicy Ahlianny, pragnąłem wydostać się z Callintor tak samo mocno, jak kiedyś pragnąłem wydostać się z Wyrobisk. Powód nie był wcale okryty tajemnicą, ani trudny do opisanego, choć wydaje mi się, że to Toria wyraziła go najlepiej:

– Jestem kurewsko znudzona!

Jej nóż z głośnym stuknięciem zagłębił się w główną belkę w naszym domu, drewno sypnęło drzazgami, gdy Toria uwolniła ostrze i wróciła na drugą stronę pokoju. Belka była cała naznaczona dowodami jej nieustających ćwiczeń. Broń oczywiście była w mieście zakazana, ale Toria zdobyła ostrze dzięki sprytności i bardzo

ostrożnej kradzieży, gdy pracowała u rzeźnika. Małe trójkątne ostrze okazało się bardzo ostre i doskonale wyważone, dzięki czemu idealnie nadawało się do rzucania. Za to duża i nieumeblowana izba zajmująca niemal cały parter naszego nowego domu, doskonale nadawała się do ćwiczeń.

Przestronność naszego nowego domu była jednym z kilku wygodnych aspektów tej nowej formy uwięzienia. Dom, który dzieliliśmy z Piwowarem, można było śmiało uznać za luksusowy w porównaniu z rudarami w wiosce mojego dzieciństwa. Każde z nas miało swój własny pokój na piętrze. Toria często przynosiła do domu porcję mięsa i pod koniec dnia piekliśmy je w dużym palenisku na dole. Piwowar znalazł sobie pracę w sadzie, więc do paleniska często trafiało słodko pachnące drewno jabłoni, a wieczorne posiłki zapijaliśmy kubkiem lub dwoma cydru. Mocne trunki były w Callintorze surowo zabronione, ale cydr i piwo były dozwolone, szczególnie ze względu na biegunkę, która dopadała delikwentów pijących zwykłą wodę. Nie wolno było się jednak upijać.

Nóż Torii ponownie uderzył w belkę, a ja oparłem się pokusie zgromienia jej surowym spojrzeniem. Choć każdego dnia spędzałem co najmniej dziesięć godzin na pisaniu, zawsze po powrocie ze skryptorium znajdowałem czas na odszyfrowanie przynajmniej kilku linijek oryginalnego testamentu Syldy. Na jej polecenie zapisałem tekst kodem, którego nauczyłem się aż rok, był to skomplikowany szyfr z podwójnym podstawieniem, który wymagał tak samo dobrej znajomości liczb, co liter. Był to kod znany tylko Syldzie i mnie, który przekładał jej testament na starożytny danehrycki, język Świętych Ziem używany tysiąc lat temu. Język ten był całkowicie nieczytelny dla wszystkich, poza najbardziej uczonymi, a nawet oni uznaliby treść testamentu za bełkot.

Kusiło mnie niejednokrotnie, by zostawić tekst w spokoju i zniwelować ryzyko, że odkryje go któryś ze stróżów. Te pobożne bandziory były zazwyczaj ludźmi o małym rozumku, ale znacznej sile mięśni, a ich ulubioną rozrywką było losowe przeszukiwanie domostw w nadziei znalezienia czegoś, co uzasadniałoby wydalenie. Lista zakazanych przedmiotów, za które można było wyrzucić nieszczęśnika za bramę była długa i często bezsensowna.

Poprzedniego miesiąca patrzyłem, jak wyrzucają starszą kobietę, która większość życia spędziła w sanktuarium. Chciała w ten sposób uniknąć pętli za zabójstwo męża, który ze zbyt wielkim entuzjazmem okładał ją pięściami. Jej przestępstwem było utkanie gobelinu przedstawiającego Męczennicę Melliach, z odsłoniętym w połowie biustem.

Gorliwość, z jaką stróże poszukiwali łamiących zasady Callintoru, skłaniała mnie ku przekonaniu, że otrzymują oni jakąś nagrodę za każdego nieszczęśnika, którego wyrzucą za bramy miasta. Choć każdego dnia coraz częściej myślałem o tym, by opuścić miasto, to myśl, że gdyby coś mi się stało, to cenne słowa Syldy przepadłyby na zawsze, była nie do zniesienia.

– Nie mów, że ty się nie nudzisz. – Nóż Torii ponownie uderzył w belkę. – Nienawidzisz tego miejsca. Widzę to. Nie jesteś takim dobrym aktorem, jak ci się wydaje.

– Jestem, jestem – odparłem, nie odrywając wzroku od na wpół odcyfrowanego testamentu. – Ty po prostu umiesz o wiele lepiej wywęszyć kłamstwo niż większość ludzi.

Usłyszałem westchnienie i szurnięcie stołka po klepisku wysypanym świeżą słomą.

– Mam dość krążenia w kółko. Kiedy stąd odejdziemy? – zapytała poważnie i z naciskiem.

– Kiedy przyjdzie właściwy moment.

– Znaczący, kiedy to skończysz. – Przysunęła się bliżej i przechyliła głowę, by przyjrzeć się słowom zapisanym na welinie, który ukradłem ze skryptorium. – Co tu jest takiego ważnego?

Nie zaprzętałem sobie głowy zasłanianiem tekstu. Mimo licznych propozycji ze strony Syldy, Toria nigdy jakoś nie zgodziła się na naukę liter.

– Formuła, jak zmienić każdy metal w złoto – mruknąłem.

– Och, goń się – prychnęła z irytacją i oparła na stole oba łokcie, składając podbródek na splecionych dłoniach. – Ona jest już martwa, a jednak ty i ten głupek wielkości niedźwiedzia wciąż jesteście jej niewolnikami.

– Dłużnikami. Wszyscy mamy u niej dług. Myślałem, że rozumiesz takie rzeczy.

– Rozumiem, że zwariuję ze szczętem, jeśli będę musiała siedzieć w tym miejscu jeszcze tydzień.

– Skoro cztery lata w Wyrobiskach cię nie zabiły, to tym bardziej kilka miesięcy tutaj.

– Nie martwię się o ciało – ściszyła nieco głos. – Tyko o duszę. To miejsce ją kała.

To wystarczyło, by wstrzymać moje pióro. Toria nie mówiła wiele o tym, jak jej południowa wiara Przymierza różni się od tutejszej, a ja miałem znikomą wiedzę na temat szczegółów. Wiedziałem, że istniały jakieś drobne różnice w stosunku do założeń ortodoksyjnej wiary. Jednak dlatego że nie mówiła o tym zbyt wiele, nieszczęście, jakie dostrzegłem w jej ściągniętych rysach, powiedziało mi, że nadal trzyma się ich z taką samą żarliwością, z jaką Piwowar trzymał się swoich.

– Kala jak? – zapytałem, a Toria poruszyła się wyraźnie zmieszana.

– Suplikacje – mruknęła.

– W twoich stronach nie ma suplikacji?

– Nie takich jak te. W domu zbieramy się, aby oddać hołd Męczennikom, ale wszystkim wolno mówić o naszym oddaniu. Nasze błagania oznaczają coś więcej niż tylko klepanie przez kapłanów pisma, którego nauczyli się na pamięć. Na południu wszyscy kapłani mają jedną rangę, wszyscy są pokornymi suplikantami, każdy z nich stanowi połączenie z łaską Serafilów, nie są barierą, ani strażnikami żądającymi zapłaty za zbawienie.

Mówiła niezwykle głośno, więc przycisnąłem palec do jej ust, rzucając jednocześnie zaniepokojone spojrzenie na zamknięte okno. Niewiele było wykroczeń, za które można było zostać wydalonym równie szybko i bez odwołania, jak głoszenie herezji. Odsunęła się gwałtownie od mojej dłoni i zaplotła ramiona na piersi. W takich chwilach zastanawiałem się, czy przypadkiem nie skłamała co do swego wieku, bo wyglądała jak nadąsane dziecko.

– Potrzebowaliśmy planu, żeby wydostać się z Wyrobisk – powiedziałem, przywołując na pomoc całą swoją cierpliwość. – Potrzebujemy planu, żeby uciec z Callintoru.

– Mam plan: wyjdziemy przez bramy i będziemy wolni.

– Nie. Gdy tylko znajdziemy się za bramą, jakiś chciwy drań skuszony nagrodą popędzi do lorda Eldurma. I jak myślisz, jak daleko wtedy zajdziemy?

– Couravel leży niecałe sto mil stąd. To pięć, może sześć dni drogi, jeśli utrzymamy dobre tempo. No, może siedem. Mniej, jeśli znajdziemy jakieś konie. A tam łatwo będzie nam się zgubić.

– I nigdy się nie znaleźć, jak słyszałem. I od kiedy to umiesz jeździć konno? Ja na pewno nie potrafię.

Skrzywiła się z frustracją.

– No to udajmy się na wybrzeże i tam znajdziemy jakiś statek. Są inne królestwa na świecie.

– Za miejsce na statku trzeba zapłacić. Czyżbyś miała jakieś pieniądze?

– Tu na pewno gdzieś jest jakiś schowek. Kapłani na północy zawsze mają jakieś pieniądze, chociaż wciąż powtarzają, że żyją w ubóstwie.

Zastanowiłem się nad tymi słowami, albowiem tkwiło w nich niewątpliwie ziarno prawdy, jak również ziarno planu. Rozważałem już od jakiegoś czasu rozmaite sposoby, na wydostanie nas z sideł tego świętego miasta i brak pieniędzy stanowił zawsze największą przeszkodę.

– Uwaga warta przemyślenia – przyznałem. – W Kaplicy Męczennika Callina mnóstwo jest zamkniętych drzwi. Po co zamykać drzwi, jeśli nie po to, by chronić coś wartościowego.

Niewielki uśmiech pojawił się na ustach Torii, a ona przysunęła się do mnie i wymierzyła mi w ramię żartobliwego kuksańca.

– A ja już się bałam, że całkiem oddałeś swą duszę tym skurwysynom... – Zamilkła gwałtownie, bowiem ktoś walił nagłaco pięścią w nierówne deski naszych drzwi. Może i kaplice miały solidne drzwi z zamkami, ale domy tych, którzy poszukiwali w mieście azylu były raczej marnej jakości. Co ułatwiało stróżom rozwalanie ich kopniakiem.

– Schowaj to – syknąłem do Torii, ruchem głowy wskazując nóż, ciągle jeszcze tkwiący w belce. Sam zaś zagarnąłem szybko atrament i welin. – Masz coś jeszcze?

Potrząsnęła przecząco głową, wyrwała nóż z drewna i kucnęła, by podnieść kamień, pod którym chowaliśmy naszą kontrabandę.

– Miałam zamiar wymienić ze Smythem trochę mięsa na odrobinę fajkowych liści – szepnęła. – Na szczęście tego nie zrobiłam.

Odczekałem, aż położy kamień na miejsce i szybkim ruchem nogi przysypałem go sianem. Jednak otworzywszy drzwi zamiast trzech mężczyzn w czarnych tunikach, których się spodziewałem, zobaczyłem szeroko otwarte oczy i pociągłą i lśniąca wilgocią twarz Nucklina, naszego sąsiada. Był to człowiek, który pozostawał w nieustannym ruchu, wciąż się wiercił i podrygiwał, a przede wszystkim pocił, przez co spowijał go nieustannie mało przyjemny zapach. Mądry człowiek wie, że zdrowe wyziewy odpędzają najgorsze z chorób, jednak ten smród stanowczo nie był czymś normalnym. Sprawiał, że trudno było dłużej wytrzymać towarzystwo Nucklina, zarazem jednak dzięki temu, nasz sąsiad miał dom cały dla siebie. Doszedłem do wniosku, że zwykła samotność zmusza go, aby odwiedzał nas z irytującą częstotliwością. Jednakże przelotne i pełne głodu spojrzenia, jakie rzucał na Torię sugerowały znacznie głębsze i całkowicie nieodwzajemnione zainteresowanie.

– Czego chcesz, śmierdzielu? – zapytała, jak zawsze z grymasem pogardy.

Nucklin pominął całkowicie jej aż nazbyt bezpośrednie pytanie i zwrócił się bezpośrednio do mnie. Jak zawsze akcentując zbyt mocno samogłoski i wszelkie głoski syczące, co było charakterystyczne dla jego przykrego alundiańskiego akcentu:

– Twój brat znów głosi kazania.

Żeby położyć kres jego nadmiernej ciekawości, Toria powiedziała Nucklinowi, że ja i Piwowar jesteśmy jej braćmi i bardzo niechętnie patrzymy na kręcących się wokół niej adoratorów. Znakiem niewielkiej przenikliwości tego człowieka było to, że uwierzył jej natychmiast, mimo że nie byliśmy do siebie podobni. Nie powstrzymało go to również w wynajdywaniu najróżniejszych wymówek, by zapukać do naszych drzwi. Aczkolwiek dziś przynajmniej miał dobry powód.

– Gdzie? – zapytałem z mieszaniną gniewu i irytacji.

– Przy cmentarzu. Stróże już się zbierali, kiedy pobiegłem ci powiedzieć.

– Masz moje podziękowania. – Zmusiłem się do uśmiechu i powstrzymałem się przed odruchowym klepinięciem go w ramię. – Ty tu zostań – pouczyłem Torię, gdy podniosła się, by ruszyć moim śladem. Nie miałem wątpliwości, że dojdzie do sprzeczki, a wrodzona agresja Torii zazwyczaj sprawiała, że sytuacje takie natychmiast eskalowały.

Wyszedłem z domu i ruszyłem szybkim krokiem, albowiem bieg z pewnością przyciągnąłby niechcianą uwagę. Za moimi plecami Nucklin się jąkał:

– T-t-toria, mam słój ś-świeżej h-h-herbaty, może chciała by-by-byś t-t-trochę.

Usłyszałem jeszcze huk zatrzaskiwanych drzwi i skręciłem za róg, podążając spieszenie labiryntem wąskich alejek w kierunku szpitala. Skróciłem sobie drogę przeskakując przez płot, by przejść ostrożnie ścieżką wiodącą między chlewami. Musiałem uciekać przed szarżą niezbyt przyjaznego knura, ale gdy wspiąłem się na kolejny mur, znalazłem się na zachodnim krańcu cmentarza. Bez najmniejszego trudu dostrzegłem wysoką sylwetkę Piwowara, stojącego na skrzyni przy bramie. Wygłaszał swoje kazanie do tłumu, który w równej mierze składał się z mieszkańców miasta, jak i stróżów. Mieszczanie sprawiali wrażenie zdumionych bądź rozbawionych kazaniem. Natomiast stróże bawili się znacznie gorzej.

– Dobrze jest znać zwoje na pamięć... – zaintonował Piwowar, gdy zbliżyłem się do niego, zerkając ostrożnie na surowe twarze stróżów. Piwowar mówił głośno, ale tonem monotonnym, ramiona miał zgarbione, a twarz zlaną rumieńcem, jego słowa zdawały się bardziej wymuszone niż wypowiedane. Dziwne, że człowiek, który najwyraźniej nie obawiał się żadnego fizycznego zagrożenia, tak bardzo był znękany przez prostą czynność wypowiedania się przed publicznością. A jednak stał tutaj, niezłomnie stawiając czoła swym lękom, tak jak uczyła nas Syllda, mimo obojętności czy pogardy ze strony słuchaczy. – Ale powtarzać je bez zrozumienia, już nie. – Piwowar zamilkł, by z wyraźnym trudem przełknąć ślinę, a krople potu na jego czole połyskiwały wyraźnie w promieniach

wieczornego słońca. – Zwoje to nie modlitwy do Serafilów, ale pozbawione znaczenia hymny, które poganie z północy wygłaszają do swych fałszywych bogów. Powtarzanie słów zapisanych na pergaminie nie ma największego znaczenia. Aby naprawdę stać się częścią Przymierza, musicie zrozumieć ich znaczenie, musicie sami je przeczytać.

– Szlag by to... – mruknąłem pod nosem, widząc, jak paru stróżów skrzywiło się na te słowa. Bardziej zaniepokoiło mnie jednakże, że ktoś wśród zebranego tłumu naprawdę go słuchał.

– Kłamca! – Chuda kobiecina w podeszłym wieku postąpiła do przodu, wygrażając Piwowarowi kościstą pięścią. Mimo niewielkiej postury jej głos miał w sobie przenikliwość, której brakowało Piwowarowi. – Tak wierzą południowcy.

– Nie, siostró – odparł Piwowar. Spróbował przywołać na twarz wyraz autentycznej troski i zaangażowania, jaki widywaliśmy u Syldy, niestety w jego przypadku wyglądało, jakby łypał na staruszkę lubieżnie. – Ta wiara jest dla wszystkich, wszyscy muszą czytać zwoje, nie tylko szlachcice, nie tylko kapłani...

– A co z tymi, co czytać nie umieją? – przerwała mu staruszka.
– Co my mamy zrobić?

– Uczyć się, oczywiście. – W oczach Piwowara błysnęła kpina, przez co wyglądał bardziej jak człowiek zaangażowany w sprzeczkę, a nie wygłaszający kazanie. – Nie pozwalajcie sobie, by całe życie tonąć w ignorancji.

– A kogo ty nazywasz ignorantem! – krzyknął inny z gapiów, potężny mężczyzna, w którym rozpoznałem jednego z pracowników kuźni. Ku memu przerażeniu zobaczyłem, że podniesione głosy przyciągają kolejnych zainteresowanych. Niewielkie zgromadzenie nieco skonsternowanych gapiów wkrótce mogło zmienić się w tłum i do tego rozgniewany.

– Suplikanci nauczyli mnie zwojów i jestem im za to wdzięczny – mówił tymczasem kowal. Twarz miał zaczerwienioną, a głos pełen emocji, jednak pospieszne spojrzenie w jedną i drugą stronę, jakim obrzucił stróżów, powiedziało mi, że jego oburzenie nie było wcale takie szczere. W Callintorze zawsze opłacało się zyskać przychylność bezkompromisowej władzy.

– Tak jak żebrak wdzięczny jest za ochłapy, które dostaje? – odciął się Piwowar, a gniew sprawił, że jego słowa zabrzmiały o wiele bardziej przekonująco niż dotychczas. – Jesteś wiernym czy niewolnikiem?

– Heretyk! – krzyknęła staruszka, a ja nauczyłem się już, że w odpowiednio liczonym tłumie okrzyk ten niemal zawsze zostaje podjęty przez kilka innych osób. – Ta herezja sprowadzi na nas Drugą Zatrąę. – Chór potępienia był wystarczająco głośny i wystarczająco gniewny, by skłonić w końcu stróżów do działania. Zobaczywszy, jak przepychają się przez tłum, ruszyłem w stronę Piwowara, który daremnie próbował przekrzyczeć rozgniewanych wiernych.

– Masz już dość? – zapytałem, stając przed nim i rzuciłem wymowne spojrzenie przez ramię w kierunku szybko zbliżających się stróży. Na mój widok Piwowar ochłonął nieco, opuścił ręce, a przepelniający go zapal zamienił się w konsternację, nadal jednak nie zszedł ze swojej skrzyni. – Chodźże! – powiedziałem, chwytając go za rękaw.

– Ty tam, poszukiwaczu – zawołał dowódca stróżów, stanowczym gestem wskazując Piwowara. Jego kompani odsunęli na bok najbliższych z gapiów. – Kto dał ci pozwolenie, by wygłaszać kazania?

Zobaczyłem błysk buntu w oczach Piwowara i odwróciłem się w stronę stróżów.

– W Callintorze nie ma zakazu wygłaszania kazań – powiedziałem, siląc się na ton neutralnej perswazji.

Z pewną ulgą rozpoznałem w dowodzącym człowieka, który służył, jak ja, w Kaplicy Męczennika Callina, aczkolwiek on wpatrywał się we mnie spod zmrużonych powiek przez chwilę, zanim przypomniał sobie, skąd się znamy.

– Ale jest mnóstwo zakazów dotyczących herezji – warknął. – Spodziewałbym się, że skryba będzie to wiedział.

– I wiem. Wiem też, że brat mój nie powiedział nic, co łamałoby zakazy lub stałoby w sprzeczności z treścią zwojów. Powtarzał jedynie to, czego nauczyła nas ascendantka Syllda, którą sam ascendant Hilbert wymienił pośród odkupionych.

W ostatnich tygodniach Hilbert korzystał aż nadto w swoich kazaniach z testamentu Syldy. Czasem przyznawał, że była ona autorką wielu z jego stwierdzeń, ale czasami zupełnie ten fakt pomijał. Rosnąca częstotliwość, z jaką ją cytował i rosnąca popularność jego kazań przywodziły mi na myśl jedno z ulubionych powiedzeń Deckina: tylko głupiec ryzykuje głową, by ukraść coś, co nie ma wartości. Wspomnienie imienia Hilberta odniosło większy efekt niż imienia Syldy. Stróż zamilkł, jego towarzysze zaś wyraźnie popadli w rozterkę. Na szczęście ich interwencja miała bardzo pozytywny wpływ na emocje tłumu, zebrani gapie przyglądali się dalszym wypadkom z żywą ciekawością, zdawało się, że zapomnieli o swoim gniewie. W Callintorze zawsze trudno było o rozrywkę.

– To twój brat, tak? – upewnił się stróż, wodząc spojrzeniem pełnym wątpliwości ode mnie do Piwowara i z powrotem.

– Mój brat w wierze – odparłem i odwróciłem się, by nagle kiwnąć głową na Piwowara, ale ukryłem westchnienie ulgi, widząc, że bez dalszych oporów złązi ze swojej grzędy.

– W takim razie naucz go, na czym polega prawdziwa pobożność – pouczył mnie stróż. – Pośród wszelkich cnót to posłuszeństwo wobec Przymierza zostanie przede wszystkim nagrodzone łaską Serafilów.

– W rzeczy samej – zgodziłem się pogodnie, zacisnąłem dłoń na ramieniu Piwowara i odciągnąłem go, zanim zdążył się zjeżyć. Na szczęście poczucie porażki zdusiło w nim wszelką chęć do kłótni, przynajmniej na razie. Pozwolił mi poprowadzić się w stronę głównej arterii i nawet się nie obrócił, gdy stróż zawołał za nami:

– Lepiej mu nałóż kaganiec – zasugerował, a rzednący tłum zareagował na te słowa śmiechem. – Nie wszystkie psy powinny szczekać.

Piwowar milczał przez większą część drogi do domu, siedł z zwieszoną głową, a na twarzy zastygł mu grymas porażki i zdumienia.

– Zrób to raz jeszcze, a zostawię cię stróżom – zagroziłem, ale uzyskałem tylko nieznaczne wzruszenie ramion. – Mówię poważnie. Jeśli chcesz, żeby cię wyrzucili, twoja sprawa, ale my nie jesteśmy gotowi, żeby stąd odejść, jeszcze nie.

Piwowar sprawiał wrażenie, jakby mój głos do niego nie docierał.

– Jej słowa. Jej prawda. Dlaczego nie usłyszeli?

– Bo nie ona to mówiła – odparłem, starałem się nadać słowom tej nuty perswazji, jaką słyszałem w tonie Syldy. – To nigdy nie chodziło tylko o jej słowa, ale także o głos. O nią... – Zamilkłem, nie umiałem bowiem odpowiednio opisać daru Syldy do chwytania serc. – To była cała ona. I już jej nie ma. Zostaliśmy tylko my.

– Jest Męczennicą – oznajmił Piwowar z iskrą wcześniejszej pasji. – Powinni to ogłosić.

– Ogłoszą. – W moim głosie było więcej pewności, niż rzeczywiście czułem w tej kwestii, ale Piwowar nie był człowiekiem, który dobrze reagował na niepewność. – Pewnego dnia. Zasiałiśmy tu ziarno. Z czasem ono wyrośnie. Ascendant Hilbert głosi jej prawdy niemal w każdym swoim kazaniu.

Na wspomnienie naśladowcy przez twarz Piwowara przemknął pełen urazy cień.

– Jakby były jego własne – mruknął gniewnie.

– To nadal jej słowa, z jej testamentu. Jesteśmy jej świadkami. To do nas należy zachowanie jej historii, ale nie zdołamy tego zrobić, jeśli zawloką nas do Wyrobisk, żeby lord Eldurm mógł nas powywieszać.

Chciałem ciągnąć jeszcze swoje pouczenia, ale słowa zamarły mi na ustach. Gdy minęliśmy róg, wyszliśmy na główną ulicę, wiodącą do bram miasta. Pod drewnianym łukiem tłoczyła się właśnie nowa grupa przybyszy poszukujących azylu. Było ich około tuzina, zwykle można by rzec, że grupa jest nader liczna, ale w ostatnich tygodniach takie gromady zdarzały się coraz częściej. Plotka głosiła, że Pretendent ponownie zebrał armię wystarczająco liczną, by zagrozić środkowemu księstwu, co niechybnie skłoniło króla Tomasa do podniesienia sztandaru i zebrania sił, by stawić czoła zagrożeniu. Liczne oddziały zbrojnych maszerujących przez kraj zwykle wypędzały banitów z ich nor jak fretka polująca na króliki.

Jednak to nie liczebność grupy spętała mi język i nogi, lecz widok jednego z przybyszy. Wyglądali typowo, ubrani w znoszone łachmany, w większości boso. Trzy kobiety i dziewięciu mężczyzn, to

jeden z nich przykuł mój wzrok i pochwycił uwagę z siłą zatrzaszkujących się niedźwiedzich sideł. Wyższy od reszty, ale tak samo chudy, policzki zapadnięte miał z niedostatku, podobnie oczy, lśniła w nich jednak drapieżna groźba.

Skręciłem szybko w zacienioną alejkę między piekarnią a mydlarnią, co Piwowar skwitował zdziwionym mruknięciem. Byłem właściwie pewien, że wysoki przybysz mnie nie zauważył, ale nie chciałem w żadnym wypadku ryzykować. Na jego widok rozgorzał we mnie paskudny płomień, który w jednej chwili wypalił wszelkie inne zmartwienia.

– Co jest? – spytał Piwowar, gdy przywarłem plecami do ściany piekarni.

– Ci nowi, przy bramie, spójrz tam i zobacz, ilu wpuszczą.

Ciężka brew Piwowara uniosła się w niemym pytaniu, ale zgodził się poświęcić chwilę na obserwację rytuału, jaki rozgrywał się przy bramie zawsze gdy zjawiali się poszukujący schronienia.

– Dwóch odprawili raz dwa – doniósł Piwowar. – Wyglądali na twardych, ale przy tym głupich. Pewnie razem nie zdołaliby przypomnieć sobie całego wersetu pisma. – Patrzył jeszcze przez chwilę. – Resztę prowadzą do Kaplicy Męczennika Athila. Słyszałem, jak ich ascendant skarżył się, że brak mu ludzi do obrabiania rzepy.

– Ten najwyższy, chudy łajdak, który wygląda, jakby umiał o siebie zadbać.

– Wpuścili go. – Piwowar spojrział na mnie spod przymrużonej powieki. – Twój przyjaciel?

Nie odpowiedziałem, głowę miałem pełną najróżniejszych kalkulacji. Wychyliłem się zza rogu, by rzucić ostrożne spojrzenie. Grupa przybyszów w większości zniknęła już z pola widzenia, więc wyszedłem z cienieściej alejki, zamierzając ruszyć jej śladem, ale Piwowar zastąpił mi drogę.

– Będą z nim kłopoty? – zapytał takim tonem, że musiałem odpowiedzieć.

– Należał do bandy Deckina – odparłem. – Był świadkiem rzeczy, o których kapłani nie powinni się raczej dowiedzieć.

Piwowar ściągnął brwi jeszcze mocniej.

– Ten twój wyraz twarzy nie oznaczał zdenerwowania. – Przechylił głowę, nie spuszczaając ze mnie badawczego spojrzenia

i podszedł bliżej. – Taką minę robisz, jak musisz wykonać ciężką pracę.

W Wyrobiskach używaliśmy określenia „ciężka praca” na sytuacje, kiedy kłopotliwy więzień w bliżej nieokreślonych okolicznościach trafiał na szczyt stosu ciał przy bramie. Mówiliśmy tak, aby nie urazić wrażliwości Syldy, choć nie miałem żadnych wątpliwości, że doskonale rozumiała co to znaczyło.

– Za herezję mogą nas wydalić – powiedział Piwowar. – Za morderstwo nas powieszają.

– Razem z Torią wpadliśmy na plan, który pozwoli nam się stąd wydostać – powiedziałem, decydując się na mały podstęp. – Z kieszeniami wystarczająco pełnymi, żebyśmy mogli dotrzeć do każdego zakątka na ziemi. Miejsca, gdzie słowo Męczennicy Syldy może trafić na bardziej podatny grunt. Ale nic z tego nie będzie, jeśli będę musiał stale oglądać się przez ramię.

Piwowar rozluźnił się nieco, uspokojony perspektywą żyznej ziemi dla nauk Syldy.

– Jeśli trzeba to zrobić, to ja mogę – powiedział. Bez względu na to, jak bardzo związek z nową Męczennicą zmienił duszę Piwowara, w głębi serca on nadal pozostał banitą. Poza tym w zwojach można było znaleźć liczne sugestie odnośnie zabijania w słusznej sprawie, a jaka mogłaby być słusniejsza niż ta?

– Bez urazy, ale nie jesteś najcichszą ręką do wykonania ciężkiej pracy – powiedziałem, omijając go. – Zobaczymy się w domu.

Oddaliłem się, zanim zdążył zaprotestować, i ruszyłem do południowej dzielnicy, gdzie wśród mozaiki poletek leżała Kaplica Męczennika Athila. Każda świątynia w Callintorze była odpowiedzialna za zaspokojenie innego aspektu potrzeb miasta. Świątynia Męczennika Callina stanowiła ośrodek administracji, ponieważ jako jedyna miała skryptorium. Świątyni Męczennika Melliaha podlegały warsztaty rzemieślnicze, garncarskie i kowalskie. Ci, którzy trafili do Świątyni Męczennika Ihlandera, spędzali czas na doglądaniu zwierząt w chlewach i kurnikach. Natomiast przybyszy na tyle głupich, by oznajmić, że ich dusze najlepiej rozumieją przykład Męczennika Athila, czekały miesiące ciężkiej harówki w polu.

W Callintorze nikt nie błąkał się bez powodu, więc szedłem równym krokiem, jakbym zmierzał do konkretnego celu, starając się całą swoją postawą zniechęcić przypadkowych stróżów do zadawania pytań. Znalezienie wymówki, która tłumaczyłaby moją obecność w pobliżu pól stanowiło większy problem, ale na szczęście znalazłem nieprzycięty krzak jarzębiny, w którym mogłem się ukryć. Musiałem znosić świergotliwe protesty gniazdującego tam szczygła, ale mogłem kucnąć, skulić się i czekać ze wzrokiem wlepionym w tylne drzwi kaplicy. Długo trwało, zanim w drzwiach pojawili się nowi przybysze, wszyscy z motykami lub łopatami, a jeden z suplikantów zagrzewał ich do pracy. Wysoki mężczyzna o zapadniętych policzkach wyróżniał się z tłumu, a gdy trochę się zbliżył, poczułem, jak serce zaczyna mi bić mocniej. Nie pomyliłem się.

To nie jego twarz, a sposób w jaki się poruszał, przykuł moją uwagę: na wpół opuszczone ramiona, zwieszona lekko głowa tak, by wzrok nieustannie ślizgał się dokoła, zatrzymując najczęściej na młodszych robotnikach. Zauważywszy, jak wpatrywał się w jedną z nich – szczupłą dziewczynę o pogodnym obejściu, ale małym rozumku, znaną wszystkim jako Wesoła Ayin – doszedłem do wniosku, że jego skłonności z czasem tylko się pogorszyły.

Ta myśl przywołała uśmiech na me usta, albowiem czekające mnie zadanie, przepełniło mnie poczuciem żalu, było nie było razem dorastaliśmy. No i jaki miałem dowód na to, że przyłożył rękę do śmierci Deckina, poza moimi własnymi przemyśleniami. Jednakże na widok tego mrocznego łaknienia w jego oczach, wszystkie moje skrupuły zbladły i z ponurym oczekiwaniem wszeptalem powitanie, którego nie mógł usłyszeć:

– Witaj, Erchelu.



Nie zabiłem go tej nocy. Ani żadnej kolejnej z pięciu nocy, które nastąpiły potem. Ze wszystkich nauk, których udzieliła mi Syllda, nauka cierpliwości wymagała najwięcej czasu i wysiłku, i teraz wykorzystywałem to, czego się nauczyłem. Piwowar miał rację co do konsekwencji, jakie w tym miejscu groziły za morderstwo. Przemoc była w Callintorze rzadkością, przez cały nasz pobyt w mieście-sanktuarium widziałem tylko jedną bójkę. Dwóch robotników przesadziło z cydrem i znalazło powód, by pobić się przed drzwiami świątyni Męczennika Athila. Stróża nie zadowolili się w ich przypadku zwykłym wydaleniem, tylko poddali obu długiej chłóście, po czym wypchnęli ich przez bramę, zakrwawionych i ledwo trzymających się na nogach. Jeśli zwykła bójka zasługiwała na taką karę, to reperkusje morderstwa musiały być wielokrotnie surowsze.

Zabicie Erchela stanowiło zaledwie część moich planów. Chciałem też wydobyć z niego wszystko, co wiedział o planach Lorine i, miejmy nadzieję, o jej miejscu pobytu. Na to potrzeba było czasu i odosobnienia, tymczasem jednego i drugiego brakowało w miejscu nieustannego znoju i kontroli. No i dochodziła kwestia naszej ucieczki i środków, jakie chcieliśmy na nią zdobyć.

Nadal sumiennie pracowałem w skryptorium, kończąc pierwszą kopię mojej wersji Zwoju Męczennika Callina z szybkością, która wzbudzała zarówno podziw, jak i zazdrość innych skrybów. Wszyscy oni byli starzy, a przynajmniej tak wydawało się mnie, młodemu. Mieli pochylone plecy, pomarszczone twarze, wiecznie zmrużone oczy i poplamione palce.

Większość z nich trafiła do Callintoru z powodu fałszerstw: spisywali fałszywe testamenty lub inne dokumenty dotyczące ziemi albo tytułów, i, sądząc po historiach, które opowiadali, dla większości skrybów w świecie zewnętrznym było to całkiem lukratywne zajęcie.

Moi kompani, skrybowie, nieustannie rozmawiali, przez co w miejscu, które zostało zbudowane dla spokojnej refleksji, panowała raczej dziwna atmosfera. Staralem zaprzyjaźnić się z nimi wszystkimi lub przynajmniej zdobyć ich zaufanie, co udawało mi się rozmaicie, ponieważ nie byli to głupi ludzie i potrafili rozpoznać, kiedy ktoś ich nabiera. Większość z nich traktowała mnie z ostrożną protekcyjnością wynikającą z mojego młodego wieku, połączoną z powściągliwą niechęcią wywołaną moim talentem do pióra i szybkością, z jaką pracowałem. Ja natomiast nie czułem do nich nic poza mieszanką litości i pogardy, jaką młodzi zwykle żywią dla starych, z jednym znamienym wyjątkiem.

– Teraz delikatnie – ostrzegł Arnild, używając niewielkiej kulki wygładzonego szkła, żeby nałożyć na welin złoty listek. – Odleci przy najlżejszym tchnieniu.

Był mężczyzną niewysokim, ledwie sięgał mi do ramienia, jego łyse, pokryte plamami ciemną wieniec siwych włosów. Ich kępki porastały mu uszy i szczękę, aczkolwiek starannie golił brodę, zapewne dlatego, by włosy w żaden sposób nie skaląły jego pracy, był bowiem iluminatorem.

– Za mocno też nie chcesz docisnąć – dodał. Koniec języka wysunął się Arnildowi spomiędzy warg, gdy ten w skupieniu dotknął szkłem złotego listka. Dekorował w skupieniu inicjał, wyróżnioną pierwszą literę pierwszej strony tego, co miało ostatecznie stać się księgą. Jedyna prawdziwa księga, zawierająca treść Zwoju Męczennika Callina. Podczas gdy ja napisałem każde słowo w tej księdze, zadaniem Arnilda było zilustrowanie i przyozdobienie

tekstu ornamentami i inicjałami. Biorąc pod uwagę zamiłowanie samego Callina do oszczędności, ciekawiło mnie czy zaakceptowałyby tak kosztowne dekorowanie historii swego życia. Jeszcze bardziej interesowało mnie źródło złota i srebra, którym Arnild wykonywał swoje cudowne dzieła, nie wspominając o granatach i ametystach, jakimi w swoim czasie miał przybrać skórzaną okładkę.

– Ty spróbuj – zaproponował, odłożywszy szczypczyki i szklaną kulkę na tacę, po czym gestem zachęcił mnie, bym wziął oba przedmioty do ręki. Inicjał został niemal w całości otoczony złotem, tylko u podstawy pozostała niewielka luka.

– Jesteś pewien? Nie chciałbym zepsuć twojej pracy.

– Uczymy się poprzez wykonywanie czynności, Alwynie. – Uśmiechnął się i kiwnął głową w stronę tacy. – Poza tym, ktoś to będzie musiał robić, gdy ja zostanę wezwany na łono Serafilów. – Pomasażował sobie krzyże i na jego twarzy pojawił się wyraz prawdziwego bólu. – Co, jak podejrzewam, może nastąpić już niedługo.

– Bzdura – zaoponowałem, biorąc do ręki szczypczyki. Zdołałem jakoś umieścić złoty płatek w odpowiednim miejscu, choć odrobinę wyszedłem poza krawędź strony.

– Nie martw się – pocieszył mnie Arnild. Wziął do ręki sobolowy pędzel i ostrożnie usunął nadmiar złota, po czym starannie strzepnął złote okruchy do słoiczka. – Zbyt cenne, żeby je marnować – wyjaśnił, mrużąc oko i starannie zakorkował słoiczek. Pociągnąwszy nosem odstąpił o krok od nachylonego pulpitu, na którym wykończona stronica leżała w swej nowej chwale.

– Doskonała – szepnąłem ze szczerym podziwem, na co Arnild cmoknął cicho.

– Będziesz to robił wystarczająco długo, mój przyjacielu, to odkryjesz, że doskonałość jest wiecznie nieuchwytnym widmem. – Czubkiem pędzla wskazał niezwykle skomplikowany motyw różanego krzewu, zdobiący lewy margines stronicy. – Tu linia jest nieco nierówna. Kolory też nie są tak żywe, jak bym sobie tego życzył. Ale i tak dorównuje poziomem wykonania innym dziełom tego skryptorium.

W jego głosie zadźwięczała twardsza nuta, która natychmiast podsyciła moją ciekawość.

– Poziom wykonania tutejszych dzieł... – zniżyłem głos i zerknąłem czujnie na pozostałych skrybów pochylonych nad swoimi pulpitami – pozostawia coś do życzenia?

Arnild, który zawsze ostrożnie dobierał słowa, teraz ostrzegawczo poruszył brwiami.

– Uwierz mi, to najlepsze skryptorium w całym Albermine – oznajmił, po czym zbliżył się do mnie i dokończył szeptem. – Ale ja wędrowałem po świecie na tyle daleko, żeby zobaczyć księgi, przy których wszystko co robimy tutaj, wydaje się bazgroleniem niezdarnego dzieciaka.

– A gdzie można znaleźć te wspaniałe dzieła?

Arnild spochmurniał nieco i odsunął się, by skupić uwagę na tacy z narzędziami.

– Lepiej unikać pogańskich krain. Podaj mi nóż, dobrze?

– Pogańskich krain? – zapytałem najwyraźniej zbyt głośno, bo Arnild rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. Na szczęście wyglądało na to, że nikt z naszych towarzyszy nie zwrócił na mnie uwagi, co przypisałem ich starczej głuchocie.

– Masz. – Arnild wręczył mi skórzany mieszek, w którym umieścił słoiczki ze srebrnymi i złotymi płatkami. – Lepiej zamknij je pod kluczem, przed wieczorną suplikacją. Wiesz gdzie?

– Wiem.

Spochmurniał.

– Ascendant skrupulatnie waży każdy słoiczek na koniec miesiąca. Mówię tak tylko, żebyś wiedział.

Teatralnym gestem położyłem dłoń na sercu, udając urazę, co wywołało niechętny uśmiech Arnilda. Gdyby nie nadmierne upodobanie do gry w kości i związane z tym długi, on sam nigdy nie znalazłby się w tych murach. Wedle sprawiedliwości, mistrz Arnild powinien być sławny na całym świecie jako ksiązę iluminatorów. Tymczasem niewielu uczonych zna jego imię, nawet jeśli zachwycają się stronami, które on stworzył z takim oddaniem.

Magazyn, w którym przechowywano zapasy złotych listków i innych kuszących kosztowności, znajdował się w samym sercu kaplicy za grubymi, żelaznymi drzwiami. Zazwyczaj stało tam na straży dwóch stróżów, ale dzisiaj tkwił tam tylko jeden, muskularny,

jak oni wszyscy, stróż o imieniu Halk, który miał w sobie tyle życia, co drzwi, których strzegł.

Mruknął w odpowiedzi na moje radosne powitanie i kazał mi się cofnąć o dobry jard, zanim zdecydował się obrócić i wsunąć klucz do zamka. Mój wyćwiczony w lesie zmysł do wylapywania okazji natychmiast się obudził na widok odwróconego strażnika. Halk był duży, ale też i powolny, uderzenie jego głową o żelazne okucia drzwi nie byłoby zbyt trudnym zadaniem. Dwa lub trzy ciosy na pewno pozbawiłyby go przytomności i oczywiście nie mógłbym zostawić go przy życiu. Ciało musiałbym wciągnąć do magazynu i od razu zabrałbym stamtąd najcenniejsze skarby, jakie mógłbym unieść, zamknąłbym drzwi i od razu ruszył. Potrzebowałem kilku godzin na załatwienie spraw z Erchelem, niemniej mogło upłynąć sporo czasu, zanim ktokolwiek pomyślałby o poszukaniu Halka lub otwarciu drzwi, których strzegł. Ostatecznie, wykalkulowałem, że było całkiem możliwe, załatwić swoje sprawy, zabrać Piwowara i Torię, i przed północą opuścić miasto. Wystarczy jedno małe morderstwo i byłbym wolny...

– Nie będę czekał zatraconego dnia – warknął Halk w otwartych drzwiach magazynu, wymownie potrząsając kluczami.

– Przekleństwa są sprzeczne z zasadami – upomniałem go z surową miną. Sądząc po tym, jak się zarumienił i odwrócił wzrok, wypadłem całkiem przekonująco.

Wszedłem do magazynu, wyniośle pociągając nosem. Oparłem się impulsowi do przeszukania wzrokiem półek, zamiast tego przez ułamek chwili, za to bardzo intensywnie skupiłem się na zamku. Mechanizm był nad wyraz solidny i na pewno nie potrafiłbym go otworzyć. Toria miała jednak znacznie więcej umiejętności w tej dziedzinie i być może ona zdołałaby pokonać mechanizm, może nawet tak szybko, jak tego potrzebowaliśmy. Rozejrzawszy się pośpiesznie, odkryłem głównie półki zastawione słoikami bez żadnych przydatnych oznaczeń. W cienistych zakamarkach pomieszczenia dostrzegłem jednak sporą skrzynię. A fakt, że miała własny solidny zamek, od razu uczynił ją obiektem mojego największego zainteresowania.

– Niechaj Męczennicy cię prowadzą – pożegnałem nadąsanego Halka, dochodząc do wniosku, że Piwowar z pewnością

mógłby go poddusić i tym sposobem pozbawić przytomności. Wtedy nie trzeba by było stróża zabijać.

Kiedy wywiązałem się ze swoich codziennych obowiązków w skryptorium, miałem dwie wolne godziny do wieczornej suplikacji. Kierując się do północnego wyjścia z kaplicy, musiałem przejść obok ascendanta Hilberta, który prowadził ożywioną rozmowę z nieznanym mi suplikantem. Błoto na butach i płaszczu świadczyło o tym, że człowiek ten niedawno przybył do miasta. Był dobrze zbudowany i czuło się w nim krzepę i wytrzymałość, znacznie większe niż u przeciętnego kapłana niskiej rangi. Jeszcze bardziej niezwykły był zawieszony u pasa buzdycan i nabijana ćwiekami skórzana brygandyna, którą dostrzegłem pod płaszczem. Miał na sobie ciemnoszary strój suplikanta, ale było jasne, że przybysz jest również żołnierzem i, sądząc po starych bliznach na czubku siwej, krótko ostrzyżonej głowy, żołnierzem z pewnym doświadczeniem. Mówił cicho, tonem pełnym szacunku i nie mogłem dosłyszeć poszczególnych słów, ale odpowiedź Hilberta była aż nadto wyraźna, niewątpliwie po części z powodu zduszonego popłochu, który wyraźnie dźwięczał w jego głosie.

– Ona tutaj przyjeżdża?!

Kiedy ich mijalem, udało mi się złapać cichą, starannie wypraną z wszelkich emocji, odpowiedź suplikanta:

– Tak, ascendancie. Przybędzie jutro, przed południem i prosi, żeby wszyscy wierni w tym świętym mieście zebrali się, aby wysłuchać jej słów.

– Z czyjego polecenia?

Wiedząc, że niemądrze byłoby się ociągać, zatrzymałem się dopiero za zakrętem korytarza. Przywarłem do ściany i nadstawiłem ucha. Wychwyciłem szelest pergaminu i materiału, potem nieco twardszy dźwięk łamanej pieczęci i znów szelest szybko rozwijanego listu.

– Podpisany przez wszystkich członków Rady – rozległ się ponownie beznamiętny głos suplikanta.

Nastąpiła cisza, przerwana niezbyt grzecznym sapnięciem Hilberta.

– Nie znajdzie tu wiele – mruknął z irytacją.

Teraz w tonie żołnierza-suplikanta nastąpiła zmiana, pojawiły się w nim twarde moralizatorskie nuty charakterystyczne dla prawdziwych wyznawców.

– Pretendent sięga nie tylko po koronę, ascendancie. Jeśli zwycięży, Przymierze zostanie wypaczone nie do poznania. Moja komunikantka, moja pani kapitan zapewniła mnie, że jesteś na tyle mądry, aby to rozumieć.

W krótkiej chwili ciszy, która nastąpiła potem, Hilbert spróbował zdusić swój gniew. Bez skutku.

– Twoja komunikantka nie powinna zapominać, jaką ma rangę! I ty również! – prychnął z opryskliwością małostkowych tyranów, którzy bronią swej wyższości.

Żołnierz nie odpowiedział, ale bez trudu wyobraziłem sobie kamienną minę człowieka niewzruszonego, gdy usłyszałem głośne westchnienie ascendanta.

– Mieszkańcy zostaną zebrani – rzekł. – I możecie powlec ze sobą wszystkich, którzy okażą się na tyle głupi, by się zgłosić. Trzeba będzie jednak naprawdę solidnego przekonywania.

– Ci, których serce naprawdę należy do Przymierza – zaczął tonem niezmiennie niewzruszonym suplikant – zawsze odpowiedzą na wezwanie głoszone przez komunikantkę kapitan Evadine Courlain.

To imię zabrzmiało tak znajomo, że na mojej twarzy odmalowało się zdumienie.

Evadine Courlain? To chyba nie mogła być nieodwzajemniona miłość lorda Eldurma?

Echo kroków Hilberta sprawiło, że rzuciłem się do wyjścia, zanim zdążyłem się zastanowić nad odpowiedzią. Powinienem wrócić do domu i wyjaśnić mój plan Piwowarowi i Torii, ale zew kaplicy Męczennika Athila był zbyt potężny. Weszło mi już w zwyczaj, że godziny poprzedzające wieczorne suplikacje spędzałem skulony w moim jeżynowym krzaku, skąd mogłem obserwować Erchela. Patrzyłem, jak wyrabia sobie nawyki, wypracowuje drobne rytuały, jak wszyscy robotnicy, i powoli opracowywałem poszczególne elementy mojego planu. Pojmanie, ukrycie i przesłuchanie człowieka w takim miejscu jak Callintor wiązało się z wieloma problemami, z których część udało mi się już

rozwiązać, a część nie. Ale, jak właśnie podsłuchałem, jutrzejszy dzień miał zapewnić odwrócenie powszechnej uwagi. Wszystkie oczy będą zwrócone na tajemniczą komunikantkę Evadine, a nie na małą drewnianą przy wschodniej ścianie, którą niewielu robotników odwiedzało częściej niż raz w tygodniu.

Potrzebuję liny, zdecydowałem, obserwując Erchela, jak macha motyką na polu rzepy z takim zaangażowaniem, jakiego można oczekiwać od człowieka, który rzadko wykonywał uczciwą pracę. Trudno będzie go związać, co do tego nie miałem wątpliwości, ale wiedziałem też, że wydobyć z niego prawdy będzie jeszcze trudniejsze. Niełatwo odróżnić prawdę od fałszu w słowach wytrawnego kłamcy, który za wszelką cenę chce ratować własną skórę. Deckin umiał rozwiązywać jeńcom języki samym strachem, ale ja nie posiadałem tego daru. Skłonienie Erchela do wyjawienia prawdy będzie wymagało umiejętnie zaaplikowanego bólu, co, ku mojemu zaskoczeniu, budziło we mnie pewien opór.

– Gerthe – szepnąłem, zerkając przez kolczaste gałęzie i umacniając się w swym postanowieniu wspomnieniem tego, jak jej bezwładna dłoń wysunęła się z moich palców, gdy bełt przyszpilił ją do ściany. – Justan, Fornal... Deckin. I ja. – Przywołałem z pamięci czas spędzony pod pręgierzem, smród i ból, szyderstwa tłumu i przerażającą świadomość, że to wszystko jest niczym, w porównaniu do tego, co mnie czeka. – Wszystko mi powiesz, Erchelu – szepnąłem. – Albo nakarmię cię twoimi paluchami, jeden po drugim.

Jednakże, jak to często bywało w czasach naszej wczesnej młodości, Erchel zdołał pokrzyżować mi staranne plany swymi plugawymi ciągotami. Zauważyłem, że jego zainteresowanie Wesołą Ayin wzrosło od chwili, gdy pojawił się w mieście, szukając azylu. Mrocznym spojrzeniem wodził za dziewczyną, gdy roześmiana, podskakując, nosiła kosze tam i z powrotem. Zdecydowanie wyróżniała się spośród mieszkańców Callintoru, zawsze pogodna, całkowicie prostopadła i pozbawiona przebiegłości. Trudno było uwierzyć, że dopuściła się czynu, który skłonił ją do poszukiwania schronienia w tych murach, a jednak się tu znalazła. Inni callintorczyki traktowali ją z pobłażliwą sympatią, ale nie poświęcali zbyt wiele czasu i nie szukali jej towarzystwa. Trzeba powiedzieć, że

Ayin nie była szczególnie zdolna do konwersacji, zazwyczaj chichotała tylko lub wygłaszała niezrozumiałe nonsensy bądź nadawała imiona rozmaitym stworzeniom i zwykle podbiegała do nich w nadziei na zawarcie przyjaźni.

– Witaj, panie Pliszko! – zawołała teraz, machając do żółtego ptaka, który usiadł na słupku ogrodzenia. Gdy tylko podbiegła bliżej, odleciał z rozdrażnionym ćwierknięciem, za to ona zbliżyła się na odległość kilku jardów od miejsca, gdzie Erchel bez entuzjazmu uprawiał ziemię.

Nie słyszałem, co do niej powiedziała, ale jego słowa obudziły żywe zainteresowanie Ayin. Nie cofnęła się, gdy Erchel się do niej zbliżył, co niewątpliwie byłoby rozsądne, a moje wytężone uszy wychwyciły słowo „młode”. To słowo wywołało radosny śmiech Ayin, a gdy Erchel oparł motykę o płot, dziewczyna okazywała jedynie niecierpliwe podekscytowanie. Tymczasem on zatrzymał się i rozejrzał uważnie, by zyskać pewność, że nie było świadków tej rozmowy, po czym odprowadził Ayin gdzieś na bok.

Idź do domu, nakazywałem sobie, nie odrywając spojrzenia od oddalającej się pary. Erchel prowadził Ayin w stronę zagród ze zwierzętami, gdzie kwik świń i gęganie gęsi zagłuszyłyby odgłosy jakiegokolwiek zamieszania. Masz dobry plan i nawet nie znasz tej dziewczyny. Idź do domu, powiedz Torii i Piwowarowi, co będzie do nich należało i zaczekajcie do jutra.

Ostrożnie wydostałem się z krzaka, skierowałem w stronę domu, z odmętów pamięci wypłynęło osobliwe wspomnienie dnia, kiedy Erchel przyniósł do obozu kota. Wysłany na przeszpiegi znalazł zwierzątko w pobliżu karczmy, żalosną, miauczącą kulkę wilgotnego futra. Erchel karmił go i pielęgnował przez wiele tygodni, aż zwierzak wrócił do zdrowia i zmienił się w pięknego kota o lśniącym futrze. Piękniejszego trudno było spotkać. Pewnego dnia Erchel poszedł z kotem między drzewa, a dźwięki, które dobył z nieszczęsnego zwierzęcia, zamęczając je na śmierć, nigdy do końca nie ucichły w mej pamięci. Dręczył kota tak długo, że Deckin w końcu kazał Todmanowi iść i dobić to stworzenie, żebyśmy mogli się trochę przespać.

To tylko kot. Tylko obłąkana dziewczyna, której nawet nie znasz. Idź do domu.

To niewątpliwie była prawda. Dlaczego więc moje nogi same ruszyły w stronę zagród? Dlaczego szedłem za tą parą, trzymając się długich cieni, jakie tworzyło gasnące słońce? Dlaczego przykucnąłem i wyciągnąłem z buta niewielki, owinięty w szmatkę nożyk, gdy zobaczyłem, jak Erchel prowadzi Ayin do starej, ceglanej szopy z na wpół zapadniętym dachem? Na niektóre pytania nigdy nie poznamy odpowiedzi. Może to nauki Syldy? Może te lata cierpliwego nauczania zasiały w mojej duszy ziarno sumienia? A może było to coś całkowicie innego i mniej godnego podziwu?

Gdy patrzyłem, jak Erchel prowadzi swoją ofiarę do chaty, wiedziałem, że musiał szukać tego miejsca z taką samą wytrwałością, jak ja szukałem drewni, w której zamierzałem wydobyć z niego prawdę. Czy jego głód tak bardzo różnił się od mojego? Był tak samo niewolnikiem swojego okrucieństwa, jak ja niewolnikiem zemsty. To skojarzenie przyniosło niewygodne, niemalże bolesne pytania, a jeśli coś mogło pchnąć mnie ku przemocy, to ból właśnie.

Drzwi szopy zamknęły się za tamtą dwójką, gdy wychylnąłem z ukrycia za chlewem. Ruszyłem, wciąż pochylony i uderzyłem barkiem w stare, częściowo spróchniałe deski i niespodziewanie zatoczyłem się do tyłu, bo drzwi nie ustąpiły. Zostały zaryglowane. Z wnętrza doszły mnie odgłosy szamotaniny i stłumiony krzyk bólu, co tylko podsyciło mój gniew. Raz jeszcze rzuciłem się na drzwi. Drewno zatrzęszczało, wiekowe zawiasy zaskrzypiały, ale drzwi wciąż nie chciały ustąpić. Usłyszawszy wysoki, przenikliwy wrzask, cofnąłem się o krok i zacząłem wściekle kopać deski, celując w protestujące zawiasy. Tym razem drzwi się poddały i przewróciły na bok. Wpadłem do szopy i zatrzymałem się natychmiast, gwałtownie nabierając powietrza.

– To zły człowiek – powiedziała Ayin, a jej umazana krwią twarz wyrażała raczej irytację niż gniew. Podniosła coś w dłoni, ciemnego, mokrego, spływającego czerwienią i z zaciekawieniem przechyliła głowę. Dopiero wtedy dostrzegłem u jej stóp porzucony koszyk, a potem niewielki sierp w jej dłoni, lśniący tam, gdzie ostrza nie plamiła krew.

– Matula mówiła, jak traktować złych ludzi.

Po prawej zabrzmiał wysoki, przenikliwy wizg i obróciłem się błyskawicznie, z nożem uniesionym w gotowości. Erchel siedział w kącie, ból i szok pozbawiły jego twarz koloru, stopami szurał po klepisku, a obiema dłońmi ścisnął spodnie w kroku, w miejscu gdzie ciemniała rosnąca plama. Wciąż jeszcze nie odzyskał tchu, ale zdławione dźwięki wkrótce miały wypełnić jego gardło krzykiem.

Pospiesznie chwyciłem wyważone, ale w większości całe drzwi i najlepiej jak potrafiłem zablokowałem wejście, po czym doskoczyłem do Erchela i zacisnąłem mu dłoń na ustach.

– Powiedział, że tu są młode liski – odezwała się Ayin, a jej jasny głos stanowił żywy kontrast ze stłumionymi jękami, jakie uwięziłem w ustach Erchela. – Powiedział, że chyba ich mama sobie poszła i je zostawiła i że może ja będę ich mamą. Małe kulki czerwonego futra, tak powiedział – dodała już bardziej nadąsanym tonem. – To nie była prawda. Jest złym człowiekiem.

Nie przestawałem kneblować Erchela, aż poczułem, że przestaje się opierać. Zerknąłem na niego i zobaczyłem, że na podłodze rozlewa się coraz większa kałuża krwi. Wzrok mu zmętniał, więc złapałem go pod brodę i potrząsałem. Oprzytomniał nieco i w jego oczach dostrzegłem ból, ale też, ku mej niewielkiej satysfakcji, rozpoznanie.

– Możesz już to odłożyć – zwróciłem się do Ayin, ruchem głowy wskazując ociekający przedmiot, który oglądała wciąż z zainteresowaniem pozbawionym całkowicie poczucia winy. Nagle jej obecność w Callintorze przestała mi się wydawać taka nieuzasadniona.

– Jedno szybkie cięcie. – Krew bryznęła mi na twarz, gdy dziewczyna machnęła sierpem, wciąż wpatrzona w swoją krwawą zdobycz. – I zły mężczyzna już nie jest złym mężczyzną, tak jak matula mówiła.

– Kobieta wielkiej mądrości i przenikliwości – mruknąłem, a Erchel szarpnął się pod moim naciskiem konwulsyjnie, po czym poddał się ze stłumionym, rozpaczliwym szlochem.

Ten odgłos skłonił Ayin do nieznacznego zmarszczenia brwi i wykrzywienia ust z odrazą.

– Ciemno się robi – oświadczyła, odrzucając kapiącą krwawo rzecz, a ta wylądowała w kącie z mokrym plaśnięciem. – Ascendant

Kolaus robi się nerwowy, jeśli nie pozamiatam przed suplikacjami.

– Lepiej więc idź, Ayin – zachęciłem ją, gdy podniosła koszyk.
– Na końcu uliczki jest koryto z wodą. Umyj się dobrze i zmień ubranie, zanim pójdziesz do kaplicy. Ascendant Kolaus będzie się jeszcze bardziej denerwował, jeśli pojawisz się w takim stanie, prawda?

Przez moment chciałem poprosić ją, żeby nikomu nie wspominała o tym incydencie, ale wątpiłem, by posłuchała. Najwyraźniej nie postrzegała swego czynu jako zbrodni, ani też wcześniejszych tego typu przewinień, dlaczego zatem miała trzymać je w sekrecie? Pocieszyłem się tym, że mało kto chciał się wdawać w rozmowy z Ayin. Niemniej na pewno z radosnym uśmiechem powie wszystko, któremuś ze stróżów bądź kapłanów.

Zauważyłem, że jej spojrzenie pociemniało, gdy oglądała swoje ramiona i długą do kostek szatę z surowej wełny.

– Zły mężczyzna sprawił, że jestem brudna – stwierdziła. Pokazała Erchelowi język, po czym odstawiła drzwi na bok i wyszła.

– To jest problem z kotami, Erchelu – powiedziałem, zdejmując dłoń z jego ust. – Mają pazury.

Próbował krzyknąć, gdy wstałem, żeby zastawić wejście drzwiami, ale tylko zaskomlał płaczkliwie.

Kucnąłem przed nim, tak żeby nie uwalac się płynącą krwią, a on wodził spojrzeniem od mojej twarzy do dłoni trzymającej nóż i z powrotem.

– Och, tym się nie martw. – Zawinąłem nóż w szmatkę i wsunąłem do ukrytej kieszeni mojego workowatego kaftana. – Tak naprawdę wcale tego nie potrzebuję, prawda? – Wymownym spojrzeniem obrzuciłem jego dłonie dygocące na mokrym od krwi kroczu.

– Tu... – zachrypiał, ale słowa zmieniły się w syk pełen cierpienia. Zaczął więc ponownie: – Tu są uzdrowiciele...

Patrzyłem mu w oczy i widziałem w nich rozpaczliwe błaganie.

– Tak, są. W Omszałym Młynie też byli? Nie zostałem tam na tyle długo, żeby się dowiedzieć.

Zamknął oczy i pomiędzy warg wyrwało mu się rozpaczliwe westchnienie. Kolejne słowa wyrwał z siebie między chrapliwymi

próbami napełnienia płuc powietrzem, one bowiem coraz bardziej odmawiały mu posłuszeństwa.

– Zawsze... byłeś... mściwym skurwielem... Alwynie.

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się szeroko.

– Z tym nie będę się kłócił. – Zauważyłem, że jego podrygi słabną, przesunąłem się więc bliżej, żeby wymierzyć mu policzek, wtedy ponownie otworzył oczy. – Mam pytania, które wymagają odpowiedzi, Erchelu. Wyświadcz mi przysługę i nie umieraj jeszcze.

Wykrzywił usta w szyderczym grymasie, jak kiedyś.

– Pytania? O co?

– O wszystko. Ale zacznijmy od tych oczywistych. To Lorine wszystko uknuła, prawda? Ty zaniósłeś wiadomość do swojego wuja, a on powiedział ludziom księcia, żeby czekali na nas w Omszałym Młynie, prawda?

Zacharczał, jakby się czymś dławził i dotarło do mnie, że to miał być śmiech.

– Nie ma... cię... tutaj, Alwynie? – Ponownie rozkaszał się śmiechem. – Twój duch... przybył mnie torturować.

– Jestem tu, ty zboczony ztraceniucu. Odpowiadaj. To była Lorine?

– Lorine... – Parodia szyderczego uśmiechu wykrzywiła mu twarz. – Wciąż pragniesz... tej suki? Nawet kiedy... jesteś duchem? Wszyscy... widzieliśmy... jak jej pragnąłeś. Ty żalosny... bękarcie... Jakbyś kiedykolwiek... mógł być... dla niej... – odsłonił dziurawe, żółte zęby – więcej... pożytecznym psem.

– Psem, co? – Uniosłem brew. – Ale przynajmniej nadal jestem psem, który ma jaja. – Mój dobry humor wyparował, wypalony nagłą falą gniewu. Zacisnąłem mu rękę na gardle. – Wiesz, gdzie ona jest. Gadaj.

Zakaszał, opluwając mi nadgarstek krwią. Zebrał w sobie dość sił, by obrzucić mnie spojrzeniem pełnym gniewu, gdy wykrztusił odpowiedź:

– Jeśli naprawdę... jesteś... przyprowadź... uzdrowiciela, wtedy... Powiem ci, kurwa, wszystko!

Mój gniew ostygł, być może ostudziła go odrobina podziwu dla męstwa Erchela. Plugawa, wynaturzona istota, a jednak nawet w obliczu śmierci znalazł w sobie dość odwagi, żeby się targować.

– Za późno na uzdrowiciela. – Wskazałem krew, która dopływała już do przeciwległej ściany. – Nikt tego nie załata.

Ciekawe, że Erchel tak słabo zareagował na nieuchronność śmierci, jęknął cicho i pozwolił, aby głowa opadła mu na bok. Widząc, że oczy zaczynają mu gasnąć, spoliczkowałem go ponownie, ale prawie nie zareagował.

– Powiedzmy, że masz rację. – Zacisnąłem palce na kosmykach jego tłustych włosów, aby podtrzymać mu głowę. – Jestem duchem. Zginąłem we Młynie. Żołnierze zarżnęli mnie i Gerthe, zanim zdążyliśmy nawet wyjść z łóżka. Ona też tu jest. Chce wiedzieć, dlaczego nas zdradziłeś. Nie umieraj ze zbrukaną duszą, Erchelu, bo Malecyści się o nią upomną. Złóż testament i znajdź drogę do Portali.

Nigdy nie uważałem Erchela za pobożnego, ale nadzieja poruszy nawet najnędrniejsze serce.

– Testament... – szepnął. – Po to... tu jesteś?

– Tak. – Pochyliłem się bliżej, starając się przemówić tonem pełnym łagodności i zrozumienia, jak na ducha przystało. – Oczyszc swą duszę. Zrzuc brzemię. Mimo wszystko biegaliśmy razem po lesie, niczym... – niemal zadławiłem się kolejnym słowem, ale z wysiłkiem przełknąłem ślinę i udało mi się wypluć – bracia. Boli mnie, że dusza twoja zostanie skazana na wieczne męki. Oczyszc ją. Powiedz, dlaczegoś to uczynił?

Brew mu drgnęła i poruszył nieznacznie głowa.

– Skarb... obiecała...

– Skarb? – powtórzyłem zdumiony. – Jaki skarb?

– Skarb Lachlana... Wiedziała, gdzie...

– Naprawdę?! – Puściłem jego włosy, odpychając zarazem głowę, po czym wytarłem dłoń o kubrak. Skarb Lachlana był starą legendą i w innych okolicznościach na jej wspomnienie parsknąłbym szyderczym śmiechem, jednak bliskość wykastrowanego i umierającego człowieka zwykle psuje humor.

Historia Lachlana Dreola była jedną z legend Kniei Shavine. Dreol kiedyś był tym, kim później stał się Deckin – Królem Banitów. Nie miał jednak żadnych pretensji do szlachectwa i zadowalał się gromadzeniem łupów. Od Deckina odróżniało go również to, że nie miał najmniejszych skłonności do dzielenia się, choćby ziarenkiem. Nigdy nie dał jałmużny żadnemu biedakowi. Wedle legendy, jego

chciwość była tak wielka, że nie mógł zaznać spokoju, dręczony nieustannymi podejrzeniami. Ścigał i zabijał wrogów zarówno prawdziwych, jak i wymyślonych, i z coraz większą obsesją usiłował zachować każdy bibelot, każdą cząstkę złota, jakie kiedykolwiek ukradł. W końcu Lachlan całkowicie popadł w obłęd i nawet jego bracia zostali ofiarami jego morderczej chciwości. Mówiono, że ukrył swoje wielkie skarby gdzieś wśród skał i jaskiń zachodniego wybrzeża, zamknął się tam wraz ze swym złotem i umarł wśród bogactw, szalejąc w ciemności.

Ciekawa historia i, jak wszystkie tego typu legendy o utraconych bogactwach, z gruntu nieprawdziwa. Jednak Erchel i jego nikczemni krewniacy najwyraźniej sprzedali Deckina za nieistniejące złoto Lachlana.

– Narysowała ci mapę, co? – zapytałem z obrzydzeniem.

– To prawda, przysięgam! – Erchel zacharczał, drżąc z wysiłku, jakim było dlań mówienie. Najwyraźniej gotów był zużyć resztkę sił, aby złożyć swój testament, bez względu na to, jak bardzo nedorzeczny. – Wuj powiedział... Rodzinna tajemnica, widzisz... leże Ogara, można znaleźć...

Ogar. To słowo poruszyło moją pamięć i zabrzmiały mi w uszach słowa wypowiedziane przed laty przez Deckina. Gdzie Ogar składa głowę.

– Jaki Ogar? – zapytałem. – Jakie leże?

– Stara opowieść, którą wuj... nam opowiadał – wyszeptał chrapliwie Erchel. – Pewnego dnia... znajdziemy leże Ogara. Wtedy... cały jebany las... będzie do nas należał. Ale... Deckin znalazł. Znalazł leże Ogara... Tak zamierzał zapłacić... za swoją wielką rebelię. On wiedział... więc ona też. Tylko... że gdy było po wszystkim... zachowała... tajemnicę. Zdradliwa, mordercza suka.

Odetchnąłem głęboko, żeby się uspokoić, nadal nie byłem przekonany, co do istnienia mitycznego skarbu, ale chciałem usłyszeć coś więcej o nieuczciwości Lorine.

– Zatem – podjąłem, znów łagodnym tonem ducha – zdradziła was, jak zdradziła nas wszystkich?

Erchel znów ściągnął wargi, tym razem w grymasie złości.

– Było wszystko dobrze... przez jakiś czas. Mieliśmy cały las... dla siebie. Potem... – Odsłonił zęby, cały dygotał z wysiłku. – Kazała

swojemu... pieskowi... księciu, zastawić pułapkę. Wezwała wuja... cały nasz ród, na spotkanie. Powiedziała, że wyjawi... wreszcie wyjawi, gdzie jest skarb. – Twarz znów mu obwisła, głowa poleciała bezwładnie na bok. Oddychał płytko i z trudem, widziałem, że zostały mu jedynie chwile. – Kłamała... – mruknął. – Było... było tysiąc tych skurwieli, Alwynie. Książęcy... królewscy... musiałem zostawić wuja... musiałem zostawić ich wszystkich...

– Lorine – przypomniałem z naciskiem, przysunąłem ucho do jego ust, walcząc ze smrodem opróżnionych jelit i starego potu. – Jest z księciem? Zasiadła na książęcym tronie?

Erchel wykrzywił się w swym ostatnim uśmiechu.

– Weszła do... łoża. Ale to on... jest jej kurwą... a nie ona jego...

Targnęły nim konwulsje, zgiął się wpool i wyrzucił z siebie cuchnące rzygowiny. Smród tego wszystkiego zmusił mnie, bym wstał i się cofnął, patrząc, jak dygoce w objęciach śmierci. Miał jeszcze kilka słów do powiedzenia, był to głównie bełkot urozmaicony przerażającymi przekleństwami i całkiem sporo żalosego błagania. Powinienem czuć zadowolenie, patrząc, jak w cierpieniu kończy życie, ale tego nie czułem. Jak sobie później uświadomiłem, w tamtym momencie nie było we mnie cienia satysfakcji. Patrzyłem, jak się trzęsie, jak bełkocze i czułem rosnące obrzydzenie i niecierpliwość, że trwa to tak długo.

Dopiero gdy zbliżył się już do końca, wychwyciłem wśród jego bełkotu jakiś sens, ostatnie składne dźwięki.

– Deckin... kazał ci... mnie zabić. Prawda... Alwynie? To dlatego...

I skołał. Patrzyłem na jego bezwładne, umęczone ciało, splamione krwią i ekskrementami, i poczułem nagły rozkwit smutku. Zupełnie jakby gdzieś w głębi mojej piersi zaćwierkał maleńki, zdradziecki ptaszek. Zduśiłem go gniewem i przywołałem na twarz maskę ponurego zadowolenia, choć nikt tu nie mógł mnie zobaczyć. Słowa, które popłynęły z moich ust były pełne napięcia, na siłę napełnione gniewem i szyderczą kpina, na które ten plugawy okrutnik i wynaturzony morderca tak bardzo przecież zasługiwał.

– Założę się, że świnie zadławiają się twoim trującym zewłokiem, ty skurwysynu.



Byla wysoka, wyzsza od wielu męczyzn, prawdę powiedziawszy. Bez wątpienia słyszeliście wiele o tym, jak jej płeć, biała jak u marmurowych posągów, kontrastowała z satynową czernią włosów. Słyszeliście też zapewne o doskonale regularnych rysach jej twarzy, i o tym, że mocny zarys kości policzkowych łagodziła krzywizna szczęki i łuki pełnych ust. Ale to tylko marna poezja, która ma zadowolić tych, wymagających od swoich idoli doskonałej urody. Jej włosy nie były czarne, miały głęboki odcień brązu, skóra była z pewnością jasna, ale nie pozbawiona koloru, zwłaszcza w chwilach wielkich emocji, kiedy przypominała rozgrzaną stal. Jednak gdy ujrzałem Evadine Courlain po raz pierwszy, nie uderzyła mnie jej niezaprzeczalna uroda, ale aura niezrównanej siły, którą emanowała, no i jej głos, oczywiście. Ten najwspanialszy dar, który posiadać muszą prawdziwi Męczennicy.

– Nie myślcie, że przybyłam tu oferować wam nagrodę – powiedziała zebranyim mieszkańcom Callintoru, tego słonecznego dnia. Niebo było bezchmurne i błękitne, a przyjemny wietrzyk przegonił z ulic smród typowy dla wszystkich miast, ale nie osłabił jej głosu. Docierał do wszystkich uszu, brzmiał czysto i prawdziwie, nieugięcie rozkazujący. Pod wieloma względami był taki sam jak ciche, ale uzależniające przekonywania Sylidy. Ale, podczas gdy Sylida

pomagała ci odnaleźć twoje oddanie i wiarę w Przymierze, Evadine otwierała na oścież drzwi i rozkazywała przekroczyć próg.

– Nie łudźcie się, że przynoszę wam coś więcej, jak tylko znój i krew – mówiła dalej – taka jest bowiem wojna i to wojny właśnie żądają od nas Męczennicy.

Wiatr dodał różowości jej policzkom, co uznałem za bardzo miłe dla oka. Pozbyłem się wszelkich wątpliwości co do tego, że to ta Evadine była adresatką miłosnej korespondencji lorda Eldurma. Zrozumiałem teraz, że widząc w nim jedynie zakochanego durnia, oceniłem go zbyt surowo, poddał się czarowi kobiety, która niewątpliwie zrobiła to samo wielu innym, nie czyniąc w tym kierunku żadnych wysiłków.

Evadine Courlain odwróciła się powoli, powiodła spojrzeniem po zebranych tłumie, a słońce załśniło na jej zbroi. Nawet moje niedoświadczone oko widziało, że pancerz ten wyszedł spod ręki prawdziwego mistrza, każda płyta była idealnie ukształtowanym stalowym liściem. Każdy rycerz, który zobaczyłby tę zbroję, musiałby jej zapragnąć, mimo że nie miała ona żadnych ozdób, wytłaczanych wzorów czy barwnej emalii, tak uwielbianych przez szlachciców. Pancerz Evadine Courlain był całkowicie funkcjonalny, a jego elegancja wynikała z precyzji wykonania i ciała, do którego ochrony został stworzony.

– Chociaż my, którzy dotrzymujemy Przymierza, nade wszystko kochamy pokój – mówiła dalej, a głos jej nabrał nieznacznej chropowatości, sugerującej, że oto stoi przed nami ktoś zmuszony do działań mu przykrych, aczkolwiek nieuniknionych. – Każdy, kto podąża za przykładem Męczenników, wzdraga się przed czynieniem krzywdy drugiemu, ale, bracia i siostry, wiedzcie, że stoimy teraz na krawędzi zagłady. Wiedzcie, że Pretendent i jego horda złoczyńców nastają na nas i nie oszczędzą nikogo w swojej chciwości i okrucieństwie. Jeśli nie chcecie walczyć w obronie niewinnych, których pozbawią życia, walczcie w obronie świętego Przymierza, które chroniło nas tak długo.

– Tak długo, jak odpłacaliśmy, zapracowując się na śmierć – burknęła Toria, obok mnie. Staliśmy wraz z Piwowarem niemalże na samym przedzie, w miejscu wybranym wskutek zmartwień, które nękały mnie przez całą noc. Musiałem czekać na najgłębszą

ciemność nocy, żeby wywlec zewłok Erchela z szopy. Wymagało to opuszczenia wieczornych suplikacji, ale nic nie mogłem na to poradzić. Moja nieobecność na pewno została odnotowana i niewątpliwie czekała mnie kara, niemniej mogłem się nie obawiać wydalenia z miasta, biorąc pod uwagę, jaką miałem wartość dla skrytorium.

Przeniesienie na wpół zeszywniałego, na wpół bezwładnego Erchela do największego chlewu, gdzie było najwięcej świń, wymagało przerwania ciała przez kolejne płoty, co było zajęciem żmudnym i cuchnącym, wzbudzającym nadto niemały hałas wśród świńskich mieszkańców. Zrzuciłem Erchela pod zachodnią ścianą, blisko zadaszanej zagrody, w której drzemały świny, wiedząc, że słońce nie padnie na niego aż do południa. Do tego czasu, przy odrobinie szczęścia, zawsze żarłoczne wieprze postarają się, aby zredukować trupa do kolejnej kupki kości wśród resztek. Nie było to rozwiązanie, które można by nazwać starannym, ale nie miałem wyjścia ani żadnego topora pod ręką, czyli nie miałem jak podzielić Erchela na części łatwiejsze do ukrycia.

Nie powiedziałem Piwowarowi i Torii o mojej nocnej wyprawie, choć oni domyślali się niemało z mojego nastroju. Siedziałem w ponurej ciszy przez całą noc, myślami wracając do uśmiechniętej Ayin i opowieści, której należało się spodziewać z bezmyślnych ust. Deckin zabiłby ją również. Myśl tak samo mroczna, jak prawdziwa. Ale wtedy miałbym dwa ciała, którymi musiałbym nakarmić świny, a one z pewnością nie były na tyle głodne.

Rano stróże zagonili nas wszystkich, byśmy wysłuchali słów lady Evadine Courlain, komunikantki kapitan nowo powstałej Kompanii Przymierza. Natura jej misji szybko stała się oczywista i, być może, przez wielu nawet uznana za bardzo odpowiednią. Tak czy inaczej, gdy Evadine przemawiała tego dnia, nie czułem wielkiego przyływu oddania. Ani dla Przymierza, ani jak mógłbyś podejrzewać, drogi czytelniku, dla pięknej i zniewalającej komunikantki. Słuchałem jej słów jednym uchem, nieustannie rozglądając się po otaczających mnie twarzach, walczyłem z instynktem banity, który kazał mi uciekać przed nadciągającymi kłopotami. Zawsze istniała możliwość, że Ayin, poszkodowana

przecież na umyśle, zapomniała o wydarzeniach poprzedniego dnia. Być może udałoby mi się wcielić w życie pierwotny plan – szybkie, sprawne splądrowanie skrzyni w kaplicy, a następnie spacer przez bramę i dalej ku lepszemu życiu. W końcu nadzieja leży w naturze głupców.

– Król i Rada Luminarzy zarządzili, że tym, którzy przysięgną wierność Kompanii Przymierza i pomaszerują pod jej sztandarami, na mocy dekretu Korony zostaną odpuszczone wszelkie winy i zbrodnie, jakich się dopuścili. Po zakończeniu służby nie będą już musieli szukać schronienia w tym sanktuarium. Ale to nie jest nagroda, to tylko uznanie odbytej służby. Otrzymaliście już swoją nagrodę, moi przyjaciele, była nią służba tym świątyniom. Teraz proszę jedynie, abyście w niewielkim stopniu odwdzięczyli się za ten bezgraniczny dar, jakim jest łaska Serafilów i przykład Męczenników, abyście odpłacili się potem i krwią waszych ciał, które są jedynie naczyniami dla odkupionych dusz. Przyłączcie się do mnie!

Wyciągnęła w stronę tłumu dłoń w stalowej rękawicy, a wyraz jej twarzy można by uznać za desperację, gdyby nie siła, jaką emanowała lady Evadine.

– Przyłączcie się do walki i połóżmy Pretendenta do heretyckiego grobu, na jaki sobie zasłużył! Nadciąga bitwa! Hordy Pretendenta zbliżają się w tej chwili do granicy z Alberis. Ale z waszą pomocą, moi najukochańsi bracia i siostry w boskim Przymierzu, odeprzemy go! Ogniem i krwią!

Te pełne żaru, zniewalające słowa, jakoś nie pochwyciły wtedy mego serca. Torii również nie.

– No cóż – pociągnęła nosem – wszystko to brzmi kurewsko strasznie.

Jak można było przewidzieć, Piwowar miał odmienne zdanie, podobnie jak wielu innych. Po ostatniej inwokacji Evadine Courlain rozległ się głośny szmer poparcia, a nawet kilka żarliwych okrzyków. Kilkanaście kobiet i mężczyzn już wystąpiło do przodu, by paść na kolana przy wozie, na którym stała; donośnymi głosami wyrażali aprobatę, unosząc przy tym ramiona. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Piwowara, by przekonać się, że chce do nich przy tym dołączyć, jedno oko miał wilgotne, usta rozchylone, a na twarzy

wymalowaną tę samą fascynację, jak wtedy, gdy słuchał co bardziej wnikliwych kazań Syldy.

– Coś zeszywniało w portkach? – zapytała go Toria. – Nie trzeba było dużo czasu, żebyś zapomniał o naszej nowej Męczennicy, co?

W normalnych okolicznościach spodziewałbym się jakiejś ostrej riposty ze strony Piwowara, tym razem jednak tylko obrzucił Torię obojętnym spojrzeniem i zwrócił się do mnie.

– Zostaliśmy wezwani. Przymierze wzywa i my musimy odpowiedzieć.

– Nie. – Toria zaplotła ramiona na piersi. – Jakaś sucz, której nawet nie znamy, wzywa nas, żebyśmy walczyli w bitwach szlachciców. – Twarz miała pochmurną, a wzrok spuszczonej, co jak już się nauczyłem, wskazywało na tłumione emocje. Niezależnie od intensywności naszych kłótni, Wyrobiska i szaleństwo ucieczki połączyły naszą trójkę równie mocno, jak więzy krwi łączą członków rodziny. Pragnienie Piwowara, by paść przed tą gorliwą szlachcianką było, według Torii, zdradą.

– Jeśli chcesz iść, to spieprzaj – powiedziała, ruchem głowy wskazując rosnącą grupę ochotników przy wozie. – Będzie więcej mięsa do szatkowania.

Piwowar próbował z nią negocjować, odwoływał się do jej złodziejskich inklinacji, opowiadając o łupach, które można zebrać na polach walki, ale ona odpowiedziała mu pogardliwie:

– Niczego nie zbierzesz martwy.

Nie brałem udziału w ich coraz bardziej zażartej kłótni. Moje pełne niepokoju, nieustannie błędzące spojrzenie zatrzymało się na ascendantach Hilbertcie i Kolausie, którzy zmierzali w naszym kierunku z tuzinem stróżów za plecami. Kolaus był starszy z nich dwóch, ale cieszył się mniejszym autorytetem, dreptał za Hilbertem z mieszaniną niepokoju i głębokiego szoku na twarzy. Mina Hilberta była znacznie bardziej surowa i zdeterminowana, a gdy mnie zobaczył, to jeszcze spochmurniał. Niecichnący szmer głosów i głośne okrzyki skierowane do komunikantki kapitan przygłuszyły słowa ascendanta Hilberta, a mimo to usłyszałem je boleśnie wyraźnie.

– Alwynie Skrybo! Poddaj się sprawiedliwości Przymierza! – Cała osoba ascendanta Hilberta emanowała niecierpliwym pośpiechem, którego źródło było dość oczywiste. Beze mnie mógłby śmiało twierdzić, że testament Syldy jest jego.

Westchnąłem ciężko i odwróciłem się do zdezorientowanych przyjaciół, którzy nagle zapomnieli jakoś o swojej sprzeczce.

– Wybacz – powiedziałem Torii, przeciskając się obok niej, by niezwłocznie podążyć ku głośnej grupie ochotników. – Uznaj swój dług za spłacony. W kaplicy, w magazynku, jest skrzynia z zamkiem, który warto chyba otworzyć, jeśli nadal masz ochotę.

– Alwynie Skrybo! – Hilbert podniósł głos, a ja zdwoiłem wysiłki. – Ani kroku dalej! Musisz powiedzieć nam, gdzie podział się jeden z was. Inny były członek bandy Deckina, tak się dziwnie złożyło...

Zignorowałem go i nadal przepychałem się przez masę ciał odzianych w zgrzebne płótno, jednak jego słowa, pełne przekonania o mojej winie, nadal mnie ścigały.

– Mogę przymknąć oko na kilka drobnych przewinień zdolnego rzemieślnika, ale nie na morderstwo! Zatrzymaj się, ty łotrze!

Ominąłem ochotników klęczących wokół wozu Evadine Courlain, zamiast tego skierowałem się w stronę suplikanta z buzdyganem, z głową naznaczoną blizną, który stał z tyłu obok kilku osób o równie surowym wyglądzie. Wszyscy mieli na sobie te same ciemnoszare płaszcze i proste zbroje, a każdy z nich nosił jakąś broń, od mieczy po kusze. Właściciel buzdyganu był tym samym człowiekiem, którego poprzedniego dnia widziałem w kaplicy, gdy rozmawiał z Hilbertem. Uznałem, że poza lady Evadine to on pełnił w tej grupie najwyższą funkcję. Gdy podszedłem bliżej, zauważyłem, że nieregularna blizna na krótko przystrzyżonej głowie suplikanta przypomina wyryty na skórze błady trójząb pioruna. Zmarszczyła się, gdy żołnierz uniósł brew, widząc, że się zbliżyłem, aczkolwiek sprawiał wrażenie nieporuszonego, nawet gdy przyklęknąłem na jedno kolano.

– Suplikancie... – zacząłem, ale przerwał mi natychmiast.

– Suplikancie sierżancie Swainie – wychrypiął krótko.

– Suplikancie sierżancie – powtórzyłem, skłaniając głowę. – Proszę przyjmij mą pokorną służbę...

– Stop!

Nie podniosłem wzroku, gdy lekko zdyszany ascendant Hilbert zatrzymał się tuż obok. Staralem się zachować uniżoną i, miałem nadzieję, pobożną minę, gdy kapłan zwrócił się do sierżanta.

– Ten człowiek zobowiązany jest prawem Przymierza odpowiedzieć na zarzut morderstwa, co czyni go niezdolnym do służby w kompanii powołanej pod auspicjami Rady.

– Morderstwa, co? – Zaciekawienie w głosie sierżanta sprawiło, że podniosłem wzrok. Mierzył mnie taksującym spojrzeniem, z wyrazem twarzy, jaki często widywałem u Deckina, kiedy ten rozważał wykorzystanie bądź też ukaranie/skrzywdzenie jednego z członków bandy.

– Morderstwo i to najnikczemniejsze – potwierdził ascendant, gestem przywołał stróżów. – Zwiążcie go i zabierzcie do kaplicy.

– Stać! – Głos sierżanta suplikanta Swaina nie był szczególnie donośny, ale posiadał ten rodzaj autorytetu, który zatrzymałby każdą posłuszną duszę. Stróże nie byli prawdziwymi żołnierzami, ale doskonale znali ton głosu wyższego stopniem. Gdy stróże się zawahali, dostrzegłem na twarzy ascendanta Hilberta czerwien frustracji. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale sierżant nie dał mu szansy.

– Kogoś zabił? – zapytał ostro, wciąż mi się przyglądając. – I nie kłam.

To pytanie stwarzało pewien dylemat. Jeśli powiedziałbym prawdę, istniało spore prawdopodobieństwo, że to Ayin zadynda na stryczku jeszcze przed wieczorem. Jednakże, biorąc pod uwagę to, że Hilbert był żywo zainteresowany pozbyciem się mnie raz na zawsze, uznałem, że odrzuci nieprzyjemne i nieupiękzone fakty jako kłamstwa. Na szczęście na tym etapie nie musiałem już do czegokolwiek go przekonywać.

– Dawnego kamrata – wyznałem sierżantowi Swainowi. – Zdradził mnie, lata temu. Zrobił też wiele innych złych rzeczy, ale to akurat nie jest teraz ważne.

Swain chrząknął tylko.

– Jak to zrobiłeś?

Zaryzykowałem spojrzenie na Hilberta i zobaczyłem ponury triumf na jego twarzy. Ten akurat szczególnie nie malował mnie w najlepszych barwach, ale nie widziałem innego wyjścia.

– Odciałem mu kutasa i jaja – odparłem z pustym uśmiechem.
– To była ulubiona kara Deckina Scarla dla donosicieli, dawno temu w lesie.

– Sami widzicie – stwierdził z satysfakcją Hilbert. – Ta kreatura splamiła tylko wasz sztandar...

– To sztandar Przymierza, ascendancie – pouczył go Swain twardo, powstrzymując Hilberta przed dalszymi inwektywami pod moim adresem. Sierżant znów spojrzał na mnie z głębokim namysłem, po czym przeniósł wzrok na zbliżających się Torię i Piwowara. Oboje przyklękli obok mnie.

– Wy dwoje też obcinacie jaja? – zaciekawiał się.

– Nigdy, suplikancie! – zapewnił go Piwowar z ukłonem.

– Zdarzyło mi się dźgnąć kilku w niewymowne – przyznała Toria. – Ale nigdy jakoś nie udało mi się czegoś odciąć.

Na twarzy Swaina pojawiła się mieszanina satysfakcji i odrazy i suplikant zwrócił się do Hilberta, skłaniając głowę w pozbawianym znaczenia wyrazie szacunku.

– Z przykrością muszę cię poinformować, ascendancie, ale ten człowiek – wskazał na mnie – został przyjęty do kompani przed twą interwencją.

Ignorując pełne wściekłości protesty Hilberta, który aż jąkał się wskutek doznanego despektu, suplikant Swain odwrócił się, by przywołać jednego z towarzyszy w szarych płaszczach, tęgą kobietę o wydatnej szczęce, niemal tak wysoką jak Piwowar.

– Suplikantko zbrojna Ofilo, eskortuj tych troje do obozu. Dołączą do twojego oddziału. I pilnuj ich dobrze. – Zanim zdążyłem odejść, zastąpił mi jeszcze drogę i spojrzał mi twardo w oczy. – Właśnie złożyłeś przysięgę, obcinaczu jaj – powiedział cicho. – Złam ją, a to, co zrobiłeś swojemu staremu druhowi będzie delikatnym łaskotaniem w porównaniu z tym, co zrobię tobie. Należysz do Kompanii Przymierza, dopóki ona – ruchem głowy wskazała Evadine Courlain, uśmiechając się, gdy opuściła dłonie do uniesionych palców pełnych czci ochotników – nie uzna, że wywiązałeś się ze swojego obowiązku. Albo – obdarzył mnie uśmiechem, równie

pustym jak ten, który posłałem mu wcześniej – któraś szumowina Pretendenta cię wypatroszy, co, jak obstawiam, jest zdecydowanie bardziej prawdopodobne. Spróbuj po prostu odkupić swoje bezwartościowe istnienie, zabierając jednego z nich ze sobą, co?



Ty stań za nim. – Mięsiste dłonie suplikantki Ofili pchnęły mnie na pozycję, o wiele bliżej wielkiego, śmierdzącego potem ciała Piwowara, niżbym chciał. – A ty – przesunęła Torię za moje plecy – stój za nim.

Poczułem, jak Toria wzdrygnęła się od dotyku potężnej kobiety i zdjąłem rękę z sierpaka, żeby uspokoić przyjaciółkę klepinięciem w ramię. Po trzech dniach żołnierskiej dyscypliny buntowniczy duch Torii zaczynał dochodzić do głosu, tymczasem nie mogliśmy sobie pozwolić na żadne kłopoty, przynajmniej nie teraz, gdy Kompania Przymierza wciąż obozowała pod Callintorem.

W sumie ponad trzystu mieszkańców miasta-sanktuarium odpowiedziało na wezwanie lady Evadine, którą teraz nazywano Pomazańcem lub Świętą Kapitan. Tym samym Callintor został pozbawiony znacznej części siły roboczej i czterej ascendanci zażądali natychmiast, żeby kompania obozowała pod miastem przez co najmniej tydzień, póki nie zostaną zebrane ostatnie plony, aby mieszkańcy nie cierpieli głodu, gdy nadejdą chłodniejsze dni. W rezultacie kompania spędzała połowę dnia pracując na polach, drugą połowę zaś na ćwiczeniach. To drugie oznaczało właściwie wielogodzinne znoszenie wybuchów wściekłości i frustracji doświadczonych żołnierzy, próbujących nauczyć podstaw swojego

fachu nowicjuszy, z których większość spędziła dotychczasowe życie na starannym unikaniu wojny i jej licznych nieszczęść.

– Głowę niżej – rozkazała Ofila, nacisnęła na głowę Torii i wepchnęła ją w mój grzbiet. – No chyba że chcesz dostać strzałę w oko. Pretendent najął całą kompanię heretyckich łuczników i możesz mi wierzyć, że oni znają się na swojej robocie.

– A co z moimi oczami, suplikantko? – zapytałem i ruchem głowy wskazałem na Piwowara. – Jest wielki jak perszeron, ale nie aż tak wielki, by osłonić mnie całego.

– No to lepiej, żebyś się nauczył uchylać, jeśli jeszcze nie umiesz – mruknęła Ofila. Zauważyłem już, że swoje co bardziej szczegółowe i pożyteczne pouczenia adresowała w większości do Torii, reszta z nas musiała zadowolić się podstawowymi instrukcjami.

Skrzywiłem się boleśnie, bo Piwowar podniósł swoją siedmiostopową pikę, by dźgnąć mnie końcem drzewca.

– Perszeron! – prychnął z urazą.

– Koniec tego marudzenia! – huknęła Ofila. – Patrzeć przed siebie! Szturchnęła nas jeszcze kilka razy, po czym chrząknęła z zadowoleniem i cofnęła się, by zwrócić się do tuzina innych ochotników stojących nieopodal bez żadnego porządku: – Ustawcie się obok tych trojga w ten sam sposób. Piki z przodu, sierpaki za nimi, sztylety na końcu. Szybciej! Nie myślcie, że szumowiny Pretendenta pozwolą wam się tak guzdrać.

Trzeba było żmudnego szarpania, potrząsania i wrzasków, żebyśmy wszyscy stanęli w jako takim porządku przypominającym formację. Przyglądając się Ofili wywnioskowałem, że jej mina pełna ponurego przerażenia nie była grą, podstępem, mającym pobudzić nas do większych wysiłków. Mówiąc wprost, nie byliśmy żołnierzami, a bandą przestępców, część z nas szczerze chciała służyć sprawie Przymierza, część niekoniecznie, choć udawaliśmy, że jest inaczej. Zarówno Ofila, jak i inni prawdziwi żołnierze z kompanii wiedzieli, jak niewielką szansę ma grupa dyletantów podczas zdecydowanego ataku weteranów. Oczywiście interesowało mnie to wszystko tylko w niewielkim stopniu, nie miałem zamiaru zbliżyć się do pola walki, niemniej potrafiłem zrozumieć, jak najbardziej uzasadnione obawy suplikantki.

– Ta formacja znana jest jako żywoplot – powiedziała, rozkładając ramiona, by objąć tym gestem nasze nierówne szeregi. Najwyżsi rekruci zostali ustawieni na przodzie i uzbrojeni w piki, uniknąłem tego losu, bo zawsze starałem trzymać się z tyłu, lekko uginając kolana. Niestety nie zdołałem uciec przed drugim szeregiem i sierpakiem, który wepchnięto mi do rąk.

Była to broń solidna, aczkolwiek nie budziła szczególnego respektu, składała się z wyklepanego pobieżnie, sierpowatego ostrza, przymocowanego do czterostopowego jesionowego kija. Toria i inni rekruci o mało imponujących sylwetkach formowali szereg trzeci. Uzbrojono ich w rozmaite noże, sztylety i tasaki, jak również w drewniane młotki, których przeznaczenia nie umiałem się domyślić.

– Kiedy krzykną: formować żywoplot!, to taką formację macie utworzyć – instruowała nas Ofila. – Zrobicie to, jak należy, a uratuje wam życie. Żaden koń nie zaszarżuje na dobrze wykonany żywoplot i żaden człowiek nie jest tak silny, żeby się przezeń przebić.

Następnie kazała nam ponownie stanąć tak jak wcześniej, w nieuporządkowanym i nierównym szeregu, po czym krzyknęła: formować żywoplot!

Jak można było się spodziewać, nasza pierwsza próba okazała się beznadziejna, a kolejne ponawiane, w miarę jak mijał ten coraz bardziej męczący dzień, wykazały jedynie marginalną poprawę. Szeroka twarz Ofili zmieniła odcień, ciemną czerwień rumieńców zastąpił blady róż rozpaczy, jednak suplikantka wykonywała swoje obowiązki z godną pochwałą wytrwałością, a także bez karczemnych przekleństw, których spodziewałem się po żołnierzach. Spodziewałem się też, że będą raczej brutalni i tu się nie pomyliłem.

Pięść Ofili wydała twardy, suchy dźwięk, gdy zetknęła się z kością policzkową szczególnie opieszałego rekruta, który był chyba garnkarzem w służbie świątyni Męczennika Melliaha. Nie tylko zawsze ostatni ustawiał się na swoim miejscu w drugim szeregu, tym razem zdołał również zapomnieć o trzymanym w rękach sierpaku i pozostawił paskudne cięcie na ramieniu pikiniera stojącego przed nim.

Kiedy Ofila przeszła nad bezwładnym ciałem garnkarza, który leżał twarzą w błocie, po raz pierwszy zobaczyłem, że bliska jest, by

cisnąć w nas grubym słowem.

– Zrozumcie jedno, wy sku... – Ugryzła się w język i odetchnęła głęboko.

Fascynowało mnie, jak zmieniały się kolory jej twarzy, gdy starała się zachować spokój, i zastanawiałem się, ile gniewu dusi w sobie ta kobieta.

– To nie jest jakieś przedstawienie komediantów – oświadczyła w końcu, a w jej głosie słyszałem tłumiony warkot. – Albo się tego nauczycie, albo umrzecie, a martwi na nic się nie zdacie Przymierzu.

Garncarz jęknął cicho, a dźwięk ten najwyraźniej przytłumił płomień gorzejący w piersi Ofili. Zamrugła i zerknęła pod nogi, wzdychając przy tym ciężko.

– Wystarczy na dzisiaj. Ty – kiwnęła palcem na rannego pikiniera – idź do felczera, nich cię pozszywa. – Jej palec przesunął się w kierunku Torii, Piwowara i mnie, jednocześnie trąciła czubkiem buta tyłek leżącego garncarza. – Zabierzcie go ze sobą.

Kiedy zbliżyliśmy się, żeby zebrać z ziemi wiotkiego i jęczącego rzemieślnika, Ofila dodała znacznie ciszej:

– Powiedzcie suplikantowi Delrykowi, że moim zdaniem będzie najlepiej, jeśli znajdzie jakiś powód, żeby zwolnić go z dalszej służby w tej kompanii.



Suplikant Delryk był jedynym kapłanem w Kompanii Przymierza, który nie nosił zbroi ani broni. Dorównywał wzrostem Piwowarowi, ale nie był tak masywny i o wiele starszy niż większość ludzi w tym obozie, na co wskazywały głębokie zmarszczki na twarzy i mocno posiwiałe włosy. Z natury milczący, mówił krótkimi, lakonicznymi zdaniami i przez wiele lat naszej znajomości, nigdy nie użył ani jednego słowa więcej, niż musiał.

– Zakłuje – ostrzegł pikiniera z rozciętym ramieniem, po czym przyłożył do skaleczenia szmatkę zwilżoną octem i wapnem, rekrut

zacisnął zęby i syczał z bólu. Po chwili zaczął się szarpać, ale znieruchomiał po szczeknięciu suplikanta Delryka. – Spokój!

Położyliśmy nie do końca przytomnego garncarza na jednym z wolnych łózek w namiocie i czekaliśmy, tymczasem Delryk zajął się czyszczeniem i zszywaniem rany pikiniera. Jego ręce poruszały się ze zręcznością, którą rzadko miałem okazję oglądać, zamykały brzegi cięcia precyzyjnymi i szybkimi pętłami nici i igły. Zakończywszy prace, nie skomentował tego żadnym słowem, tylko odesłał pikiniera, każąc mu wypić pół kubka brandy na uśmierzenie bólu.

– Ofila – stwierdził, zbadawszy intensywnego siniaka na policzku garncarza. Najwyraźniej ten cios stanowił coś w rodzaju podpisu suplikantki, obiecałem sobie, że nie pozwolę, aby kiedykolwiek złożyła go na moim policzku.

– Tak, suplikancie – potwierdziłem. – Kazała ci przekazać, że jej zdaniem, ten człowiek nie nadaje się do żołnierki.

Delryk zanucił coś cicho, po czym podwinął rękawy koszuli i portek z grubego, szorstkiego płótna, aby zbadać stawy pacjenta.

– Kościana gorączka – oznajmił, rzuciwszy okiem. – Nie może walczyć. Nie może maszerować. Odeślę go. Powiedźcie jej.

– Powiemy, suplikancie. My, e... – wymieniłem spojrzenia z Piwowarem i Torią – też trochę dziś oberwaliśmy. Nic, czego nie uleczyłaby kropelka brandy...

– Wyjść. – Delryk wskazał nam połę namiotu i przeszedł za stół, na którym stał jego mózdzierz z tłuczkiem, nie marnując na nas kolejnego spojrzenia, a już na pewno nie słowa.

– Stary chytrus – mruknęła Toria, gdy tylko wyszliśmy z namiotu uzdrowiciela. Lata minęły od czasu, gdy miałam w ustach kropelkę czegoś dobrego. W mieście podają tylko wodę ze szczynami.

– I tak nie pogniewałbym się na butelkę albo dwie dobrego cydru, gdy już skończysz wieczorną pracę.

Na mój szeroki uśmiech odpowiedziała gniewnym spojrzeniem. Jako skryba, który zdecydowanie nie był już mile widziany ani w skryptorium ascendanta Hilberta, ani w obrębie murów miejskich, zostałem zwolniony z obowiązku pracy na rzecz Callintoru. W związku z tym wieczory spędzałem na unikaniu

licznych prac niezbędnych do utrzymania obozu żołnierskiego w należyтым porządku. Zazwyczaj szukałem ustronnego miejsca, by kontynuować przepisywanie testamentu Syldy.

Po tym jak Toria i Piwowar dołączyli do zmęczonego tłumu zmierzającego w stronę bram miasta, roztropny zwiad zaprowadził mnie do pnia wiekowej wierzby, której gałęzie opadały łukiem nad wodą rwącego strumienia. Kiedy usiadłem, by rozłożyć biurko, dostrzegłem nieopodal znajomą postać o smukłej sylwetce. Tym razem Ayin nie uśmiechała się jak niewinne dziecko, jej twarz przybrała wyraz głębokiej koncentracji. Dziewczyna powoli brodziła w strumieniu, zebrała przy tym szatę wokół talii i nie mogłem się powstrzymać od spoglądania na jej blade uda. Weszła kilka metrów w głąb wody i zamarła w bezruchu, wpatrując się w spienioną wodę. Trwała tak przez dłuższy czas, najwyraźniej odporna na przejmujący chłód i nagle z kocią szybkością zanurkowała w strumieniu, by w następnej sekundzie wyprostować się triumfalnie z dużym trzepoczącym pstrągiem, trzymany w obu rękach.

– Ale wielki! – wykrzyknęła do mnie, uśmiechając się promiennie mimo strug wody spływających jej po twarzy. Podszedłem bliżej brzegu strumienia i zatrzymałem się, patrząc na jej rozjaśnioną szczęściem twarz z mocno mieszanymi uczuciami.

– Wielki – potwierdziłem, rozglądając się jednocześnie w poszukiwaniu jakiegoś chrustu. – Wypatrosz go, a ja rozpalę ogień.



– Słyszałam, jak Święta Kapitan mówiła – powiedziała Ayin niewyraźnie, bo cały czas wysysała mięso z pieczonej głowy pstrąga. – Chciałam usłyszeć ją znowu, bo wtedy miałam takie śmieszne uczucie w brzuchu. Jest taka śliczna. Myślisz, że pozwoliłaby mi się pocałować?

Zamrugałem, oczy szczypały mnie trochę od dymu z małego ogniska, które rozpałem na brzegu rzeki. Ayin wypatroszyła pstrąga z szybkością, świadcząca o wielkiej wprawie, nabiła tuszę na

rozwidlony patyk, po czym upiekła ją nad ogniem. Obracała pstrąga regularnie, by z każdej strony upiekł się równie dobrze, doprawiając mięso solą z woreczka przy pasku. Niezależnie od tego, jakie dolegliwości nękały jej umysł, Ayin z pewnością posiadała kilka przydatnych umiejętności.

– Bardzo w to wąpię – odparłem.

– To może chociaż dotknąć włosów. To w porządku, tak?

– Naprawdę nie. I lepiej, żebyś o to nie pytała.

– Och. – Ayin nadąsała się odrobinę, ale zaraz otrząsnęła się i ponownie skupiła na rybie. Tymczasem ja przyglądałem jej się, obracając w głowie pytanie.

– Ten zły człowiek, mówiłaś komuś o nim?

– O tak. – Pozbawiła głowę wszelkich skrawków mięsa, w tym oczu, które włożyła do ust i pogryzła jak jagody. Resztę ości wrzuciła do ognia i starannie zlizwała tłuszcz z palców. – Ascendant Kolaus był zły na mnie, bo się spóźniłam na suplikację i następnego ranka o to zapytał. Powiedziałam mu o tym złym mężczyźnie i powiedziałam ascendantowi Hilbertowi.

– Hilbertowi?

– No tak. Ascendant Kolaus zaprowadził mnie do niego od razu i kazał jemu też wszystko opowiedzieć.

– A ascendant Hilbert był bardzo zainteresowany – stwierdziłem kwaśno, przegarniając żar patykiem.

– No tak. – Ayin beknęła głośno. – Dał mi całą torbę kasztanów za to, że byłam taka... – jej gładkie czoło przecięło kilka zmarszczek – prostolinijna, bez względu na to, co to znaczy.

– Uczciwy i otwarty, również prawdomówny. Ta cecha przynosi ci zaszczyt, Ayin. Ale nie zawsze.

– W piśmie mówią, żeby zawsze mówić prawdę. – Przechyliła głowę, aby popatrzeć na mnie z surową miną. – Więc ja nigdy nie kłamię. Ty też nie powinienes.

– Nie musisz kłamać. Tylko nie mów wszystkim, co się stało. Szczególnie nie tutaj.

– Dlaczego?

Poruszyłem patykiem płonąca gałąź, przygotowując wyjaśnienie, które mogłaby zrozumieć.

– To co przytrafiło się złemu mężczyźnie, zrobiłaś to już wcześniej, prawda?

– Parę razy. – Surowość ustąpiła pochmurnej niechęci. – Ale oni wszyscy byli źli, nawet jeśli ich żony mówiły, że nie byli. Wszyscy kłamali. Źle jest kłamać.

W głosie miała żar, a jej wzrok stał się rozmyty i niewidzący. Uznałem, że zmiana tematu będzie tu jak najbardziej na miejscu.

– Bardzo dobrze przyrządziłaś tę rybę – pochwaliłem ją, co odniosło natychmiastowy skutek, bo na jej twarzy od razu pojawił się uśmiech.

– Matula mnie nauczyła. Matula była wspaniałą kucharką. Wszyscy tak mówili. Umiała ugotować najróżniejsze rzeczy i ja też umiem.

– To... dobrze wiedzieć, Ayin. Chodź. – Podniosłem się na nogi, powstrzymując się przed ujęciem jej ręki, gdyż nie byłem do końca pewien, czy nie uzna za stosowne pozbawić mnie palca lub dwóch. – Jest jeden mężczyzna, z którym musimy porozmawiać.

Znalazłem sierżanta suplikanta Swaina pogrążonego w rozmowie z kapitan przed małym namiotem rozbitym na północnym skraju obozu. Ten całkowicie zwyczajny namiot, podobny do pozostałych, i brak orszaku sług różniły lady Evadine od innych szlachciców. Co więcej Święta Kapitan sama pielęgnowała swoje dwa konie bojowe. W przeciwieństwie do prostego płóciennego namiotu, te bestie były wyraźnym dowodem bogactwa lady Evadine – jeden kary z białą łatą na czole, drugi deresz o sierści koloru wypolerowanej stali – oba stanowiły uosobienie siły. Miały co najmniej osiemnaście dłoni w kłębie i zaczynały kasać i wierzgać agresywnie, jeśli tylko zbliżył się do nich ktoś poza ich właścicielką.

Stanąłem z Ayin w stosownej odległości, podczas gdy sierżant i kapitan kontynuowali rozmowę. Ayin gapiła się na lady Evadine z niczym nieskrępowaną fascynacją, podczas gdy ja w ogóle nie patrzyłem w tamtą stronę, starając się nie zdradzić z tym, że usiłuję usłyszeć każde słowo. Zdołałem wychwycić zaledwie kilka zdań i to tych wygłaszanych przez Swaina, bowiem szlachcianka mówiła znacznie ciszej.

– ...przynajmniej miesiąc – oznajmił krótko, wyraźnie usiłując maskować emocje, jednak ja wyraźnie słyszałem dźwięczącą w jego

słowach troskę.

Mówił stłumionym głosem, by pozbawić go emocji, ale słyszałem, jak bardzo sierżant był zatroskany.

Niewiele zrozumiałem z odpowiedzi lady Evadine poza słowem „Shalewell” i wzmianką o „...trzydziestu milach”. Na to Swain odpowiedział ponuro:

– Nie jestem pewien, czy ci ludzie zdołaliby przemaszerować trzydzieści jardów we właściwej formacji...

Shalewell – to słowo znałem doskonale. Rzeka Shalewell stanowiła znaczną część granicy między księstwami Alberis i Altien. Z przemówienia lady Evadine w Callintorze wynikało, że horda Pretendenta wkracza do serca królestwa i najprawdopodobniej zamierza uderzyć na Couravel, stolicę królestwa Albermaine i rodzową siedzibę dynastii Algathinetów. Wątpiłem, by król Tomas i jego dwór zostali w mieście i pozwolili się oblegać i, jak przystało na królewską rodzinę w czasie kryzysu, niewątpliwie będą salwować się ucieczką w bezpieczniejsze okolice. To jednak na pewno nie zniechęci Pretendenta. Gdyby zdobył Couravel z tymi wszystkimi królewskimi pałacami, magazynami i lichwiarzami, jego pretensje do tronu miałyby wreszcie jakąś podstawę.

– Czego chcesz, obcinaczu jaj?

Stanowcze pytanie Swaina przerwało mi te kalkulacje, natychmiast pochyliłem głowę niżej, nie chcąc ryzykować spojrzenia na jego surową twarz.

– To sprawa pewnej wagi, sierżancie suplikancie – odparłem i zerknąłem na Ayin, która bezmyślnie nawijała pasmo włosów na palec, z wzrokiem wciąż utkwionym w lady Evadine.

– Waszym oddziałem dowodzi suplikantka zbrojna Ofila – warknął Swain, zbywając nas ruchem dłoni. – Rozmawiaj z nią.

– W porządku, sierżancie – wtrąciła się lady Evadine z uśmiechem i gestem zachęciła mnie, bym się zbliżył. – Podejdz, dobry żołnierzu. Jak cię zwą?

Nieczęsto się zdarza, drogi czytelniku, że w obecności szlachciców czuję się speszony, bądź ogarnia mnie wahanie. Ta chwila była osobliwym wyjątkiem. Lady Evadine Courlain miała spojrzenie bardzo bezpośrednie, wielu mówiło nawet, że przeszywające. Do tego dochodziło to dziwne uczucie, które pojawia

się zawsze, gdy w pobliżu znajduje się istota ludzka obdarzona urodą właściwą posągom lub obrazom. Tego dnia nie miała na sobie zbroi tylko prostą koszulę i spodnie, niemniej wciąż robiła nieodparte ogromne wrażenie. Nie miałem wątpliwości, że ta kobieta jest świadoma swojego wyglądu, jak również wpływu, jaki wywiera na innych. Podobnie jak w przypadku Lorine, była to kolejna broń w arsenale, choć wykorzystywana do zupełnie innych celów niż pozostałe. Z czasem zrozumiałem również, że niepokojąco przenikliwe spojrzenie, którym obrzucała napotkanych ludzi, było celowym zabiegiem, ponieważ z ich reakcji potrafiła naprawdę wiele wyczytać.

Jeśli chodziło o mnie, to po prostu odpowiedziałem na jej spojrzenie swoim, nie próbując się uchylić, ale też nie mogłem od razu sformułować odpowiedzi. Jej twarz mnie oczarowywała, na chwilę zaledwie, ale wystarczyło, żebym przyjrzał się tej kobiecie, tak jak ona przyglądała się mnie. W tamtym momencie nie zdołałem zbyt głęboko zajrzeć w jej duszę, ale zrozumiałem dwie istotne rzeczy: Świętej Kapitan nie można było okłamywać i ona też nie kalala swych ust kłamstwem.

Ukloniłem się ponownie, przerywając to wzajemne taksowanie się wzrokiem.

– Alwyn, moja pani. Alwyn Skryba.

– Kapitanie, ty nieuczony łajdaku – warknął Swain.

Jednak lady Evadine nie poczuła się dotknięta.

– Skryba? – zapytała. – To nazwisko rodowe, czy profesja?

– Profesja... kapitanie. Nie mam rodowego nazwiska.

– Najwyraźniej pracował w skryptorium Hilberta – wtrącił wyjaśniająco Swain. – Póki nie zamordował człowieka w ohydnie zdeprawowany sposób, zaledwie tydzień temu. Jest też jednym z niewielu okrutników Deckina Scarla, którzy jeszcze żyją. Człowiek jak najbardziej krwawy, nie ma wątpliwości.

– Tym, którzy maszerują pod naszym sztandarem wszystkie grzechy zostają odpuszczone – powiedziała kapitan, z lekką nutą przygany w głosie. – Zatem powiedz – znów się zmieszałem, bo ponownie skierowała na mnie to przeszywające spojrzenie – Alwynie Skrybo, co sprowadza cię do mojego namiotu?

Zaryzykowałem zerknięcie na jej twarz i zobaczyłem jedynie szczere zainteresowanie, ani śladu odrazy, czy potępienia, jakich się spodziewałem. Przelknąłem z wysiłkiem i odwróciłem się, by wskazać Ayin.

– Ona nie może tu zostać, kapitanie.

W reakcji na uważne spojrzenia obojga żołnierzy, Ayin zacisnęła dłonie za plecami i odwróciła wzrok, a jej policzki oblały się rumieńcem. Oczywiście, sprawiało to bardzo mylne wrażenie. Obserwowałem, jak Swain obrzuca Ayin długim, taksującym spojrzeniem, w którym dostrzegłem mgnienie czegoś. Być może żądzy albo słabego echa uczuć od dawna tłumionych i rzadko przywoływanych.

– Każdy żołnierz, który podniesie rękę na drugiego, czy to pod wpływem gniewu, czy cielesnego zainteresowania, zostanie wychłostany i wydalony z szeregów kompanii – wyrecytował, z rozmysłem odwracając wzrok od dziewczyny. – Gwałciciele zostaną powieszani. Każdy z was, łotrów, usłyszał to w dniu zaciągu.

– Z całym szacunkiem, sierżancie, nie o ręce podniesione na nią się martwię. – Zaryzykowałem kolejne zerknięcie i zobaczyłem konsternację na twarzach obojga dowódców. – Wiem, jaka się wydaje. Ale taka nie jest, nie do końca. – Wziąłem się w garść i spojrzałem Evadine Courlain prosto w oczy, mówiąc tonem pełnym szacunku, ale też głębokiego przekonania. – Kapitanie, wedle mojego przekonania sierżant Swain przyjął mnie do tej kompanii, albowiem trzeba wam niebezpiecznych ludzi, którzy nie zawahają się przelać krwi, gdy nadejdzie potrzeba. Nazwał mnie krwawym człowiekiem i takim byłem swego czasu. Proszę zatem, zawierz słowu krwawego człowieka, kiedy powiem, że Ayin nie potrzebuje ochrony. To kompanię trzeba chronić przed nią. Dla naszego dobra i jej, powinna zostać odesłana do Callintoru.

– W jakim niebezpieczeństwie dokładnie? – chciał wiedzieć Swain, a czoło pofałdowało mu się w grymasie zarówno wątpliwości, jak i rozbawienia.

Zawahałem się, nie chciałem bowiem opowiadać ze szczegółami o naszej wspólnej zbrodni, próbowałem więc ułożyć jakieś wiarygodne kłamstwo. Jednakże Ayin posiadała czuły słuch i ogromne pragnienie być pomocną.

– Obcinam jaja złym mężczyznom – wtrąciła radośnie, obróciła się przy tym trochę, by rzucić zawstydzone spojrzenie na lady Evadine, jak mała dziewczynka, która oczekuje pochwały za dobrze wykonane zadanie.

– O – mruknął Swain, a na jego twarzy pojawił się teraz wyraz wzgardliwego zrozumienia. – To ona jest prawdziwym obcinaczem jąder, tak?

Westchnąłem z mieszaniną irytacji i zmieszania. Kiedy spojrzenie kapitan zatrzymało się na mojej twarzy odkryłem, że moje zdolności do oszustwa nagle zdradziecko mnie opuściły.

– Wykrztuś wreszcie! – huknął nagle Swain. – Już dość kłamstw od ciebie usłyszałem.

– Ona go pocięła – przyznałem. – Ja przytrzymałem i zdławiłem krzyki, żeby się wykrwawił. Cała reszta to prawda. Miałem dług do uregulowania, więc to był... szczęśliwy zbieg okoliczności.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale potępienie wymalowane na twarzy sierżanta sprawiło, że próby te spęły na niczym. Lady Evadine natomiast spoglądała raczej ze smutkiem niż z naganą i potrzasała głową.

– Ta dziewczyna jest twoją krewną? – zapytała.

– Nie, kapitanie. Tylko... niedawno pozyskaną przyjaciółką.

Przechyliła głowę, przymrużyła lekko powieki i wbiła głębiej to swoje przenikliwe spojrzenie, jakby chciała dotrzeć do mojej duszy. Wiedziałem, co kryło się za tym spojrzeniem: pytanie, które świadczyło o tym, że ta kobieta nie jest bynajmniej naiwna i właśnie wyrabia sobie opinię na temat mojego charakteru. Dlaczego po prostu jej nie zabiłeś? Byłoby to stosunkowo łatwe zadanie. To prawda, Ayin była zabójczą, ale też ufna, a ja nie dałem jej żadnego powodu, by się mnie bała. Mogłem odwrócić jej uwagę, z udanym podnieceniem wskazać jakiegoś ptaka lub wiewiórkę, po czym sprawnie podciąć jej gardło, gdyby się odwróciła. Kilka kamieni, by obciążyć ciało i strumień stałby się jej grobem. Mogłem to zrobić, bez trudu. Ale nie zrobiłem.

Między brwiami Evadine Courlain pojawiła się cienka zmarszczka, wyraz zdziwienia, a może satysfakcji, nie potrafiłem

odgadnąć. Zniknęła, gdy kapitan zamruwała i przeniosła uwagę na Ayin.

– Chodź tu, dziecko. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

Pełna nieśmiałości mina Ayin zmieniła się, gdy dziewczyna przytruchtała bliżej. Najpierw na jej twarzy odmalowały się dziecięca gorliwość i radość z uwagi, której tak pragnęła, ale i te emocje zaraz ustąpiły miejsca innym. Gdy znalazła się w zasięgu ręki kapitan, zniknęły gdzieś infantylność i szczęście, pozostawiając jedynie czyste, pełne zachwyty oddanie. Błoto mlasnęło głośno, gdy nieproszona upadła na kolana, sięgając drżącymi rękami do palców, którymi lady Evadine przeczesała miękkie, brązowe pasma włosów Ayin.

– Masz przepiękną duszę, siostró – powiedziała komunikantka.

I Ayin się rozpląkała. Deszcz łez spadł całkowicie niespodziewanie – oczy wezbrały nagle i strumienie popłynęły po twarzy ściągniętej w niewypowiedzianym bólu i żalu. Ayin skuliła się, zapadła w sobie, zasłoniła twarz dłońmi, wstrząsana głębokimi konwulsjami szloch. Kapitan przykucnęła obok niej i pogładziła uspokajająco drżące plecy dziewczyny.

Zmiana, która nastąpiła w Ayin była tak wstrząsająca, że mimowolnie zacząłem się cofać, mój umysł wypełniło wrażenie, którego nie zaznałem od lat. Dopiero po chwili dotarło do mnie, kiedy poczułem to poprzednio; dawno temu na drodze do Wyróbisk, gdy kajdannik wspomniał o Fornalu. Wiedziałem i wtedy, i teraz, że oto jestem świadkiem czegoś, co wykracza daleko poza granice normalności.

– Tak – mruknął sierżant Swain – ten widok robi wrażenie.

Obróciłem się i zobaczyłem, jak lady przygląda się szlochającej dziewczynie, z miną człowieka, który widział to już wcześniej, ale nigdy nie znudzi się tym widokiem.

– Ćśś. – Łagodne dłonie komunikantki ujęły Ayin za ramiona i skłoniły dziewczynę do wstania z klęczek.

– Nie chciałam... – szlochała Ayin, wpatrując się w twarz Evadine szeroko otwartymi oczami. – Matula mówiła, że muszę, inaczej będę jak ona... Będę cała brudna, jak ona...

– Twoja dusza jest czysta – zapewniła ją Evadine. – Widzę to. Płonie światłem.

Ayin zachłysnęła się i uśmiechnęła się z desperacją.

– Znaczy nie przyjdą po mnie Malecy?

– Nie, dziecko. – Evadine zamknęła Ayin w objęciach, tak że głowa dziewczyny spoczęła na jej piersi. – Serafilowie nigdy nie odrzucają duszy takiej jak twoja. – Tuliła tak Ayin, aż szloch ucichł całkiem, wreszcie odsunęła ją od siebie, by zebrać z mokrej twarzy przyklepione kosmyki włosów. – Twój przyjaciel uważa, że trafiłaś w niewłaściwe miejsce. Ma rację?

– Nie! – Ayin gwałtownie pokręciła głową, ani na chwilę nie oderwała jednak wzroku od twarzy Evadine. – Nigdy nie będę gdzie indziej, moja pani!

– Wystarczy: kapitanie. – Uśmiechnęła się szlachcianka, po czym delikatnie ujęła Ayin pod brodę. – Nękałeś mnie, sierżancie, żebym znalazła pazia – powiedziała do Swaina. – I chyba wreszcie znalazłam.

Sierżant pochylił głowę w ukłonie pełnym szacunku.

– Doskonały wybór, kapitanie.

– Dziękuję ci, Alwynie Skrybo – zwróciła się do mnie. – Twoja troska o innych żołnierzy przynosi ci chlubę.

To, co właśnie się wydarzyło przypawiło mnie o taki dyskomfort, że zawahałem się, zanim się ukloniłem, zaraz też uświadomiłem sobie, że przy okazji cofnąłem się o kolejnych kilka kroków. Przepęłniało mnie pragnienie oddalenia się stąd jak najszybciej i równie silne podejrzenie, że ta kobieta, jeśli tylko zechce, może zrobić mi to, co właśnie zrobiła Ayin.

– Chodź. – Evadine ujęła Ayin za rękę i poprowadziła do dwóch wierzchowców bojowych, które chodziły nieopodal. – Przedstawię ci nowych przyjaciół.

Kiwnąłem głową sierżantowi i obróciłem się, by odejść, jednak rozkaz sierżanta, bym zaczekał, zatrzymał mnie w pół kroku.

– Sierżancie?

– Zgłoś się do mnie jutro po musztrze – polecił. – Księgi kompanii wymagają dodatkowej uwagi. Pismo tego, który je prowadzi przypomina ślady zostawione przez pijanego żuka.

To rzekłszy, odmaszerował bez słowa. Zanim i ja się oddaliłem, rzuciłem ostatnie spojrzenie na Ayin i Evadine. Dziewczyna śmiała się, trzymając garść owsa przy pysku deresza, podczas, gdy kary delikatnie trącał jej ramię.

Kiedy wyruszymy, postanowiłem, odwracając się do nich plecami. Kiedy będziemy maszerować, na pewno nadarzy się okazja do ucieczki.



Minął kolejny tydzień, zanim Kompania Przymierza wymaszerowała z Callintoru. Do tego czasu nasze ubrania ze zgrzebnego płótna zostały zastąpione grubszym odzieniem, składającym się z wełnianych portek i koszuli oraz skórzanego kaftana, wszystko wykonane przez rzemieślników z miasta. Niektórzy z nas otrzymali nawet wyposażenie wojenne. Dzień przed naszym wymarszem sierżant Swain wręczył mi worek pełen rękawic ze świńskiej skóry z poleceniem, bym rozdzielił je między członkami mojego oddziału.

– Nie należy iść do walki z gołymi rękami – burknął. Ponieważ nie zauważyłem, aby zmienił swój stosunek do mnie więcej niż odrobinę, wywnioskowałem, że rękawice były nagrodą za moje wzorowe prowadzenie dokumentacji.

Jego ocena pisma poprzedniego kancelisty była aż nadto wyrozumiała. Księgi, w których spisywano siłę kompanii, jej wyposażenie i, co najciekawsze, wypłacany żołd, wypełnione zostały koślawymi, ledwo czytelnymi bazgrołami, które stanowiły obrazę dla mnie jako skryby. Tak więc, bez rozkazu, zabrałem się za kopiowanie istniejących ksiąg, zanim zacząłem dokonywać nowych wpisów. Wreszcie wszystkie rejestry wyglądały jak należy, dodatkową korzyścią okazało się też ujawnienie oszustw mojego poprzednika. Spora część zapasów żywności została potajemnie sprzedana ludziom, których coraz większy strumień płynął drogą

w przeciwnym do naszego kierunku. Uciekający przed wojną są często głodni i skłonni płacić wygórowane ceny za najbardziej podstawowe jedło.

Kara, jaką Swain wymierzył złodziejowi, na czas jakiś stępiła moje zainteresowanie żołdem kompanii. Sierżant kazał rozebrać winowajcę, po czym gołego przywiązał do drzewa i wymierzył mu trzydzieści uderzeń końskim batem, na plecy i pośladki. Na wpeł żywego, skrwawionego i pozbawionego ubrań wyrzucono z kompanii, a stróżom Callintoru przykazano, aby go nie wpuszczali do miasta. Podejrzewałem, że skonał gdzieś pod palisadą z utraty krwi albo na skutek kaprysów pogody.

– Lepsze to niż nic – stwierdził Piwowar, założywszy jedną z grubych rękawic, po czym kilkakrotnie zacisnął i rozprostował palce. – Ale i tak wolałbym jakiś napierśnik i hełm, albo chociaż koleczugę.

– Ponoć mają na nas czekać w punkcie zbornym – powiedziałem mu. – Nie dalej jak wczoraj kapitan otrzymała list od Rady, w którym ją o tym zapewniają.

Wszystko to mówiłem nieco sarkastycznie, częściowo z powodu zmęczenia po dwunastomilowym marszu na wschód, także dlatego, że każde słowo było prawdą. Lady Evadine prowadziła stałą, napastliwą korespondencję z Radą Luminarzy. Jej listy wypełnione były grzecznymi, ale stanowczymi żądaniem większej ilości broni, zbroi i przede wszystkim rekrutów. Jak dotąd otrzymała jedynie lakoniczne potwierdzenie, że zbroje zostały wysłane i żołnierze otrzymają je, gdy kompania spotka się z królewską armią.

– Brzmisz, jakby ci się spieszyło – mruknęła Toria. – Spieszno ci dorwać plugawą hordę Pretendenta, co?

– A dlaczego nie? – zapytała Ayin tonem przygany, który przyjmowała w rzadkich chwilach irytacji. Nabrała zwyczaju zasiadać z nami przy wieczornym ognisku, kiedy już wykonała wszystkie prace zlecone jej przez kapitan. Od czasu, gdy padła na kolana przed naszą namaszczoną przywódczynią, zachowywała się znacznie konsekwentniej, przez większość czasu pozostawała radosna, czasem tylko zdarzało jej się paplać z pustym wzrokiem.

Jednak to, czy porzuciła swój zwyczaj wytrzebiana, pozostawało nadal kwestią otwartą.

– Kapitan Evadine mówi, że oni wszyscy są złoczyńcami i heretykami – dodała, popatrując na Torię spod uniesionej brwi. – Jeśli ich wszystkich pozabijamy, to tylko uczynimy przysługę Przymierzu.

– Albo – Toria uśmiechnęła się kwaśno – zrobimy wielką przysługę krukom, które pożywią się tym, co z nas zostanie, kiedy Pretendent z nami skończy.

– Nasze zwycięstwo jest pewne – odparowała Ayin z niepokojącą żarliwością. – Kapitan to przewidziała. Powiedziała mi.

– Przewidziała pierdnięcie z mojej du...

– Toria! – warknąłem, złapałem jej spojrzenie i pokręciłem przecząco głową.

Zaczerwieniła się, ale zmilczała, jednak natychmiast zaczęła znów kipieć złością, gdy Ayin dodała nadąsana:

– Heretyków z południa nie powinni przyjmować do tej kompanii.

– Przejdźmy się! – wykrzyknąłem, zastępując drogę Torii, która już zerwała się na nogi. Na szczęście zachowała jeszcze nieco opanowania i powściągliwości, pozwalając odprowadzić się na bok.

Kluczyliśmy w ciemności między namiotami i wieloma skulonymi postaciami, których sylwetki zarysowywał blask całonocnych ognisk. Mimo że trwało jeszcze późne lato, w powietrzu czuć było chłód, uczucie to potęgowała panująca w obozie cisza, której nie przerwała ani jedna przyspiewka. Moja bandycka młodość zaprowadziła mnie do niejednego obozowiska żołnierzy i były to zwykle miejsca pełne życia, które rozbrzmiewały głosami wznoszącymi się w dawnych pieśniach wojennych lub kłótniach o kości. Ponieważ w Kompanii Przymierza hazard i picie zostały surowo zabronione, nasze wieczory były znacznie spokojniejsze.

Toria zachowywała oziębłe milczenie, dopóki doszliśmy aż na linie wart.

– Wytlumacz mi, dokładnie – zaczęła tonem pełnym dławionego gniewu – musimy znosić przy naszym ogniu tę przeklętą

wariatkę? Wiem, że jest ładna i w ogóle, ale z tego co widzę, to nawet jej nie obracasz.

– W zeszłym tygodniu miałem dokładnie dwoje przyjaciół na caluśkim świecie. – Wzruszyłem ramionami. – Teraz mam troje.

– Bo odcięła kutasa jakiemuś łajdakowi? Tylko tyle trzeba?

Wtajemniczyłem Torię i Piwowara w szczegóły śmierci Erchela, jako że był to główny powód naszej przynależności do tej kompanii, choć wiedziałem, że Piwowar zaciągnąłby się tak czy inaczej. Tak samo jak wiedziałem, że nie będzie chciał mieć nic wspólnego z tym, co zamierzałem zaproponować.

– Jest nieszkodliwa, dzięki naszej dobrej kapitan – powiedziałem. – Poza tym, nie odciągnąłem cię na bok, żeby o niej rozmawiać.

Zatrzymałem się, wodząc rozmyślnie powolnym spojrzeniem po rozstawionych wartach. Krąg wartowników był dowodem na to, że sierżant Swain właściwie oceniał swoich żołnierzy. Jedna trzecia wartowników była weteranami, którzy zaciągnęli się zanim jeszcze kompania dotarła do Callintoru, wszyscy byli ludźmi świeckimi, mającymi wieloletnie związki z Przymierzem i dodatkowo doświadczenie w boju. Reszta została starannie wybrana spośród najbardziej zagorzałych rekrutów, a jeśli czegoś im brakowało w zakresie wojskowej dyscypliny, nadrabiali to gorliwym oddaniem Przymierzu. Krótko mówiąc, bardzo trudno byłoby przekroczyć tę granicę bez rozlewu krwi.

– Widziałeś, co Swain zrobił z tym pisarzyną – powiedziała Toria, niepotrzebnie zresztą, bo obraz poharatanego tyłu złodzieja, wciąż był aż nadto żywy w moim umyśle. – I to tylko za kradzież. Dezercja to coś całkiem innego.

– Brałaś kiedyś udział w bitwie? – zapytałem, wciąż przyglądając się wartownikom.

– Oczywiście, że nie.

– Ani ja. I bardzo chcę pozostać w tej kwestii ignorantem, bo słyszałem, że to nic przyjemnego.

– No dobrze. – Westchnęła i też zaczęła przyglądać się wartownikom. – Zgaduję, że masz już jakiś pomysł? – Nie zdążyłem nawet odpowiedzieć, gdy parsknęła śmiechem. – Oczywiście, że masz, kurwa mać.

– Miałem nadzieję, że wymkniemy się jakoś w czasie marszu – powiedziałem, ignorując jej kpiny. – Ale Swain rozkazał konnym pilnować kolumny, a żeby przejść tędy, musielibyśmy zabić kogoś z nich. – Kiwnąłem głową w stronę najbliższej warty. – A wtedy musielibyśmy uciekać dalej nawet, niż uciekaliśmy z Wyrobisk. Lord Eldurm to dureń, a i tak niemal nas dopadł. Założę się, że Swain dogoniłby nas dwa razy szybciej.

– Więc?

– Więc poczekamy. Od królewskiej armii dzieli nas spory kawałek drogi. Kto może powiedzieć, na jakie natkniemy się kłopoty? Patrol zbirów Pretendenta? Może nawet banitów? Kłopoty powodują zamieszanie, które stwarza okazje. Musimy być na nią gotowi.

– A jeśli nie nadejdzie? Pamiętam, jak siedziałam w wozie, skuta łańcuchami i czekałam na okazję, która nigdy nie nadeszła. A jeśli dotrzemy na miejsce spotkania?

– Ta kompania ma dołączyć do królewskiej armii. To mnóstwo ludzi w jednym miejscu i wątpię, czy ci chłopcy, których szlachcice wcielili w swoje szeregi, będą tacy czujni po zapadnięciu zmroku.

– Piwowar nie pójdzie. Ani ta twoja mała przyjaciółka. Nasza Święta Kapitan pochwyciła ich zbyt mocno.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

– Wiem i żałuję.

Chrząknęła i z satysfakcją skinęła lekko głową, gdy podjęliśmy naszą przechadzkę.

– A masz pomysł, co będziemy robić, gdy zostawimy już tę bandę za sobą? I nie chcę słyszeć żadnych gównianych gadek o przekłętym testamencie ascendantki Syldy.

W istocie miałem plany, co do zebranej mądrości Syldy, ale postanowiłem na tym etapie darować sobie kłótnie. Zamiast tego zdecydowałem się na wygłoszenie mglistej koncepcji, która od kilku dni nawiedzała moje myśli z coraz większym uporem.

– Słyszałaś kiedykolwiek o skarbie Lachlana?

Toria wpatrywała się we mnie przez chwilę, po czym parsknęła śmiechem nader głośnym i ostrym w ciemnościach. Zamilkła jednak od razu, gdy w blasku ogniska zobaczyła moją twarz.

– Chyba nie kupiłeś mapy, co, Alwynie? – Uniosła brwi w zdumieniu. Poklepała poły skórzanego kaftana. – Czekaj, mam tu gdzieś kaeryckie zakłęcie, które z pewnością odpędzi od ciebie całą chorobę. Dziesięć szelągów i jest twoje.

– Erchel wspomniał o nim, zanim umarł – odparłem. – Nie uwierzyłem mu wtedy, ale im bardziej się zastanawiam, tym bardziej jestem ciekaw.

– Umierający człowiek powie wszystko, jeśli tylko uzna, że da mu to szansę na kolejny oddech.

– Nie obiecywał mi go. Nie wiedział, gdzie jest skarb, ale według niego Deckin wiedział. Tak zamierzał zapłacić za swoją rebelię.

– Tak mówił Erchel. Jak się domyślam, Deckin o tym tobie nie wspomniał.

– Nie był człowiekiem, który papie o swoich tajemnicach. Ale nie był też głupcem, który myśli, że zostanie księciem Marchii Shavine nie mając skrzyni złota, żeby zapłacić tym, którzy pójdą za nim.

Toria potrząsnęła głową, ale światło pobliskiego ogniska ujawniło iskrę zainteresowania w jej oku.

– No to powiedzmy, tak tylko dla podtrzymania rozmowy, że skarb istnieje. Że naprawdę tam gdzieś jest wielka góra złota. Jak mielibyśmy ją znaleźć?

– Erchel mówił o wybrzeżu Shavine, ale to raczej nic zaskakującego. Niemal wszystkie historie powtarzają, że grób Lachlana znajduje się na wybrzeżu i jego skarb też.

– Niełatwo znaleźć ten grób, w przeciwnym wypadku zostałyby odnalezione dawno temu.

Wspomniałem swoją jedyną podróż na wybrzeże. Byłem w bandzie od dwóch lat, kiedy Deckin kazał Klantowi zabrać mnie ze sobą, gdy ten wybierał się z wiadomością do gangu przemytników. Pomimo utykania, które, jak twierdził, było wynikiem zderzenia z rycerskim rumakiem podczas jakiejś bitwy, Klant był nader żwawym i do tego rozmownym facetem. Po tych wszystkich latach wciąż mnie boli, kiedy myślę o tym jak skończył; złapany i obwieszony przez ludzi szeryfa, zaledwie kilka tygodni po naszej podróży na wybrzeże. Jego życie było jednakże doskonałą ilustracją

jednego z jego ulubionych powiedzeń: „Banici, chłopcze, zawsze dyndają na wystrzępionej linie utkanej z ich pecha. Pewnego dnia ta lina staje się dla każdego z nas pętlą”.

To, co pamiętałem z pobytu nad morzem, to dwa dni wędrówek wzdłuż omiatanych wiatrem klifów, pełnych ciąglego wspinania się i schodzenia do irytująco głębokich wąwozów. Nawet w pełni lata wybrzeże było dzikim miejscem, nawiedzanym przez kapryśne pływy i nękanie przez wściekłe wichury podnoszące wysokie fale, które uderzały o niezliczone skały i wysepki. Pamiętam, jak myślałem, że brzeg morza oferuje równie wiele kryjówek, co i las, o ile tylko jesteś gotów cały czas znosić wilgoć.

– Niełatwo – zgodziłem się cicho. – Niełatwo tam szukać. Ale Deckin wiedział gdzie i jestem skłonny w to uwierzyć.

– Dlaczego?

Gdzie Ogar składa głowę...

– Przez coś, co powiedział. Coś, co Erchel powtórzył, zanim skołał. Wiem, że to niewiele, ale zawsze coś.

– Czyli nie mapa, a słowa – mruknęła Toria. – To tylko kolejna historia.

– Z tym że ten raz prawdziwa. A co do mapy... – Umilkłem pod naporem kłębiących się myśli.

– Alwynie? – odezwała się Toria, gdy moje milczenie zaczęło się przedłużać.

– Syllda powiedziała kiedyś, że książki są naszym drogowskazem do przyszłości. A biblioteka to mapa przeszłości i żeby wiedzieć, dokąd idziesz, trzeba wiedzieć, gdzie byłeś. Deckin też to wiedział, ale nie umiał czytać. Jego mapą były rozmaite historie. Uwielbiał je. Gdziekolwiek byśmy nie poszli, w każdej wiosce, w każdej karczmie, zawsze wołał do ognia gawędziarza i płacił mu dobrze za opowieści. Wątpię, czy zapomniał choćby jedną.

– I twój plan to wędrować po księstwach i szukać gawędziarzy i bajarzy?

– Nie. Mój plan polega na tym, żeby znaleźć dobrze wyposażoną bibliotekę, najlepiej taką, w której są księgi podatkowe.

– Dlaczego akurat podatkowe? – Patrzyła na mnie zdziwiona.

– Bo żeby obliczyć podatek z jakąkolwiek dokładnością, musisz śledzić do kogo należą: ziemia i budynki w miarę mijającego czasu. Syllda zawsze mówiła, że poborczy podatkowi są najlepszymi historykami.

Toria łypnęła na mnie powątpiewająco, po czym wzruszyła ramionami.

– W Couravel jest duża, stara biblioteka, w Athiltor również. Ale wątpię, by otworzyli swoje podwoje takim jak my.

– Od kiedy to jakiegokolwiek drzwi są dla ciebie przeszkodą?

– To prawda. Ale kiedy nadejdzie czas, będę potrzebowała odpowiednich narzędzi.

Zamilkła, doszliśmy bowiem do sporej grupy siedzących żołnierzy, zasłuchanych z fascynacją w wieczorne kazanie komunikantki kapitan Evadine Courlain. Stała przed dużym ogniskiem, a to, że nie można było dobrze zobaczyć jej twarzy, czyniło ją w jakiś sposób bardziej frapującą. Uznałem, że ta szczypta teatralności była zabiegiem celowym, ogień ukrywał jej twarz, czyniąc z niej istotę bardziej eteryczną niż ludzką.

Obecność na tych spotkaniach nie była obowiązkowa, ale Evadine nigdy nie brakowało publiczności. Zerknąłem w prawo i zobaczyłem Piwowara i Ayin, zbliżających się, by dołączyć do tłumu. Twarz Ayin rozświetlało oczekiwanie, podczas gdy Piwowar był surowy, choć w szeroko otwartych oczach lśnił głód lekcji Świętej Kapitan. W ostatnich dniach zacząłem dostrzegać w nim coraz większe strapienie, jakby rosnące oddanie dla lady Evadine rodziło w nim poczucie zdrady wobec dziedzictwa Sylldy. Jeśli miałem rację, to była to zdrada nieunikniona, jak w przypadku długoletniego małżonka, który nie może oprzeć się łożu nierządnic.

– Czy zebraliście się tutaj w błaganiu o łaskę Serafilów i przykład Męczenników? – spytała Evadine zgromadzonych.

– Tak, zebraliśmy się – rozległa się zwyczajowa odpowiedź.

Na początku większości suplikacji słowa te były zwykle odruchowym mamrotaniem, jednak tutaj brzmiała w nich prawdziwa żarliwość. Kiedy po raz pierwszy przyszedłem wysłuchać kazania Evadine, założyłem, że ów zapal wynikał z obecności sierżanta Swaina i kilku innych pobożnych weteranów. Teraz jednak

wiedziałem, że ten entuzjazm był jak najbardziej szczerzy i z każdym wieczorem przybierał na sile.

Inna typową cechą suplikacji było to, że prowadzący je kleryk rozpoczynał je, cytując fragment jednego ze Zwojów Męczenników. Im bardziej leniwy kleryk, tym dłużej trwała ta recytacja, ponieważ oszczędzało mu to wysiłków wymyślenia własnej interpretacji, którą mógłby oświecić swoją trzódkę. Ale Evadine rzadko cytowała ze Zwojów, i to tylko po to, by zilustrować jakąś kwestię. Jej kazania od początku do końca należały wyłącznie do niej i ani razu nie słyszałem, by powtarzała któreś wcześniejsze.

– W ostatnich dniach – zaczęła, a głos miała silny, ale nie ostry – słyszałam jak niektórzy z was nazywają mnie „pomazańcem”. Muszę prosić, abyście przestali. I robię to nie z uwagi na skromność, ale dlatego, że jest to po prostu nieprawda. Widzicie, moi przyjaciele, nie jestem namaszczone łaską Serafilów. Ja jestem przeklęta.

Przerwała na chwilę, pozwalając, aby szmer zdumienia przepłynął przez publiczność, po czym uciszyła go, unosząc dłonie.

– Nie, co z pewnością was ucieszy, przez Malecytów, bądź – w jej tonie zabrzmiały nuty rozbawienia – przez machanie jakimś świecidełkiem przez mamroczonego Kaerytę. Nie... – Podświetlona ogniem sylwetka znieruchomiła nagle i choć jej twarz zasnuta była cieniem to zarówno ja, jak i każdy z obecnych, czuliśmy, że kapitan spogląda nam prosto w oczy. – Moja klątwa pochodzi od Serafilów, ponieważ to moim oczom ukazali swą wizję, wizję, której nie życzyłabym najpodlejszemu, najbardziej zdeprawowanemu człowiekowi na tym świecie. Serafilowie pokazali mi bowiem Zatrąę. Nie tę z przeszłości, nie tę straszliwą katastrofę, która obaliła nawet najpotężniejsze imperia i niemal wymazała ludzkość z powierzchni ziemi. Nie, oni pokazali mi Drugą Zatrąę, tę zapowiedzianą w Zwojach Męczennika Stevanosa, Athila i Hersefony. Wielkie nadejście Malecytów, dla zapobieżenia któremu stworzono nasze ukochane Przymierze. Nie powiem wam, co zobaczyłam, bo nie chcę zmaćić waszych snów przerażającymi koszmarami. Ale musicie wiedzieć jedno: zobaczyłam zniszczenie. Zobaczyłam gwałty. Widziałam agonie i męki, jakich nie zdołałby wymyślić umysł człowieka. Kiedy będziecie jutro maszerować, popatrzcie na piękno natury. Popatrzcie na ten prosty cud, jakim są

drzewa, trawa, rzeka i niebo. A potem wyobraźcie je sobie wynaturzone, splugawione, przegniłe i rozerwane. Wyobraźcie sobie każde źdźbło trawy obrócone w popiół, las zmieniony w płataninę czerni. Wyobraźcie sobie niebo o barwie głębokiego szkarłatu. Każdą rzekę i morze zatrute i zmętniałe od krwi poległych. I wyobraźcie sobie Malecytów.

Zamilkła, opuściła głowę i czubkami palców dotknęła brwi, podczas gdy zgromadzeni czekali w desperackim napięciu.

– To nie jest... – powiedziała Evadine, kaszlnęła, chcąc uwolnić gardło od skurczu – niełatwo jest zobaczyć prawdziwą postać Malecytów, gdy wszystkie ich maski zostają zerwane, gdy nie mogą schować się za swoimi kłamstwami i umizgami. Zobaczyć ich, to zobaczyć nienawiść, która stała się ciałem. I łakną nieustannie. Łakną naszego ciała i naszych dusz. Nasz ból jest ich pożywieniem. Kiedyś tu ucztowali i jakże pragną ucztować tu znów... Czy pozwolicie im na to?

– Nie! – Początkowo nie był to krzyk, tylko natychmiastowa, instynktowna reakcja, nadal jednak pełna żaru, nawet jeśli niezbyt głośna. Oczywiście na tym się nie skończyło.

– NIE! – Ich protest rozbrzmiał nieharmonijnym chórem, gdy poderwali się na nogi i szybko zmienił się w zacięte skandowanie. – NIE! NIE! NIE!

Pięści uniosły się, błysnęła obnażona broń. Widziałem Piwowara i Ayin, on stał z pięścią nad głową, ona skakała, z twarzą rozpaloną radością.

Wszystko ustało w momencie, gdy Evadine podniosła rękę. Zgromadzeni natychmiast ucichli, czekając na jej słowa. Gdyby to ascendant Hilbert wygłaszał to kazanie, starałby się jeszcze bardziej podsycić zapał słuchaczy, być może za pomocą kilku trafnych aforyzmów skradzionych z testamentu Syldy. Ale wiedziałem, że to byłoby błędem. Wkrótce ci ludzie będą musieli stanąć do walki. Wprawianie ich w dziki szal teraz, zbyt wcześnie rozpaliliby ich dusze. To było tylko pierwsze polano dorzucone do ognia, który musiał płonąć białym płomieniem, gdy nadejdzie bitwa. Nie mogłem się zdecydować, czy podziwiać, czy potępić manipulację, której byłem świadkiem, chociaż podejrzewałem, że lady Evadine może nie być świadoma własnego wyrachowania. Wierzyła, co do tego nie

miałem wątpliwości, a wierzący usprawiedliwi wszystkie czyny, jeśli popełniane są w imię wiary.

Zamiast więc dzielić się ze zgromadzeniem kolejnymi obrazami swojej wizji, Evadine po prostu wypowiedziała słowa oznaczające koniec suplikacji:

– Czy pójdziecie z sercami pełnymi łaski Serafilów, kierując się w swej drodze przykładem Męczenników?

I tym razem odpowiedź była natychmiastowa i odruchowa, pełna żaru, ale stłumiona.

– Pójdziemy.

Czułem ich pragnienie, ale i pełną akceptację, wynikającą ze świadomości, że kolejna porcja tego uzależniającego eliksiru zostanie im podana już następnego dnia.

Razem z Torią dogoniliśmy Piwowara i Ayin i dołączyliśmy do spokojnej procesji, złożonej głównie z milczących żołnierzy, którzy wracali do swoich namiotów. Musiałem oddać Torii, że tym razem zmilczała, dopóki tłum się nie rozproszył i dopiero wtedy szepnęła:

– Ona jest obłąkana.

Zerknąłem przez ramię w stronę ogniska, widocznego za ciemnymi bryłami namiotów. Ani ja, ani Toria nie odzywaliśmy się w trakcie kazania. Nie krzyczałem, ani nie wyrzucałem w górę pięści. A jednak, choć starałem się zagłuszyć tę myśl, wiedziałem doskonale, że słowa Evadine przebiły zbroję, skuwającą moje serce. Nie pochwyciła mnie w swe sidła. Jeszcze nie. Ale przekonująca mowa wygłoszona przez piękną kobietę miała swoją moc.

– Tak – zgodziłem się. – Zupełnie obłąkana.



Ku mojemu zmartwieniu, podczas naszego marszu do punktu zbornego nie zdarzyło się nic, co stworzyłoby nam okazję do ucieczki. Kompania szła w sposób coraz bardziej zdyscyplinowany, bez żadnych kłopotów ze strony zwiadowców Pretendenta lub uczynnych banitów. Pod wieloma względami była to bardzo męcząca wędrówka. O świcie budziliśmy się na śniadanie w postaci kleiku, potem następowała godzinna musztra pod zawsze krytycznym okiem zbrojnej Ofili. Po musztrze czekało nas osiem godzin marszu i ciągłych upomnień ze strony suplikantów, ponieważ dowódcy nie tolerowali już nierównych szeregów. Wiezorami rozbijaliśmy obóz, potem następował zwyczajny, zawsze jednak obfity posiłek, po którym mieliśmy kolejną musztrę, a dzień kończył się kolejnym kazaniem lady kapitan.

Chociaż nikt nie wymagał od nas obecności, każdy żołnierz szedł wysłuchać wieczornej lekcji, jeśli można je było nazwać lekcjami. Z upływem dni kazania coraz bardziej kojarzyły mi się z dniami, kiedy jako chłopiec obserwowałem kowala przy pracy. Każde słowo Evadine było precyzyjnie wymierzonym ciosem młota, wykuwającym z tej grupy niegdysiejszych banitów i złoczyńców prawdziwe miecze Przymierza.

Toria i ja wraz z innymi uczestniczyliśmy w wieczornych suplikacjach, gdyż inaczej zwrócilibyśmy na siebie uwagę. Za

każdym razem, gdy słyszałem, jak Evadine przemawia, czułem, że znikają kolejne fragmenty mojego pancerza, choć nadal się opierałem i powstrzymywałem przed wznoszeniem okrzyków i rąk wraz z innymi. W tej kobiecie tkwiło niebezpieczeństwo, pokusa, wiedziałem doskonale, że muszę się jej oprzeć, tak jak kiedyś wiedziałem, że muszę poddać się przewodnictwu Syldy. Evadine nikogo nie uczyła, ona inspirowała. Przed zakończeniem suplikacji zawsze zadawała pytanie, za każdym razem inne, ale niezmiennie prowadzące nas do ostatecznego celu.

– Pretendent karmi swych popleczników kłamstwami – powiedziała nam ostatniego wieczoru podróży. – Twierdzi, że jest królewskiej krwi, której nie ma w żyłach. Zaspokaja ich chciwość, pozwalając plądrować. Syci ich żądze, pozwalając gwałcić. Jest sługą Malecytów. Zostało mi to ukazane. Pozwolicie temu stworowi zbierać łupy? Pozwolicie mu otworzyć bramy Drugiej Zatrącej?

Głośne „NIE!” zostało zagłuszone częściowo przez równie głośne „NIGDY!”. Ludzie stali już, poderwani żarem głosu Evadine. Widziałem na wielu twarzach prawdziwy gniew, na wielu innych głębokie oddanie. Ayin skakała w podnieceniu, z roześmianą twarzą mokrą od łez, podczas gdy rysy Piwowara wykrzywiła pełna czci furia.

Wyczułem zbliżający się moment, w którym to zgromadzenie musiało przekształcić się w bezrozumny tłum. Dotknąłem bez słowa ramienia Torii i oboje zaczęliśmy się wycofywać. Zapowiedź przemocy pulsowała w powietrzu, jak budzące dreszcze napięcie na chwilę przed rykiem gromu, a ja nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Po raz kolejny jednak Evadine uspokoiła swych słuchaczy, prostym podniesieniem dłoni.

– Jutro dołączymy do królewskiej armii – powiedziała cicho, głosem pełnym emocji, łatwo słyszalnym w ciszy wstrzymywanych oddechów. – Bitwa z pewnością nastąpi. Wiedźcie, że jestem z was dumna. Wiedźcie, że u was widziałam więcej prawdziwego oddania i głębokiej wiary niż w całym moim życiu. Wiedźcie, że was kocham. Porozmawiamy jeszcze, gdy bitwa będzie blisko. Idźcie teraz, drodzy przyjaciele, i odpocznijcie.



Odpoczynek, jednakże, nie był mi dany tej nocy. Podczas gdy Piwowar chrapał, Toria wierciła się ciągle, a Ayin leżała zwinięta i pogrążona we śnie, ja gapiłem się na płócienny dach nad naszymi głowami. Kazanie Evadine wciąż rozbrzmiewało jeszcze w moich myślach, głośniejsze były słowa Syldy, wypowiedziane na koniec dyktowania testamentu, słowa, którymi nie podzieliłem się z ascendantem Hilbertem.

„Odrzucam myśl, że jestem ofiarą”, powiedziała mi, gdy tuliliśmy się w jej alkwie. Pamiętałem doskonale, jak światło świecy tańczyło na jej profilu, dobywając z ciemności zmarszczki wokół oka i kącika ust. Pomyślałem wtedy, że mądrość czyniła ją piękną mimo wieku.

„Moje czyny, moje grzechy są moimi i nie uchylę się od zapłaty w tym życiu ani wtedy, gdy stanę przed Serafilami, by o nim opowiedzieć i zdać się na ich osąd. Prawda jest jednak taka, że jestem ofiarą, Alwynie. Tak samo jak i ty. Tak samo jak każdy członek tego zgromadzenia i każdy nieszczęśnik, który trudzi się w Wyrobiskach. Jesteśmy ofiarami źle urządzonego świata, który mógłby zostać naprawiony, gdyby tylko każda ofiara ujrzała tę prawdę”.

Nieuchronnie też zacząłem się zastanawiać, co Syllda pomyślałaby o Evadine. „Niektórzy ludzie obdarzeni są talentem łowienia dusz samym tylko słowem”, powiedziała. Może nie zobaczyłaby w kapitan szlachetnej wizjonerki, a jedynie zwykłą pasterkę motłochu? Której twarz i głos rozpałały dusze prostaków i naiwnych? Raczej nie. Przenikliwość Syldy zawsze sięgała głębiej, zawsze nieskażona w swej precyzji.

Kalkulacje, przypomniałem sobie, jak prowadziła moje myśli w kierunku wniosków, które dla niej były oczywiste, a mnie jakoś umykały. Zbierz fakty, znajdź punkt, w którym się łączą, sformułuj wnioski.

Zatem fakty: służyłem w kompanii powołanej pod wezwaniem Przymierza i dowodzonej przez szlachciankę, która

miała wizje Drugiej Zatrąty. Fakt dodatkowy: była to ta sama szlachcianka, do której lord Eldurm wysłał tak wiele słodzonych epistoł.

Z tych licznych listów wiedziałem, że lady Evadine nie była po prostu szlachcianką, jej ród był tak znaczny, że dziadek Evadine był osobistym doradcą króla Tomasa, kiedy ten wstąpił na tron jako zaledwie dziewięcioletni chłopiec. Ponadto jej rodzina posiadała sporą część najlepszych ziem w Alberis. Pannie tak urodziwej, o równie szacownym pochodzeniu i ogromnym posagu nie mogło brakować zalotników, tymczasem dowodziła kilkoma setkami rzekomo odkupionych łotrów, którzy najprawdopodobniej szli prosto na rzeź.

Co ona tu robi?, zastanawiałem się, desperacko szukając konkluzji, która wciąż mi się wymykała. Czego ona chce?

Odpowiedź przyszła do mnie z zaskakującą szybkością i to wypowiedziana głosem Syldy, tym cierpliwym, miarowym tonem, który tak dobrze znałem, wyraźna i głośna, jakby ascendantka leżała tuż obok mnie. Rodzina by się od niej odsunęła, może nawet ją wydziedziczyła. Taka ofiara może wynikać tylko z głębokiego, serdecznego pragnienia jednego: zmiany, Alwynie. Te wizje, o których mówi, zakładając, że wierzy w ich prawdziwość, zrodziły w niej to samo pragnienie, które opętało mnie. Pragnie tego samego, co miał sprawić mój testament. Chce zmienić wszystko, ale nie za pomocą słów.

Zmęczenie w końcu mnie dogoniło, powieki mi opadły, a splot namiotowego płótna rozpląnął się w czerni. Gdy osuwałem się w sen, mądrość Syldy podążyła za mną w pustkę: I, tak jak ja, będzie potrzebowała do tego ciebie...



W połowie następnego dnia kompania dotarła do posterunków królewskiej armii. Krótką przerwę spędziliśmy, kręcąc się bez celu, podczas gdy kapitan i sierżant Swain poszli naradzić się z jakimiś szlachetnymi personami sprawującymi dowództwo. Kompania

czekała na zboczach niskiego wzgórza, z którego roztaczał się przyzwoity widok na siły koronne. Szybko straciłem rachubę sztandarów wznoszących się ponad miastem, namiotów i koni zamkniętych w prowizorycznych zagrodach. Cały obóz przesłaniała częściowo mgła – nagromadzenie dymu, potu i oddechów tak wielu ludzi i zwierząt. Jednak Toria i ja pokusiliśmy się o oszacowanie liczebności królewskiej armii, nasze przypuszczenia zostały od tego czasu potwierdzone przez wielu uczonych.

– Piętnaście tysięcy – stwierdziłem.

– Powiedziałybyś, że dwadzieścia – sprzeciwiła się Toria. – Musisz policzyć tych, co idą za armią i te stada sługosów i lizodupców, których wlecze za sobą każdy szlachcic.

– Wielka i potężna armia! – cieszyła się Ayin, znów rozpromieniona. Ten jasny, wypełniony perłowymi zębami uśmiech mieliśmy okazję oglądać tym częściej, im bliżej było do bitwy. – Zetniemy zatrzaśniętych Pretendenta jak się zboże ścina kosą. – Gorliwość w jej głosie skłoniła mnie do refleksji, że Evadine uspokoiła umysł Ayin, ale z pewnością go nie naprawiła.

– To dopiero nierówna linia posterunków – zauważyła Toria, jak zwykle ignorując Ayin. – Najbardziej poszarpana na południu.

– Zobaczymy, gdzie nas umieszczą – odparłem półgłosem. – Musimy zorganizować sobie jakiś trunek, zaprzyjaźnić się z biedakami na służbie. Oni zapewne docenią kubek brandy albo dwa w taką zimną noc.

– Pijani wartownicy. – Z aprobatą kiwnęła mi głową. – Mój ulubiony rodzaj.

Niestety, nasza sprytna intryga została zniweczona w zarodku, gdy wrócił sierżant Swain i polecił rozbicie obozu na szczycie tego właśnie wzniesienia. Gdy rozkazywał nam stawiać namioty i układać drewno na ognisko, minę miał jeszcze bardziej ponurą i groźną niż zwykle. Zastanawiałem się nad znaczeniem tego, że Swain wrócił bez Evadine i doszedłem do wniosku, że jego ponury nastrój prawdopodobnie musi mieć z tym coś wspólnego. Dlatego też zaniepokoiłem się, słysząc, jak mnie przywołuje.

– Skrybo! Podejź no tu!

Posłusznie potruczałem w jego stronę, dopilnowałem, by przypadkiem nie marszczyć czoła z namysłem i przyjąłem

wyprostowaną postawę, patrząc prosto przed siebie, czego oczekuje się od żołnierza, który zwraca się do suplikanta. Zameldowałem się beznamiętnym tonem, ponieważ w obecności sierżanta najlepiej było zachować jak najbardziej neutralny ton i wyraz twarzy. Jakoś nie udało mi się rozwiać jego wątpliwości i podejrzeń co do mojego charakteru, mimo że prowadziłem wzorową i uczciwą księgowość.

– Przynies księgi kompanii i zanieś do pani kapitan – polecił. – Weź też atrament i pióra. Kapitan czeka na ciebie w namiocie, nad którym powiewa sztandar Przymierza. Szybciej! – warknął, kiedy zawahalem się na ułamek sekundy.



Z mojego doświadczenia wynikało, że jeśli chodzi o armię, to można w jej wypadku liczyć na obfitą produkcję trzech materii: błota, gówna i krwi, przy czym głównie tych dwóch pierwszych, bo niejedna armia przemaszerowała tam i z powrotem bez rozlania kropli tej ostatniej. Ci z was, którzy choć trochę interesują się najnowszą historią, wiedzą, że nie stało się tak w przypadku armii, którą król Tomas zebrał, by stawić czoła hordzie Pretendenta.

Poruszanie się po obozie było przedsięwzięciem brudnym i czasami niebezpiecznym, szczególnie z ciężkim workiem zawierającym księgi kompanii. Powietrze przesycone było mieszaniną dymu i wonią końskiego łajna, nieprzyjemnie wierciło w nosie i powodowało łzawienie. Marsz wymagał taplania się błocie, między wozami, końmi szlachciców albo konnymi żołnierzami. Żaden z nich nie zwracał większej uwagi na pieszego żołnierza, który znalazł się na ich drodze, niektórzy nawet pokrzykiwali z rozbawieniem, gdy udało im się wepchnąć nieszczęśnika w błoto. Zaskoczyło mnie, że obóz był miejscem tak bardzo chaotycznym, skupiska namiotów zostały rozstawione w przypadkowych odstępach, bez próby stworzenia między nimi jakichś przejść. Ten brudny nieład znajdował też odbicie w mieszkańcach obozowiska, przynajmniej tych, których spotkałem, szukając sztandaru Przymierza.

– Masz trochę liścia? – zawołał do mnie pewien umorusany jegomość spomiędzy szczególnie brudnych namiotów. Powiewający nad nimi sztandar był mi nieznan, tak samo jak akcent wołającego żołnierza, ostry i chrapliwy, jak się później dowiedziałem, pochodził on ze wschodnich krańców królestwa. Miał na sobie skórzany kaftan nabijany zardzewiałym żelazem, a na policzkach kilkudniowy zarost. W Kompanii Przymierza suplikanci dawali mężczyźnie siedem dni na zapuszczenie brody, a jeśli się nie pojawiła, zmuszali go do golenia. Nie miałem też wątpliwości, że suplikantka zbrojna Ofila oćwiczyłaby mnie do krwi za chodzenie z zaschniętym błotem na twarzy.

– Nie wolno nam go posiadać, w naszej kompanii – odkryknąłem. – Ale mam kilka monet na brandy, jeśli masz trochę na sprzedaż.

– A goń się. – Żołnierz natychmiast stracił całe zainteresowanie, machnął ręką i się odwrócił. – W całym tym zasranym obozie nikt nie sprzeda ani butelczyny.

Ruszyłem dalej, starając się trzymać skraj błotnistych ścieżek, przeszukując spojrzeniem las sztandarów i starając się wypatrzyć proporzec Przymierza. Gdy mijiałem niewielki zagajnik, od tych poszukiwań odciągnął mnie bardzo ciekawy widok. Z nieznanego powodu namioty ustawiono w przyzwoitej odległości od drzew, jednak pod gałęziami wysokiej brzozy dostrzegłem stożek samotnego schronienia.

Wyglądało na to, że zostało zbudowane ze splecionych ze sobą gałęzi, a szczeliny między nimi wypełniono starannie liśćmi i mchem. Przed tą dziwną chatką na ogniu parował garnek, nad którym czuwała szczupła postać w płaszczu w kolorze ziemistej zieleni. Schronienie było naprawdę niezwykle, ale to siedząca przy ogniu kobieta przykuła mój wzrok, bynajmniej nie z powodu urody, tylko jutowego worka, który miała na głowie. Z tyłu długie blond włosy spływały kaskadami na jej plecy, ale gdy odwróciła się, by na mnie spojrzeć, jej twarz pozostała całkowicie zasłonięta.

W worku wycięte były dwa małe otwory o kształcie diamentów. Wszystko, co znajdowało się za nimi, ukrywał cień, ale wyczuwałem poważne i badawcze spojrzenie. Poczula na sobie mój wzrok, byłem tego pewien, ale jakim sposobem, pozostało tajemnicą.

Serce zaczęło mi bić szybciej, gdy ona podniosła się z niewielkiego zydła i odwróciła się do mnie, nie przestając się we mnie wpatrywać. Worek zafalował, gdy przechyliła głowę. Nie był to szczególnie drapieżny gest, ale mimo to obudził we mnie niepokój i pragnienie znalezienia się gdzie indziej. A jednak stałem, nie mogąc oderwać wzroku od czarnych diamentów jej oczu. Ich spojrzenie było tak władcze, że nie usłyszałem kroków za plecami.

– Stwardniał ci na widok Jutowej Wiedźmy? – zapytał znajomy głos. – Mnie by nie stwardniał. Z tego, co słyszałem, to co kryje się pod tym worem jest tak ohydne, że człowiek może stracić rozum na ten widok.

Odwracając się, stanąłem twarzą w twarz z krzepkim mężczyzną nie pierwszej już młodości, odzianym w szarość. Zaciśnął dłoń na rękojeści miecza u pasa, ale wyraz twarzy miał przyjazny.

– Sierżant Lebas. – Zerknąłem w obie strony, żeby sprawdzić, czy jest sam. Z tyłu stało dwóch innych żołnierzy, których pamiętałem z Wyrobisk, a ich miny były znacznie mniej łagodne.

Odkryłem, że to właśnie w takich momentach strach maleje. Wynik tego spotkania nie ulegał wątpliwości, więc tak jak nie było miejsca na niepewności, nie było miejsca na panikę i spocone dłonie, czego mógłbym doświadczyć, gdybym jedynie dostrzegł w tłumie twarz tego człowieka.

– Alwyn Skryba – odpowiedział Lebas, kłaniając się lekko.

– Czy ona naprawdę jest czarownicą? – zapytałem, wskazując na kobietę z głową pokrytą workiem. Nie próbowałem grać na czas, tylko zaspokajałem swoją ciekawość.

– Tak mówią. – Lebas uśmiechnął się szeroko i wzruszył ramionami. – To Kaerytka. Tam gdzie trwa zaciąg, pojawia się i ona, z najróżniejszymi eliksirami i miksturami, za odpowiednią cenę. Wyleczy wszystko! Od opadającego członka do zatrucia. Ja jeszcze nie potrzebowałem jej usług, jak dotąd. – Jego wesołość przygasała nieco i w oczach pojawił się twardy błysk. – I wątpię, czy ty będziesz miał szansę.

– Lord Eldurm wysłał was tutaj w odpowiedzi na list przypowiedni króla, jak mniemam? – zapytałem z uśmiechem.

Lebas stracił wszelkie pozory ugodowości, oblał się rumieńcem rozdymając nozdrza.

– Wyrobiska nie znajdują się już pod opieką rodziny Gulatte. Dzięki tobie. – Knykcie dłoni zaciśniętej na rękojeści miecza pobiełały groźnie. – Wystarczyła jedna ucieczka po tylu latach i król odebrał jego lordowskiej mości wszelkie prawa, po czym sprzedał je innemu szlachcicowi z grubszą sakiewką. Teraz jesteśmy tutaj, aby lord Eldurm mógł odkupić swój honor w oczach króla. Jeszcze dzień albo dwa i niektórzy z nas będą martwi leżeć w błocie. Dzięki tobie.

– Pamiętam wielu ludzi leżących w błocie przy bramie każdego ranka.

– To były bezwartościowe szumowiny, takie jak ty. – Znów się uśmiechnął i podszedł bliżej, wysuwając miecz z pochwy. – Chociaż powinienem ci podziękować. Dzięki tobie będę bogaty...

Różne są kaprysy losu, które w takich chwilach decydują o życia człowieka. Może to być coś tak banalnego jak kierunek wiatru lub kąt padania promieni słonecznych. O tym, że przeżyłem to spotkanie, zdecydowało wiele czynników, ale przede wszystkim fakt, że sierżant Lebas i jego dwaj przyjaciele tak naprawdę nie byli żołnierzami, lecz strażnikami w więzieniu. Może to i niewielka różnica, ale w tej chwili okazała się niezwykle istotna. Gdyby był wojownikiem, a nie kimś, kto spędził lata na zastraszaniu i biciu ludzi, którzy nie mogli się przed nim bronić, Lebas dopadłby mnie szybciej, albo wykazał się większą ostrożnością. Tymczasem jego atak był szarżą ogarniętego gniewem tyrana i dręczyciela i dlatego Lebas nie miał szans uniknąć wyładowanego księżami worka, gdy się zamachnąłem, celując w jego skroń.

Rzucając się do ucieczki w przeciwnym kierunku, zdążyłem jeszcze dostrzec satysfakcjonujący widok krwi eksplodującej z ust sierżanta wraz z kilkoma zębami. Głowa sterczała mu z ramion pod dziwnym kątem, gdy jego krzepkie ciało zważyło się w błoto. Biegłem, kierując się w stronę zagajnika, przez cały czas słysząc za plecami kroki towarzyszy Lebasa. Kluczyłem szybko między pniami, zmierzałem do najruchliwszej części obozu, mając nadzieję zgubić pościg wśród mrowia namiotów i żołnierzy.

Obrany kierunek nieuchronnie wyniósł mnie w pobliże Jutowej Wiedźmy, która stała spokojnie, zupełnie nieporuszona zamieszaniem. Raz jeszcze dziury o kształcie diamentów, tworzące jej oczy, spojrzały na mnie i miałem wrażenie, że czas zwolnił, gdy ją

mijałem. Przez ułamek sekundy dostrzegłem iskrę światła połyskującą w głębokim błękitcie.

W następnej chwili zostawiłem ją za sobą, młóćąc błoto nogami, pewien, że zaraz usłyszę świst miecza. Zamiast tego usłyszałem nagły krzyk i odgłos upadającego bezwładnie ciała. Zwolniłem nieco i zerknąłem przez ramię. Zobaczyłem jednego ze ścigających mnie strażników na kolanach, drugi wciąż był na nogach, ale się zatrzymał. Obaj wpatrywali się w nieruchomą postać Wiedźmy, a twarze mieli białe z przerażenia. Nie miałem pojęcia, co dokładnie spowodowało, że nagle zaniechali pościgu, ale nie miałem wątpliwości, że to stało się za jej sprawą, choć ona nawet nie drgnęła.

Powalony mężczyzna odsuwał się od niej na klęczkach, po kilku nieudanych próbach zdołał wreszcie wstać, po czym zaczął się szybko wycofywać. Jego towarzysz wykazał się większym opanowaniem, powiódł spojrzeniem od wiedźmy do mnie, z ciemnym rumieńcem frustracji zaklął i rzucił kilka obelg w stronę czarownicy i też się oddalił. Po raz ostatni widziałem ich, jak przykucnęli, by zebrać bezwładnego Lebasa.

Odwróciłem się i biegłem dalej, cały czas czując na sobie wzrok Jutowej Wiedźmy, póki nie zniknąłem w mieście namiotów.



Znalazłem sztandar Przymierza blisko centrum obozowiska, w pobliżu dobrze strzeżonego i wielobarwnego skupiska większych namiotów. Najwyższy sztandar wznosił się ponad tą feerią barw, widniały na nim trzy białe konie na czarnym tle. Syllda traktowała heraldykę marginalnie, ale nie zaniedbała jej całkowicie i szybko rozpoznałem, że jest to sztandar dynastii Algathinetów. Jego rozmiar i złote frędzle powiewające na rogach wskazywały, że należy do samego króla Tomasa, a nie jakiegoś pomniejszego naczynia królewskiej krwi.

Zatrzymałem się, by się na niego popatrzeć, po czym przeniosłem spojrzenie w dół masztu na namioty poniżej. Pomimo

tego, że nie sposób było nikogo zobaczyć poza opancerzonymi żołnierzami Kompanii Koronnej w zwyczajowej czerwieni, wciąż nurtowała mnie sama możliwość bycia zaledwie kilkadziesiąt metrów od monarchy Albermaine.

W końcu przybyłeś walczyć osobiście, pomyślałem. Najwyraźniej moje założenie, że dwór oddali się w bezpieczniejsze rejony było błędne. A to z kolei stało w sprzeczności ze wszystkim, co słyszałem i czego nauczyłem się o królu i jego szlachetnych kompanach. „Król to głupiec, który uwielbia towarzystwo głupszych od siebie”, tak Syllda opisała bez ogródek człowieka zasiadającego obecnie na tronie. Głupi prostak jest zagrożeniem tylko dla siebie. Głupi król zagraża wszystkim.

– Tutaj, Skrybo!

Głos lady Evadine natychmiast wyrwał mnie z zamyślenia, tym bardziej, że zabarwiony niesłyszana wcześniej nutą zniecierpliwienia i irytacji. Stała obok dużego wozu, zaprzężony do niego stary koń pociągowy o kudłatych nogach podrzucał zaniedbaną grzywą. Obok Evadine stał szczupły, schludnie ubrany kleryk, o bladym obliczu, na którym widniał spokojny uśmiech, mimo nieukrywanej złości kapitan Evadine.

– Kapitanie. – Dotknąłem czoła w salucie, podchodząc do niej pospiesznie. – Sierżant Swain rozkazał..

– Tak, tak – przerwała mi i ruchem głowy wskazała kleryka. – Aspirant Arnabus życzy sobie obejrzeć księgi.

Gdy wyjmowałem z worka oprawione w skórę tomiszczą, szczupły mężczyzna obrzucił mnie pospiesznym spojrzeniem. W jego małych, niemal czarnych oczach, błysnęło przelotne zainteresowanie, gdy przesunęły się po mojej twarzy i stroju, zanim skupiły się na księgach.

– Połóż je tutaj, jeśli łaska, dobry żołnierzu – powiedział, wskazując na tylną część wozu. Mówił z akcentem alberyjskiej szlachty, tym samym co Evadine, ale wymowę miał gładszą i bardziej staranną. – Bądź tak miły i od razu pokaż mi spis wyposażenia.

Zrobiłem o co prosił, przerzucałem kolejne strony, by pokazać mu żądane wpisy, a on mruknął z zaskoczeniem i aprobatą.

– Bardzo ładne – powiedział, wodząc palcem po kolumnach liczb i liter. – Twoje dzieło?

Potaknąłem.

– Tak jest, aspirancie.

– Twoja kapitan ma szczęście, że znalazła tak wprawna rękę. – W uśmiechu odsłonił zęby, zęby niesamowicie białe, przypominały rzędy lśniących kościanych koralików. – Mogę zapytać gdzie?

Uznałem, że nadmiernie szczegółowy opis tego, jak zdobyłem swoje umiejętności, nie będzie zbyt mądry, zdecydowałem się więc na odpowiedź skróconą.

– Pracowałem w skryptorium Kaplicy Męczennika Callina, aspirancie.

– A, to wszystko wyjaśnia. Powiedz, czy mistrz Arnild Illuminator nadal tam pracuje?

– Owszem, aspirancie. Uważam się za błogosławionego, albowiem jakiś czas mnie uczył...

Zamilkłem, bo Evadine kaszlnęła głośno i bardzo wymownie. Aspirant Arabus zmrużył oczy, zerknął na nią i uśmiechnął się jeszcze szerzej, co oznaczało, że nie był zirytowany, prędzej już usatysfakcjonowany.

– Dobrze – rzekł, wracając do ksiąg. – Popatrzmy, dobrze?

Przez kilka minut przerzucał kolejne strony, zacisnął usta i zmarszczył brew w wyrazie szczerzego zainteresowania. Od czasu do czasu zadawał Evadine jakieś pytanie, pozornie banalne, ale sądząc po oszczędnych odpowiedziach i coraz mroczniejszej minie, w każdym kryło się żądło.

– Trzy letiny tygodniowo wydawane na samo jedzenie – skomentował z uniesioną brwią. – Z moich badań wynika, że większość kompanii tej wielkości potrzebuje ledwie dwóch. Niektórzy szlachetni kapitanowie, słusznie pragnący oszczędzić królewską kiesę, zadowalają się tylko jednym.

– I prowadzą do walki wygłodzonych żołnierzy, ledwo zdolnych do trzymania sierpaka – odparła Evadine, wpatrując się w aspiranta nieruchomym spojrzeniem. – Bądź pewny, aspirancie, że w starciu z hordą Pretendenta, ci, którzy przysięgali wierność naszemu sztandarowi, pokażą, ile wart jest dobrze odżywiony żołnierz. Poza tym, aspirancie – obdarzyła go nieskończenie sztucznym i pustym uśmiechem – ta kompania należy do Przymierza, nie do króla.

– A Przymierze, podobnie jak król, nie dysponuje nieskończonym bogactwem. Jednakże – pociągnął nosem – wszystko wydaje się w porządku. Skrybo. – Przywołał mnie gestem, z rękawa szaty wydobył zwój i rozwinął go na otwartym rejestrze. – Bądź tak miły i dodaj te przedmioty do spisu. Sprawdzę dokładność, po czym ty i dobra kapitan będziecie mogli odejść.

Otrzymawszy od Evadine niemą zgodę, wyłowilem z worka pióro i kałamarz i zasiadłem do pracy. Zwój aspiranta zawierał spis broni i zbroi, tej pierwszej więcej niż drugiej.

Naliczyłem trzy tuziny halabard, połowę mniej mieczy i piętnaście tasaków. Z zainteresowaniem zauważyłem też pięć kusz, a do każdej z nich po dwadzieścia bełtów. Lista zbroi była dłuższa, ale mniejsza ilościowo, zawierała około dwudziestu pozycji, ale przedmiotów było na niej trzydzieści trzy. Wielu z nich nie było mi znanych: naramienniki, nagolennice, karwasze i tym podobne, aczkolwiek rozpoznałem dziesięć kolczug i pięć napierśników. Mimo mojej ignorancji, nawet ja wiedziałem, że starczy tego ledwie, by wyposażyć zaledwie dwudziestu żołnierzy. Z wyrazu twarzy kapitan, która obserwowała, jak uzupełniam rejestr, wywnioskowałem, że ona też to wie. Jednak pozwoliła sobie na komentarz dopiero, gdy skończyłem wpisywać koszt wyposażenia.

– Wygląda na to, że Przymierze znalazło najnędrniejszego płatnika w całym Albermaine – zauważyła, po raz kolejny świdrując aspiranta Arnabusa spojrzeniem bez mrugnięcia.

– Broń jest bardzo cenna w czasie wojny – odpowiedział spokojnie, z ledwie słyszalną nutką żalu. – Sam luminarz Helstan prowadził specjalne suplikacje, aby zebrać fundusze. Z ogromną przyjemnością przekażę mu wyrazy twojej wdzięczności za jego wysiłki, komunikantko kapitanie.

– Oczywiście, aspirancie. Nie zapomnij również przekazać mu tego, czego będziesz świadkiem jutro, kiedy Kompania Przymierza udowodni swoją wartość. Chyba że zechcesz wstąpić w nasze szeregi i zobaczyć to z bliska.

Spodziewałem się zobaczyć gniew na twarzy aspiranta i może usłyszeć pogróżki, do jakich zwykle uciekają się tchórze, ale on tylko uniósł brew z cieniem rozbawienia.

– Jestem pewien, że tylko bym przeszkadzał. Poza tym księżniczka Leannor rozkazała wyraźnie, bym nie oddalał się od jej boku, gdy rozpocznie się bitwa. Razem będziemy błagać Serafilów, by użyczyli nam swej łaski i poprowadzili do zwycięstwa. Korona i Przymierze połączone w pokornej inwokacji. Jestem pewien, że to pochwalasz.

Evadine nie odpowiedziała, tylko zatrzymała beznamiętny wzrok na Arnabusie, przez długą chwilę. Gdy jednak aspirant odwzajemniał jej spojrzenie ze spokojną uprzejmością, zamrugwała i zwróciła się do mnie.

– Wiesz, jak powozić, mam nadzieję?

– Wiem, kapitanie – zapewniłem ją. W swoim czasie ukradłem dość rozmaitych wózków, żeby był ze mnie przyzwoity woźnica.

– Dobrze. Zbierz książki i chodźmy.

Włożyłem książki do worka i zabezpieczyłem tylną klapę wozu, po czym wspiąłem się na siedzenie woźnicy. Stara klacz nie zaszczyciła mnie nawet spojrzeniem, gdy chwyciłem lejce, jej pysk najeżony białymi włoskami pracował niestrudzenie nad garścią trawy, a w nozdrzach brzęczały muchy. Stanowiła żywy kontrast dla stalowoszarego bojowego rumaka, którego dosiadła Evadine, nie zaszczyciwszy aspiranta Arnabusa słowem pożegnania. On jednak miał kilka słów do powiedzenia.

– Twój ojciec przybył tego ranka – zawołał, gdy Evadine odwróciła wierzchowca ku zachodniej granicy obozu. – Lord Courlain bierze obecnie udział w królewskiej radzie wojennej, ale chętnie zapewnię ci skromny poczęstunek, jeśli chcesz poczekać i złożyć mu wyrazy szacunku.

Starałem się oprzeć temu impulsowi, ale moje spojrzenie mimowolnie pomknęło do twarzy kapitan. Widziałem w życiu wielu rozgniewanych ludzi i równie wiele nauczyłem się o naturze gniewu. Dla niektórych gniew jest trucizną, płomieniem, który płonie coraz goręcej, bo nie znajduje ujścia, zżera ich wewnątrz, pozostawiając pustą skorupę goryczy. Dla tych, którzy nie potrafią utrzymać go w sobie, jak Deckin, gniew jest zarówno sprzymierzeńcem, jak i zdrajcą. Może sprawić, że będziemy wzbudzać strach i skłaniać słabszych do posłuszeństwa, tak jak wilk

skłania do posłuszeństwa członków swojego stada. Ale gniew może też zaślepić, o czym Deckin przekonał się zbyt późno.

Komunikantka kapitan lady Evadine niewątpliwie była rozgniewana. Widziałem to w stężalej, alabastrowej masce, jaką stała się jej twarz. Widziałem to w nieznacznym drgnieniu dłoni, która z pewnością aż swędziała, by chwycić za przytroczony do siodła miecz. Kapitan nie sięgnęła jednak po broń, ani się nie odwróciła. Dla niej gniew był bestią, którą należało kontrolować, ale, czego dowiedziałem się z czasem, również spuszczać ze smyczy, gdy okoliczności tego wymagały.

– Naprzód, Skrybo – poleciła cicho i spięła konia.



Wracając, trzymaliśmy się południowej granicy obozu, co przyjąłem z ulgą, ponieważ ta droga wiodła z dala od zagajnika, w którym mieszkała Jutowa Wiedźma. Nie byłem pewien, czy bardziej bałem się spotkania z ludźmi Gulatte'a, czy z Kaerytką. Czarne diamenty jutowych oczu wciąż pozostawały w mojej pamięci, a zwłaszcza błysk światła, który w nich dostrzegłem. Było to zaledwie przelotne spojrzenie, ale nie mogłem pozbyć się wrażenia, że miało jakieś nieuchwytnie znaczenie.

Wybrana przez Evadine droga była szczęśliwa z jednego jeszcze powodu – doprowadziła mnie w pobliże innego sztandaru, który rozpoznałem, tym razem nie dzięki lekcjom Syldy, a temu, że znałem go już z przeszłości. Sztandaru księcia Elbyna Blousseta z Marchii Shavine. W tej części obozu wznosił się, choć nie tak wysoko jak sztandar króla, bo to byłoby równoznaczne ze zdradą. Srebrny jastrząb na czerwonym tle trzepotał nad lasem chorągwi pomniejszych domów księstwa, które przybyły w odpowiedzi na wezwanie króla.

Ona tu jest. Wiedziałem to, wystarczyło mi spojrzeć na sztandar falujący na wietrze, gdy tymczasem wóz kołysał się na koleinach i wzniesieniach. Chyba że książe zostawił swoją kurew w domu. Jednak to wydawało mi się mało prawdopodobne. Lorine

chciałaby się tu znaleźć, wśród tego nagromadzenia szlacheckiej władzy. Nie oparłaby się tym niezliczonym możliwościom.

Będzie dobrze strzeżona, myślałem, wodząc wzrokiem po gęsto ustawionych namiotach, schludniejszych niż w pozostałych częściach obozu, najpewniej będących domem dla bardziej zdyscyplinowanych żołnierzy. Ale nie podczas bitwy. Kiedy zacznie się bitwa, będzie sama, albo przynajmniej z niewielką liczbą strażników...

Moje zaabsorbowanie marchijskim obozowiskiem było tak ogromne, że nie od razu zauważyłem, kiedy Evadine wstrzymała swojego deresza. Na szczęście stara klacz parsknęła ostrzegawczo, zanim poprowadziłem ją w zad bojowego rumaka. Szarpnąłem za lejce i zdołałem w porę zatrzymać wóz. Gdy zorientowałem się, co zatrzymało kapitan, żołądek zwinął mi się w bolesny węzeł.

Kilkanaście jardów przed nami lord Eldurm Gulatte siedział na pięknym ogierze, po obu stronach ustawili się jego konni, aż dwudziestu. Lord Eldurm miał policzki powleczone rumieńcem, a przy tym minę człowieka zdecydowanego nie uchylać się od trudnego, ale ważnego zadania.

– Moja pani – powitał Evadine, uklonił się przy tym, ale nie zsiadł z konia. Wiedziałem, że jest to naruszenie etykiety rycerskiej, która wymagała, aby szlachcic zsiadł z konia i przykląkł na jedno kolano, zanim pozdrowi się damę równego lub wyższego rodu. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że to może dowodzić utraty szacunku dla obiektu uczuć, ale widok twarzy jego lordowskiej mości szybko przekonał mnie, że o tym nie mogło być mowy. Wpatrywał się w Evadine z mieszaniną żądz i tęsknoty, emocji, które długo mylił z miłością. Jako że spędziłem wiele godzin pomagając mu w pisaniu listów do tej właśnie kobiety, wiedziałem, że u źródła tego wyrazu twarzy nie kryła się miłość, lecz beznadziejna obsesja, która nawet najsympatyczniejszą duszę może zmienić w kogoś niebezpiecznego.

– Widok twój napawa mnie głęboką radością – dodał wymuszonym tonem, bez cienia radości.

– Mój panie – odpowiedziała lakonicznie Evadine, obojętnie, głosem wypranym z wszelkiego ciepła. Siedziała bez ruchu w siodle, ale sprawiała raczej wrażenie zaciekawionej niż zaniepokojonej.

– Słyszałem opowieści o twoich... przygodach – podjął Eldrum, kaszlnąwszy. – Bardzo poruszające i godne podziwu. Ale oczywiście nie spodziewałbym się niczego mniej. Chociaż smuci mnie myśl, że znajdujesz się tak blisko niebezpieczeństwa...

– Mój panie – przerwała mu kapitan i teraz w jej głosie dźwięczała stal. – Wierzę, że nasza niedawna korespondencja zakończyła wszelkie między nami relacje i związki, z wyjątkiem sojuszu w tej szlachetnej sprawie. Zatem – mocniej chwyciła wodze deresza – jeśli nie masz do omówienia spraw wojennych, proszę, cię jak najuprzejmiej, byś ustąpił mi miejsca. Mam pilne sprawy dotyczące mojej kompanii.

Widziałem, że jej słowa uderzyły go z taką samą siłą, jak salwa strzał. Skurczył się w siodle, przystojne rysy powlekła bladeść. Patrzyłem na mężczyznę powalonego ciosem w samo serce. Mimo to, ku mojej konsternacji, Eldurm szybko się pozbierał, trzeba mu to było oddać. Wziąwszy głęboki oddech, wyprostował się i spojrzał na Evadine zdecydowanie.

– Żałuję, że nie jestem tu z twojego powodu, moja pani. – Twarde zdecydowanie na jego twarzy ustąpiło miejsca ponuremu grymasowi oczekiwania, gdy skupił swoją uwagę na mnie. – Jestem tu po niego.

Evadine obróciła się i obrzuciła mnie spojrzeniem spod uniesionej brwi, mogłem odpowiedzieć jedynie bladym uśmiechem.

– Złoczyńca najgorszy z możliwych – kontynuował jego lordowska mość. – Oszust, złodziej i morderca, który zaledwie godzinę wcześniej zaatakował jednego z moich ludzi. Wedle wszystkich praw Korony, należy on do mnie i dopilnuję, aby spotkała go sprawiedliwość.

Zanim Evadine odwróciła się z powrotem do Eldurma, kąciki jej ust uniosły się odrobinę. Była to tylko niewielka oznaka poczucia humoru, ale jednak w jakiś sposób uspokajająca.

– Nie obchodzi mnie to – stwierdziła z wyraźnym naciskiem. – Znam jego historię. Pozostaje moim człowiekiem, złożył przysięgę i została ona przyjęta, zgodnie z prawem Przymierza.

– Ten cham i łajdak – wybuchł Eldurm, czerwieniejąc gwałtownie, a koń zatańczył pod nim, wyczuwając wściekłość swego pana – już wcześniej udawał oddanie Przymierzu! Byłabyś głupia,

dając wiarę w jego kłamstwa! Tak jak ja kiedyś, gdy wpuściłem go do własnych komnat, pozwoliłem mu pisać moje listy...

Zamilkł, czerwień jego oblicza nabrała bardziej różowego odcienia zakłopotania. Po raz kolejny jednak szybko nad sobą zapanował i zrobiwszy kilka uspokajających oddechów, mówił dalej:

– I nie byłem jedyną ofiarą jego podstępności. Ascendantka Syllda, niegdyś najbardziej ceniony głos Przymierza, teraz leży na zawsze uwięziona pod skałami i ziemią, skłoniona do beznadziejnej ucieczki perfidią tego człowieka... tego zdrajcy, który zawałił na jej głowę tunel, by zabezpieczyć własną ucieczkę.

– To kurewskie kłamstwo!

Skóra mnie piekła, gdy poderwałem się, wykrzykując zaprzeczenie wraz z bryzgami śliny. Choć nie jest mi obcy gniew i płynące zeń liczne niebezpieczeństwa, zazwyczaj potrafię nad nim zapanować, dbając, by tlił się zaledwie, zanim pojawi się szansa na odpłatę. Skała tego kłamstwa była jednak wystarczająca, by zniweczyć moje opanowanie i szacunek dla urodzenia. Gdyby Gulatte był banitą, to albo by się zawahał i uciekł, albo sięgnął po nóż. Zamiast tego obrzucił moją wykrzywioną twarz spojrzeniem pełnym obrzydzenia, po czym zwrócił się ponownie do Evadine.

– Widzisz, jak on zwraca się do lepszych od siebie, moja pani? – zapytał pełen zbulwersowanej odrazy. – Jak można splamić boską misję Przymierza obecnością kogoś takiego jak on?

To, jak zarzucił mi podstęp i potem mnie zlekceważył, ignorując, podsyciło moją wściekłość rozpalając wielki, nieracjonalny płomień, choć nie pozbawiło mnie to całkowicie zdolności do kalkulacji. Kusze, przypomniałem sobie, sięgając za siebie, by zerwać płachtę przykrywającą zawartość wózka. Po dwadzieścia bełtów na każdą.

– Nie ruszaj się, Skrybo!

Krótkie szczenięcie rozkazu było niczym wymierzony mi policzek, moje dłonie na płachcie znieruchomiały. Wzdrygnąłem się i wymusiłem spokój na moich dygocących dłoniach, odwróciłem się raz jeszcze i usiadłem na koźle, przy czym natychmiast odkryłem wlepione we mnie spojrzenie kapitan. Tym razem w jej minie nie było rozbawienia.

– Siedź tu – nakazała mi z twardym tonem, nie pozostawiającym miejsca na wątpliwości. – Bądź cicho.

Wyraz jej twarzy złagodniał nieco, gdy odwróciła się i opuściła głowę. Wyczułem w niej więcej niechęci niż gniewu, przygarbiła się nieco, a następnie wyprostowała gwałtownie, co sprawiało wrażenie, że ktoś zbiera siły do wykonania bolesnego obowiązku.

– Kodeks Kompanii Przymierza jest w tej materii jasny – powiedziała, zwracając się do jego lordowskiej mości tonem absolutnie formalnym. – Zatwierdzony przez Radę Luminarzy i opatrzony Królewską Pieczęcią. Wszystkie poprzednie zbrodnie, nieważne jak haniebne, zostają wybaczone w zamian za sumienną służbę. Jednakże... – przerwała, by sięgnąć po miecz przytwierdzony do siodła, obnażyła ostrze i oparła je sobie na ramieniu – jako rycerz tego królestwa masz prawo wnieść sprzeciw.

Trąciła boki swego deresza, skłaniając go, by podbiegł tanecznym krokiem do Eldurma i jego konnych. Zatrzymała się kilka metrów od lorda i uniosła ostrze przed twarzą, po czym opuściła i podniosła raz jeszcze. Był to gest formalnego uznania równości, który widziałem na kilku turniejach. Aby walczyć, rycerze musieli tymczasowo odłożyć na bok różnice w randze lub krwi, tak aby żadne wyrzuty sumienia nie spadły na zwycięzcę, gdyby pokonany zginął lub odniósł poważne obrażenia. Innymi słowy lady Evadine Courlain właśnie wyzwala lorda Eldurma Gulatte'a na pojedynek.

– Ten człowiek należy do mnie – oznajmiła Eldurmowi tonem, w którym dźwięczała już tylko stal. – Będziesz musiał ze mną o niego walczyć.

Eldurm wpatrywał się w nią zastygły w milczeniu, jego twarz straciła już wszelkie kolory, a wymalowana na niej tęsknota ustąpiła miejsca druzgocącemu poczuciu porażki.

– Jako dzieci często ze sobą walczyliśmy, na pewno to pamiętasz – kontynuowała Evadine. – Pamiętasz te wszystkie lata na dworze, prawda, Eld? Ty, Wilhum i ja. Walczyliśmy, mimo że byliśmy przyjaciółmi, jedynymi przyjaciółmi, jakich tak naprawdę mieliśmy. Bo inne dzieci zazdrościły Wilhumowi, mnie się bały, a tobą gardziły, jako synem dozorczy królewskiego więzienia. Wtedy zwykle

wygrywałaś. Może teraz też wygrasz. Ostrzegam cię jednak, że od tamtego czasu wiele się nauczyłam.

Eldurm zamknął oczy, na moment zaledwie, ale wiedziałem, że walczył, by okiełznać to, co kłębiło się w jego wnętrzu. Mój własny gniew rozwiął się jakoś na ten widok. Silny mężczyzna o całkiem przywoitym charakterze, okazał się żaloszny po kilku słowach kobiety, którą uważał za swoją miłość.

Otworzył oczy i wyprostował się raz jeszcze, rysy jego twarzy nabrały twardości, gdy spojrzał na Evadine nieugiętym wzrokiem.

– Uważaj na siebie jutro na polu, moja pani – powiedział zduszonym, pełnym napięcia głosem. – Bardzo by mnie to zasmuciło, gdyby coś ci się stało. – Przeniósł wzrok na mnie i nieco koloru wróciło mu na oblicze. – Najlepiej módl się o śmierć z rąk Pretendenta, Skrybo! – zawołał. – Ta sprawa nie została jeszcze załatwiona i nie okażę ci litości.

Sklonił się Evadine, po czym ściągnął wodze, obrócił wierzchowca i oddalił się kłusem, a jego ludzie podążyli za nim. Niektórzy patrzyli na Evadine z konsternacją, ale większość wolała rzucać groźne spojrzenia lub czynić obsceniczne gesty w moim kierunku.

– Tak mi się wydawało, że nowe pismo w księgach wygląda znajomo – podsumowała Evadine, wsuwając miecz z powrotem do pochwy, a ja potrząsnąłem lejcami, żeby zmusić klacz do ruchu. Kapitan jechała obok, spoglądając na mnie, podczas gdy ja usiłowałem znaleźć właściwą odpowiedź.

– Twoja spostrzegawczość przynosi ci chlubę, kapitanie – powiedziałem wreszcie, nie podnosząc wzroku.

– No i jego listy. Zauważyłam wyraźną poprawę zarówno w stylu, jak i gramatyce w tej ostatniej partii, którą jego lordowska mość mi wysłał. To twój wpływ, jak mniemam?

– Był... wdzięczny za moje rady. Przynajmniej wtedy.

Zamilkła na chwilę, a gdy odezwała się ponownie, jej ton brzmiał znacznie poważniej.

– To, co powiedział o ascendantce Syldzie...

– Kłamstwo – odparłem ze zdecydowanym zaprzeczeniem, którego nie zdołałem uciszyć. – Ucieczka była jej pomysłem. Planowała to przez lata. Jej koniec... to nie była moja wina.

– Zatem ją znałeś? Przynajmniej tyle jest prawdą.

– Znałem. To ona nauczyła mnie czytania i stawiania liter i jeszcze wielu, wielu innych rzeczy.

– I uważasz, że była taka, jak twierdzą niektórzy?

– Czyli jaka, kapitanie?

Zaśmiała się.

– Nie graj przede mną głupiego wieśniaka. Ta rola ci nie pasuje. Są tacy, którzy twierdzą, że ascendantka Sylda po śmierci wstąpiłaby na drogę męczeństwa, gdyby nie to, że została skazana za czyn tak nikczemny. Czy uważałeś ją za tak pobożną duszę, by uzasadnić takie twierdzenia?

– Uważałem ją za najwspanialszą duszę, jaką kiedykolwiek dane mi było spotkać. Ale niepozbawioną wad, jak każda inna. – Zebrałem się w sobie i podniosłem głowę, by spojrzeć jej w oczy, znajdując tylko szczerze zainteresowanie, a nie słabo ukryte wyrachowanie ascendanta Hilberta. – Miałem zaszczyt spisać jej testament na krótko przed jej śmiercią. Chociaż, jeśli słyszałaś ostatnio jakieś kazania ascendanta Hilberta, to może niektóre ustępy wydadzą ci się znajome.

– Jestem uważna w wyborze kazań. Czy masz jeszcze kopię testamentu? Jeśli tak, to bardzo chciałbym go przeczytać. W nieskalanej formie, oczywiście.

Przez moment pomyślałem, że może zamierza sama dokonać kilku kradzieży, ale odrzuciłem tę myśl. Słuchałem jej co wieczór podczas naszego marszu i wiedziałem, że ta kobieta nie potrzebuje kraść słów innym.

– Mam, kapitanie, i chętnie ją dostarczę.

– Dziękuję, Alwynie Skrybo. Ale to nie wyrówna długu, jaki masz u mnie. Chyba się zgodzisz?

Nie mogłem zaprzeczyć. Gdyby nie jej interwencja, w tym momencie wisiałbym już na dogodnej gałęzi, pozbawiony tego i owego.

– Zapłacę każdą cenę, jakiej zażadasz, kapitanie – powiedziałem, bo tego oczekiwała i dlatego, że naprawdę tak myślałem, przynajmniej w tamtym momencie.

– W takim razie, oto czego wymagam jako spłaty długu – zawiesiła głos, na jej twarzy znów pojawił się wyraz powagi, jak

podczas konfrontacji z lordem Eldurmem, na szczęście ton głosu nie był tak wyzywający – nie uciekaj dziś w nocy, jak ty i twoja przyjaciółka to planowaliście.

Instynktownie chciałem odwrócić wzrok, ale coś w oczach Evadine mi na to nie pozwoliło. Zdławiło też bezsensowne zaprzeczenie, które już pchało mi się na usta. Mogłem tylko patrzeć na kapitan w milczeniu, podczas gdy ona mówiła dalej.

– Sierżant Swain ma sporą wprawę w odróżnianiu zbiegów od wojowników. Jeśli chodzi o ciebie, powiedział mi, że jesteś zbyt bystry, by nie próbować ucieczki. Powiedział mi też, że ci bystry uciekają, gdy istnieje niewielka szansa, że zostaną złapani przed bitwą, gdy kapitanowie wzywają z powrotem wartowników, by przywrócić liczebność kompaniom. Mniej bystry tchórze czekają do chwili, gdy bitwa już prawie się rozpoczyna, zanim dadzą nogę.

Nie jestem tchórzem, chciałem zaprotestować, ale wiedziałem, że to puste słowa. Tchórzostwo zawsze wydawało się pojęciem całkowicie bezsensownym dla kogoś, kto od urodzenia, codziennie walczył o przetrwanie. Niektóre walki można było wygrać, innych nie. Walczyłeś, kiedy musiałeś lub kiedy wiedziałeś, że możesz wygrać. Co to za wstyd uciekać przed śmiercią? Jeleń na pewno nie czuł wstydu, gdy uciekał przed wilkiem.

– Ta wojna... – zacząłem i zamilkłem, żeby nie powiedzieć czegoś niemądrego. Evadine jednak i tak chciała to usłyszeć.

– Mów – poleciła. – Bez strachu, nie ukarzę człowieka za to, że mówi prawdę.

– To nie jest moja wojna. Ani wojna moich przyjaciół, choć niektórzy z nich myślą chyba, że jest. Człowiek, którego nigdy nie widziałem na oczy twierdzi, że jego krew czyni go godnym tronu, na którym zasiada inny człowiek, którego nigdy nie widziałem. I tysiące ludzi oddało za to życie. Być może Pretendent kłamie, a może mówi prawdę. Nie wiem tego. Wiem jednak, że nasz król i jego szlachcice nigdy nie zrobili dla mnie niczego, poza próbami obwieszenia mnie. Nie są warci mojej krwi, bez względu na to jak jest marna.

Spodziewałem się kolejnych inwektyw, apelu do mojej wiary i wierności Przymierzu, jeśli nie Koronie. Zamiast tego usiadła nieco w siodle, marszcząc brwi, gdy rozważała odpowiedź.

– Za kogo byś oddał życie? – zapytała w końcu. – Przyjaciół? Rodzinę? Pamięć ascendantki Syldy? Słyszałeś moje kazania i jestem pewna, że masz wątpliwości co do prawdziwości moich słów, czego zresztą spodziewałabym się po mądrym człowieku, zaapeluję więc do twojego rozsądku. Koniec końców mogę jedynie prosić o twoje zaufanie. – Pochyliła się w moją stronę, patrząc mi w oczy bez mrugnięcia. – Zaufaj mi, Alwynie Skrybo, jak ufałeś słowom ascendantki Syldy. Możesz uważać, że moje wizje to oszustwo albo obłąd... – Zamilkła, nie odwróciła wzroku, ale jej rysy się ściągnęły, usta drgnęły, gdy jej umysł wypełniły niechciane wspomnienia. Odetchnęła głębiej i mówiła dalej: – Ponownie proszę, zaufaj mi, gdy mówię, że tak nie jest. Pretendent przyniesie tylko zgubę nam wszystkim. Prostakom, biedocie, banitom i szlachcicom. Widziałam to, choć oddałabym wszystko, byle tylko oszczędzono mi tego widoku.

Nie kłamała, mogłem to stwierdzić z całą pewnością. Ta kobieta naprawdę wierzyła, że została przeklęta wizją Drugiej Zatruty i teraz wszystko, co robiła zmierzało do tego, by nie dopuścić do jej spełnienia. A jednak, jej przekonanie i wiara nie znaczyły, że wizja była prawdziwa. Może dla Piwowara, Ayin i innych. Ale nie dla mnie. Ayin mogła paść na kolana i ze łzami błagać o przychyłność Evadine, ale ja nie. Niemniej, bez względu na to jak złudne byłyby jej wizje, waga tego, co jej zawdzięczam, pozostawała realna i niezaprzeczalna. Ponadto, widok sztandaru księcia Rouphona tkwił w moich myślach jak zadra. Gdybym uciekł, raczej nie miałem szans kiedykolwiek jeszcze znaleźć się tak blisko Lorine.

– Nie ucieknę – obiecałem, z wysiłkiem odwracając wzrok i ujmując mocniej lejce. – W ramach spłaty długu, kapitanie.

Chciałem, aby ta chwila już minęła. Ta kobieta posiadała niepokojącą przenikliwość. Przeczynałem, że nie minie wiele czasu, a dostrzeże, że powodem zmiany mojego zdania było coś innego niż zwykły obowiązek. Jej bezpośredniość i brak typowych dla szlachty protekcjonalności i wyższości też mnie irytowały, a przynajmniej tak sobie wmawiałem. Później spojrzałem głębiej na tę chwilę i zrozumiałem, że mój dyskomfort wynikał z czegoś prostszego, ale o wiele bardziej przerażającego, czegoś, do czego przez długi czas nie byłem zdolny się przyznać.

Siedziała w milczeniu, patrząc na moją odwróconą twarz, a ja czułem, jak powietrze staje się coraz cięższe, oboje byliśmy bowiem świadomi, że ta rozmowa nie została zakończona. Kapitan oczekiwała więcej, wiedziałem. Czy to była nieuzasadniona, łzawa wdzięczność Ayin? Czy Evadine Courlain, Pomazaniec Przymierza Męczenników, uzależniła się od uwielbienia swoich wyznawców?

– W imieniu Przymierza, dziękuję ci za twą służbę, Alwynie Skrybo – powiedziała wreszcie i spięła deresza. Patrząc, jak jedzie, zastanawiałem się, czy rzeczywiście usłyszałem w jej głosie nutę urazy. Uroda tak łatwo zawraca mężczyznom w głowie, przypominałem sobie. Potrząsnąłem lejcami skłaniając starą kobyłę do podjęcia wędrówki. Była to treść jednej z niezliczonych lekcji Syldy. Udzieliła mi jej sprowokowana anegdota, którą opowiedziałem o mym niemądrym i pożałowania godnym zauroczeniu Lorine. Wiedz, Alwynie, że każda kobieta świadoma jest swego piękna, za to wielu mężczyzn nie zdaje sobie sprawy z tego, że wpadli w jej sidła, dopóki nie jest za późno.



Tego wieczoru nie było kazania, co mnie zaskoczyło, podobnie jak nastrój zaciekawienia i odprężenia panujący w obozie. Wokół ognisk rozbrzmiewały rozmowy i śmiech, wreszcie zabrzmiały też piosenki, głównie hymny Przymierza, ale przynajmniej była to jakaś muzyka. Widziałem nawet kilku żołnierzy, którzy tańczyli wokół ognia. Najwyraźniej perspektywa zbliżającej się bitwy podniosła ich wszystkich na duchu.

Przy naszym ognisku było inaczej. Oczywiście Ayin była weselsza niż kiedykolwiek, tańczyła samotnie do melodii pobliskiego fletu, z uśmiechniętą twarzą wzniesioną ku nocnemu niebu i oczami zamkniętymi w pozornie błogim spokoju. Toria, dla kontrastu, siedziała skulona, z twarzą zastygłą w lodowatym grymasie, wpatrując się w płomienie. Trudno było wytrzymać jej reakcję, gdy oznajmiłem, że zostaje, niezależnie od tego, jakich gromów się spodziewałem. Zapropnowałem Torii, by uciekła sama,

zaoferowałem nawet, że odwrócić uwagę strażników, aby mogła przemknąć przez wysoką trawę pokrywającą pola na południe od obozu. Wiązanka przekleństw, jaką mi posłała, była bardziej plugawa niż to, co słyszałem zazwyczaj, ale też imponująca w swej pomysłowości.

– Mózg to ty masz w swojej pełnej gówna dupie, ty pieprzony, zdradziecki synu kurwy!

A jednak Toria została, choć nastrój miała mroczniejszy i bardziej ponury niż podczas najgorszych chwil w Wyrobisku. Niemniej została, tak samo uwięziona przez swój dług wobec mnie, jak ja przez mój dług wobec Evadine.

– Czy choć jakiś skrawek tego nie jest pokryty rdzą? – mruknął Piwowar, skrobiąc czubkiem sztyletu nit na napierśniku, który otrzymał.

Broń i pancerze, które zaniósłem do kompanii, zostały starannie podzielone według instrukcji sierżanta Swaina. Zdjąwszy z wozu płachtę, zobaczyłem, jak suplikant stara się zamaskować grymas pogardy na widok stosu różnorodnego metalu. Elementy uzbrojenia połyskiwały nędznie w świetle słonecznym, pokryte brązowymi i czerwonymi plamami rdzy i nagromadzonego brudu. Mimo to sierżant pomrukiwał z ostentacyjną aprobatą, gdy podawał różne elementy wyposażenia i broń czekającym w kolejce żołnierzom. Napierśniki i większość kolczug trafiły do pikinierów, podobnie jak tasaki i miecze. Piki, jak wielokrotnie powtarzała nam suplikantka zbrojna Ofila, nieuchronnie zostaną roztrzaskane lub upuszczone po pierwszym starciu, więc ważne było, by mieć inną broń, po którą można sięgnąć.

Swain wręczył mi krótki topór o półksiężycowatym ostrzu, który mogłem dodać do mojego sierpaka. Ostrze topora było ciemne i szorstkie z powodu wieku i zaniedbania, ale po godzinie spędzonej z oselką udało się nadać srebrzystą krawędź zaskorupiałej stali. Otrzymałem też od Swaina coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na dwa kwadraty spękanej skóry z rzędem pętli, do których przymocowane były jakieś stare żelazne pierścienie.

– Karwasze – pouczył mnie sierżant. – Zakłada się je na przedramiona, ale paski się wykruszyły, więc musisz znaleźć jakiś sposób, żeby je przywiązać.

Na szczęście Ayin okazała się równie zręczna w posługiwaniu się sztydłem i dratwą, co patelnią. Wystarczyło kilka godzin pracy, podczas których jej zazwyczaj ożywiona buzia przybrała surowy wyraz skupienia, a do każdego karwasza dorobiła solidne paski i klamry. Sama nie dostała żadnej broni poza sztyletem, który nosiła przy pasie, ani żadnego kawałka zbroi, ale zupełnie jej to nie martwiło.

– Łaska Serafilów zapewni mi bezpieczeństwo – powiedziała, gdy zapytałem ją o ten niedostatek wyposażenia. Gdy wyraziłem swoje obawy przed Ofilą, zostałem mrukliwie zapewniony, że Ayin otrzyma rozkaz, by podczas bitwy zostać przy karawanie z zaopatrzeniem. Moją całkowicie poważną sugestią, by przykuć dziewczynę do któregoś koła, suplikantka potraktowała jako żart, w niezbyt dobrym guście.

Bogactwa Torii składały się z koszulki kolczej, o ile się orientowałem, jedynej wydanej komuś z linii sztyletów. Toria została wepchnięta w ponury uścisk kolczugi przez Ofilę, a nie Swaina. Zbroja zaskakująco dobrze pasowała na szczupłą sylwetkę, prawie jakby była zrobiona na miarę. Zauważyłem też, że tworzące ją niewielkie, połączone ze sobą żelazne pierścienie, nie nosiły śladów rdzy. Ofiła najwyraźniej zamierzała dopilnować, by przynajmniej jedno z nas przeżyło nadchodzący dzień.

– No ale, da się całkiem ładnie wypolerować, jeśli tylko zdobędę trochę oleju – stwierdził Piwowar podnosząc napierśnik tak, by w stali odbił się słabo blask płomieni ogniska.

– To jest gównno – oświadczyła Toria, wciąż zapatrzona ponuro w płomień. – To wszystko. Gównno rozdzielone na stado otumanionych szumowin podążających za sztandarem wariatki.

Rzuciłem jej ostrzegawcze spojrzenie, ruchem głowy wskazując Ayin. Na szczęście ta była zbyt pochłonięta swym tańcem, by się rozgniewać na to bluźnierstwo.

– Spierdalaj, Alwynie – poradziła mi Toria dobitnie.

Nie próbowałem poprawiać jej nastroju, sam byłem dość pochłonięty swoimi obawami. Nie przerodziły się jeszcze w jawny strach i być może miały się już nie przerodzić. Być może, podobnie jak w przypadku konfrontacji z sierżantem Lebasem, panika mnie nie dopadła, albowiem nie było już możliwości uniknięcia

niebezpieczeństwa. Jednak brak doświadczeń w dziedzinie tego, co czekało nas jutro, nieuchronnie rodził w moich wnętrznościach twardy kamień niepokoju, którego nijak nie mogłem się pozbyć.

– Ty już to robiłeś – zwróciłem się do Piwowara, który zawzięcie polerował napierśnik. – Chodzi mi o to, że brałeś już udział w bitwach.

– Dwa razy – potwierdził, dotknął szmatką języka i dalej rozcierał ślinę na stali.

Zastanawiałem się, jak sformułować następne pytanie, nie chciałem bowiem ujawniać własnej niepewności. Toria, jak zwykle, była mniej powściągliwa.

– Jak myślisz, wszyscy zginiemy? – W jej głosie nie było już jadu, raczej spokojna rezygnacja.

Piwowar przerwał na chwilę swoje polerowanie i zmarszczył brwi w namyśle.

– Niektórzy z pewnością. Nie wszyscy. Serce i hart ducha liczą się w bitwie tak samo jak dyscyplina i umiejętność walki. A ta kompania, dzięki naszej Świętej Kapitan, ma mnóstwo serca. – Rzucił kwaśne spojrzenie na liczne ogniska płonące w ciemności u stóp wzgórza. – Co do reszty, to są zbyt wielką mieszaniną, by coś powiedzieć na pewno. Jak dla mnie, zbyt wielu tam biedaków, którzy woleliby być gdzie indziej. Mimo to, król zgromadził wielką armię, co na pewno ma znaczenie.

– W szeregach Pretendenta jest wielu weteranów – zauważyłem. – Sami zabójcy, jak mówią.

– Pod Czerwonymi Zaspami widziałem jak mężczyźni, którzy walczyli w niejednej bitwie, rzucali broń i uciekali. – Piwowar wzruszył ramionami i wrócił do polerowania. – Odwaga jest jak lina, prędzej czy później musi się skończyć.

Czując na sobie ciężar naszego wzroku, Piwowar westchnął i obrzucił każde z nas spojrzeniem swego jedyne go oka.

– Wy dwoje umiecie się bić. To przemawia na waszą korzyść. Widzicie, bitwa, mimo tych wszystkich bzdur, które szlachta wygaduje o rycerstwie i takich tam, to tylko wielka bijatyka, ale zamiast pięści w ruch idzie broń. Kiedy przychodzi bitewna furia, to uporządkowane szeregi zamieniają się w wielki tłum walczących, to właśnie wtedy bitwę się przegrywa lub wygrywa. Podczas bijatyki.

Więc... – posłał nam rzadki uśmiech – bijcie się, a będziecie mieli spore szanse, by po wszystkim znaleźć się wśród żywych.



Suplikanci obudzili nas tuż przed świtem. Do dziś nie mogę zrozumieć, jakim cudem udało mi się przespać większą część nocy. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że spałem spokojnym i nieprzerwanym snem. Mogłem też bez trudu zjeść obfite śniadanie złożone z chleba, mleka i świeżych owoców, które zdobył skądś sierżant Swain. Twardy kamień lęku w moich wnętrznościach nie zniknął, ale nie przyćmił nagłego głosu.

– Jedz! – rozkazała Ofiła znacznie gorzej nastawionej Torii i rzuciła jej jabłko z na wpół opróżnionej beczki. – Dzisiaj musisz być w pełni sił.

Toria, blada, z oczyma obwiedzionymi cieniami po nieprzespanej nocy, beznamiętnie odwzajemniła spojrzenie Ofili. Jednak, kiedy suplikantka stała tak z miną pełną oczekiwania, Toria ustąpiła i posłusznie ugryzła owoc i natychmiast wypluła kęs, gdy zbrojna ruszyła dalej.

– Ta krowa uwzięła się na mnie od pierwszego dnia, kiedy dołączyłam do tej bandy popaprańców – mruknęła Toria.

– Moim zdaniem to nie tak, naprawdę – powiedziałem, wyjmując jej jabłko z ręki, ponieważ wydawało się, że ono jej na nic. Wziąłem duży kęs i jeszcze kilka kolejnych, po czym posłałem Torii szeroki uśmiech. – Wręcz przeciwnie, prawdę powiedziawszy.

Spodziewałem się jakiegoś przekleństwa w odpowiedzi, ale jej drobna twarzyczka powlekła się powagą. Toria przystąpiła do mnie, ujęła za rękę i spojrzała w oczy.

– Alwynie... chciałam, żebyś wiedział – zaczęła cicho, tonem pełnym usilnej prośby. – Jeśli dziś zginę... – jej palce zacisnęły się na mojej dłoni boleśnie, niczym imadło, a oczy rozblęły dziko – to będzie to twoja wina!

– Formować szyk! – W chłodzie poranka rozległ się głos sierżanta Swaina, a chwilę później i pozostałych suplikantów.

– Będę cię nawiedzać, łajdaku! – syknęła mi Toria na pożegnanie i pobiegła zająć swoje miejsce w szeregu.

– Rozkaz wymarszu! – zawołała Ofila, przepychając się przez zamieszanie. – Bierzcie broń i formujcie szyk! Szybko, szybko! Ty, Ayin, melduj się u kapitan. Nie ociągaj się, dziewczyno! Już cię nie ma!

Ayin zatrzymała się na moment, by posłać mi i Piwowarowi promienny uśmiech, po czym pognąła do namiotu Evadine. Mogłem tylko mieć nadzieję, że Ofila przekazała moją propozycję skucia Ayin łańcuchem.

– Stać prosto, zasrańcy! – Suplikantka szła wzdłuż naszej formacji, wpychając niemrawych na miejsce w szeregu, waląc po głowach opieszających. Zawsze brakło jej łagodności, a teraz stała się jeszcze groźniejsza, nie pozostawiała żadnych wątpliwości, co czeka tych niezdyscyplinowanych.

– Skrybo! – huknęła, pochylając się ku mnie z gniewną miną. – Hak na ramię, jak ci pokazywałam! – Cofnęła się, zlustrowała nasze szeregi, wysuwając podbródek z niechętną aprobatą, która nie znalazła odzwierciedlenia w jej tonie. – Dzisiaj staniecie przed obliczem króla – zawołała – i nie pozwolę, byście zawstydzili kapitan waszym niechlujstwem.

Czekaliśmy w nakrochmalonym bezruchu, który wydawał się trwać przez dłuższy czas, ale w rzeczywistości prawdopodobnie zajął zaledwie minutę lub dwie. Usłyszałem burczenie kilku brzuchów, przerwane mokrym pierdnięciem. Na myśl o tym, że wyruszam na wojnę przy dźwiękach tak cuchnącego chóru, parsknąłem śmiechem, który rozniósł się po całym oddziale. Ku mojemu zaskoczeniu Ofila pozwoliła, by śmiech trwał jeszcze przez

chwile, zanim rozkazała nam się uciszyć. Przypuszczam, że znalazła odrobinę otuchy w widoku żołnierzy roześmianych w obliczu nadchodzącej rzezi.

W końcu nadszedł sygnał, który kazał nam ruszać i Ofiła poprowadziła oddział przez obóz, by dołączyć do kolumny marszowej kompanii. Kamień w moich jelitach stracił na twardości, rozluźnił się i przekształcił w mdlącą, klebiącą się masę, która podeszła mi do gardła, gdy zobaczyłem, że nasz oddział jest ostatni w szeregu. Jako pełna kompania trenowaliśmy dotąd zaledwie kilka razy i za każdym razem ostatni oddział w kolumnie zawsze tworzył prawy skraj formacji. Miejsce po prawej jakiegokolwiek linii, nigdy nie było miejscem dobrym, czego nauczyłem się podczas mojej wędrownki z Klantem.

„Chodzi o oskrzydlenie, chłopcze”, powiedział mi pewnego wieczoru podczas naszego pobytu na wybrzeżu. „Albo, mówiąc prościej, obejście jednej flanki, żeby móc uderzyć przeciwnika w dupę. I, z powodów znanych tylko Serafilom, prawie zawsze chodzi o prawą flankę”.

Tak więc, gdy maszerowałem posłusznie wraz z innymi, patrzyłem, jak reszta kompanii zajmuje miejsce po naszej lewej stronie. Moje wnętrzości zaczęły wciskać mi się do gardła z większą jeszcze energią, gdy ustawiliśmy nasze trzy szeregi po prawej stronie, wypełniając lukę między kompanią a rzeką. Połowa naszego oddziału zmuszona była stanąć wśród wysokich szuwarów i krzaków porastających brzeg. Ziemia pod naszymi stopami była miękka i szybko zamieniła się w błoto, ugniatana nieustannie taką liczbą buciorów. Przelotne spojrzenie w lewo uzmysłowiło mi, że nie tylko nasz oddział znajdował się na końcu linii kompanii, ale sama kompania stała na skraju sztyku bojowego całej armii.

Miejsce, które stało się później znane jako Pole Zdrajców, było trzema akrami niedawno wypasanego pastwiska, łagodnie wznoszącego się od rzeki do szczytu niskiego wzniesienia, gdzie dostrzegłem powiewający na wietrze sztandar królewski. Przestrzeń pomiędzy rzeką i wzgórzem wypełniała nieproporcjonalnie cienka linia wojska, rozstawiona ze zmienną schludnością. Tu i ówdzie jeżyły się piki, inne odcinki wypełniali luźno ustawieni chłopci z toporami i kosami. Za linią kręcili się, odziani w zbroje szlachcice

i konnica, a oddech bojowych wierzchowców tworzył obłoczki pary w zimnym porannym powietrzu.

– Patrz przed siebie, Skrybo! – warknęła na mnie Ofila. Krążyła niespokojnie przed naszą linią, rozdając sprawiedliwe ciosy, by ją wyprostować i wyszczekując rozkazy.

Wreszcie, najwyraźniej usatysfakcjonowana, kazała nam pozostać na miejscu i poszła dołączyć do pozostałych suplikantów zgromadzonych wokół Evadine. Tego dnia kapitan dosiadała karego rumaka, bardziej porywistego niż deresz. Nieustannie podrzucał łbem, przednimi kopytami żłobiąc wilgotną od rosy ziemię. Lady Evadine zdawała się niezrażona krnąbrnością swojego wierzchowca, a gdy rozmawiała z suplikantami zbrojnymi, na jej twarzy malowała się jedynie życzliwa aprobata.

Sierzant Swain i kilku innych suplikantów trzymało po jednej z kusz dostarczonych przez aspiranta Arnabusa, Ofila jednak nie. Zastanawiałem się, czy to świadczy o jakiejś niechęci do kusz, ale uznałem za bardziej prawdopodobne, że po prostu wolała swój berdysz. Był to naprawdę przerażający wynalazek, składający się z długiego na jard stalowego tasaka przymocowanego do pięciostopowego drzewca, przypominał nieco sierpak, który nabawił się obrzęku wskutek choroby. Mogłoby się wydawać, że jest to broń nieporęczna, ale podczas musztry widziałem, jak Ofila obraca berdyszem, jakby ważył nie więcej niż wierzbowy witka. Uznałem, że niezależnie od tego, co się dziś wydarzy, najlepiej będzie trzymać się w pobliżu Ofili.

Narada z suplikantami trwała chwilę, gdy z grzbietu wzniesienia rozległ się dźwięk trąb. Mimo nakazu spoglądania przed siebie, wszystkie oczy szybko zwróciły się ku mężczyźnie na wspaniałym białym ogierze, za którym podążał liczny orszak szlachciców w królewskich barwach. Jeden z nich trzymał królewski sztandar, a trąbiący jeźdźcy wciąż ogłaszali obecność jego królewskiej mości na polu.

– Cisza w szeregach! – krzyknęła Ofila, tłumiąc narastający szmer sprowokowany widokiem człowieka, którego nikt z nas nie spodziewał się ujrzeć osobiście. – Baczenie na króla! – dodała, zajmując pozycję przed nami. Zauważyłem, że podczas gdy ona i suplikanci wrócili pospiesznie do swoich oddziałów, Evadine

pozostała w siodle, przyglądając się orszakowi królewskiemu ze spokojną ciekawością. Dopiero gdy jego królewska mość zatrzymał swego wspaniałego wierzchowca, a trębacze zagrali ostatnią, mało harmonijną nutę, nasza kapitan zdecydowała się zsiąść.

Widząc, że kapitan przykłęka na jedno kolano, cała kompania poszła w jej ślady, podobnie jak i reszta armii.

Za frontową linią, szlachta i konni żołnierze zsunęli się z siodeł, by zrobić to samo. Przerwa, podczas której trwaliliśmy w oczekiwaniu na słowa monarchy, zdała mi się zbyt długa. Byłem świadkiem niezliczonych kazań i wiedziałem, że chwila ciszy poprzedzająca przemowę może niezwykle skutecznie wzniecić zainteresowanie publiczności. Jednak ta cisza trwała tak długo, że coraz głośniejsze pociąganie nosami, parskanie zniecierpliwionych koni i pokąsywanie żołnierzy groziło zagłuszeniem inspirującej przemowy.

Kiedy czekaliśmy, zaryzykowałem szybkie spojrzenie na króla. Zatrzymał się w sporej odległości od naszej linii, nie bardzo więc mogłem ocenić go po wyglądzie, jednak nie odniosłem jakos wrażenia, że emanuje monarszym autorytetem. Był niewątpliwie ponadprzeciętnie wysoki, a jego zbroja, wypolerowana i błyszcząca w świetle słońca, z pewnością robiła wrażenie. Jednak moje główne odczucie było takie, że człowiek ten nie czuje się swobodnie, w samym centrum zbiorowej uwagi swych żołnierzy. Dźwięk jego głosu, gdy w końcu zdecydował się przemówić, również nie przepełnił mnie podziwem.

– Żołnierze Korony! – zaczął tonem, który najłagodniej można by opisać jako wysilony. Kronikarz mniej łaskaw w doborze słów opisał go później jako „cienki głos trzcinowej piszczalki, przypominający brzmienie dziecięcego fletu, mimo wzbudzonej odwagi” i uważam to za trafne określenie.

– Dzisiaj wyruszamy nie na wojnę, ale po sprawiedliwość! – mówił dalej król, ciszej z każdym słowem, tak że reszta jego wypowiedzi nie dotarła do naszych wyęzonych uszu.

– Co on mówi? – szepnął pikinier obok Piwowara, z konsternacją wymalowaną na piegowatej twarzy.

– Nie jestem pewien – odszepnął Piwowar. – Wspomniał coś o braciach, chyba. Nie wiedziałem, że ma brata.

– Bo nie ma – mruknąłem cichutko. – Dlatego tu właśnie jesteśmy, pamiętasz? Jego starszy brat, który zmarł, trzydzieści lat temu pokrył jakąś dziewczkę i teraz bękarci bratanek króla chce dostać koronę, o ile w ogóle Pretendent jest tym bękarciem bratankiem, a nie najzdolniejszym oszustem, jakiego znała historia.

Słyszac, że król wygłasza kolejne wersy z niewątpliwie starannie przygotowanej mowy, rzuciłem pytające spojrzenie Torii, która miała najlepszy słuch z nas wszystkich.

– Za wiele nie rozumiem... – odparła, nadstawiając ucha w stronę króla. – Coś o zdradzie... Teraz coś o Przymierzu... Teraz coś o jego tacie.

Przestałem jednak skupiać się na głosie króla, gdy mój wzrok natrafił na coś, co znajdowało się ponad masywnym ramieniem klęczącej postaci Ofili. Najpierw uznałem, że to kołyszące się gałęzie drzew wystających ponad niskie wzgórze jakieś dwieście jardów naprzeciwko nas, potem dotarło do mnie, że wciąż trwało lato, a te kołyszące się gałęzie nie miały liści. Ponadto, były one bardzo wąskie i wrzecionowate i z sekundy na sekundę wydawały się coraz grubsze.

– Suplikantko... – syknąłem, na co Ofila zgromiła mnie wzrokiem.

– Milcz, Skrybo!

Jej wściekłość szybko zastąpiła napięta uwaga, gdy podążyła spojrzeniem za moim palcem, ku licznym pikom sterczącym ponad wzgórzem. Z fali niepokoju, jaka przetoczyła się przez szeregi wojska, wynikało jasno, że znaczna część armii uświadomiła sobie zbliżające się niebezpieczeństwo. Król Tomas jednak nie.

Podczas gdy rycerze w jego orszaku poczęli się odwracać, on nadal niefrasobliwie wygłaszał swoją, w większości niesłyszaną, mowę. Widziałem, że wśród jego orszaku panowało niezdecydowanie, trwały prowadzone szeptem kłótnie, aż w końcu jedna postać zbliżyła się do królewskiego boku. Postać bardzo wysoka w hełmie z żelaznym kolcem, skręconym i emaliowanym na czerwono tak, że przypominał płomień.

Nie mogłem powstrzymać dreszczu, po raz pierwszy spoglądając na sir Elberta Bauldry'ego, Królewskiego Czempiona w całej swej chwale. Jego obecność u boku króla nie była niczym

zaskakującym, ale mimo to jego widok wstrząsnął mną do głębi. Powinienem się cieszyć, że podczas nadciągającego zamieszania stanę po jego stronie, bo nigdy nie było człowieka tak potężnego. Jednakże zamiast radości, poczułem, jak rodzi się we mnie węzeł strachu, jakimś sposobem bardziej dojmujący i bolesny niż mdłości kłębiące się dotychczas w moich wnętrznościach.

Sir Elbert zatrzymał się na moment przy boku króla i pochylił się, aby wyszeptać coś, co położyło natychmiastowy kres, zapewne wielce inspirującej, mowie monarchy. Rycerz spał konia ostrogami i wielka bestia stanęła dęba, podczas gdy sir Elbert dobył miecza i podniósł go nad głowę z okrzykiem:

– Chwała królowi Tomasowi! – Jego głosu żaden kronikarz nie opisałby jako słabego.

Odpowiedzi nie sposób było uznać za natychmiastową, gdyż niepokój wywołany nieoczekiwanym widokiem wroga nadal rozprzestrzenił się w szeregach. Dopiero gdy Evadine wspięła się na swego czarnego wierzchowca i podniosła miecz, głośno i zdecydowanie powtarzając wezwanie czempiona, nasza kompania poszła w jej ślady. Wkrótce na całej linii rozległy się okrzyki: „Niech żyje król Tomas! Chwała królowi Tomasowi!”, a szlachta, tak samo jak i prości żołnierze dźgali powietrze swoją bronią. Wiwatowałem razem z innymi, choć moja uwaga skupiła się przede wszystkim na ciemnej, poszarpanej sylwetce, widocznej na szczycie przeciwległego wzgórza.

Trzeba było oddać jego królewskiej mości, że nie oddalił się natychmiast. Co najmniej minutę pozostał przed szeregami swego wojska, siedząc prosto i spokojnie na przepięknym białym koniu, z dłonią w rękawicy uniesioną w podzięce za wiwaty. Jeśli tłum wrogów, znajdujący się zaledwie kilkaset kroków dalej, budził w nim obawę, Tomas tego nie okazał. Obserwując, jak spokojnie przyjmuje admirację swoich żołnierzy, byłem zmuszony stwierdzić, że może i ten człowiek nie miał głosu bohatera, ale nie miał też serca tchórza.

Gdy wiwaty trwały, sir Elbert ponownie podjechał do monarchy i pochylił głowę, by zwrócić się do króla w niesłyszalnym, ale najwyraźniej pilnym tonie. Cokolwiek powiedział, wystarczyło, by jego wysokość zawrócił konia i odjechał w stronę środka linii wojska, gdzie królewski sztandar powiewał jeszcze wyżej.

– Powstać! – Stalowy głos Evadine zwrócił na nią wszystkie oczy, gdy nadjechała na karym wierzchowcu przed szeregi Kompanii Przymierza. Powstaaliśmy równocześnie, a jej twarde, nieugięte spojrzenie prześlizgnęło się po każdej twarzy, zajrzało w każdą parę oczu. W tamtym momencie była uosobieniem celu, jakby determinacja i niezłomna wola połączyły się, przyjmując kształt ciała obleczonego w zbroję. Wszyscy wiedzieliśmy bez cienia wątpliwości, że niezależnie od wyniku bitwy, nasza kapitan nigdy nie ucieknie z tego pola. Postanowiła zwyciężyć lub zginąć tego dnia i wiedziałem, że wielu, jeśli nie większość ludzi wokół mnie pragnęło podzielić jej los.

Toria oczywiście była w tym względzie wyjątkiem, bo właśnie w tej chwili postanowiła wychylić się do przodu i zwymiotować mi na buty.

– I, kurwa, dobrze ci tak – sapnęła, otarłszy usta, a ostanie słowo zagłuszyło głośnie oświadczenie Evadine:

– Czas na wątpliwości się skończył!

Moi towarzysze prostowali plecy i podnosili głowy, w miarę jak obrzucała nas słowami. Poza smrodem wymiocin Torii, wyczuwałem sporą ilość potu i kwaśną woń szczywn, ale o dziwo miałem niewytłumaczalną pewność, że nikt z tu obecnych nie ma zamiaru uciec. Spojrzenie i słowa Evadine trzymały nas w miejscu tak mocno, jak najmocniejsze kajdany.

– Wiecie, jak was nazywają w tej armii? – zapytała nas, nie zwracając uwagi na długą linię pikinierów pracowicie ustawiających się na wzgórzu za jej plecami. – Szumowiny, łotry – kontynuowała. – Plugawe męty królestwa. Tak właśnie myślą o was wasi towarzysze broni. Nie będę pytać, czy się z tym zgadzacie, bo wiem, że się mylą. Wiem, że wolałabym stać tu z wami niż u boku najwspanialszego rycerza we wszystkich królestwach ziem objętych Przymierzem. Bo dziś patrzę na wierne serca i prawdziwych wiernych. Patrzę na prawdziwe ostrza Przymierza, ostrza, których Pretendent i jego plugawa horda nauczą się dzisiaj bać.

Od strony wrogich zastępów dobiegła nas przenikliwa kakofonia trąbek, rogów i nieznośnie niemelodyjnych dud, rozbrzmiewających zwykle w górskich regionach księstwa Altien. Wszystko wskazywało na to, że Pretendent miał w swoich szeregach

spora liczbę dzikusów z górskich klanów. Do tego pozbawionego melodii jazgotu dołączył wkrótce zgiełk okrzyków i zaczęło się wymachiwanie bronią – rzucając nam rykiem swoje wyzwanie horda Pretendenta przypominała burzowy gąszcz. Krzyki i gestykulacja nie ustawały, gdy cała linia wroga ruszyła naprzód. Gąszcz przeciwników stał się ciemnoszarą falą spływającą po zboczu w naszą stronę. W moich, coraz bardziej przerażonych oczach, fala ta zdawała się zarówno nieubłagana, jak i nie do odparcia, a wrażenie to pogarszali jeszcze opancerzeni rycerze na koniach, których widziałem, za lewą flanką wroga.

– Chcą, byście się ich bali! – powiedziała nam Evadine, wciąż nie zaszczyciwszy tamtych choćby jednym spojrzeniem. – Boicie się? – zapytała, unosząc miecz wysoko nad głowę. – BOICIE?!

Odpowiedź wybuchnęła z dziesiątek gardeł:

– NIE!

Krzyk trwał nadal, gdy kompania dygotała w konwulsjach wściekłości i zapału, na które tylko ja i Toria pozostaliśmy odporni. Czulem jej twarz przyciśniętą do moich pleców i słyszałem, jak powtarzała miękkim szeptem wciąż to samo słowo:

– Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa...

– Za Przymierze! – Okrzyk Evadine wybił się ponad wściekły tumult i natychmiast odbił się echem w każdym gardle kompanii. Słyszałem też, jak okrzyk podjęli żołnierze z kontyngentu po naszej lewej. Stanowili mieszaninę biedoty i weteranów z górnego Kordwainu pod dowództwem chudego jak wrzeczono szlachcica, który nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Zobaczyłem, jak ten dzieciak wiwatuje razem ze swoimi żołnierzami, z podniesioną zasłoną hełmu, odsłaniającą blade, kruche rysy, cały czas wymachiwał też buławą, która wydawała się zbyt ciężka dla jego ręki.

– Za Przymierze!

Okrzyk podnosił się raz po raz, pod przewodnictwem Evadine, która pogalopowała na swoim karym wierzchowcu do końca naszej linii i stanęła dumnie, na trawiastym brzegu.

– Za Przymierze!

Spojrzałem przed siebie, obleczone w rękawice dłonie mocniej uchwyciły drzewce sierpaka. Nadciągająca fala dotarła do

krańca przeciwległego zбочa i szła dalej jednostajnym, miarowym krokiem. Dzika kakofonia ich głosów, piszczałek i trąb nie zdołała zagłuszyć naszego żarliwego chóru. Za moimi plecami słaby kontrapunkt dla tego wszystkiego tworzyły niekończące się przekleństwa Torii.

– Kurwa, kurwa, kurwa...

– Za Przymierze! Za Przymierze!

Widziałem już twarze naszych wrogów – długi rząd, głównie brodatych mężczyzn, kobiet było niewiele. Być może sprawił to mój strach, ale nie dostrzegałem wśród nich młodzików; dla mnie byli to ci legendarni weterani, którzy od lat podążali szlakiem rzezi Pretendenta. Podobnie jak my, mieli na przedzie swoich pikinierów, a za nimi mieczników i toporników. Podobnie jak my, nosili skąpe zbroje. Naliczyłem tylko kilka głów w hełmach, a większość była odziana w mocne, wełniane stroje, mało kto miał na sobie napierśnik czy kolczugę.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – klęła Toria.

– Za Przymierze! Za Przymierze! – krzyczała kompania. Głosy żołnierzy podniosły się jeszcze, gdy pierwszy szereg przeciwników znalazł się w odległości dwudziestu jardów, opuścił piki i ruszył biegiem.

– Za Przymierze!

Nasi pikinierzy zrobili krok naprzód, wrazili drzewce w ziemię i nachylili broń pod kątem, jak uczyli ich suplikanci.

– ZA PRZYMIERZE!

Od tamtego dnia niejednokrotnie myślałem, że w chwili, gdy dwa szeregi pikinierów zderzyły się ze sobą, posrałbym się, gdybym tylko pamiętał, by to zrobić. Zamiast tego zbliżyłem się do grzbietu Piwowara, tak, jak mnie uczono, poczekałem, aż pika, która prześlizgnęła się obok jego własnej znajdzie się w zasięgu ręki, po czym użyłem mojego sierpaka, ściągnąłem w dół broń przeciwnika i przydepnąłem na tyle mocno, by złamać drzewce tuż za żelaznym grotem.

Właściciel piki, najwyraźniej wściekły, że został tak rozbrojony, rzucił się naprzód z tasakiem w ręce i gardłowym okrzykiem wyzwania na zarośniętych ustach. Jego szarża została przerwana, gdy utknął między Piwowarem a piegowatym po prawej.

To jest morderstwo, wiedziałem to w chwili, gdy uniosłem sierpak nad głowę i jednym ciosem rozłupałem czaszkę uwięzionego, warczącego wroga.

I tak, drogi czytelniku, dołączyłem do bitwy.



Brodacz nie upadł od razu. Mimo że był martwy, a po jego kudłatej gębie spływała spora ilość krwi zmieszanej z szarą materią mózgu, to jednak napór ciał utrzymywał go w pionie. Do tego oczy miał ciągle otwarte. Tak więc, podczas gdy przeciwne szeregi żołnierzy popychały się i dźgały w coraz bardziej bezładnej gonitwie, musiałem nieustannie znosić spojrzenie człowieka, którego właśnie usunąłem z tego świata. Miałem wrażenie, że trup patrzy na mnie z irytującą intensywnością i doświadczyłem nagłego przypływu gniewu, tak wielkiego, że uderzyłem nieboszczyka ponownie. Złapałem sierpak niczym oszczep i wbiłem ostrze w gapiącą się na mnie twarz, rozrywając ją ciosem stali, która natychmiast utknęła w czaszce.

– Och, szlag by to! – syknąłem przez zaciśnięte zęby i zrobiłem krok naprzód, żeby pozbyć się nadzianego przeciwnika. Jeden z jego towarzyszy, żyłasty mężczyzna o twarzy gładkiej i przypominającej łasicę, skorzystał z okazji, by dźgnąć moją wyciągniętą rękę sztyletem. Sztych ukłuł mnie boleśnie, ale nie przebił grubej rękawicy, ból podsycił jednak mój gniew.

Ściskając jedną ręką sierpak, wciąż tkwiący głęboko w głowie trupa, wolną dłoń zwinąłem w pięść i uderzyłem w twarz posiadacza sztyletu. Nie mając miejsca na unik, przyjął na siebie całą

siłę ciosu i osunął się nieprzytomny w błoto. Zakładam, że wkrótce potem został zdeptany na śmierć.

Chwyciłem sierpak oburącz i przekręciłem, zadowolony, że skumulowane okrzyki, jęki i wrzaski zagłuszyły zgrzyt i młaśnięcie, z jakim metal uwolnił się z kości i ciała. Tym razem, gdy już odzyskałem broń, brodacz w końcu postanowił upaść, głównie dzięki temu, że między przeciwnymi szeregami utworzyła się wąska szczelina. Nastąpiła najkrótsza z przerw, trwała zaledwie tyle, by wszyscy nabrali tchu i spojrzeli na kilkanaście trupów lub rannych leżących w błocie, które nas dzieliło. I wtedy, bez rozkazu suplikantów, Kompania Przymierza ruszyła do przodu.

Piwowar i co sprytniejsi pikinierzy z pierwszego szeregu wykorzystali tę krótką przerwę, by unieść drzewca swej broni nad głowami, tak że kiedy ruszyli, mogli dźgać wroga grotami. Wiele pik wygięło się i pękło od uderzeń, wśród nich pika Piwowara. Widziałem, jak zostawił ułamane drzewce w szyi wroga, który osunął się na kolana z krwią tryskającą z rany szerokim łukiem. Piwowar odepchnął rannego na bok, dobył tasaka i zaczął rąbać masę ciał przed sobą. Walczył z wyćwiczonym skupieniem, celował w nogi i nadmiernie wyciągnięte ręce, pozostawiając za sobą okaleczonych i krzyczących ludzi.

Obok Piwowara, pikinier o piegowatej twarzy walczył toporem z podobną zaciekłością, choć wyraźnie mniejszym doświadczeniem. Niechybnie wciąż pchana naprzód wezwaniem Evadine, kompania atakowała swoich wrogów z szaleńczą agresją, niektórzy walcząc, wciąż wykrzykiwali jej inwokację.

– Za Przymierze!

Potykałem się wśród młócących ramionami ludzi, próbując dotrzymać kroku Piwowarowi i zatrzymałem się gwałtownie, usłyszawszy wysoki krzyk za plecami. Zobaczyłem, że Toria walczy z mężczyzną, nad którym przeszedłem sekundę wcześniej. Najpewniej udawał martwego, żeby dopaść łatwiejszej zdobyczy. Jeśli tak, to źle wybrał. Ściągnął Torię na kolana i próbował poderżnąć jej gardło. Toria pochyliła się gwałtownie i uderzyła go czołem w nos. Wykorzystując chwilową dezorientację przeciwnika, wbiła mu swój sztylet w oko, aż po rękojęść, i przytrzymała, podczas gdy on tylko trząsł się i bełkotał.

Ruszyłem w jej stronę, a ona spojrzała na mnie oczami płonącymi oskarżeniem w twarzy pokrytej czerwono-brązową pastą błota zmieszanego z krwią. Jej wrogość była tak wielka, że zajęło jej sekundę, zanim zareagowała na wykrzyczane przeze mnie ostrzeżenie.

– Padnij, kurwa!

Na szczęście uchyliła się w porę, by uniknąć cięcia mieczem mężczyzny, który stanął za nią. Ściąłem go bez wahania, zdążyłem jednak dojrzeć jego twarz, pozbawioną oka z oberwanym uchem, zwisający płat skóry odsłaniał białą kość czaszki. Podziwiałem jego męstwo i hart ducha, który pchał go do dalszej walki. Pretendent, jak się zdawało, wzbudzał równie wielkie oddanie co Evadine.

Biorąc przykład z Piwowara, ciąłem sierpakiem nie w korpus, a w nogi jednookiego. Mięśnie ustąpiły, a kości pękły z trzaskiem, gdy ciężkie ostrze wbiło mu się w udo, upadł w błoto, gdzie Toria rzuciła się, by go dobić. Jej szybkie, zwinne ciało przywiodło mi na myśl fretkę, która skręca się, aby zabić królika, tak samo jak Toria skręciła się, żeby poderżnąć wrogowi gardło.

Zatrzymałem się i rozejrzałem, a widok okazał się nieoczekiwanie pokrzepiający. Nie tylko Kompanii Przymierza udało się odepchnąć flankę Pretendenta o dobre czterdzieści jardów, ale również Kordwainczycy po naszej lewej stronie skutecznie odparli swoich napastników. Ich przeciwnicy byli lepiej opancerzeni niż ci, z którymi przyszło nam się zmierzyć, ale wyraźnie mniej oddani sprawie. Uznałem, że muszą być oddziałem najemnych mieczy, przyciągniętych do sztandaru Pretendenta obietnicą zapłaty lub łupów. Jeśli miałem rację, to albo nie wydał swego złota zbyt mądrze, albo okazał się niewystarczająco hojny. Naliczyłem zaledwie dziesięć ciał leżących na ziemi przed Kordwainczykami i widziałem, jak kilku z wycofujących się najemników w pośpiechu odrzuciło broń.

Reszty pola walki nie widziałem. Pot i oddechy tyłu ludzi i zwierząt stłoczonych na stosunkowo niewielkiej przestrzeni utworzyły mgłę, przez którą dostrzegłem jedynie kłębowisko walczących sylwetek. Wśród rąbaniny wznoszących się i opadających ostrzy czasem widać było konia stojącego dęba, ale nie sposób było stwierdzić, która strona ma przewagę.

– Chodź. – Podniosłem Torię na nogi. – Nie będziemy się ociągać.

Rzuciłem wymowne spojrzenie na suplikantów podążających za żołnierzami kompanii. Ci z kuszami byli albo zajęci naciąganiem cięciwy, albo zbliżali się do walczących, żeby strzelać wrogom prosto w twarz. Wyłowilem spośród nich Swaina, ale nie mogłem dostrzec Ofili i założyłem, że pewnie jest gdzieś w gąszczu walczących, dokonując ponurych zniw swoim toporem.

Toria podążyła za mną z powrotem w ścisk ciał, gdzie znaleźliśmy Piwowara. Z ulgą odkryłem, że między dwoma armiami ponownie powstała szczelina, tym razem szersza niż poprzednio, a przeciwników było teraz znacznie mniej. Co więcej, zamiast dzikiej determinacji sprzed kilku chwil, na ich twarzach malował się strach. Moja ulga przerodziła się w ponurą radość, gdy ten zdziśiatkowany tłum nagle odwrócił się i rzucił do ucieczki. Nie zabrzmiał żaden rozkaz ani sygnał od strony przywódców wrogiej armii, a jednak wszyscy żołnierze zdawali się odpowiadać na ten sam niewypowiedziany rozkaz. Widziałem, że niektórzy szlochali ze wstydu lub frustracji, gdy odwracali się i uciekali, inni zatrzymywali się, by obrzucić nas przekleństwami w dialekcie, którego nikt z nas nie mógł zrozumieć, albo podnosili ręce i układali palce w kształt, który, jak przypuszczałem, był jakimś obraźliwym gestem. Jednak oni też dołączyli do uciekinierów, bez dalszej zwłoki, gdy kusze suplikantów zwały kilku z nich na błoto.

Nastąpiła kolejna przerwa, a wiatr skłębił bitewną mgłę wokół naszych rozbitych szeregów i kompania zmieniła się w oddział duchów. Niektórzy, jak ja, oparli się na swoim orężu, z trudem łapiąc oddech. Inni, jak Piwowar i piegowaty pikinier, podnieśli ręce w triumfie, ich dzikie okrzyki triumfu mieszały się z jękami rannych, których jeszcze nie zabrała śmierć. Toria oparła się o mnie i wytarła zakrwawiony sztylet o mój rękaw.

– Mogło być gorzej – stwierdziłem, ściągając w odpowiedzi ciemnookie spojrzenie. Wydawało się, że jej twarz postarzała się w ciągu tych kilku minut o lata, a w oczach widziałem wyrzut tak głęboki, że zastanawiałem się, czy kiedykolwiek wybaczy mi udział w tych potwornościach.

Kiedy próbowałem znaleźć kolejny, żart, który zostanie odrzucony ze wzgardą, Toria zmarszczyła brwi.

– Co to jest? – zapytała, nadstawiając ucho ku niebu.

Usłyszałem zbyt późno, by zrobić cokolwiek. Cichy syk, który nagle przerodził się w serię uderzeń i brzęk metalu trafiającego w metal. W swoim czasie dobrze poznałem ten dźwięk; paskudną pieśń gradu strzał napotykających ciało i broję. Ale tamtego dnia, dopiero gdy zobaczyłem, jak strzała wbija się w ramię wiwatującego pikiniera o piegowatej twarzy, zdałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Padnij! – Pociągnąłem Torię w błocko.

Podskoczyłem nerwowo, gdy strzała zagłębiła się w ziemię w odległości jarda od mojej głowy, za nią spadły dwie kolejne, które trafiły jeszcze bliżej. Nieopodal inny żołnierz z sierpakiem, który również rzucił się na ziemię, dostał strzałą w ciemną opuszczoną głowę. Co ciekawe, mimo że grot przebił mu czaszkę, mężczyzna nie umarł od razu. Zamiast tego podniósł się na kolana, zmarszczył brwi z widoczną irytacją, sięgając do głowy, by podrapać miejsce, w którym tkwiła strzała, jakby to była tylko irytująca wesz. Krew popłynęła mu z nosa, a usta próbowały uformować słowa, których nikt nie umiałby zrozumieć. Trwało to uderzenie serca, może dwa, po czym oczy uciekły mu w głąb czaszki, a on zwiotczał, wciąż klęcząc.

Kiedy zobaczyłem, jak w ciągu kilku sekund trzech kolejnych towarzyszy pada pod uderzeniami stalowego deszczu, dotarło do mnie, że leżenie płasko nie jest najlepszą taktyką w tej sytuacji.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – wysyczała Toria z wściekłością, gdy podniosłem się na nogi.

– Potrzebujemy tarczy – odparłem, wlokąc ją za sobą. Skreśliłem klęczącego żołnierza smukłej budowy i skierowałem się w stronę piegowatego pikiniera o bardziej imponującej sylwetce. Tylko szczęściu zawdzięczamy, że udało nam się uniknąć strzał w drodze do ciała.

– Włóż pod spód – rozkazałem, łapiąc pikiniera za kolczugę, żeby go podnieść. Stękając z wysiłku, ukląknęłam, po czym opadłem na czworaki układając sobie ciało na grzbiecie. Toria nie potrzebowała

kolejnej zachęty i natychmiast wcisnęła się w niewielką przestrzeń pod moim brzuchem.

Okazało się, że życie jeszcze nie do końca opuściło pikiniera, bo ciałem wstrząsnęły gwałtowne drgawki, gdy trafiły w nie kolejne strzały. Kiedy jednak stalowy deszcz ustał, pikinier na moich plecach pograżył się już w bezwładzie śmierci. Toria jęknęła z irytacją i wypęzła spode mnie, gdy upadłem pod ciężarem ciała. Nabrałem nadziei, widząc słaby błysk wdzięczności w jej spojrzeniu, gdy pomagała mi zrzucić z pleców naszpikowanego strzałami pikiniera, ale wyrzut i oskarżenie zgasły jedynie częściowo.

– Niech Zatrata pochłonie wszystkich łuczników!

Ten zduszony przez zaciśnięte szczęki okrzyk, zwrócił naszą uwagę na Piwowara. Klęczał kilka kroków dalej, z twarzą wykrzywioną bólem, patrząc na strzałę wbitą w prawą rękę. Stalowy grot wystawał na kilka cali z ciała między kciukiem a palcem wskazującym, ociekał krwią, a z kolców grota zwisały strzępy skórzanej rękawiczki.

– Nie możesz tego tak zostawić – oświadczyła Toria, przykucnąwszy, aby obejrzeć ranę.

Piwowar przełknął ślinę i skinął potakująco głową. Toria dobytego małego nożyka o zakrzywionym ostrzu i przyłożyła ostrze do miejsca, gdzie promień strzały wychodził z dłoni.

– Przytrzymaj go – poleciła mi krótko. Posłusznie chwyciłem wyciągniętą rękę i przytrzymałem prosto, podczas gdy Toria zabrała się do pracy. Piwowar syczał przez zaciśnięte zęby, kiedy Toria piłowała promień strzały. Zrobiła to szybko, choć niewątpliwie pośpiech przysporzył jeszcze Piwowarowi cierpienia. Gdy już odrzuciła część z lotkami, wyciągnęła grot, po czym rzuciła Piwowarowi umazany krwią kolec.

– Na pamiętkę. – Spoważniała zaraz, gdy jej spojrzenie znów padło na otaczającą nas jatkę. – Choć podejrzewam, że jeszcze wiele takich będzie dziś do zebrania.

– Formować żywopłot!

Kilkanaście jardów dalej z mgły wyłoniła się wielka postać Ofili, wielki berdysz, pociemniały i mokry, spoczywał na jej ramieniu, gdy maszerowała ku nam bez wahania.

– Zbierać piki i formować żywopłot! Dalej!

– Na krew wszystkich Męczenników, to jeszcze nie koniec?! – zapytała Toria z westchnieniem wyczerpania.

Powód ponagleń suplikantki stał się przerażająco jasny, gdy z przeciwka dobiegł nas tętent. Poczulem przyływ wdzięczności za wszystkie te żmudne godziny spędzone pod surowym okiem Ofili, gdy oddział, pomniejszony teraz mniej więcej o jedną trzecią, stawał w wymaganej formacji z odruchową żwawością. Niepołamane piki zostały odzyskane i podniesione, trzy szeregi ustawiły się obok sąsiednich oddziałów na sekundy przed tym, jak rycerze nadciągnęli z mgły galopem.

Było ich w sumie około pięćdziesięciu, niewielki oddział w porównaniu z resztą wojsk Pretendenta, najpewniej trzymany w rezerwie aż do teraz. Wiedziałem, że są to tak zwani rycerze-renegaci, ci, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo rodowi Algathinetów, by związać swój los z Pretendentem. Słyszałem, że byli to przeważnie drudzy albo trzeci synowie pomniejszych szlachciców, rozczarowani czy też pominięci młodzieńcy, gotowi zaryzykować bunt przeciwko panującemu królowi, by zdobyć uznanie i bogactwo, które ich zdaniem im się należało. W konsekwencji wielu z nich zostało wydziedziczonych przez rozgniewanych ojców, a król wydał edykty odbierające im wszelkie ziemie i tytuły i zostali potępieni jako zdradzieccy łajdacy. Jakkolwiek nędzny był ich oficjalny status, dla mnie wciąż stanowili imponujący widok, od którego puszczały zwieracze.

Galopowali w naszą stronę, z wycelowanymi lancami, para dobywała się z nozdrzy ich wierzchowców. Rycerze zakuci byli w zbroje przedniej jakości, nie żadne niedopasowane odpadki. Hełmy mieli zdobione różnymi motywami, zbroje płytowe emaliowane na niebiesko lub czerwono, miejscami grawerowane złotem. Wielka chmura błota uniesiona ich szarżą i utrzymująca się mgła sprawiały, że na ich pancerze nie padało słońce. W moich oczach stali się przez to jeszcze groźniejsi, niepowstrzymana fala szlachetnej stali i końskich ciał, która na pewno rozbije to skupisko nikkczemnego pospólstwa.

Jeśli kiedykolwiek był czas na ucieczkę, to właśnie teraz. A jednak nie uciekłem. Później powtarzałem sobie, że to obecność Ofili i widok jej pokrytego krwią topora zatrzymały mnie na miejscu.

I obecność sierżanta Swaina przechadzającego się za naszymi plecami z nabitą kuszą w ręku. To były dla każdego tchórza wystarczające powody do pokonania strachu. Jednak od tamtej pory pogodziłem się z tym, że to nie strach przed suplikantami sprawił, że stałem w wyznaczonej odległości za Piwowarem, z sierpakiem w ręku, wpatrując się w ślepią pędzącego ku mnie bojowego wierzchowca. Zostałem, bo oni, ich kapitan i przyjaciele, u boku których stałem, zdołali zrobić ze mnie żołnierza. W tym momencie nie mogłem uciec, tak jak matka nie może uciec od zagrożonego dziecka.

Szarża rycerzy celowała w część naszego oddziału znajdującą się najbliżej rzeki, z rozmysłem zamierzali przerwać naszą linię i oskrzydlić armię. Spodziewałem się, że linia rozpadnie się pod uderzeniem, jak to zapowiadała Ofila, ale pędzące na czele szarzy rumaki w ostatniej chwili spłoszyły się na widok pik.

Gdy groty zaczęły przebijać karki i ramiona, rozległy się krzyki i paniczne rżenie. Jeden z koni zrzucił swego jeźdźcę na ziemię, stając dęba i sam upadł, wierzgając wściekle. Jeden z rycerzy porzucił lancę i podniósł się z ziemi z zaskakującą prędkością, biorąc pod uwagę ilość stali, którą miał na sobie. Zaczął wyciągać miecz i ruszył w naszą stronę, po czym nagle zeszytniał, gdy bełt z kuszy przebił kolczugę zasłaniającą szczelinę między hełmem a obojczykiem. Jeśli to nie przypieczętowało jego losu, to kopyta konia, który pojawił się chwilę później, z pewnością to uczyniły.

Niestety, wierzchowiec miał barki i kark osłonięte grubym kropierzem. Instynktowny strach przed grotami kazał mu zwolnić, ale koń szybko otrząsnął się pod wpływem ostróg swojego jeźdźcy, wielkiego rycerza odzianego w czerwoną emaliowaną zbroję i hełm z głową gryfa. Ku mojemu zdumieniu, żołnierze utrzymali linię, gdy wierzchowiec w nich wjechał, aczkolwiek trzech pikinierów zostało stratowanych, zanim dzika rąbanina, kłucie hakami i salwa bełtów z kuszy wreszcie go powaliły.

I tym razem spieszony rycerz próbował walczyć dalej, parł chwiejnie naprzód, wymachując na wszystkie strony buzydyanem, aż Ofila wskoczyła w lukę, którą ten stworzył w pierwszym szeregu. Poruszała się z szybkością i zajadłością byka, pochylona uderzyła ramieniem w napierśnik rycerza. Siła tego ciosu była wystarczająca,

aby posłać renegata na ziemię, za to jego próba parady drzewcem buzdyganu zbyt słaba, by odeprzeć druzgocący cios berdysza. Ogromne ostrze topora strzaskalo wizjer osłaniający twarz rycerza, wywołując krótki, ale spektakularny gejzer krwi.

– Zewrzeć szeregi, ciamajdy! – warknęła na nas, kładąc stopę na głowie rycerza, aby uwolnić swoje ostrze.

Kolejny renegat natarł na nas, gdy spieszyliśmy wykonać rozkaz suplikantki. Wielki, czarny wierzchowiec niósł rycerza w zbroi tak czarnej jak sierść rumaka. Wydawało się, że to obsydianowy posąg ożył, gdy rycerz pochylił się w siodle i uderzył, przebijając klatkę piersiową pechowego żołnierza kilka stóp po mojej prawej. Zanim jednak zdążył uwolnić swoją lancę, Ofila przerąbała ją na pół toporem. Piwowar doskoczył do suplikantki i uderzył swoją piką w pysk wierzchowca, była to kolejna cenna sztuczka, jakiej nauczyła nas Ofila, jako że niewiele koni jest w stanie znieść uszkodzenia pyska. Koń wyszczerzył zęby, zalane śliną i krwią, wykonał błyskawiczny zwrot i uderzył tylnymi kopytami. Następny pikinier padł martwy, z głową roztrzaskaną podkutym żelazem kopytem, ale panika bojowego rumaka uniemożliwiła jego jeźdźcowi i pozostałym rycerzom, stłoczonym teraz przed nami, na wykorzystanie powstałej luki.

Zza zasłony przyłbicy rycerza w czarnej zbroi popłynęły stłumione przekleństwa, próbował zapanować nad swoim koniem, nie przestając przy tym atakować nas ciosami miecza. Towarzysze po jego lewej i prawej stronie wciąż próbowali go ominąć, nieustannie ostrzeliwani z kusz i klucy pikami. Dostrzegłszy rozdarcie w końskim kropierzu, Piwowar skorzystał z okazji i wbił grot głęboko w bok zwierzęcia. Koń zakrzyczał i stanął dęba, a pika Piwowara pękła z trzaskiem, gdy koń runął na ziemię, wrzucając jeźdźca w nasz szereg.

– Wciągnąć go! – krzyknęła Ofila, a ja i jeszcze jeden żołnierz z sierpakiem wyciągnęliśmy ręce, by złapać rycerza za obręcz hełmu. Gdy tylko jego nagolenice dotarły do drugiego szeregu, trzeci, zbrojny w sztylety spadł na renegata jak wataha wilków na okaleczonego jelenia. Z wizjera dobywały się krzyki, gdy wąskie ostrza odnajdywały każdą szczelinę w pancerzu. Straciwszy miecz, rycerz uderzał swoich oprawców pięściami, bezskutecznie. Jego

zmagania ustały, gdy Toria wbiła swój najdłuższy sztylet w szczelinę w zasłonie i przytrzymała, a jej krzepki towarzysz walił w głowicę, aż jelec dotarł do stali.

Odwróciłem wzrok od ohydneho widowiska i zobaczyłem, że renegaci stracili cały impet, rozproszyli się wzdłuż całej naszej linii. Z tego, co mogłem stwierdzić, ich atak został zredukowany do rąbania buzdycanami i mieczami w żywopłot z pik. Suplikanci nie przestawali metodycznie ostrzeliwać rycerzy z kusz, celując raczej w konie niż w jeźdźców. Pół tuzina kolejnych padło, podczas gdy inne rżały żałośnie i kwiczały, protestując przeciwko mękom i widziałem już, że między renegatami a naszą niezłomną kompanią zaczęła rosnąć luka.

Boją się, zrozumiałem, i zaśmiałem się z zaskoczeniem. Na wpół wyszkolona banda najgorszych przestępców w całym Albermaine obudziła strach w tych szlachetnych zdrajcach. To była niespodziewanie słodka chwila, jednak miała okazać się krótkotrwała.

Głos trąbki początkowo był słaby, żalosne, niemal komiczne zawrozczenie wzniosło się ponad zgiełk bitewny. Jednak przesłanie, jakie niosła, zostało jasno zrozumiane przez rycerzy Pretendenta. Ci, którzy mogli wycofać się bez trudu, w sumie około dwudziestu, zawrócili swoje wierzchowce i ruszyli ku naszej prawej flance. Kilkunastu kolejnych zbyt pogrążyło się w szaleństwie walki czy może zbyt obawiało odwrócić się do przeciwników plecami, aby posłuchać wezwania trąbki. Zostali i walczyli dalej, tylko po to, by zostać powalonymi przez kusze suplikantów lub nieubłagane piki.

Kiedy ostatni z nich padł, na równi ze swym wierzchowcem podziurawiony beltami i przebity wieloma grotami, ujrzałem bez przeszkód powód nagłego odwrotu jego towarzyszy: wielki tłum ludzi biegnący ku nam brzegiem rzeki. Ich szeregi były nierówne i chyba żaden z nich nie nosił zbroi. Biegąc, wykrzykiwali coś, każdy na swoją modłę i wymachiwali nad głowami bronią, głównie kosami, widłami i siekierami. Nie byli to żołnierze, lecz prosty lud, a na ich czele jechał człowiek o imponującej posturze w prostej, niezdobionej zbroi. Uniósł zasłonę przyłbicy odsłaniając pociągłą twarz o wysokich kościach policzkowych i zakrzywionym nosie. Zamiast broni dzierżył sztandar, którego wielki jedwabny kwadrat

powiewał za jego koniem, prezentując skrzydlatego, złotego węża należącego do niejakiego Magnisa Lochlaina, samozwańczego prawowitego króla Albermaine.

– A niech mnie! – szepnęła Toria, wpatrując się z nieukrywanym zdumieniem w zbliżający się tłum i ich przywódcę uzurpatora. – To naprawdę on?

– Założę się, że tak – odpowiedziałem, sięgając palcami w rękawicze do mokrej strużki na czole. Zobaczyłem na nich krew i poczułem pieczenie otwartej rany, a nie pamiętałem nawet, że ją otrzymałem. – Myślałem, że będzie wyższy – stwierdziłem i strzepnąłem krew.

– Wyrównać szeregi! – rozległ się ostry rozkaz Ofili. – Przygotować się na atak piechoty!

Ona i pozostali suplikanci przeciągnęli martwych i rannych za nasze szeregi, podczas gdy kompania ponownie ustawiała się w szyku. Pikinierzy podnieśli broń i ustawili ją pod odpowiednim kątem, ja i moi towarzysze z drugiego szeregu wytarliśmy brud z naszych sierpaków, by zapewnić sobie pewniejszy chwyt. Patrzyliśmy na nadciągający tłum, prawdziwą hordę, a nie klany i rycerzy, z którymi mieliśmy już do czynienia i z każdą chwilą stawało się bardziej oczywiste, że jest znacznie liczniejsza niż Kompania Koronna. Ponadto, posuwali się naprzód z wyraźnym i niepokojącym brakiem wahania. Im bliżej byli, tym szybciej bieгли, dostosowując tempo do swojego przywódcy.

– Spokojnie! – rozbrzmiał głos sierżanta Swaina, najgłośniejszy pośród suplikantów, gdy kompania zafalowała w niespokojnym pomruku. – Pamiętajcie, o co walcycie! Pamiętajcie, dla kogo walcycie!

Obserwowałem, jak rycerze-renegaci dołączają do Pretendenta, który podniósł swój sztandar jeszcze wyżej i wszyscy ruszyli galopem w kierunku końca naszej linii, gdzie dumnie wyprostowana siedziała w siodle Evadine Courlain. Nie miała hełmu, a ja byłem wystarczająco blisko, by dostrzec spokojny i niewzruszony wyraz jej twarzy. W czasach, gdy słowo „nieustraszony” jest rzucane pod adresem najróżniejszych niegodnych odbiorców, należy to jasno powiedzieć: była jedyną prawdziwie nieustraszoną duszą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Słyszałem, jak Swain zaklął pod nosem, gdy stało się jasne, że ta szarża została starannie wymierzona tylko w część naszej linii, a nie w całą kompanię. Nieokrzesany motłoch pędził teraz, podążając za Pretendentem zwartą grupą, choć nie sposób było nazwać tego formacją. Z rycerzami na czele, byli tak liczni, że musieli przerwać naszą obronę, dokładnie w miejscu, gdzie czekała Evadine.

– Naprzód marsz! – krzyknął Swain. Pierwszy szereg posłusznie podniósł piki na wysokość piersi, podczas gdy reszta z nas wyprostowała się i ustawiła za nimi. – Suplikanci, kompania zachodzi na prawo, marsz!

Była to kolejna taktyka, którą ćwiczyliśmy, zmierzając na pole bitwy, aczkolwiek nie na tyle często, by ów manewr był czymś więcej niż tylko niechlujną parodią tego, co wymagał od nas sierżant. Najbardziej wysunięty na prawo żołnierz kompanii stawał się jej kotwicą, reszta obracała się wokół niego na podobieństwo ogromnych drzwi, aby uderzyć na flankę przeciwnika. Sukces tego manewru krył się w tempie marszu poszczególnych żołnierzy, ci najbliżsi kotwicy robili minimalne kroki, podczas gdy ci po zewnętrznej stronie maszerowali biegiem. Nasze szeregi zostały już przetrzebione, do tego wielu żołnierzy poddawało się zmęczeniu, tudzież popadali w odrętwienie spowodowane ich pierwszą prawdziwą bitwą. Powstała formacja przypominała bardziej wygięte pióro niż skrzydło drzwi. Jednakże zdołaliśmy zmusić kilku z szarżujących rycerzy i prostaków z kosami, by zawrócili i ruszyli nam naprzeciw zamiast kontynuować atak. Od prawej strony dobiegł ohydny łomot i szcęk zderzających się koni i metalu, gdy Pretendent i jego rycerze uderzyli w oddziały stojące najbliżej rzeki. Zanim dopadliśmy wieśniaków Pretendenta, dostrzegłem jeszcze Evadine spinającą swojego czarnego wierzchowca z mieczem uniesionym nad głową, jednak wszystko, co stało się później zasłonił sztandar ze smokiem. W następnej sekundzie kamień, który odbił się od mojej głowy, zmusił mnie do tego, bym spojrział przed siebie wprost na ścianę brudnych twarzy i obnażonych ostrzy. Pikinierzy pochylili się, gotując broń i obie strony zwały się z hukiem. Niedoskonałość naszej formacji zniweczyła szybko wszelki porządek. W ciągu następnych sekund w pełni sprawdziła się

przepowiednia Piwowara – znalazłem się w samym środku najkrwawszej bójki, jaką kiedykolwiek widziałem. Zobaczyłem, jak Piwowar przebija piką uzbrojonego w topór mężczyznę wielkiego jak niedźwiedź, po czym porzuca ją i sięga po swój tasak. W tej samej chwili krzepki wieśniak, trzymający niezdarnie wykonaną włócznię, rzucił się na przód z twarzą czerwoną i wykrzywioną w nienawistnym grymasie człowieka spragnionego zemsty. Ściąłem go, gdy grot włóczni sięgnął twarzy Piwowara. Ostrze sierpaka zatoneło głęboko w nieosłoniętym karku włócznika.

Usłyszałem gniewny krzyk, więc uchyliłem się i obróciłem jednocześnie. Uwolniony sierpak pomknął po łuku i uderzył w kolana innego chłopca, który rzucił się na mnie z kosą w rękę. Przewrócił się na plecy, zaciskając dłonie na poranionych nogach. Kres jego krzykom położyła Toria, która wylądowała mu na piersi i zatopiła sztylet w gardle.

Wrzeszczące, wykrzywione wściekłością twarze zdawały się otaczać nas ze wszystkich stron i nagle świat nabrał dziwnej, karmazynowej barwy. Wzrok mi się zmącił, pole widzenia zawęziło nagle z ostrością zrodzoną ze zwierzęcej chęci przetrwania. Ciąłem, dźgałem, waliłem pięściami w każdą twarz, jaka znalazła się w zasięgu moich rąk, w niewielkim stopniu świadomy bólu, który kąsał moje ciało. Pamiętam, że odrąbałem jednemu mężczyźnie rękę w łokciu i kobietę, którą trzymałem za szyję wystarczająco długo, by Toria rozplątała jej gardło. Ale to wszystko są niewyraźne, niekoniecznie spójne przebieżki koszmaru, o którym chce się zapomnieć, a który nigdy do końca nie zbladł w mej pamięci.

– Leż, ty heretyckie ścierwo!

Wściekłe stękniecie Piwowara przywróciło mi zmysły, na tyle, na ile było to możliwe w tej chwili. Zamrugalem, żeby pozbyć się z oczu szkarłatu i zobaczyłem, jak Piwowar tnie po udach człowieka, który wedle wszelkich praw powinien już skończyć. Zamiast paść na ziemię, parł przed siebie, przytrzymując jedną ręką śliskie węże jelit, umykające z rozprutego brzucha, w drugiej natomiast ścisnął kowalski młot. Jego twarz była posępnym, szarym obliczem trupa, jednak nawet po tym, jak cios Piwowara posłał go na ziemię, upiorny kowal wciąż czołgał się ku nam, wlokąc za sobą swój młot.

– Męczennicy, miejcie nas w opiece! – Piwowar przyduślił butem głowę kowala i deptał po niej tak długo, aż z pękniętej czaszki bryznęła krew. – Zło maczało w tym swoje przeklęte palce – oznajmił ponuro. – Święta Kapitan mówiła prawdę. Niewątpliwie Malecyi dodali im sił.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że nasza trójka stoi pośrodku niewielkiej przestrzeni, wśród ogólnego chaosu. Nasza kompania walczyła podzielona na grupy, z których każda była atakowana ze wszystkich stron przez chłopów z hordy Pretendenta. Ziemię pomiędzy poszczególnymi skupiskami walczących pokrywały ciała martwych i okaleczonych. Spojrzałem w dół i odkryłem, że trzymam teraz topór a nie sierpak. Półksiężycowate ostrze było ciemne i zmatowione od krwi, jednak nie mogłem sobie przypomnieć, bym stracił jedną broń i sięgnął po drugą.

Gdy patrzyłem na toczącą się walkę, znalazłem powody, by wątpić w twierdzenie Piwowara o działaniu sił zła. Owszem, niektórzy przeciwnicy nadal atakowali kompanię z szaleńczą energią, nie zważając na niebezpieczeństwo, ale drugie tyle próbowało trzymać się z dala od walki. Klęczeli lub zataczali się, pokonani wyczerpaniem albo strachem. Wielu miało twarze powleczone bladeścią i szeroko otwarte, dzikie oczy ludzi, dla których prawdziwa bitwa okazała się wstrząsającym rozczarowaniem, druzgocącym marzenia o chwale. Te uczucia były mi obce, dzień okazał się w każdym calu tak straszny, jak to sobie wyobrażałem i jeśli cokolwiek było dla mnie zaskoczeniem, to tylko to, że jeszcze żyję.

Zadrzałem, gdy przeszył mnie dreszcz emocji, wywołany tym, że przetrwałem i z gardła wyrwał mi się śmiech.

– Co cię tak, kurwa, śmieszy? – warknęła Toria. Jej oczy spoglądały na mnie z twarzy pokrytej warstwą czerwono-brązowego błota tak całkowicie, że wyglądała, jakby założyła maskę.

– Och, nic szczególnego – odparłem, bo zarówno wesołość, jak i otucha minęły równie szybko, jak się pojawiły. Zmęczenie pochwyliło mnie w swój ciężki uścisk, sprawiając, że ramiona opadły mi bezsilnie, a nogi ledwie trzymały się prosto. Bolał mnie każdy mięsień, a w głowie tętnił zlepek dopiero co oglądanych okropności. Trzonek topora wyslizgnął mi się z dłoni i nie mogłem

wykrzesać z siebie nawet cienia ochoty, by zapobiec jego upadkowi, dopóki w pobliżu nie wybuchł nowy tumult, który wygnał moje zmęczenie falą paniki, połączonej z odruchową agresją.

Jakieś dwadzieścia kroków dalej walczyła ze sobą grupa rycerzy, a wir szczękających mieczy i buzdyganów rozganiał wieśniaków. Nagle jeden z rycerzy spadł z siodła, powalony uderzeniem miecza, które wgniotło dzwon jego hełmu. Gdy upadł na błoto, dostrzegłem Evadine w centrum wiru i zrozumiałem, że walczy z trzema pozostałymi rycerzami w pojedynkę.

W obliczu takiej przewagi jej przegrana powinna być nieuchronna, ale gdy patrzyłem, jak odpiera cios buzdyganem, a potem natychmiast przechyliła się, by uniknąć ciosu długim mieczem, pomyślałem, że twierdzenia o boskim przewodnictwie mogą być w jej przypadku uzasadnione. Poruszała się z taką łatwością, że bardziej przypominało to wyćwiczony taniec niż walkę.

Kapitan powaliła następnego rycerza perfekcyjnym pchnięciem miecza przez zasłonę, po czym szarpnęła za wodze karosza, skłaniając zwierzę, aby stanęło dęba i uderzyło kopytami w głowę wierzchowca kolejnego rycerza. Koń runął natychmiast, jakby wszystkie ścięgna w jego nogach zostały zerwane w jednej chwili. Dosiadający go renegat również padł ofiarą karego rumaka. Żelazne kopyta opadły niczym młoty, gniotąc napierśnik rycerza, jakby był wykonany z najcieńszej miedzi.

Jedyny pozostały przy życiu rycerz okazał się jednak zaradniejszy od reszty, zamachnął się kolczastą głową buzdyganu i uderzył w tylną nogę karosza Evadine. Koń kwiknął i stanął dęba, rzucając się tak gwałtownie, że Evadine nie zdołała utrzymać się w siodle. Wylądowała ciężko na błotnistej ziemi, a upadek wyrwał jej miecz z rąk. Na szczęście, spanikowany karosz wciąż się miotał, blokując rycerza z buzdyganem, zanim ten zdołał dotrzeć do powalonej kapitan i zadać śmiertelny cios. Jednak było oczywiste, że miała tylko kilka sekund, zanim jego wierzchowiec wydusi z niej życie kopytami.

Nie przypominam sobie, żebym podjął świadomą decyzję, moja reakcja była natychmiastowa i całkowicie bezmyślna. Biegnąc do przodu, schyliłem się, by zabrać młot kowalski z wiotkiej dłoni zabitego kowala. Odległość między kapitan a jej niedoszłym zabójcą

wynosiła już tylko kilkanaście stóp, kiedy cisnąłem ciężkim narzędziem, które uderzyło w sam środek okrytej hełmem twarzy rycerza w momencie, gdy ten z powodzeniem ominął karosza.

Wywrócił się do tyłu i zsunął po końskim zadzie, ale nagolenicą zaczepił o strzemię. Tymczasem jego wierzchowiec, pozbawiony pana trzymającego wodze, aż nadto chętnie poddał się strachowi i natychmiast ruszył pełnym galopem, ciągnąc za sobą nieprzytomnego jeźdźca. Co ciekawe, nigdy nie poznałem tożsamości tego człowieka ani jego losu. Być może przeżył ten dzień i żył jeszcze przez wiele lat, aby zanudzać swoje wnuki opowieścią o nieprawdopodobnym ocaleniu. Uważam to jednak za wątpliwe, ponieważ najgorsza rzeź tego dnia wciąż była przed nami i dokonano jej z sumienną determinacją, która oszczędziła niewielu.

– Kapitanie – powiedziałem, kucając, aby pomóc jej wstać, podczas gdy Piwowar odzyskał jej miecz.

– Rzut godny podziwu, Skrybo – odparła, na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, gdy przyjęła moją rękę i podniosła się z ziemi.

– Zawsze lepiej rzucać niż dźgać, jeśli tylko jest ku temu możliwość. – To była kolejna z ulubionych lekcji Deckina i ku mojemu zaskoczeniu wspomnienie to zakłuło mnie boleśnie w piersi.

Co by pomyślał, gdyby mnie teraz zobaczył?, zastanawiałem się, choć odpowiedź była oczywista: nazwałaby mnie głupcem i miałby rację.

Potrząsnąłem głową, by pozbyć się natrętnych myśli i uporczywego pulsowania, spowodowanego albo uderzeniem kamienia, otrzymanym wcześniej, albo tym, którego nie pamiętałem. Powróciło również zmęczenie i tym razem jakoś nie chciało ustąpić na widok wieśniaków Pretendenta, którzy teraz zwrócili uwagę na cztery samotne postacie obok konającego konia. Byli to maruderzy i tchórze, nie chcieli dołączyć do swoich towarzyszy w ataku na to, co pozostało z Kompanii Koronnej i ujrzeni w nas dużo łatwiejszą zdobycz.

Evadine nie zwracała na nich uwagi, jej uwagę przykuło żalostne rżenie rannego wierzchowca. Oczy karosza wytrzeszczone były z przerażenia, bezskutecznie próbował podnieść się z błota, coraz bardziej lepkiego od gęstego strumienia krwi wylewającego się

z rany na tylnej nodze. Smutek ściągnął rysy Evadine, położyła dłoń na końskim pysku i zwierzę uspokoiło się pod jej dotykiem.

– Czy mogłabyś, dobry żołnierzu? – zwróciła się do Torii. – Chyba nie zdołam.

Torii obrzuciła zmartwionym spojrzeniem maruderów, zacieśniających krąg wokół nas, ale skinęła głową i podeszła bliżej do karosza, unosząc nóż. Cięcie było szybkie i starannie wycelowane, otworzyło żyłę na szyi wierzchowca, tworząc źródło ciemnoczerwonego strumienia. Sapnął kilkukrotnie, ale jakoś zdołał utrzymać głowę w miejscu, aby wciąż czuć dotyk dłoni Evadine. W końcu oczy uciekły mu w głąb czaszki i osunął się na bok.

– Kapitanie. – Głos Piwowara pulsował ostrzeżeniem. Evadine oderwała spojrzenie od wierzchowca i obrzuciła nim członków hordy uzurpatora, zbliżających się krok po kroku, z nową determinacją wymalowaną na twarzy.

– Tyle zabłąkanych dusz – powiedziała i uniosła miecz.

– Czy mogę spytać, kapitanie – zacząłem, gdy stanęliśmy obok siebie – co się stało z Pretendentem?

– Och, walczyłam z nim przez chwilę – odparła z odrobiną żalu – ale rozdzielono nas podczas starcia. Ale kiedy widziałam go po raz ostatni, przebił się na drugą stronę naszych szeregów.

– I wskutek swej nieobecności pozostaje aż nadto widoczny – zauważyłem, wskazując gestem członków jego hordy. Nie było wśród nich ani jednego szlachcica, a już na pewno żadnego śladu po wysokim rycerzu ze sztandarem ze skrzydlatym wężem.

– Uciekł – stwierdził Piwowar. Roześmiał się z przenikliwym szyderstwem, wymachując tasakiem w stronę naszych wrogów. – Słyszycie to, heretycy? Wasz zdradziecki bękart zostawił was tutaj na śmierć!

Słowa te miały niefortunny efekt, bo podsyciły raczej niż ugasiły gniew zbliżających się prostaków z kosami. Obelgi i niezrozumiały warkot stawały się coraz głośniejsze, topory, kosy i noże też się uniosły i drgały w oczekiwaniu. Wieśniacy zatrzymali się jednak na dźwięk głosu Evadine.

– Mój przyjaciel mówi prawdę! – oświadczyła. – Pretendent zszedł z tego pola!

Przypuszczam, że to brak strachu dał im do myślenia, a także wyraz bolesnego, błagalnego smutku wymalowany na jej twarzy, gdy szła ku nim, z opuszczonym mieczem i podniesioną otwartą dłonią. Pomimo szaleństwa tego dnia, zdołali chyba pojąć, że ta kobieta nie błagała o swoje życie, ale o ich.

– Proszę – wołała. – Porzucicie sprawę kłamcy, tę fałszywą sprawę. Widzę wasze serca i wiem, że nie ma w nich zła, tylko źle ulokowane oddanie.

Chociaż już wcześniej widziałem, jak ogromną siłę miały jej słowa, zdumiało mnie wahanie, jakie wywołały w tym morderczym tłumie. Wieśniacy się zatrzymali, wymienili niepewne spojrzenia, uniesiona broń poczęła opadać z wolna. Słyszałem, jak Evadine bierze kolejny oddech, by dokończyć ich przemiany kolejnymi zdaniem, ale jakkolwiek miały zabrzmieć i jaki wpływ mieć na naszego upadającego na duchu wroga, na zawsze pozostanie tajemnicą.

Za plecami otaczających nas przeciwników rozległ się grzmot licznych kopyt, a po nim okrzyki jeźdźców i pełne podniecenia parsknięcia bojowych rumaków w galopie. Potem nastąpiły twarde, nakładające się na siebie uderzenia i krzyki wielu żywych rozrzucanych na boki. Rycerze pojawili się w polu widzenia. Gnali długim szeregiem, liczącym może pięć setek, z mieczami i buzdycanami, tnąc nieprzerwanie bezładne szeregi prostych ludzi. Mój wzrok przykuł natychmiast najwyższy z rycerzy, którego długi miecz kreślił niestrudzoną serię szkarłatnych łuków, gdy kosił uciekających wieśniaków. Sądząc po stanie jego zbroi, sir Elbert Bauldry wykonał już tego dnia sporo krwawej roboty, ale kontynuował rzeź z pilnością eksperta. Przestałem liczyć jego ofiary po dziesięciu i mimo fascynacji odwróciłem od niego przerażony wzrok.

Horda Pretendenta poszła w rozsypkę, na polu pozostali jedynie martwi lub ranni, którzy też próbowali się odczołgać. Zamrugąłem zdumiony, znajdując sporą część Kompanii Koronnej wciąż stojącą w zbitych grupach, na ich twarzach malowała się pustka niezrozumienia, jakim cudem wciąż jeszcze żyją. Jeden z rycerzy zatrzymał konia kilka kroków dalej i stojąca obok mnie Evadine stężała nagle. Był to człowiek o szerokich ramionach,

dosiadający wierzchowca o podobnej barwie jak stalowo-szary wierzchowiec Evadine. Jego hełmu nie zdobiła herbowa figurka, o szlacheckiej krwi świadczył jedynie motyw wymalowany na tarczy: czarna róża na białym tle.

Za nim młody rycerz padł na kolana. Nie nosił hełmu, a twarz miał pokrytą błotem prawie tak samo jak Toria. A jednak, mimo brudu, wciąż mogłem dostrzec urodziwe rysy, choć teraz wykrzywione rozpaczą. Miał na sobie pancerz koloru błękitu nieba, ale bez rękawic, jego nadgarstki opasywał gruby sznur, którego drugi koniec przymocowany był do siodła rycerza z czarną różą na tarczy.

Twarz szlachcica na koniu skrywała opuszczona zasłona przyłbicy, ale i tak nie miałem wątpliwości, że jego wzrok skupiony jest bez reszty na Evadine. Odpowiedziała spojrzeniem, w którym na moment pojawił się błysk zawstydzenia, jednak zaraz zniknął bez śladu i gdy uklękła na jedno kolano, skłaniając przed rycerzem głowę, jej twarz nie wyrażała niczego.

– Mój panie.

Rycerz rzucił jej krótkie spojrzenie, po czym sięgnął, by odwiązać linę od siodła. Mocne szarpnięcie pociągnęło klęczącego jeńca do przodu i wylądował twarzą w błocie przed klęczącą Evadine. Zmarszczyła brwi, po czym zamrugęła, wpatrując się w umazaną twarz.

– Wilhum?

Ale to szlachcic z tarczą jej odpowiedział, a głos dobiegający z wnętrza hełmu zdawał się zgrzytliwym echem.

– Król ogłosił to miejsce Polem Zdrajców. Jeśli chcesz zachować głowę tego nikczemnika, nie masz zbyt wiele czasu.

Evadine ukloniła się ponownie.

– Dziękuję, ojczy – powiedziała i usłyszałem drżenie wdzięczności w jej głosie.

Sir Altheric Courlain, lepiej znany uczonym jako Czarna Róża z Couravel, wyprostował się w siodle, ukryte za zasłoną oczy jeszcze przez chwilę patrzyły na córkę, po czym szlachcic spiął konia i odjechał w stronę porośniętego trzciną brzegu. Szarża rycerzy przycisnęła chłopów do rzeki, której wody kipiały bielą, gdy wielu z nich desperacko próbowało przepłynąć na przeciwny brzeg.

Rycerze nie zamierzali jednak nikomu pozwolić na ucieczkę z przeklętego pola, popędzili swoje wierzchowce pod prąd i wkrótce woda spieniła się na czerwono.

– To niedobre spotkanie w niedobry dzień, Evie – jęknął rycerz rozciągnięty w błocie. – Chociaż twój widok zawsze raduje me serce, nawet teraz.

Podniósł się, białe zęby ukazały się wśród brudu, gdy patrzył na Evadine z ujmującym uśmiechem. Na ten widok poczułem nagły przypływ zazdrości, ponieważ od zawsze próbowałem osiągnąć taki efekt, ale nigdy mi się to nie udawało. Nie potrafiłem uśmiechać się tak, by połączyć wrodzoną pewność siebie z porozumiewawczą prostolinijnością. Jednakże choć jeniec przywołał taki uśmiech z łatwością, w odpowiedzi nie zyskał nic więcej niż smutne spojrzenie Evadine.

– Ty głupcze – powiedziała twardo, ale i nutą smutku.

– W tej chwili trudno mi zaprzeczyć temu stwierdzeniu. – Jego uśmiech zgasł, powróciła rozpacz, którą wdziałem chwilę wcześniej, oczy mu pociemniały w wyrazie typowym dla ludzi, którzy rozważają nieuchronną śmierć.

Evadine zeszytniała, wstała i powiodła spojrzeniem po pobojowisku, od trwającej wciąż rzezi na brzegu rzeki, po trupa rozciągniętego na ziemi z tyłu. Teraz, gdy bitwa dobiegała już końca, opadła też mgła. To, co kiedyś było kilkuakrowym, zupełnie zwyczajnym pastwiskiem, zmieniło się w przemielone kopytami i butami pole czerni, brązu i czerwieni. Konie bez jeźdźców błąkały się między trupami, a grupki zbrojnych maszerowały wzdłuż i wszerz, zatrzymując się co kilka kroków, żeby wbić szpic halabardy w drgające ciała nie do końca umarłych. Taki był los tych, którzy znaleźli się po stronie przegranych, gdy król ogłaszał miejsce Polem Zdrajców. Tego dnia, żaden szlachcic nie zdołał się wykupić, żadnemu prostaczkowi nie zostanie okazana litość.

– Skrybo – zaczęła Evadine i drgnęła nieznacznie, gdy spojrzenie jej zawadziło o Kompanię Koronną. Połowa żołnierzy wciąż stała, co samo w sobie było cudem. Zalała mnie niespodziewana fala ulgi na widok żywej i najwyraźniej całej Ofili. Ona i sierżant Swain pokrzykiwali na ocalałych, każąc im zbierać rannych i broń poległych. Jednych i drugich było na polu niemało.

– Nie mogę pozostawić kompanii, więc muszę powierzyć tego człowieka twojej pieczy – powiedziała kapitan, ruchem brody wskazawszy jeńca. – Proszę zatem, żebyś zabrał go z tego pola i zaprowadził do naszego obozowiska. Zrobisz to, Skrybo?

Prosi, żebym dopuścił się zdrady?, zdziwiłem się, zwróciłem jednak uwagę, że była to prośba, a nie rozkaz. Ten człowiek, Wilhum o przystojnej twarzy i niewymuszonym uśmiechu, był jednym z rycerzy-renegatów. Jego życie było już stracone, tak jak ja mogłem stracić swoje, gdybym został przyłapany na pomaganiu mu w uniknięciu królewskiej sprawiedliwości.

– Uznałabym to za największą przysługę – dodała Evadine, dostrzegając moje wahanie.

– Czy mogę zapytać, kapitanie – obrzuciłem zdradzieckiego szlachcica wrogim spojrzeniem – kim jest ten człowiek i dlaczego jego życie wymaga, abyś ryzykowała nasze?

Spodziewałem się jakiejś formy reprimendy, kurtuazyjnego przypomnienia mi o naszym statusie, ale ona tylko skrzywiła się lekko i odpowiedziała cicho z zamyśleniem:

– Nazywa się sir Wilhum Dornmahl. Był kiedyś... moim narzeczonym i liczę na to, że go uratujesz, Alwynie Skrybo.



Już nigdy tego nie zrobię – poinformowała mnie Toria, gdy prowadziliśmy sir Wilhuma do naszego obozu, mijając po drodze kolejne okropieństwa. Nieopodal jeden ze zbrojnych Pretendenta klękał z obiema rękoma uniesionymi w obronnym geście, błagał zmiłowania trzech halabardzistów z Kompanii Koronnej.

– Czyż nie jesteśmy wszyscy żołnierzami?

Pozwolili, aby ochrypl od krzyków, zanim spadł na niego grad ciosów. Jednak mimo ran, które otworzyły jego ciało wciąż wykrzykiwał swą ostatnią prośbę, jakby była to jakaś forma magicznej ochrony, choć wszystko wskazywało przecież na coś przeciwnego.

– Czyż nie jesteśmy wszyscy żołnierzami? Czyż... nie...

– Ani dla niej, ani dla ciebie – kontynuowała Toria z twarzą wykrzywioną grymasem rozpacz i irytacji zarazem, gdy krzyki nieszczęsnego zbrojnego zmieniły się w chrapliwe agonalne szlochanie. Nie odwróciła się, by spojrzeć w jego stronę, cały czas zwracając się do mnie z twardą i uporczywą pewnością:

– Słyszysz mnie, Alwynie? Skończyłam z zabawą w żołnierzy.

– Z tego co widziałem, całkiem nieźle ci ta zabawa wychodziła – mruknął Piwowar i skrzywił się z bólu, zdejmując rękawicę ze swej

zranionej ręki. Pośrodku dłoni miał paskudną czerwono-czarną dziurę.

– Suplikant Derlic to opatrzy – zapewniłem go. – A na razie to zawiąż.

– Radziłbym poszukać pomocy szybciej niż później – powiedział nasz więzień. Odezwał się po raz pierwszy od chwili, gdy wyprowadziliśmy go spod czujnego oka Evadine. Sir Wilhum też się skrzywił, gdy spojrział na ranę Piwowara. – Wygląda zdecydowanie paskudnie. Rana od strzały, jak sądzę? – Przeprasząc ramionami w odpowiedzi na ostrożne skinienie głowy naszego przyjaciela – Nasi kastyjscy łucznicy lubią smarować groty strzał najróżniejszym plugastwem. Straszni z nich ludzie, nie ma co do tego wątpliwości, nie dość, że plugawi w obejściu to jeszcze po zapadnięciu nocy odprawiali dziwne rytuały.

– Zawrzyj tę swoją rzyć wreszcie! – warknęła Toria, rzucając mu wściekłe spojrzenie, które już w następnej chwili obróciła na mnie. – Jeszcze kwadrans nie minął od czasu, jak ten skurwiol i jego pobratymcy robili, co mogli, żeby nas pozabijać. Przypomnij mi raz jeszcze, dlaczego w ogóle go ratujemy?

– Rozkazy kapitan – oświadczył Piwowar, patrząc na nią wilkiem. – Czy możesz w nią wątpić po tym co stało się dzisiaj? Maszerujemy pod sztandarem błogosławionym przez Serafilów.

– Widziałam, jak wielu umierało dziś pod tym sztandarem – odcięła się Toria. – Niewiele im dziś pomogli, co?

– Fanatyk i realista w tej samej kompanii – zauważył młody szlachcic ze stłumionym rozbawieniem. – A ty, którym z nich jesteś? – dodał, spoglądając na mnie spod uniesionej brwi, znów z tym niewymuszonym uśmiechem na ustach.

– Gorszym od nich obojga – powiedziałem, podchodząc do niego bliżej, a uśmiech znikł zaraz, gdy przyłożyłem mu do gardła ostrze topora. – Jestem cynikiem. A teraz – położyłem dłoń na jego obleczonej w zbroję ramieniu i pchnąłem na tyle mocno, by zrobił kilka mimowolnych i chwiejnych kroków – bądź tak dobry i idź w milczeniu, mój panie.

Szliśmy dalej, starając się nie patrzeć na mordy trwające na polu. Żołnierze zajęci skrupulatnym wypełnianiem królewskiego edyktu nie zwrócili na nas mocno niechcianej uwagi, jednak, gdy

zaczęło brakować ofiar, upojeni krwią ruszyli na poszukiwanie kolejnych.

– A ten tutaj to co? – zapytał wielki chłop i zastąpił nam drogę, a pod jego stopami mlaskało wstrętne błoto. W jednej ręce trzymał ociekającą krwią siekierę, a w drugiej flaszkę. Rozmyte spojrzenie jego oczu i smród oddechu od razu mi powiedziały, że był pijany nie tylko krwią.

– To nie jest jeden z naszych szlachejnych łajdaków, co? – Przyjrzał się dokładniej Wilhumowi i obryzgał jego błękitną zbroję kroplami czerwieni, gdy wskazał go siekierą. – Widziałem takiego sukinsyna jadącego na nasze szeregi w takiej samej ślicznej zbroi jak ta...

– Z drogi – nakazał mu Piwowar, stając pomiędzy naszym podopiecznym a nadmiernie ciekawskim żołnierzem. Tamten nie był tak pijany, by zignorować ostrzeżenie i posłusznie zatoczył się w przeciwnym kierunku, rzucił jednak ku nam jedno czy dwa rozgorczone spojrzenia.

– Przyciągamy zbyt wiele zainteresowania – stwierdziłem i obróciłem się do jego lordowskiej mości, sięgając do pasków zarękawia. – Lepiej będzie ściągnąć tę zbroję.

– Ta zbroja – sir Wilhum pociągnął nosem i wyrwał mi rękę – jest więcej warta niż wasza trójka zdołała zarobić przez całe życie.

– Chcesz umrzeć? – spytałem, łapiąc go za naramiennik i przyciągając bliżej. – Słuchaj no ty nadęty, rozpieszczony zatraceniu! Kapitan chce, żebyś żył, więc zrobię co w mojej mocy, aby tak się stało. Ponieważ jednak dzisiaj uratowałem jej życie, to wątpię, żeby powiesiła mnie, gdybym zawiódł. Więc rób, co ci każe, albo rzucę twój szlachejny zewłok do stóp następnego żołnierza Kompanii Koronnej, na którego się natkniemy.

Wypatrzyłem kilka kroków dalej dwa leżące na sobie ciała bojowych wierzchowców i zaciągnąłem Wilhuma za ten pokryty muchami pagórek. Na jego przystojnej twarzy znów pojawiły się rozpacz zmieszana z rezygnacją, gdy ściągaliśmy z niego zbroję. Naramienniki, nagolenniki i całą masę innych kawałków ukryliśmy w worze, który jak się okazało Toria przygotowała na obiecane łupy.

– Myślisz, że kapitan pozwoli nam ją zatrzymać? – zapytała. Zbroja zabrzczała, gdy Toria podniosła wór, uśmiechając się do sir

Wilhuma nieszczere. – Skoro jest tyle warta, a nam odmówiono udziału w łupach na polu... – Kiwnęła głową w kierunku grupy Kordwainczyków kłębiących się wokół na wpół nagiego trupa poległego rycerza.

– Banda dzikich bestii napędzanych chciwością – rzucił młody szlachcic z pogardą. – Dokładnie tacy, jak opisywał was Prawdziwy Król.

– To zabawne, nasza kapitan to samo mówiła o was – odparła Toria.

Pozbawiony swojej zbroi sir Wilhum okazał się młodym mężczyzną, smukłym, ale umięśnionym. Odziany był w koszulę i spodnie z cienkiej bawełny. Był mniej więcej mojego wzrostu, ale oczywiście brakło mu złamanego nosa i innych licznych znaków trudnego życia. W innych okolicznościach na pewno robiłyby imponujące wrażenie, ale teraz zgarbiony, pogrążony w goryczy i uzalaniu się nad sobą, do tego pozbawiony wszelkich przywilejów bogactwa, wydawał nam się żałośnie ludzki. Niestety też w każdym calu wyglądał jak jeniec.

– Masz tu – powiedziałem, ściągając mój skórzany kaftan. – Zakładaj. Jakby ktoś pytał, to straciłeś sierpak w bitwie i wysłano nas do suplikanta Delryka, żeby nas opatrzył.

Podjęliśmy nasz marsz przez błoto, Piwowar kłął i odganiał muchy od zranionej dłoni, Toria szybko zrezygnowała z dzwigania worka ze zbroją na własnych plecach i poczęła wlec go po rozmięklej ziemi. Szczęście nam dopisało i nikt już nie zwrócił na nas uwagi, aczkolwiek, gdy dotarliśmy do twardej zieleni ziemi niezrytej walką, natknęliśmy się na coś, co przyciągnęło moją uwagę.

Srebrny jastrząb na chorągwi księcia Marchii Shavine trzepotał trzymany wysoko przez mężczyznę o imponującej posturze. Obok niego stał człowiek o sylwetce stanowczo mniej godnej uwagi, ale za to w lepszej zbroi. Trzymał przed sobą rozwinięty pergamin i odczytywał zapisane tam słowa, przeznaczone dla kilkunastu związanych i kłęczących jeńców, którzy próbowali odsunąć się jak najdalej od opuszczonych halabard żołnierzy w barwach księcia. Ci z armii Pretendenta, którzy zginęli, gdy bitwa miała się ku końcowi, umierali z rąk przypadkowych katów, mordowani bezładnie na polu grząskim od krwi. Jednak

wszystko wskazywało na to, że książę Elbyn Blousset zamierzał załatwić to w sposób bardziej formalny.

– Zdrada nie może oczekiwać litości – zaintonował tonem, który jak podejrzewałem miał wyrażać ponury i nieubłagany wyrok. Jednak w moich uszach brzmiał niczym nosowe buczenie kleryka w całkowicie pustej kaplicy. – Ani testament, ani skrucha wyrażona słowami bądź zapłatą nie mogą odkupić zbrodni zdrajcy, który musi ponieść sprawiedliwą karę bez niestosownych skarg, czy tchórzostwa. Tak postanowił król Tomas Algathinet, mając za świadków Męczenników, kierowany najpokorniejszą wdzięcznością za łaskę Serafilów.

Mówił tak jeszcze przez chwilę, czy z chęci przedłużania mąk swoich jeńców czy z miłości do własnego głosu, przestałem go słuchać, gdyż moją całą uwagę przykuła smukła, elegancko odziana kobieta stojąca kilka kroków na prawo od mężczyzny ze sztandarem. Włosy miała związane luźno, więc powiewały lekko na wietrze, a ich odcień był niemal taki sam jak obszycie płaszcza z lisiego futra. Stała sztywna z twarzą bladą i bez wyrazu, najwyraźniej nie sprawiało jej przyjemności to czego miała być świadkiem, ale nie zdecydowała się odwrócić wzroku. Lata ani trochę nie przyćmiły jej urody, wręcz przeciwnie, i spoglądałem na nią urzeczony bardziej niż kiedykolwiek.

– Alwynie – powiedziała Toria na tyle ostro i głośno, by dźwięk poniósł się do uszu kobiety w płaszczu obszytym lisim futrem. Poderwała głowę i jej spojrzenie odnalazło mnie natychmiast. Rysy twarzy zwiotczały w szoku, a bladość ustąpiła bieli. Z rozszerzonymi oczyma kobieta cofnęła się mimowolnie o krok. Byłem pewien, że dla mojej twarzy lata nie były wcale łaskawe, a jednak Lorine nie miała najmniejszej trudności, by mnie rozpoznać. Kolejny natarczywy okrzyk Torii kazał mi się zatrzymać i zrozumiałem, że i ja zrobiłem kilka mimowolnych kroków. Złapałem też mocniej swój topór i, choć zupełnie nie pamiętałem, żebym podejmował taką decyzję, drugą dłoń zacisnąłem na rękojeści noża.

– Wynoś się stąd, człowieku!

Zamrugalem. Drogę zastąpił mi żyłasty sierżant w barwach księcia. Machnął na mnie halabardą, patrząc z nieugiętą niechęcią.

– Nie trzeba nam tu więcej ostrzy, a i łupy podzielono. Idź swoją drogą.

Zignorowałem go, patrząc ponad jego ramieniem i widząc, jak Lorine szybko odzyskuje wcześniejszy spokój. Rzuciła mi jeszcze ostatnie spojrzenie szeroko otwartymi oczyma, a potem znów przeniosła je na skazanych na śmierć jeńców, a jej twarz zmieniła się raz jeszcze w pozbawioną wyrazu maskę.

– I nie gap się na księżną – warknął sierzant, przestępując z nogi na nogę tak, by zasłonić mi widok. – Tacy jak ty nie powinni się na nią gapić.

– Księżna? – zapytałem. – Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak nazywał tę profesję.

– Pilnuj ozora! – Żołnierz ugiął nogi w kolanach i pochylił halabardę gotów do walki, co ani trochę nie ostudziło ognia, który teraz szalał mi w piersi. Spojrzałem nań i dotarło do mnie, że ostrze halabardy pozostawało stosunkowo czyste, podobnie jak jego tunika, na której brakło śladów krwi i błota.

– Coś jesteś strasznie czysty – wychrypiałem, zaciskając z wściekłością zęby. – Stałeś dziś w ogóle do walki? Bo ja tak.

– Alwynie! – Ciężka dłoń Piwowara złapała mnie za prawe ramię, a drobniejsza, Torii, za lewe. – Mamy zadanie do wykonania, pamiętasz? – Piwowar syknął mi prosto do ucha.

Wzdrygnąłem się przepełniony frustracją i kipiącym gniewem, musiałem kilkakrotnie głęboko nabrać powietrza, zanim zgodziłem się, by mnie odciągnęli.

Żyłasty sierzant spróbował ukryć wyraźną ulgę za grymasem pogardy. Potrząsnął swoją niezabrudzoną halabardą raz jeszcze, po czym dołączył do swoich ludzi.

Zmusiłem się do odwrócenia wzroku, gdy ostrza opadły. Widok Lorine stojącej spokojnie i bez drgnienia obserwującej tę rzeź, tylko jeszcze bardziej podsyciłby płomień mojego gniewu, a już i tak zareagowałem wystarczająco głupio. Nie powinienem pozwolić jej zobaczyć mojej twarzy, rugałem się w myślach, gdy poprowadziliśmy naszego więźnia w stronę obozu Kompanii Przrymierz. Teraz ona już wie, że musi mnie zabić.



Kiedy byliśmy już blisko obozu, kroki Piwowara stały się wyraźnie wolniejsze, a jego skóra, pod całym tym zaschniętym błotem i krwią, przybierała coraz wyraźniej odcień szarości. W chwili gdy Ayin w podskokach wybiegła nam na spotkanie na linię posterunków, jego wzrok stał się rozmyty, głowa toczyła się na piersi, a z ust dobywał bełkotliwy nonsens:

– Jeszcze nie... czas... – Machnął ręką na coś, co tylko on widział. – Jeszcze nie czas...

– Piwowarze? – odezwałem się do niego, ale on tylko rzucił mi spojrzenie pełne niezrozumienia.

– Kolacja – wymamrotał – jeszcze nie czas na kolację... – Jego słowa zmieniły się w niezrozumiały bełkot i Piwowar postąpił dwa kroki, po czym zwałił się bez zmysłów na ziemię. Dopadliśmy do niego z Torią, ale był tak wielki i ciężki, że oboje musieliśmy uklęknąć.

– Upił się? – zapytała Ayin i przechyliwszy głowę przyjrzała się nieruchomemu Piwowarowi, po czym z pogardą pociągnęła nosem. – Miałam o nim lepsze zdanie. A ty to kim jesteś? – dodała, łypiąc podejrzliwie w stronę sir Wilhuma.

– Nieważne kto to – stęknąłem, próbując dźwignąć Piwowara. – Pomóż nam zawlec tę górę mięsa do suplikanta Delryka. Ty też, mój panie. No chyba, że pomoc prostym ludziom jest poniżej twojej godności.

– Przysięgłem wierność Prawdziwemu Królowi, żeby to właśnie robić – odparł sir Wilhum i gestem nakazał Torii się odsunąć, żeby samemu przerzucić sobie ramię Piwowara przez barki.

Oparłem się chęci wytknięcia mu, że liczne zwłoki prostych ludzi płyną teraz z prądem rzeki wskutek fałszywych obietnic jego fałszywego króla i chwyciłem drugie ramię Piwowara. We czworo udało nam się zawlec całkowicie bezwładnego i pozbawionego przytomności Piwowara do namiotu Delryka, który to niemal natychmiast zidentyfikował źródło tej dziwnej choroby.

– Trucizna – oznajmił, powęszywszy nad czarną dziurą w dłoni mojego przyjaciela. – To nie sam brud. Zbyt szybko zadziałał.

– Czy masz... – szukałem właściwego słowa, ponieważ nauka uzdrawiania nigdy nie trafiła do lekcji Syldy. – Jakiś lek.

– Nie wiem, co to za trucizna – odpowiedział Delryk. Zarówno jego szata, jak i twarz były równo spryskane krwią, tak zaschnięta jak i świeża. W namiocie zaś jęczało kilkunastu żołnierzy z różnymi obrażeniami. Na zewnątrz dwadzieścia ciał spoczywało pod kocami, czekając na rytuał pogrzebowy i pochówek. Ci mieli akurat tyle sił, by dotrzeć tu z pola walki, gdzie, jak wiedziałem, leżały jeszcze dziesiątki ciał.

– Nie wiadomo, jaka trucizna, to nie ma lekarstwa – oznajmił suplikant, po czym sięgnął po miseczkę z wrzącą wodą i niewielki nożyk. – Oczyszczę to. – Ruchem głowy wskazał ranę Piwowara. – Nic więcej nie można zrobić.

Widząc wyraz bezradności i troski zarówno na twarzy mojej, jak i Torii dodał jeszcze:

– Jest silny. Jeśli przeżyje do rana, będzie miał szansę. A teraz wyjdźcie.



– Jak tam było? – Twarz Ayin rozświetlona była pełną ekscytacji ciekawością, która nie zgasła nawet wtedy, gdy Toria odpowiedziała jej ze złością.

– Kurwa strasznie. A jak myślałaś?

– Czy lady kapitan zabiła Pretendenta? – kontynuowała Ayin niefrasobliwie. – Bo słyszałam, że z nim walczyła, zabiła go?

– Nie. – Spojrzałem z ukosa na sir Wilhuma, który siedział przy ognisku w ponurym milczeniu. – Podobno uciekł jak najgorszy z tchórzy.

Twarz szlachcica ściągnęła się w gniewie, ale nie chwycił przynęty. Kompania powróciła już do obozu i wokół było zbyt wielu żołnierzy, jak również suplikantów, żeby ośmielił się ryzykować wybuch. Ponury sierżant Swain bezlitośnie przywracał dyscyplinę,

nakazał wyczyszczenie całej broni i ułożenie jej w stosy, a potem mieliśmy ustawić się oddziałami, żeby mógł nas policzyć. Okazało się, że zbyt pesymistycznie oszacowałem nasze straty. Nie zginęła nas połowa, tylko jedna trzecia, aczkolwiek wielu zostało ranionych. Niektórzy mieli niewielkie rany bądź połamane kości i wiadomo było, że niedługo powrócą do zdrowia. Inni, jak Piwowar, będą mogli mówić o szczęściu, jeśli dotrwią do rana.

– Nie tylko to mówią. – Toria zniżyła głos i rozejrzała się czujnie, zanim podeszła do mnie bliżej. – Przeszłam się po obozie i słyszałam, jak w innych kompaniach opowiadają najróżniejsze rzeczy, najdziwsze plotki. Rozmaite bzdury, które zawsze opowiadają ci, co widzieli zbyt wiele w zbyt krótkim czasie. Ale tym razem większość z nich dotyczyła naszej kapitan. Jak to została namaszczona i inne takie. Nazywają ją Mieczem Przymierza.

– Utrzymała linię i zapewniła nam zwycięstwo – odparłem ze wzruszeniem ramion. – Każda bitwa ma swych bohaterów.

– Bohatera – poprawiła Toria. – Tylko ją. Nie króla, nie tego potwora, czempiona. Namaszczona Lady Evadine, służebnica Przymierza, a nie Korony, i szlachcicom to się nie podoba. Widziałam, jak jeden rycerz z kompanii koronnej rozkazał oćwiczyć żołnierza, bo ten zbyt głośno mówił o tym, jak wielka jest Święta Kapitan.

– Jak wyglądał? – zapytałem zaciekawiony. – Ten rycerz?

– Wielki, jak ci wszyscy szlachcie, którzy naprawdę walczą, ale nie taki wielki jak królewski czempion. Miał na tarczy brązowego orła.

Althus Levalle, wywnioskowałem. To oczywiste, że gdzieś tu był. Pragnienie zemsty rozbudzone świadomością, że zarówno komtur, jak i Lorine znajdują się w odległości kilkuset kroków od miejsca, w którym teraz siedziałem, zaczęło podszeptywać mi niebezpieczne pomysły. Mógłbym uporać się z tym w jedną noc. Jakie to może być trudne?

Owinałem się ciaśniej płaszczem, garbiąc się pod wpływem nagany, jakiej sam sobie udzieliłem. Lorine była dobrze strzeżona, a sir Althus otoczony przez królewskich żołnierzy, a do tego żadne z nich nie było łatwą ofiarą. Lorine zawsze świetnie radziła sobie z ostrzem i, choć moje umiejętności wystarczyły, bym przetrwał ten

potworny dzień, wiedziałem przecież, że nie mogę równać się z komturem. Nie, gdy byłby przytomny, szeptał niebezpieczny głos wewnątrz, kusząc mnie straszliwie. Ale człowiek nie może walczyć, kiedy śpi...

Toria wciągnęła z niepokojem powietrze, cicho, ale i tak zagłuszyła ów niebezpieczny głos. Podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyłem suplikanta Delryka otoczonego blaskiem z namiotu leczniczego, przywoływał nas zniecierpliwionymi i zmęczonymi gestami. Podążaliśmy z Torią w jego stronę i nadzieja, która rozbudziła się w moim sercu, umarła na widok jego ponurej miny, na naznaczonej wycieńczeniu twarzy.

– Zostało mu kilka godzin – oznajmił uzdrowiciel, prowadząc nas do wąskiej pryczy, na której leżał Piwowar rozebrany do pasa. Jego potężne, umięśnione ciało zdawało się szare jak wyschnięta glina, skóra wilgotna była od potu, którego zapach unosił się w powietrzu i drażnił nozdrza. Rana została zabandażowana, ale na otaczającym ją ciele pojawiły się krwawe ślady i plamy w ohydny odcieniu fioleto. Ogromna pierś unosiła się i opadała w spazmatycznym oddechu, głowa przechylała się to w jedną, to w drugą stronę, a niewidzące oczy połyskiwały matowo za trzepoczącymi powiekami.

Stojąca obok mnie Toria zeszywniała cała, ciasno zaplatając ramiona na piersi. Zdusiłem impuls, by objąć ją pokrzepiająco. To nie było w jej stylu.

– Chciałby złożyć testament – powiedziałem Delrykowi. Ku swojemu zdumieniu musiałem odkaszlnąć, żeby pozbyć się bolesnego ścisku w gardle i dobyć z niego jakiegokolwiek słowa.

– Wszystko, czego bym użył, żeby go obudzić, zabije go, zanim zdąży powiedzieć słowo – odparł suplikant. – Ale jeśli będziesz mówił do niego, to może cię usłyszy.

Skinął nam krótko głową i odszedł do innego potrzebującego, który mógł mieć szansę na to, by zobaczyć kolejny wschód słońca.

– Zatracona zatruta strzała. – Toria zaciskała mocno zęby. Podeszła do wezglowia pryczy i z wahaniem dotknęła pokrytej potem brwi. – Powinien zginąć w walce z co najmniej czterema mężczyznami.

– Tak powinno być. – Patrzyłem, jak wargi Piwowara drgają i zastanawiałem się, czy gdzieś tam w głębi zamroczonego gorączką umysłu, nie stara się przypadkiem złożyć testamentu. Byłem zdziwiony tym, że po latach wspólnego więzienia jego śmierć nie obeszlaby mnie ani trochę, ale wystarczyło kilka wspólnych miesięcy na wolności i stałem tu, przełykając łzy. Istniała też maleńka, wstydliva część mnie, która nie miała najmniejszej ochoty wlec ogromnego cielska do grobu, gdy już nastanie poranek.

– Przywołaj szlachcica – poleciłem Torii i narzuciłem koc na Piwowara. – I ten wór ze zbroją.

– Po co? – Spojrzała na mnie z ukosa, nie kryjąc zdziwienia.

Piwowar wydał głęboki, dudniący jęk, gdy ściągnąłem jego nogi z pryczy.

– Zapłata – stęknąłem, stawiając olbrzyma na nogi. – I ani słowa suplikantom, czy kapitan. A już na pewno nie Ayin.

Schronienie Jutowej Wiedźmy nadal tkwiło pod gałęziami wysokiej brzozy. Kiedy zatrzymałem przed nim wózek, ze świeżo zgaszonego ogniska przed wejściem unosiły się wątle macki dymu. Wejście do szałas osłonięte było skórą jakiegoś zwierzęcia i obrysowane na żółto delikatnym blaskiem płonącej wewnątrz świecy. Obawiałem się, że możemy się natknąć na tłum innych chętnych skorzystać ze szczególnych talentów Kaerytki, ale wyglądało na to, że jeśli nawet jacyś klienci odwiedzili ją po bitwie, to rozeszli się wszyscy po zapadnięciu zmroku.

Stara klacz parskała z irytacją do wtóru z coraz bardziej bolesnymi jękami Piwowara, tymczasem, teraz, gdy cel był na wyciągnięcie ręki, mnie złapała niemoc niepewności. Czego tu się bać?, zapytałem samego siebie, wpatrując się w migoczący zarys wejścia. Albo mu pomoże, albo nie.

Wciąż się wahałem, nękany wspomnieniami o kajdanniku. Czulem też rosnącą pewność, że gdyby Evadine się o tym dowiedziała, nie pochwaliliby tego, że szukaliśmy pomocy u kaeryckiej czarownicy.

– Idziemy czy nie? – zapytała Toria z tyłu wozu. Musiała trzymać ramię Piwowara, bo jego bezwład ustąpił młóceniu rękoma na oślep, gdy tylko wózek wytoczył się z obozu.

Nie musiałem jednak decydować, gdy wejście szalasu zostało odsłonięte i ze środka wynurzyła się jego mieszkanka. W mroku dwie diamentowe dziury w worku zdawały się nie mieć dna, w ukrytych tam oczach nie odbił się w ogóle blask pochodni trzymanej przez sir Wilhuma. Szlachcic poszedł z nami chętnie, zakładałem, że w nadziei na okazję do ucieczki. Jak dotąd jednak mijaliśmy liczne grupy żołnierzy, z których większość była w stanie agresywnego upojenia alkoholowego, co musiało płożyć kres tym nadziejom.

Jutowa Wiedźma minęła mnie, żeby zajrzeć do wózka i leżącego tam Piwowara, nie zwracając uwagi na moje spóźnione pozdrowienie.

– Zatruta strzała – wyjaśniłem, gdy ona nadal stała w milczeniu. – Nie wiemy, jaki to rodzaj trucizny. – Zatrzymałem się, obserwując, jak zmienia się kształt worka, gdy przekrzywiła głowę i pochyliła się nad Piwowarem. Słyszałem, jak węszyła przez chwilę, po czym wyprostowała się, czarne dziury jej oczu zwróciły się w moją stronę.

– Możemy zapłacić – zapewniłem, wskazując na Torię, która posłusznie uniosła worek ze zbroją Wilhuma. – Najlepsza zbroja. Warta z pięćdziesiąt letinów, wedle jej poprzedniego właściciela.

I wtedy Jutowa Wiedźma się odezwała, głos przesączający się przez jutę był wilgotny i chrapliwy. Słowa były zrozumiałe, ale ledwie, jakby kształtowały je usta zbyt zniekształcone, aby mówić z jakąkolwiek precyzją.

– Nie potrzebuję zbroi.

Podeszła bliżej i odkryłem, że muszę tłumić instynktowną chęć ucieczki. Wiedźma emanowała dziwną, ziemną wonią, jak las dotknięty pocałunkiem pierwszego jesiennego deszczu. Prawdę powiedziawszy nie było to nieprzyjemne, ale niepokojące. Nie tak powinien pachnieć człowiek.

– Ale przyjmę zapłatę – dodała, a jutowy worek pulsował jej słowami.

– Ja... – Głos mi się załamał i nagle moje spojrzenie uwięzło w bliźniaczej pustce jej oczu. – Mam trochę monet...

– Twoje słowa, twoje... – uniosła dłonie, blade i dziwnie czyste w świetle pochodni, i zaczęła naśladować pióro wędrujące po

pergaminie – umiejętności. To będzie twoja zapłata.

Skinąłem potakująco głową.

– Napiszę wszystko, co będziesz chciała.

Dwie dziury spoglądały na mnie jeszcze przez chwilę.

– Wnieście go – zażądała, po czym odwróciła się i zniknęła w swoim szalasy, pozostawiając otwarte wejście.

– Skąd wiedziała, że jesteś skrybą? – zapytała Toria, gdy we troje usiłowaliśmy ściągnąć opierającego się niemrawo Piwowara z wozu.

– Słyszała, jak mówili to ludzie Gulatte’a – odparłem. Po prawdzie, to nie sądziłem, żeby w trakcie konfrontacji z Lebasem, Wiedźma była na tyle blisko, by to usłyszeć.

Kaerytka kazała nam usadzić Piwowara przy wejściu i wykazała się niespodziewaną, a może nienaturalną siłą, wciągając go do środka w pojedynkę. Przyjrzałem się jej obnażonym przedramionom, które wyloniły się z zapleśniałego płaszcza, były gładkie i smukłe, nie zobaczyłem ani śladu choroby, która zniekształcała jej twarz.

– Zaczekajcie – nakazała nam zdeformowanym zgrzytnięciem, i ponownie szczelnie zasłoniła wejście. Chciałem zapytać, jak długo to potrwa, ale się powstrzymałem. Cokolwiek miało się wydarzyć w środku, nie było przeznaczone dla naszych oczu.

– Wiesz, że to absurd, jak zakładam? – zapytał po chwili Wilhum. Usunęliśmy wilgotny popiół z wiedzmięgo ogniska i rozpaliliśmy ogień za pomocą patyków, które udało nam się zebrać. Toria podzieliła się suszoną wołowiną, którą zdobyła podczas wycieczki po obozie, rzucając nawet porcję szlachcicowi. Odpowiedział jej uprzejmym ukłonem i pięknymi słowami podziękowania, które sprawiły, że ściągnęła wargi odsłaniając zęby w grymasie odrazy.

– Kaeryccy komedianci objeżdżają królestwo, zwodząc naiwnych ludzi obietnicami lekarstw, sprzedając klątwy i urok – nie ustępował Wilhum, gdy nie dałem odpowiedzi. – Dlaczego niby ma być inna?

– Bo inni żołnierze w obozie boją się jej do obesrania – odparłem. – Zakładam, że to coś znaczy. Poza tym, jaką mamy inną opcję? A skoro już przerzucamy się absurdami, mój panie, to

wydziedziczenie się poprzez przysięganie wierności człowiekowi, który nie ma więcej praw do tronu niż nocnik, wydaje mi się szczególnie absurdalne.

Spodziewałem się gniewu, a przynajmniej kąśliwej riposty, ale młody szlachcic tylko westchnął i ugryzł kolejny kawałek wołowiny.

– Zostałem wydziedziczony na długo przed tym, zanim usłyszałem o Prawdziwym Królu – mruknął w końcu, tonem pełnym smutnej refleksji. – Poszedłem do niego jako nędzarz, nie licząc zbroi, którą nosiłem i konia, na którym siedziałem. Przyjął mnie z takimi względami, jakbym dostarczył mu stu zbrojnych i wóz obładowany skarbami.

– Dlaczego twój ojczulek cię wyrzucił? – zapytała Toria. – Przegrałeś za dużo w karty, co? Czy nadziełeś o jedną dziewczkę za dużo?

Po raz kolejny Wilhum nie zachował się tak, jak tego oczekiwałem. Uśmiechnął się. Nie był to ten ujmujący cud, który posłał Evadine, a tylko lekkie, smutne wygięcie ust. W obozie zmył brud z twarzy, a jego nieskazitelne rysy wyglądały w blasku ognia zupełnie nierzeczywiście; jakby jedna z iluminacji mistrza Arnilda ze Zwoju Męczennika Stevanosa jakimś sposobem zesza żywa z pergaminowej karty.

– Tak naprawdę to miłość doprowadziła mnie do tego stanu, moja droga. A jednak stwierdzam, że nie potrafię żałować.

Poczułem, że moja wrogość wobec tego człowieka słabnie z chwili na chwilę. Zakorzeniona niechęć nisko urodzonych do wysoko urodzonych, i zazdrość, którą przecież prowokował, zdały mi się małosłkowymi pretensjami dziecka. Miał rację; był takim samym nędzarzem jak ja. Pokusiłbym się nawet o stwierdzenie, że to jego sytuacja była gorsza, bo jego przestępstwo pozostawało niewybaczalne, przynajmniej według edyktu króla.

– Powinieneś uciekać – powiedziałem mu, kiwając głową w stronę mroku poza granicą światła rzucanego przez nasze ognisko. – Wszyscy to teraz odsypiają i wątpię, by porządnie rozstawiono warty.

– Myślałem, że twoja kapitan kazała ci mnie pilnować?

– Kazała nam doprowadzić cię do obozu, co zrobiliśmy. Idź, nie będziemy cię zatrzymywać – dodałem, patrząc, jak się waha. –

Bez względu na to, jakim cieszy się szacunkiem, jak doskonała jest jej krew, naprawdę myślisz, że zdoła cię ocalić przed końcem, który czeka zdrajców, gdy król dowie się, że przeżyłeś?

– Zawdzięczam jej... – Zamilkł na moment. Zwiesił głowę i nawet nie próbował wstać. – Zawdzięczam więcej, niż mogę wyrazić. Ponieważ żaden sierżant nie pojawił się, by mnie zakuć w kajdany, podejrzewam, że oczekuje mojej ucieczki. Ale gdybym uciekł, naraziłbym ją na ryzyko, a tego nie uczynię, nawet jeśli będę musiał położyć szyję pod miecz sir Ehlberta. W każdym razie... – roześmiał się cicho – gdzie mógłbym pójść?

Wszyscy odwróciliśmy się w stronę schronienia więdźmy, bo zza skóry wiszącej w wejściu dobył się niski jęk, jęk, który wkrótce zmienił się w przepełniony paniką krzyk.

– Co ona mu robi? – zaniepokoiła się Toria, wstając. Zaczęła iść w kierunku szałas, prychając ze złości, zdążyłem jednak zastąpić jej drogę.

– Słyszałaś kiedyś o lekarstwie, które zupełnie nie boli? – zapytałem i skrzywiłem się, gdy Piwowar zakrzyczał ponownie. Ten krzyk był krótszy niż poprzedni, za to ból dźwięczał w nim znacznie wyraźniej. Po nim nastąpiło kilka kolejnych.

– Nie znasz Kaerytów, jak ja – denerwowała się Toria. – Kiedy byłam dziewczynką, to z kaplicy wysłano misjonarza, na drugą stronę gór, żeby uczył tych pogan przykładowo Męczenników. Następnego lata znaleźliśmy jego przegniłą głowę wbitą na pal przed drzwiami kaplicy. Gotowi są przejść setkę mil i więcej nawet, żeby przekazać ostrzeżenie.

– Może po prostu naprawdę nienawidzą gości – podsunął Wilhum. – Mój ojciec nienawidził.

Z szałas napłynął kolejny głos, miękki i słodki, wznoszący się w pieśni. Splatał się z krzykami Piwowara i raz czy dwa stworzył z nimi coś na kształt melodii. Wkrótce jednak krzyki cierpienia ucichły, a cicha pieśń rozbrzmiewała nadal. Słowa były obce, ale ich intonacja ponownie przywiodła mi na myśl kajdannika; była to kaerycka pieśń i, sądząc po ciszy, w jaką zapadł Piwowar, miała znaczną moc uspokajającą.

– To nie mogła być ona – powiedziała Toria, gdy pieśń ucichła, a na jej twarzy malował się słabo skrywany strach.

– Jeśli nie, to kto? – zapytałem.

– Coś... innego. Coś, co ona przywołała – szepnęła, a światło ognia odbiło się w rozszerzonych strachem oczach. – Nie powinniśmy byli tego robić, Alwynie.

– Być może – przyznałem, zerkając z powrotem na pogrążone już w ciszy schronienie wiedźmy. – Ale tak czy inaczej, już to zrobiliśmy.



Jutowa Wiedźma ponownie pojawiła się o świcie. Otworzyłem przekrwione oczy i zobaczyłem ją o kilka kroków dalej, spowitą dymem z naszego dogasającego ogniska. W nocy zmorzył nas sen, zmęczenie dniem spędzonym na mordowaniu w końcu dało o sobie znać. Był to ten rodzaj snu, w który zapada się tylko z wyczerpania – pozbawiona snów pustka, za którą byłem wdzięczny, ponieważ wiedziałem, że w nadchodzących dniach, a może nawet latach nie będę miał tyle szczęścia.

Jutowa Wiedźma skinęła bladą ręką, a ja podniosłem się na sztywnych nogach i posłusznie poszedłem za nią do naszego wózka, gdzie zobaczyłem śpiącego Piwowara. Nadal był nieprzytomny, ale jego skóra straciła już ten ohydny szary kolor. Na wciąż jeszcze bladej twarzy pojawiła się pierwsza zapowiedź rumieńca, a szeroka klatka piersiowa unosiła w regularnym, stałym rytmie. Zerknąłem na jego rękę i stwierdziłem, że jest zabandażowana czystym muslinem. Rany nie widziałem, jednak z ciała zniknęły wstrętne fioletowe cętki.

– Podejrzewam... – Przełknąłem ślinę, żeby pozbyć się drżenia w głosie i wyprostowałem się, aby spojrzeć w twarz Jutowej Wiedźmy. – Lepiej będzie nie pytać, jak to się stało.

Jej worek pofałdował się, gdyż przechyliła głowę, co miało chyba oznaczać zaskoczenie.

– Jego krew była pełna zarazy – wychrypiała. – Pozbyłam się jej. Teraz jego ciało samo się wyleczy.

Kiwnąłem głową, doszedłszy do wniosku, że nie potrzebuję dokładniejszych wyjaśnień. Chciałem jak najszybciej oddalić się z tego miejsca, gdzie mogło zobaczyć nas zbyt wiele oczu.

– Jak długo będzie spał?

Worek pofałdował się jeszcze bardziej.

– Aż się obudzi.

Wzruszyłem ramionami, śmiejąc się lekko.

– No oczywiście. Zakładam więc, że chcesz odebrać płatność...

– Nie powinieneś się mnie obawiać – przerwała mi, a mnie słowa uwięzły w gardle. Nie dlatego, że weszła mi w słowo, ale z powodu jej tonu, bo zniknęło nagle zniekształcone zgrzytanie. Mówiła teraz z akcentem, ale płynnie, dzięki czemu stało się jasne, że każde słowo, które wypowiedziała do tej pory, było grą. Wargi formujące te słowa były równie zdrowe jak moje, a w tonie słychać było głęboką szczerą zbarwioną bladą nutą żalu.

Coś w tym głosie, w bólu, który w nim słyszałem, wyrwało mi z gardła szczerą odpowiedź, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

– Znałem dwóch ludzi z twego ludu. Jeden był banitą. Drugi był dużo gorszy. To był bardzo zły człowiek o... o niepokojących zdolnościach. I też śpiewał pieśni.

– Wśród twego ludu nie ma złych ludzi? – zapytała. – I czy w związku z tym wszystkich uważasz za złych?

– Jest wielu złych. – Uśmiechnąłem się lekko i z żalem. – Ale nie, nie wszyscy.

– Kim on był? Ten zły człowiek.

– Kajdannikiem, który zbierał skazańców i zawoził ich do miejsca, gdzie mógł sprzedać wszystkich do pracy. – Przerwałem na chwilę, opętany potrzebą powiedzenia więcej niż powinienem. Całe życie doskonaliłem swoje instynkty, nastawiony jedynie na przetrwanie, nie miałem cienia wątpliwości, że ta kobieta jest kimś bardzo groźnym, a jednak czułem się w jej obecności zupełnie bezpiecznie. Czy rzuciła na mnie jakieś zaklęcie? Czy teraz jestem zaczarowany?, zastanawiałem się, a jednak mówiłem dalej. Teraz wiem już, że stało się tak nie dlatego, że zostałem zmuszony do mówienia w jakiś nienaturalny sposób, ale raczej wskutek

przekonania, że choć jej twarz pozostawała zasłonięta, to ta kobieta rozumiała mnie w sposób, w jaki nie rozumiała żadna inna.

– Myślę, że chciał czegoś ode mnie – powiedziałem jej. – Po tym jak sprzedał mnie do Wyrobisk, próbował odkupić. Nie wiem dlaczego, ale wyglądał jak ktoś, kto popełnił śmiertelny błąd.

Worek poruszył się, gdy pokiwała głową potakująco.

– Słyszałam o tym człowieku. Masz rację mówiąc, że jest zły, ale takim go uczyniono. Jego serce zostało przemienione złem tego świata i jego własnym błędnym osądem. Wiem też, dlaczego chciał cię odkupić i miałeś szczęście, że tego nie zrobił.

– Dlaczego? Czego ode mnie chciał?

– Zabić cię. Jego... zdolność twoi ludzie nazywają klątwą. Umożliwia mu zbieranie pieniędzy od waszych szlachciców, ale też czyni na zawsze wyrzutkiem. I jest kapryśna, jak przystało na klątwę, bo ma sprawić, że ofiara będzie cierpieć. Płata figle, drwi i prowadzi go po ścieżkach, którymi nie należy podążać.

– Dlaczego? – Zbliżyłem się do niej, ponownie poczułem jej woń i odkryłem, że się zmieniała. Podczas gdy poprzedniej nocy jej zapach drażnił przez swą dziwność, teraz owionął mnie odurzający kwiatowy aromat, który przywołał wspomnienia Kniei Shavine latem. – Dlaczego miałyby mnie zabić?

– Bo jego przekleństwo powiedziało mu, zbyt późno, jak to ma w swym zwyczaju, że pewnego dnia ty zabijesz jego.

Moja twarz znalazła się tak blisko worka, że widziałem wyraźnie jej oczy, poranne światło słoneczne przenikało przez zgrzebny splot, by obudzić błysk na ukrytych szafirach. Przelknąłem nagle powódź śliny, serce waliło mi jak oszalałe, a pot spływał po czole grubymi kroplami.

– Zatem – szepnęła łagodnym, pozbawionym zgrzytów głosem – jednak przyszedłeś do mnie na pole krwi – powiedziała z satysfakcją zabarwioną smutkiem, jakby otrzymała dawno obiecany dar i znalazła go niedostatecznym. – Wystarczy – mruknęła, cofając się. W jednej chwili moje serce się uspokoiło, a żar piekący skórę zamienił się w chłodną wilgoć. Również powab jej zapachu nagle się rozwiął, zastąpiony wcześniejszym piżmem jesieni.

Pomimo tej nagłej zmiany, wciąż musiałem tłumić w sobie chęć złapania jej. Chciałem powiedzieć więcej, chciałem dowiedzieć się więcej. O przekleństwie kajdannika. O tym, jak wyciągnęła truciznę z żył Piwowara. Ale przede wszystkim chciałem dowiedzieć się więcej o niej samej.

– Masz jakieś imię? – spytałem.

– Tak – odrzekła z nutą ostateczności, która powiedziała mi, że nie dowiem się niczego więcej. – Czas na zapłatę.

Sięgnęła w głąb spleśniałego płaszcza i przez ułamek chwili bawiła mnie całkowicie absurdalna myśl, że oto wiedźma wręczy mi rachunek za wykonane usługi, ale zamiast tego w jej dłoni pojawiła się książka. Stara, oprawiona w ciemną popękana skórę, zamknięta mosiężną klamrą, zmatowiałą i zarysowaną. Ani na okładce, ani na grzbiecie nie było tytułu, tylko skomplikowane spirale i splatające się wzory.

Podawała mi księgę i milczała tak długo, aż wreszcie przyjąłem ją z jej dłoni, rozpiąłem klamrę, by spojrzeć na stronę zwartego, ale doskonale równego pisma. Kiedy zacząłem przerzucać kolejne karty, odkryłem, że tekst przeplatany jest ilustracjami i piktogramami, przy czym wszystkie wykonane zostały zwyczajnym atramentem, a nie złotem i wielokolorowymi barwnikami, jak zwykł to czynić mistrz Arnild. Księga zafascynowała mnie natychmiast, ale w równej mierze wzbudziła konfuzję, bo mimo iż uczono mnie pisać i czytać, nie rozumiałem ani słowa.

– Co to za język? – spytałem Jutowej Wiedźmy.

– Język mego ludu. Czy może dokładniej jeden z języków, jakim mówiono niegdyś na ziemiach, które wy nazywacie Pustkowiemi Kaerytów.

Dalej przeglądałem księgę, urzeczony i zdumiony jednocześnie.

– A tę księgę do czego można porównać? Czy jest to pismo święte?

– Pismo święte? – W jej tonie słychać było nieznaczną nutę rozbawienia. – Moi ludzie nie znają takiego określenia. Ale tak, sądzę, że sens tej księgi można uznać za święty.

– Sądzisz? – Zmarszczyłem brwi. – Nie potrafisz tego przeczytać?

Worek pofałdował się wokół jej szyi, gdy opuściła wzrok.

– Twoi ludzie mówią o tym Zatrata, moi ludzie nazywają ją Ealthsar. Upadek – powiedziała i teraz w jej głosie nie słyhać było wesołości. – Wiele utraciliśmy, starożytne opowieści i wiedza, jak je odczytać, to chyba najbardziej bolesna strata ze wszystkich, ponieważ w nich właśnie zawiera się dusza ludu.

– I myślisz, że umiałbym to przetłumaczyć? – Ponownie spojrziałem na książkę. – Dla mnie nie ma w tym więcej znaczenia niż w kurzych śladach.

– Znaczenie przyjdzie z czasem. W przeciwieństwie do mnie możesz podróżować po tych ziemiach swobodnie. Są miejsca, do których dotrzesz, a gdzie ja nie mogę. Miejsca, gdzie można odnaleźć sposób na odkrycie wiedzy zawartej w tych słowach.

– Jakie miejsca?

– Miejsca, do których zawsze miałeś dotrzeć, tak jak ty i ja mieliśmy zawsze stać naprzeciw siebie tutaj, w tej chwili. We właściwym czasie odnajdziemy się w innym miejscu i wtedy spłacisz swój dług.

Odsunęła się od wózka i ruszyła ku swemu szałasowi. Ale gdy przechodziła obok mnie, zatrzymała się na chwilę. Oszalamiający zapach lata owionął mnie raz jeszcze, gdy pochyliła się ku mnie.

– Następną przysługą, jakiej będziesz chciał ode mnie pomnożyć ten dług po wielokroć. Upewnij się, że będziesz gotów go spłacić. – Z tymi słowy odeszła.

– Jak cię znajdę? – zawołałem za nią.

Pochyliła się i weszła do szałasu, po czym starannie zasłoniła wejście. Skóra, która je zasłaniała mogła wydawać się słaba i krucha, ale wiedziałem, że szałas zamknięty został tak mocno jak drzwi wiodące do lochów.



Piwowar spał cały następny dzień i całą noc, po czym obudził się kolejnego ranka, nie pamiętając niczego poza naszym mozolnym marszem z pola bitwy. Suplikant Delryk nalegał, by wolno mu było

spędzić kilka godzin na dokładnym zbadaniu Piwowara. Niewiele mówił, jak to miał w zwyczaju, ale na jego twarzy malowało się wyraźne zdumienie i niemała doza podejrzliwości, których nie ukoiliły moje marne wyjaśnienia.

– Poprawiło mu się, suplikancie. – Delryk nie przestawał patrzeć mi w oczy spod zmarszczonych brwi, a ja dodałem z uśmiechem: – Można by powiedzieć, że to cud. Być może Serafilowie postanowili nagrodzić jego wiarę i oddanie Przymierzu.

Uzdrowiciel zmrużył oczy jeszcze bardziej, ale z powodów mi nieznanych porzucił dalsze indagacje. Ku mojej uldze, ani sierżant Swain, ani Evadine nie zdawali sobie sprawy z cudu, jaki miał miejsce w ich szeregach, udało mi się więc uniknąć gradu niebezpiecznych pytań.

Większość królewskiej armii już się rozeszła. Chłopi wrócili do swych zagonów, szlachta do swych zamków. Kompania Przymierza wciąż jednak obozowała w tym samym miejscu, albowiem nasza słynna kapitan na ochotnika zgodziła się zająć ciałami na polu.

– Nie odmówimy poległym świętych rytuałów Przymierza – powiedziała nam. – Bez względu na to czy to nasi umiłowani przyjaciele, czy potępiani wrogowie.

Oprócz porąbanych, sztywnych, gnijących szybko szczątków, dręczonych nadmierną uwagą ze strony kruków, dziesiątki trupów leżały jeden na drugim przy brzegu rzeki. Czy to pomordowani przez mściwych szlachciców, czy też utopieni przez rzekę płynęli z prądem, by zatrzymać się na brzegu o ponad milę w dół rzeki. Nasz oddział wyznaczono, by wyciągnąć tych nieszczęśników z wody, aby ich można było odprawić zgodnie z nakazami Przymierza, zanim trafią do jednego z pół tuzina wykopanych przez nas wspólnych grobów. Pod pewnymi względami było to równie straszne zadanie, jak walka podczas samej bitwy, ponieważ woda robi z ciałem ohydne rzeczy, zabiera też łupy, które w przeciwnym wypadku mogłyby należeć do nas.

– Niech cię Zatrata weźmie, ty martwy zatracęncu! – przekleństwa Torii rozbrzmiewały niezbyt wyraźnie, ponieważ zasłoniła nos i usta ramieniem, gdy jeden szczególnie wzdęty trup

splugawił powietrze w sposób prawdziwie ohydny wyziewami z rozległej rany w klatce piersiowej.

– Zważaj na słowa – pouczyła ją Ofila, choć nie takim surowym warknięciem, jakim zwykle karciała resztę z nas. – Słyszałaś rozkaz kapitan: szanować poległych.

– Szanowałabym tych śmierzdźli bardziej, gdyby któryś z nich miał choć jedną monetę w kieszeni.

– Tutaj – stęknął Piwowar, wywlekając kolejne ciało przez trzciny porastające brzeg. Truposz za życia był niemałym człowiekiem o długich, dobrze umięśnionych kończynach, co jednak w żaden sposób nie przeszkadzało Piwowarowi. Od chwili gdy obudził się z choroby, wydawało się, że posiada nieograniczone zasoby energii, jak również skłonność do uśmiechu. – Ten wciąż ma sakiewkę.

– A ty jej nie chcesz? – spytała Toria, patrząc na Piwowara z ukosa. Po czym kucnęła przy zwłokach i sięgnęła do sakiewki przy pasku.

– Bogactwo jest złudne. – Piwowar pociągnął nosem. Był to cytat z jednego z kazań Evadine wygłoszonych, kiedy zagrzebywaliśmy kolejną partię poległych. Piwowar uniósł twarz ku słońcu, uśmiechnął się, gdy promienie gładziły jego skórę, po czym z powrotem wszedł do wody i pogwizdując wesołą melodię wyłowił kolejne zwłoki.

– Wolalam, kiedy był nieszczęśliwym sukinsynem – stwierdziła Toria, a grymas na jej twarzy tylko się pogłębił, gdy opróżniła sakiewkę nieboszczyka. – Cztery szelągi i cztery kości. Jestem bogata.

Spojrzała na mnie, gdy przeszukiwałem kieszenie znacznie mniej okazałego trupa, chudego jak szczapa, szczerbatego i ubranego w liche łąchy. Dłonie miał pokryte odciskami od ciężkiej pracy na polu i wydawało się nieprawdopodobne, żeby jego kieszenie zawierały cokolwiek wartościowego. A jednak kiedy ściągnąłem mu z nogi cienki skórzany but, wypadł mi na dłoń jaśniutki srebrny suweren, co oczywiście zirytowało Torię.

– Ty szczęśliwy zasańcu. – Zmarszczyła brwi ze złością, gdy ja, wzruszywszy ramionami, wsunąłem suwerena do własnej sakiewki. – Mógłbyś kupić za to konia i nadal zostałaby ci reszta.

Może nawet dwa konie, ponieważ potem będzie ich dużo na sprzedaż.

Nie odpowiedziałem. Sugestia zawarta w jej słowach była aż nadto oczywista, ale nie zamierzałem jej posłuchać.

– Piwowar stał się radosny, za to ty żaloszny. – Nie ustawała Toria. Po czym zniżyła głos i dodała ostrożnie: – Odkąd spotkaliśmy tę wiedźmę.

– Udział w takiej rzezi może człowieka zmienić – odpowiedziałem, choć tak naprawdę moja powściągliwość ostatnimi dniami, brała się zupełnie z czegoś innego. Wolny czas spędzałem przeglądając książkę od Jutowej Wiedźmy. Nie znalazłem niczego, co mógłbym zrozumieć, ale i tak nie mogłem oderwać od niej oczu. Było coś w eleganckich łukach pisma i tajemnicy wielu zdumiewających piktogramów, co fascynowało mnie w sposób, w jaki nie zdołały uczynić książki, które zdołałem przeczytać.

– Czy nadal mamy jakiś plan? – drążyła Toria, oparłszy się o trupa, który nas rozdzielał, z miną twardą i zdeterminowaną. – Mówiłam to całkiem poważnie, nie zamierzam walczyć w następnej bitwie.

– Wiem – odpowiedziałem – i tak, wciąż mamy plan, ale ten plan wymaga, byśmy zostali z żołnierzami, przynajmniej na jakiś czas.

Zastanowiłem się przez sekundę, po czym wyłuskałem z sakiewki pozyskanego suwerena i rzuciłem w jej stronę.

– Przyjmij zapłatę, jeśli pomoże ci to odzyskać spokój.

Toria popatrzyła na monetę, a potem na mnie, a na jej twarzy odmalowała się konsternacja.

– To kupi ci kilka miesięcy, ale nie więcej. Tobie i mnie szybko kończy się lina, Alwynie.

Niewykluczone, że dodałbym jeszcze coś uspokajającego, gdyby nie to, że na brzegu wybuchła głośna awantura. Podniosłem się i zobaczyłem, jak Wilhum mocno uderza w pierś krzepkiego żołnierza, którego nazywano Dacharzem. Twarz szlachcica zastygła w groźnym grymasie, stanowiącym mieszaninę gniewu i żalu.

– Zostaw go, ty plugawy kundlu! – warknął. Dacharz, zdecydowanie słabszy od Wilhuma, zawahał się na chwilę, ale zaraz wróciła mu odwaga, gdy grupa towarzyszy ruszyła mu na pomoc

i dźwignęła z błota. – Nie masz prawa podnosić na mnie ręki! – krzyknął, na co jego kamraci zareagowali pomrukiem pełnym poparcia. – Nie jesteś już żadnym pieprzonym lordem!

– Nie wtrącaj się – poradziła Toria, gdy ruszyłem do przodu. – Lanie może dobrze zrobić temu lalusiowi.

– Wątpię, żeby ta grupa poprzestała na laniu – odparłem. – I nie po to zabierałem go z tego pola, żeby teraz patrzeć, jak umiera.

Dacharz i jego przyjaciele ruszyli do przodu, on sięgnął po sztylet, pozostali zacisnęli pięści. Moje nieszczerze radosne powitanie skłoniło ich, by się zatrzymali, ale nie zamierzali całkiem się wycofać.

– Co się tu dzieje?

Dacharz rzucił mi spojrzenie spode łba, jego towarzysze wykazali się większą ostrożnością. Wystarczająco często widywali mnie w towarzystwie kapitan Evadine, by uznać za osobę cieszącą się jej przychylnością, choć nieposiadającą władzy.

– Zjeżdżaj, Skrybo – syknął Dacharz. Jednak zrobił to półgłosem, odwracając wzrok. Najwyraźniej on znał typ ludzi takich jak ja, a ja takich jak on. Dacharz też dołączył do Kompanii Przymierza w Callintorze, a jednak moje wspomnienie jego twarzy było nad wyraz mgliste, co oznaczało, że ten człowiek lubi trzymać się w cieniu.

Patrzyłem na niego przez sekundę lub dwie, podczas gdy on uparcie odwracał wzrok, wreszcie odwróciłem się do Wilhuma. Nie miał broni, ale był gotów do walki, a ze sposobu w jaki trzymał uniesione pięści można było wywnioskować, że doskonale wie, jak się nimi posługiwać. Na brzegu, za jego plecami leżało ciało dużego mężczyzny. Przyjrzałem się uważniej i dostrzegłem błysk zbroi płytowej pod grubą warstwą mułu. Zatem rycerz. Widok nieruchomej sylwetki wywołał drganie w mojej pamięci, podszedłem więc bliżej, aby lepiej zobaczyć wciśnięte w błoto rysy. Śmierć ograbia twarz z wielu cech, które czynią ją rozpoznawalną, więc minęła dobra chwila, w czasie której marszczyłem brwi w skupieniu, zanim zdałem sobie sprawę, że znam te regularne rysy.

– Sir Eldurm – mruknąłem. Czyli znalazł chwałę, ale nie nagrodę.

Powinienem czuć ulgę. Jego śmierć znaczyła jednego wroga mniej. Jedną mniej pętlę, czekającą na moją szyję. Jednak zamiast tego mogłem myśleć jedynie o wszystkich godzinach spędzonych w komnacie tego człowieka, o układaniu listów do kobiety, która nie mogła lub nie chciała kochać go tak, jak pragnął. Choć Gulatte zapewne powiesiłby mnie w mgnieniu oka, to ja czułem, że zasługuje on na lepszy koniec niż śmierć w odmętach rzeki, wśród buntowników w kulminacyjnym momencie bitwy, która została już wygrana.

Obrzuciłem Dacharza wzrokiem, który obaj dobrze znaliśmy, zawarte w nim było ostateczne ostrzeżenie.

– Spierdalaj – poleciłem mu lodowato. Dacharz zerknął na swoich towarzyszy, ale oni wrócili już do szukania łatwiejszego łupu wśród innych trupów. Dacharz zdobył się jeszcze na jedno wrogie spojrzenie rzucone w moim kierunku, po czym oddalił się bez słowa.

– Kapitan mówiła, że byliście przyjaciółmi – zagadnąłem Wilhuma, gdy on tymczasem wrócił do zwłok Gulatte'a. – Wasza trójka, gdy byliście dziećmi.

Wilhum tylko skinął sztywno głową, ani na chwilę nie odrywając wzroku od twarzy martwego rycerza, bladej i zbryzganej błotem.

– No dobrze. – Złapałem Gulatte'a za ramię i zgrzytnąłem zębami z wysiłku, wywlekając go do końca z wody. – Zadbajmy o niego.



Wykonaliśmy zadanie do południa następnego dnia i Evadine zwołała Kompanię, by wygłosić ostateczne kazanie za poległych. Wypełniliśmy cztery masowe groby ośmiuset czterdziestoma trzema trupami. Każdy został policzony i wpisany do ksiąg moją ręką. Nielicznych szlachciców wymieniałem z imienia, podobnie jak zbrojnych, których znał sierżant Swain lub inny z suplikantów. Niestety większość została pogrzebana bezimiennie, a jedynym

śladem, jaki po sobie zostawili był znak w księdze, którą niewiele osób widziało.

Sir Eldurm Gulatte został należycie odnotowany, jako bohatersko poległy w ostatniej szarży, po czym złożono go do grobu w pełnej zbroi, a jego dłonie, w rękawicach, spoczęły na ostrzu miecza, który położono mu na piersi. Wilhum z wielkim trudem oczyścił i wypolerował każdy skrawek pancerza swojego zmarłego przyjaciela i nad wyraz ostro zareagował na sugestię Torii, że zarówno zbroja, jak i miecz będą wiele warte dla odpowiedniego kupca. Wydało mi się przy tym godne uwagi, że nie natrafiliśmy na żaden ślad sierżanta Lebasa ani pozostałych ludzi Gulatte'a. Wyglądało na to, że jeśli przetrwali bitwę, ich lojalność nie przetrwała śmierci ich pana. Uznałem, że udali się szukać pracy gdzie indziej lub wrócili do kopalni, by błagać nowego właściciela o przywrócenie im dawnych stanowisk.

Kiedy złożyliśmy Gulatte'a na ostatni spoczynek, Evadine stała obok Wilhuma. Trzymali się za ręce i tak czuwali w milczeniu nad zmarłym przyjacielem, wreszcie Wilhum przerwał milczenie i mruknął:

– Zawsze sądziłem, że to on nas pochowa, Evie.

W odpowiedzi jedynie uściśnęła mu dłoń, a potem rozkazała zakryć ciała. Gdy już napełniliśmy wszystkie groby, poleciła nam ustawić się w szyku, byśmy mogli obserwować rytuał pogrzebowy. Jej kazanie odbiegało od tych wygłaszanych dotąd, rozpoczynało się bowiem cytatem z jednego ze Zwojów – pytaniami, jakie Męczennica Ahlianna zadała pogańskiemu królowi, który ostatecznie kazał ją stracić za odrzucenie propozycji małżeństwa.

– „Czy to nasza krew nas różni, wielki królu? Nie, albowiem krew w moich żyłach jest równie czerwona, jak w twoich i zapewniam cię, że tak samo gorąca. Czy to nasza mowa? Nie, albowiem z czasem można się nauczyć każdego języka, a mało jest dusz, które nie są oświecone w nauce. To wiara nas różni. Wiara, która zamyka moje serce przed twoim, bo nie mogę kochać tego, co jest niezdolne do miłości. Prawdziwą miłość mogą poznać jedynie ci, którzy przyjmą Przymierze między Serafilami a istotami człowieczymi, w sercu, ciele i duszy”.

Kapitan zamilkła i opuściła wzrok na świeżo przekopaną ziemię, skrywającą pod sobą zwłoki. Wiatr odgarnął jej włosy z twarzy, odsłaniając nieskażone piękno. Choć skrzyżowała miecz z samym Pretendentem i walczyła z rycerzami-renegatami, nie doznała ani jednego skaleczenia.

Widziałem, jak nabrała powietrza, by powiedzieć coś więcej, ale nie dane jej było dokończyć, bo tętent zbliżających się koni, skłonił ją do tego, by się odwrócić. Mała grupa rycerzy wjechała na wzniesienie od strony południa i zatrzymała swoje wierzchowce w odległości stu kroków, a wtedy nad ich głowami załopotał królewski sztandar.

– Nasze sprawy tutaj zostały zakończone – zwróciła się do nas Evadine. – Możecie odejść i do końca dnia cieszyć się odpoczynkiem. Sierżancie Swain, proszę do mnie.

Żołnierze zaczęli się rozchodzić do swoich namiotów lub niewinnych rozrywek, ale ja pozostałem, by obserwować, jak Evadine i sierżant idą w stronę rycerzy. Przybysze odziani byli w barwy Kompanii Koronnej, a ja bez trudu wypatrzyłem mosiężnego orła na napierśniku rycerza, który im przewodził. Uznałem za dziwne, że zarówno sir Althus, jak i jego towarzysze nosili pełne zbroje. Z pewnością nie został już tu nikt, z kim mogliby walczyć.

Gdy Evadine i Swain zatrzymali się, by powitać go ukłonem, sir Althus uniósł zasłonę przyłbicy i rozwinął trzymany w dłoni zwój. Widziałem, jak sierżant zeszywniał wobec tak oczywistej zniewagi, komtur winien był zsiąść z konia i również się uklonąć. Tymczasem sir Althus ze sztywną formalnością uniósł zwój i zaczął czytać, słowa były krótkie i zbyt odległe, bym mógł je zrozumieć. Gdy skończył, pochylił się w siodle i wręczył dokument Evadine, która przyjęła pergamin i nie spiesząc się zaczęła czytać, tymczasem komtur trwał nieruchomy, w nazbyt, moim zdaniem, sztywnym opanowaniu. Evadine skończyła czytać i odezwała się do niego. Wyłapałem pytanie, ale nie jego treść. Jakkolwiek brzmiało, spowodowało surowy grymas na twarzy sir Althusa i serię urywanych odpowiedzi. Słowa pozostały dla mnie nadal niezrozumiałe, ale nie dla sierżanta Swaina, który wybuchł gniewem.

– Który bezwartościowy kundel to powiedział? – huknął z twarzą pomroczną w morderczym grymasie, ruszając ku komturowi z dłonią na rękojeści miecza. Pozostali rycerze króla natychmiast mocniej chwycili wodze swych wierzchowców i poczęli ustawiać się w rozproszonym szyku, opancerzonymi dłońmi chwytając za miecze i buzdogany.

– Stójcie! – krzyknąłem do reszty kompanii, unosząc rękę. – Strzeżmy kapitan!

Piwowar, co było do przewidzenia, pierwszy odpowiedział na moje wezwanie, dobył tasaka z głośnym warknięciem, które poniosło się echem wśród żołnierzy. Suplikanci nie wykrzyczeli ani jednego rozkazu, a jednak kompania zebrała się oddziałami z odruchową sprawnością, formując całkiem równy szereg. Gniewny pomruk narastał, gdy żołnierze podnosili swoją broń. Pole Zdrajców nie obfitowało w monety czy kosztowności, za to zbroi i broni można było tu znaleźć pod dostatkiem. Sam zdobyłem dobrej jakości halabardę, która zastąpiła mój sierpak, nie zabrakło też toporów i mieczy dla moich współtowarzyszy.

Gąszcz stali zabłysnął w południowym słońcu, gdy stanęliśmy naprzeciwko rycerzy. Widziałem, jak wymieniali spojrzenia i wyobrażałem sobie zdenerwowanie na twarzach za zasłonami. Walczyliśmy już z takimi jak oni i wiedzieliśmy, że można ich pokonać. Poza tym, mieliśmy przewagę liczebną co najmniej dziesięć do jednego. Ale tego dnia nie miało dojść do kolejnej bitwy na Polu Zdrajców, nad czym bardzo ubolewałem, albowiem byłem przekonany, że to najlepsza okazja, by wyrównać rachunki z sir Althusem Levalle'em.

– Cisza w szeregach! – zadzwonił głos Evadine, czysty i ostry, z nutą gniewnego wyrzutu, tłumiąc nasze paskudne pomruki. Powiodła po nas groźnym spojrzeniem, zatrzymując je przez chwilę na niektórych twarzach, w tym mojej. W jej oczach płonął taki gniew, że musiałem walczyć z pragnieniem, aby pochylić się ze skruchą. Zamiast tego odpowiedziałem śmiałym wzrokiem i zobaczyłem, jak mruży oczy w odpowiedzi, zanim zwróciła się z powrotem do komtura.

Dzięki jakiejś sztuczce wiatru tym razem udało mi się usłyszeć, co powiedziała, zwinąwszy pergamin i pochyliwszy głowę

w ukłonie.

– Dziękuję, mój panie. Proszę przekazać jego królewskiej mości moje najgłębsze wyrazy szacunku i wdzięczności za powierzenie Kompanii Przymierza tej jakże ważnej misji.

Sir Althus wyprostował się w siodle i teraz on z kolei przyglądał się naszym szeregom i jego spojrzenie nieuchronnie trafiło na mnie. Podobnie jak w przypadku Lorine, i teraz postąpiłbym znacznie mądrzej pozostając anonimowym, ale wyróżniłem się już, zwołując towarzyszy broni i dodatkowo przyciągnąłem jego wzrok dzięki niemej reprimendzie Evadine. Jednak na twarzy komtura nie zobaczyłem szoku, jak to miało miejsce w przypadku Lorine, jego rysy ściągnęły się w wyrazie skonfundowania. Mógł mieć trudności z przypomnieniem sobie mojej twarzy, ale ja nie miałem żadnych trudności z przypomnieniem sobie człowieka, który uratował mnie przed okaleczeniem i powieszeniem tylko po to, by posłać pod pręgierz. Powinienem był opuścić głowę i ukryć się w tłumie żołnierzy, ale nie mogłem. Zemsta znów pochwyliła mnie w swój przewrotny uścisk, zmuszając, bym pozostał na miejscu i odwzajemnił jego spojrzenie, póki pamięć nie podpowie mu, kim jestem. Chciałem, żeby wiedział, że wciąż żyję. Chciałem, żeby wiedział, że nie zapomniałem.

Rozpoznawszy mnie sir Althus nie próbował zignorować, na jego ustach pojawił się uśmiech i komtur skłonił lekko głowę, jakby witał dawno niewidzianego przyjaciela. Nie odwzajemniłem powitania, co wydawało się bawić go jeszcze bardziej.

– Życzę ci zatem dobrej podróży, moja pani – ze śmiechem zwrócił się do kapitan Evadine, kłaniając jej się ostatecznie, choć z wysokości siodła. – Fundusze, jakie otrzymasz od rady warto będzie chyba wydać na futra, bo słyszałem, że jest tam zimno.

Znów się roześmiał, rzucił ostatnie spojrzenie w moją stronę, po czym zawrócił konia i odjechał galopem. Towarzyszący mu rycerze, bez wątpienia odetchnąwszy z ulgą, ruszyli za nim bez zwłoki, najwyraźniej głusi na krzyki i obelgi, którymi obrzucali ich moi co głupszy towarzysze.

– Zamknąć gęby! – huknął Swain, jego głos bez najmniejszych problemów dotarł do uszów wszystkich obecnych i spowodował natychmiastową ciszę. – Zwinąć obóz i szykować się do wymarszu

w ciągu godziny! – Wiele razy widziałem go już rozgniewanego, ale teraz jego purpurowa twarz świadczyła o nieznanym mi dotąd głębi wściekłości. – Jeśli usłyszę choć słowo skargi, to jeszcze przed wieczorem obedrę wam plecy ze skóry!

Kompania rozeszła się po raz drugi, tym razem jednak daleko zwawiej. I tym razem zdecydowałem się poczekać, aż większość żołnierzy opuści pole, po czym ośmieliłem się podejść do sierżanta. Patrzył, jak Evadine dosiada swojego deresza, policzki już zbladły mu znacznie, ale furia wciąż widoczna była w jego spojrzeniu, które zwrócił na mnie.

– O co chodzi, Skrybo?

– O nasz cel, suplikancie sierżancie – odparłem. – Dla kompanijnych rejestrów. Codziennie przed rozpoczęciem marszu należy zapisać cel podróży oraz odległość, jaka ma zostać pokonana. Wyszczególniono to w regulaminie kompanii, jak sierżant zapewne pamięta.

Byłem gotowy na reprimendę, może nawet taką udzieloną pięścią, ale Swain tylko westchnął ciężko. Najwyraźniej moje wysiłki na polu walki, włączając w to ocalenie życia lady Evadine, skłoniły go do pewnej pobłażliwości względem mnie, aczkolwiek nadal nie zyskałem sobie jego szacunku.

– Świat stał się gorszy, kiedy nauczyłeś się czytać – sapnął, po czym wyprostował się i odwrócił. Odchodząc rzucił mi jeszcze przez ramię: – Na północ, Skrybo. Maszerujemy na północ. Dwadzieścia mil, zanim zapadnie zmierzch. I żadnego ociągania się!

Zgodnie z rozkazem wyruszyliśmy w ciągu godziny, i gdy maszerowaliśmy obok zagajnika, gdzie Jutowa Wiedźma zbudowała swój szałas, zobaczyłem tylko rozrzucone patyki i nie chciałem się do tego przyznać, ale jej odejście mocno mnie zabolalo.



CZEŚĆ 3

„Pytasz, ilu zginęło z powodu mej ambicji? Dlaczego zakładasz, że były to jedynie moje ambicje?”

Z „Testamentu Pretendenta Magnisa Lochlaina”
spisanego przez sir Alwyna Skrybę.



Jest kurewsko zimno! – Toria była obrazem czerwono-nosiego nieszczęścia. Obwiązała uszy szmatami i otuliła szczupłe ciało kilkoma warstwami materiału, ale wydawało się, że żadna z nich nie stanowiła ochrony przed lodowatym, morskim wiatrem, który atakował nas nieustannie.

Ja byłem bardziej zajęty utrzymywaniem zawartości żołądka niż walką z zimnem. Sternik zdawał się posiadać nieomylny dar do odnajdywania każdej, szarpiącej wewnątrzności fali na tych szarych wodach. Mnie, bynajmniej nie wilkowi morskiemu, nasz statek nie wydawał się niczym więcej, jak tylko balią z pociemniałych ze starości desek, połączonymi ze sobą za pomocą postrzępionych lin i zardzewiałych gwoździ. Skrzypiał, jęczał i dygotał cały, pokonując morze Cronsheldt i co najgorsze, stawał przy tym dęba i wierzgał bardziej niż koń z mózgiem pełnym larw.

Łodzie znałem, w swoim czasie przemierzyłem z Deckinem liczne rzeki, niektóre wąskie, niektóre szerokie i ze zdradliwymi prądami, które w ciągu kilku sekund mogły człowieka utopić. Ale jak się szybko przekonałem, morze nie było rzeką. Minęły trzy dni żeglugi od momentu opuszczenia portu Farinsal, a moje mdłości nie ustępowały na dłużej niż minutę czy dwie. Posiłki wciskałem w siebie na siłę, a spałem jedynie w krótkich momentach spokoju pomiędzy turlaniem się po cuchnącej ładowni. Tkwiło nas tam czterdziestu, w brzuchu łajby, która nosiła zupełnie niepasujące do

niej imię Wytworna Panna, reszta kompanii płynęła w ślad za nami siedmioma innymi statkami, a wszystkie tworzyły to, co najwyraźniej zostało nazwane Północną Flotą Koronną.

Cel naszego marszu na północ nie został nam wyjawiony, dopóki suplikanci nie ustawili nas wzdłuż nabrzeża Farinsal jakieś sześć dni po tym, jak opuściliśmy Pole Zdrajców. Podczas marszu na północ nasze szeregi zostały zaskakująco uzupełnione i to w stopniu tak znacznym, że Kompania Przymierza stała się niemal w połowie tak liczna, jak w chwili, gdy wymaszerowaliśmy z Callintoru. Niektórzy nowi żołnierze byli łotrami wyskrobanymi z różnych księżęcych więzień po drodze, ale większość stanowili chętni rekruci, których do opuszczenia swoich wiosek i miasteczek skłoniła rosnąca legenda Namaszczonej Lady.

Byli ciekawą mieszaniną młodych i starszych chłopców, co do jednego opętanych taką samą gorliwą wiarą w Przymierze, która sprawiała, że stanowili męczące towarzystwo dla nas, weteranów. Gdy na nabrzeżu, Evadine zatrzymała swojego deresza, ci nowi wpatrywali się w nią, jakby właśnie przybyła zza Boskich Portali. Mogłem stwierdzić, że ten zachwyty nowych rekrutów jej ciążył. Otrzymaliśmy wprawdzie wiadomość, że Rada Luminarzy podniosła jej kapłańską rangę z komunikantki do aspirantki, ale Evadine nadal unikała wszelkich tytułów poza wojskowym.

– Rada Przymierza i król uznali za stosowne nagrodzić nas osobliwym zaszczytem – ogłosiła bez śladu ironii w głosie. – Powierzili nam bowiem obowiązek ugaszenia ostatniego ogniska pozostałego po bezbożnym buncie Pretendenta. Na północy leży Fjordowy Geld i port Olversal, do niedawna bastion plugawej sprawy uzurpatora, oddany mu przez wiarołomnego księcia Huelvica, który sprawiedliwie spoczął pod Polem Zdrajców. Dotarły do nas wieści, że wierni mieszkańcy Olversal obalili swoich zdradzieckich panów i ponownie uznali zwierzchnictwo króla Tomasa. Poprosili Koronę o ochronę przed bandami złoczyńców, grasujących w dziczy i knujących, by odebrać skradzione im łupy. Odpowiedzią króla na tę prośbę jesteśmy my.

Chociaż wypowiedź Evadine trudno było nazwać wezwaniem, w odpowiedzi na jej słowa podniosły się wiwaty. Takie spontaniczne wyrazy uznania stały się rytuałem podczas jej wieczornych kazań,

okrzyki poparcia, czasami bezwstydnego uwielbienia rozlegały się pośród zachwyconego tłumu, gdy wygłaszała swoje lekcje. Uważałem, że to dziwne, ponieważ, przynajmniej według mnie, po bitwie jej kazania stały się mniej płomienne, a bardziej refleksyjne.

Tamtego dnia w dokach widziałem, jak przez jej twarz przemknął wyraz znużonej irytacji, zaraz jednak Evadine przywołała na usta spokojny uśmiech i uciszyła żołnierzy podniesieniem ręki.

– Fiordowy Geld nie jest waszym domem – powiedziała. – Wiele zwyczajów, na które tam się natkniecie, wyda wam się dziwnych. Pamiętajcie, że przedstawienia askarlijskich bogów są w Olversal tradycją, a nie przejawem herezji, dlatego egzekwowanie praw w tym zakresie nie jest wymagane. Prawdą jest jednak, że ci, którzy przysięgali wspierać sprawę Pretendenta, robili to w nadziei na zastąpienie Przymierza starożytnymi i plugawymi herezjami. To właśnie dlatego nasza kompania została wybrana do tego zadania. Zabezpieczymy prawa króla Tomasa do jego własności i przywrócimy Przymierze wszędzie tam, gdzie zostało złamane.

Rozległy się kolejne wiwaty i kolejna zmarszczka przecięła czoło Evadine, zanim kapitan obróciła się i skinęła głową Swainowi.

– Formować oddziały! – krzyknął. – Ustawić się i czekać na rozkaz do wejścia na pokład. I na trapach patrzcie, wy niezdarne moczymordy! Nikt nie wyłowi was z wody, jeśli tam wpadniecie.

– Spróbuj tego! – Wilhum podszedł teraz do Torii i podał jej niewielką flaszkę. Usadowiliśmy się na rufie, gdzie kołysanie wydawało się mniej dotkliwie, choć z pewnością było to tylko złudzenie, które dodawało nam otuchy. Wilhum, podobnie jak Toria, odporny był na chorobę morską. Jednak gdy jej odporność wynikała z tego, że wcześniej miała już niejedną okazję żeglować, to jego, jak podejrzewałem, wynikała raczej z dużej ilości trunków, które wlewał do gardła, gdy tylko nadarzyła się okazja.

– Co tam jest? – Toria ostrożnie usunęła korek i powąchała zawartość.

– Brandy, rum i... – Wilhum wzruszył ramionami – coś jeszcze, co smakuje paskudnie, ale przyjemnie rozgrzewa. Przehandlowałem jednemu z żeglarzy sztylet za ćwierć beczułki tego czegoś. Niestety,

tylko tyle mi zostało. Ale częstuj się, moja droga. Nikt nie powie, że jestem skąpym pijakiem.

Toria upiła łyk, mlasnęła raz i drugi i upiła kolejny.

– Piłam gorsze – oznajmiła i podała mi flaszkę. Niestety wystarczył jeden niuch i znów wisiałem przewieszony przez reling.

Chwilę później otarłem usta rękawem i popatrzyłem na szlachcica zapuchniętymi oczami.

– Zatem zechcesz nas oświecić, jaki jest prawdziwy cel tej ekspedycji, mój panie?

Wilhum odpowiedział mi zmęczonym grymasem.

– Przystaniesz wreszcie się tak do mnie zwracać?

– Wydziedziczony i pozbawiony tytułów czy nie – uśmiechnąłem się słabo – twoje szlachectwo lśni własnym blaskiem.

To prawda, że według Korony nie był już lordem. W trakcie marszu dotarła do nas wieść, że król uchylił edykt, na mocy którego tak wielu zostało zabitych na Polu Zdrajców. Rzeź nie ograniczyła się do samego pola bitwy i trwała jeszcze przez kilka dni, bo żądni zemsty rycerze daleko szukali uciekających buntowników. Przypuszczałem, że łaska króla była wynikiem petycji szlachetnych ojców, którzy chcieli ocalić głowy głupich synów lub powstrzymać rzeź chłopów potrzebnych do uprawy opuszczonych pól. W każdym razie życie Wilhuma nie było już z góry stracone, aczkolwiek za walkę po niewłaściwej stronie został ukarany utratą tytułu i przymusową służbą w Kompanii Przymierza. Nie wspominał już o swoim ukochanym Prawdziwym Królu, ani nie wyrażał żadnych zastrzeżeń co do złożonej niedawno przysięgi, że będzie z nim walczył, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jeśli naprawdę pogodził się ze swoim losem, to była to rezygnacja ponura, pijacka, i miałem spore wątpliwości, czy w niej wytrwa, jeśli nadejdzie chwila próby.

– Rozmawiasz z nią częściej niż ktokolwiek inny – dodałem i skrzywiłem się, przełykając smak żółci. – Do tego patrzysz na wszystko z perspektywy szlachcica, takiej nikt tu nie ma.

Moja żądza informacji spotęgowana była brakiem jakichkolwiek wyjaśnień ze strony suplikantów lub samej Evadine. Jako kompanijny skryba, co kilka dni spędzałem z kapitan trochę czasu. Kazała mi skopiować zwój otrzymany od sir Althusa, jednak dokument ujawnił niewiele, poza tym, co sama powiedziała

żołnierzom w Farinsal. Ponadto w jej stosunku do mnie wyczuwałem chłód, lodowatą powściągliwość, która, szczerze mówiąc, obudziła we mnie poczucie krzywdy. Czyż to nie ja uratowałem jej namaszczony tyłek?

Wilhum wywrócił oczami, gdy Toria oddała mu flaszkę, po czym opróżnił naczynie kilkoma łykami.

– Pamiętasz, jak mniemam, królewskiego emisariusza?

– Sir Althus Levalle – odpowiedziałem i Wilhum spojrział na mnie z zaciekawieniem, unosząc brew.

– Znasz go?

– Tylko z opowieści. Przyniósł rozkaz, który wysłał nas w ten rejs. Pamiętam też, że powiedział coś, od czego nasz ukochany sierżant całkiem się zagotował.

– W istocie. Widzisz, ta nasza misja, to bardziej wygnanie niż królewskie poruczenie. Sława naszej kapitan po Polu Zdrajców zabłysła niczym spadająca gwiazda, przyćmiła nawet samego króla, choć powiadają, że dzielnie się dołożył, gdy nadszedł czas. Podejrzewam, że każdy człowiek znajdzie w sobie odwagę, jeśli będzie walczył w cieniu sir Ehlberta Bauldry'ego. Ale sprawiedliwość sprawiedliwością, a zgodnie z prawem to było królewskie zwycięstwo, czego byś się nigdy nie domyślił, słuchając prostych ludzi. Tomas jest z pewnością miłym człowiekiem, który nie przejmuje się ciosami zadanymi dumie, ale jego rodzina i doradcy to już inna sprawa.

Należy pamiętać, że król Tomas był drugim synem swego nieodżałowanego ojca Mathisa Czwartego, władcy o silnym ramieniu i bystrym umyśle. To właśnie jego pierworodny syn, jak wszyscy zakładali, miał pewnego dnia zostać Arthinem Piątym. Niestety, koń księcia miał inną koncepcję i Piąty stał się Arthinem ze Skręconym Karkiem, pozostawiając w Albermaine dziedzica, który ledwie oderwał się od mokrego cycka swojej mamki. Król Mathis spłodził go późno, ze swą drugą, znacznie młodszą królową. Trzeba przyznać, że Tomas dorósł do tej nieoczekiwanej roli, mówią, że w znacznej mierze dzięki przewodnictwu swojego czempiona, sir Ehlberta Bauldry'ego, oraz mądrym wskazówkom swojej starszej siostry, księżniczki Leannor. Jednak jego panowanie zostało skażone świadomością, że był słabszym synem o wiele potężniejszego ojca.

Dlatego też rodzina Algathinet i jej liczni pochlebcy zawsze czujnie wypatrywali każdego zagrożenia dla autorytetu Tomasa. Rosnący szacunek dla wojowniczkę z Pola Zdrajców, namaszczonej ponoć łaską Serafili, z pewnością budził ich obawy. I kto im powie, że się mylą? Władza to w końcu krucha rzecz.

– Wysłali Kompanię Przymierza do Fiordowego Geldu, żeby usunąć ją z drogi – podsumowałem.

– Niegłupio – skomentowała Toria nosowo. – Popatrzcie tylko na tych wszystkich głupców, którzy rzucili się jej do stóp, podczas naszego marszu na północ. Jeszcze kilka miesięcy i mielibyśmy armię, nie tylko kompanię.

– Ale to nie wszystko, prawda? – naciskałem Wilhuma. – Co tak rozjuszyło naszego sierżanta, że aż sięgnął po miecz?

– Plotki – odparł Wilhum. Przechylił flaszkę nad szeroko otwartymi ustami i wytrząsnął z niej kilka kropel. – Walczyła z Pretendentem, a jednak ten przeżył, a przynajmniej nikt nie znalazł jego ciała. Na dworze słychać szepty, że może jego ucieczka nie była wcale taka przypadkowa.

– To bzdura. – Potrząsnąłem głową z rozbawieniem i odrazą jednocześnie. – Niezdarna próba zszargania jej reputacji.

– Niezdarna? Z pewnością, ale nawet krzywa strzała może znaleźć cel. Nasza namaszczona kapitan nie została po prostu wygnana, została poddana próbie. Olversal jest znany jako gniazdo wiecznie skłóconych rodzin kupieckich i stronników Askarlijczyków, podobnie jak duża część Fiordowego Geldu. Nazywają księcia Huelvica zdrajcą, ale należy pamiętać, że był on tylko jednym z pięciu pretendentów do książęcego tytułu, wszyscy pozostali wciąż oddychają i możemy śmiało założyć, że teraz, po jego śmierci, z jeszcze większą energią będą forsować swoją kandydaturę do tytułu księcia. Olversal jest największym portem w Geldzie i od dawna uważany jest za filar, na którym stoi całe księstwo, albo z którym runie. Zadbanie o to, by miasto nie pogrzyżyło się w chaosie, będzie nie lada wyczynem. Utrzymanie go dla króla Tomasa będzie triumfem. Ale jeśli Namaszczonej Kapitan się to uda, kto poda w wątpliwość jej lojalność?

– Czyli Olversal jest głównianym miejscem? – zapytała Toria. – Miałam nadzieję, że będzie bogate, znaczy, przynajmniej w tawerny

i porządne trunki.

Znaczy w kupieckie kieszenie i zamki warte otwarcia, chciałaś powiedzieć, domyśliłem się, ale nie powiedziałem tego głośno, choć byłem pewien, że Wilhuma nijak nie obchodziły nasze przestępcze skłonności.

– Prawdę mówiąc, moja droga, Olwersal często nazywa się Klejnotem Geldu. Port jest naprawdę stary i przechodził z rąk do rąk rozmaitych królów i lordów niezliczoną ilość razy. Przez trzy setki lat należał do Siostrzanych Królowych Askarlii, potem pradziad króla Tomasa wyrwał klejnot z ich rąk. Można tam zobaczyć wiele starożytnych budowli, jeśli cię to interesuje. Część z nich podobno pochodzi nawet sprzed czasów Zatrąty. Szczególnie interesująca jest biblioteka, ogrom ksiąg zebranych pod jej dachem jest naprawdę imponujący, muszę przyznać. Podobnie jak posągi askarlijskich bogów wykute w podstawie góry Halthir, choć może lepiej, żeby suplikanci widzieli, jak je podziwiacie.

– Jest tam biblioteka? – zapytałem.

– Tak, zapchana najróżniejszymi starożytnymi tomiszczami. Fiordanie to dziwni ludzie. Oćwiczą człowieka za morderstwo, ale oszczędzą mu stryczka, jeśli zapłaci krwawą daninę rodzinie swojej ofiary. Ale jeśli ten człowiek zbezczęści księżę, przywiążą go do drzewa i wypuszczą mu wnętrzności, aby zapewnić ucztę wronom, i żadna danina go nie uratuje.

Ponownie przechylił flaszkę, a gdy już ani kropla nie spadła na jego język, szlachcic skrzywił się z frustracją. Jego spojrzenie nabrało zatroskanego wyrazu i wciąż wędrowało niespokojnie, co świadczyło o dręczącym Wilhuma pragnieniu. Stwierdziłem, że nie lubię go, gdy jest trzeźwy, był przez to o wiele mniej rozmowny.

Uśmiechnąłem się szeroko i objąłem za ramiona odciągając od rufy.

– Może pójdziemy poszukać tego marynarza z beczułką? Mam kilka szelągów do wydania. Wtedy będziesz mógł mi powiedzieć więcej o zawartości tej biblioteki.



Port Olversal leżał na północnym brzegu zatoczki znanej jako Fiord Aeryka, w miejscu, gdzie kanał się zwężał, ale wciąż pozostał wystarczająco głęboki, by statki mogły tamtędy przepływać. Składał się z gęsto rozmieszczonych budynków, które otaczały podstawę ogromnej granitowej skały – słynnej góry Halthir, o której mówił Wilhum. Wznosiła się ona w szarym majestacie na wysokość co najmniej tysiąca stóp. Pojedyncza, wąska droga wiła się wokół południowego zbocza, zapewniając jedyne dojście do portu od strony lądu. Miasto nie miało muru obronnego, gdyż tylko dowódca o poważnych skłonnościach samobójczych poprowadziłby atak tak wąską drogą, a port był zbyt mały, by umożliwić inwazję morską.

– Tobie się chyba spodobała ta zasrana żołnierka, co? – zauważyła Toria, gdy głośno skomentowałem militarne aspekty położenia Olversalu.

– Człowiek powinien kształcić się w swojej profesji – odpowiedziałem. – Wybranej czy nie.

Przyglądałem się coraz bliższemu miastu i uderzyło mnie, jak bardzo to miejsce było odmienne od Marchii Shavine. Parada wiatraków, wyższych niż wszystkie, które widziałem w południowych krainach, stała rzędem na brzegu wysokiej grobli, biegnącej szerokim łukiem od portu aż do północnego zbocza góry. Dzięki pijackim naukom Wilhuma wiedziałem, że wiatraki i port są w równym stopniu źródłami bogactwa miasta. Fiordowy Geld miał obfite łowiska i pastwiska dla kóz i owiec, ale niewiele ziem do uprawy roślin, zwłaszcza pszenicy. Ziarno było transportowane statkami, mielone, a następnie rozwożone do wiosek i miast, które płaciły za nie wełną. Wełna wypełniała ponownie ładownie statków, które wiozły ją do krosien południowych księstw. Był to owocny układ, który zapewnił Olversal niezwykłą długowieczność, ale także status klejnotu, o który warto było bez końca walczyć.

Jednak to nie wiatraki przykuły moją uwagę, lecz gmatwanina dachów i wież za nimi, a zwłaszcza duża prostokątna budowla ze spadzistym dachem. Biblioteka Króla Aeryka, najwyraźniej jakiegoś dawno zmarłego bohatera z legendy Geldu, była drugim co do wielkości budynkiem w porcie obok znacznie nowszej i wyższej iglicy Sanktuarium Męczennika Athila.

– Myślisz, że tam to znajdziesz? – zapytała Toria cicho, starannie omijając słowa: skarb Lachlana. – Mam na myśli te informacje, których potrzebujemy?

I jeszcze wiele więcej, pomyślałem, czując ciężar podarunku od Jutowej Wiedźmy za połą kaftana. Schowałem książkę w skórzanej sakiewce i przywiązałem mocno do ciała, skrywając starannie przed pełnymi dezaprobaty spojrzzeniami suplikantów, jak również przed kaprysmi pogody. Prawdę powiedziawszy, co wyznaję ze wstydem, strzegłem kaeryckiej książki bardziej nawet niż testamentu Sylidy.

– Wilhum mówi, że ta biblioteka wyposażona jest lepiej niż jakakolwiek biblioteka Przymierza w Athiltor – odpowiedziałem równie cicho. Staliśmy stłoczeni z resztą oddziału na pokładzie dziobowym, oczywiście wraz z suplikantką Ofilą i byłoby lepiej, gdyby żadna tego typu rozmowa nie dotarła do jej uszu.

– A gdy już to znajdziemy? – Ton głosu Torii był bardzo znaczący.

Uśmiechnąłem się do niej pokrzepiająco.

– Wtedy przyjdzie właściwy moment, żebyśmy ruszyli na poszukiwanie naszej nagrody.

– Niezależnie od innych zobowiązań? – Spojrzała wymownie na Evadine. Kapitan stała na dziobie statku, odziana w pełną zbroję, co, jak uznałem, miało pomóc jej zrobić odpowiednie wrażenie, kiedy już wylądujemy. Patrzyłem, jak wiatr zmienia jej włosy w ciemny płomień, na jej spokojną twarz, pozbawioną emocji, mimo rozbryzgów słonej wody, i byłem przekonany, że to ten właśnie moment wybraliby przyszli iluminatorzy i inni artyści, którzy będą chcieli unieśmiertelnić naszą Namaszczoną Kapitan. Wiedziałem, że jestem świadkiem dziejącej się historii nowego rozdziału w jej życiu, albowiem tutaj miała znaleźć triumf i chwałę albo porażkę i hańbę. Może nawet śmierć. Mimo że ostatnio traktowała mnie z chłodem, nadal pragnąłem być świadkiem jej epopei, rozdzierało mnie pragnienie wzięcia udziału w czymś wielkim, o niepodważalnej wadze i znaczeniu. Ale to była jej historia, nie moja.

– Niezależnie od wszystkiego – odparłem, odwracając wzrok od kapitan, choć przyszło mi to z trudem.



Na wybrzeżu kompanię powitał tuzin bogato odzianych olwersalczyków, którym towarzyszyło pięćdziesięciu zbrojnych w srebrze, szarości i granacie. Były to zapewne barwy księcia Fiordowego Geldu, bez względu na to, kto nim będzie. Dobrze odzianych cywili prowadził wysoki mężczyzna o potężnych ramionach, długich włosach jasnych jak popiół i takiej samej brodzie. Uśmiech, jaki posłał Evadine, gdy schodziła po trapie sprawił, że urok Wilhuma był niczym ogarek świeczki przy ryczącym płomieniu.

– Dobrze cię widzieć, moja pani, czy Namaszczona Kapitan? – Roześmiał się serdecznie i uklonił, a towarzyszący mu luminarze szybko poszli w jego ślady. – Ja, starosta Maritz Fohlvast – zahuczał jasnowłosy, nie czekając na odpowiedź Evadine – najbardziej lojalny ze sług dobrego króla Tomasa, witam cię w Olversal.

Evadine oddała mu ukłon, uśmiechając się blade.

– Aspirantka Kapitan Evadine Courlain, wasza lordowska mość.

– Nie jestem lordem, moja pani. – Fohlvast roześmiał się ponownie. – Po prostu skromnym kupcem, wybranym przez swych ziomeków, by zarządzać miastem w tych trudnych czasach.

– Już nie, wasza lordowska mość. – Evadine wręczyła mu kopię zwoju sir Althusa. – Nasz najłaskawszy władca, w uznaniu twych niestrudzonych i wielce odważnych wysiłków, mających zabezpieczyć jego słuszne prawa do tego księstwa, nagroził cię tytułem szlacheckim, sir Maritzu Fohlvastie, rycerzu królestwa. Znajdziesz odpowiednie nadania praw i ziem w tym dokumencie. Przybywam tu na rozkaz króla, który oddaje moją kompanię do obrony portu i jego mieszkańców.

Z mojego doświadczenia wynika, że człowiek, który nazywa się skromnym, niezmiennie jest przykładem czegoś wręcz przeciwnego, czego dowiódł ten nowo mianowany rycerz, odbierając dokument z rąk Evadine. Udało mu się powstrzymać i nie wyrwać zwoju z jej palców, ale rozwinął go z wyraźnym pośpiechem.

Prześledził szybkim spojrzeniem zawartość zwoju i natychmiast rozpoznałem wyraz jego oczu: błysk skupienia charakterystyczny dla tych naprawdę zachłannych.

– Jestem zaszczycony ponad wszelką miarę – zapewnił Evadine, z godną uznania próbą stłumienia emocji w swym głosie. – Niechaj Męczennicy prowadzą me kroki, abym dowiódł, że jestem wart. A teraz – Fohlvast wyciągnął rękę w stronę swych towarzyszy – pozwól mi przedstawić pozostałych członków starszyny, następnie udamy się do sali Rady Kupieckiej, gdzie na powitanie przygotowano wspaniałą ucztę...

– Nie mam czasu na ucztę – przerwała mu Evadine tonem jak najbardziej uprzejmym, ale stanowczym. – Ani na przedstawianie. Wszystko to może poczekać, aż przeprowadzę dokładną inspekcję umocnień i dopilnuję rozmieszczenia mojej kompanii. Tuszę, że przygotowano dla żołnierzy odpowiednie kwatery.

Zobaczyłem, że twarz Fohlvasta drga lekko, gdy zmusił się, by uznać, że oto stanął przed kimś, kto dysponuje autorytetem i władzą większymi niż on sam, co nigdy nie jest łatwe dla człowieka o takim charakterze. Szybko jednak wziął się w garść, po raz kolejny roześmiał się serdecznie i skłonił nisko.

– Oczywiście, pani kapitan. Jak przystało na prawdziwy Miecz Przymierza. Sanktuarium męczennika Athila ma aż nadto miejsca dla twoich dzielnych żołnierzy, ponieważ większość kleryków postanowiła uciec, gdy tylko zaczęły się nasze ostatnie niepokoje. Po prawdzie jeden tylko suplikant z pomocą kilku świeckich obywateli zdecydował się zostać i zabezpieczyć relikwie świątyni.

– To naprawdę zły stan rzeczy, nie omieszkać wspomnieć o tym w swoim raporcie do Rady Luminary – stwierdziła pochmurnie Evadine. – A obrona?

Fohlvast zaśmiał się znowu, tym razem mniej serdecznie, za to z pewną dozą szczerego rozbawienia.

– Oczywiście, obejdziemy je teraz, jeśli tego sobie życzysz, aczkolwiek powinienem cię uprzedzić, że nie ma tu wiele do oglądania.



Miejscowi nazywali to Murem Bramnym, była to masywna, mocna konstrukcja z granitowych bloków ciągnąca się od urwiska klifu, u stóp góry Halthir do skalistego brzegu, wysoka na czterdzieści stóp, a długa może na jakieś sto pięćdziesiąt kroków. Blanki muru ciągnęły się po obu stronach jedynej wieży wznoszącej się nad bramą. Samą bramę zrobiono ze starożytnych dębów zespojonych ze sobą żelaznymi okuciami, dodatkowo chroniła je żelazna krata, podnoszona i opuszczana w zależności od potrzeb. Za bramą ciągnęła się droga znikająca dalej we mgle napływającej znad fiordu. Gdy wraz ze starostą oglądaliśmy skromne fortyfikacje, przez bramę przetoczyło się kilka wozów, stanowczo mniej jednak niż można by się spodziewać po tak słynnym porcie.

– Sto osiemdziesiąt sześć lat – powiedział Fohlvast do Evadine z wyraźną dumą – tyle czasu minęło od dnia, kiedy jakiś dureń próbował zdobyć ten mur. Był to banita, który uważał się za króla. Armia, jaką udało mu się zebrać, raz dwa podała tyły, a jego głowę zatknęliśmy na włócznie na szczycie wieży, gdzie sterczała jakiś rok, aż całkiem zgniła.

– Mur jest za gruby i za mocny, nawet dla najpotężniejszej maszyny obłężniczej – zauważył sierżant Swain, gładząc dłonią wysmagany wiatrami granit. Ruchem głowy wskazał na drogę wiodącą do bramy. – A tu jest tylko tyle miejsca, że zaledwie jedna kompania na raz może podjąć próbę szturmowania muru. Pięciuset żołnierzy powstrzyma dziesięć razy liczniejszego napastnika.

– Co prowadzi do bardzo istotnego pytania. Jaka jest siła naszego wroga? – zapytała Evadine, zwracając się do Fohlvasta.

– Żałuję, ale nie da się tego stwierdzić nawet z przybliżoną dokładnością. – Nowo mianowany rycerz wzruszył potężnymi ramionami przepaszająco. – W lepszych czasach książęce wojska liczyły sobie nawet i tysiąc zbrojnych, ale gdy zajęliśmy port dla Korony, armia rozpadła się na mniejsze frakcje w zależności od ich sympatii politycznych i więzów krwi. Gdy skończyły się walki, naliczyliśmy blisko setkę zabitych na ulicach, reszta uciekła ze

zdrajcami, którzy niczym dziwki sprzedali się Pretendentowi, niech ich porwie Zatrata. Obecnie pozostało z nami około trzystu lojalnych żołnierzy.

Evadine prześlizgnęła spojrzeniem po mnie, na co odpowiedziałem niemal niezauważalnym potrząśnięciem głowy. Zgodnie z instrukcjami, jakich udzieliła mi jeszcze zanim zeszedliśmy na ląd, starannie liczyłem wszystkich noszących broń podczas naszej wędrówki przez doki i ulice, aż do muru obronnego. Wprawdzie mój wzrok szukał żołnierzy, ale nie mogłem przeoczyć więcej niż kilku ponurych twarzy pełnych niechęci i urazy. Ci niechętni zazwyczaj trzymali głowy opuszczone i starali się nie zwrócić na siebie uwagi starosty. Zauważyłem też spalone domy i warsztaty, najwyraźniej niedawno zniszczone. Nie ulegało wątpliwości, że Olversal targany był problemami. Tych, których można by opisać jako żołnierzy naliczyłem stu ośmiu, zatem było nieprawdopodobne, że w mieście znajdował się garnizon tak liczny, jak to twierdził Fohlvast. Być może jego rewolta mająca na celu umocnienie władzy Tomasa nie była tak popularna wśród książęcych wojsk, jak twierdził.

– Nasi przeciwnicy z pewnością są liczniejsi – kontynuował nowo mianowany rycerz. – Lordowie renegaci byli starej krwi i mieli silne rodzinne powiązania z ludźmi w głębszych partiach Geldu. Wielu z nich dołączyło do skazanego na zagładę marszu Pretendenta na południe, ale na pewno nie wszyscy.

– I nadal nie mamy żadnego pojęcia o ich sile? – naciskała Evadine. – Czy przeprowadzono jakieś rozpoznanie, chociażby po to, by określić ich lokalizację?

– Każdy patrol, który zapuści się dalej niż kilka mil za mur nigdy już nie wraca. – Fohlvast wskazał samotny wózek zbliżający się do bramy. – Sami widzicie, jak podupadł nasz handel. Sprzedawcy wełny, którzy wciąż dostarczają nam towar czynią to, wiele ryzykując. Po drogach grasują buntownicy i mało kto z nas potrafiłby powiedzieć, gdzie w dziczy mają swoje siedziby. Moi ludzie znają morze, znają wybrzeże, ale jeśli chodzi o głęboki Geld, to sprawa wygląda zupełnie inaczej.

– Jakież to zatem szczęście, że mam w kompani kogoś, kto taką wiedzę posiada. – Kąciki ust Evadine uniosły się leciutko, gdy obróciła się do Wilhuma. – Czyż nie, żołnierzu Dornmahl?

Zastanawiałem się wcześniej, dlaczego rozkazała mi towarzyszyć nam w czasie tej inspekcji, teraz, gdy Wilhum uśmiechnął się w odpowiedzi, stało się to oczywiste.

– Minęło kilka lat, kapitanie – odpowiedział służbiście. – Ale przypuszczam, że znam ten Geld tak dobrze, jak może znać południowiec.

– Widzisz, szlachetny panie, matka żołnierza Dornmahla wywodzi się z środkowego Geldu – wyjaśniła Evadine Fohlvastowi. – Spędził tu sporą część swych lat młodości, zanim obowiązki rodzinne nie wezwały go z powrotem do królestwa. Poprowadzi naszych zwiadowców. – Jej uśmiech zbladł, gdy spojrzała na mnie, przez co poczułem zimny uścisk we wnętrzościach. Z przygnębieniem usłyszałem jej kolejny rozkaz. – A nasz skryba będzie mu towarzyszył, jako że posiada największą smykałkę do liczb w naszym oddziale.

Spoglądała mi w oczy, ułamek chwili dłużej niż było to konieczne i zarówno w spojrzeniu, jak i wyrazie jej twarzy nie dostrzegłem cienia wesołości. Zrozumiałem, że wymierzono mi jakąś karę, ale nie bardzo mogłem zrozumieć, jakież to przestępstwo wymagało tak dotkliwego potępienia. Z pewnością nie spodobało jej się, kiedy wezwałem kompanię, by wsparła ją przeciwko rycerzom Althusa. To było oczywiste. Ale choć mogło to tłumaczyć jej nastrój ostatnimi czasy, to czy zasługiwało, aby w ten sposób narażać moją głowę. To była raczej marna nagroda dla jej wybawcy, a może fakt, że uratowałem jej życie leżał właśnie u podstaw tego wszystkiego, może żywiła do mnie niechęć z powodu tego długu.

– Ufam, że posiadacie odpowiednie wierzchowce? – zapytała Evadine Fohlvasta. – Szybkie, ale wytrzymałe?

– Moje osobiste stajnie pozostają do twej dyspozycji, pani – zapewnił ją, skłaniając głowę.

– Wspaniale. – Znów zwróciła się do Wilhuma i mnie: – Musicie wyruszyć jak najszybciej i liczę, że wrócićcie niedługo. Muszę wiedzieć, z czym będziemy się tu mierzyć.

– Jeśli mogę, pani kapitan – odezwałem się, gdy już się odwracała, a w odpowiedzi otrzymałem surowe spojrzenie, które sprawiło, że zakaszlałem nerwowo. – Ja... nie potrafię jeździć konno. Nie mam w tym względzie żadnych umiejętności.

Zacisnęła usta i kiwnęła głową Wilhumowi.

– Żołnierz Dornmahl cię nauczy. To nie powinno zająć więcej niż dwa dni. Wtedy możecie wyruszyć. – Zmrużyła oczy i dodała twardo: – No chyba, że chcesz poczekać i poszukać jakiejś kaeryckiej wiedźmy, żeby rzuciła na ciebie czar ochronny albo coś takiego?

Jad w jej głosie, gdy wymówiła słowo „wiedźma”, sprawił, że przełknąłem wszelkie protesty i pokornie pochylilem głowę. Zatem o to chodziło. Czyjeś ciekawskie oczy wypatrzyły nas przy szaląsie Jutowej Wiedźmy, albo suplikant Delryk słusznie wydedukował prawdziwą przyczynę powrotu Piwowara do zdrowia.

– Wykonać – szcęknęła, ruchem głowy wskazując schody, po czym ponownie skupiła się na naszym przewodniku. – Teraz, mój panie, za twoim pozwoleniem, chciałabym przeprowadzić inspekcję garnizonu. Potem sprawdzimy magazyny.



Wilhum opisał wybranego dla mnie konia jako wierzchowca przeznaczanego do polowań raczej niż na pole bitwy, jednak w moich oczach nowicjusza zwierz był wystarczająco potężny, by uchodzić za konia bojowego. Był to urodziwy karosz o łagodnym usposobieniu, przynajmniej według fachowej oceny Wilhuma, owa łagodność polegała na tym, żeby zrzucić mnie z grzbietu, gdy tylko nadarzyła się okazja.

– Za mocno ściągasz wodze – pouczył mnie Wilhum po jednym szczególnie bolesnym spotkaniu z ziemią. Moje lekcje jazdy konnej odbywały się na niewielkim padoku, przy stajniach starosty Fohlvasta. Nie zaskoczyło mnie, że posiadał największy dom w całym Olversal, tak blisko centrum, jak tylko pozwalały na to ziemie sanktuarium i biblioteki. Dom został wzniesiony niedawno z czerwonej cegły, a nie tutejszego granitu. Co znaczyło, że materiał ten musiał być importowany i to za niemałą kwotę, jak powiedział nam podstarzały masztalerz.

– Mamy tutaj w mieście takie stare powiedzenie – rzekł nam, a zmarszczki na jego twarzy pomnożyły się jeszcze, gdy konspiracyjnie zmrużył oko – że żaden Fohlvast nie wydał szeląga tam, gdzie mógł wydać suwerena.

– Poluzuj wodze – pouczył mnie Wilhum, gdy stanąłem na nogach. – Nie chciałbyś, żeby ktoś ciągle szarpał za kawałek metalu

wciśnięty ci w zęby i on też tego nie chce. I spróbuj się odprężyć, jesteś za sztywny, przez co on się denerwuje.

– Nie każdy dorastał w zamku z nauczycielami od rycerstwa – burknąłem. Kiedy wspiałem się ponownie na siodło, ogier, którego masztalerz nazwał Karnic, jak askarlijski bóg myśliwych, sapnął z rezygnacją. Spędziliśmy tu dwa dni, jak na razie udało mi się przejechać stępą w tę i z powrotem szerokość padoku. Kolejny upadek był wynikiem moich prób kłusowania.

– Nie spodobałby ci się mój nauczyciel – zapewnił mnie Wilhum. Z jego zaczerwienionych oczu wywnioskowałem, że cierpi na chorobę, jaka nęka człowieka po nocy spędzonej na picciu, ze sposobu, w jaki zagryzał wargi natomiast, że pragnienie napicia się wcale w nim nie zmalało. Alkohol trzymał go w mocnym uścisku i przyszło mi nawet do głowy, że ta nasza misja mogła stanowić próbę, jaką podjęła Evadine, by uniemożliwić mu zaspokajanie tej niezdrowej skłonności, przynajmniej przez jakiś czas.

– Nazywał się Redmaine – wspominał Wilhum z nutą nostalgii. – Był zbyt nisko urodzony, by kiedykolwiek zdobyć tytuł, ale połowę swego życia spędził na wojnie i turniejach, a drugą połowę przekazując swą wiedzę szlachetnym szczeniętom, jak lubił nazywać swych uczniów. Każdy kto spadł z konia w czasie jego lekcji, kończył z wysmaganym tyłkiem zanurzonym w słonej wodzie. Gorzej jeszcze, jeśli upuściło się miecz.

– Twój ojciec pozwalał prostakowi cię bić?

– Oczywiście. Tak to się właśnie robi. Rycerzem nie można się urodzić, mości Skrybo, trzeba się nim stać. Mój ociec niejedną raz miał tyłek wysmagany różgą. Dlaczego miał oszczędzać mój? Chodź.

– Obrócił swojego wierzchowca, demonstrując godną pozazdroszczenia umiejętność powodowania koniem tak, że zwierzę wydawało się tańczyć, reagując na najłżejszy dotyk. – Spróbujmy jeszcze raz.

W sumie, trzeba było pięciu dni bolesnych lekcji, zanim mogliśmy założyć, że utrzymam się w siodle przez dłuższy czas. Pocieszyła mnie nieco wyrozumiałość okazana mi przez Evadine, która pozwoliła, żeby nauka trwała tak długo, doszedłem bowiem do wniosku, że nie chciała, bym zginął w dzikich ostępach Geldu. Jednakże, nadal odnosiła się do mnie zimno i tolerowała moją

obecność tak długo, jak to było potrzebne do zatwierdzenia odpowiednich zapisów w księgach kompanii. Na początku znosiłem jej chłód z pogodą i sumiennie przykładałem się do wykonywania obowiązków pisarza. Ale w miarę jak mijały dni, a jej zachowanie nie zmieniło się ani odrobinę, zacząłem pielęgnować coraz większą urazę. Nasze rachunki zostały wyrównane, więc niczego nie byłem już jej winien.

Oprócz podstaw jazdy konnej, Wilhum wziął na siebie obowiązek nauczania mnie walki na sposób rycerzy.

– Nie zdołasz używać halabardy z siodła – powiedział, podrzucając mi miecz w pochwie, ten sam, który widziałem przytroczony do pleców Ofili po Polu Zdrajców. Nasi walczący suplikanci nie zniżyli się do plądrowania trupów w poszukiwaniu monet i cennych drobiazgów, ale ich powściągliwość nie obejmowała broni poległych. Najwyraźniej z jakichś niewytłumaczalnych powodów, zgodziła się oddać swoją zdobycz, co mnie zdumiało, bo sam widziałem, że było to doskonale wykonane ostrze.

– Nigdy w życiu nie używałem miecza – uprzedziłem Wilhuma, rzucając na wyciągniętą z pochwy stal spojrzenie pełne podziwu, ale i wątpliwości. Ostrze w znacznej mierze było czyste i jasne, zeszpecone jedynie kilkoma zmętniałymi plamami, krawędź miała niewielkie nierówności, powstałe w wyniku szlifowania szczyrb. Poprzedni niefortunny właściciel szlacheckiego rodu był najwyraźniej człowiekiem doświadczonego i zamożnym.

– To akurat dobrze – odparł Wilhum. – Znaczy, że nie będę musiał rugować twoich złych nawyków.

Każdego dnia, zanim wdrapałem się na siodło, Wilhum udzielał mi lekcji z walki na miecze, która okazała się bardziej skomplikowana niż można by się spodziewać. Szybko nauczyłem się, że miecz to coś więcej niż tylko wydłużony tasak. Dobre posługiwanie się nim wymagało połączenia umiejętności i siły, a nie mieszanki zaciekłości i brutalności, która tak dobrze sprawdziła się w jedynej bitwie, w jakiej brałem udział. Pierwsze lekcje polegały w znacznej mierze na rozwijaniu szczególnej harmonii mięśni i ścięgien potrzebnych do wymachiwania mieczem, to znaczy próbowałem naśladować ruchy, które demonstrował Wilhum.

Zrozumiałem, skąd brała się ta atletyczna budowa młodego szlachcica, gdy używał swojego miecza do wykreślenia serii eleganckich łuków z płynnością i pozornie bez najmniejszego trudu. Moje wysiłki, by zrobić to samo, sprawiły, że oblałem się potem i rozboleły mnie wcześniej nieużywane mięśnie.

– W siodle władaj jedną ręką, a na ziemi dwiema. I nigdy nie zapominaj o tym, ile warta jest mocna rękawica. – Wilhum zademonstrował, co miał na myśli – wysunął miecz, trzymając go poziomo na wysokości piersi, z jedną ręką w kolczej rękawicy na rękoejści, drugą chwytając ostrze. – Teraz to, co było mieczem, staje się pałką. – Wysunął jedną nogę, podnosząc ostrze nad głowę w paradzie. – Teraz włócznią. – Zmienił położenie bioder i nagle sztych miecza znalazł się o cal od mojej twarzy. – Teraz buzdyganem. – Zrobił krok do przodu, podniósł miecz i głowica z brązu niemal roztrzaskała mi szczękę. Wilhum uśmiechnął się, gdy wzdrygnąłem się i odsunąłem. – Spróbuj. A potem sprawdzimy, czy zdołasz go dobyć w siodle.



Cały ten jeździecki nonsens sprawił, że dopiero po południu przed naszym planowanym wyjazdem udało mi się odwiedzić Bibliotekę Króla Aeryka, tylko po to, by odmówiono mi dostępu do znajdujących się w niej bogactw.

– To nie miejsce dla ciebie, południowcu – burknął większy z dwóch strażników przy drzwiach. On i jego towarzysz stanowili kontrast z pozostałymi żołnierzami w mieście, ponieważ byli odpowiednio ubrani i dobrze uzbrojeni. Nie nosili książęcych mundurów tylko białe szarfy z wyhaftowanym kanciąstym pismem, które zdobiło tak wiele tutejszych budynków i posągów. W ich postawie widać było żołnierską gotowość i jedno spojrzenie na surowe, stanowcze twarze mówiło mi, że jakakolwiek próba przekupstwa będzie bezcelowa. Wyglądało na to, że to miasto przykładało dużą wagę do ochrony swoich ksiąg.

– Wstęp mają tylko dobrze sytuowani mieszczenie i uczeni posiadający przepustkę podpisaną przez radę starszych – powiedział mi większy strażnik w odpowiedzi na grzeczne pytanie, dlaczego nie mogę wejść. Zmrużył oczy z podejrzliwością. – Jesteś uczonym?

– Skrybą – odparłem. – Dokładniej skrybą kompanijnym aspirantki kapitan Evadine Courlain.

Na dźwięk tego tytułu, strażnik spojrział na mnie mniej wrogo, ale tylko odrobinę mniej.

– I tak nie możesz wejść – oznajmił, wymownie kładąc dłoń na rękojeści miecza. – A teraz oddał się i na przyszłość trzymaj się terenów sanktuarium. Nie każdy jest tak przyjazny jak my.

Nie należałem nigdy do ludzi, którzy próbują drażnić kwestie beznadziejne, pochyliłem więc głowę, uprzejmie przyjmując ich radę do wiadomości i odwróciłem się, by zejść po szerokich schodach wiodących do drzwi biblioteki. Te dziwne stopnie zostały albo wykonane przez murarzy, którzy za nic mieli proporcje, albo powstały w czasach, gdy ludzie byli dużo wyżsi, ponieważ trzeba było się naprawdę skupić, by pokonać je bez upadku. Tak byłem zaabsorbowany schodzeniem, że nie zauważyłem, kiedy obok mnie zatrzymała się smukła postać.

– Myślałam, że za nic masz stare słowa spisane na starym papierze.

Odwróciłem się i zobaczyłem młodą kobietę o włosach jasnych i zaplecionych na tutejszą modłę. Jej oczy były przeszywającymi skrawkami błękitu rozjarzonego mieszaniną rozbawienia i rozpoznania. Miała na sobie prostą brązową sukienkę i szary szal na ramionach, ale również jak strażnicy biblioteki, haftowaną białą szarfę przecinającą pierś.

– Wymknąłeś się katu, jak widzę – mówiła dalej. – A teraz podążasz za Świętą Kapitan. Dziwna droga dla kogoś, kto kiedyś wyśmiewał się z wierzeń naiwnej dziewczyny.

To wzmianka o kacie i błysk rozbawionego wyrzutu w jej spojrzeniu pomogły zastąpić moje zdumienie odpowiednim zdumieniem. Wspomnieniem nocy, która nadeszła po tym, jak Deckin zabił Askarlijczyka, kiedy to nie dopuściłem Erchela do jego ofiary.

– Berrine – powiedziałem.

– Pamiętasz. – Uśmiechnęła się szerzej i zeszła z kilku nadmiernie szerokich stopni, po czym zajrzała mi w twarz. – Nie wyglądasz tak, jak cię zapamiętałam. Wtedy twój nos był znacznie prostszy niż teraz.

– To prawda, był. – Ukłoniłem się, jak wymagała tego etykieta. – Alwyn Skryba, z Kompanii Przymierza.

– Skryba i żołnierz jednocześnie? Już wtedy byłeś dziwny, a teraz stałeś się jeszcze dziwniejszy. Co stało się z waszym przywódcą, tym wielkim mężczyzną z brodą? Zawsze miałam wrażenie, że usłyszę o nim coś więcej.

Nazywał się Deckin. I patrzyłem, jak umiera za swoje ambicje.

– Nie ma go już wśród żywych. A jego legenda w pewnym stopniu żyje dalej na południu.

Wzruszyła szczupłymi ramionami.

– Skeinwald też zyskał sławę, której tak pragnął po naszym powrocie do Geldu. Moi dawni towarzysze ułożyli niesamowitą opowieść o jego odwadze i śmierci z ręki południowego potwora. Było to zbyt obrzydliwe, bym mogła to ścierpieć. Kiedy rozpoczęli niedawne powstanie, nie chciałam brać w tym udziału.

– Nie należysz już do Skard-rykenów? – zapytałam. – Koniec z Altvarem?

– Przychodzi taki moment w życiu, w którym należy porzucić dziecinne wyobrażenia, w przeciwnym razie czeka nas życie pisane głupcom. Czyli albo to, albo koniec w wodach fiordu z kamieniem, który ktoś przytroczył ci do szyi, tam bowiem znajdziesz Skard-rykenów.

Zamilkła, a po chwili przeniosła spojrzenie z mej twarzy na wejście do biblioteki.

– Kazali ci się zabierać, prawda?

– Jestem tylko prostym skrybą, który próbuje rozwinąć swój umysł. Niestety to jest najwyraźniej niedostateczny powód, by zostać wpuszczonym do środka. – Uważnie spojrzałam na jej szarfę i dziwne litery wyszyte na tkaninie. – Jak rozumiem, to jest oznaka stanowiska?

– Wstęga Wiedzy oznacza, że jestem zaufanym sługą starosty i jego rady, jak również bezcennej Biblioteki Króla Aeryka, która jest najświętszym skarbem powierzonym ich pieczy. Pracuję tutaj.

Przeważnie, kiedy nie sprawdzam ksiąg rozmaitych kupców, żeby upewnić się, że płacą należne podatki.

– Jesteś poborcą podatków? – Skrzywiłem się. – W Marchii Shavine są jeszcze mniej popularni niż banici czy heretycy.

– Ta profesja ma swoje zalety. Poza tym ja tylko liczę, co się należy, zbieranie podatków należy do starszyny i ich strażników. – Raz jeszcze spojrzała na drzwi biblioteki i zbliżyła się do mnie o krok. – Wybacz moje podejrzenia, Alwynie Skrybo z Kompanii Przymierza, ale gotowam się założyć, że poszukujesz w tym miejscu czegoś więcej niż tylko poprawy swego umysłu.

Uśmiechnąłem się do niej samymi wargami i cofnąłem o stopień, uznawszy, że to właściwy moment, żeby się oddalić. Ta kobieta stanowczo była mniej zamknięta i pełna urazy niż wtedy, gdy się spotkałiśmy, nie wspominając, że stanowiła nader przyjemny widok. Jednak jej irytująca przenikliwość nie stępiała ani trochę.

– Już dość zabrałem ci czasu...

– Mogę wprowadzić cię do środka. – Przechyliła głowę, a kąciki jej ust wygięły się w wyrazie rozbawienia, podczas gdy świdrowała mnie swymi bystrzymi oczyma nie mrugnawszy ani razu. – Oczywiście, gdybyś chciał.

Zatrzymałem się, analizując wszystko, co wiedziałem na jej temat, ważąc niebezpieczeństwo i ewentualne nagrody z wytrenowaną szybkością. Jest stanowczo zbyt przyjazna. Jeśli chce się wzbogacić, to taka sprytna istota nie miałaby najmniejszych kłopotów z oskubaniem tutejszych kupców w zamian za obniżenie ich podatków. Nie mogłem zatem dojść, czego pragnęła, ale to czego ja pragnąłem znalazło się nagle w zasięgu mojej ręki i, jak uznałem, warte było ryzyka.

– Twoja oferta jest zarówno bardzo hojna, jak i mile widziana – rzekłem. – Ale taka przysługa rodzi pytanie, czego będziesz oczekiwała w zamian.

– Uczciwej odpowiedzi na jedno pytanie. – Znów się uśmiechała, i cofnęła się o krok, nieznacznym ruchem głowy wskazując zachodnią ścianę biblioteki. – Znajdziesz tam stopnie prowadzące do niewielkich drzwi. Czekaj na mnie godzinę po północy.

– A twoje pytanie? – zapytałem, gdy podjęła wspinaczkę po zbyt dużych stopniach.

– Czy to nie oczywiste? – Roześmiała się, podążając w górę z wypracowaną zwinnością. – Chcę wiedzieć, czego szukasz.



Ayin miała zwyczaj śpiewać podczas gotowania, głosem wysokim, ale na szczęście nie piskliwym. Czasami śpiewała swoje, całkiem miłe wersje starych powszechnie znanych utworów, takich jak „Ballada o jastrzębiu, psie i damie”, ale częściej były to jej własne kompozycje. Były to zarówno melodie pozbawione słów, jak i bardziej zagadkowe pieśni wykute z fraz stłoczonych razem bez powodu innego niż ten, że się rymowały.

– Człowiek z fiordu podniósł topór swój – śpiewała, wykrajając cebulę do garnka. – A kobieta tkaczka skręciła lnu zwój. Mężczyzna wysoko w żagłowiec żegłował, myśliwy piękną starą kozę całkiem oskórował...

Wzięła na siebie obowiązek gotowania dla naszego oddziału podczas marszu do Farinsal, przez pewien czas robiłem to ja, dopóki nie zażądano mojego ustąpienia na rzecz bardziej smakowitych potrawek Ayin. Jej pieśni zwykle wywoływały uśmiechy na twarzach głodnych żołnierzy oczekujących na wieczorny posiłek, jednak niezmiennie z jednym wyjątkiem.

– To była ona – oznajmiła Toria, spoglądając na Ayin spode łba, pociemniałymi oczami. – Na wypadek, gdybyś się zastanawiał.

– Ona? – zapytałem, choć miałem pojęcie o czym Toria może mówić.

– Poszła za nami. – Toria jeszcze mocniej ściągnęła brwi. – Tej nocy, gdy zabraliśmy Piwowara do Jutowej Wiedźmy. I nie mogła trzymać gęby zamkniętej na kłódkę przy swojej Świętej Kapitan. Teraz ty siedzisz w gównie po uszy i pakujesz się na wyprawę do dziczy, a ona śpiewa piosenki.

– Tak podejrzewałem. – Mój obojętny ton sprawił, że Toria spojrzała na mnie uważniej.

– Donosiciele nie zasługują na drugą szansę. Przynajmniej nie tam, skąd ja pochodzę.

Patrzyłem, jak Ayin wrzuca cebulę do garnka, zanim zwróciła uwagę na mięso, spory kawał wieprzowiny, spływający z mięsa tłuszcz syczał, gdy wpadał do ognia śliską kaskadą. Pieśń stała się tylko melodią, gdy Ayin obróciła rożen i posypała wieprzowinę mieszanką soli i szaławii, a powstały w ten sposób aromat wywołał pełne uznania burczenie w żołądkach wszystkich obecnych.

– Lepiej z nią niż było – stwierdziłem. – Jej umysł nie jest już tak zajęty potrzebą robienia... tego, co kiedyś. Oczywiście, że powiedziała kapitan. Nie możesz przecież winić wiernego za to, że się modli. – Jednak rysy Torii nie złagodniały ani odrobinę, dodałem więc: – Zostaw ją w spokoju. Mówię poważnie. Jeśli wrócę z jutrzejszej wycieczki i zobaczę, że stała jej się krzywda, to z nami koniec, Torio.

Mogłem powiedzieć więcej, ale groźba zakończenia naszej przyjaźni wydawała się wystarczająca.

– Zamierzałam zasugerować lanie – burknęła Toria, odwracając się.

Nie, wcale nie. Nic nie powiedziałem, w przypadku Torii lepiej było nie podsycać stygnącego ognia. Przypomniała mi jednak o czymś istotnym. Mimo wiecznej konfuzji, która nękała jej umysł, Ayin była osobą nad wyraz spostrzegawczą.

– Wciąż masz tę miksturę od żeglarza? – zapytałem. – Nie chodzi mi o rum i brandy, tylko ten eliksir, który miał uspokoić moje wnetrznosci.

Prawdę powiedziawszy eliksir miał marne skutki, gdy przyszło do łagodzenia choroby morskiej, za to zapadłem po nim

w kilkugodzinny, głęboki sen, tak mocny, że następnego ranka Ofila musiała obudzić mnie kopniakiem. A wziąłem zaledwie łyceczek, na próbę.

– Prawie wszystko. – Toria zanurzyła rękę w węzełku w poszukiwaniu butelki. – Nie podobało mi się, jak się po nim czułam.

– To lepiej, żebyś dzisiaj zjadła gdzie indziej.

Poczekalem, aż Ayin zacznie śpiewać bardziej znaną pieśń, „Stypa przewoźnika”, żywą, żartobliwą melodię, która zawsze skłaniała resztę oddziału do śpiewania. Pieśń zakończył wybuch wspólnego śmiechu, który odwrócił uwagę Ayin i reszty na tyle, że mogłem bez zwracania uwagi wyłączyć całą zawartość butelki Torii do garnka.

Gdy skończyła się zabawa i jedzenie, wróciliśmy do naszych kwater w Sanktuarium Męczennika Athila. W świątyni, choć młodej w porównaniu do innych tutejszych budynków, panował chłód typowy dla starych budynków, a atmosferę niechęci potęgował fakt, że sanktuarium nie zostało zbudowane jako koszary. Większość Kompanii Przymierza spała pod wysokim, rodzącym echa dachem głównej kaplicy. Dzięki naszej niepisanej, ale zwyczajowej już roli strażników Uświęconej Kapitan, oddziałowi Ofili zostało przydzielone pomieszczenie sąsiadujące z komnatami ascendanta, gdzie Evadine urządziła sobie prywatną kwaterę. Jedyne pozostałe w sanktuarium kleryk, stary, zgarbiony suplikant, który, jak podejrzewałem, został, gdy inni uciekli, ponieważ doszedł do wniosku, że nie przeżyje tej podróży, nalegał, by Evadine zajęła największe pomieszczenie ze względu na starszeństwo jej rangi.

Ukradkiem podebrałem posiłek u jednego z sąsiednich oddziałów i położyłem się na swojej pryczy, nie odczuwając skutków eliksiru marynarza. Toria zignorowała moją radę i natychmiast zapadła w sen, a za nią szybko podążyła reszta oddziału. Mimo to, odliczywszy kilka minut po tym, jak dzwon obwieścił północ, upewniłem się jeszcze, że Ayin naprawdę i mocno śpi, zanim na palcach wymknąłem się ze świątyni. Kaplica była strzeżona, ale jak to bywa z wartownikami, skupiali uwagę na tym, co dzieje się zewnątrz, więc bez większych trudności wymknąłem się niezauważony.

Gdy tylko oddaliłem się od świątyni, znalazłem zacieniony kąt i zatrzymałem się, by założyć buty, po czym ruszyłem w pośpiechu do biblioteki, trzymając się najmroczniejszych alejek w obawie przed napotkaniem patroli starosty. Fohlvast twierdził, że uosabia wolę swoich mieszczan, a jednak jakoś bardzo zależało mu na tym, by uważnie ich obserwować, zwłaszcza po zmroku. Podczas stosunkowo krótkiej podróży byłem zmuszony ukrywać się przed trzema różnymi patrolami.

Znalezienie prowadzących w dół stopni i małych drzwi nie było trudne, złapałem za klamkę i odkryłem, że są mocno zaryglowane. Podejrzewając pułapkę, przykucnąłem u podstawy schodów, zaciskając dłoń na rękojeści noża. Była zdecydowanie zbyt przyjacielska. Jednak ciche szczęknięcie ostrożnie otwieranego zamka rozwiało moje podejrzenia i szybko schowałem ostrze. Drzwi uchyliły się, ukazując Berrine. Jej usta wyginał ten sam na wpół rozbawiony uśmiech, co wcześniej, a w oczach odbijał się żółty blask z małej latarni, którą trzymała w dłoni.

– No chodź – odezwała się wesołym szeptem i zachęciła ruchem głowy, ustępując mi z drogi. – Bez ociągania. Jeśli cię tu przyłapią, obojgu nam wypuszczą jelita.

Ta możliwość zdawała się bawić ją jeszcze bardziej, bo Berrine roześmiała się cicho i pospieszyła w głąb ciemnego wnętrza. Stare nawyki kazały mi przywrzeć plecami do ściany przejścia, podczas gdy oczy odruchowo przeszukiwały cienie tańczące w rytm kroków Berrine i jej kołyszącej się latarni.

– Nie martw się – powiedziała kpiarsko dramatycznym szeptem. – Jesteśmy tu sami. Zapewniam cię.

– Nie ma strażników przy głównym wejściu? – spytałem, podążając za nią ku spiralnej klatce schodowej.

– Dwóch, jak zawsze. Ale są przyzwyczajeni, że pracuję do późna. Często też sypiam w bibliotece. Dobrze dać się poznać jako pracowita dusza, nie uważasz?

Ton jej głosu rozbrzmiewał drwiącą nutą żartu oczywistego dla dwojga ludzi tej samej profesji. Już wcześniej uznałem ją za wprawną oszustkę, ale czy była też złodziejką?

Szedłem za nią po schodach, na górę, i nagle wąska klatka schodowa otworzyła się na pomieszczenie, w którym blask jej latarni

okazał się ledwie pełgającym płomykiem. Z każdej strony wyrastały strzeliste, proste cienie, wznosząc się od podłogi do odległego sufitu, wielkie niczym monolity. Gdy Berrine poprowadziła mnie w kierunku najbliższego z nich, dostrzegłem linie licznych półek, a światło latarni poczęło ślizgać się po oprawionych w skórę grzbietach ustawionych rzędem książek. Spojrzałem w górę i zrozumiałem, że to, co początkowo wydawało mi się skomplikowaną siecią utkaną przez jakiegoś gigantycznego pająka, w rzeczywistości było siecią drabin i przejść łączących gigantyczne regały wypakowane księgami.

– Witaj w Bibliotece Króla Aeryka – powiedziała Berrine. Teraz nie słyszałem już wesołości w jej głosie, a w oczach znów błysnęła uważna przenikliwość, gdy dziewczyna przyglądała się mojej twarzy zastygłej w wyrazie zdumienia i zachwytu. – Widzę, że mamy wspólne zainteresowania – dodała.

– Ile? – szepnąłem. Nawet w tym marnym świetle półki z książkami wydawały się ciągnąć w nieskończoność.

– Prawdę powiedziawszy nie sposób policzyć dokładnie. – Berrine pochyliła się nieco, by oświetlić blaskiem swojej latarni najniższą półkę najbliższego regału. Oprawa, którą odsłoniła była stara i łuszcząca się, zdegradowana skóra umierającej książki. – Stare książki wędzną i nowe są dodawane. Kopiujemy najstarsze, oczywiście, ale nieuchronnie część z nich została utracona. Inne leżą w naszych skarbcach i czekają na zmartwychwstanie, które może nigdy nie nadejść. Tak jest z każdym archiwum. Podobnie dzieje się z pamięcią, jakaś jej część zawsze będzie zanikać.

Wyprostowała się i zrobiła krok w moją stronę. Zamrugalem gwałtownie, gdy zbliżyła mi latarnię do twarzy. Już się nie uśmiechała, w jej oczach płonęła jasno przenikliwość.

– Tym sposobem doszliśmy do mojego pytania, Alwynie Skrybo. Czego tutaj szukasz? I proszę, nie obrażaj mnie kłamstwem. Nie, jeśli chcesz mej pomocy.

Mimowolnie spojrzałem w górę, na masyw regału. Jednego z wielu. To był labirynt wiedzy, nie do pokonania bez pomocy.

– Tak – mruknęła Berrine, najwyraźniej bez żadnego wysiłku odczytując moje myśli. – Nigdy tego nie znajdziesz bez mojej pomocy, bez względu na to, co to jest. Wspinałam się na te półki od czasów,

gdy byłam dzieckiem. To tutaj poznałam starsze i daleko mroczniejsze legendy Altvaru, a także prawdę o naszej historii, a nie bzdury głoszone przez takich jak starosta Fohlvast. Moi rodzice byli kupcami, wiernymi poddanymi króla, którzy podążali za Przymierzem i wyrzucili mnie z domu, gdy dołączyłam do Skardrykenów. Nigdy jednak nie czułam, by mnie kochali. Oni pragnęli pieniędzy, podczas gdy ja zawsze byłam spragniona wiedzy. Te książki są moimi prawdziwymi rodzicami i jeśli chcesz ich pomocy, będziesz musiał być szczery.

Ponownie spojrzałam jej w oczy, świadom, że kłamstwa nie zmylą osoby tak błyskotliwej.

– Skarb Lachlana – oznajmiłem.

Berrine zamrużyła zaskoczona, po czym westchnęła z lekkim obrzydzeniem i odsunęła się ode mnie, a nagle zniknięcie blasku latarni pozostawiło mnie w czarnej pustce, ale mój wzrok szybko się przyzwyczaił i dostrzegłem zarys jej oddalającej się sylwetki. – Jakie to strasznie przyziemne – skwitowała. – Kolejny poszukiwacz skarbów.

– Mam poważne powody, by sądzić, że skarb jest prawdziwy – zapewniłem ją, doganiając. – Deckin wiedział, gdzie go znaleźć, a nie był człowiekiem skłonny do fantazjowania.

– Słowa wygłaszane przez łatwowiernych idiotów na całym świecie. – Głos Berrine rezonował echem, gdy poruszała się pewnym krokiem, prowadząc mnie jednym kanałem między regałami, zanim skręciła, by dać nura w kolejny. – Czy wyobrażasz sobie, że jesteś pierwszą pogrążoną w złudzeniach duszą, która pojawia się tutaj przekonana, że znalazła wskazówkę co do lokalizacji jakiegoś dawno ukrytego skarbu? Jeśli nie jest to skarbiec Lachlana, to jest to złoty topór króla Thaelryka. Nie sądzisz, po upływie tylu wieków, że gdyby takie rzeczy można było znaleźć, to już by je znaleziono?

– Rzeczy się gubią, sama to powiedziałaś.

Znów westchnęła i zatrzymała się gwałtownie obok drabiny z kutego żelaza wznoszącej się na szczyt regału wielkiego jak urwisko.

– Tak też zrobiłam. Obiecałam ci również dostęp w zamian za odpowiedź na moje pytanie, której udzieliłeś, choć była całkiem rozczarowująca. Trzy poziomy wyżej – ruchem głowy wskazała

schody – dwadzieścia kroków w prawo. Każda książka, mapa, zwój czy list w tej bibliotece, który kiedykolwiek wspominał o skarbie Lachlana. Zebraliśmy je kilkadziesiąt lat temu, w zamian za sporą opłatę, na prośbę księcia z południowego lądu, przekonanego, że uda mu się znaleźć słynny skarbiec, czego nie zdołali uczynić inni. – Obdarzyła mnie uśmiechem, który nie sięgnął oczu. – Nie udało mu się. Rób, jak chcesz, Alwynie Skrybo. – Odłożyła latarnię i odwróciła się, by odejść. – Mogę dać ci czas tylko do świtu, więc pracuj szybko.

Rzuciłem krótkie, pełne koncentracji spojrzenie na drabinę, wiedząc, że tych marne kilka godzin w żadnym razie nie wystarczy na jakiegokolwiek znaczące badania, po czym podniosłem latarnię i pospieszyłem za Berrine.

– Mogę obiecać udział w łupach...

– Tak jak każdy obłąkany złotem głupiec, który się tu pojawia. A teraz wybac mi, mam do przepisania fascynującą relację z Pierwszego Panowania Siostrzanych Królowych. – Skręciła za kolejny róg, a gdy próbowałem za nią podążać, zderzyłem się z kamienną przyporą.

Przełknąłem przekleństwo i potarłem obolałe ramię.

– Jest jeszcze coś – zawołałem za jej oddalającym się cieniem. Berrine zwołniła, ale zatrzymała się dopiero wtedy, gdy dodałem: – Coś, co znajdziesz o wiele bardziej fascynującym.

Powoli wyłoniła się z ciemności z twarzą wykrzywioną sceptycyzmem.

– I cóż to takiego?

Odkryłem, że musiałem zdławić pełne niechęci wzdrygnięcie, gdy sięgałem za pazuchę kaftana, czułem się, jakbym popełniał zdradę, jak również wystawiał się na niebezpieczeństwo. Ale jaki miałem wybór?

Gdy uwolniłem książkę z sakiewki, z ust Berrine wyrwało się syknięcie, musiałem się powstrzymać, by nie wyrwać jej książki, gdy wyjęła mi ją z dłoni. Wodziła palcami po spiralach na okładce, zanim zajrzała do środka. Roześmiała się cicho z zadowoleniem, wielkimi oczyma chłonąc z rozkoszą tekst.

– Pismo kaeryckie – mruknęła. – W swej archaicznej formie. – Spojrzała na mnie. – Skąd to masz?!

– Od wiedźmy – odparłem, bo oszustwo wydawało się bez sensu. – Umiesz to przeczytać?

– Kilka symboli, kilka fraz. Spójrz tutaj. – Podsunęła mi księgę, wskazując palcem jeden z wersów. – „A w ziarnku piasku pomieści świat cały”.

– Co to znaczy? – Zmarszczyłem brwi.

– To jedna z częściej wpisywanych fraz, które można znaleźć w starokaeryckim. Co do jej znaczenia, nikt nigdy nie był całkowicie pewien, poza samymi Kaerytami, oczywiście, a oni zawsze okazywali gwałtowną niechęć odwiedzającym ich uczonym. Ci, którzy podróżują w głąb ich pustkowi, są bardzo skryci, chyba że masz monety, które możesz wymienić na zaczarowane drobiazgi.

Berrine zamknęła książkę z cichym trzaskiem i włożyła z powrotem w moje ręce. Jej uśmiech w pełni powrócił. Był teraz o wiele cieplejszy, mniej rozbawiony, za to rozświetlony czymś, czego nie widziałem u kobiety od bardzo dawna.

– Po co szukać skarbu, skoro już go masz? – zapytała. Jej palec przesunął się po okładce książki, odnalazł moją dłoń i znieruchomiał.

– Może cię to zaskoczy, ale moje dołączenie do Kompanii Przymierza nie było do końca moim wyborem – odpowiedziałem. – Widziałem z bliska jedną bitwę i naprawdę nie mam ochoty oglądać kolejnej. Skarb Lachlana, jeśli bym go odnalazł, mógłby stać się moją przepustką do spokojniejszego życia.

Berrine uniosła pytająco brew i zagryzła wargę z namysłem.

– Wymieniłbyś to za szansę znalezienia jakiegoś mitycznego skarbu?

– Nie! – Mój głos nabrał ostrych tonów, więc zmusiłem się, by je nieco złagodzić. – Ale pozwolę ci ją skopiować, może skorzystasz ze zgromadzonej tu wiedzy, żeby przetłumaczyć ten tekst, jeśli zdołasz.

Po prawdzie nie była to wymiana, ale raczej prośba o dwie przysługi. Dług, jaki zaciągnąłem u Jutowej Wiedźmy wymagał, żebym znalazł klucz do wiedzy zamkniętej w książce, choć Berrine o tym nie wiedziała. Jednak jej pragnienie posiadania książki było aż nadto widoczne. Podejrzewałem, że zapłaciłaby za nią sporą sumę. Czy poprzestanie na możliwości skopiowania starożytnego tekstu?

– Zakładam, że ten człowiek, o którym wspomniałeś, ten nieulegający fantazjom, miał pojęcie, gdzie szukać tego skarbu? – zapytała.

– Na shavińskim wybrzeżu.

– To przynajmniej więcej niż wiedzieli twoi kamraci poszukiwacze skarbów. – Jej palec wysunął się z mojej dłoni, gdy przeszła obok. – Prze te wszystkie lata zdobyłam wystarczającą wiedzę, by oddzielić fantazję od obiecujących tropów.

Wspinanie się po drabinie w otaczającym nas mroku wydało mi się bardzo niebezpiecznym zajęciem, a jednak Berrine robiła to z odruchową szybkością osoby, która mogła poruszać się po bibliotece ze związanymi oczyma. Kiedy nerwowo wspinałem się po drabinie na metalowe rusztowanie, rozciągające się wzdłuż trzeciej kondygnacji półek, moja towarzyszka trzymała latarnię tak, by oświetlić mi drogę, następnie podniosła ją, by blask padał na potrzebne nam tomy.

– Chociaż historia Lachlana została z czasem mocno ubarwiona – zaczęła Berrine, a jej ton przypominał mi w znacznej mierze ten, jakiego używała Sylva w czasie swych wykładów – nie ma wątpliwości, że swego czasu istniał on naprawdę. Tutaj – oświetliła rząd wysokich, ale cienkich tomów oprawionych w czerwoną skórę – mamy kopię rejestrów szeryfa z czasów, na które przypada najwięcej złodziejstw i morderstw Lachlana. Pisownia jego imienia jest różna i nie ma wątpliwości, że posługiwał się również innymi nazwiskami, ale ten nawyk gromadzenia dóbr i niechęć do wydawania zdobytego złota jest często wspominany. Aczkolwiek są tylko dwa źródła jemu współczesne, które w ogóle wspominają ten legendarny skarb. – Przekazała mi latarnię i stanęła na palcach, żeby zdjąć z półki drewnianą tubę ze zwojem, po czym otworzyła ją i wyciągnęła zawartość. – List od księcia Marchii Shavine do króla Arthina III – oznajmiła, podnosząc dokument, który składał się z jednej tylko strony i kilku linii tekstu – datowany jest na krótko po zniknięciu Lachlana i odnosi się do zaginionego listu od króla pytającego o miejsce, w którym znajduje się skarb banity. Najwyraźniej na przestrzeni lat Lachlan ukradł całkiem sporą część podatku i król był wysoce zainteresowany odzyskaniem tych

pieniędzy. Niestety, księżę najwyraźniej nie miał pojęcia, gdzie ów skarb może się znajdować.

Berrine przejrzała wyjęte pergaminy i podniosła kolejny dokument, tym razem zawierający kilka stron.

– Obszerna relacja niejakiego sir Dalryka Strethmohra ówczesnego czempiona, sporządzona dwa lata po śmierci Lachlana. Najwyraźniej król Arthin wysłał swojego najbardziej zaufanego rycerza w poszukiwaniu skarbu banity. Biedaczysko spędził miesiące wędrując po Marchii i nie tylko w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, która mogłaby ujawnić miejsce, w którym skarb został schowany. Nasz rycerz wymienia imiona ponad trzech tuzinów dawnych towarzyszy Lachlana poddanych torturom „aby skłonić do złożenia uczciwych zeznań zamiast głoszenia prostackich kłamstw”. Bez jakiegokolwiek powodzenia. Aczkolwiek zanim łożę sprawiedliwości zerwało kręgosłup jednego z torturowanych, ten wspomniał o przemytniku, który był znajomkiem Lachlana.

– Przemytnik – podchwyciłem. – Ktoś taki dobrze znałby wszystkie kryjówki na wybrzeżu Shavine.

– No właśnie. Niestety wygląda na to, że ów człowiek był na tyle nierozważny, że umarł zanim zdążył podać imię tego przemytnika. – Machnęła kartkami w stronę innych ksiąg na półce. – Reszta tutaj to najróżniejsze badania i przemyślenia na temat możliwej lokalizacji skarbu. Niektóre z nich sporządzone przez uczonych, jednak w większości to bzdury. Niejeden bogacz stał się żebrakiem, poszukując tego skarbu, spędzając życie w beznadziejnej pogoni za czymś, co tak naprawdę może wcale nie istnieć.

Popatrzyłem na pozostałe książki, niektóre opasłe, w większości jednak raczej chude, wszystkie pokryte grubą warstwą kurzu i zapomnienia.

– I nie ma innej wzmianki o tym tajemniczym przemytniku?

– Głównie rozmaite domysły. W tamtych czasach przemyt wręcz kwitł i wielu było takich, którzy pasowaliby na znajomków Lachlana, kandydatów nie brakowało wśród tych, którzy wybili się w tym fachu. Ale jak to często bywa w przypadku banitów, rozdzielenie prawdy od plotek i legend jest niemalże niewykonalne.

Westchnąłem z rozczarowaniem, ale bez zaskoczenia. Odnalezienie skarbów to zawsze była tylko rozbuchana fantazja,

sposób by zatrzymać Torię u mego boku, a nie prawdziwy cel, a jednak w miarę upływu miesięcy zacząłem się nad tym zastanawiać.

– Czyli – powiodłem palcem po zakurzonych grzbietach książek – żadnych wskazówek co do tego, gdzie Ogar kładzie głowę.

– Ogar? – Berrine zbliżyła się o krok, marszcząc brwi z ponownie roznieconym zainteresowaniem.

– Coś co powiedział Deckin. I jeszcze jeden człowiek, który też wiedział coś na ten temat. To ten, w którego wtedy rzuciłem kamieniem, i on też nie żyje, gdybyś pytała.

– Ale obaj mówili o Ogarze w odniesieniu do Lachlana?

– Erchel tak, Deckin był znacznie bardziej ostrożny. Założyłem, że to był jakiś inny przydomek Lachlana. Być może nazywali go Ogarem z Kniei Shavine, albo jakoś tak.

– Nie. Nie ma żadnej wzmianki na ten temat. Wielokrotnie nazywano go psem, ale nigdy ogarem.

Przez chwilę patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, charakterystycznym dla gorączkowo pracującego umysłu, po czym odwróciła się gwałtownie i odeszła, a żelazna platforma rozdzwoniła się w rytm jej stanowczych kroków. Poszedłem za nią o wiele wolniej. To jak metal piszczał i drżał pod moimi stopami sprawiło, że zacząłem się zastanawiać, jak bardzo był stary. Tymczasem Berrine poprowadziła mnie do kolejnej drabiny i wspięła się na nią z tą odruchową łatwością, mimo braku jakiegokolwiek oświetlenia, które zostawiła mnie. Podążyłem za nią dużo mniej zręcznie i znalazłem klęczącą kawałek dalej, zajęta wyjmowaniem i wkładaniem książek jedna po drugiej.

– Gdzie to jest? – mruzczała pod nosem.

Widząc na jej twarzy głębokie skupienie znawcy przedmiotu, milczałem uznawszy, że nie chciałyby, abym rozpraszał ją pytaniami. Po kilku chwilach poszukiwań sapnęła triumfalnie i podniosła się z książką w rękę.

– Liternictwo jest trochę przestarzałe – oznajmiła, podając mi znalezisko – ale skryba powinien móc wszystko przeczytać.

Wziąłem książkę i mrużąc oczy zacząłem studiować słowa wytlócone w popękanej skórce okładki. Uformowano je nadmiernie ozdobnym pismem, a litery pokryte były drobinami złota. Sam nie

umiałem zrobić czegoś takiego, aczkolwiek niejednokrotnie widziałem, jak mistrz Arnild kreślił podobne litery na czystych skrawkach pergaminu.

– „Ogar Morski” – przeczytałem i zerknąłem na gęściej zapisane słowa pod głównym tytułem: „kroniki piractwa w czasie pierwszego Trójkrolewia”. Pierwsze Trójkrolewie, z tego co wiedziałem, odnosiło się do okresu w historii, gdy Albermaine władali pierwsi trzej królowie dynastii Algathinetów. Okres ten uważany był przez współczesnych uczonych za złoty czas, kiedy królestwo było młode, a linia królewska czysta. Syllda nie pochwałała tych poglądów, nazywając je wymysłami ludzi uzależnionych od nostalgii.

– Ogar Morski był zawołanym piratem za czasów królów Arthina II i III – powiedziała Berrine z ekscytacją. – Nieustannie nękał wybrzeża królestwa od Fiordowego Geldu po zatokę Shalvis. Nie wiadomo, gdzie się urodził, ale pewnym jest, że jego port macierzysty nie znajdował się w księstwach.

Wyjęła mi książkę z rąk i przerzuciła kilka pierwszych stron, by odsłonić mapę, w której rozpoznałem morza i zachodnie wybrzeże Albermaine. Palec Berrine stuknął w niewielkie skupisko wysepek w głębi morza Cronsheldt.

– Nazywają to Żelaznym Labiryntem, straszliwe cmentarzysko statków, po którym nikt nie potrafił nawigować za wyjątkiem Ogara Morskiego. Niezgorsze miejsce do schowania skarbu, nie sądzisz?

– Koncepcja wydaje się nieco naciągana – odparłem. – Myślisz, że Lachlan i Ogar Morski byli sojusznikami?

– Być może. Wiemy, że żyli w tych samych czasach. Nie jest naciąganiem przypuszczenie, że najsłynniejszy banita Kniei Shavine i największy pirat tamtych czasów mieli ze sobą jakiś związek. Jednak do tej chwili nikt tego nie sugerował. Ludzie cały czas szukali przemytnika, a powinni szukać pirata. – Widząc wciąż wątpliwości na mojej twarzy, Berrine roześmiała się i pochyliła bliżej. – Będzie to wymagało dalszych badań oczywiście. Ale w tej bibliotece więcej jest relacji z wyczynów Ogara Morskiego niż Lachlana. W końcu Fiordanie kochają morskie opowieści. Daj trochę czasu, a być może wskażę ci konkretne miejsce na bardziej szczegółowej mapie.

– Ile czasu?

– Tyle czasu... – zamruczała miękko, nie przestając pochylać się bliżej i sięgnęła za pazuchę mojego kaftana, gdzie schowałem książkę wiedzy. – Tyle czasu, żebym zdążyła przetłumaczyć jakąś część tego, bo wyczuwam, że to jest twój główny cel, prawda? W porównaniu z tym skarb jest zaledwie drobnostką.

Jej usta znalazły się tak blisko, by dotknąć mego policzka, wywołało to odruchową reakcję, której ku własnemu zdumieniu się oparłem. Stanowczo zbyt przyjacielska. Jednak cały mój opór rozplynął się bez śladu, gdy Berrine zarzuciła mi ręce na szyję i poczułem jej gorący oddech przy uchu.

– Kiedy Askarlijczycy położyli fundamenty tej biblioteki, król Aeryk zerznął swoją ulubioną niewolnicę na kamieniu węgielnym tak, aby wszyscy to widzieli, a potem rozplątał jej gardło, by skąpać kamień w jej krwi. W taki sposób proszono wtedy o błogosławieństwo bogów...

Ucichła, gdy zdusiłem jej usta moimi, zgniatając w objęciach i ciesząc się dotykiem kobiecego ciała. Ten ruch sprawił rusztowanie w dygot wystarczająco silny, bym przestał. Przerwałem pocałunek, by rozejrzeć się nerwowo dookoła.

– Jak bardzo jest to wytrzymałe? – zapytałem, na co Berrine roześmiała się, budząc echa w tym starożytnym miejscu.

– Wystarczająco wytrzymałe – zapewniła, podnosząc spódnicę. Widok jej nóg, długich, złocisto białych w świetle lampy wystarczył, bym pozbył się wszelkich obaw i ponownie przyciągnął ją do siebie. Na szczęście dla tej opowieści, mój najdroższy czytelniku, okazało się, że miała rację, co do solidności rusztowania.



Błyskotka była stara i dziobata, ale gdy obracałem ją w palcach, połyskiwała jasno prawdziwym srebrem. Metal został ukształtowany przez wprawne ręce na wzór liny skręconej w skomplikowany węzeł. Splot samej liny i wybrzuszenia w miejscach, gdzie pozornie została zawiązana, zostały wykonane z precyzją, która wywołała uśmiech na moich ustach.

– Weź to – powiedziała Berrine o świcie, gdy leżeliśmy razem w komnatce, w której sypiała, porzuciwszy rozpraszająco skrzypiące rusztowanie po naszym pierwszym nieco energicznym zwarciu. Po upływie kolejnych kilku godzin byliśmy spoceni i wyczerpani, spleceni w pełnym zadowolenia bezwładzie na jej wąskim łóżku. Podarowała mi srebrny węzeł, który nosiła na łańcuszku pod szatą, kiedy powiedziałem jej, że tego dnia wyruszam na planowaną wcześniej wyprawę w dzicz.

– Może uda ci się zatrzymać tę książkę – podsumowałem z lekceważeniem, którego bynajmniej nie czułem. – Ponieważ skłamałbym, gdybym powiedział, że jestem pewien powrotu.

– To tylko coś w rodzaju talizmanu na szczęście – wyjaśniła, gdy oglądałem błyskotkę ze zmieszaniem. – Nie martw się – westchnęła, opierając głowę na mojej piersi. – To nie oznacza, że jesteśmy związani na wieczność. Takie pomysły to urojenia waszych

skażonych Przymierzem krain, gdzie kobiety są zniewolonymi dziwkami, które nazywa się żonami.

Gdyby mój umysł nie znajdował się w postkoitalnym letargu, to jad, z jakim mówiła o Przymierzu, na pewno skłoniłby mnie do dalszych pytań. Wtedy jednak cieszyłem się z tego, że mogłem leżeć z nią jeszcze przez chwilę. Mój wzrok błędził po licznych arkuszach pergaminu przypiętych do ścian jej komnaty, wypełnionych rysunkami i zapiskami, które niejednokrotnie się przeplatały.

– Moje własne badania – wyjaśniła, widząc moje zainteresowanie.

– Czego?

– Och, czegokolwiek, co przyciągnie moje oko. To się z czasem zmienia.

Przyglądając się licznym notatkom i szkicom, zauważyłem, że Berrine pisała z niechlujną, niemal gorączkową szybkością, podczas gdy jej rysunki cechowała niezmienna i staranna dbałość o szczegóły. Widocznie była lepszą artystką niż skrybą, choć czułem, że lepiej nie dzielić się z nią tym spostrzeżeniem. Nie uszło też mej uwadze, że podczas gdy większość notatek zapisano po albermańsku, to jednak całkiem sporo zrobiono kanciastymi literami, które miałem okazję oglądać na wielu oknach i drzwiach w tym mieście.

– Askarlijskie pismo runiczne – wyjaśniła, kiedy zapytałem. – Jego archaiczna forma, nie ta bardziej uporządkowana i uproszczona wersja używana dzisiaj. Od lat próbuję je opanować, ale to trudne. Znaczenie słów można zmienić niewielką zmianą odstępów między znakami.

Jedna grupa arkuszy szczególnie zwróciła moją uwagę. Wszystkie zapisane były runami i ułożone pobieżnie wokół szkicu posągów wyrzniętych w podstawie góry Halthir. Nie zdążyłem jeszcze obejrzeć ich z bliska, widziałem jedynie fragmenty potężnych bogów Altvaru, dostrzegalnych ponad dachami.

– Podstawy posągów są pokryte napisami – powiedziała Berrine, gdy zatrzymałem spojrzenie na tym skrawku ściany. – I nie wszystkie z nich zostały przetłumaczone. Mistrz bibliotekarz jest zadowolony, że pracuję nad nimi w wolnych chwilach. Obiecał, że

jeśli uda mi się przetłumaczyć wszystkie, będę miała własną książkę i umieścić ją na tych półkach.

W jej głosie usłyszałem nutę ostrożności, którą próbowała jakoś zatuszować, ale rozpoznałem kłamstwo. W tych notatkach znajdowało się coś więcej niż tylko obietnica książki z jej nazwiskiem, aczkolwiek była to chwalebna ambicja. Zastanawiałem się, czy nie zacząć może drążyć tej kwestii, ale światło dzienne podkładało się już do krawędzi małego okna i uznałem, że najlepiej będzie, jeśli odejdę.

– Pięć dni – powiedziała, gdy się ubierałem. – Za pięć dni powinienam mieć dla ciebie jakieś odpowiedzi.

Widok jej wspartej na łokciu, z kaskadą lnianych włosów opadających na ramiona, nagości do połowy jedynie okrytej pościelą, obudził we mnie pragnienie, by zostać. Jednak, kiedy wyobraziłem sobie reakcję sierżanta Swaina, zmuszonego do poszukiwania mnie, co z pewnością miałyby miejsce, gdybym nie pojawił się o wyznaczonej godzinie, spowodowało, że natychmiast wciągnąłem spodnie i sięgnąłem po buty.

– A kaerycka książka?

– Zajmie więcej czasu, czego się na pewno domyśliłeś. Niemniej zaryzykuję stwierdzenie, że twoja kompania zatrzyma się tu na dłużej. Znajdę cię, gdy powrócisz. Lepiej, żebyś tu drugi raz nie przychodził. – Wydęła usta w grymasie żalu, położyła się z powrotem, zakryła oczy przedramieniem i stłumiła ziewnięcie. – Bez względu na to jak było to miłe, jeśli by cię tu znaleźli, mielibyśmy szczęście, gdyby skończyło się na chłóście.

Czując kolejną falę pokusy, oderwałem spojrzenie od jej piersi i ruszyłem do drzwi.



– To ma być tylko rozpoznanie – przypomniała Evadine Wilhumowi, gdy prowadziliśmy wierzchowce do Bramnego Muru. – Żadnych walk, o ile nie będzie to konieczne. Spodziewam się was z powrotem za trzy dni. Po pięciu zostanieie uznani za martwych. – Miała na

tyle przyzwoitości, by powiedzieć to z żalem, choć chłód, który wciąż widziałem w jej oczach, gdy mi się przyglądała, budził wątpliwości co do tego, czy ten żal był szczery.

Kapitan zatrzymała się, by podać dłonie Wilhumowi. Żadne z nich się nie odezwało, ale spojrzenia, które wymienili, świadczyły o trwającym całe życie uczuciu. W sposobie, w jaki przełknęła ślinę z wyraźnym wysiłkiem i opuściła głowę, odczytałem pożegnanie. Zostawiła Wilhuma i podeszła do mnie. Minę miała pełną rezerwy, a gdy się odezwała był to niemal szept:

– Jeśli zdecyduje się uciekać, pozwól mu odejść.

Popatrzyłem na Wilhuma, który dosiadł konia i przeczesał palcami grzywę wierzchowca. Od razu dostrzegłem, że poprzedniego wieczoru wypił niemało, a twarz zastygła mu w maskę, którą widziałem już niejednokrotnie, wykrzywioną w na wpół ironicznym grymasie, spoglądającą pustym wzrokiem, maskę kogoś, kto uważał się za bezpowrotnie straconego.

– On tego nie zrobi, pani kapitan – odpowiedziałem równie cicho. – Tylko tchórze uciekają od tych, których kochają, a on nie jest tchórzem.

Usta Evadine drgnęły od tłumionych emocji, a ona uciekła spojrzeniem w bok.

– Nawet jeśli – powiedziała suchym tonem instrukcji. – Pamiętaj mój rozkaz.

Wspiąłem się na siodło i Karnic parsknął, tym razem postanowił nie rzucić protestująco głową.

– Masz. – Spojrzałem w dół na dźwięk chrapliwego głosu Swaina i zobaczyłem, że przypina mi do siodła kuszę i kołczan pełen bełtów. Była to kusza ze strzemiem, bez korby, więc mało prawdopodobne, abym powalił kogoś jednym bełtem, za to ładowało się ją znacznie szybciej. – Wiesz, jak jej używać, mam nadzieję? – zapytał Swain, odsuwając się od konia.

Uśmiechnąłem się i dotknąłem czoła, jak przystało na podkomendnego:

– Oczywiście, suplikancie sierżancie.

– Dobrze. Zgub ją, a potrączę ci z żołdu. I pamiętaj, co mówiła kapitan: pięć dni i jesteście martwi.



Milę, a może dwie od fiordu, wieczna mgła, będąca oddechem morza rozproszyła się, odsłaniając krajobraz dolin o stromych ścianach i porośniętych lasem wzgórz. Drzewa tworzyły też gruby, zielony kobierzec na niższych partiach zboczy, a tam, gdzie ich nie było, ziemię przecinały liczne strumienie i rzeki rozmaitej szerokości i głębokości.

Bywałem już w miejscach nietkniętych ludzką ręką, ale można je było znaleźć jedynie w głębiach Kniei Shavine, gdzie nawet księżęcy leśnicy nie odważali się zapuszczać. O wiele lepiej znałem obrzeża lasu przerzedzone ciągłym wycinaniem drzew, za którymi rozciągały się obramowane żywopłotami pola, na których pracowali chłopi. Tereny w głębi Fiordowego Geldu nie miały żywopłotów ani żadnych kamiennych murków. Było to miejsce prawdziwie dzikie i do tego prawdziwie zimne.

– Jest późne lato – powiedział Wilhum ze śmiechem, kiedy zacząłem skarżyć się na chłód – jeśli uważasz, że teraz jest źle, powinieneś zobaczyć, jaka jest zima w Geldzie. Kiedy noce stają się dłuższe, nie możesz wyjść na zewnątrz na dłużej niż chwilę i nie wciągnąć do płuc maleńkich okruchów zmrożonego powietrza.

Jechaliśmy powoli, Wilhum niewiele uwagi poświęcał kierunkowi naszej wyprawy, pilnując jedynie, by był z grubsza wschodni. Moje pytanie na temat celu naszej podróży zbył jedynie burknięciem:

– Gdziekolwiek znajdziemy naszego wroga, jak mniemam.

Nie udało mi się znaleźć w tych słowach pokrzepienia.

– Czy przyszło ci do głowy, że jesteś poddawany próbie? – zapytałem. Mój niezbyt dobry nastrój pogorszyła jeszcze przeprawa przez szczególnie żwawy strumień, którego wody pienily się na luźnych kamieniach, te z kolei sprawiły, że Karnic tupał w irytacji, gdy tylko oddaliliśmy się od brzegu. Buty miałem pełne lodowatej wody i obawiałem się, że gdy słońce zajdzie, stopy mi zamarzną. – Dwa razy już zmieniłeś stronę. To dziwne, że nasza Święta Kapitan powierzyła ci dowodzenie tą och, jakże ważną misją.

– Owszem, przyszło mi to do głowy – potwierdził Wilhum, wzruszając lekko ramionami. – W takim razie spodziewa się, że ucieknę, prawda? – Zawiesił spojrzenie na mojej twarzy i w jego oczach znów dostrzegłem ten wyraz zmęczonej rezygnacji, ale tym razem świadomy. – Czy kazała ci mnie zabić? Dlatego dostałeś kuszę? A może, mości Skrybo, obaj jesteśmy poddawani próbie albo karani. Ja za nielojalność, ty za świętokradczą wizytę u adeptki pogańskich sztuk.

Staliśmy samotni gdzieś w dziczy, daleko od portu, miasta, czy w ogóle ludzkich oczu. Nagle przypomniało mi się, jak doskonale Wilhum posługiwał się mieczem, gdy próbował przekazać mi swoją wiedzę w tej dziedzinie. Odstęp między nami był niewielki, co znaczyło, że miałbym niewiele czasu, żeby sięgnąć, załadować i wystrzelić z kuszy. Mógłbym sam dobyć miecza, ale miałem niewielkie wątpliwości co do rezultatu takiego starcia.

– Muszę opróżnić buty – oznajmiłem i zsunąłem się z siodła. Usiadłem na ziemi na wodzach Karnica, żeby nie pozwolić mu odejść i rozpiąłem najpierw jeden, a potem drugi but. Wilhum przyglądał mi się z obojętnym spokojem, kiedy wylewałem z nich wodę.

– Powiedziała mi, bym puścił cię wolno – oznajmiłem wreszcie, gdy zaczęło irytować mnie to jego nieruchome spojrzenie. – Moja próba, jak podejrzewam, polega na tym, że w ogóle wrócę z jakimikolwiek użytecznymi wiadomościami. Ty za to nie masz wrócić wcale. – Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się samymi wargami. – Wygląda na to, że dobrze jest dorastać wśród szlachty. Nawet ktoś tak mocno poślubiony wierze jak nasza kapitan, odrzuci na bok swoje zasady byle tylko uratować przyjaciela z dzieciństwa. Dawnego narzeczonego, dokładniej mówiąc. Zrękowiny zostały zerwane z powodu jej pobożności? Wolała Męczenników niż ciebie? To musiało zboleć.

– Myślisz, że ją znasz? – odpowiedział pytaniem Wilhum. – Myślisz, że jest kim? Fanatyczką i hipokrytką? – Potrząsnął głową. – Nie masz pojęcia, co sprawiło, że jest jaka jest.

– Wizja zesłana jej przez Serafilów. – Ściągnąłem skarpetki, wyjąłem i strzepnąłem mocno, próbując pozbyć się wilgoci. – Przynajmniej tak twierdzi.

– Wizje, tak. I prawdziwe czy nie, dla niej są jak najbardziej rzeczywiste. Wiem tylko tyle, mości Skrybo: ona jest najlepsza z nas. Nie tylko najlepsza z nas szlachciców, ze wszystkich nas. Lepsza od ciebie, ode mnie, od każdego nieszczęsnego mieszkańca naszego nieszczęsnego królestwa. Jest lepsza od nas wszystkich, bo to jedyna osoba o prawym sercu, jaką kiedykolwiek spotkałem.

– A co z Pretendentem, czy jego serce nie było prawe?

Wilhum pomroczył, spokój zastygły w jego rysach na moment ustąpił miejsca gniewowi.

– Serce żadnego króla nie może być całkowicie prawe. – To powiedziawszy, pociągnął wodze i podjął naszą wędrówkę na wschód. – Pospiesz się, albo cię tu zostawię, a to nie jest miejsce, które należałoby przemierzać w pojedynkę.



Kiedy dotarliśmy do zarośniętych drzewami wzgórz, Wilhum stał się bardziej czujny, podejrzewałem, że przyczyną był instynkt wojownika, wyczuwający niebezpieczeństwo, a nie nagły przypływ poczucia obowiązku. Mój zmysł wyczuwający niewidoczne zagrożenie odezwał się, gdy otoczył nas cień lasu. Wokół widziałem głównie sosny, od czasu do czasu jakiś samotny buk lub jesion. Wszystkie jednak wysokie i rosnące jedno przy drugim. Tworzyły ciemną nierówną ścianę pełną cieni, z których każdy mógł skrywać wrogiego buntownika z łukiem albo toporem podniesionym do rzutu. Wilhum nie chciał, byśmy pojechali łatwiejszą drogą pomiędzy wzgórzami, co zmusiło nas do wielokrotnego zsiadania i prowadzenia koni w górę kolejnego zbocza. Wędrówka była uciążliwa, ale nie zamierzałem narzekać, każdy wąwóz był właściwie gotową pułapką.

Szliśmy tak aż do zmierzchu, po czym rozbiliśmy obóz na skalistym szczycie najbardziej stromeego wzgórza, na jakie dotąd natrafiliśmy. Spętaliśmy konie u jego podstawy, po czym wdrapaliśmy się na górę i tam odkryliśmy, że szczyt przypomina mi miniaturową fortecę stworzoną ręką natury, gdzie skały tworzyły

krenelaż blanek. Ze sposobu, w jaki Wilhum poruszał się w owej fortecy wywnioskowałem, że musiał być tu już wcześniej, a moje podejrzenia potwierdziły się, gdy kucnął i zeszkrobał kawałek mchu z jednego z kamieni, odsłaniając zarazem niezdarny, ale czytelny napis.

– Wilhum i Aldryk Góra – odczytałem głośno. – A ten Aldryk to kto?

Wilhum powiódł palcem po literach.

– Stary przyjaciel – odpowiedział niemalże szeptem. Wstał i ruchem głowy wskazał mi zbrocze po wschodniej stronie. – Jeśli ktoś chciałby nas odwiedzić, to najpewniej przyjdzie z tej strony. Podejście z każdej innej uniemożliwia rzeka. Zjemy i ja wezmę pierwszą wartę.

Usiadłem, by wydobyć z torby soloną wieprzowinę. Nie pytałem nawet czy możemy rozpalić ognisko, bo niewątpliwie zdradziłoby ono naszą obecność na szczycie.

– W moich mrocznych mniej oświeconych dniach – zacząłem – to znaczy zanim zostałem powołany do służby jako żołnierz Przymierza, nasza banda zawsze wiedziała, kiedy obcy znaleźli się w naszym lesie w odległości godziny marszu. Zakładam, że Fiordanie, których szukamy są równie czujni.

– Masz rzadki dar używania dziesięciu słów tam, gdzie starczyłoby jedno, Skrybo. – Wilhum usadowił się na skale, po czym dobył miecza, a z sakiewki przy pasie wyciągnął osełkę. – Jeśli chciałeś zapytać po prostu czy wiedzą, że tu jesteśmy, to odpowiedź brzmi: prawdopodobnie, ale nie na pewno. I przewidując twe następne pytanie: Tak. Na pewno spróbują nas pozabijać, jeśli nas znajdą.

– I będziesz z nimi walczył?

Nie oderwał wzroku od swego zajęcia, osełka z sykiem przesuwiała się po całej długości ostrza, aż po sam sztych.

– Przecież pilnuję, żeby mój miecz był ostry, prawda? – odpowiedział pytaniem i duch dawnego czarującego uśmiechu zawiał na jego ustach.



Obudził mnie kilka godzin po północy i nie musiał się przy tym za bardzo wysilać, spałem płytko, ale niestety nie na tyle płytko, by nie śnić. Pole Zdrajców było regularnym gościem moich snów od czasów mojej równie niespokojnej drzemki na pokładzie Wytwornej Panny. Sny zazwyczaj były niepokojącą mieszaniną dzikiej przemocy i niezrozumiałych wrzasków, ale od czasu do czasu pojawiała się w nich twarz pierwszego człowieka, którego zabiłem tamtego dnia. Czasami tylko gapił się na mnie pustym wzrokiem, a twarz miał obwisłą i szarą poza strumieniami krwi, które spływały spod sierpaka wbitego mu w czoło. Innym razem przemawiał do mnie, jego usta wiły się niczym robaki, gdy śpiewał, recytował zwoje lub, co irytowało mnie najbardziej, zadawał pytania towarzyskim tonem oznaczonym lekką ciekawością.

– Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek – dociekał na chwilę przed tym, gdy Wilhum obudził mnie, żebym przejął wartość – dlaczego twoja matka kurwa nie udusiła cię zaraz po urodzeniu? Albo nie zostawiła na pastwę lisów i wilków? Co w nią wstąpiło, żeby pozwolić żyć komuś takiemu jak ty?

W rezultacie spędziłem godziny do wschodu słońca wolny od pokus, by przymknąć powieki, bo nie miałem najmniejszej ochoty na kolejne pytania trupa. Kuszę Swaina trzymałem pod ręką. Miecz pozostawiłem w pochwie, żeby stal nie błysnęła czasem zdradziecko, ale dobytek noża, który schowałem pod płaszczem. Na szczęście buntownicy się nie zjawili, ale ta noc zasiała we mnie dręczące poczucie zbliżającej się zagłady. To nie było to swędzenie, które pojawia się, gdy obserwują nas niewidoczne oczy. Raczej drażniące mrowienie, które informowało mnie, że wkroczyłem na niebezpieczny teren. Kiedy wyruszyliśmy dalej, przywiązałem kuszę do łęku siodła, a w każdy but wsunąłem po bełcie.

Dochodziło południe, kiedy wyczułem nowy zapach, głównie palonego drewna, ale podszyty ostrzejszą wonią gówna. Wilhum też to poczuł i natychmiast dobył miecza, dociskając kciukiem klingę, gdy wysuwał ją z pochwy, by stłumić zdradzieckie zgrzytnięcie

metal. Ja, z podobną ostrożnością naładowałem kuszę i skierowaliśmy nasze konie pod wiatr, powoli podążając przed siebie.

Kiedy między drzewami dostrzegliśmy kosmyki dymu, Wilhum zatrzymał konia i podniósł rękę. Zsiadliśmy bez słowa, przywiązaliśmy konie do gałęzi i dalej ruszyliśmy na ugiętych nogach. Nadstawiałem uszu, chcąc usłyszeć jakieś głosy, ale jedynymi dźwiękami było skrzypienie gałęzi i od czasu do czasu trzepot ptasich skrzydeł. Zatrzymałem się, gdy zobaczyłem człowieka i ostrzegawczo dotknąłem ramienia Wilhuma. Nieznajomy stał spowity w połowie dymem z dogasającego ogniska, przyjąwszy dziwną postawę. Ramiona miał wyciągnięte na boki, a głowę zwieszoną na piersi. Gdy podkradliśmy się bliżej, zrozumiałem, że ręce przywiązano mu linami do dwóch drzewek. Był też bardzo, bardzo martwy.

– No to jest coś nowego – zauważyłem cicho.

Rozebrany do naga mężczyzna stał pośrodku niewielkiej polanki i dokładnie przetrząsnętego obozu. Jego grzbiet został rozplątany dwoma pionowymi cięciami, żebra nieprzyzwoicie czyste i białe pośród ciała i krwi, zostały przełamane i rozłożone. Gromady much brzęczały wokół czerwono-czarnych organów, które wyjęto mu z pleców i ułożono na ramionach. Po raz pierwszy ucieszyłem się, że powietrze było tu tak chłodne, ponieważ cieplejsze ściągnęłoby znacznie więcej robaków.

– Szkarłatny Orzeł – powiedział Wilhum z ponurą miną. Wskazał na wnętrznosci spoczywające na ramionach nieszczęśnika.
– Płuca mają przypominać skrzydła, rozumiesz?

Oderwałem wzrok od ponurego widoku ciała i zacząłem rozglądać się po resztkach obozowiska.

– Przyjemne zwyczaje mają ci Fiordanie.

– To nie jest robota mieszkańców Geldu. To askarlijski rytuał krwi, który może być odprawiony tylko przez tielwalda wysokiej rangi.

– Tielwalda?

– To takie połączenie wojownika i kapłana. Poza Siostrzanymi Królowymi tielwaldzi najbliżsi są askarlijskiej szlachcie. – Wilhum z wyraźnym niepokojem powiódł spojrzeniem po otaczających nasz

drzewach. – I nigdy nie podróżują w pojedynkę. Ten nieszczęśnik został schwytany przez watahę.

– Ślady wozu – oznajmiłem, trącając czubkiem buta błoto na skraju jednej z dwóch wąskich bruzd w ziemi. Prowadziły na zachód, znikając w lesie po jakichś kilkunastu krokach.

– To musiał być kupiec wełniany w drodze do Olwersal. I to zdesperowany, jeśli ryzykował podróż bez ochrony w tak niespokojnych czasach. Słaby połów przynosi głód. Wełna to wszystko, co mają na sprzedaż. – Wilhum dobył noża i złapał nieboszczyka za nadgarstek, po czym przyłożył ostrze do wiążącej go liny. – Dobry człowiek zaryzykuje wszystko, by nakarmić swoje dzieci.

– Byłoby lepiej, gdybyś go zostawił tak, jak jest – ostrzegłem. – Odetniesz go i będą wiedzieli, że inni ludzie podążali tą drogą.

– Zamierzam dać im się poznać i to wkrótce. – Poruszył sztyletem, przeciął linę i przeszedł do drugiej.

– Nie mamy czasu, żeby go pochować – powiedziałem, patrząc jak Wilhum kładzie nieboszczyka.

– Fjordanie nie grzebią swoich zmarłych. Odmawiają modlitwy i zostawiają ich, by nakarmili leśne stworzenia i użyźnili ziemię szpikiem swych kości. Tak umierając dajemy życie. Ukłękł, zamknął oczy i zaczął mruczeć nieznaną mi pieśń w archaicznym dialekcie. Domyśliłem się, że pozostaje ona w zgodzie z Przymierzem albowiem wspominała Męczenników i Serafilów, ale większości słów nie zdołałem wyłapać.

Kiedy skończył, podniósł się i stanowczym krokiem ruszył w stronę konia.

– Wiesz, co to znaczy – powiedziałem, doganiając go. – Askarlijska wataha w obrębie granic Przymierza to poważna sprawa. Kapitan powinna o tym wiedzieć.

– No to idź i jej powiedz. – Wspiął się na siodło i ruszył śladem kół wozu. – Aczkolwiek nie sądzę, by było mądrze wracać, nie znając ich liczebności. – Spiął konia i odkłusował, zanim zdążyłem zaprotestować. Patrzyłem, jak znika w lesie sparaliżowany wahaniem. Powiedz jej, że umarł. Odezwał się mój wewnętrzny zmęczony głos. Zabili go askarlijscy dzikusci, a ty ledwie uszedłeś

z życiem. Co do watahy to pięćdziesięciu wydaje się właściwą liczbą. Sześćdziesięciu, jeśli chcesz uchodzić za odważnego.

– Wiedziałyby – zgrzytnąłem zębami i pospieszyłem, by dosiąść Karnica i ruszyć w pogoń za Wilhumem – ona zawsze wie.



Wilhelm, jako że jeździł o wiele lepiej ode mnie, wkrótce wysunął się tak daleko do przodu, że nie miałem nadziei go dogonić, zanim znajdzie swoją ofiarę. Mimo to jechałem dalej, kierując się stukotem kopyt, przechodzącym w kłus, gdy tylko las się przerzedzał. Uznałem, że najlepiej będzie dać się prowadzić Karnicowi, a gdy będzie szukał swojego kolegi ze stajni, jego instynkt poprowadzi go między drzewami najlepszą drogą. Wiedziałem, że to głupota, nierozsądne poddanie się popędom, które kiedyś bym zignorował. „Jeśli zdecyduje się uciekać, pozwól mu odejść”. I tak właśnie było, uciekał, aczkolwiek wybrał się na karną wyprawę, która najprawdopodobniej skończy się śmiercią nas obu. Czy gdybym oddalił się w przeciwnym kierunku, nie byłoby to po prostu wykonanie rozkazu?

Często zastanawiałem się nad tym, dlaczego w tamtej chwili nie udało mi się posłuchać zdrowego rozsądku. Przypisywałem to zwykle dziwnej, prawie niewytłumaczalnej sieci zażyłości, przyzwyczajenia i wzajemnego zaufania, która wiąże jednego żołnierza z drugim. Albo może po prostu wynikało to z faktu, że mimo jego szlacheckich ambicji i godnego pozazdroszczenia uroku,

lubiełm Wilhuma Dornmahla i nie chciałem, żeby zginął. Sentyment to zawsze najbardziej zabójcza trucizna.

Mimo to, gdy jedna mila pościgu przerodziła się w dwie, a potem w trzy, dokuczliwe poczucie zagrożenia, które dręczyło mnie od momentu wejścia do tego lasu, urosło i zmieniło się w sięgającą aż do kości pewność nieuchronnej zagłady. Dlaczego miałbym mu nie ufać? Czyż to nie strach utrzymywał mnie przy życiu przez tyle czasu?

W końcu, kiedy wywołane strachem mdłości zmieniły się w bolesne szarpnięcia, a wnętrzności niemal podeszły mi do gardła, ściągnąłem wodze Karnica i kazałem mu się zatrzymać. Ziewnął i tupnął w proteście, nadal chciał znaleźć swojego przyjaciela, ale ja nie zamierzałem tego znośić.

– Zamknij się! – huknąłem, a on parsknął głośno, gdy zwróciłem mu łeb na zachód. Siedemdziesiąt, zdecydowałem. Było ich co najmniej siedemdziesięciu, pani kapitan. Wielcy, jasnowłosi dzicy. Każdy ze świeżo odciętą głową nabitą na sztych miecza...

W tym właśnie momencie szczęście postanowiło jednak się ode mnie odwrócić, gdyż wśród drzew echem odbiło się głośne rżenie konia, który został poważnie ranny. To wystarczyło, by Karnic zapomniał o wszelkim posłuszeństwie, zawrócił w miejscu i popędził galopem. Mogłem tylko zakląć i trzymać się siodła, gdy pędził między drzewami. Udaowało mi się uchylić przed niektórymi gałęziami, ale inne smagały mnie po głowie, kilka razy niemalże spadłem z siodła, gdy Karnic okręzał większe drzewa, ledwie przy tym zwalniając. Jazda była tak straszna, że zacząłem myśleć o wyciągnięciu sztyletu i zatopieniu go w szyi zwierzęcia, jeśli szybko się nie zatrzyma.

Wypadliśmy pomiędzy drzew w obłoku sosnowych igieł i liści i natychmiast zostaliśmy oślepieni przez falę gęstego, czarnego dymu. Rozkaszałem się, mrugając gwałtownie. Karnic prowadził nas obu przez ciemne kłęby, aż do momentu, gdy zmiana kierunku wiatru przyniosła nagły blask słońca. Udało mi się pozbyć wyciśniętych dymem łez, rzucić okiem na scenę przed nami. Kolumna czarnej mgły unosiła się ku niebu wysokim stosem płonącego drewna ułożonego tam, gdzie skaliste podłoże kończyło

się krawędzią stromego klifu, dalej zaś rozciągało się szerokie pasmo błękitnego morza.

Dostrzegłem Wilhuma po przeciwnej stronie ogniska, wymachiwał swoim mieczem z niesłabnącą furią, otoczony przez nie mniej niż sześciu uzbrojonych przeciwników. Wszyscy, co do jednego byli potężni i okryci futrami, skórą i pancerzem. Dwóch miało na głowach żelazne hełmy, ale pozostali walczyli bez nich i ich długie warkocze przecinały powietrze ze świstem.

Wierzchowiec Wilhuma leżał na ziemi, wierzgając, z pyska spadały mu płaty szkarłatnej piany, a z głębokiej rany w boku płynęła krew. Dostrzegłem też dwa odziane w futra ciała, co znaczyło, że Wilhum przynajmniej w jakimś stopniu zdołał pomóc nieszczęsnego kupca, zanim przypieczętował własny los.

W tamtej chwili jednakże najbardziej przejmowałem się tym, że Karnic galopował w stronę klifu nie wykazując najmniejszej ochoty, by się zatrzymać. Gdy zbliżyliśmy się do urwiska, pomiędzy skał wyskoczył kolejny Askarlijczyk z naciągniętym łukiem w rękach. Celował w Wilhuma, ale usłyszawszy łomot kopyt Karnica w jednej chwili obrócił się ku nam. Był szybki, nie dość szybki jednak. Karnic stratował go, nie zwalniając nawet. Strzała pomknęła w niebo, a krzyk łuczника szybko został zdławiony trzaskiem pękających kości.

Karnic wreszcie uświadomił sobie niebezpieczeństwo i stanął dęba, nogi mu się rozjechały i uderzył w jeden z gałązów z siłą wystarczającą, by wyrzucić mnie z siodła. Wylądowałem na boku, na szczęście na miękkiej ziemi, a nie skale. Nie miałem też w zasięgu ręki żadnej broni, poza nożem u pasa i bełtami schowanymi w cholewkach. Nie była to najlepsza sytuacja, szczególnie, gdy wylądowało się w samym środku wścieklej potyczki. Usłyszałem krzyk i zmusiłem się, żeby leżeć nieruchomo, jęcząc przy tym boleśnie. Udawałem ciężko rannego, dopóki spod półprzymkniętych powiek nie dostrzegłem pary butów, wtedy wyrwałem nóż z pasa.

Podciągnąłem nogi pod siebie, skoczyłem na szermierza. Owinąłem mu ramię wokół szyi i zakręciłem nas obu w poszarpanym piruecie. Zamarkowałem cięcie w oczy, zmuszając go do podniesienia łokcia, po czym wbiłem ostrze głęboko w pachę, znajdując szczelinę między futrem a skórzanym pancerzem.

Ściągnąłem Askarlijczyka w dół, czując, jak rękę zalewa mi strumień gorącej krwi. To był twardy wojownik, ryczał wściekle i walczył, choć rana, jaką mu zadałem z pewnością była śmiertelna, i próbował przełożyć miecz do drugiej ręki. Odchyliłem się i rąbnąłem go w nos głową. To go ogłuszyło, na moment tylko, ale zdążyłem wyrwać nóż i wrazić go Askarlijczykowi w gardło.

Sięgnąłem nad drgającym ciałem po miecz, który wojownik trzymał w na wpół bezwładnej dłoni, ale zrezygnowałem na dźwięk kroków za plecami. Kolejny jasnowłosy wojownik porzucił walkę z Wilhumem dla łatwiejszej ofiary. Ten miał mocny hełm i dębową tarczę. Za jego plecami Wilhum nadal walczył, ale przeciwników miał już tylko trzech, co oznaczało, że zdołał odebrać kolejne życie, w pomście za wełnianego kupca. Widziałem jednak, że sił mu ubywa.

Bojowy okrzyk woja z tarczą sprawił, że skupiłem się na bezpośrednim zagrożeniu. Jego twarz wykrzywił grymas pełnego furii wyzwania i zanim jeszcze odwróciłem się i oddaliłem w kierunku przeciwnym, dostrzegłem pod jego brodą kanciastą sieć wytatuowaną niebieskim tuszem. Moim obowiązkiem, drogi czytelniku, jest poinformować cię uczciwie, że gdyby Karnic nie wszedł mi w drogę, najprawdopodobniej uciekłbym do lasu. Ale jakoś się przyplątał i kołysał przy tym kuszą sierżanta Swaina, wciąż przywiązana do łęku – nagle w zasięgu mojej ręki.

Chwyciłem ją natychmiast, zanurkowałem pod końskim brzuchem i puściłem się biegiem przed siebie. Za plecami słyszałem rżenie konia i wrzaski wojownika, który próbował pozbyć się zwierzęcia blokującego mu drogę. Popędziłem do największego głazu, jaki mogłem wypatrzyć, wskoczyłem nań i od razu wsunąłem stopę w strzemień kuszy. Nie pozwoliłem sobie podnieść głowy, gdy naciągnąłem cięciwę na orzech, wyszarpnąłem belt z cholewy, wcisnąłem w wycięcie w łożu i podniosłem, nie tracąc ani sekundy.

Mój prześladowca podjął nierozsądną decyzję i skoczył – chciał mnie ciąć przez pierś – musiał przy tym opuścić tarczę. Dlatego nic nie mogło zatrzymać beltu, który trafił woja w policzek tuż na lewo od żelaznego nosala. Kusza ze strzemieniem nie miała takiej mocy jak jej kuzynka z korbą, ale z tak niewielkiej odległości

pocisk z łatwością przebił mięśnie i kości twarzy i zatonął w mózgu. Wojownik z tarczą umarł, zanim dotknął ziemi.

Nie tracąc czasu załadowałem drugi bełt i wycelowałem w wojowników, którzy wciąż atakowali Wilhuma. Wszelkie myśli o ucieczce rozwiały się bez śladu, jak to często bywa, gdy pochwyty cię walka, gdy nie ma miejsca na żadną racjonalną myśl i istnieje jedynie pragnienie zadawania obrażeń.

Instynktownie wybrałem najwyższego z przeciwników, dzierżącego wielki topór niedźwiedzia, który wprawdzie nosił hełm, ale nie zbroję chroniącą nogi. Askarlijczyk zatoczył się, gdy bełt trafił go w tył uda, a Wilhum wykorzystał tę chwilę niepewności, rzucił się do przodu i przeszył przeciwnika na wylot. Nie uwolnił miecza, tylko chwycił za ramię wojownika wstrząsanego agonijnymi drgawkami i obrócił go, by odeprzeć szarżę kolejnego z ocalałych napastników. Używał umierającego człowieka jako tarczy, podnosząc go do góry i odpierając ataki.

Podbiegłem do Karnica, mając nadzieję na odzyskanie kołczanu, ale ogier ciągle miotał się niespokojnie. Wierzchowiec Wilhuma zaprzestał swych zmagania ze śmiercią, a instynkt stadny Karnica najwyraźniej umarł wraz z nim. Karosz odwrócił się, gdy podszedłem, uniemożliwiając mi zarazem odzyskanie kołczanu, za to zobaczyłem rękojeść mojego miecza. Udało mi się złapać głowicę i wyciągnąć ostrze z pochwy, zanim Karnic się cofnęła i puściła biegiem, ze ślepiami wytrzeszczonymi w panice.

– Pieprzony tchórz – mruknąłem pod nosem, podnosząc miecz i obróciłem się w stronę trzech walczących ze sobą mężczyzn. Wilhum wciąż trzymał swoją prawie martwą tarczę w pozycji pionowej, podczas gdy dwaj napastnicy nieustannie próbowali go oskrzydlić. Widziałem wyraźnie, że siły byłego szlachcica bliskie są wyczerpania. Przeciwnicy najwyraźniej też to dostrzegli, bo przerwali atak i wycofali się nieco, jeden zaczął okrążyć Wilhuma od lewej, drugi od prawej strony. Nie miałem wątpliwości, gdy tylko Wilhum pozwolił ich towarzyszowi upaść, jego koniec nadejdzie w oka mgnieniu.

Zważywszy łatwość, z jaką obaj Askarlijczycy obracali mieczami, doszedłem do wniosku, że przy moich wciąż marnych umiejętnościach, będzie zbyt wielkim wyzwaniem dołączyć do tej

walki. Dlatego też pospieszyłem podnieść tarczę człowieka, który padł od mojej kuszy. Była ciężka, tworzące ją dębowe deski pokryte były czerwonymi i niebieskimi malunkami, które rozchodziły się spiralnie od żelaznego umba w jej centrum. Dla rozgrzanych walką mięśni, okazała się na szczęście wystarczająco lekka.

Wybrałem napastnika po prawej stronie Wilhuma, ponieważ wydawał się on bardziej skupiony na swojej słabnącej zdobyczy. Ugiąłem nogi w kolanach i ruszyłem prosto na niego, ustawiając tarczę tak, by zakrywała mnie od nosa po krocze, zaciskając zęby, żeby opanować chęć wydania wyzywającego okrzyku. Dzięki temu, albo dzięki szczęściu, Askarlijczyk odwrócił się dopiero, gdy byłem już prawie przy nim. Udało mu się wykonać uderzenie na moją głowę, ale uchyliłem się w porę i ostrze tylko odłupało kilka drzazg z tarczy, zanim umbo uderzyło go w pierś.

Cofnął się chwiejnie o kilka kroków, żeby nie upaść, ale uderzenie oszołomiło go nieco i spowolniło. Udało mu się sparować pchnięcie, które wymierzyłem w jego trzewia, ale nie zatrzymał impetu mojego ostrza, które zsunęło się po jego własnym i wgrzyło mu głęboko w biodro. Upadł z okrzykiem frustracji i bólu, odsłaniając zęby w nienawistnym grymasie, gdy zbliżyłem się, by zadać zabójczy cios. Zanim zdążyłem uderzyć, drugi z Askarlijczyków zmusił mnie do uniku, wymachując mieczem. Przechwyciłem jego atak na tarczę i odpowiedziałem bezskuteczną ripostą. Towarzysz zwinnie uniknął łuku wykreślonego przez mój miecz i uniósł swój własny, a na twarzy wypisany miał mord. Jednak zabójczy cios nie nadszedł, bo w tej samej chwili miecz Wilhuma ściał jasnowłosemu górną część czaszki.

Widok obnażonego w ten sposób ludzkiego mózgu jest chorobliwie fascynujący. Wpatrywałem się w ten organ odsłonięty w całej jego lśniącej i częściowo zmasakrowanej różowości, podczas gdy wojownik zachwiał się, wciąż kurczowo uczepony życia, dzięki zdumiewającemu działaniu jego martwego właściwie ciała. Z ust popłynęły ostatnie słowa, ale wątpiłem, by miały sens nawet w jego własnym języku. Kiedy w końcu postanowił się przewrócić, moja chęć zadawania ran zniknęła nagle, zastąpiona przez falę głębokiego aż do mdłości znużenia. Oparłem się ciężko na mieczu i odetchnąłem głęboko.

Ranny wojownik ruszył w moją stronę i spróbował ciąć mnie w nogi, ale atak pozbawiony był siły. Musiałem skaleczyć jakąś ważną żyłę albo tętnicę, bo po nogach napastnika spływały czerwone strugi. W błędnej gwałtownie twarzy oczy żarzyły się jak węgle, czystą nienawiścią, ściągnięte wargi odsłoniły białe zęby i Askarlijczyk wypluł kilka słów, które uznałem za klątwę, bowiem nigdy jeszcze nie słyszałem takiego języka.

– Bezbożny syn kurwy – przetłumaczył Wilhum. Stał z klingą na ramieniu, przyglądając się rannemu z ponurą satysfakcją. Szkarłatny Orzeł nie został darowany. – Przynajmniej tak sądzę. Mój askarlijski jest nieco zardzewiały.

– Nie mogę powiedzieć, że się pomylił – odparłem i uniosłem głowę, poddając spocone policzki pocałunkom morskiej bryzy.

– Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś, Skrybo. – Ton głosu Wilhuma był raczej refleksyjny, ale naznaczony nutą wdzięczności. – Z wstydem przyznaję, że spodziewałem się ciebie już w połowie drogi do Olversal.

Wszelkie ironiczne odpowiedzi, jakie może mógłbym wymyślić przepadły, bo ranny Askarlijczyk nagle zaczął śpiewać. W moich uszach ta melodia brzmiała mało harmonijnie, ale może dla niego była melodyjna, a może w istocie był marnym śpiewakiem. Odrzucił głowę w tył i wyśpiewywał słowa w niebo. Jego głos, początkowo silny, wkrótce stał się cichszy i słabszy, w miarę jak twarz wojownika robiła się bielsza.

– Co to było? – zapytałem Wilhuma, gdy pieśń umilkła wreszcie. Askarlijczyk padł na plecy, jego pierś unosiła się i opadała z nagłą energią, gdy ciało zebrało wszystkie siły, by odwlec nieunikniony koniec.

– Jego oda śmierci. – Wilhum z przechyloną głową obserwował ostatnie chwile konającego woja. – Wzywa Ulthira, Ojca Altvaru, by zobaczył w nim wojownika poległego w bitwie i przyjął jego cień na Dworze Aeveniru, gdzie bitwa i uczta nie kończą się nigdy.

Askarlijczyk odetchnął z trudem po raz ostatni, wzdrygnął i znieruchomiał na zawsze.

– Wolałbym ucztę niż bitwę – burknąłem.

– To jedno i to samo.

Wilhum jako pierwszy zareagował na nowy dźwięk, obracając się z mieczem przygotowanym do uderzenia. Moje niemijające zmęczenie sprawiło, że zareagowałem dużo wolniej, krzywiąc się z irytacją na nagły ciężar tarczy, gdy podniosłem ją wyżej i oparłem miecz na jej krawędzi.

Już wcześniej wywnioskowałem, że Askarlianie to wysoka rasa, ale człowiek stojący kilkanaście kroków dalej był jeszcze bardziej imponującej postury niż ci, których właśnie wysłaliśmy do ich mitycznego dworu. Wydawało mi się, że bliżej mu było do siedmiu stóp niż sześciu, ramiona miał potężne, a kończyny jak pnie. To, że człowiek tak wielki zdołał podejść do nas bezdźwięcznie, robiło niepokojące wrażenie. Czarna skóra niedźwiedzia leżała mu na barkach, stanowiła ostry kontrast z nieokiełznaną chmurą stalowoszarych włosów. Rzut oka na głęboko pomarszczoną twarz o policzkach wygarbowanych wiatrem, okoloną równie siwą brodą, skórę naznaczoną skomplikowaną płataniną wyblakłych niebieskich tatuaży, wystarczył, bym zrozumiał, że nie był to człowiek młody. Mimo to, wiek jakoś nie przeszkadzał mu podrzucać w dłoniach ogromnego topora. Broń budziła niepokój nie tylko rozmiarem, ale i podwójnymi ostrzami, które wykonane zostały z kamienia raczej niż stali.

Myśl o kolejnej walce była już wystarczająco przygnębiająca, ale walka z tym potworem z pewnością oznaczała zagładę. W każdym razie, myśl ta stała się jeszcze mniej atrakcyjna, gdy zobaczyłem kilku Askarlijczyków rozstawionych na zboczu za nim. Większość z nich miała miecze i topory, ale było wśród nich także kilku łuczników, ze strzałami nałożonymi na napięte cięciwy długich łuków. Jednak to pojawienie się dwóch wilków sprawiło, że zarzuciłem stanowczo wszelkie myśli o dalszej walce.

Pojawiły się po obu stronach potężnego Askarlijczyka, jeden o futrze w kolorze najczystszej bieli, drugi najgłębszej czerni. W Kniei Shavine wilki stanowiły dość powszechny widok i, pomimo wielu straszliwych opowieści na ich temat, stanowiły niewielkie zagrożenie, o ile traktowano je z należytyym szacunkiem. Wilki z Kniei zazwyczaj miały szarą sierść i, choć były dużo większe od psów, nie mogły konkurować wielkością z tymi dwoma, z których każdy miał przynajmniej cztery stopy w kłębie. Usadowiły się

spokojnie u boku Askarlijczyka, ale nieruchome spojrzenie ich żółtych oczu mówiło mi, że nie mają w sobie nawet ziarenka strachu przed człowiekiem wpajanego ich południowym kuzynom.

Roześmiałem się, dając wyraz mojej bezradności i opuściłem tarczę. Wilhum zjeżył się, unióśł miecz na wysokość oczu i wycelował sztych w siwowłosego giganta. Warknął coś po askarlijsku i choć nie dowiedziałem się, co to było, nasi wrogowie ryknęli serdecznym śmiechem. Dwa wilki przywarowały nieco niżej, wargi im drżały w narastającym warkocie. Uspokoily się jednak, gdy gigant skrzywił się z niesmakiem i rzekł:

– Brzmisz jak wymiotujący kot. – Mówił z ciężkim akcentem, ale posługiwał się albermańskim z precyzyjną łatwością. – Proszę, nie obrażaj mnie już kaleczeniem mojego języka.

Wilhum nic nie powiedział, ale miecza nie opuścił, co na Askarlijczyku nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Przeniósł spojrzenie na mnie i nagle stało się ono zdumiewająco wyczekujące. Może byłbym nawet skłonny przypuszczać, że to rozpoznanie, ale nie istniał nawet cień szansy, że któryś z nas kiedykolwiek wcześniej zawiesił wzrok na tym drugim.

– To, jak mniemam – powiedziałem do Wilhuma – jest ten tielwald, o którym mówiłeś.

Olbrzym roześmiał się, zanim Wilhum zdążył odpowiedzieć. Askarlijczyk uklonił się lekko, aczkolwiek ze sztywnością, która wskazywała, że z reguły tego nie czynił.

– To ja jestem. Margnus Gruinskard, w waszym języku oznacza to Margnus Kamienny Topór. – Powiódł spojrzeniem po otaczających nas ciałach z miną sugerującą raczej zastanowienie i podziw niż gniew. – A wy, moi dzielni i zręczni przyjaciele?

– Alwyn Skryba – powiedziałem, oddając ukłon. – To znaczy... Alwyn, który jest skrybą. – Zerknąłem na Wilhuma i odkryłem, że jego oblicze przybrało niepokojąco czerwony odcień. – To jest Wilhum Dornmahl. Nie wiem, co oznacza jego imię. Musisz wybaczyć mu nieuprzejmość, ale to co zrobiłeś kupcowi wełny, którego znaleźliśmy w lesie, poruszyło jego rycerską naturę.

– Aha. – Margnus Gruinskard znów zawiesił spojrzenie na Wilhumie. – Szkarłatny Orzeł to kara dla tych, którzy złamali przysięgę złożoną Altvarowi. Wszyscy gospodarze tych ziem

przysięgli nie sprzedawać wełny do Olwersal. Ten człowiek w lesie okazał się krzywoprzysięcą i za to zapłacił.

– A ta przysięga została złożona po dobroci? – zapytał Wilhum. – Wątpię. A nakarmicie jego dzieci, teraz, gdy nie ma komu łowić ryb i uprawiać ziemi?

Askarlijczyk zeszywniał nieco, a gdy odpowiedział, w jego tonie słychać było, że poczuł się urażony.

– W królestwie Siostrzanych Królowych dzieci nie chodzą głodne. Nasz lud nie ma wielu praw, ale tego akurat przestrzegamy wszyscy.

– Te ziemie nie należą do Siostrzanych Królowych – przypomniałem, aczkolwiek znacznie łagodniej niż Wilhum. – Po prawdzie to wy bezprawnie wkroczyliście na ziemie króla Tomasa Algathineta i byłbym wdzięczny, gdybyście odeszli stąd jak najszybciej.

Tielwald ściągnął brwi ze zmieszaniem, ale tylko na moment, zaraz roześmiał się bowiem serdecznie, a jego towarzysze w mgnieniu oka stali się tej wesołości echem. Wilki natomiast tylko ziewnęły.

– Mówisz i w twoim głosie są kwiaty – podsumował Margnus Gruinskard, po czym skinął głową w stronę Wilhuma. – Jednak głos tego jest czystszy. On jest, jak to się mówi, wysoko urodzony? A ty nisko, tak?

– W Kompanii Przymierza nie ma nisko i wysoko urodzonych – odparł sucho Wilhum. – Jesteśmy równi w swym oddaniu Serafilom i podążaniu za przykładem Męczenników.

– Kompania Przymierza. – Tielwald powtórzył nazwę z wyraźnym niesmakiem, potrząsając przy tym głową. – I wciąż, nawet po tych wszystkich latach, twój lud pozwala, by niewoliły ich te kłamstwa. Dlatego tu jesteś? Czy to jest – niesmak zmienił się w rozbawienie – wielka wyprawa przeciwko poganom?

– Przybyliśmy tylko bronić tego, co do nas należy – odparł Wilhum. – I należało od wieków.

Askarlijczyk znów się zaśmiał, ale tym razem był to śmiech pełen goryczy.

– Kiedy byłem chłopcem, ukradłem sąsiadowi prosię, ukryłem w lesie i wyhodowałem dorodnego knura. Zarżnęliśmy go

i upiekliliśmy na cześć Altvara w moje piętnaste urodziny, i wtedy to, pijany, wyznałem ojcu, co zrobiłem lata wcześniej. Oćwiczył mnie aż do krwi i w ramach powetowania wyrządzonej krzywdy, kazał mi przepracować całą zimę w gospodarstwie sąsiada. To, co zostało skradzione, pozostaje skradzione bez względu no to, ile czasu upłynęło.

Bez ostrzeżenia podniósł swój topór i ruszył do przodu. Wilhum spiął mięśnie, gotów do ataku, ale ja oparłem się chęci podniesienia tarczy. Walka była teraz bezcelowa. Zacząłem nawet układać jakiś ostatni dowcip, który mógłby opóźnić nadchodzącą rzeź, ale niczego nie powiedziałem, olbrzym oddalił się bowiem od nas, minąwszy nas zatrzymał się nad ciałem poległego towarzysza, któremu zabrałem tarczę. Wyraz twarzy tielwalda był beznamiętny, gdy spojrzął na mnie raz jeszcze, i ruchem głowy wskazał tarczę.

– Nie możesz tego zabrać – powiedział ponuro.

Byłem gotów skorzystać z szansy na zdobycie jakiegokolwiek przychylności, bez ociągania się odczepiłem z ramienia grubo drewniany krąg i odłożyłem na ziemię. Margnus Gruinskard przyjął ten gest do wiadomości nieznacznym skinieniem głowy, po czym znów zapatrzył się na poległego wojownika.

– To jest Tahlwild, mój bratanek – powiedział. – Głupiec i pyszałek, trzeba powiedzieć, jego kobieta na pewno nie będzie go oplakiwać, jego dzieci też nie, prawdę mówiąc. Ale nikt nie powie, że nie czcił Altvaru, że ociągał się przy wiośle lub odwrócił się plecami do ostrza. Teraz muszę zanieść jego tarczę do domu, do jego matki. Język mojej siostry, gdy żal go wyostrzy, niełatwo jest znieść.

Zastanawiałem się nad mądrością jakąś, którą mógłbym ubrać w słowa przeprosin, ale Wilhum wybuchł bez zastanowienia:

– Nikt nie zaprosił tu twego ludu, Askarlijczyku. Zaraza na twego bratanka, na ciebie i na twoją bandę łajdaków.

Spojrzałem na niego z wyrzutem, widząc w jego spojrzeniu jedynie złość i coraz większy głód krwi. Zrozumiałem, że nie szukał intruzów, by wymierzyć im sprawiedliwość. To miał być jego chwalebny koniec, rycerz-renegat znajdujący ostateczne odkupienie w odważnym, ale z góry skazanym na porażkę starciu z pogańskimi wojownikami.

– Umieraj, jeśli chcesz – syknąłem do niego. – Ale nie oczekuj, że się do ciebie przyłączę. Na dzisiaj skończyłem z ratowaniem twojego szlacheckiego tyłka.

– Nie prosiłem cię o to, Skrybo – odparł w ten sam sposób. – Powiedziała ci, żebyś pozwolił mi uciec, prawda?

Moja ze wszech miar plugawa riposta została uciszona głośnym kasznięciem Margnusa Gruinskarda. Kiedy odwróciłem się do niego, okazało się, że zbliżył się do nas znacznie. Stałem teraz w zasięgu jego topora, podczas gdy on wciąż był poza zasięgiem mojego miecza.

– Nie bój się mnie – powiedział i znów zobaczyłem to samo wyczekujące spojrzenie w jego oczach. Zmieniło się ono w stłumioną konsternację, gdy odpowiedziałem tylko grymasem zdziwienia, który, jestem pewien, mógł mu przypominać bardziej grymas strachu.

– Nasza walka nie została wyznaczona na dzisiaj – dodał, jego dłoń poruszyła się i wyłuskała spod futer niewielką błyskotkę, małą grudkę srebra zdolnymi rękoma uformowaną na kształt liny splecionej w węzeł. Kiedy przesunął ją pomiędzy kciukiem a płacem wskazującym, poczułem nagle ciepło na piersi pod kaftanem. Później spędziłem wiele godzin, przekonując samego siebie, że było to tylko złudzenie, jakiś wytwór mojego umysłu niemalże tonącego w panice, ale naprawdę to poczułem. To nie było nic wielkiego, przypominało dotknięcie ciepłego knota na skórze, ale niewątpliwie poczułem to ciepło i płynęło niewątpliwie z błyskotki, którą wręczyła mi Berrine. Cacko identyczne z tym, które trzymał teraz tielwald, wojownik i kapłan w jednej osobie.

– Poza tym – dodał – mam do was prośbę. Byłbym wdzięczny, gdybyście zanieśli wiadomość kapitanowi swojej kompanii. – Wypuścił z palców srebrny węzeł i wskazał coś nad moim ramieniem.

Wciąż zaniepokojony zachowaniem dziwnej błyskotki i nie do końca pewny, czy między łopatkami nie zatonie mi ostrze kamiennego topora, odwróciłem się, by podążyć spojrzeniem we wskazanym przez Askarlijczyka kierunku, ku błękitnej przestrzeni morza za klifem. Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie, a cienki welon mgły wisiał nisko, więc niemal natychmiast

dostrzegłem na horyzoncie linię ciemnych smug. Naliczyłem ich kilkanaście, potem jeszcze kilkanaście, smugi ułożyły się w szerokie kwadratowe żagle. Gdy zbliżyły się jeszcze bardziej, dostrzegłem zanurzające się i podnoszące wiosła. Statki obrały kurs na ten właśnie odcinek wybrzeża, bez wątpienia kierowane przez płonący na klifie ogień. Naliczyłem ich blisko sto, zanim tielwald odezwał się ponownie:

– Mylicie się mówiąc, że nie zostaliśmy zaproszeni. – Odwróciłem się i zobaczyłem, że kucnął przy tarczy swego siostrzeńca. Wstał z ponurym i niemal przepraszającym uśmiechem. – Wracajcie do Olwersal i powiedzcie, co widzieliście. Uznam to za przysługę wyświadczoną mi osobiście, jeśli powiecie to temu psu Fohlvastowi. Kiedy zajmiemy port, pozwolę wam żyć na tyle długo, byście opisali mi wyraz jego twarzy. – Uniósł topór i wskazał nim pobliski las. – A teraz, przyjaciele, czas byście sobie poszli. Muszę poprowadzić pogrzebową ucztę i choć cieszy mnie wasza obecność, muszę powiedzieć, że nie byłaby mile widziana przez Altvar.



Wyras twarzy Fohlvasta po wysłuchaniu naszego raportu był z pewnością warty zobaczenia. Starosta nie był w stanie ukryć błysku przerażenia, który pojawił się w jego oczach, ani nagłej, zroszonej potem błądności skóry. Widziałem wielu ludzi, którzy stanęli twarzą w twarz ze swymi najgorszymi lękami i ich reakcje są tak podobne, że aż nieciekawe. Wiedziałem, że Fohlvast ma teraz problem, by utrzymać zawartość jelit i pęcherza, podczas gdy jego serce uderza w klatkę piersiową niczym młot. Nie zdziwiłbym się, widząc kałużę szczyń tworzącą się na podłodze wokół jego butów. Mimo to, jak przystało na aktora, jakim był w każdym calu, podjął wysiłek, by się opanować i zakaszlał, starając się zachować niewzruszony wyraz twarzy. Evadine jedynie westchnęła i skierowała wzrok na mapę rozłożoną na dużym stole w jej kwaterze.

Wilhum i ja dotarliśmy do miasta ledwie godzinę wcześniej, zmęczeni, ze wzrokiem pustym i obojętnym, po forsownym marszu przez surową okolicę. Tchórzliwy Karnic nie pojawił się przez większą część wędrówki, póki port nie znalazł się w zasięgu naszego wzroku. Prawie nie odzywaliśmy się do siebie, zachowując zimne milczenie, Wilhum szedł z miną ponurą, ale zdecydowaną, podczas gdy ja miałem w głowie gonitwę myśli. Widok askarlijskiej floty zrobił na mnie ogromne wrażenie, ale przede wszystkim to pulsujące na skórze ciepło srebrnego wisiora sprawiło, że nie

mogłem przestać się nad tym zastanawiać. To ze strachu, zapewniałem sam siebie. Albo jakaś pogańska sztuczka, iluzja. Mimo to obracałem ten moment w myślach wręcz z obsesją, podsycaną przez równie dziwne i niewytłumaczalne wspomnienia o Jutowej Wiedźmie i kajdanniku.

Jedyne znaczące słowa, jakie wymieniliśmy, padły podczas krótkiej przerwy na odpoczynek w lesie. Wskutek milczącej umowy nie podjęliśmy nawet wysiłku, by rozbić obóz na noc i mimo ciemności parliśmy naprzód. Margnus Gruinskard mógł nazywać nas przyjaciółmi, mógł pozwolić nam odejść, ale pozostał pogańskim dzikusiem, który miał do wyrównania okrutne rachunki. Skąd mogliśmy wiedzieć, że jego miłosierdzie nie było jakimś okrutnym żartem?

– Nadal mogłeś tam umrzeć – powiedziałem, opierając się od drzewo. Powstrzymałem chęć złożenia głowy na mchu, bo wiedziałem, że usnąłbym natychmiast. – Zaatakować tielwalda i jego towarzyszy. Zostałbym im jeszcze ja, żeby zanieść jego wiadomość do Olwersal. Dlaczego więc nie rzuciłeś się do ataku? Przecież śmierć była twoim celem?

Wilhum kucnął na brzegu strumienia i zaczął zmywać z dłoni zaschniętą krew.

– Widziałeś ich flotę. Będzie potrzebowała każdego miecza.

– Tutaj? – spytała go teraz Evadine, wskazując zatoczkę na północnym brzegu długiego języka lądu, który leżał pomiędzy Fiordem Aeryka i otwartym morzem.

– Wedle mojej najlepszej oceny – potwierdził Wilhum. – To dobry wybór. Wysoki teren, żeby osłonić podejście i mnóstwo drewna na opał i do naprawy ich langskipów.

– Czyli było ich dwieście? – upewnił się sierżant Swain, patrząc na mnie.

– Tyle zdążyłem naliczyć, zanim kazano nam się oddalić – powiedziałem, kręcąc przecząco głową. – Przypuszczam, że ten Margnus Kamienny Topór nie chciał, abyśmy zobaczyli pełne rozmiary ich floty.

Wypowiadając imię tielwalda, zerknąłem na Fohlvasta, ciesząc się po raz kolejny tym spazmem strachu, który zobaczyłem na jego twarzy po raz pierwszy, gdy opisywałem olbrzymiego

Askarlijczyka. Widać było, że starosta słyszał już to imię i wcale nie cieszył się z możliwości spotkania człowieka, który je nosił.

– Askarlijskie langskipy różnią się znacznie pod względem wielkości – powiedział Wilhum. – Ale nawet najmniejsze mogą przewozić po dwudziestu wojowników. Powinniśmy liczyć się z siłą pięciu tysięcy.

– Będzie ich więcej – oświadczył Fohlvast ze stanowczością, która nie do końca zagłuszyła drżenie jego głosu. – Margnus Gruinskard nie jest zwyczajnym tielwaldem. Jest Pierwszym Zaprzysiężonym Siostrzanych Królowych, ich największym żyjącym wojownikiem i najbardziej poważanym kapłanem. Na jego wezwanie odpowiedzą wszyscy askarlijscy wojownicy. Jego obecność w Fiordowym Geldzie oznacza otwartą wojnę. Po tylu latach przybyli podbić tę ziemię.

Odbić chyba, pomyślałem, wspomniawszy opowieść tielwalda o skradzionym prosięciu.

– Ilu wojowników może poprowadzić przeciwko nam? – zapytała Fohlvasta Evadine.

– Nigdy nie poznano liczby ludności zamieszkałej na ziemiach Siostrzanych Królowych. – Starosta złożył ręce i pogłaskał się po brodzie, co, jak zakładałem, miało przekonać nas, że Fohlvast jest opanowany i spokojny. Wątpię, by kapitan uznała ten pokaz za bardziej przekonujący niż ja. – To lud, który gardzi formalnością i ogranicza pisanie do zapisywania swoich heretyckich sag i czynów bojowych. Jednak w Bibliotece Króla Aeryka znajduje się relacja z ich ostatniego najazdu na Fiordowy Geld sprzed stu lat. Szacuje się, że ich armia liczyła dwadzieścia tysięcy ludzi. Biorąc pod uwagę upływ czasu, możemy mieć do czynienia ze znacznie liczniejszymi siłami.

– Historycy mają skłonność do wyolbrzymiania liczb – zauważyłem i ściągnąłem na siebie karcące spojrzenie Fohlvasta. Najwyraźniej należał do ludzi, którzy oczekiwali, że prosty żołnierz będzie milczał w wytwornym towarzystwie. Pokazałem, że gównie mnie obchodzą jego oczekiwania, podnosząc wzrok, by spojrzeć mu prosto w oczy i dodałem:

– Poza tym nie sądzę, by tielwald zamierzał polegać tylko na liczebności. Powiedział, że Askarlijczycy zostali zaproszeni do

Fiordowego Geldu.

Fohlvast oblał się czerwienią, a ja pozwoliłem sobie na uśmiech, gdy on gorączkowo szukał riposty. Jednak to Evadine się odezwała:

– Co masz na myśli?

– Całe życie miałem do czynienia z manipulatorami – odparłem. – Gruinskard też do nich należy, to nie jest po prostu osiłek z wielkim toporem. Ma plan i podejrzewam, że również przyjaciół w obrębie tych murów, którzy pomogą mu go zrealizować.

Zmieszanie starosty przerodziło się w gniew i Fohlvast obrócił się ku Evadine.

– Czy naprawdę pozwolisz temu prostakowi rzucać takie kalumnie na mój lud, pani kapitan?

– Twój lud – powtórzyłem, uśmiechając się szerzej – kocha cię, panie, tak bardzo, że musisz cały czas patrolować nocami ulice, by nie dopuścić, aby przeciwko tobie spiskowali i nie wbili ci noża w plecy.

– Zamilcz, Skrybo – uciszyła mnie Evadine. Wbiła we mnie ostrzegawcze spojrzenie i ani drgnęła póki nie oddałem jej honorów i nie odstałem od stołu. – Spisaliście się obaj bardzo dobrze – powiedziała łagodniejszym tonem, wodząc spojrzeniem ode mnie do Wilhuma i z powrotem. – A teraz idźcie odpocząć.

Ukloniliśmy się i ruszyliśmy do wyjścia, zamarudziłem przy drzwiach na tyle długo, by usłyszeć uwagę Swaina:

– Nawet z dwudziestotysięczną armią nie zdołają sforsować tego muru, a ich flota nie ma gdzie wylądować poza portem, który łatwo zablokować...



Zdrzemnąłem się na jakiś czas, ale sen był krótki i niespokojny mimo zmęczenia, jakie odczuwałem. Reszta kompanii miała ćwiczenia z musztry, a Wilhum gdzieś się zabłąkał, założyłem, że w poszukiwaniu trunku. Leżałem więc bezsennie na swojej pryczy i obracałem srebrny węzeł w palcach, wciąż dumając nad jego

tajemnicą. W tej chwili wisiołek był tylko kawałkiem zimnego metalu, całkowicie zwyczajnym, jeśli pominąć doskonałość wykonania, a jednak wiedziałem, że kryło się w nim dodatkowe znaczenie, którego nie byłem w stanie uchwycić.

Choć wciąż jeszcze byłem zmęczony, poddałem się i przestałem czekać na sen. Wstałem z pryczy i wolnym krokiem ruszyłem ku posągom u podnóża góry. Idąc przez miasto, wyczułem napięcie wśród jego mieszkańców, jakiego wcześniej nie zauważyłem, ich spojrzenia były jeszcze bardziej ostrożne, a okna domów zamknięte nawet w ciągu dnia. Matki nie wypuszczały dzieci za próg, a sklepiki i warsztaty, które jeszcze kilka dni temu były otwarte, teraz zostały zamknięte na głucho. Wilhum i ja zostaliśmy wprawdzie zobowiązani do zachowania najściślejszej tajemnicy, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że atmosfera panująca w Olwersal związana była z naszym powrotem. Plotki i pogłoski rozchodzą się z niesamowitą szybkością, zwłaszcza w miastach. Pojawienie się u bram dwóch spieszonych mężczyzn, którzy kilka dni wcześniej wyruszyli konno z pewnością zostało zauważone. Ale możliwe, że ów wzrost napięcia spowodowany był zwiększeniem liczby żołnierzy na ulicach. Byli to wprawdzie głównie ludzie Fohlvasta, czyli raczej milicja, a nie książęcy zbrojni, ale patrolowali miasto z ponurymi minami i czujnymi oczyma. Najogólniej mógłbym powiedzieć to tak: Olwersal było miejscem zamartwionym w oczekiwaniu. Na co jednak czekało?

Ta niewesoła atmosfera w mieście sprawiła, że pod posągami spotkałem bardzo niewielu ludzi, dzięki czemu mogłem cieszyć się oglądaniem niesamowitego widoku bez przeszkód. Wszystkie rzeźby miały około pięćdziesięciu stóp wysokości i kanciaste kształty przypominające karykaturalny styl drewnianych figur wyrzeczanych na drzwiach i słupach w całym mieście. Nie miały tej pięknej, nawet jeśli zniszczonej, anatomicznej precyzji, jaką miałem okazję oglądać w ocalałych resztkach posągów z czasów sprzed Zatrady, jednakże wielkość i majestat kamiennych bogów robiły ogromne wrażenie i nie sposób było o nich pomyśleć, że stworzyła je mniejsza kultura. Ta parada boskich istot była owocem dziesięcioleci pracy wykwalifikowanych rąk, którym udało się stworzyć iluzję, że posągi

wyrastały z samej substancji góry, a nie zostały z niej wydarte uderzeniami niezliczonych dłut.

Nie znałem ich imion poza imieniem tego najwyższego brodatego wojownika o ponurym wyglądzie, który w jednej dłoni trzymał miecz, a w drugiej młot. To musiał być Ulthnir, ojciec Altvaru. Jak zwały się kobiety po jego bokach, nie miałem pojęcia, ale oczywiście Berrine wiedziała to doskonale.

– Aerldun i Nerlfeya – powiedziała, pojawiając się przy mnie niespodziewanie. – Kochanki Ulthnira Kowala Światów i matki pomniejszych bóstw.

Odwróciłem się ku niej i zobaczyłem, że przygląda mi się z uśmiechem, w którym widać było rzeczywistą ulgę albo bardzo wiarygodną jej imitację. Przyszło mi do głowy, że to może źle o mnie świadczyć. Takie podejrzenie wobec młodej kobiety, z którą zaledwie kilka dni temu entuzjastycznie się zabawiałem, ale nie sposób było oszukać nosa starego banity, który oszustwo wyczuwał na milę. Tak jak nie mogłem zignorować srebrnego węzła na szyi.

– Nie jesteś martwy – zauważyła, unosząc brew w wyrazie aprobaty i podziwu. – Świetna robota.

– Nie wydajesz się wcale taka zdziwiona – odparłem tonem lekkim, ale pozbawionym emocji.

– Człowiek taki jak ty ma smykałkę do przeżywania. – Zbliżyła się, wychyliła głowę i cmoknęła mnie w czubek nosa, po czym cofnęła się ze śmiechem. – Może dlatego tak bardzo cię lubię.

Choć wydawała się ucieszona moim powrotem, dostrzegalem w niej jakąś nagłą ostrożność, strzelała oczami na boki, a w jej obejściu pojawiła się sztywność, w której rozpoznałem tłumiony strach.

– Śledził cię ktoś? – zapytałem, rozglądając się po pustych pobliskich ulicach. – Wiem, że ten twój starosta jest bardzo podejrzliwy.

– Nikt mnie nie śledził. Jeśli wydaję ci się stropiona, to z zupełnie innego powodu. – Sięgnęła do torby przewieszzonej przez ramię i wyjęła z niej kaerycką książkę, którą jej dałem.

– Już skończyłaś? – zdziwiłem się.

– Nie. – Zobaczyłem, jak przełyka nerwowo, i jak jej dłoń drży, gdy podawała mi książkę. – I nie zamierzam kończyć, Alwynie. Nie

chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Wspólnego z czym?

Nie odpowiedziała od razu. Trzymała książkę w wyciągniętej dłoni tak długo, aż wreszcie ją wziąłem.

– Zaznaczyłam stronę, do której dotarłam, zanim zdecydowałam się przerwać moje badania.

Przekartkowałem książkę do kawałka pergaminu wsuniętego między dwie kartki, który okazał się gęsto zapisany notatkami.

– To moje tłumaczenie – powiedziała Berrine – przeczytaj.

Zmarszczywszy brwi wyjąłem zapisany pergamin i uniosłem do światła, by przeczytać niechlujnie skreślone słowa.

– „W ramach odpłaty chętnie przyjmę więcej informacji” – westchnąłem i z konsternacją zerknąłem na Berrine. – Co to ma być?

– Czytaj dalej – ponagliła z miną bardzo poważną.

Wzruszyłem ramionami i wróciłem spojrzeniem do słów na pergaminie.

– „W moich żyłach płynie askarlijska krew, jak w żyłach każdego Fiordanina, niezależnie od tego, którym południowym królom musieliśmy się kłaniać...” – Umilkłem, gdy z głębin pamięci wychynęło wspomnienie.

– To my – powiedziała Berrine z cichym przerażeniem. – Ty i ja, tamtej nocy w lesie. Tu jest pięć stron, a na nich każde słowo, jakie padło między nami, słowa, których wypowiedzenia prawie nie pamiętam. – Zaśmiała się, ale był to dźwięk pozbawiony wszelkiej wesołości. – Na początku myślałam nawet, że zrobiłeś mi taki żart, póki nie zrozumiałam, że to po prostu niemożliwe. Ale to co znajduje się w tej książce też jest niemożliwe. Są tam nasze słowa zapisane po kaerycku – w książce, która musi mieć setki lat.

Zamknąłem książkę drżącą dłonią, ręce Berrine drżały tak samo. Moje myśli pomknęły ku Jutowej Wiedźmie w poszukiwaniu jakiegokolwiek wyjaśnienia, ale znalazłem tylko kolejną tajemnicę. „Zatem jednak przyszedłeś do mnie na pole krwi”, powiedziała wtedy. Teraz zrozumiałem, że nasze spotkanie na Polu Zdrajców zostało przepowiedziane, a jeśli tak, czy wyczytała je w tej księdze? Czy cała ta gadanina o utraconej wiedzy była tylko wybiegiem, aby umieścić księgę w moich rękach? Dlaczego?

– Cała jest taka?

– Nie wiem. – Berrine uśmiechnęła się, ale był to raczej grymas niż uśmiech. – Pierwsze kilka stron to fragmenty rozmów pomiędzy młodym banitą a mężczyzną, który zdaje się być jego mentorem. Kiedy zrozumiałam, że tłumaczę własne słowa, przestałam. Uważam się za kobietę, której nie brak odwagi, ale... – westchnęła. – Jest wiedza, która nie powinna ujrzeć światła dziennego, przynajmniej moim zdaniem.

Raz jeszcze sięgnęła do torby i wyciągnęła kolejną książkę, nową, co oceniłem po czystości i całości oprawy. Kiedy ją otworzyłem, zobaczyłem czyste strony zapisane niechlujnym, ale wyjątkowo czytelnym pismem Berrine.

– Przewodnik do translacji starokaeryckiego, pióra Berrine Jurest – przeczytała. – Moja pierwsza autorska praca, specjalnie dla ciebie. Dzięki temu zdołasz sam dokończyć swoje tłumaczenie, aczkolwiek, choć boli to moje bibliotekarskie serce, sugerowałabym, byś wrzucił to coś do pierwszego ogniska.

Nie mogłem jej się sprzeciwić. Książka była czymś nienaturalnym, produktem plugawych praktyk pogan. Wiedziałem jednak, że prędzej sam rzuciłbym się w ogień, niż cisnął w płomień tę książkę.

– A skarb? – zapytałem, chcąc zmienić temat rozmowy na mniej niepokojący. – Znalazłaś może leże Morskiego Ogara?

Wyprostowała się odzyskując częściowo swą pewność siebie, po czym skinęła mi potakująco głową i ruchem podbródka wskazała książkę, którą miałem w ręku.

Otworzywszy jej tekst po raz kolejny, odkryłem mapę narysowaną z dokładnością, która utwierdziła mnie w przekonaniu, że ręka Berrine bardziej nadawała się do rysowania niż do kreślenia liter. Rozpoznałem na mapie o wiele dokładniejsze i bardziej szczegółowe odwzorowanie wysepek pośrodku morza Cronsheldt, które widziałem już wcześniej w kronikach piractwa opisujących wyczyny Morskiego Ogara.

– Żelazny Labirynt – powiedziałem i w tej samej chwili dostrzegłem niewielki krąg nakreślony wokół jednej z wysepek. – To tutaj?

– Odszukałam relację jakiegoś żeglarza, który służył na pokładzie statku kupieckiego przechwyconego przez Ogara.

Opisywał tam, że został zaprowadzony do ogromnej jaskini znajdującej się pod ziemią najmniejszej wysepki w łańcuchu, relacja nie wspomina wprawdzie o słynnym skarbie, ale jaką lepszą kryjówkę mógłby znaleźć Ogar?

Podniosłem wzrok znad mapy i zobaczyłem, że Berrine znów uśmiecha się ciepło.

– Jakaś część mnie chciałaby pojechać tam z tobą – powiedziała z nutą wyraźnego żalu.

– Zatem jedź – zaproponowałem szczerze. Niewątpliwie była dwulicowa, ale jakże interesującym stałaby się towarzyszem. Nie mogłem też zapomnieć o możliwości ponowienia naszych cielesnych przygód. Co w moich oczach na pewno nie było bez znaczenia.

– Nie mogę opuścić biblioteki – westchnęła i zgarbiła się lekko z rezygnacją. – Tyle kłopotów wokół w najbliższych dniach, będzie potrzebowała prawdziwego strażnika.

– W istocie, kłopotów nadciąga masa – zgodziłem się z nią. – Prawdę powiedziawszy, nie wiem nawet, jak długo jeszcze ja i moim towarzysze pozostaniemy w tym porcie. Wczesny wyjazd byłby bardzo mile widziany.

– Jeden z kapitanów morskich jest mym znajomym. To człowiek, który chętnie przyjmie na pokład dodatkowego pasażera za dodatkową opłatą.

– Dwoje pasażerów. Mam tu partnera.

– Jak sobie życzysz. Człowiekiem, którego szukasz jest kapitan Din Faud, skiper na Morskiej Wronie. To stara łajba, ale szybka, a on to stary łajdak, ale gdy dobijecie umowy, możesz mu zaufać. Kiedy go odszukasz, wspomnij mu o mnie. W przeciwnym przypadku może okazać się nieco drażliwy. A tak się składa, że wiem, że Poranna Gwiazda powinna wrócić w ciągu sześciu dni.

– Zaczynam podejrzewać, że niewiele dzieje się w tym porcie, o czym byś nie wiedziała. – Ukryłem obie książki za pazuchą tuniki. – Nie omówiliśmy jeszcze twojej ceny.

– Och – Berrine odwróciła się, by odejść – sądzę, że zapłaciłeś mi zawiązką, Alwynie Skrybo.

– Nie zapytałaś dlaczego – powiedziałem, na co się zatrzymała. Odwróciła się ku mnie, unosząc pytająco brwi.

– Dlaczego?

– Dlaczego nie będzie tu bezpiecznie. Nie pytałaś też o moje ostatnie przygody. Nie jesteś ciekawa, co znalazłem w dziczy?

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na mnie z wyrazem łagodnego zaciekawienia. Tymczasem ja wskazałem olbrzymi posąg górujący nad nami.

– Tak się złożyło, że poznałem tam człowieka, który wielce przypominał mi Ulthnira, tylko on nosił topór. Wielki kamienny topór.

– A jednak nie odniosłeś najmniejszej rany. – Berrine przechyliła głowę z uśmiechem. – Nie wszyscy południowcy, którzy spotykają Askarlijczyków mają tyle szczęścia.

– Nie powiedziałem, że był Askarlijczykiem.

Te słowa sprawiły, że jej usta drgnęły z zażenowaniem, ale nie przejęła się zbyt głęboko.

– Napotkaliśmy go krótko po tym, jak zamęczył człowieka na śmierć – mówiłem dalej i przynajmniej teraz jej rozbawiony wyraz twarzy ustąpił znacznie poważniejszemu. – Szkarłatny Orzeł, słyszałaś o tym? Poddano tej torturze człowieka, który dopuścił się najwyraźniej straszliwego przestępstwa, jakim okazało się zawieszenie wełny na sprzedaż do miasta, żeby mógł nakarmić rodzinę.

– To czyn godny pożałowania – odpowiedziała mi Berrine. – Ale na wojnie zdarza się ich tak wiele.

Przysunąłem się do niej o krok i pociągnąłem za rzemyk na szyi, by wydobyć spod ubrania jej dar.

– Miał również coś takiego – zakołysałem srebrnym węzłem przed jej oczyma. – Ciekawe, nie sądzisz?

Berrine patrzyła przez chwilę na wisiorek, po czym cofnęła się i uniosła ręce ku beznamietnej, kamiennej twarzy Ulthnira nad nami.

– Altvar-rendi mówi nam, jak to Ulthnir, pan dalekich królestw walczył w wielkiej bitwie przeciwko Heltvarom, plugawym bestiom z Otchłani Żalu. Pokonawszy je, chcąc oczyścić swą dziedzinę z ich ciał wyrzucił je wszystkie do innego świata, na tę ziemię, na której stoimy. Dlatego, gdy świat się rodził, w jego glebie, w samej jego istocie zostało zasiane zło. Z tego też wzięły się złe czyny, jakich dopuścił się człowiek i jego zła natura. Zawstydzony

tym błędem Ulthnir przysiągł chronić swoje stworzenia i śmiertelników, którzy tam żyli. Zaprzysiągł do tego zadania wszystkie swoje dzieci i wnuki. Sam uczynił się strażnikiem dworu Avenira, by za zasłoną śmierci ci najbardziej godni otrzymali zasłużoną nagrodę. Takie jest oddanie Ulthnira jego stworzeniu. I taki oto dług my śmiertelnicy u niego mamy. A czemu ty jesteś oddany, Alwynie?

Wątpiłem, by oczekiwała ode mnie odpowiedzi, więc takiej nie udzieliłem. Oczy Berrine prześlizgnęły się po zaciętych ponuro rysach Ulthnira, pomknęły do podstawy posągu, kwadratowego podestu zapisanego gęsto runami. Do dziś dnia nie wiem, czy świadomie pozwoliła sobie, aby jej wzrok zatrzymał się szczególnie długo na rzędzie liter, czy był to po prostu nieświadomy odruch zrodzony podczas lat studiowania. Z sentymentu, jaki do niej miałem postanowiłem uwierzyć w to pierwsze.

– Dobrze było cię znów zobaczyć – powiedziała i odeszła szybkim, zdecydowanym krokiem. Oczekałem, aż zniknie gdzieś w labiryncie ulic, po czym zbliżyłem się do postumentu. Runy, które tak przyciągnęły jej uwagę znajdowały się na samym końcu inskrypcji i oczywiście niczego mi nie powiedziały. Wyciągnąłem więc z kieszeni kawałek pergaminu i ogryzek węgla, po czym skopiowałem je bardzo dokładnie. Gdzieś w tym porcie, który już wkrótce znajdzie się pod oblężeniem musiał być przynajmniej jeden człowiek znający znaczenie tych znaków.



Redmaine nazywał to dźgnięciem sztukmistrza – wyjaśnił Wilhum, pukając głowicą miecza w dolną krawędź zasłony mojego hełmu. Trwaliśmy spleceni w klinczu na środku stajni Fohlvasta. Wilhum, znów w swojej pięknej, niebieskiej zbroi, ja w niedopasowanej, ale zdatnej do użytku kolekcji przedmiotów z pola bitwy, kupionych lub wykradzonych od moich towarzyszy broni. Nie mając do roboty nic innego poza żmudną musztrą i spacerami po krótkim murze, poprosiliśmy kapitan o pozwolenie na kontynuowanie nauki sztuk rycerskich.

Cieszyłem się niewymownie, że Wilhum okazał się wyjątkowo cierpliwym nauczycielem. Ponadto, sądząc po bystrości jego spojrzenia i braku woni trunku w oddechu, był teraz całkowicie trzeźwy. Prowadził mnie przez różne układy szermiercze uważną radą, a nie pogardą czy karą, które, jak wiedziałem, zabarwiły większość jego własnej edukacji. Po kilku pierwszych dniach ćwiczeń, nietrudno mi było uwierzyć, że zacząłem dorównywać jego umiejętnościom. Jednak co jakiś czas wykazywał się nagłą zawziętością lub perfidnie przebiegłą taktyką, pokazując mi jasno, jak bardzo jestem od niego gorszy.

– Wszystkie rycerskie hełmy mają swój słaby punkt – wyjaśniał, coraz mocniej naciskając głowicą na zasłonę, zmuszając mnie do wygięcia szyi pod bolesnym kątem.

Unieruchomił mnie w tej pozycji, niewyobrażalnie szybko obracając swój miecz, co docisnęło moją klingę do jego opancerzonego boku. Zbyt szybko, bym mógł za nim nadążyć, następnie zapętlil swoje lewe ramię wokół mojego prawego i przyciągnął do siebie. Mógłbym się zamachnąć i wymierzyć mu cios w głowę, ale było jasne, że jego głowica zrobiłaby co należało, zanim jeszcze bym go dotknął.

– Jeśli uderzysz wystarczająco mocno – kontynuował spokojnym tonem – oderwiesz zasłonę od przyłbicy, a może nawet zdołasz skrócić przeciwnikowi kark. – Wypuścił mnie i cofnął się o krok. – Teraz ty spróbuj.

– Te wszystkie podstępny nie wydają się szczególnie rycerskie – stwierdziłem, gdy powoli prezentował mi kolejne ruchy. Już wcześniej nauczył mnie, gdzie zbroja rycerska ma szczeliny na tyle duże, aby wrazić w nie sztylet, przy czym szczególnie upodobał sobie nieosłonięte miejsce za kolanem. Jedno cięcie i rycerz jest okulawiony.

– Wojna to zawsze podstępny – odpowiedział. – A przynajmniej tak lubił powtarzać mistrz Redmaine. Chłopi zostają podstępem skłonieni, aby podążać za sztandarem swego lorda, obietnicą łupów albo groźbą chłosty, czego mogliby uniknąć, gdyby tylko zjednoczyli się, stanęli ramieniem w ramię i powiedzieli mu, żeby się odpieprzył. Szlachcie sami siebie oszukują, mając się obietnicą chwały albo zyskaniem królewskiej łaski. A całe to rycerstwo, to największy podstęp ze wszystkich, mami nas złudzeniem, że wojna to nie jest tylko chaos, rzeź i cierpienie.

– Wesoły człowiek.

– O nie, był nieszczęśliwą, okrutną świnia najgorszego rodzaju. Ale miał przebliski mądrości.

Krótko po tym ćwiczyliśmy z pałkami, które Wilhum wykorzystywał jako odpowiednik długiego miecza. Szybko dotarło do mnie, że przez tych kilka pierwszych dni traktował mnie ulgowo, bo w miarę kolejnych lekcji rezygnował z łagodności i to coraz gwałtowniej. Dzięki umiejętnościom nabytym w licznych bójkach udawało mi się utrzymać na nogach przez kilka pierwszych ciosów, ale Wilhum niezmiennie znajdował sposób, by posadzić mnie na dupie. Mimo to wiedziałem, że moje umiejętności rosną, a miecz nie

był już nieporęcznym kawałkiem żelaza, jak na początku nauki. Gdybym miał dość czasu na ćwiczenia, to mógłbym dorównać Wilhumowi lub osiągnąć poziom, który dałby mi szansę na przeżycie prawdziwego pojedynku z rycerzem o podobnych umiejętnościach. Czas jednak działał na naszą niekorzyść. Za trzy dni miałem poszukać kapitana statku, znajomego Berrine i wykupić sobie ucieczkę z tej kompanii i niepewnej sytuacji.

Rozwahałem, czy nie zaprosić Wilhuma, by we właściwym momencie dołączył do mnie i Torii, ale wiedziałem, że tylko marnowałbym czas. On i Evadine spędzali teraz większość wieczorów na rozmowach w odosobnieniu, często radząc się sierżanta Swaina. Bez wątplenia planowali obronę portu, co oznaczało, że Wilhum stał się praktycznie jednym z dowódców tej kompanii. Nadal miał równie niską rangę, jak ja, ale wolno mu było wygłaszać opinie w obecności Evadine i suplikantów bez obaw o karę. Nie oczekiwano też od niego, że będzie im oddawał honory.

Od powrotu z naszego rekonesansu zachowanie Evadine nie ociepliło się jakoś szczególnie, w jej spojrzeniu nadal jasno płonął oskarżycielski wyrzut. Nie odczuwała jednak potrzeby zastosowania kolejnej, zagrażającej życiu kary, a to już była jakaś poprawa. Ponadto, zgoda, jaką bez oporów wyraziła na porzucenie przeze mnie rutynowych obowiązków żołnierza, by szkolić się pod okiem Wilhuma, była hojnym darem, którego nie otrzymał żaden z moich towarzyszy. Być może mi wybaczyła, a przynajmniej uznała za godnego szansy na odkupienie tego nagannego zaufania pogańskim zwyczajom. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, a przynajmniej tak sądziłem do momentu, gdy jeden ze sług Fohlvasta przebiegł z oczyma wytrzeszczonymi w panice.

– Przybyli, mój panie! – krzyczał, w panice wymachując rękami w sposób, który normalnie uznałbym za komiczny. Potknął się i zatrzymał pod oknem Fohlvasta, z żalnym, rozpaczliwym krzykiem. – Potwory z północy już tu są!



– Trzysta czterdzieści osiem – zameldowałem i nie zdołałem przy tym pozbyć się z głosu tonu bolesnego rozczarowania, po czym oddałem lunetę Evadine. Askarlijska flota wyłoniła się z mgły jakieś trzy mile przed wejściem do portu, zwielokrotniony plusk rzucanych kotwic zaanonsował ich obecność lepiej niż jakiegokolwiek fanfary.

– Jak powiedział żołnierz Dornmahl, niektóre są większe, niektóre mniejsze, ale wszystkie głęboko zanurzone.

– Czyli w pełni obciążone – podsumował sierżant Swain, taksując flotę spojrzeniem spod przymrużonych powiek. – Starosta miał rację, skrzyknęli przeciwko nam dwadzieścia tysięcy mieczy. I wygląda na to, że nie zamierzają zrobić nam tej przyjemności i nie próbują zdobyć miasta od strony muru.

– A jednak nie mają gdzie wylądować – stwierdziła z zadumą Evadine. Nie sprawiała wrażenia szczególnie zmartwionej, brew zmarszczyła ze zmieszaniem raczej niż z troską. – Brzegi fiordu są zbyt strome, by mogli tam wylądować nawet podczas przypływu. Mogliby atakować bezpośrednio port, ale z zablokowanym ujściem musieliby przejść przez nabrzeże, które jest równie łatwo obronić jak mur.

– Być może oni wcale nie zamierzają atakować – wtrącił Wilhum. – Tak długo, jak pozostaną w głębi fiordu żaden statek handlowy nie opuści, ani nie wpłynie do miasta. Żaden statek rybacki nie wyruszy na połów.

Swain mruknął z aprobatą.

– Czyli blokada. Ten ich tielwald zamierza wziąć nas głodem.

– A to rodzi pytanie o stan naszych zapasów, lordzie Fohlvaście. – Evadine zwróciła się do starosty.

Tego dnia wydawał się o wiele bardziej opanowany, stał wyprostowany z wyrazem spokojnej pewności na przystojnym obliczu. Jednakże zauważyłem, że twarz jego była o ton bledsza niż zwykle i uznałem jego minę za wyraz intensywnych ćwiczeń przed lustrem.

– Mamy dość zboża, peklowanego mięsa i innych zapasów, by przetrwać lato i zimę – odrzekł tonem równie wystudiowanym jak wyraz twarzy – a nawet dłużej, jeśli będziemy racjonować. Jeśli ten pies Siostrzanych Królowych myśli, że może zubożyć moje miasto, to się mocno rozczaruje. – Pociągnął nosem, prostując plecy i machnął

lekceważąco w stronę askarlijskich statków. – Sądzę, że prędzej oni będą głodować. Niech tam siedzą i gotują się w swoim pogańskim smrodzie. Zimą Fiord Aeryka staje się drogą dla gór lodowych, które oderwały się z lodowca na wschodzie. Tylko największy głupiec pozostałby tam na kotwicy, zatem jeśli burczenie w brzuchu nie przekona ich do odwrotu, to perspektywa dziur w kadłubie na pewno.

– Miesiące siedzenia tutaj na tyłku to też nic przyjemnego, kapitanie – odezwał się Swain. – W porcie jest mnóstwo łądzi, pozwól, że wezmę kilkanaście i pod osłoną nocy podpłynę i rozpalę kilka ognisk na tych kadłubach. Coś takiego na pewno poprawiłoby nastroje w kompanii.

Evadine zastanawiała się jedynie przez chwilę, po czym skinęła głową przyzwalająco.

– Bardzo dobrze, sierżancie. Ale pamiętaj, tylko ochotnicy. – Jeśli miałem jakiegokolwiek nadzieje, że jej uczucia w stosunku do mnie ociepliły się nieco, to nadzieje te wyparowały, kiedy jej wzrok padł na mnie. – Co ty na to, Skrybo? – zapytała, unosząc brwi z lekkim uśmiechem oczekiwania na wargach. – Co powiesz na jeszcze jedną szansę starcia z poganami?

Czy ona myśli, że jestem zdrajcą? Zacząłem zastanawiać się czy mój bezpieczny powrót nie wzbudził jakichś jej podejrzeń. Ale przecież Wilhum też powrócił nietknięty i jemu jakoś nie miała tego za złe. Po prostu jest złośliwa, uznałem i aż mnie szczęka zabolęła, tak mocno ją zaciskałem, gdy ukloniłem się i uniosłem dłoń do czoła.

– Jak każe Przymierze – odpowiedziałem.



Ochotniczy oddział Swaina liczył sobie trzydziestu ludzi. Piwowara i Torii nie dało się odwieść od zgłoszenia się na ochotnika, gdy tylko dowiedzieli się, że będę brał udział w owym szaleństwie. Wilhum również do nas dołączył i ku mojemu zdumieniu pozwolono na to także Ayin.

– Ona bardzo pragnie dowieść swej odwagi i oddania Przymierzu – rzekła kapitan w odpowiedzi na mój zdecydowany sprzeciw. – Kim jestem, by jej tego zabraniać?

Ochotnicy zebrali się na nabrzeżu, odziani jedynie w najlżejsze elementy zbroi. Każda twarz i każde ostrze zostały przyciemnione sadzą i wolno było używać tylko przygaszonych latarni.

Ayin sprawnie i zręcznie wskoczyła do jednej z trzech długich łodzi, które miały nas powieść ku przeciwnikom. Patrzyłem, jak usadawia się na dziobie i odwraca, by pomachać radośnie w stronę Evadine i moją.

– Ona wciąż jest szalona – powiedziałem. – Mniej szalona niż była, to pewne, ale jej umysł jest zepsuty. Wątpię czy bitwa mu pomoże.

– Powinieneś mieć więcej wiary w swych towarzyszy – odpowiedziała Evadine cicho, ale tonem, w którym brzmiała znajoma mi już twardość. – Po prawdzie, Skrybo, uważam, że brak ci wiary pod wieloma względami.

Miałem już na końcu języka pełną emocji odpowiedź: pierdolić wiarę, ale zdołałem ją jakoś powstrzymać.

– Rozumiem twą chęć ukarania mnie, pani kapitan – odparłem z wymuszonym spokojem. – Ale nie powinno to tyczyć moich przyjaciół.

– Dlaczego uważasz, że to kara? – Spojrzała na mnie pytająco z szeroko otwartymi oczami. – Cóż mógłbyś takiego uczynić, żeby zasłużyć na takie traktowanie?

Więcej jeszcze niemądrych słów niemal wybiegło mi na usta i po raz kolejny udało mi się je powstrzymać, tym razem jednak z dużo większym trudem.

– Nie przeproszę za ocalenie życia Piwowarowi – oznajmiłem – nieważne czy stało się to przy użyciu pogańskich środków, czy jakichkolwiek innych.

– A co z jego duszą? Sądzisz, że Serafilowie pozwolą mu przejść przez Portale, teraz, kiedy został tak skalany?

– Pismo mówi, że łaska Serafilów nieskończona jest w swej wyrozumiałości. Być może to ty, pani, powinnaś mieć więcej wiary w nich.

Gniew skłonił mnie do przekroczenia granic i spodziewałem się ostrej nagany i polecenia, bym wrócił do szeregu, może nawet rozkazu dla Swaina, by zakuł mnie w kajdany. Tymczasem na twarzy Evadine gniew pojawił się jedynie na moment. Jej czoło zmarszczyło się, po czym wygładziło, gdy opuściła głowę, zamykając oczy i powoli nabrała powietrza.

– Wiem, dlaczegoś uczynił coś uczynił – rzekła i otworzyła oczy, a ja ze zdumieniem dostrzegłem w nich bardziej lęk niż złość – i w swej mądrości Serafilowie uznali za słuszne pokazać mi wiele z tego, co jeszcze uczynisz, Alwynie Skrybo. Wiedz zatem, że to... – wskazała na przygotowane łodzie – nie jest kara.

Zlustrowała moją twarz z intensywnością, która zbiła mnie z pantafelki jeszcze bardziej niż jej strach, jak nigdy zabrakło mi słów i patrzyłem tylko w bezradnym milczeniu, gdy ona zbliżyła się do mnie i zajrzała w oczy spod przymrużonych powiek.

– To co mi pokazują jest często... niejasne, a nawet sprzeczne. Zobaczyłam zarówno triumf, jak i porażkę na Polu Zdrajców, zobaczyłam jak Rada Luminarzy śmieje się ze mnie i błogosławi mnie, gdy poprosiłam ich o pozwolenie zebrania tej kompanii. Teraz Serafilowie zsyłają mi wizje ciebie... i mnie. – Uniosła dłoń ku mojej twarzy. – Czasem my...

Ciche kasznięcie Swaina sprawiło, że jej dłoń zamarła w pół drogi. Evadine zamrugnęła, cofnęła rękę i zrobiwszy krok w tył odwróciła się do sierżanta z uśmiechem.

– Gotowi do wypłynięcia, suplikancie sierżancie?

– Łodzie pełne, wszyscy są chętni dobrać się do skóry poganom, kapitanie.

Nie wiem co mnie bardziej zaniepokoiło, czy błysk pełnej zdumienia podejrzliwości, który Swain usilnie starał się ukryć, czy całkowity brak ironii w jego głosie.

– Bardzo dobrze – pochwaliła Evadine. – Zbiorę całą kompanię w porcie na wypadek, gdyby Askarlijczycy okazali się na tyle głupi, by za wami pogonić, gdy już skończycie.

Zanim odeszła rzuciła mi jeszcze spojrzenie. Twarz miała zastygłą, pozbawioną wszelkich emocji. Mieszanina strachu i wątpliwości sprawiła, że odprowadziłem ją wzrokiem, a niepokój, który czułem zmienił się w ohydnie lodowaty strach. Coś złego miało

stać się tej nocy, coś o wiele gorszego niż perspektywa wiosłowania w ciemności, by stawić czoła tysiącom Askarlijczyków.

– Przestań się gapić i wsiadaj, Skrybo – burknął Swain, gdy wysoka sylwetka kapitan utonęła w mroku. Mógłbym bez trudu przeszyć mu pierś mieczem, gdy go mijałem. Widok, jak miota się i chłapie w portowych wodach byłby właściwie wart tych wszystkich ponurych konsekwencji. Nie zrobiłem tego jednak. Intuicja podpowiedziała mi, że jeszcze tej nocy będę wdzięczny za umiejętności sierżanta.



W Fiordzie Aeryka przyływ cofa się tuż po północy, tworząc przy tym powolny prąd, który pozwala łodzi wypłynąć z portu bez pomocy wiosła. Oczywiście my mieliśmy wiosła. Miały zostać wsunięte w dulki i pracować gorączkowo w trakcie powrotu, ale do askarlijskiej floty zbliżaliśmy się w pełnej napięcia ciszy, którą mącił jedynie plusk wody uderzającej o burty. Tej nocy księżyc był cieniutkim sierpem, dryfującym wśród chmur, co znaczyło, że łodzie nasze były praktycznie trzema cieniami pośród mrocznych wód fiordu.

Wszyscy siedzieliśmy skuleni pod czarnymi płaszczami. Ostrza tkwiły jeszcze w pochwach, bo nie były potrzebne, ci z nas, którzy siedzieli w głównej łodzi otrzymali po tuzinie dzbanków wypełnionych olejem do lamp. Kiedy kadłub pierwszego langskipa znajdzie się w zasięgu rzutu, mieliśmy rozbić garnki o deski okrętów, a ci w łodziach za nami zapalić pochodnie i dopilnować, by forpocztą askarlijskiej floty stanęła w ogniu. Jeśli dopisałoby nam szczęście i wiatr, płomienie mogły też przenieść się na pozostałe statki.

Był to wcale sprytny plan i bez względu na to, jaki miał nas spotkać los, to z pewnością zapewnilibyśmy naszej kapitan pewnego rodzaju zwycięstwo. Nie martwiło mnie, czy zdołamy podpalić kilka statków, martwiło mnie raczej, czy zdołamy wrócić do portu, gdy już Askarlijczycy zostaną obudzeni. Wiedziałem, że Swain uważa, iż nasze życie w zamian za bezpieczeństwo portu to całkiem niezła

wymiana, ale ja byłem odmiennego zdania. I tak, gdy zbliżaliśmy się do pierwszej linii statków uniosłem brzeg płaszcza, by zyskać lepszy widok. Miałem nadzieję, że wypatrzę, a może zostanę wypatrzony przez stojącego na straży czujnego wojownika. Zobaczywszy go miałem zamiar zrobić wszystko, aby przykuć jego uwagę i skłonić go do podniesienia alarmu, co z kolei zmusiłoby nas do przerwania tej samobójczej wyprawy. Niestety, żaden bystrooki Askarlijczyk nie stał na warcie przy zakrzywionym relingu najbliższego langskipa. Więcej nawet, wydawało mi się, że nikogo tam nie ma. Załoga tego statku nie zadbała nawet o tak podstawowy środek ostrożności jak umieszczenie pochodni na dziobie i rufie. Dotarło do mnie, że cała askarlijska flota spowita jest w bezruchu i ciemności.

– Przygotujcie się – szepnęła Swain i w łodzi zaszurało, gdy moi towarzysze przygotowywali swoje dzbanki. – Czkaście na rozkaz.

Z dziobu askarlijskiego langskipa sterczała jaskrawo pomalowana rzeźba przedstawiająca drapieżnego ptaka. Gdy rozwarty dziób zakolysał mi się nad głową, a nasza łódź stuknęła głóśno o burtę wrogiego statku, brak jakiegokolwiek reakcji sprawił, że w mojej głowie rozdzwonił się alarm. Nie tylko nie było wartowników i pochodni, ale nawet dźwięków dochodzących z langskipa, jeśli nie liczyć cichego poskrzypywania desek i lin.

– Stój – powiedziałem do Swaina, gdy ten otworzył usta, by wydać rozkaz. – Coś jest nie w porządku.

– Przygotuj się do rzutu, Skrybo – syknął sierżant. – Kapitan może tolerować twoje niezdiscyplinowanie, ale ja nie...

Nie czekałem, aż skończy, wstałem, zrzuciłem płaszcz i zawołałem w stronę langskipa:

– Jest tam kto?

Zamiast rzędu uzbrojonych wojowników nad relingiem ukazała się jedynie samotna blada twarzyczka. Wychynęła, mrugnęła dwukrotnie wielkimi pełnymi strachu oczami i zniknęła, po czym usłyszeliśmy pełen napięcia szept dwóch młodziutkich głosów.

– A żeby cię Zatrata, Skrybo! – wybuchł Swain, gdy skoczyłem z łodzi i obiema rękoma złapałem się relingu langskipa. Przelazłem niezgrabnie przez krawędź burty i stanąłem na pokładzie uginając kolana i sięgnąłem do rękojeści miecza. Miałem już go obnażyć, ale

znieruchomiałem na widok dwóch chłopców stojących zaledwie kilka kroków dalej.

Obaj mieli jasne włosy pozaplatane w warkocze jak askarlijscy mężczyźni, ale niewiele w nich było dzikości wojowników. Mniejszy mógł mieć około dziesięciu lat, większy najwyżej dwanaście i to ten większy zareagował pierwszy, po tym jak on i jego towarzysz wymienili pełne wahania spojrzenia. Chłopiec wyciągnął zza pasa mały nóż, otworzył usta w całkiem niezłej próbie wyzywającego ryku i rzucił się na mnie, próbując uderzyć z nad głowy z większą dozą entuzjazmu niż umiejętności.

– Wystarczy tego – huknąłem, łapiąc go za nadgarstek i podniosłem do góry. Nóż wypadł mu z dłoni, gdy zacisnąłem palce. Rozejrzałem się po pustym pokładzie. – Gdzie reszta twoich? – zapytałem, na co chłopak łypnął na mnie wrogo i splunął. Przeniosłem spojrzenie na statek zakotwiczony zaledwie tuzin jardów od portu. Na tamtym pokładzie też nie było ani jednego członka załogi, tylko trzy małe postacie. Spojrzałem w drugą stronę i tam ujrzałem to samo.

Z chłopcem zwisającym w moim uścisku zawołałem przez reling:

– Coś tu śmierdzi, sierżancie, na statkach nie ma nikogo poza szczeniętami jak on.

Odpowiedź sierżanta niewątpliwie pełna wściekłości utonęła w głośnym, niemalże niedźwiedzim ryku dochodzącym od rufy. Z cienia wynurzył się większy kształt. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest to rzeczywiście niedźwiedź. Kudłata głowa i pokryte futrem barki zdawały się to potwierdzać. W następnej chwili dostrzegłem topór.

Odrzuciłem chłopca na bok, odsuwając się zarazem od relingu i dobyłem miecza. Szarżujący topornik natychmiast skrzył w moją stronę, podnosząc broń nad głowę. Nie przestawał ryczeć ochryple, choć silnym głosem, który urwał się nagle na wysokiej nucie zaskoczenia, gdy Piwovar przeskoczył przez reling i kopnął topornika w plecy. Woj padł na pokład twarzą w dół, upuszczając przy tym topór. Spróbował wstać, stękając przy tym z wysiłku, ale Piwovar przygwoździł mu kark kolanem i przyłożył sztylet do skroni.

– Jeszcze go nie zabijaj – powiedziałem.

– Co to ma być? – zapytał ostro sierżant Swain, włączając na pokład. Jego gniew stłumiła nieco ta zdumiewająca sytuacja, ale łąpał na mnie z wściekłością, która zapowiadała bolesne konsekwencje.

– Nie ma tu ani jednego wojownika – powiedziałem, stukając lekko czubkiem buta w głowę przygwożdżonego topornika. Dostrzegłem, jak bardzo siwe miał włosy i jak głębokie zmarszczki otaczały oko, którym na mnie spoglądał. – Jeśli nie liczyć jego, a on na moje jest co najmniej dziadkiem.

Zobaczyłem jak gniew na twarzy sierżanta ustępuję powinności, gdy ten rozglądał się po pokładzie tego i sąsiednich langskipów. Ayin i Toria też weszły na pokład. Pierwsza wiedziona, jak założyłem, czystą ciekawością, druga natomiast możliwością znalezienia łupu. Wilhum zjawił się tuż za nimi, on również się rozejrzał, ale jego mina wyrażała zrozumienie raczej niż zdumienie. Przykucnął i spojrział w szczelinę pomiędzy deskami pokładu i mruknął coś tonem potwierdzenia.

– Kadłub wypełniony jest świeżo ściętym drewnem – oznajmił ponuro. – Dlatego są tak głęboko zanurzone. A skoro wojowników nie ma tutaj, to chyba oczywiste, że atakują gdzie indziej.

Na moment rozproszyła mnie Ayin, podskoczyła ku dwóm askarlijskim chłopcom, którzy tulili się do siebie u podstawy masztu z oczyma wypełnionymi czystym przerażeniem.

– Hej – zagadnęła, jak zawsze zainteresowana szczeniakami. – Jak wam na imię? – Skrzywiła się z urazą, kiedy w odpowiedzi otrzymała jedynie zdziwione spojrzenia pełne podejrzliwości. – Nie bądźcie niegrzeczni – powiedziała, wyciągając rękę, by pogłaskać młodszego chłopca. – Mam na imię Ayin...

Urwała, bo Toria doskoczyła do niej, złapała w pasie i powaliła na pokład na ułamek chwili przed tym, jak salwa strzał świsnęła w powietrzu. Pocisków było kilka tuzinów, nieszczególnie dobrze wycelowanych, ale i tak zmusiły nas do szukania schronienia. Schowałem się za beczką i skrzywiłem, gdy strzała odbiła się od żelaznego pierścienia, sypiąc przy tym iskrami. Uniosłem nieco głowę i zobaczyłem kolejnego siwowłosego staruszka, który napinał łuk na sąsiednim statku. Za nim kilku

więcej dziadków robiło dokładnie to samo. Byli zbyt nieliczni i zbyt starzy na bitwę, ale najwyraźniej nie zamierzali poddać się bez walki.

I w tej właśnie chwili zupełnie nowy dźwięk potoczył się echem po wodach fiordu. Natychmiast spojrzałem ku miastu i zobaczyłem olbrzymią chmurę pyłu u podstawy góry Halthir, dokładnie tam, gdzie stały posągi askarlijskiego panteonu. Ten dziwny dźwięk przypominał głośny szum wodospadu, był jednak znacznie ostrzejszy i towarzyszyły mu liczne nakładające się na siebie łupnięcia, z czego wywnioskowałem, że coś ciężkiego uderza w bruk ulicy. Chmura pyłu była gęsta, jednak tylko częściowo oświetlona przez pochodnie w mieście, ale i tak zdołałem dostrzec przewracający się wielki kształt.

– Ulthnir, posąg Ulthnira – szepnąłem.

– Co się dzieje, na Męczenników? – Sierżant Swain na wpół podniósł się zza zwoju liny, za którym się chował. Wyglądał zupełnie jak nie on, bowiem twarz wykrzywiły mu zdumienie i strach. Mnie z kolei ogarnęło zrozumienie, gdy posąg upadł wreszcie z hukiem tak wielkim, że aż wstrząsnęło statkiem. Sięgnąłem do kieszeni i pospieszyłem do Piwowara, który wciąż trzymał starego Askarlijczyka. Na szczęście wyglądało na to, że dziadkowie-łucznicy na innych langskipach byli równie zdumieni jak ja upadkiem kolosa. Bo żaden z nich do mnie nie strzelił.

– Co tu jest napisane? – zapytałem rozwijając pergamin przed twarzą Askarlijczyka. Ten lekko zmrużył oczy, wyraźnie zrozumiałwszy zapisane runami słowa, ale jego twarz pozostała kamienna, a usta zaciśnięte.

– Wilhum! – krzyknąłem, nie odrywając spojrzenia od starca, i wskazałem chłopców nadal kulących się przy maszcie. – Powiedz temu staremu skurwysynowi, że jeśli nie powie mi co to znaczy, to poderżnę gardła tym dwóm smarkaczom.

Starzec najwyraźniej znał albermański na tyle, by zrozumieć co mówię, bo warknął z wściekłością, próbując wstać.

– Tchórzliwy kundel z południa – zachrypiął przez zaciśnięte zęby. – Wypowiada wojnę dzieciom.

Złapałem go za włosy i przytrzymałem pergamin przed nosem.

– Mów, co tu jest napisane, to nie będę musiał.

Stary wojownik dyszał z wściekłością rozdymając nozdrza, a gdy wreszcie odpowiedział, usłyszałem w jego głosie wyraźne nuty zadowolenia:

– Ulthnir upada, aby Askar mógł powstać. To jest tu napisane, ty ospowaty synu kurwy.

– Nie mam ospy – mruknąłem w odpowiedzi, puściłem starucha i odwróciłem się, by ponownie spojrzeć na miasto. Pył przesłonił większość budynków szarym całunem, zza którego słychać było niezliczone okrzyki i wrzaski. Ulice najbliższe górze rozjarzyły się na pomarańczowo, najprawdopodobniej ogień rozprzestrzenił się w ruinach zmiądzonych domów, ale ja mogłem myśleć tylko o rysunkach i notatkach przyczepionych do ściany w komnacie Berrine. I o tym, jak jej wzrok zatrzymał się na podstawie posągu Ulthnira: Ulthnir upada, aby Askar mógł powstać.

– Sierzancie Swain! – Spojrzałem w kierunku, z którego dochodził głos suplikantki Ofili i zobaczyłem dwadzieścia łodzi zbliżających się szybko od strony portu. Ofila stała na dziobie pierwszej z nich z rękoma wokół ust.

– Kapitan przesyła rozkazy! – krzyknęła. – Mamy przejąć tyle statków, ile zdołamy i popłynąć do domu.

– Gdzie ona jest! – odkrzyknął Swain.

– Wciąż na brzegu, powiedziała, że dogoni nas, kiedy będzie gotowa i mamy się nie ociążać.

– Zostawiłaś ją?!

– To był jej rozkaz! – Zobaczyłem, jak Ofila wzrusza bezradnie potężnymi barkami.

– Powiedziała mi, że miała wizję – oznajmiłem, sprawiając, że Swain spojrzał mi prosto w oczy. Po drganiu, jakie przebiegało jego nieruchomą twarz wywnioskowałem, że mam przed sobą człowieka, który przywołał całą samodyscyplinę, na jaką było go stać.

– Wizję czego? – zapytał

Potrząsnąłem głową.

– Nie zdradziła szczegółów... – przerwałem, żeby raz jeszcze spojrzeć na port. Krzyki z za pyłowej chmury stały się głośniejsze.

W krzykach tych, których czeka rzeź, brzmi taka szczególna nuta i gdy raz się ją usłyszało, nie można jej zapomnieć. Nagle,

z niezachwianą pewnością wiedziałem, że ogień to nie jedyne niebezpieczeństwo, kryjące się w obłoku pyłu.

„Wiedz, że to nie jest kara”, powiedziała mi Evadine.

– Ona chyba spodziewa się, że tam zginie – powiedziałem Swainowi. – Próbuje oszczędzić nam jej losu.

Zobaczyłem, jak Swain odzyskuje nad sobą panowanie, na moment opuścił głowę, prostując przy tym plecy i cała jego niepewność zniknęła bez śladu. Spojrzał na mnie i wygłosił jedyne przekleństwo, jakie usłyszałem z jego ust:

– No chyba do tego, kurwa, nie dopuścimy, co?



W porcie panował chaos. Tłum ogarniętych paniką mieszczan tłoczył się na nabrzeżu, starając się dostać na pokład jednego ze statków kupieckich lub łodzi rybackich. Zamorscy kupcy jednak równie mocno chcieli odpłynąć, a ich załogi były tłum kijami i bosakami, nieustannie posyłając do wody krzyczących ludzi. Rybacy wykazali się większym zrozumieniem. Minęło nas kilka rybackich stateczków, a ich pokłady były pełne mieszczan ściskających tobołki z kosztownościami, które udało im się zebrać przed ucieczką z portu skazanego już na zagładę.

– Askarlijczycy wyleźli z góry! – odrzyknął jeden z rybaków na pytanie Swaina. – Tysiące tych łajdaków! Zabijają wszystkich, których znajdą!

Jego słowa sprawiły, że mocniej napaarliśmy na wiosła, nie czekając nawet na rozkaz Swaina. Rozkazał Ofili, by wzięła dwie trzecie kompanii i zaczęła przejmować wyładowane drewnem langskipy, uporawszy się z utrapieniem w postaci starych łuczników. W naszych szeregach mieliśmy kilku byłych marynarzy, którzy otrzymali rozkaz przygotowania statków do wypłynięcia.

– Jeśli nie wrócimy do świtu... – zaczął Swain, ale Ofila zeszytniała i weszła mu w słowo, co jej się zwykle nie zdarzało.

– To zejdziemy na brzeg i was znajdziemy, suplikancie sierżancie. Nie odpłyniemy bez lady Evadine.

W pięć łodzi wcisnęło się około stu żołnierzy kompanii, niewielka siła przeciwko tysiącom opętanych rządzą krwią dzikusów z północy, ale wiosłowaliśmy ku wybrzeżu z niegasnącą energią. Niewątpliwie spłaciłem swój dług wobec Evadine Courlain na Polu Zdrajców i wciąż jeszcze chowałem do niej urazę za wysłanie mnie na niemal śmiertelny zwiad, ale wioslowałem z taką samą zaciętością, co pozostali, bo nie potrafiłem nawet myśleć o tym, by pozostać z tyłu.

Toria, dla odmiany oddaliła się, gdy tylko zamiary Swaina stały się jasne. Rzuciła mi zrozpaczone, a zarazem zde gustowane spojrzenie, po czym odciągnęła Ayin ku beczkom ustawionym na rufie statku, ignorując całkowicie błagalne zawołanie tamtej.

– Ale ja chcę pomóc przywieźć kapitan...

– Zamknij się, ty obłąkana suko!

Nabrzeże tak było nabite ludźmi, że Swain rozkazał nam wywalczyć sobie drogę w głąb miasta. Piwowar stanął na czele tego starcia, poprowadził grupę żołnierzy, którzy odwrócili swoje halabardy i bili ludzi drzewcami, aż tłum się wreszcie przerzedził. Nawet spanikowani mieszczanie mieli dość rozsądku, by potem trzymać się od nas z daleka.

Swain zostawił dwudziestu żołnierzy na straży łodzi, po czym zatrzymał się, by spojrzeć na spowite dymem ulice.

– Utworzyć grot! – szcze knął.

To była jedna z nowszych formacji, których uczyliśmy się podczas marszu na północ. Składała się z wąskiego trójkąta halabardników poprzedzającego podstawę utworzoną z dwóch szeregów żołnierzy uzbrojonych w miecze i sztylety. Została pomyślana tak, by przebić linię wroga szybkim, skoncentrowanym uderzeniem, a miecze i sztylety stanowiły dopełnienie, zbierały śmiertelne żniwo wśród chaosu następującego po tym ataku. Piwowar ustawił się na czele, podczas gdy Wilhum i ja stanęliśmy z obnażonymi mieczami obok Swaina, w podstawie.

– Jak ją tam znajdziemy? – zapytał Wilhum, ruchem głowy wskazując dym zasnuwający ulicę przed nami. Nie widzieliśmy nic poza przemykającymi cieniami, ale niecichnący chór krzyków mówił nam wystarczająco wiele. Od czasu do czasu rozlegał się szcze k broni i inne odgłosy charakterystyczne dla bitwy. Ktoś nadal walczył.

– Pójdziemy tam, gdzie walka jest największa – odparł Swain, po czym dodał swoim głosem sierżanta: – Biegiem marsz! Naprzód!

Dym połknął nas w mgnieniu oka, zasłonił wszystko, co znajdowało się dalej niż kilka stóp przed naszymi nosami. Mimo to utrzymywaliśmy szyk dzięki połączeniu determinacji i surowej dyscypliny. Mieszkańcy miasta mijali nas przez cały czas, niektórzy, gnani przerażeniem, wpadali w nasze szeregi i byli odsuwani na bok. Inni błagali rozpaczliwie o pomoc lub ochronę. Jeden człowiek, zamożny kupiec, sądząc po jego gronostajowym płaszczu i pięknym ubraniu, przez pewien czas siedł z nami, z otwartą sakiewką w wyciągniętej ręce. Łzy spływały po jego mięsistej twarzy, gdy bełkotliwie obiecywał nam bogactwa w zamian za zapewnienie mu bezpiecznej ucieczki z miasta. Nie zwróciliśmy na niego uwagi większej niż na pozbawioną butów kobietę kilka ulic dalej, która tuliła kwilące żałośnie dziecko i przeklinała nas, gdy zignorowaliśmy jej prośby.

Wrażenie, że oto wkroczyliśmy do krainy koszmarów, pogłębiło się jeszcze na widok ciał. Doszedłszy do kilkunastu, przestałem liczyć trupy. Martwi leżeli na śliskim od krwi bruku, pomordowani bez względu na wiek czy płeć. Niektórzy mieli rozległe rany od topora, inni nie mieli widocznych obrażeń, ale nadal obficie krwawili. Często myślałem, że opowieści o krwi płynącej po ulicach, gdy miasto zostaje złupione, są drastycznie przesadzone, ale tamtej nocy widziałem to na własne oczy.

Na pierwszych Askarlijczyków natknęliśmy się, gdy Swain kazał nam skręcić w jedną z szerszych ulic, na obrzeżach dzielnicy kupców. Podążał za bitewnym zgiełkiem, który, co zauważyłem z niemałym zaskoczeniem, wiódł nas coraz bliżej ku podstawie góry Halthir. Za rogiem natrafiliśmy na kilkunastu askarlijskich wojowników, którzy rąbali zbitą cizbę, głównie mieszczan, ale też kilku żołnierzy. Na nasz widok Askarlijczycy zaprzestali rzezi i wlepili w nas oczy, z wyraźnym zdumieniem obserwując, jak zbliżamy się równym krokiem. Widząc, że nie rzucają się do ataku, ani do ucieczki, zastanawiałem się, czy są pijani krwią, czy po prostu pijani. Było jasne, że nie spodziewali się nas zobaczyć, ponieważ dopiero gdy dzieliło nas od nich kilka ostatnich kroków, wojownicy wydali zbiorowy okrzyk wojenny i zaatakowali.

Walczyli z prawdziwie imponującą zaciekłością, równe wrażenie robiła straceńcza odwaga, zdawali się bowiem zupełnie nie dbać o własne życie, ale teraz mieli do czynienia z prawdziwymi żołnierzami, a nie najemnikami Fohlvasta czy bezbronnymi cywilami. Ponadto tym razem my mieliśmy przewagę liczebną. Halabardnicy bez większego trudu ścięli wszystkich, kosztem kilku zaledwie drobnych ran i nasz grot ruszył dalej. Kolejne starcia były jednak coraz trudniejsze, gdyż coraz więcej Askarlijczyków zaczynało zdawać sobie sprawę, że wtargnęliśmy w ich radosną rzeź.

Z zaułka wyłoniło się trzech toporników. Udało im się porąbać dwóch halabardników, zanim wreszcie padli pod ostrzami pozostałych. Mądrzejsi wrogowie zadowalali się strzelaniem do nas z dachów, udało im się zabić kilku, zanim opuściliśmy dzielnicę kupców i ujrzeliśmy scenę całkowitego zniszczenia. Ulice w bezpośredniej okolicy parady posągów zostały całkowicie zniszczone, budynki zamieniły się w stopy gruzu, brzydkie kopce usiane były trupami i pokryte plamami ognia. Granitowy monolit, który niedawno jeszcze był Ulthnirem, leżał rozbity na pięć ogromnych kawałków.

Swain zatrzymał oddział kilkanaście kroków przed wielką, kamienną głową Ulthnira, ogromne oczy powalonego boga patrzyły na nas z szyderczą satysfakcją, a przynajmniej ja miałem takie wrażenie. Za nim widziałem ogromne pęknięcie w strukturze góry, czarny, poszarpany trójkąt, przez który napływali Askarlijczycy. Otwór był wąski, a znajdujący się w nim tunel prawdopodobnie sięgał aż do północnego zbocza. Błędnie założyłem, że wszystkie siły najeźdźców były już w mieście, teraz zrozumiałem, że to tylko awangarda. Główna część askarlijskiej armii dopiero teraz dołączyła do walki.

Przed wylotem tunelu, na największym kopcu gruzu toczyła się zacięta walka, w której blisko stu żołnierzy zmagало się z wojownikami z północy. Askarlijczycy zupełnie nie dbali o porządek w szeregach i nie bacząc na swoje bezpieczeństwo rzucali się dziko na kordon, utworzony przez zbrojnych na zboczach kopca, w którego centrum stała wysoka, opancerzona postać z długim mieczem.

– Do kapitan! Biegiem! – szczechnął Swain, zmuszając nas do zwiększenia tempa, tak bardzo, jak było to możliwe przy zachowaniu formacji. Odległość do kopca, gdzie walka z każdą sekundą stawała się coraz bardziej zacięta, wynosiła co najmniej sto kroków. Gruzy pod nogami i gęste obłoki dymu opóźniały nasz marsz, podobnie jak rosnąca liczba Askarlijczyków próbujących zagrozić nam drogę.

Pierwszych kilku napastników zostało pokonanych bez najmniejszego trudu, ale opór szybko przybrał na sile i wkrótce stanęliśmy w obliczu czegoś, co przypominało prawdziwą formację. Przed nami ustawiły się dwa nierówne szeregi wrzeszczących wojowników, wielu z nich trzymało tarcze, więc Swain wydał rozkaz do ataku.

Cały grot ruszył biegiem, celując w środek linii Askarlijczyków. Pęd i liczebność wystarczyły, by przebić się przez szeregi wroga, ale, jak nam zapowiadano na ćwiczeniach, natychmiast rozpętała się ogólna bijatyka.

– Do kapitan! – krzyknął Swain, uchylając się przed ciosem askarlijskiego miecza, po czym powalił przeciwnika szybkim ciosem swojego buzdyanu. Nie zatrzymując się, zmiażdżył czaszkę następnego Askarlijczyka, który zastąpił mu drogę. – Do kapitan!

Reszta oddziału podjęła okrzyk Swaina, który grzmiał mi echem w uszach, gdy wraz z Wilhumem podążaliśmy za sierżantem. Wiedziałem, że głupotą byłoby zaangażować się w dłuższą walkę, więc biegłem dalej, tnąc mieczem każdego wojownika, który zbliżył się do mnie. Między obłokami dymu i skupiskami walczących widziałem wysoką postać Evadine, jej miecz poruszał się z niesłabnącą energią, a kolejni Askarlijczycy padali wokół niej jak pszenica pod cięciami kosi. I wtedy dostrzegłem ogromną postać, która wspięła się na kopiec za plecami kapitan, kudłatego olbrzyma z toporem, ostrze błyskało jedynie okruciami odbitego ognia, tak jak kamień.

– Kapitanie! – krzyknąłem, ale moje ostrzeżenie utonęło w bitewnym ggiełku. Rzuciłem się naprzód, zanurkowałem pod ostrzem wrogiego miecza i uchylłem się przed toporem, wtedy drogę zaszedł mi Askarlijczyk z tarczą. Nie miałem zamiaru pozwolić, by mnie zatrzymał. Skoczyłem, odbiłem się stopą od

podniesionej tarczy i przeskoczyłem wojownikowi nad głową. Poczulem pęd powietrza, gdy próbował dosięgnąć mnie mieczem, i niewielkie ukłucie na karku. Zignorowałem je i parłem dalej w stronę Evadine, wykrzykując kolejne ostrzeżenie. Zarówno Swain, jak i Wilhum zostali w tyle, związani walką, jednak ja miałem do niej czystą drogę.

Nie wiem, czy usłyszała moje wołanie, czy nie, ale odwróciła się na czas, by uniknąć pierwszego ciosu Margnusa Gruinskarda. Potężne kamienne ostrze opadło, zmieniając gruz w obłok pyłu, tielwald uniósł je do kolejnego uderzenia, jakby topór ważył tyle co nic. Jak na człowieka w tym wieku i o takiej posturze poruszał się z niewiarygodną szybkością, ale Evadine była równie szybka.

Zamiast uderzyć ponownie, Margnus musiał zastawić się styliskiem topora, żeby sparować pchnięcie, wycelowane w jego gardło i raz jeszcze, gdy Evadine zawirowała, tnąc go w twarz. Udało mu się obronić, a wtedy Evadine wykazała się jeszcze większą szybkością, zanurkowała, rzucając się do przodu, zamknęła dystans między nimi i wyprostowała w ostatniej chwili, mierząc sztychem w miejsce pod brodą przeciwnika. Gdyby jej się wtedy udało, rozłupałaby czaszkę tielwalda i pozbawiła askarlijskie wojsko generała. Czy to ocaliłoby Olversal to już zupełnie inna kwestia, aczkolwiek wielu historyków tak twierdzi. Osobiście wątpię, czy miasto pozostałoby częścią królewskich włości. Nawet po śmierci swego tielwalda, Askarlijczyków wypęzło z góry tak wielu, że mogliby kilkakrotnie złupić miasto w tę i z powrotem, a do tego byli owładnięci żądzą krwi. Przeznaczeniem Olversal i większości jego mieszkańców było dokonać żywota tej nocy.

Takie spekulacje tak czy inaczej zostaną tylko spekulacjami, bo Margnus Gruinskard nie zginął wtedy od ciosu Evadine. Po prawdzie to nawet po tych wszystkich latach docierają do mnie pogłoski, że ten tajemniczy, stary drań wciąż jeszcze dycha. Ale jeśli nawet, to nabiera tego tchu przez zdeformowane wargi i mam wielką nadzieję, że boleśnie odczuwa brak jednego oka.

Po raz kolejny poruszając się z szybkością zdumiewającą u człowieka w tym wieku, tielwald odchylił głowę w chwili, gdy sztych miecza Evadine dotknął jego ciała. Ostrze pomknęło w górę twarzy, rozcięło obie wargi i lewe oko, po czym rozdzieliło głębokim

jarem labirynt zmarszczek na czole. Była to niewątpliwie poważna rana, ale nie śmiertelna.

Cofnął się chwiejnie, rycząc z bólu i wściekłości, po czym zamachnął toporem. Evadine schyliła się, by uniknąć ostrza prowadzonego po szerokim łuku, gotowa była uderzyć ponownie. Ranny Gruinskard nie zdążył jeszcze odzyskać równowagi i ten właśnie cios mógł go ostatecznie powalić, ale Namaszczona Pani nigdy nie zdołała dokończyć ataku.

Dwa wilki wyłoniły się znad krzywizny kopca, czarny skoczył wysoko, a biały sunął przy ziemi. Evadine zdążyła się obrócić i ciąć głęboko bok białego wilka, ale równocześnie jego szczęki zamknęły się na jej nodze. Czarny przechylił swój ogromny łeb, by zamknąć paszczę na piersi Evadine. Byłem wystarczająco blisko, by widzieć, jak jej napierśnik ugina się pod naciskiem potwornych szczęk i krew tryska w chwili, gdy kły przebiły stal.

Miecz wypadł z dłoni Evadine, wilki powaliły ją na ziemię, zaciskały szczęki i wściekle targały wielkimi łbami. Z boku białego lała się krew, ale zwierz, podobnie jak jego czarny brat, nie ustawał w wysiłkach rozerwania Evadine na strzępy. Były tak skupione na swojej ofierze, że mnie nie zauważyły. Czarny był najbliżej, więc jego dźgnąłem najpierw, całym ciężarem ciała napierając na rękojeść miecza. Chciałem mu przeciąć kręgosłup, ale bestia w ostatniej chwili zmieniła pozycję i moje ostrze zatoneło między jej żebrami.

Wilki puściły Evadine, skręciły się i spróbowały sięgnąć mnie kłami, a jego zęby znalazły się o cal od mojej twarzy. Owionął mnie gorący oddech bestii, poczułem smród jej oddechu i zalała mnie fala strachu. W obliczu tak nieokiełznanej dzikości całym moim ciałem wstrząsnęło pragnienie porzucenia miecza i ucieczki, ale instynkt podpowiadał mi, że byłby to śmiertelny błąd. Wystarczyło mi spojrzeć w płonące nienawiścią ślepie, żeby wiedzieć, że wilk zdecydowany był mnie zabić. Gdybym zaczął uciekać, zrobiłbym zaledwie kilka kroków, bo nawet ranny powaliliby mnie w mgnieniu oka.

Tak więc walczyłem. Wraziłem mu z całej siły pięść w oko, potem zacisnąłem obie ręce na rękojeści miecza, przekręciłem ostrze i spróbowałem wbić je jeszcze głębiej, licząc, że dosięgnę wilczego serca. Szczęście mi dopisało, bo wilk zesztyniał nagle, po czym

z jego gardła dobył się dźwięk, będący na poły warknięciem, a na poły żalonym skowytem. Bestia wzdrygnęła się potężnie, krew rzuciła jej się z pyska i czarne cielsko znieruchomiało ostatecznie.

Zacząłem wyciągać miecz spomiędzy wilczych żeber i nagle jakiś ciężar uderzył mnie w pierś. Gruz pod moimi plecami zazgrzytał, gdy białe łapy przygwoździły mnie do ziemi, po czym wszystko przesłoniła koszmarna paszcza pełna kłów, gotowych odebrać mi życie. Coś łupnęło ze chrzęstem i oczy załała mi czerwień. Zamiast fali potwornego bólu poczułem gorącą wilgoć na twarzy.

– Wstawaj, Skrybo! – polecił mi Swain. Zamrugałem, usiłując pozbyć się juchy z oczu, po czym usłyszałem, jak sierżant stęka z wysiłku, spychając ze mnie martwego wilka. Z jego buzdyganu kapłała gęsta posoka, białe cielsko potoczyło się w dół zbocza i zobaczyłem jeszcze, jak mózg wylewa się z roztrzaskanej czaszki.

– Zajmijcie się kapitanem! – krzyknął Swain i kilku żołnierzy rzuciło się ku niej natychmiast. Dźwignąłem się chwiejnie i patrzyłem, jak podnoszą Evadine, nie mogłem oderwać wzroku od twarzy, zwiotczalej i powleczonej bladością. Oczy miała otwarte, ale niemal całkiem przyćmione, a rysy raz po raz napinał spazm cierpienia.

Głośny ryk kazał mi spojrzeć tam, gdzie szereg żołnierzy powstrzymywał nacierających Askarlijczyków. Pośrodku stał Wilhum, a jego miecz wznosił się i opadał z mistrzowską skutecznością. Dziki ryk, głośniejszy niż krzyki walczących i wrzaski umierających, dochodził jednak zza linii walki, dojrzałem tam olbrzymią sylwetkę Margnusa Gruinskarda, który zmagał się z grupą pobratymców. W jednej szalonej sekundzie pomyślałem, że oto zwrócił się przeciwko swoim, ale zaraz zrozumiałem, że usiłowali odciągnąć go z pola bitwy.

– Utworzyć półkole! – rozkazał Swain i oddział szybko ustawił się w półksiężyc, szyk, jakim uczono nas wycofywać się w porządku. Do naszych szeregów dołączyli też książęcy zbrojni, którym udało się ocaleć, niestety po szybkim przeliczeniu zorientowałem się, że idąc po kapitan straciliśmy niemalże połowę sił.

Na szczęście nasza pierwsza szarża była na tyle gwałtowna i niepowstrzymana, by zgładzić albo zniechęcić większość

Askarlijczyków znajdujących się w bezpośredniej okolicy. Kilku tych bardziej lojalnych tudzież opętanych duchem walki nie chcieli rozstawać się z nami tak prędko i rzucili się, jeden po drugim, na naszą cofającą się linię. Wilhum ściał pierwszych dwóch, a z resztą rozprawili się halabardnicy. Mogliśmy z pewnością spodziewać się potężniejszych ataków, najpewniej zmieniłyby nasz odwrót w ucieczkę, a potem masakrę, ale szczęście uśmiechnęło się do nas raz jeszcze i gęsty, dławiący dym, pełen iskier napłynął z nad centrum miasta.

W jednej chwili spowił nas nieprzenikniony całun, wyciskając łzy z oczu i wywołując chóralne pokasywanie.

– Złapcie za ramię żołnierza obok! – rozkazał Swain, głosem ochryplym, ale wciąż mocnym. – Trzymajcie się razem!

Wyciągnąłem lewą rękę, ale nie zdołałem trafić na żadne ramię, co gorsza ten po mojej prawej, nie zdołał dość mocno uchwycić mojego ramienia, umazanego wilczą posoką. Oślepiiony dymem potykałem się i błąkałem samotnie, próbując utrzymać się w szyku, aż w pewnym momencie trafiłem na niefortunnie leżące zwłoki.

– Na wątpia Męczenników! – zakląłem, lądując na bruku. Podniosłem się, niebyt zgrabnie i natychmiast poślizgnąłem na mokrych kamieniach i upadłem ponownie. Podmuch gorącego powietrza, któremu towarzyszył trzask i ryk walącego się drewna, sprawił, że skuliłem się, osłaniając ramieniem głowę. Gdy żar zelżał nieco, zamrugałem mokrymi od łez oczami i stwierdziłem, że dym się rozrzedził, a ja zostałem sam na usianej trupami ulicy. Drogę do portu zablokowały płonące resztki zawałonego domu.

Dźwignąłem się wreszcie i pobiegłem, zmysły prowadziły mnie jak najdalej od płomieni i żaru. Byłem całkiem oślepiiony, dym przesłaniał ulice i wszelkie punkty orientacyjne, boleśnie gryzł oczy, gdy tylko odważyłem się je otworzyć. Każdy oddech przypominał połykanie chmury gorących igieł, więc nieustannie nękały mnie ataki kaszlu, niektóre na tyle gwałtowne, że padałem na kolana. W końcu uratował mnie mocny podmuch wiatru, niosąc ulgę. Odkryłem, że stoję na znajomym, szerokim pasie bruku, który otaczał bibliotekę.

Mój ogarnięty paniką umysł w pierwszej chwili kazał mi szukać schronienia w tym wielkim, kamiennym budynku. Jednak w miarę jak się do niego zbliżałem, odkryłem wyraźny dowód na to, że Askarlijczycy nie podzielali przekonania mieszkańców Fiordowego Geldu dotyczących świętości ksiąg.

Ściany biblioteki wzniesiono z kamienia, ale dach był z wiekowego i wyschniętego na wiór drewna. Czy stare belki zajęły się od jakiejś przypadkowej iskry, czy też zostały podpalone w akcie świadomego niszczenia do dziś roztrząsają historycy. Niezależnie od tego, co było przyczyną, rezultatem okazało się niemal całkowite zniszczenie archiwum, które istniało tu od tysięcy lat. Podsycane przez niezliczone kawałki pergaminu i welinu płomienie, pożerały dach i to, co pod nim się znajdowało, płonęły jasno i gorąco, sięgając nieba na podobieństwo niezliczonych języków jakiegoś eterycznego, żarłocznego ducha. Widok ten był bardzo bolesny dla skryby, prawie tak bolesny i przejmujący jak trupy zaścielające ulice. Ale dla bibliotekarza, oczywiście, musiał być o wiele gorszy.

Zobaczyłem jej smukłą sylwetkę obrysowaną blaskiem płomieni. Stała dużo bliżej ognia niż było to bezpieczne, ale zupełnie nie dbała o chmury iskier, które roiły się wokół niej niczym rozwścieczone osy. Berrine nie drgnęła nawet, gdy się zbliżyłem, nieruchomy świadek zniszczenia miejsca, które było dla niej czymś znacznie więcej niż tylko miejscem pracy, więcej niż domem.

Przyznam, że chciałem wtedy ją zabić, nie czułem wstydu na myśl, że zarąbię niewinną kobietę mieczem, zanim zdąży się choćby odwrócić. Ale tego nie zrobiłem. „Wszyscy urodzeni mordercy są banitami, ale nie wszyscy banici to urodzeni mordercy”, powiedział mi Deckin przed laty. Może i był zdradzonym głupcem, martwym od lat, ale znał moje serce nieomylnie.

Zamiast więc ciąć ją przez kark mieczem, odkaslnąłem i zebrałem dość śliny w ustach, aby powiedzieć:

– Ulthnir upada, żeby Askar mógł powstać.

Odwróciła się powoli, prezentując twarz, zastygłą tak samo jak jej ciało. Łzy wyłobily jaśniejsze kanały w sadzy pokrywającej jej policzki, ale oczy miała już suche, najwyraźniej wypłakała już wszystkie łzy. Spoglądała na mnie wzrokiem, nie do końca szalonym, ale też nie było to spojrzenie kobiety przy zdrowych zmysłach.

Poczucie winy i nienawiść odbijają się w oczach w bardzo szczególny sposób i zobaczyłem teraz jedno i drugie. Ale nienawiść nie była skierowana w moją stronę.

– Zbudowali to, gdy miasto było młode – odpowiedziała, z upiornym spokojem, bez chrypy wywołanej dymem. – Kiedy uczcili je, dając mu posągi Altvaru. Gdzie lepiej było zbudować drogę ucieczki, na wypadek, gdyby jej kiedyś potrzebowali?

– Ucieczki? – Roześmiałem się z goryczą i zobaczyłem, jak to okrucieństwo wywołuje spazm jej rysów. Nie zamierzałem jej zabijać, ale też nie zamierzałem jej oszczędzać. – Nikt inny nie wiedział, prawda? – spytałem, przekrzykując płomienie. – Tylko ty, bo miałaś ten wyjątkowy dostęp do biblioteki i jej sekretów. Tylko ty mogłaś odkopać taki skarb. Musiałaś czuć się wyjątkowa. Co obiecał ci tielwald w zamian za klucz do portu?

Odpowiedzią było tylko jasne, nieruchome spojrzenie, ale ja znałem odpowiedź.

– Wszystkie miały być twoje, prawda? – Wskazałem gniewnym gestem poczerniałą skorupę biblioteki. – Wszystkie książki. Żadnych starszych rangą bibliotekarzy, którzy mogliby ci przeszkadzać. To miało być tylko twoje królestwo. Spójrz na nie! – Wciąż gapiała się na mnie, więc chwyciłem ją za ramiona i zmusiłem, by spojrzała w szaleństwo płomieni. – Popatrz!

– Czy możesz... – Jej drobne ciało zadygotało w moim uścisku, a w głosie wreszcie usłyszałem jakieś emocje, gdy po chwili wahania, desperackie błaganie zabarwiło wyszeptane słowa. – Czy możesz... proszę... mnie zabić, Alwynie?

Gniew całkiem mnie opuścił. Huk walącego się drewna dobiegł z głębi płonącego budynku i kolejna zmiana wiatru przypomniła mi, że mój czas tutaj dobiega końca. Puściłem Berrine i cofnąłem się o krok. Nie wiem, dlaczego powiedziałem, to, co powiedziałem, może z winy tego starego węża, sentymentu, a może z obowiązku zrodzonego niedawną bliskością.

– Przejeliśmy kilka statków – mruknąłem. – Na pokładzie znajdzie się dla ciebie miejsce. – Znów się roześmiałem, tym razem jednak z drwiną raczej niż z okrucieństwem. – Na południu jest wiele innych książek.

Lubię myśleć, że dostrzegłem w jej twarzy wdzięczność, zanim opuściła głowę, ale mogła to być tylko gra płomieni.

– Dlaczego sądzisz, że mogę wybrać, gdzie pójde? – zapytała Berrine. Sięgnęła za dekolt i wyciągnęła mały wisiołek na rzemieniu. Nie zdziwił mnie widok kolejnego srebrnego węzła, ale zaniepokoiło to, że drobiazg mienił się jaskrawo żółtym blaskiem.

– On mnie wzywa – oznajmiła. – I ciebie też, Alwynie.

Poczułem nagle ciepło nad mostkiem i sięgnąłem po mój wisiołek. On też rozjarzył się blaskiem, nie tak jasnym, jak ten należący do Berrine i był bardziej czerwony niż żółty. W innych okolicznościach mógłbym poczuć zdumienie, mój zawsze ciekawy umysł mógłby zapragnąć pozostać tu i domagać się odpowiedzi. Ale w tamtej chwili czułem tylko wstręt w obliczu czystego nieprawdopodobieństwa.

– On chyba cię lubi – stwierdziła Berrine. – Ale też najwyraźniej obudziłeś jego gniew. Co zrobiłeś?

Zabiłem jednego z jego wilków, odpowiedziałem w duchu. Nie rozumiałem, jakim sposobem to wiem, ale wiedziałem, bez cienia wątpliwości. Zacząłem się cofać, a srebrny węzeł lśnił jaśniej z każdym moim krokiem.

– Będziesz musiał za to zapłacić – ostrzegła Berrine. – Ale przeżyjesz, a jeśli zostaniesz, jego nagroda będzie wielka. W końcu co czeka cię na południu?

Jej głos był teraz krzykiem, ostrym i wymagającym, tak niepodobnym do głosu Berrine, który znałem, że zwątpiłem, czy to naprawdę ona mówi. Mój strach wzniósł się na nowe wyżyny, a chęć przetrwania odezwała się z nieubłaganą siłą. Spojrzałem po raz ostatni na surową, rozkazującą minę Berrine i cisnąłem srebrny węzeł do jej stóp, po czym odwróciłem się i uciekłem.



Umiera?

Evadine miała zamknięte oczy, skórę bladą jak marmur. Suplikant Delryk obandażował jej tors i wlał między wargi kilka różnych mikstur, ale nie działały nic, ponad dobytciem cichego jęku z jej ust. Delryk zmieniał bandaże co kilka godzin, ale krew, która je plamiła za każdym razem wydawała się ciemniejsza.

Uzdrowiciel nie odpowiedział na moje pytanie, tylko rzucił mi wściekle spojrzenie, to samo zrobili Swain i Wilhum. Najwyraźniej reszta Kompanii Przymierza nie miała najmniejszej ochoty stawiać czoła temu, co najwyraźniej było nieuchronne. Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

Evadine położono pod baldachimem na rufie naszego skradzionego langskipa. Askarlijscy budowniczkowie statków nie wydawali się zaprzętać sobie głowy takimi drobiazgami jak kajuty, więc schronienie na pokładzie składało się z tego, co można było wykonać z peleryn i nieużywanych żagli. Mimo to czułem, że jest to jednostka bardziej zdatna do żeglugi niż szarpiąca trzewia balia, które wiozła nas na północ.

Oderwałem spojrzenie od nieprzytomnej Evadine i popatrzyłem na dwadzieścia statków i kilkadziesiąt obładowanych

mieszczanami jednostek rybackich, które składały się na naszą nowo powstałą flotę. Suplikantka Ofila była jak zawsze skuteczna, przejęła wystarczającą liczbę statków, by przewieźć całą kompanię. Nie obyło się bez strat, gdyż chłopcy i starcy pozostawieni na langskipach nie byli skłonni poddać się bez walki. Mimo to, gdy Swain wrócił z ranną Evadine, opór został w większości przelamany, a statki, które nie zostały wykorzystane płonęły jasno. Większość starców trzeba było ściąć, ale chłopcy zostali oszczędzeni. Ofila kazała wepchnąć ich do łodzi wiosłowych i puścić na fale. Na kilku askarlijskich statkach znalazło się dość rąk, by chwycić za wiosła i odpłynąć ze strefy zagrożenia, ale stało się jasne, że zwycięstwo drogo kosztowało Siostrzane Królowe, w statkach, jeśli nie w ludziach.

Moja ucieczka z Olversal nie była łatwa, wymagała unikania walących się budynków i walki z rosnącą hordą uciekających mieszczan. Jak się można było spodziewać, moi towarzysze postanowili nie czekać na moje przybycie, choć Wilhum zapewnił mnie później, że decyzję o podniesieniu kotwicy podjęli z trudem, nawet jeśli szybko. Gdy dotarłem na nabrzeże, statki zdążyły odpłynąć, zobaczyłem tylko kilka oddalających się łodzi rybackich, ruszyłem więc w stronę mola. Od strony morza odkryłem skupisko małych łodzi, w których uciekinierzy z miasta z różnym powodzeniem napierali na wiosła. Wybrałem największą łódź i, rezygnując z zejścia po żelaznej drabince, po prostu wskoczyłem między członków rodziny kupieckiej. Mąż i ojciec początkowo nie chciał mnie przyjąć do swojej załogi, ale obnażony sztylet przekonał go i wkrótce wiosłowaliśmy śladem langskipów.

Dzień po ucieczce z Olversal, wciąż jeszcze widzieliśmy dymy nad północnym horyzontem. Później dowiedziałem się, jak wiele plugawych uczynków towarzyszyło upadkowi miasta. Spalenie biblioteki jest największą zbrodnią, wedle uczonych opisujących to wydarzenie, którym nader często zdarza się pomijać straszliwą rzeź i zniszczenia, w tym również zbezczeszczenie Sanktuarium Męczennika Athila. Jedna z upiornych opowieści głosi, że stary suplikant klęczał przed ołtarzem z relikwią i prosił Męczenników o wybawienie, nawet po tym jak askarlijski wojownik pozbawił go głowy.

Historia Lorda Starosty Fohlvasta jest dużo bardziej wiarygodna. Znalaziono go, gdy ukrywał się pod kopcem mierzwy w swoich stajniach, po czym powleczono go natychmiast na rytuał Szkarłatnego Orła pod surowym, jednookim nadzorem Margnusa Gruinskarda. Jak się bowiem okazało, zanim Fohlvast przejął Olversal dla Korony, rozpoczął negocjacje z Siostrzanymi Królowymi, proponując, że podda miasto za odpowiednią cenę. Kiedy jednak nie spełniły jego żądań, szybko odkrył ponownie swą głęboką lojalność wobec króla Tomasa. Żałuję wielu rzeczy, które wydarzyły się w tym nieszczęsnym porcie, ale śmierć Maritza Fohlvasta do nich nie należy. Obserwując dym nad horyzontem zastanawiałem się, jaki los spotkał Berrine, jak również nad przerażającymi niemożliwościami, które przecież widziałem na własne oczy. Księgę Kaerytów ponownie nosiłem przywiązaną do boku razem z przewodnikiem, który miał mi pomóc przetłumaczyć starożytny tekst. Kiedy znalazłem dość czasu, żeby zająć się tym zadaniem, nie miałem wątpliwości, że znajdę tam szczegółowy opis mojego rozstania z Berrine. Nie było to odkrycie, którego pragnąłem, wiedziałem jednak, że i tak je poczynię. Książka kusila mnie teraz jeszcze bardziej, obietnica zawarta na jej stronach była w równym stopniu pociągająca, co przerażająca, wszystko wskazywało na to, że zyskałem mapę do dwóch skarbów: pierwszą, do od dawna poszukiwanego skarbu zmarłego banity i drugą, do mojej własnej przyszłości. Związany z tą drugą oczywisty dylemat przyszedł mi do głowy, jak najbardziej, ale nie przyłożyłem do niego takiej wagi jak powinienem: skoro wszystko zostało już zapisane, czy nadal mogę to jeszcze zmienić?

– Delryk tego nie powie, ale dostrzegam odpowiedź w jego spojrzeniu.

Obróciłem się i zobaczyłem zbliżającego się Wilhuma, jego wzrok też utkwiony był w odległej kolumnie dymu znad Olversal.

– Ona umiera. – Głos mu się załamał, więc oszczędziłem mu zażenowania, odwracając spojrzenie od łez wzbierających w jego oczach. Zerknąłem na bladą twarz Evadine o poszarzałych zapadłych policzkach i odkryłem, że widok ten łapie mnie za serce z siłą, jaka mi się nie podobała.

Zatem ona będzie Męczennicą, jaką nie stała się Sylða, pomyślałem, próbując przywołać gorzki cynizm, jakiego wcale w tej chwili nie czułem. Postawią jej świątynię. Rozbiorą organy i kości i ustawią na ołtarzach dla zdesperowanych głupców, by ci mogli płaszczyć się przed nimi przez kolejne stulecia. Męczennica Evadine, Namaszczona Pani, Miecz Przymierza zgładzona przez zdrazieckich pogan, ileż dziesięciny ona przyniesie.

Nie powiedziałem tego Wilhumowi, bo podejrzewałem, że mógłby mnie zabić w odpowiedzi.

– Morze jest spokojne – zdecydowałem się na wymuszony optymizm, bo niczego innego nie miałem. – Szybko dopłyniemy do Farinsal, gdzie są uzdrowiciele daleko bardziej uzdolnieni niż Delryk.

Wilhum otarł oczy i smutek malujący się na jego twarzy ustąpił ponuremu grymasowi.

– Agent Korony bezzwłocznie zamelduje o naszej porażce królowi Tomasowi. Straciliśmy klejnot Fiordowego Geldu na rzecz Askarlijczyków, a wraz z nim całe księstwo.

– Zniszczyliśmy również większość ich floty i część przejęliśmy, nadto uciekliśmy, nie tracąc przy tym całej kompanii. To musi mieć jakieś znaczenie.

– Nie wystarczy. Wiesz, jakich wrogów ma przeciwko sobie. Śmiertelnie ranna czy nie, martwa czy nie, nie mogą pozwolić, aby legenda Namaszczonej Pani rosła w siłę. – Wilhum złapał mnie za nadgarstek z naleganiem, które widziałem też w jego oczach. – Ona będzie nas potrzebować. Żeby strzec jej dziedzictwa, jeśli nie życia. Obiecaj mi, Skrybo, że jej nie porzucisz.

Nie wiedziałem, dlaczego przywiązywał tak wielką wagę do przysięgi nisko urodzonego banity, ale żar, z jakim prosił, świadczył o prawdziwym szacunku, a przynajmniej o uznaniu tego, że w zaistniałych okolicznościach mogę być użyteczny.

– Zawsze byłem złodziejem – odparłem – często kłamcą, czasem oszustem i w zależności od potrzeby bądź gniewu również mordercą. Ale nigdy – uwolniłem moje ramię z jego uścisku – nigdy jeszcze nie porzuciłem przyjaciela. – Posłałem mu krzywy uśmiech, nie zważając na ból sińców. – Mam ich tak niewiele, że to rzadko jest jakiś problem.



Nasze przybycie do Farinsal odbyło się przy pogodzie odpowiednio paskudnej. Port, który nigdy nie stanowił specjalnie malowniczego widoku, kulił się pod niskimi szarocznymi chmurami, wylewającymi potoki deszczówki w labirynt wąskich uliczek. Dzięki troskliwej opiece Delryka i spokojnemu morzu, Evadine wciąż jeszcze oddychała, choć płytko i jęcząc przy tym boleśnie. W czasie podróży kilkakrotnie na chwilę odzyskała przytomność. Swain, Wilhum i ja siadywaliśmy przy niej na zmianę, gdy Delryk musiał odpocząć i miałem pecha być świadkiem jej pierwszego przebudzenia.

Spodziewałem się, gdy uniosła powieki, że na jej twarzy zobaczę zdumienie lub ból, tymczasem patrzyłem na ponurą minę i ściągniętą brew człowieka zdjętego gniewem.

– Ka... – wciągnęła powietrze, obnażając zęby i zaciskając zęby. – Kazałam... wam... odejść!

Choć nie raz zdarzyło się jej obudzić we mnie niepokój, to po raz pierwszy naprawdę się bałem. Śmiertelnie ranna, słaba, ledwie zdolna oddychać patrzyła na mnie z taką głębią urazy i gniewu, że wzbudzała taki sam strach jak niegdyś Deckin. Jej oczy stały się niemal czarne, jak to później twierdziły legendy, i wpatrywały się we mnie z nieruchomym i niesłabnącym oskarżeniem. Poczulem, że widzi we mnie zdrajcę i to po tym, jak ocaliłem jej życie po raz drugi i myśl ta wzbudziła we mnie gniew na tyle wielki, by zagłuszył strach.

– Nie mogliśmy – odparłem, tonem ostrzejszym niż należało się zwracać do umierającej kobiety – skoro twoje wizje mówią ci tak wiele, to spodziewałbym się, że i to ci powiedzą.

Jej oczy przygasły nieco i przez twarz przebiegło mgnienie skruchy, zaraz jednak wyparły je znużenie i żal.

– Pokazały mi... – mruknęła i głowa opadła jej na bok, Evadine ponownie traciła przytomność – co się stanie... jeśli nie pozwolicie... mi umrzeć.

Przywitano nas na końcu długiego pomostu dominującego farinsalski port. Czekają tam na nas kilku nieco zdumionych urzędników, wśród których osobą wartą uwagi był Lord Kwestor, który był właściwie zarządcą całego miasta jako mianowany agent Korony, przez co odpowiadał bezpośrednio przed królem, a nie tutejszym księciem Elbynem. W rzeczywistości był niewiele więcej jak poborcą podatkowym. Niemniej tacy ludzie mogą wysoko zająć w ruchliwym mieście portowym, o ile tylko dopilnują, aby król otrzymał, co mu się należy i nie będą kraść zbyt wiele.

Swain posłał Wilhuma, aby ten dopilnował wszelkich formalności, założywszy, że szlacheckie maniere i obejście najlepiej sprawdzą się w tej sytuacji. Jego lordowska mość, człowiek w słusznym wieku, który nie wpłynął jednak na bystrość jego umysłu, wiadomość o ataku na Olwersal przyjął z nieukrywanym szokiem. Jego troska o naszą ranną kapitan była znacznie mniej widoczna, ale zobowiązał się wezwać najzdolniejszych miejscowych uzdrowicieli. Evadine została przetransportowana do jego domu, podczas gdy Kompania Przymierza otrzymała pozwolenie na zajęcie magazynów przy porcie, gdzie normalnie przechowywano wełnę na handel, teraz jednak stały puste.

– Niezwłocznie wyślę posłańców do jego królewskiej i książęcej mości – zapowiedział lord złowieszczo. – Miej świadomość, młody człowieku, że delegacja Korony przybędzie tak szybko, jak to tylko możliwe. A kiedy się tu zjawia, lepiej żebyś ty i twoi towarzysze byli gotowi złożyć pełną i nieocenzurowaną relację z tej kłęski.

To, że nie wspomniał o relacji Evadine jasno świadczyło o tym, jak widział jej szansę, co niestety wzbudziło w Wilhumie nierozsądny gniew.

– Ta kompania odpowiada tylko przed swoją kapitan, wasza lordowska mość – odrzekł, wypowiadając każde słowo z suchą lapidarnością, którą każdy szlachcic musiał uznać za obelżywą. – Ona z kolei odpowiada jedynie przed Męczennikami i Serafilami.

Stary poborca zjeżył się wyraźnie, a w jego oczach dostrzegłem błysk rozpoznania. Musiał znać historię Wilhuma i bez wątpienia szykował się do ostrej reprimendy, a z kolei ta zniewaga

tylko zaostrzyła by tę konfrontację. Wkroczyłem między nich i ukloniłem się nisko.

– Jest z nami wielu ludzi, którzy stracili wszystko, mój panie – powiedziałem najbardziej uniżonym tonem, na jaki było mnie stać. – To biedni, ale lojalni oddani jego królewskiej mości, którzy zostawili swój dom, w nadziei na królewskie miłosierdzie. W ich imieniu błagam cię, panie, o schronienie i żywność dla nich.

– Miłosierdzie jego królewskiej mości jest szeroko znane – odpowiedział mi lord, najwyraźniej zadowolony, że ma szansę pokazać, jaki jest ważny i wielkoduszny, do czego ludzie tacy jak on zwykle mają skłonność. – Sprowadźcie ich na brzeg, niech poznają dobroć króla Tomasa, a ja ogłoszę zbiórkę jałmużny na ich potrzeby.

Uklonił mi się zdawkowo i odszedł, wyszczekując polecenia urzędnikowi, który spieszył za nim.

– ...dopilnuj, byś zapisał każde imię i sporządził listę kosztowności, jakie mają w swoim posiadaniu...

– Złodziej i bandyta – mruknąłem, wiedząc, że dobroczynność wyświadczona uciekinierom z Olversal będzie ich kosztować niemało.



Jak przystało na kogoś, kto spędził większość swoich dni na przeszukiwaniu ruchliwego portu z zamiarem znalezienia każdej monety należnej królowi, domostwo jego lordowskiej mości przypominało bardziej fortecę niż dom. Początkowo była to wartownia przy zachodniej bramie, ale kolejni właściciele rozbudowali ją do rozmiarów małego zamku, z blankami, a nawet obronną fosą. Zauważyłem od razu, że fosa broniła podejścia od strony miasta i nie sięgała poza zewnętrzne mury.

Evadine została umieszczona w dużej komnacie sypialnej, przeznaczonej zwykle dla ważnych gości, do których najwyraźniej zaliczał się też słynny ojciec króla Tomasa, objeżdżający swoje królestwo. W związku z tym jego lordowska mość otrzymała pozwolenie na ozdobienie ściany komnaty dużym, nader barwnym

herbem Algathinetów. Byłem pewien, że Evadine wolałaby zamieszkać w Sanktuarium Męczennika Ihlandera, największej budowli Przymierza w mieście, ale nasz gospodarz nie chciał o tym słyszeć. Poza tym Delryk zgodził się, że w budynkach świątynnych panują zbyt wielkie przeciągi, by sprzyjało to powrotowi kapitan do zdrowia.

– Powrót do zdrowia? – zapytałem cicho. Stałem u jego boku w kącie komnaty, gdzie na małym stoliku mieszał swoje leki i eliksiry. Przez cały dzień najzdolniejsi uzdrowiciele z miasta przychodzili, aby przyjrzeć się Evadine. Był to pochód złożony głównie z wiekowych mężczyzn i kobiet, których wspólną cechą było odmawianie fałszywej nadziei tym, którzy ją żywili. Zgodzili się właściwie co do tego, że kapitan może wytrzymać tydzień, choć jedna pochylona staruszka upierała się, że wytrzyma dwa.

– Już ją Męczennicy pobłogosławili – zaskrzeczała, pociągając nosem z wielką pewnością siebie. – Widać to wyraźnie. I nie tylko oni, nie tylko.

To była niewątpliwie prawda. Ludzie zaczęli zbierać się pod oknami już w wieczór po naszym przybyciu. Na początku była to zaledwie garstka najbardziej zagorzałych wiernych w porcie, czuwali w milczeniu na odcinku gołej ziemi za fosą. O świcie była ich już setka i z godziny na godzinę przybywało więcej. Widziałem tych czuwających przez na wpół otwarte okiennice. Niektórzy skupiali się wokół świeckich kaznodziejów lub suplikantów z sanktuarium i z pochylonymi głowami słuchali bez końca recytowanych pism, szmerząc swoje afirmacje. Pojawiły się również doniesienia, że do portu przybywali też wierni z okolicznych wiosek. Wieść o powrocie Namaszczonej Pani rozeszła się szybciej niż ogień w wysuszonym słońcem lesie.

– „I choć jego rany były poważne, a piach poczerniał od krwi, Athil spojrział w niebo z uśmiechem” – wyrecytował Delryk. Był to jedyny cytat, jaki usłyszałem z jego ust, a zarazem najdłuższy ciąg słów, jaki wygłosił od chwili naszego poznania. Ten wers pisma znałem doskonale, jak zresztą każda dusza mająca choćby podstawowe pojęcie o Przymierzu.

– „»Dlaczego się uśmiechasz, nauczycielu?« zapytali go jego zwolennicy” – dokończyłem cytat. – „»Czyż śmierć twa nie jest już

bliska?« »Nie, moi kochani« rzekł im. »Bo w każdym życiu jest piękno, a wierna dusza nie może życia stracić, niezależnie od tego, jakie rany dotkną ciało«”.

Było to najbardziej wymowne potwierdzenie agonii Evadine, na jakie zdobył się Delryk i po tym, jak zaciskał szczęki, widziałem, ile go to kosztowało.

– Co zrobiłeś po Polu Zdrajców – powiedział. Nie patrzył na mnie, pozornie bez reszty zajęty moździerzem i tłuczkiem, miażdżył kolejne tajemnicze zioła na proszek.

– O co chodzi? – zapytałem, zerknąwszy ostrożnie w stronę Ayin, która nie odstępowała Evadine przez całą podróż i teraz też stanowczo odmówiła wyjścia z komnaty. Gdy Ayin nie była wzywana do zmiany opatrunków lub zadbania o cielesne potrzeby kapitan, spędzała czas drepcąc niespokojnie albo rozpaczliwie wpatrując się w twarz Evadine. Niezależnie jednak od tego, jak bardzo Ayin wydawała się zajęta, nie sposób było stwierdzić, co usłyszy i beztrząsco wygada później.

Ręce Delryka nie przestawały pracować, a żyły utworzyły na ich powierzchni skomplikowany wzór. Kiedy uzdrowiciel się odezwał, jego głos był na tyle cichy, że częściowo zagłuszył go zgrzyt moździerza.

– Czy można jeszcze raz?

– Czy wiesz, o co mnie prosisz? – odmruknąłem, decydując się nie opowiadać szerzej o żadnych pogańskich praktykach.

Moździerz przestał zgrzytać i Delryk wbił we mnie spojrzenie twarde i naglące.

– Wiem. Sierżant Swain też wie. I lord Wilhum.

No to wszyscy spłoniemy razem, pomyślałem. Nie zdołałem powstrzymać głuchego śmiechu.

– On już nie jest lordem – powiedziałem, ale moja wesołość zgasła szybko, gdy patrzyłem na jego kamienne oblicze. – Nie wiem – dodałem z westchnieniem szczerzej rozpacz. – Musiałbym znaleźć... ją. Jeśli to możliwe.

– Dwa tygodnie... to optymizm. – Delryk zerknął na Evadine, niegdyś tak żywotną, dumną. Teraz w tym wielgachnym łożu wydawała się mała i bezbronna wobec zbliżającej się śmierci. – Ale możliwe.

Gdziekolwiek trwa zaciąg, tam będzie i ona. Przynajmniej tak twierdził sierżant Lebas, który teraz, z tego co było mi wiadome, mógł już leżeć na dnie rzeki Shalewell. Był to marny trop, ale jedyny jaki miałem. Poza tym, jej ostatnie słowa tej nocy, po tym jak uzdrowiła Piwowara, dawały pewne powody, by wierzyć, że misja mogła nie być wcale taka beznadzieja, aczkolwiek taka, do której się nie paliłem. „Następna przysługa, jakiej będziesz chciał ode mnie pomnoży ten dług po wielokroć. Upewnij się, że będziesz gotów go zapłacić”.

– Potrzebuję konia – powiedziałem. – I monet. Dużo monet.



Wszyscy chcieli jechać ze mną: Toria, Swain, Wilhum i Piwowar. Podejrzewałem, że cała kompania wyruszyłaby w poszukiwaniu Jutowej Wiedźmy, gdybym tylko poprosił. Cała, poza Ayin, oczywiście, która nie mogła znieść myśli o opuszczeniu swej pani. Odmówiłem wszystkim. Coś mi mówiło, że odszukać Kaerytkę mogłem jedynie sam, umowa, jaką będę musiał zawrzeć mogła być zawarta tylko między mną a nią, nikim innym.

Wilhum użył funduszy kompanii, aby kupić mi najszybszego konia, jakiego mógł znaleźć, srokatą klacz, o miłosiernie lepszym usposobieniu niż Karnic – tchórz. Kiedy jej dosiadłem, Swain wręczył mi miecz wypchany letinami, a nawet kilkanaście srebrnymi suwerynami.

– To kompanijny żołd – oświadczył. Fakt, że bez żadnych oporów wręczył mi taką fortunę, jasno mówił o jego obecnych priorytetach. – Obiecuj więcej, jeśli trzeba będzie.

Prawdę mówiąc nie wierzyłem specjalnie, że Jutowa Wiedźma będzie zainteresowana monetami, tak jak nie chciała przyjąć zbroi Wilhuma. Ale nie zaszkodziło posiadać funduszy na wszelki wypadek.

– Gdzie będziesz szukał? – zapytał Wilhum

– Ponoć szeryfowie księcia Elbyna najmują, żeby posprzątać lasy. W wiosce jakieś dziesięć mil na północ. To jedyny zaciąg

odpowiedniej wielkości, o jakim słyszałem. Tam zacznę.

Wilhum uśmiechnął się z przymusem i klepnął klaczkę w zad.

– Jedź szybko, Skrybo.

Znałem dość dobrze drogi Farinsal, bo kradłem na nich kilka lat temu. Pojechałem najpierw na wschód i na pierwszych rozstajach, dwie mile od portu, skręciłem na północ, bo tak najłatwiej było dotrzeć do Górnej Marchii. Srokata klaczka wyhodowana była, aby pędzić i szybko zaczęło irytować ją wolniejsze tempo. Wystarczyło abym dotknął jej boków piętami i już gnała galopem. Trzymała imponujące tempo przez większość czasu, aż wreszcie niebo pociemniało.

I tak, drogi czytelniku, rozpoczęła się legendarna, niebezpieczna wyprawa Alwyna Skryby w poszukiwaniu wiedzy zgrzebnicy. Przebył wiele mil ciemnego lasu. Stawił czoła niejednemu niebezpieczeństwu. Położył trupem licznych wrogów, aż w końcu, bliski śmierci z wycieńczenia, znalazł ją. A przynajmniej taką historię opowie ci niejeden gawędziarz w zamian za posiłek i miejsce przy ognisku.

Tak naprawdę moja wyprawa trwała ledwie kilka godzin. Rozsądnie byłoby zmusić klacz do stępa, a następnie rozbić obóz, gdy nastanie głęboka noc. Ja jednak pozostałem początkującym jeźdźcem i pochłonięty staraniami, by utrzymać się w siodle nie zauważyłem liny rozciągniętej w poprzek drogi, aż do chwili, gdy klacz zahaczyła o nią przednimi nogami.

Usłyszałem trzask łamanych kości i wyleciałem z siodła jak z procy, a klacz zarżała z niewypowiedzianą udręką. Wylądowałem twarzą do dołu, nie miałem wyściełanej zbroi, która łagodziła takie upadki. Zostawiłem swoją w Farinsal, kiedy wyruszyłem w drogę, nie bez żalu, bo im dłużej ją nosiłem, tym bardziej lubiłem tę niedopasowaną kolekcję. Mój żal zmienił się w rozpacz, gdy leżałem oszołomiony, z rozdziawionymi ustami, próbując wypełnić nagle opróżnione płuca.

– Powiedziała, że za mądry jesteś na tę sztuczkę – rozległ się rozbawiony głos, gdzieś zza granicy mojego pola widzenia, akcentując obco słowa, mimo upływu wielu lat straszliwie znajomy.
– Myliła się.

Nie widziałem jego twarzy, tylko kształt, ten sam, kudłata grzywa włosów uczyniła go jeszcze bardziej podobnym do ożywionego koszmaru sennego, gdy pochylił się nade mną.

– Uderz człowieka delikatnie, a i tak może umrzeć – stwierdził kajdannik i coś małego i błyszczącego pojawiło się w jego dłoni. – A ona chce, żebyś oddychał i był cały. Więc nie ma dla ciebie uderzenia. Na cięcia przyjdzie czas później...

Twarde palce chwyciły moją twarz, kolano wcisnęło się w moją klatkę piersiową, aby przytrzymać mnie na ziemi. Błyszczącą rzecz zobaczyłem wyraźniej, gdy kajdannik zbliżył ją do mojej twarzy, żelaznymi palcami rozwierając mi szczęki. Była to mała buteleczka, z której spłynął mi do ust gęsty i obrzydliwy płyn. Miałem szczęście, że zemdlałem, zanim w pełni skosztowałem mikstury, ale wspomnienie nawet tego ułamka doznań wciąż wywołuje u mnie dreszcz. Jeśli śmierć ma jakiś smak, to z pewnością właśnie ten.



O budziłem się do nieharmonijnych dźwięków pieśni pogrzebowej, którą pamiętałem z wózka, wiozącego mnie do kopalni i szybko doszedłem do wniosku, że śpiew kajdannika nie poprawił się przez lata. Kiedy odzyskałem ostrość wzroku, pogłębiło się moje wrażenie powrotu do przeszłości, szczególnie gdy zobaczyłem kajdany otaczające moje nadgarstki. Ponadto, kłatkę piersiową opasywał mi gruby łańcuch, a w plecy wciskała się szorstka powierzchnia pnia. Trzask płonącego drewna przyciągnął mój wzrok do potężnej, pokrytej futrem sylwetki, kucającej przy ognisku.

Pieśń ucichła, a on wyprostował się lekko, ale nie odwrócił w moją stronę. Najwyraźniej nadal lubił prezentować swój grzbiet jeńcom.

– Obudziłeś się – stwierdził z tym samym ciężkim akcentem. – Jesteś silniejszy. Chłopiec zmienił się w mężczyznę, co? – To go najwyraźniej nieco rozbawiło, bo wydał z siebie ten przenikliwy chichot, który tak dobrze zapamiętałem.

Nic nie powiedziałem, tylko spojrzałem w niebo. Wciąż było ciemno, ale gasnący księżyc podpowiedział mi, że świt jest już coraz bliżej. Opuściłem głowę i przyjrzałem się otoczeniu, ale nie zobaczyłem nic więcej poza całkowicie zwyczajną polaną, która mogła znajdować się w dowolnej części Kniei Shavine. Mimo to

uznałem, że od mojego pojmania nie minęło więcej niż kilka godzin, a od drogi dzieliło nas zaledwie kilka mil.

– Widzę, że wciąż cały czas kombinujesz. – Kajdannik zerknął przez ramię, odsłaniając kawałek swojej plamistej twarzy i jedno lśniące oko. Spojrzałem w nie. Minione lata zapewniły mi dość czasu, by myśleć o tym człowieku i choć byłoby głupotą go lekceważyć i się go nie obawiać, to budził we mnie nie lęk, a napędzany nienawiścią gniew.

– Powiedziała, że jesteś przeklęty – oznajmiłem. – Powiedziała, że ta twoja pogańska zdolność, bez względu na to czym jest, okłamuje cię, prowadzi tam, gdzie lepiej nie podążać...

Poruszył się z szybkością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewał. Owinięta futrem sylwetka w mgnieniu oka zniknęła sprzed ogniska, sekundę później kolejne słowa utknęły mi w gardle, na którym zacisnęła dłoń. Wzrok mi się zmącił, gdy pochylił się niżej i, mimo dudnienia w uszach, usłyszałem, jak głęboko nabiera powietrza.

– Doenlich – syknął. Usłyszałem głód w jego głosie i drzenie ledwie tłumionego przerażenia. Mimo bólu, poczułem perwersyjne zadowolenie, gdy padło to słowo, słowo, które od razu rozpoznałem, bo to samo powiedział Raithowi na chwilę przed tym, jak go zamordował. Najwyraźniej zapewniłem sobie przynajmniej jedną odpowiedź, nie żeby mi ona jakoś pomogła.

– Czuję na tobie jej zapach. – Zacisnęła mocniej dłoń na moim gardle. – Jest blisko? Idzie za tobą?

A jednak mój strach nie zdołał odebrać mi zmysłów i znalazłem w sobie odwagę, by rzucić mu szydercze spojrzenie, mocno zaciskając szczękę. Kajdannik ścisnęła mnie jeszcze mocniej, jego dłoń zadrżała mi na szyi i wreszcie cofnęła ją gwałtownie.

Mruknął coś w swoim języku, cofając się, a jego dłonie gładziły futrzany płaszcz w sposób, który przywodził mi na myśl dziecko szukające otuchy. Jego spojrzenie wędrowało po nieregularnych cieniach otaczających drzew, oczy błyszczały nieufnym oczekiwaniem.

– Doenlich – wycharczałem, rozkaszlawszy się boleśnie. – Nie znam tego słowa. – Podniosłem głowę i rzuciłem mu spojrzenie spod uniesionych brwi. – Co to znaczy?

Obrócił się do mnie, blade części twarzy rzucały się w oczy, niemalże białe wśród mroku. I w tej chwili przestałem dostrzegać w nim ducha z koszmarów. Dostrzegałem w nim jedynie człowieka, żalnego przez właśnie zbyt długo pielęgnowane obawy.

– Miałeś ją za wiedźmę? – zapytał z pogardą. – Może za uzdrowicielkę? Wy Aeschlin wszyscy jesteście tacy sami. Ignoranci. Tak łatwo was zwieść. Nie zdołasz pojąć Doenlich. – Zbliżył się do mnie i po raz pierwszy zrozumiałem, że część tego strachu budzę w nim ja. Byłem zakuty w łańcuchy i bezradny, a jednak to strach przede mną powstrzymywał kajdannika przed ponownym zaciśnięciem dłoni na moim gardle.

– Myślisz, że jestem przeklęty, chłopcze? – Przechylił głowę i patrzył na mnie bez jednego mrugnięcia. – Nie przeczę. Przemierzam świat umarłych, a oni szepczą mi swoje prawdy. Moja pieśń nie pozwala im szepptom pozbawić mnie rozumu, ale muszę pozwolić im mówić, gdy nadejdzie potrzeba. Większość nikczemników, których zakuwam w kajdany, ma tę jedną skrzywdzoną duszę, która chętnie wyjawia ich sekrety. Twoja to człowiek, którego zabiłeś, by uciec z Omszałego Młyna. Szeptał mi do ucha twoje plany, gdy siedziałeś na moim wozie. Mówił o tym co uczyniłeś i co uczynisz. Bo tak to właśnie jest z umarłymi. Są oddaleni od tego świata na tyle, aby zobaczyć nie tylko ścieżki, którymi sami kroczyli w życiu, ale także ścieżki tych, którzy ich skrzywdzili. Ale... – Twarz wykrzywił mu spazm wściekłości i kajdannik przysunął się o cal, zaciskając i otwierając pięści – uwielbiają kłamstwa. Czerpią radość z nękania mnie, torturowania... te zgorzkniałe dusze. Tamtego dnia w Wyrobiskach poczekał, aż cię sprzedałem i dopiero wtedy wyjawiał mi, że pewnego dnia przyczynisz się do mojej śmierci. Ale oto siedzisz tutaj, jak spętany wieprz, który czeka na rzeźnika, tymczasem ja... – otworzył pięść i uderzył się w pierś – zobaczę świt, chłopcze. I jeszcze tysiąc następnych. A jeśli szczęście się do mnie uśmiechnie, to zobaczę nawet, jak Doenlich spłonie na stosie. Czyż nie będzie to wspaniały widok?

Zamilkł i dysząc ciężko zbierał siły, gdy nagle doskoczył do mnie. Uchwycił moją głowę w dłonie, a grube kciuki wpackował w oczy.

– Ale ciebie tam nie będzie – stęknął, gdy daremnie próbowałem uwolnić głowę z jego uścisku – nieważne, co gada ten kłamliwy trup...

– Dość! – rozległ się nowy głos, rozkazująco ostry. Kobięcy i znajomy, mimo szlacheckiej intonacji.

Kajdannik znieruchomiał, dłonie mu drżały, przed moimi oczyma tańczyły czerwone i białe plamy, gdy nacisk jego kciuków trwał przez następną chwilę. Wreszcie jęknął z frustracją i puścił mnie. Łzy płynęły mi strumieniami, kiedy mrugałem wściekle, a przez płynną mgłę dostrzegałem niewyraźny kształt szczupłej sylwetki po drugiej stronie ogniska.

– To ty tak naprawdę jesteś przeklęty.

Przeniosłem spojrzenie na kajdannika, który cofnął się kilka kroków i przyglądał mi się z tą samą mieszaniną strachu i gniewu. Jednak kiedy się odezwał, w jego głosie nie było złośliwości.

– Klątwa Doenlich gorsza jest niż wszystkie inne. Ona wiąże cię mocniej, niż ja mógłbym...

– Powiedziałam: dość. – Smukła postać zbliżyła się do nas. Głęboki kaptur zakrywał jej twarz, ale kilka kosmyków wymknęło się z niego i powiewało na wietrze. Nie zaskoczyło mnie wcale, że światło ogniska dobywało z nich głęboki odcień czerwieni.

– Nasza umowa... – Głos kajdannika załamał się i ucichł w sposób, który powiedział mi, że mój prześladowca obawia się tej kobiety niemal tak bardzo, jak bał się mnie. – Obiecano mi...

– Dostałeś co ci obiecano. – Kobieta zbliżyła się i musiałem teraz zadzierać głowę, by spoglądać w czarną pustkę kaptura. – A jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek uprawiać swój ohydny handel na terenie tego księstwa, to zamkniesz swoją plugawą gębę, póki nie pozwolę ci przemówić.

Roześmiałem się cicho. Na zewnątrz słodycz, a wewnątrz stal – zawsze taka była.

– Gratuluję głosu – powiedziałem. – Długo trwało, zanim go opanowałaś?

– Kiedyś byłem aktorką – przypomniała mi. – Głosy to tylko kolejne narzędzie w moim zestawie.

Kucnęła przy mnie i zobaczyłem długie, szkarłatne paznokcie, gdy uniosła dłonie, by zsunąć kaptur. Uśmiech Lorine był o wiele

cieplejszy, niż się spodziewałem, ale jakoś nie potrafiłem czerpać z tego pokrzepienia. Podczas gdy kajdannik budził we mnie jedynie nienawiść i wściekłość, Lorine bez trudu dodawała do tej mieszanki lęk.

– Wyglądasz... doskonale – przyznałem. – Szlachectwo ci służy. Jej uśmiech zbladł nieco.

– Zawsze służyło – stwierdziła. – Ty wyglądasz... – Sięgnęła dłonią o długich paznokciach do mego czoła i zgarnęła na bok pasmo włosów, opuszki jej palców delikatnie musnęły mi brew. – Inaczej, Alwynie. – Powiodła palcami po mej twarzy dotykając starych i nowych blizn, przesunęła je z pieszczotą po nierównej linii mego nosa. – Przykro mi z tego powodu.

Spazm gniewu sprawił, że szarpnięciem odsunąłem głowę odsłaniając zęby w nienawistnym grymasie.

– Nie chcę twojej zasranej litości!

Lorine skrzywiła się, cofnęła dłoń i westchnęła głęboko.

– Widzę, że masz do opowiedzenia historię, czy to ta, którą powtarzałeś sobie w ciągu tych lat? Opowieść o Lorine Wielkiej Zdrajczynie. Zdradzieckiej kurwie, która sprzedała Deckina Scarla i dzięki temu została księżną.

– Nie tylko Deckina – przypomniałem jej.

– Nie tylko. – Znów się skrzywiła, a oczy jej zasnuł smutek, który albo był prawdziwy, albo dowodził mistrzostwa jej aktorskich umiejętności. – Wiedziałaś, że tylko my zostaliśmy? Tylko my. Wszyscy inni przepadli. Erchel był trzecim członkiem naszej legendarnej bandy, który jeszcze dychał, do niedawna. Słyszałam, co stało się z nim w Calintorze, wydało mi się to trochę nie podobne do ciebie, ale jak sądzę, życie w Wyrobiskach zmienia człowieka w ten sposób.

– W ten i inny. – Zimny ucisk w moim brzuchu i przyspieszone bicie serca ostrzegały, że jeszcze trochę, a mój strach stłumi gniew, zmusiłem się, by spojrzeć jej w oczy w nadziei, że nienawiść da mu radę. Chciałem, żeby ze mnie drwiła, chciałem, żeby torturowała mnie śmiechem zadowolonego zwycięzcy. Tak właśnie to miało się skończyć, ale widziałem tylko głęboko smutną kobietę, przygniecioną brzemieniem olbrzymiego żalu.

Lorine zebrała swój płaszcz i usiadła obok mnie, po czym zajrzała mi w oczy badawczo.

– Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, jak niesamowite szczęście miałeś jako dziecko? – zapytała. – Zostawiony w lesie bez schronienia, bez jedzenia i uratowany przez Wielkiego Króla Banitów we własnej osobie. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że to nazbyt szczęśliwy zbieg okoliczności, Alwynie?

Odwróciłem wzrok, milczałem, wciąż starając się podsyć płomień mojej nienawiści, daremnie.

– Deckin miał umowę z rajfurem – mówiła Lorine. – Tamten miał karmić co bardziej obiecujące szczenięta kurw i zostawiać je w lesie, gdy osiągnęły wiek, by stać się użyteczne. A ty przecież byłeś dla niego bardzo użyteczny, prawda? Inne bękarty były jak narzędzia, wykorzystane i odrzucone w miarę potrzeb, ale nie ty. W tobie dostrzegł szansę, by być ojcem. Czasami lubił nawet dowodzić, że naprawdę mógłbyś być owocem jego lędźwi, tak bardzo widział w tobie siebie samego. A że często odwiedzał ten akurat burdel, więc jest to możliwe. Osobiście wątpię, by była to prawda. Wyrosłeś na dużego mężczyznę, ale nie jesteś tak wielki jak on. Śmiem twierdzić, że jesteś też od niego o wiele mądrzejszy i nie jesteś szalony, jak on pod koniec życia. – Pochyliła się bliżej i ton jej głosu zabarwiła determinacja. – A na końcu był już całkiem obłąkany, wiesz o tym Alwynie.

– Wiem – wychrypiałem, przysuwając policzek do jej policzka – że jego głowę zatknęto na pal przez ciebie. Wiem, że pierś Gerthe przeszył bekt, a Justan i Yelk i wszyscy inni zostali wymordowani też przez ciebie. Wiem, że musiałem poderznąć gardło Fornala – zająknąłem się i odwróciłem wzrok. Od lat prowadziłem tę grę zemsty i teraz stanąłem w obliczu porażki, co zdało mi się straszliwie wyczerpujące i ku memu przerażeniu dziwnie satysfakcjonujące. W końcu tylko jedno z nas mogło wygrać.

– Po prostu zrób swoje – nakazałem jej z jękiem. – Chyba że przyszłaś tu zagadać mnie na śmierć. Po prawdzie to chyba wolę nóż niż twój język.

– Nie zawsze tak myślałeś – usłyszawszy śmiech w jej głosie podniosłem wzrok i zobaczyłem, że śmieje się, a ciepło znów wypełnia jej oczy. – Tęskniłam za tobą, Alwynie. Za innymi też... no,

za większością. – Przechyliła głowę i spojrzała na mnie z całkowitą powagą. – Co powiedział ci Erchel, zanim obciąłeś mu jaja?

Wzruszyłem ramionami, a raczej próbowałem spętany łańcuchem.

– Co to ma za znaczenie?

– Zaspokój moją ciekawość. W końcu jestem księżną, więc wypadłoby zachować się odpowiednio.

Tym razem ja się zaśmiałem. Krótka i z goryczą, ale zaśmiałem.

– To było po tym, jak stracił jaja – powiedziałem. – I prawdę mówiąc pociął go kto inny, więc nie miał zbyt wiele czasu. Powiedział mi o skarbie Lachlana i o obietnicach, jakie złożyłaś jemu i jego krewniakom. Powiedział mi też o tym, jak kazałaś ich wszystkich wymordować.

– Skarb Lachlana – powtórzyła Lorine smętnie. – Ulubione szaleństwo Deckina. Naprawdę myślał, że go znalazł, wiesz? Że odkrył ten sekret w plątaniu tych historii, które zbierał. Podobno pod Szarymi Klifami na wybrzeżu Shavine istnieje wielka jaskinia, a w niej ukryte starożytne opuszczone miasto z czasów przed Zatrą. Lachlan nieznanym sposobem natrafił na nie i wykorzystał jako kryjówkę dla swego słynnego skarbu. Kilka lat temu skłoniłam mojego drogiego męża, by wysłał swych ludzi do tego miasta pod ziemią. Wrócili z niczym. Żadnej jaskini, żadnego miasta, żadnego skarbu. Skarb Lachlana był takim samym wymysłem Deckina, jak jego marzenie o książęcym tronie. Co do rzezi to radośnie przyznaję, że usunęłam odrażający klan Erchela z tego świata. Jednak Deckin i pozostali zginęli nie z mojej winy. Obawiam się, Alwynie, że cały czas ścigałeś nie tego lisa.

Ponownie wyciągnęła rękę, pochwyciła mój podbródek i zmusiła, bym spojrzał jej w oczy. Jej wzrok był nieruchomy, a głos nasycony emocjami. Chciała, żebym usłyszał prawdę w jej słowach.

– Młyn był intrygą Todmana – oznajmiła. – Nie podejrzewałabym go, że jest do tego zdolny. A jednak skrywał całkiem bystry umysł pod tą maską okrutnika. Podejrzewałam, że coś knuje, kiedy dotarliśmy do Polany Leffolda. Coś za często znikał bez wyjaśnienia, za często węszył tam, gdzie nie powinien. Uznałam, że planuje ucieczkę z jakimś łupem, może zamierza nawet sprzedać

bandę szeryfowi, choć byłoby to zbyt późno, żeby zatrzymać nas, zanim dotarlibyśmy do zamku Duhboss. Za późno, by zapobiec planowanej masakrze w książęcym domostwie. Ale ta skomplikowana pułapka, którą na nas zastawił wymagała tygodni pracy i świadczyła o niezwykle przebiegłym umyśle. Todman musiał nawiązać kontakt z Kompanią Koronną krótko po tym, jak stary książę stracił głowę. Dobił targu i wrócił do obozu, zanim ktokolwiek to zauważył. Powiedział Erchelowi, że to mój pomysł, oczywiście i dokładnie to ten mały szczur powiedział swoim pociotkom. Tamtej nocy we Młynie... – Lorine spochmurniała i opuściła głowę. – Todman wciągnął mnie do stajni na chwilę przed tym jak łucznicy kompanii oddali swą pierwszą salwę. „Teraz jesteś moja”, powiedział. „Las i wszystko inne. Moje. Książę i król tak właśnie rozkazali”. Szarpałam się i próbowałam uwolnić, ale on był silniejszy „On by nas wszystkich pozabijał, Lorine”, tak mi tłumaczył i wiedziałam, że ma rację. Tyle razy próbowałam zawrócić Deckina z tej szalonej drogi, ale on był zdecydowany. Utrata tego szlacheckiego śmiecia, którego nazywał ojcem załamała go, wiedziałam o tym, ale i tak szłam za nim. To właśnie robimy dla tych, których kochamy, prawda? Dlatego właśnie ten pogański skurwysyn wiedział, że będziesz jechał tędy całkiem sam o tej właśnie godzinie. Ty ruszyłeś, aby ocalić szaloną kobietę, która sądzi, że Serafilowie zsyłają jej wizje, ja posłusznie podążałam za szalonym mężczyzną, który uważał, że jest księciem. Miłość zmieniła nas oboje w głupców. Zabiłam Todmana tamtej nocy. To nie było trudne. Mimo całego swego sprytu był człowiekiem powodowanym żądzą. Wystarczyło chwilę odegrać wdzięczną i chętną, a on rozluźnił swój uścisk na tyle bym mogła rozplatać go od fiuta po serce. Paskudna śmierć, ale ja jestem zdania, że umarł zbyt szybko. Część jego umowy gwarantowała mu, że zostanie oszczędzona wraz z nim. Powiedział, że byłam jego współniczką, musiałam więc tylko nie zaprzeczać. A jednak ten drań Levalle nadal chciał mnie powiesić wraz z innymi. Jednak Królewski Czempion nie chciał o tym słyszeć. Podobnie jak nowy książę, który polubił mnie bardzo szybko. Lubił mnie nawet bardziej, gdy dostrzegł mądrość mych porad, ale dopiero gdy wymyśliłam intrygę, aby pozbyć się z kniei wszystkich banitów, chyba wtedy się we mnie zakochał. To, co uczyniłam krewniakom

Erchela było zemstą, Alwynie, nie zdradą i odejdem z tego świata powtarzając, że stał się on lepszy, kiedy ich zabrakło. – Jej wargi drgnęły, a w oczach błysnęły łzy, gdy pogładziła mnie po głowie i wstała. – Ale to nie dotyczy ciebie, twoja nieobecność na tym świecie jest koniecznością, nie przyjemnością. Widzę, że wciąż mnie winisz, widzę, że wciąż trzymasz się swej nienawiści. Nie mogę zostawić cię za plecami. Nie teraz. – Rozsunęła płaszcz, odsłaniając wydatną krągłość brzucha. Ocenilem, że to czwarty lub piąty miesiąc.

– Zatem dasz księciu dziedzica. – Znow poczułem lodowaty uścisk strachu, ale udało mi się zebrać w sobie dość hartu, by uśmiechnąć się do niej szeroko. – To jego? Czy pieprzyłaś się ze wszystkimi jego zbrojnymi, aż w końcu znalazłaś takiego, którego nasienie było dość plugawe, by zagnieżdżyć się w twym śmiercionośnym łonie.

Uderzenie wypełniło mi usta żelazistym posmakiem krwi i rozjarzyło całą feerię błysków przed oczyma. Było to bolesne, ale też zaskakujące. Dawna Lorine dźgnęłaby mnie nożem w jednej chwili.

– Po tym wszystkim co przeszedłeś nadal jesteś dzieciakiem z jadowitym językiem – szepnęła, odsuwając się ode mnie. – Sądziłam, że można do ciebie dotrzeć, że zdołam przebić tę nienawiść, z której uczyniłeś sobie broję. Znalazłabym ci miejsce u mego boku, to księstwo należy do mnie, nawet jeśli nie oficjalnie, to co moglibyśmy osiągnąć... – Zamilkła, widząc moje pełne nienawiści spojrzenie i westchnęła z rezygnacją. – To może skończyć się tylko w jeden sposób – oznajmiła, zamykając oczy i prostując plecy, gdy podejmowała decyzję. Nawet nie spojrzała już na mnie tylko odwróciła się do kajdannika i skinęła mu głową.

Strach wygrał wreszcie z nienawiścią, gdy patrzyłem, jak podchodzi z błyskiem oczekiwania w oczach. Przez myśl przebiegły mi różne pomysły desperackiej nadziei. Swain i pozostali w ostatniej chwili wyłonią się z cieni. Z ciemności ze świstem pomknie bełt kuszy i zabije to kaeryckie monstrum. Toria dopadnie go niczym wściekły lis. Nic takiego się nie stało.

Kajdannik położył rękę na mojej głowie i poczułem, że jeszcze chwila, a będę siedział we własnych nieczystościach. Zdławiłem

żałosne błagania pchające mi się na usta, ale widziałem, że gdy weźmie się do pracy, to będę błagał. W końcu nie różniłem się niczym od tej całej reszty ludzi, którzy w mojej przytomności płakali, straszili i błagali w czasie tych ostatnich chwil poprzedzających śmierć.

– Co jeszcze powiedziała ci Doenlich? – zapytał kajdannik, a jego place nacisnęły mocniej. – Mów prawdę to umrzesz szybko.

Nabrałem z drzeniem powietrza zamierzając powiedzieć mu, żeby znalazł duży konar i się nim wypieprzył. Jednakże słowa, które wypłynęły na moje usta brzmiały:

– Miała książkę. Książkę przepowiedni.

Jego place znieruchomiały i gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że jego podobne płomieniom rysy zastygły w wyrazie krańcowego zdumienia i przerażenia.

– Książ... – zaczął cichutkim jakby dziecięcym głosem – książ...

W tym momencie ostrze noża Lorine wybiło mu kilka zębów, zanim przebiło usta i język. Tak zawsze zabijała. Jednym uderzeniem w podstawę czaszki, z wystarczającą siłą, by wepchnąć ostrze do końca. Kajdannikiem szarpnęły konwulsje, zakasłał, wypluwając jeden ząb wprost na moją twarz, z ust trysnęła mu kaskada krwi, która wyschła nagle, gdy Lorine wyrwała ostrze i pozwoliła Kaerycie upaść na ziemię.

Spojrzała na mnie z surową naganą i przykucnęła obok trupa, żeby wytrzeć ostrze o jego futra.

– Śmiercionośne łono?

Miałem tyle rozsądku, aby odpowiedzieć tonem tak neutralnym, na jaki było mnie stać.

– Byłem pewien, że pozwolisz mu mnie zabić.

Lorine prychnęła i zaczęła przeszukiwać ubranie kajdannika, po chwili uniosła dłoń z pękiem kluczy.

– Ufam, że to wyrównuje sprawy między nami – rzekła, kucając przy mnie raz jeszcze.

Spojrzałem głodnym wzrokiem na klucze w jej dłoni, serce wciąż mi waliło, po tym jak zajrzałem śmierci w twarz, a jednak się zawahałem. Tak długo hołubiłem moją zemstę, że rezygnacja z niej okazała się cięższa, niż przypuszczałem, zupełnie jakbym chciał pozbyć się kawałka duszy bez względu na to jak skażony i zwodniczy

byłby to kawałek. Zawahałem się na tyle długo, że Lorine raz jeszcze uderzyła mnie w głowę, tym razem jednak otwartą dłonią.

– Obudź się, Alwynie, powiedziałam prawdę i wiem, że to usłyszałeś.

Miała oczywiście rację. Była bardzo dobrą aktorką i oczywiście mogła mnie oszukać. Ale dlaczego miałyby się wysilać? Gdyby moje długo noszone w sercu podejrzenia okazały się prawdą, to po prostu stałaby tam w milczeniu i patrzyła, jak kajdannik miażdży mi czaszkę. Albo w ogóle nie traciłaby czasu na to, by być świadkiem mojej śmierci. Dlaczego księżna miałyby osobiście brać udział w usunięciu starego wroga, którego najlepiej byłoby zapomnieć?

– Wiedział? – zapytałem. – Deckin. Czy umarł myśląc, że go zdradziłaś?

Lorine spojrzała na mnie ze ściągniętą twarzą i ustami zaciśniętymi w twardą linię. Najwyraźniej opisywanie losu, jaki spotkał człowieka, którego kochała nie było łatwe. Ale ja też go kochałem na swój sposób i chciałem wiedzieć.

– Widziałam go tylko raz, zanim go odciągnęli. Usłyszał, jak powtarzam tę nieszczęsną historię Todmana, jak przyznaję się, że byłam współtwórcą tej zasadzki. Patrzyłam na niego, jak wsadzali go na wóz, zakrwawionego i skutego łańcuchami, a on uśmiechnął się do mnie, Alwynie. Tylko przez moment, ale był człowiekiem, który umiał powiedzieć wiele jednym tylko uśmiechem. – Wcisnęła mi klucze do ręki. – Wiedział.

Zwlekała jeszcze przez chwilę, rysy jej twarzy znów złagodził ciepły uśmiech po czym złożyła na mym czole pocałunek.

– Ta szalona suka umrze – powiedziała mi cicho. – Tak czy inaczej. Pozwól jej kłamać i zabieraj się z tego królestwa.

Wstała i oddaliła się, smukły otulony płaszczem cień w mgle przedświt. Którego chwilę później pochłonęły drzewa.



Włożenie właściwego klucza do kajdanek było trudnym zadaniem, wymagającym większej zręczności, niż miałem, posiniaczony i wciąż rozdygotany ze strachu. W rezultacie, przy pierwszej próbie cały pęk kluczy wyslizgnął mi się z rąk. Nieprzerwany strumień przekleństw, który wydobył się z moich ust, obudził drzemiące wśród drzew echa i był na tyle głośny, że słychać go było z daleka, co budziło nadzieję, że Lorine go usłyszy. Jeśli nawet tak się stało, to nie skłoniło jej to do powrotu.

Osunąłem się w więzach, drżąc z wysiłku i napięcia wywołanego ostatnimi wydarzeniami. Kajdannik leżał u moich stóp, z ust płynęła mu krew, patrzył na mnie niewidzącymi, ale jasnymi oczami. Zastanawiałem się, czy duchy, które nękały go za życia, wciąż kręciły się w pobliżu, czy też zostały uwolnione przez jego śmierć.

– Jesteś tu, Fornalu? – jęknąłem ze znużeniem, opierając głowę o szorstką powierzchnię drzewa. – Jeśli tak, to cię przepraszam. Za wszystko. Nie tylko za to, że cię zabiłem, ale za to, że tyle czasu musiałeś znosić towarzystwo tego sukinsyna. – Z całej siły kopnąłem zwłoki kajdannika, co dało mi przynajmniej tyle, że

jego głowa i wlepione we mnie martwe oczy przetoczyły się na drugą stronę, rozchlapując przy okazji kałużę krwi.

– Musisz się jednak zgodzić – podjąłem z bladym uśmiechem – że jest w tym pewna ironia. Chodzi mi o to, że przez te wszystkie lata podlizywałeś się Męczennikom i Serafilom i spodziewałeś się, że gdy nadejdzie twój czas, od razu pozwolą ci przejść przez Portale. A tymczasem, twoja dusza utkwiała przykuta do tego przeżartego złem skurwysyna.

Ta myśl sprawiła, że się roześmiałem, zbyt głośno i zbyt długo, jeśli wziąć pod uwagę moje prośby. Kiedy już zdołałem się uspokoić, zamrugalem, żeby pozbyć się łez wesołości i dotarło do mnie, że między płataniną gałęzi na nowo widać już pierwsze promienie świtu.

– Przepraszam cię – powiedziałem Fornalowi raz jeszcze. – Sam wiesz, że nigdy nie umiałem się oprzeć pokusie zadrwienia z ciebie.

– Z kim rozmawiasz?

Stała spowita bladymi kosmykami dymu z ogniska kajdannika, smukła, otulona zieloną opończę, przechylała zakrytą workiem głowę w sposób znamionujący ciekawość. Jej słowa składały się z lekkich, akcentowanych tonów, które zapamiętałem z rozmowy, gdy zrezygnowała ze sztucznego akcentu po uleczeniu Piwowara.

– Do starego przyjaciela – wyjaśniłem. – Już nie żyje.

– Och. – Podeszła bliżej, zatrzymując się tylko na moment przy ciele kajdannika. Gdy zniknęła z pola mojego widzenia, owionął mnie kwiatowy zapach lata. Też go pamiętałem. To mnie przekonało, że naprawdę się tu zjawiała, że nie była wytworem mojej desperackiej nadziei.

Zadzwończyły klucze i poczułem na nadgarstkach dotyk jej palców. Pochyliłem się naprzód z jękiem ulgi, gdy moje więzy opadły. Głębsze oddechy przeszywały klatkę piersiową bólem. Kiedy podniosłem wzrok, Jutowa Wiedźma usiadła przy dogasającym ognisku. Małe, czarne diamenty jej oczu skierowane były na nieboszczyka u moich stóp, a głos, który dobył się spod worka był cichy i pełen namysłu.

– Szukał mnie przez ostatnie lata. Aż dziwnie pomyśleć, że wystarczyłoby, aby tu usiadł i poczekał.

– Doenlish – powiedziałem i wtedy spojrziała na mnie. – To twoje imię, tak? Prawdziwe imię.

Pytanie nie obudziło w niej większego zainteresowania, zielony płaszcz ledwie zafalował, gdy wzruszyła ramionami.

– To po prostu miano. Mam ich kilka, jak i ty.

– Brzmiało mi bardziej jak tytuł – nie ustępowałem, z zaciśniętymi zębami rozcierałem obolałe nadgarstki. – Co to znaczy?

– Znajdziesz to znaczenie w książce, którą ci dałam – usłyszałem w jej słowach odległą nutę rozbawienia i wiedziałem, że wiedźma uśmiecha się za zasłoną z juty. – Nie pomyślałeś, żeby sprawdzić?

– Byłem zajęty – odpowiedziałem z ponurą szorstkością i stęknąłem, podnosząc się z ziemi, wparty rękoma w pień.

Patrzyła, jak odsuwam się od ciała kajdannika.

– Już ich nie ma, tych wszystkich duchów, które nękały go za życia.

– Też umiesz je zobaczyć?

– Nie, ale wiedziałabym, gdyby tu były.

Pokiwałem twierdząco głową, patrząc prosto w dziury w worku.

– Dobrze znów cię widzieć – powiedziałem i ku swemu zaskoczeniu mówiłem to szczerze. – Prawdę mówiąc właśnie cię szukałem.

Worek pomarszczył się lekko, ale siedziała w milczeniu, obserwując moje niezdarne próby przedstawienia jej mej prośby. Na szczęście Jutowa Wiedźma oszczędziła mi wysiłków.

– Masz coś dla mnie – oświadczyła.

Wiedziałem o czym mówi, kaerycka książka stanowiła niewygodne wybrzuszenie pod kaftanem. Kajdannik skupiony głównie na tym, żeby ze mną skończyć, nawet jej nie zauważył. Ale mimo wszelkich niewygód, jakich mi dostarczała myśl o tym, że mam się z nią rozstać obudziła we mnie niezwykle głęboką niechęć. Choć spędziłem część życia, goniąc za własnością innych, nigdy tak naprawdę nie ceniłem niczego, co należało do mnie. Utrata tych

kilku drobiazgów, które zebrałem, w ogóle mnie nie zabolą. A z tą książką było inaczej, bo jej wartość była niewypowiedziana.

– Czyli to jest ta cena, o której mówiłaś.

– Nie. To cena za zadanie, które już wykonałam, tak jak się umówiliśmy. Cena za kolejne będzie znacznie wyższa, tak jak trudniejsze jest zadanie, które mam wykonać.

– Czyli jakie?

Diamentowe oczy stały się węższe, gdy się pochyliła.

– Nie rozpraszaaj mnie. – Wyciągnęła otwartą dłoń, oczekującym gestem. – Daj mi książkę i sposób na jej odcyfrowanie, albo odejdę i już nigdy się nie zobaczymy.

Sklamałbym mówiąc, że oddałem ją bez wahania. Że sięgnąłem za pazuchę i oderwałem książkę, ukląknęłam, podając przedmiot Jutowej Wiedźmie i przyrzekłem zrobić wszystko, o co poprosi, byleby tylko ocalała Evadine. Ale tego nie zrobiłem.

Stałem nieruchomo, świadom, że nie udało mi się w pełni zamaskować tłumionego gniewu, a w głowie kłębiły mi się najróżniejsze pomysły, które pozwoliłyby mi odwrócić się i odejść. Może wyruszę zaraz do innego portu, tam znajdę statek i odpłynę, poszukam miłego, cichego zakątka, jakiejś odległej krainy, gdzie dokonam własnego tłumaczenia. W ten sposób uzbrojony w historię mojego życia, długą, biorąc pod uwagę gęstość tekstu, wyobrażałem sobie, w swej młodzieńczej głupocie, że zapewni mi ona niezawodny drogowskaz i nic mnie już nie zaskoczy. Evadine wkrótce skona, ale czyż nie pragnęła dorównać Męczennikom? Czyż jej rozkazy nie doprowadziły mnie już na skraj grobu?

Moja złość wynikała nie tylko z powodu niechybnej utraty książki, ale także z głębokiego poczucia winy, że nie rozszyfrowałem jeszcze ani jednego słowa. Wmawiałem sobie, że to z powodu braku czasu podczas podróży z Olwersal, zresztą po zejściu na ląd nie było przecież wcale lepiej. Ale to wszystko były kłamstwa. Odkąd poznałem prawdziwą naturę tej książki, nie brałem jej do ręki, chyba żeby ją ukryć czy przypasać do boku. Chociaż nie mogłem się do tego przyznać nawet przed sobą, perspektywa odkrycia tego, co zostało zapisane na jej stronicach, budziła we mnie głęboki lęk. Być może z czasem zdobyłbym się na odwagę, by ją otworzyć, ale już go nie miałem.

– Wiedziałaś? – zapytałem Jutową Wiedźmę, oschłym, urażonym tonem, gdy wyciągałem książkę. Pracę Berrine zawierającą wskazówki niezbędne do tłumaczenia, przymocowałem do reszty rzemieniem i teraz zobaczyłem, jak Jutowa Wiedźma wodzi palcami po okładce, gdy tylko oddałem jej obie książki. Nie mogłem rozszyfrować czy był to gest strachu, czy jednak zachwyty. – Co jest w środku? – naciskałem, gdy już schowała książkę do torby. – Wiedziałaś?

– Wiedziałam, że ma ogromną wartość dla ciebie i dla mnie. Tak właśnie musi być, jeśli równowaga ma zostać zmieniona, a śmierć ma zostać zmieniona w życie. Natura tego, co robię ma swój kształt i wymiar, pewną strukturę, ty nazwałbyś ją siecią. Żeby ją zmienić potrzeba czegoś prawdziwego, czegoś z duszy i serca.

– Ty też jesteś na tych stronach, prawda? I nie chodzi tylko o dzisiaj i nasze wcześniejsze spotkanie. Dlatego chcesz ją dostać. Następnym razem, gdy się spotkamy przewaga będzie całkowicie po twojej stronie.

– Następnym razem, gdy się... – Zamilkła i nagle roześmiała się, tak głośno i niespodziewanie, że aż drgnąłem przestraszony. – Wciąż myślisz jak złodziej. Rozważasz przewagi i słabości, jakby to była jakaś gra. – Znów się roześmiała, ale już ciszej i z wyraźną goryczą. – Jeśli istotnie tak jest, to jesteśmy tylko dwoma nic nieznaczącymi pionkami.

Kolejna tajemnica, która będzie mnie nękać, ale jakoś nie czułem zbyt wielkiej ochoty, by dalej przepytawać wiedźmę. Wiedziałem, że nie ma dla mnie żadnych odpowiedzi. Przynajmniej nie teraz. Ponadto zorientowałem się, że brak książki przytroczonej do boku dał mi pewną lekkość i obudził potrzebę pośpiechu, a nie urazę i niechęć z powodu jej utraty. Jednak nie mogłem się powstrzymać przed kolejnym pytaniem, niektóre po prostu muszą zostać zadane.

– Dlaczego ja? – spytałem. – Dlaczego jakiś nieznaną kaerycki skryba z przeszłości uznał, że powinien zapisać proroctwa dotyczące mego życia? Jestem tylko synem ładacznicy, który stał się złodziejem i mordercą, bo nie było dlań innego miejsca na tym świecie. Jestem pariasem, którego odrzucają zarówno ludzie prości, jak i szlachcice. Ten kraj i jego mieszkańcy nie widzą dla mnie miejsca, jestem

całkowicie bezużyteczny, mogę co najwyżej umrzeć w paskudny sposób i skończyć w nieoznaczonym grobie walcząc w ich wojnie, za ich sprawę.

– Życie pariasa może być równie istotne, co życie króla – odpowiedziała, dużo ciszej i dostrzegłem zmęczenie w jej opuszczonych ramionach. – Każde życie ma znaczenie, ale niektóre... większe. Ty, jak się okazuje, byłeś kluczem do sekretów zamkniętych w tej książce, a ten klucz pozwoli memu ludowi odtworzyć kolejne sekrety. Mamy tyle książek, nieczytanych od czasów Zatrąty. Teraz zawarta w nich cenna wiedza znów będzie należeć do nas. Powinieneś być dumny.

Wyprostowała się, a zgrzebny materiał zakrywający jej usta zafalował, gdy nabrała głęboko powietrza.

– Czas zająć się naszym zadaniem – oznajmiła, wstając.

Nie pytałem nawet skąd wiedziała, o co ją poproszę, ani o naturę zapłaty, jakiej będzie to wymagało. Jak to powiedział Raith, niektórymi drogami po prostu trzeba podążać.

– To daleko – ostrzegłem. – Dotarcie do portu zajmie nam cały dzień. Musimy chyba ukraść pod drodze jakiś wózek. Coś, gdzie będziesz mogła się ukryć, inaczej nie przemycimy cię do zamku Lorda Kwestora. Tłum modlących się głupców czuwa nad powrotem kapitan do zdrowia. Byłoby lepiej, gdyby tego nie widzieli...

Oniemiałem, gdy sięgnęła do góry, by chwycić rąbek swojego worka, ściągnęła go z ostrożną powolnością. Wiatr potargał jasne włosy, zasłaniając na chwilę jej twarz, ale w następnym momencie zobaczyłem jej rysy.

Mógłbym przez kilka następnych stron poetycko opisywać kobietę, którą ujrzałem, ale wystarczy powiedzieć, że była piękna. Piękna w sposób niebezpieczny. Był to ten rodzaj urody, który skłania mężczyzn, i śmiem twierdzić, że równie wiele kobiet, do postrzegania jednej z nich jako czegoś do posiadania, cennego przedmiotu, którego nie należy spuszczać z oka i z nikim się nim dzielić. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym stwierdził, że mądrze postąpiła, nosząc ten worek. W przeciwieństwie do Raitha i kajdannika, nie miała na twarzy wzoru znamion. Tylko małe czerwone znamię pomiędzy brwiami, które na tle jasnej, gładkiej skóry przypominało rubin.

– Kiedy po raz pierwszy zaczęłam przemierzać te ziemie, szybko się przekonałam, że twoi pobratymcy zbyt wiele uwagi przywiązują do wyglądu. – Odgarnęła na plecy splecione pasma włosów. – Idziemy?



Swain znalazł dla niej suknię służącej, zanim wprowadziliśmy ją do domu, uzupełniając przebranie koszem z praniem. Oczywiście zwróciła na siebie więcej niż kilka spojrzeń gwardzistów lorda i strażników miejskich przy bramie, ale żaden z nich nie był w stanie zrobić więcej niż tylko się gapić. Weszliśmy przez wejście dla służby i Piwowar zaprzętnął uwagę pozostałych służących głośnymi prośbami o czystą wodę dla Namaszczonej Pani, tymczasem my szybko zaprowadziliśmy naszego gościa po krętych schodach do sypialni.

Ayin przywitała nas, marszcząc podejrzliwie brwi. Zwykle była oczarowana widokiem wszystkiego, co piękne, jednak nie okazała takiego zachwytu, gdy ujrzała tę jasnowłosą przybyszkę.

– Kto to? – spytała ostro, zastępując obcej drogę do łóża kapitan.

– Przyjaciółka, Ayin – odpowiedziałem łagodnie, odprowadzając ją na bok. – Przyszła pomóc.

Ayin rzadko kiedy sprawiała wrażenie osoby dojrzałej, teraz wykrzywiła buzię w wyrazie dziecinnej pogardy i z niejakim oporem pozwoliła mi się przesunąć.

– Pachnie... dziwnie – szepnęła, gdy podeszliśmy do okna.

Delryk, który przysypiał w fotelu przy łóżku, poderwał się, w jednej chwili przytomny i ze znacznie większą chęcią ustąpił z drogi Jutowej Wiedźmie. Długo przyglądał się twarzy Kaerytki, ale w jego wzroku nie było pożądania, tylko strach.

– Możesz...? – zaczął, ale zamilkł zaraz, gdy Jutowa Wiedźma położyła dłoń na czole Evadine. Kapitan znów zapadła w sen, policzki miała zapadnięte, oczodoły powleczone cieniem głębszym niż dotąd, a skórę bardziej szarą niż bładą.

Jutowa Wiedźma zacisnęła usta w wąską linię i przez moment zobaczyłem w jej twarzy zwątpienie, zaraz jednak cofnęła dłoń i się wyprostowała.

– Wyjść – rozkazała, obrzucając ostrym spojrzeniem Delryka i Ayin. – Ty – dodała, złapawszy mój wzrok, gdy wyprowadzałem wciąż oporną Ayin – ty musisz zostać.

Pozostanie w komnacie, gdzie nagle zrobiło się o stopień lub dwa zimniej, mimo że ogień wciąż wesoło płonął w palenisku, było chyba ostatnią rzeczą, jaką chciałem w tym momencie zrobić. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że stoję na skraju przepaści i czeka mnie bardzo długi upadek, podobnie jak świadomość, że jeśli przyjdzie nam kiedyś stanąć przed jakimś trybunałem Przymierza, to niewątpliwie wszyscy splamiliśmy już nasze dusze w stopniu wykluczającym oczyszczenie.

Mimo to posłusznie wyprowadziłem Ayin na korytarz i zamknąłem drzwi przed jej skrzywioną twarzą i ponurą miną Delryka. Odwróciwszy się, zobaczyłem Wiedźmę zdzierającą z siebie strój służącej. Swoją torbę i płaszcz zostawiła na dole pod opieką Piwowara i miała na sobie tylko luźną bawełnianą koszulę. Materiał był na tyle cienki, że wiele odsłaniał, a widok ten byłby naprawdę podniecający, gdyby nie mój narastający strach. Nie miała przy sobie żadnych narzędzi, amuletów ani buteleczek z cudownymi eliksirami. Najwyraźniej to, co miało zostać tutaj zrobione, wymagało tylko jej obecności, a przynajmniej tak sądziłem, dopóki nie odwróciła się i nie wyciągnęła do mnie ręki.

– Cena równa zadaniu – powiedziała. – Bądź pewien, że chcesz zapłacić.

Patrzyłem na wyciągniętą dłoń i już się nie bałem, byłem śmiertelnie przerażony. Ogień wciąż płonął jasno, ale pot, którym się oblałem był zimny. W tamtej chwili znów byłem dzieckiem, przerażonym, spanikowanym jak tego dnia, gdy Deckin znalazł mnie w lesie.

– Co... – zacząłem i musiałem przełknąć ślinę, zanim zdołałem wykrztusić kolejne słowa. – Co zrobisz?

– Odtworzę sieć, która wiąże tę kobietę z życiem. Wiele z jej nici zostało zerwanych i należy ją utkać od nowa. – Z naciskiem

skinęła na mnie dłonią. – Ale nie można ich utkać z niczego, żeby życie przywrócić, trzeba życie odebrać.

Wzdrygnąłem się i rzuciłem pospieszne spojrzenie na drzwi, jednak moje stopy zdawały się wrastać w podłogę. Pomyślałem nawet, że może rzuciła na mnie zaklęcie, które pozbawiło mnie zdolności ruchu, ale tak naprawdę wiedziałem, że to niezdecydowanie, to tchórzostwo, to wszystko byłem ja i tylko ja.

– Nie robiłaś tego z Piwowarem – wytknąłem z chrapliwą desperacją.

– Odtworzenie jego sieci wymagało jedynie bym zniszczyła truciznę w jego żyłach. To jest zupełnie co innego.

– Czy to... mnie zabije?

– Nie.

– Będzie bolało?

– Tak. – Znów skinęła na mnie palcami. – Jeśli nie zapłacisz tej ceny, to ona umrze przed wschodem słońca.

Te słowa skłoniły mnie, bym spojrzał na skurczoną, wycieńczoną twarz Evadine. Kolejna śmierć, której miałem być świadkiem. Właściwie to kolejne zabójstwo, bo gdybym teraz odmówił, to niewątpliwie bym ją zabił. Ile już tych istnień odebranych? Nigdy nie pozwoliłem sobie ich policzyć, ale też nigdy nie mogłem ich zapomnieć. Żołnierz z medalionem Męczennicy niemal stał się moją zagładą, Fornal, który ocalił mnie swymi naukami, ale nie zdołał ocalić sam siebie. Ten nieszczęsny drań na Polu Zdrajców z moim sierpakiem wbitym w twarz... tyłu innych. Jakie miało znaczenie jedno życie więcej.

Niech ta szlachecka rozmodlona suka zdechnie. Odezwał się w mojej głowie okrutny głos, ostry i przeszywający. Beze mnie umarłaby już dwukrotnie. Ta wiedźma mówi o cenie, jaką trzeba zapłacić, jaką cenę jestem jej winien? A mi ktoś kiedyś zapłaci?

– Podejrzewam, że nie ma szans, żebyś pozwoliła mi raz jeszcze spojrzeć na tę książkę? – zapytałem ze słabym uśmiechem. – Na pewno jest tam strona albo dwie, opisujące, co teraz zrobię.

Ona też się uśmiechnęła z mieszaniną smutku i współczucia.

– Już wiesz, co zrobić. I wiesz dlaczego.

Nie znalazłem już więcej słów, a studnia mojego oporu wyschła do cna, postąpiłem więc krok naprzód i ująłem wiedźmę za

rękę. Gładka i ciepła skóra dotknęła mojej szorstkiej i zrogowaciałej dłoni, było to przyjemne uczucie, aczkolwiek przelotne, bowiem jej palce zacisnęły się na moich z taką siłą, że gwałtownie nabrałem powietrza.

Wiele razy próbowałem sobie przypomnieć szczegóły tego, co wydarzyło się później, jednak mój umysł zachował ich niewiele. Pamiętam, jak odrętwienie wędrowało po mojej wyciągniętej ręce, pamiętam, że choć stałem w miejscu, miałem uczucie, że coś ciągnie mnie z ogromną siłą, kiedy odrętwienie dotarło do barku i poczęło rozlewać się na kark i pierś, straciłem ostrość wzroku. Pamiętam jeszcze, że widziałem niewyraźnie, jak Jutowa Wiedźma wyciągnęła drugą rękę i pochwyciła blade i bezwładne przedramię Evadine. A potem przyszedł ból.

W ciągu minionych lat setki razy zadawałem sobie pytanie, czy zgodziłbym się zapłacić tę cenę, gdyby Jutowa Wiedźma wyczerpująco opisała mi naturę tej transakcji. Ból to słowo zbyt marne, zbyt nijakie, aby opisać to, czego doświadczyłem w ciągu kolejnych kilku uderzeń serca, zanim zapadłem w nieświadomość. Agonia i tortury są równie niewystarczające. Po prawdzie nie sposób porównać tego, co przeżyłem do jakiegokolwiek formy fizycznego cierpienia, ponieważ przekraczało to dalece zwykłą fizyczność. Mimo tego, że zemdlałem, wiedziałem, że coś zostało wyrwane z samego sedna mojej istoty, coś niezwykle ważnego. „Żeby życie przywrócić trzeba życie odebrać”. Żeby wykonać swoje zadanie, odebrała mi coś, czego nie miałem już nigdy odzyskać i dopiero znacznie później w pełni zrozumiałem, co to było takiego.



– Alwyn Skryba.

Obudziłem się, czując żwir pod powiekami i lzy zaschnięte na twarzy. Przez jakąś sekundę trwałem w błogości wynikającej z braku bólu. Ale ciało szybko dało o sobie znać. Miałem wrażenie, że moje mięśnie i ścięgna zostały napięte do granic wytrzymałości, a kręgosłup stał się siedliskiem ognistych skurczy. Przez moment

dygotałem i skamlałem niemęsko, aż wreszcie świeże łzy wypłukały piasek spod mych powiek.

– Jesteś ranny?

Czoło Evadine blade, ale pozbawione niezdrowej szarości pofałdowało się z niepokojem, gdy spoglądała na mnie. Mogłem tylko gapić się na nią bez słowa, ogłuszony faktem, że po pierwsze, stała bez pomocy, a po drugie, jeśli nie liczyć bandażu, była całkowicie naga. Kiedy nadal gapiłem się bez słowa, uniosła brew z niejakim potępieniem.

– Nie piłeś chyba wczoraj, prawda?

Zamrugalem z wysiłkiem i zdołałem jakoś obetrzeć łzy drżącą ręką, po czym rozejrzałem się po komnacie.

– Gdzie ona jest?

– Ona?

– No... – zacząłem, zanim zdrowy rozsądek obudził się we mnie na tyle, by zamknąć mi usta. Ze zdumionej miny Evadine wyczytałem jasno, że kapitan nie miała pojęcia o tym, co wydarzyło się tu minionej nocy i odkryłem, że nie mam odwagi jej tego powiedzieć. Zostawię to Swainowi albo Wilhumowi, oni są odważni.

– Ayin – chrypnąłem – była tu wcześniej.

– Może pobiegła po pomoc, kiedy upadłeś. – Evadine podeszła do okna i otworzyła szeroko okiennice, nie bacząc na to, że ktoś mógłby ją zobaczyć. Słońce natychmiast obrysowało jej ciało złotem, a ona wygięła plecy w łuk i jęknęła z rozkoszą.

– Co za wspaniały dzień. – Zesztywniała na moment i dotknęła ostrożnie bandaża zakrywającego jej pierś. – Śniło mi się, czy ugryzł mnie wilk.

– Dwa wilki. – Dźwignąłem się z głośnym stęknieniem. Komnata zakołysała się gwałtownie, ale chwilę później zatrzymała się na szczęście. – Ja zabiłem jednego, sierżant Swain drugiego.

Spojrzała na mnie przez ramię, uśmiechając się słabo, ale posotnie.

– Czyli mój dług u ciebie rośnie – stwierdziła.

Owszem, rośnie, pomyślałem i powstrzymałem grymas na wspomnienie tego, co musiałem znieść.

– Długi między żołnierzami wyrównują się z każdą bitwą – powiedziałem. Nie pamiętałem dokładnie, gdzie podchwyciłem tę

perelkę, prawdopodobnie od jakiegoś pijanego żołnierza, w którejś z karczm, jednak Evadine wydawała się usatysfakcjonowana tymi słowami.

– W istocie. Gdzie właściwie jesteśmy?

– W Farinsal. Lord Kwestor był na tyle miły, by zapewnić ci kwaterę i opiekę.

– Zatem Olversal jest stracony. – Przestała się uśmiechać i odwróciła wzrok, zwieszając głowę.

– Wątpię czy kiedykolwiek mogliśmy go uratować. Podejrzewam też, że nie bez powodu zostałaś tam wysłana, kapitanie. – Zamilkłem i zmusiłem się, by stanąć prosto, mimo nękającego mnie bólu. – Najpewniej wysłannicy króla już tu zmierzają, wiem, że musiałaś słyszeć te wszystkie wrogie szepty...

– Kłamstwo to kłamstwo bez względu na to, czy wyrażone szeptem, czy krzykiem. – Evadine podniosła głowę, a ton jej głosu zmiękczyła refleksja. – Ostatecznie to nie ma znaczenia, ja kłamać nie będę.

Usłyszawszy coraz głośniejszy pomruk zza okna, ruszyłem zamknąć okiennice.

– Lepiej będzie jak je zamkniemy – oświadczyłem.

Evadine zmarszczyła brwi, po raz pierwszy zwracając uwagę na tłum za murami zamku.

– Co to za ludzie?

– Mieszkańcy miasta, wieśniacy i inni. Wszyscy wierni wyznawcy Przymierza przybyli błagać Męczenników i Serafilów o twoje ozdrowienie.

Zamknąłem szczelnie okiennice, bo poruszenie na dole świadczyło, że wielu przybyłych dostrzegło nagą kobietę w oknie.

– Zatem to im to zawdzięczam – powiedziała Evadine i raz jeszcze przesunęła dłońmi po bandażach, po czym zaczęła je zrywać. Nie mogłem odwrócić wzroku, gdy odsłaniała się przede mną. Ciało poniżej jej piersi było ciemnoczerwone, fioletowe i niemal czarne w miejscach, gdzie zęby wilka przebiły skórę. Teraz odzyskało swą zwykłą gładkość i jasność i tylko dwie okrągłe blizny przypominały o tym, co się wydarzyło.

– Miałam wizję, gdy spałam, Alwynie – mruknęła z drżeniem, patrząc przed siebie szeroko otwartymi nieruchomymi oczyma. –

I była tak różna od wszystkich innych, wcześniej, kiedy Serafilowie przybywali do mnie, czułam ich obecność, ale nigdy nie pokazali mi swych twarzy. Tym razem... – Na jej ustach pojawił się nieobecny uśmiech. – Myślałam, że są ponad sprawy tak zwykłe i powszednie jak płęć, bo o tyle są od nas lepsi. Myślałam, że odrzucili te więzienia, które my nazywamy ciałami. Ale tym razem przybyła do mnie kobieta i była taka piękna. Taka współczująca i tego dnia wstałam z łoża boleści podniesiona łaską Serafilów. – Absolutny zachwyt na jej twarzy ustąpił miejsca determinacji i zmrużyła oczy w wyrazie stanowczości. – Ludzie muszą to wiedzieć, nie mogę pozbawić ich tej wiedzy.

– Wysłańcy króla... – zacząłem, ale ona przerwała mi natychmiast.

– W oczach Serafilów żaden królewski wysłannik nie jest ważniejszy niż inni.

To spokojne stwierdzenie będące w zasadzie heretycką zdradą wystarczyło, bym zamilkł. Nawet Sylde w swych najbardziej radykalnych oświadczeniach nie powiedziała nic równie przewrotowego. Zastanawiałem się, czy nie przypomnieć Evadine o edyktach Rady Luminary dotyczących wyniesienia krwi królewskiej i szczególnego błogosławieństwa, jakim jest ona obdarzona. Jednak niewzruszona determinacja malująca się na twarzy Evadine, jej wciąż otwarte nieruchome oczy powiedziały mi, że nie znajdę u niej posłuchu w tej kwestii.

– Musimy ogłosić zaciąg do naszej kompanii – stwierdziłem uznawszy, że najowocniejsze będzie podejście praktyczne. – I wymaszerować stąd.

Mrugnęła wreszcie i spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Gdzie?

– Gdzieś, gdzie ludzie króla za nami nie podążą...

Roześmiała się z wyczuwalną ironią i pokręciła głową.

– Nie będę kryć się po zakamarkach królestwa jak ścigany szkodnik.

– Są inne królestwa, gdzie Przymierze jest silne. Inni królowie, którzy chętnie przyjmą twą służbę, szczególnie gdy poprowadzisz kompanię weteranów pod swoim sztandarem.

– Nie. Moja misja jest tutaj. Teraz to widzę. – Jej spojrzenie złagodniało i musiałem ukryć drgnienie zmieszania, bowiem podeszła ku mnie i wyciągnęła ręce, by ująć moje dłonie. Byliśmy mniej więcej równego wzrostu, więc spoglądała mi prosto w oczy z dziwną mieszaniną życzliwości i intensywnego nakazu – wiem, że ty też to widzisz. Ta z Serafilów, która przyszła do mnie pokazała mi wiele w swej łasce i mądrości. Wiem, co kryje się w twoim sercu, Alwynie Skrybo, mimo kłamstw, których używasz jako tarczy i wiem, co musiałeś wycierpieć, wiem, co musiałeś zrobić, by ocalić moje życie.

Zbliżyła się jeszcze bardziej i pochyliła nieco głowę tak, że nasze czoła się zetknęły. Bliskość kobiety tak pięknej, do tego nagiej, powinna mnie odurzyć, a ja powinienem przyciągnąć tę kobietę bliżej, zgnieść w uścisku, zmiażdżyć jej usta moimi. Jednakże w tej chwili nie było pożądania, zastygłem w bezruchu, a wewnątrz mnie kłębiły się konsternacja i strach. Evadine została uzdrowiona, ale również zmieniona. Jej poprzednia żarliwość zdawała się ledwie świeczką przy płomieniu, który widziałem teraz i wiedziałem, że jeśli zostanę z nią, to ten płomień mnie spali.

To, że ja nie odczuwałem żądz nie znaczyło jednakże, że Evadine podzielała to uczucie, bo zbliżyła się do mnie jeszcze bardziej.

– Jest tak wiele rzeczy – jej gorący oddech owionął mi twarz – których sobie odmawiałam. Czułam, że to konieczne. Aby służyć Przymierzowi tak, jak tego ode mnie wymagano musiałam unikać pokus, które usidlają innych. Teraz zastanawiam się...

Niejedno mogło się wtedy wydarzyć i zapewne gdyby się wydarzyło, zmieniłoby to wiele w tej historii. Ale tak to już bywa z chwilami o wielkim znaczeniu, że ich konsekwencje mogą zostać zmienione przez najdrobniejszą rzecz. W tym przypadku było to ciche, niepewne pukanie do drzwi, po którym nastąpiło pełne zmieszania chrząknięcie. Wiele to mówi o wyrazistości głosu Swaina, że potrafiłem go rozpoznać nawet po takim chrząknięciu. Evadine roześmiała się, uścisnęła moje dłonie i odsunęła się.

– Miałaś rację – rzekła, wracając do łóżka – co do zaciągu. Aczkolwiek nigdzie nie będziemy maszerować. Bądź tak dobry

i przekaz rozkazy sierżantowi, poprosz też Ayin, żeby przyniosła mi jakieś ubranie. I jedzenie, uświadomiłam sobie, że umieram z głodu.



Znalazłem Torię w portowej tawernie zajętą grą w kości z jakimiś żeglarzami. Przegrywała, co było dla niej typowe, albowiem wśród wielu jej talentów nie znalazł się taki do hazardu. W konsekwencji gry zazwyczaj sprawiały, że miała podły humor i ogromne pragnienie. Kiedy wyciągnąłem ją z kręgu, miała nieco mętny wzrok za to język ostrzejszy niż kiedykolwiek.

– Spadaj, ty kłamliwy pożeraczu oślich kutasów – warknęła, wyrrywając się z mojego uścisku.

– Jesteś na tyle trzeźwa, żeby posłuchać? – zapytałem. – Czy muszę wrzucić cię do końskiego koryta?

Skrzywiła się i wyraźnie widziałem, że zastanawia się, czy mnie uderzyć, czy może obrzucić kolejnymi obelgami.

– Gdzie twoja wiedźma? – spytała, ostentacyjnie się rozglądając. – Zawinęła się i cię zostawiła, co?

– Tak. – To bezbarwne potwierdzenie maskowało spory żal. Nikt nie widział, jak Jutowa Wiedźma opuściła dom jego lordowskiej mości, ale z całą pewnością zniknęła z portu. Płaszcz i sakwa zostawione pod opieką Piwowara również zniknęły, a żaden strażnik przy bramie nie widział niezwykle pięknej jasnowłosej kobiety, która opuszczała miasto.

Toria nie wysilała się za bardzo, żeby ukryć triumfalny uśmiezek.

– A kapitan?

– W pełni zdrowa i jeszcze bardziej zdeterminowana zostać Męczennicą.

Uśmiezek Torii stał się nieprzyjemnym grymasem.

– To znaczy, że nadal zamierzasz pomaszerować z nią i dać się zabić u jej boku, czy się mylę?

Przysunąłem się do niej i zniżyłem głos:

– To znaczy, że czas żebyśmy się stąd, do kurwy, zabierali.
Nadal masz tego suwerena?



Berrine Jurest, hm? – Kapitan Brahim Din Faud odsonił imponująco biały rząd zębów w szerokim uśmiechu. Chociaż ciemny odcień jego skóry zdradzał obce pochodzenie, to mówił po albermańsku, wymawiając szeroko samogłoski na sposób mieszkańców południowego wybrzeża, podobnie jak południowa była nadmierna mimika jego brodatej twarzy.

– To ci dopiero dziewczucha – stwierdził, a jego brwi poruszyły się, by nadać twarzy wyraz na poły lubieżny, na poły sentymentalny. – Wolna duchem, a do tego jeszcze hojna, szczególnie gdy miałem dla niej jakieś książki. Jak się miewa?

– Oplakuje utratę swojej biblioteki – odpowiedziałem. – Przynajmniej tak było, gdy widziałem ją po raz ostatni.

– A tak. – Din Faud wykrzywił się smutno. – Słyszałem o tym, co stało się na północy. Źle wpływa na handel, ta wojna i inne takie. No i jak na lud, który twierdzi, że kocha wolność, Askarlijczycy mają jeszcze cięższe podatki niż wy tutaj. Minie jeszcze sporo czasu, zanim zabiorę swoją najdroższą w pobliże Olwersal, zważ me słowa.

Z naszej dość krótkiej znajomości wywnioskowałem, że mówiąc „najdroższa” ma na myśli swój statek. Nazywał się Morska Wrona, a barwa drewna i żagli była stosowna do tej nazwy. Wąski kadłub z obfitym takielunkiem został zbudowany z myślą o szybkości. No i oczywiście kolor burt, który, jak twierdził kapitan,

był naturalnym odcieniem specjalnej odmiany dębu, stanowił cechę niezwykle korzystną w przypadku łajby zajmującej się przemytem.

– Jednakże – dodał Din Faud z tak ostentacyjnym mrugnięciem, że zwątpilem czy kiedykolwiek oglądał swoją twarz w lustrze, gdy robił te miny – nie tam chcecie się udać zakochane gołąbeczki, co?

– Nie jesteśmy żadne pieprzone gołąbeczki – pouczyła go Toria.

– Zatem... – brwi Din Fauda przypominały dwa wijące się węże – brat i siostra?

– Kim jesteśmy nie ma najmniejszego znaczenia – uciąłem. – Znaczenie ma to, dokąd chcemy popłynąć i czy mamy jak za zapłacić, a może się mylę?

Krzesło Din Fauda skrzywnęło, gdy odchylił się lekko, przyglądając się nam spojrzeniem zbyt bezbarwnym, by oznaczało co innego niż ocenę. Nasza wędrówka po rozmaitych tawernach Farinsal ujawniła kilka innych możliwości, jednak każdy z kapitanów okazał się zbyt dociekliwy. Usłyszeliśmy imię Din Fauda zupełnie przypadkiem i idąc tym tropem trafiliśmy do obskurnej pijalni rumu w jednej z bardziej zapuszczonych uliczek. Liczne wrogie spojrzenia i dłonie odruchowo sięgające ku nożom upewniły mnie, że trafiliśmy we właściwe miejsce.

– Jesteście młodzi – stwierdził Din Faud, a ja zauważyłem, że jego akcent stał się nagle mniej znajomy. – Ale także mądrzy, mądrością niezbędną, by zapuszczać się w takie miejsca jak to. Dłonie trzymacie blisko broni, usiedliście oboje plecami do ściany. Ona obserwuje izbę, podczas gdy ty patrzysz na drzwi i wątpię czy nawet zdajecie sobie z tego sprawę.

– Czy to problem? – spytałem.

– Wszystkie problemy można rozwiązać za właściwą cenę. – Pochylił się do przodu i nie przestawał nas taksować z twarzą niemal całkiem pozbawioną emocji. – Ale masz rację, musimy odpowiedzieć sobie na dwa tylko pytania. Gdzie? I za ile? Odpowiedź na drugie, jak rozumiecie zapewne, w znacznej mierze zależy od odpowiedzi na pierwsze.

Wymieniliśmy z Torią przelotne spojrzenia i nieznacznie skinęła mi głową. Oboje mieliśmy w życiu wiele do czynienia

z ludźmi takimi jak Din Faud. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że ktoś taki dopuści się zdrady, jednak zazwyczaj można było polegać na zawartej umowie.

– Przez Cronsheldt – powiedziałem. – Do Żelaznego Labiryntu.

Przez jego twarz przebiegło drgnienie, które uznałem za wynik zamaskowanego grymasu wyrażającego wątpliwości.

– Miejsce kapryśnych prądów i wielkich poszarpanych skalnych zębów – stwierdził. – Widziałem statki, które tam utknęły i nie był to piękny widok. Ryzyko znajdzie odbicie w cenie. – Zamilkł. Nie pytał, dlaczego chcieliśmy tam popłynąć, był to ostateczny test w przypadku tej transakcji i Din Faud go zdał.

Suweren Torii zazgrzytał paskudnie, gdy przesunęła go po blacie w stronę kufła Din Fauda.

– Tylko za to, że nas tam zabierzesz – powiedziała.

Kapitan przyjrzał się monecie, zanim wziął ją do ręki. Nie obraził nas sprawdzaniem jej zębami, ale uniósł do światła wpadającego smugą przez okno.

– Z czasów panowania ostatniego Artina, który zasiadał na tronie – stwierdził i raz jeszcze zaprezentował swoje białe zęby. – Piękna rzecz. Warta dwa razy tyle co suweren z głową króla Tomasa. – Moneta błysnęła, gdy rzucił ją Torii, która oczywiście pewnym ruchem złapała ją w locie.

– Za mało. – Nagle wrócił południowy akcent Din Fauda, tak samo jak przesadzona mimika kapitana, którego brwi utworzyły teraz wysoki łuk. – A ponieważ wydaje się, że nie macie nic więcej do zaoferowania – zaczął podnosić się z krzesła – życzę wam, mileńcy moi, dobrego dnia.

– Będzie więcej – powiedziałem z taką stanowczością, że się zawahał. Ściszyłem głos świadomy, jak niebezpiecznym było zostać podsłuchanym w takim miejscu i mówiłem dalej. – Ale tylko wtedy, gdy dotrzemy do celu. Uznaj tego suwerena za zaliczkę na poczet przyszłych zarobków.

– Musiałyby być znaczne – zastrzegł kapitan. – Żelazny Labirynt jest mi nie po drodze, albowiem mam ochotę popłynąć na południowe szlaki, skoro na północy tak niespokojnie. No i muszę myśleć o mojej załodze. To wolni ludzie, zaprzysiężeni memu masztowi w oczekiwaniu przyzwoitego wynagrodzenia. Nie sądzę,

aby zgodzili się na tak ryzykowną wyprawę tylko na podstawie dwójga dezertarów z Kompanii Przymierza, bez urazy.

Toria i ja ponownie wymieniliśmy spojrzenia. Odczytała moje zamiary i jej powieki rozchyliły się mocniej ostrzegawczo, jednak ja nie widziałem innej możliwości.

– Możesz nie ufać mojemu słowu, a zaufasz słowu Berrine?

Din Faud wzruszył ramionami.

– Nie ma jej tutaj, żeby poświadczyła za ciebie, chłopcze. Z tego, co wiem mogłeś jej nigdy nie spotkać i poskładać historię z plotek na jej temat.

– Spotkałem ją. Pokazała mi bibliotekę. Czy kiedyś pokazała tobie?

Przechylił głowę i uśmiechnął się z trochę mniejszą przesadą.

– Może pokazała. Co z tego?

– Zatem wiesz, jak doskonale umiała poruszać się wśród tych książek. Wykopywać spomiędzy stosów pergaminu zapomniane skarby. – Te słowa wymówiłem z delikatnym naciskiem, ale wystarczyło, by kapitan to usłyszał. Zobaczyłem, że mruży lekko oczy z zainteresowaniem, choć jednocześnie prychnął lekceważąco.

– Żegluję po morzach ponad czterdzieści lat. Słyszałem opowieści o skarbach najróżniejszych, stąd do Przylądka Kości Słoniowej i z powrotem. Uganianie się za nimi to głupota.

– Nie, jeśli masz mapę. Mapę narysowaną ręką Berrine.

Znów prychnął, tym razem jednak z rozbawieniem.

– I zamierzasz mi ją sprzedać, co?

– No to by było trudne. Spaliłem ją. – Podkreśliłem to kłamstwo stukając się w czoło. – Wszystko mam tutaj. – Pochyliłem się do przodu zniżając głos tak, że był właściwie szeptem. – Skarb Lachlana. Jest prawdziwy i wiem, jak go znaleźć.

– I Berrine tak ci to dała? To musiała być szczególna wizyta w bibliotece.

– Zrobiłem... Wyświadczyłem jej przysługę.

Żal przez chwilę widoczny na mojej twarzy musiał wyrzucić na nim wrażenie, bo spojrzenie kapitana stało się mniej sceptyczne. Jego próby wyrażania emocji mogły być nieudolne, a nawet całkowicie fałszywe, jednak wyglądało na to, że miał dar

dostrzegania prawdziwych uczuć u innych. Din Faud westchnął i potrząsnął głową.

– Trzeba powiedzieć, że jestem starym głupcem. Jednak jest pewien powab tej historii, nie zaprzeczam. – Obrzucił nas oboje uważnym spojrzeniem i głos mu stwardniał. – Ale jeśli okaże się fałszywa, to w Żelaznym Labiryncie pojawią się dwa nowe szkielety. – Podniósł się i dopił resztę z kufła. – Wypływamy z następną pełnią. Muszę jeszcze pozałatwiać kilka spraw. Ukryjcie się na pokładzie przed wieczornym odpływem za sześć dni od dzisiaj. Jeśli wasi kamraci, żołnierze, przyjdą po was, żeby was obwiesić, zanim podniesiemy kotwicę, nie oczekujecie, że będę za was walczył. Ten suweren zapewni wam podróż do Labiryntu i to wszystko. Porozmawiamy o cenie jeśli ta... – rozejrzał się ostrożnie po innych klientach tawerny – ta wasza obietnica okaże się owocna.

Toria odprowadziła go wzrokiem, po czym odwróciła się do mnie.

– Utkniemy na statku z bandą przemytników, którzy najpewniej poderzną nam gardła, gdy tylko zobaczą... to – mówiła cicho, ale ostro. – Aleś dobił targu.

– A masz jakiś inny statek pod ręką? – zapytałem. – A nawet gdybyś miała, to wiedziałabyś, jak żeglować?

– Swoje żeglowałam – prychnęła i odwróciła się dodając – nie w pojedynkę jednak.

– Cóż, tak to właśnie wygląda. Albo zostaniemy tutaj i spróbujemy szczęścia u boku Namaszczonej Pani, albo zaryzykujemy z naszym dobrym kapitanem. – Widząc wahanie na jej twarzy dodałem: – Ty wiesz, że ci pobożni szaleńcy już nazywają ją zmartwychwstałą Męczennicą. Oni naprawdę myślą, że umarła i została przywrócona do życia przez jednego z Serafilów. Wkrótce słuch o tym dojdzie do Rady Luminarzy i króla, dowiedzą się, że nie tylko ogłoszono nową Męczennicę, pierwszą od setek lat, ale jeszcze i tego, że ona wciąż żyje. Naprawdę chcesz tu być, kiedy oni zrozumieją, co to naprawdę znaczy?

Nadal miała ponurą minę, ale z jej oczu zniknęła niepewność.

– Piwowar? – zapytała.

– On jej nie opuści, nie teraz.

To samo dotyczyło oczywiście Ayin i Wilhuma, nie żebym zamierzał ryzykować zapraszanie ich do udziału w naszej przygodzie. Jednakże nie podobało mi się, że będę ich musiał zostawić, by stawili czoła temu, co będzie, jak doskonale wiedziałem, parszywą burzą. Są takie chwile, kiedy wyszkolony umysł może być prawdziwym przekleństwem, umiałem bowiem przewidzieć, jak się sprawy potoczą i podczas kiedy ta część mnie, którą nazwałbym wiecznie ciekawym uczonym chciała zostać i być świadkiem tego, co będzie przełomowym momentem w historii królestwa, to banita nie chciał mieć nic wspólnego z chaosem, jaki to oznaczało. Porażka Evadine Courlain uczyniła ją o wiele potężniejszą, niż mogłaby się stać odnosząc zwycięstwo. Na tym właśnie polega paradoks męczeństwa. Aczkolwiek ona była jego wyjątkowym przykładem, ponieważ żyła, by zobaczyć owoce swego poświęcenia. Splecione ze sobą filary, Korony i Przymierza nie mogły tolerować tak potężnego zwiastuna zmian. I tak, podczas gdy Evadine wygłaszała swoje kazania, Kompania Koronna prowadziła zaciąg, a najstarsi rangą klerycy Przymierza przygotowywali się, by wygłaszać potępienia.

Cieszyła mnie odległość pomiędzy Farinsal a stolicą – dwa tygodnie podróży nawet na najszybszym koniu. A jednak wiedziałem, że następne sześć dni będzie mi się dłużyć nad wyraz.

Trzeciego dnia po rzekomym zmartwychwstaniu Evadine tłum zgromadzony wokół zamku liczył sobie tysiąc wiernych. Następnego dnia ta liczba się potroiła. Albowiem właśnie następnego dnia Evadine wygłosiła swoje pierwsze kazanie. Wcześniej ludzi przyciągała sama możliwość, że może zobaczą Namaszczoną Panią przemienioną teraz w zmartwychwstałą Męczennicę. Jednakże to, co się wydarzyło, gdy Evadine zaczęła mówić, sprawiło, że moje wcześniejsze ponure przewidywania wydały mi się jakoś bardzo optymistyczne.

– Dlaczego tu przyszliście? – zapytała ich, a jej głos nie stracił ani trochę tej mocy przyciągania uwagi, jeśli już, to stał się pod tym względem silniejszy i docierał do uszu wszystkich obecnych bez najmniejszego trudu. Poza najpobożniejszą hordą skupioną wokół domu jego lordowskiej mości jeszcze wielu mieszkańców miasta tłoczyło się na pobliskich ulicach lub wisiąło w oknach okolicznych domów. Wszyscy niezdolni oprzeć się chęci wysłuchania nowej

Męczennicy. Razem z Torią staliśmy na skraju fosy i wraz z resztą kompanii pilnowaliśmy, aby tłum nie dał ponieść się emocjom. Wodząc spojrzeniem po zachwyconych twarzach słuchaczy dostrzegłem suplikanta ze świątyni, który pracowicie notował każde słowo Evadine, podobnie jak czyniło kilku miejscowych skrybów. Ja nie zwracałem sobie głowy szukaniem pióra i pergaminu, wiedząc, że niewielkie są szanse, abym kiedykolwiek zapomniał tę przemowę, i miałem rację.

– Czy szukacie przewodnictwa? – pytała dalej Evadine. Stała na balkonie swojej komnaty sypialnej, odziana w prostą białą suknię, która zdawała się lśnić w południowym słońcu. – Czy sądzicie, że jestem mądrzejsza i bardziej wnikliwa niż wy wszyscy? – Zaśmiała się lekko, ale był to śmiech ciepły, nie osądający. – Możecie mieć pewność, drodzy przyjaciele, że niewiele więcej wiem o Przymierzu niż wy. Wiecie przecież, czego wymagają od nas Serafilowie. Wiecie, jakie jest znaczenie przykładu Męczenników. Wiecie, że jeśli nie dopełnimy naszych zobowiązań, Boskie Portale zostaną przed nami zamknięte i druga Zatrata pochłonie ten świat, a jednak – uniosła dłonie, wskazując zgromadzoną publiczność – przysłuchiście tutaj oczekując, że usłyszycie to, co zawsze wiedzieliście, dlaczego miałyby tak być?

Patrzyłem, jak pióro suplikanta zamiera, jego skupiona twarz stanowiła wyraźny kontrast z zaskoczonymi obliczami gapiów, którzy go otaczali i kiedy Evadine odpowiedziała na swe własne pytanie, bez zaskoczenia patrzyłem, jak ta skupiona twarz pochmurnieje.

– Długo się nad tym zastanawiałam, drodzy przyjaciele. – Jakimś cudem głos Evadine stał się jeszcze donośniejszy, a tłum słuchaczy zafalował z napięciem, gdy tylko stało się jasne, że zamierzała powiedzieć coś ważnego. – Ale, jak zawsze, dopiero z pomocą samych Serafilów zdołałam poznać odpowiedź: zawiedziono was. Zostaliście zdradzeni. Odmówiono wam prawdy i nakarmiono kłamstwami. Ta... niepewność, te wątpliwości, które sprowadziły was do mych drzwi nie są waszą winą. Są moją. Są ich. – Wyciągnęła rękę wskazując iglice Sanktuarium Męczennika Ihlandera. – To zbrodnia wszystkich nas, którzy dołączyli do

Przymierza, albowiem widzę teraz, że zostało ono wypaczone i nie przemawia już w imieniu Męczenników.

Z rozbawieniem, nawet jeśli ponurym, i satysfakcją patrzyłem, jak pióro suplikanta zostawia na pergaminie brzydkią plamę atramentu. Teraz gapił się na Evadine tak, jak pozostali, ale było to spojrzenie człowieka zaszokowanego i przerażonego. Evadine Courlain, zmartwychwstała Męczennica właśnie dopuściła się herezji w przytomności tysięcy słuchających i jeszcze nie skończyła.

– Jak często dotykał was głód, przyjaciele? – spytała, a w jej głosie pojawiły się wyraźne nuty wzbierającego gniewu. – I gdy byliście głodni, i słuchaliście, jak dzieci wasze płaczą, bo mają puste brzuchy, gdy spojrzeliście na waszych suplikantów, czy oni też byli głodni? Jak często patrzyliście, jak waszych młodych zabierają na wojnę, która nie była ich wojną, jak często słyszeliście, że suplikanci błogosławią nadciągającą rzeź? Jak często odliczaliście monety na waszą dziesięcinę i dostawaliście w zamian jedynie puste obietnice powodzenia lub ozdrowienia? – Zamilkła na chwilę, pozwalając, by emocje tłumu zabłysły, zanim obwieściła głosem, który, jak sądziłem, dotarł aż do portu. – POWIADAM WAM, NIE TĘDY DROGA!

Dźwięk, który poniósł się wśród tłumu stanowił bardzo szczególne połączenie warkotu i wiwatu jednocześnie. Pięści uniosły się w górę i pierwsze okrzyki chwilę później scaliły się w rytmiczne skandowanie:

– Męczennica przemówiła! Męczennica przemówiła!

Zamieszanie trwało, a ja wciąż patrzyłem na suplikanta, którego szok zmienił się najpierw w gniew, ale chwilę później w strach, albowiem ci stojący obok niego zauważyli jego szaty. Drwiny i plwociny szybko przerodziły się w szarpaninę i nieszczęsny kleryk padł w końcu na kolana, a jego pióro i pergamin zostały wdeptane w błoto. Widziałem, że w najlepszym razie spotkają go kopniaki, może nawet cios nożem, jeśli gniew tłumu będzie narastał. Przyznam, że rozważałem szybki wypad w jego stronę, aby go uratować, jednak uznałem, że stawanie pośrodku rozgniewanego tłumu nie jest najmądrzejszym pomysłem. Stałem więc tylko i skrzywiłem się ze współczuciem, gdy krzepki rybak jako pierwszy wbił but w bok suplikanta. Oczywiście ten kopniak stał się sygnałem

dla każdego rozwścieczonego szaleńca w okolicy. Gdyby Evadine nie zauważyła zamieszania, pierwsze publiczne kazanie zmartwychwstałej Męczennicy zakończyłoby się śmiercią suplikanta.

– PRZESTAŃCIE!

Zdało się, że jej głos wyczarował w jednej chwili niewidzialną ścianę lodu wokół zakrwawionego nieszczęśnika, tak szybko bowiem tłum od niego odstąpił. Zapadła cisza, a suplikant skulił się na ziemi, drżąc z bólu i szlochając żałośnie. Swain spojrział w górę na kapitan i otrzymawszy w odpowiedzi skinienie głową szybko wysłał troje żołnierzy, by podźwignęli pobitego kleryka.

– Zabierzcie go do suplikanta Delryka – rozkazał, gdy tamci powlekli go w stronę domu lorda, ale słowa jego zagłuszył głos Evadine.

– Przychodzę, by naprawić to, co zepsute – powiedziała swej publiczności, która raz jeszcze stała się zgromadzeniem wiernych, a nie wściekłym tłumem. – Nie niszczyć. Dość było wojny na tych ziemiach. Osądzajcie bliźniego swego, jakbyście osądzili siebie i wiedźcie, że wszyscy jesteśmy winni. Grzech ten spada na każdego z nas w równej mierze. Od najwyższego lorda do najniższego żebraka. Zbyt długo zbaczaliśmy z drogi wyznaczonej nam przez Męczenników. Tam, gdzie oni pracowali, my pozostawaliśmy beczynni. Gdzie oni się poświęcali, my byliśmy chciwi. Gdy oni mówili nam bolesną prawdę, my spowijaliśmy się w bezpieczne kłamstwa. Dość tego!

Tłum znów zafalował, ale tym razem dlatego, że zgromadzeni wzdrygnęli się słysząc dławioną furię w głosie swej Męczennicy Evadine. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że zamknęła oczy, a jej twarz przybrała znów pozory spokoju. Kapitan odetchnęła głęboko, uniosła powieki i teraz przemówiła do zebranych tonem najszczerzego błagania.

– Za kilka dni opuścę to miejsce, albowiem zostało mi wyjawione, że muszę też innym przekazać tę wiedzę, którą dzielę się z wami. W każdym zakątku tego królestwa, w najdalszych rubieżach, które leżą poza jego granicami. Wszyscy muszą usłyszeć tę prawdę albowiem, moi przyjaciele, Druga Zatrata zbliża się z każdym dniem. W miarę, jak pogrążamy się w oszustwach i złudzeniach, Malecyi

rosną w siłę. Musimy się przygotować. Musimy uzbroić się w tarczę łaski Serafilów i miecz przykładu Męczenników. – Ponownie rozłożyła ramiona i odrzuciwszy głowę do tyłu zadała swe ostatnie pytanie: – CZY SIĘ UZBROICIE? CZY WEŹMIECIE DO RĘKI TARCZĘ I MIECZ?

Wybory dokonywane zbiorowo przez tłum są najdziwniejszą rzeczą, bo odbywają się z niesamowitą szybkością i całkowitym brakiem porozumienia. Wystarczyła jednak chwila nieharmonijnych okrzyków, by narodził jeden wspólny znany później jako Dewiza Męczennicy Evadine.

– TARCZA I MIECZ! TARCZA I MIECZ! TARCZA I MIECZ!

Patrząc, jak skandują z twarzami zaczerwienionymi prawdziwą pasją, po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że Korona i Przymierze bardziej obawiają się tej kobiety niż ona ich. Myśl ta być może sprawiłaby, że wzięłby we mnie górę uczone, gdyby nie tłum. Rozpaleni oddaniem i niezrównaną przemową stanowili wyraźny kontrast z tymi, którzy przybywali do Calintoru w poszukiwaniu schronienia, a potem siedzieli w zachwycie słuchając mądrości Syldy. Ci ludzie tutaj przypominali mi bardziej ujadający tłum, taki sam, który dręczył mnie pod pręgierzem – zwyczajni, prości ludzie, znęcali się nad bezbronnym młodzikiem tylko dlatego, że im na to pozwolono. Na co pozwoliła Evadine tym tutaj? Jakie namiętności podsycala, jaką pasję budziła w innych, rozpoczynając swą męczeńską wędrówkę przez królestwo? Ciężko pobity suplikant stanowił dopiero początek i nie chciałem brać udziału w tym, co nastąpi później.



W ciągu kolejnych dwóch dni, żegnałem się z ludźmi, ale żaden z moich wkrótce byłych przyjaciół o tym nie wiedział. W nocy po kazaniu Evadine objąłem warty wraz z Piwowarem i spędziliśmy kilka nader pracowitych godzin, powstrzymując pełnych uwielbienia wiernych. Wciąż gromadzili się licznie za fosą, ale ci bardziej żarliwi i zaradni nie zadowalali się adorowaniem ukochanej Męczennicy z daleka.

– Ale ja mam dla Męczennicy Evadine wiadomość ogromnej wagi! – zapiszczał jeden z wiernych protestująco, po tym jak Piwowar wyciągnął go ze ścieku. Ten niewielki człowieczek musiał godzinami czołgać się przez kolejne warstwy gówna w próbie uzyskania prywatnej audiencji u Męczennicy.

– Skazałaby cię na zatracenie za to, żeś tak zasmrodził to miejsce – stwierdził Piwowar, krzywiąc się z obrzydzeniem, gdy przyszło mu powlec nieproszonego gościa do fosy.

– Nigdy by tego nie zrobiła! – upierał się człowieczek, złapał Piwowara za nadgarstek i umazał mu rękawice łajnem. – Ma zbyt dobre serce! Proszę, dobry żołnierzu! Muszę ją ostrzec!

Piwowar spojrzał na mnie spod uniesionej pytająco brwi, a gdy odpowiedziałem mu wzruszeniem ramion, postawił małego człowieka na brzegu fosy.

– No dobra. Ostrzec przed czym właściwie?

Intruz rozejrzał się niespokojnie, marszcząc umazane nieczystościami czoło.

– Muszę uważać, żeby nie usłyszeli! – szepnął.

Piwowar zacisnął usta i pochylił się nieco.

– A kim są ci oni? – zapytał też szeptem.

– To Malecyi przecież. – Człowieczek rzucił na boki niespokojne spojrzenie i jego szept przeszedł w syk. – Myślą, że ich nie widzę, ale ja widzę. Opanowały każdy zakątek tego portu, już lata temu. Teraz, gdy Męczennica Evadine tu jest, boję się tego, co uczynią.

Piwowar pokiwał głową ze śmiertelną powagą.

– Ale tylko ty je widzisz?

– Widzę ich prawdziwe twarze, te ukryte za zasłoną ukradzionych ciał. – Intruz spojrział ku górnym oknom zamku. – Jego lordowska mość jest jednym z nich.

– Naprawdę?! – Piwowar uniósł brwi w teatralnym zdumieniu. – I kto jeszcze?

– Ecklud, piekarz na ulicy Crossmark. Jego żona też i ten tłusty gówniarz, synalek, jakiego spłodzili. A także rachmistrz z dziesiątego nabrzeża i ten złodziejski skryba z Zaułka Middlereach...

– To spora lista. – Piwowar wyprostował się i obrócił człowieczka w stronę fosy. – Najlepiej idź do domu i wszystko zapisz.

– Kiedy liter nie znam... – Jego słowa zwały się w okrzyk przerażenia, gdy Piwowar kopnął go w tyłek, posyłając prosto do fosy.

– To spieprzaj i się naucz.

Drobny człowieczek spędził trochę czasu miotając się w fosie, wyrzucając z siebie bełkotliwy potok donosów, wydawało się, że dotyczą one każdego sklepikarza lub ważnej osoby, jakich kiedykolwiek napotkał. W końcu zamilkł, gdy niektórzy wierni na drugim brzegu, zmęczeni tyradą, zaczęli rzucać weń śmieciami. Wyszedłszy z fosy, rzucił Piwowarowi gniewne spojrzenie, bez wątplenia dodając go do swojej listy zamaskowanych złoczyńców, po czym odszedł w mrok.

– Wcześniej przyszła kobieta, która podawała się za matkę Namaszczonej Pani – powiedział Piwowar. – Kiedy jej wytknąłem, że wygląda na kogoś mniej więcej w tym samym wieku, powiedziała, że

narodziny nastąpiły w wyniku związku z jednym z Serafilów, który od tego czasu utrzymuje ją młodą. Jak na matkę Zmartwychwstałej Męczennicy, to miała tak plugawy język, że Torię by zawstydziła.

– Zastanawiasz się czasem, co by Sylde o tym pomyślała? – spytałem, ruchem głowy wskazując tłum na brzegu fosy. Trochę już się przerzedził od czasu kazania, ale setki wciąż trwały w oczekiwaniu, skupieni wokół ognisk we wspólnym oddaniu. Co jakiś czas rozlegały się okrzyki „Tarcza i miecz!” i „Chwała Zmartwychwstałej Męczennicy!”. Uważałem to za równie irytujące, co niepokojące.

– Tego nigdy się nie dowiemy – odparł Piwowar, choć zmieszanie, jakie dostrzegłem w jego spojrzeniu, pozwoliło mi wywnioskować, że nie raz zastanawiał się nad tym pytaniem. – To ty spisałeś jej testament – przypomniał mi. – Nie wiesz?

– Przewidziała wiele rzeczy, ale tego nie. – Popatrzyłem w okno Evadine, pozostawało zamknięte, ale w komnacie płonęło jasne światło. – Jej nie.

– A jednak jest tutaj, żyjąca Męczennica, tak samo prawdziwa jak ty czy ja. – Na jego szerokiej, pociągłej twarzy pojawił się lekki, ale szczerzy uśmiech człowieka zadowolonego z miejsca, w którym ulokowało go życie. Wiedziała już wcześniej, że poproszenie go, by popłynął ze mną i Torią, byłoby bezcelowe, teraz zrozumiałam, że byłoby to również niebezpieczne.

– Myślę, że ascendantka byłaby... zadowolona, widząc, że twoja wiara została nagrodzona – powiedziałem, co sprawiło, że czoło pofałdowało mu zdumienie. Istotnie, byliśmy w pewnym sensie przyjaciółmi, ale nie była to przyjaźń, w której mieściły się wyrazy szacunku czy życzliwości.

– Grogu się opiłeś? – zapytał, a ja zamyśliłem się na chwilę nad tym, że nie wypilem ani kropli alkoholu od czasów Olwersal, i chyba nie zdołałabym wypić takiej ilości, żeby się upić.

– Nie – odpowiedziałem. – I jest to błąd, który będę musiał wkrótce naprawić.



Moje ostatnie lekcje z Wilhumem miały miejsce następnego ranka. Zawsze chętnie stosował się do planu dnia ustalonego przez wrednego mistrza Redmaine'a, co wymagało wczesnego wstawania i kąpieli w zimnej wodzie. Następnie próbowałem naśladować jego ruchy, gdy wykonywał kolejne układy z mieczem. Kiedy zaczął mnie uczyć, uważałem je za absurdalnie skomplikowane, ale teraz zrozumiałem, że te pierwsze ćwiczenia były odpowiednikiem lekcji tańca dla dzieci. Ku mojemu zaskoczeniu, przez większość czasu byłem w stanie powtarzać jego ruchy, nie z taką samą płynnością i szybkością, ale też nie byłem już tym powolnym, niezdarnym głupkiem, jak wtedy gdy zaczynaliśmy. Jednakże, choć Wilhum wydawał się zadowolony z moich postępów w sztuce walki mieczem, moja poskładana z kawałków zbroja nie znalazła uznania w jego oczach.

– Bezwartościowy śmieć – stwierdził, przesuwając dłonią po mojej nałokcicy, wgniecionej i odbarwionej, którą dostałem za dwa szelągi od innego żołnierza po Polu Zdrajców. Nie chciała błyszczeć, niezależnie od tego, ile czasu poświęciłem na jej polerowanie. – Poproszę kapitan o fundusze na zbroję dla ciebie – dodał Wilhum. – Tym bardziej, że chyba chciałaby mieć u swego boku eskortę o rycerskim wyglądzie, gdy rozpocznie swoją wędrówkę.

Zauważyłem, że teraz zawsze mówił o niej „kapitan”, nigdy Evadine. Ale też nigdy nie nazywał jej „Męczennicą Evadine”. Zauważyłem też, że jego spojrzenie w jej obecności było ostrożne, a gdy się do niej zwracał, to sucha formalność zastąpiła ich wcześniejszą zażyłość. Wiedziałem, że po części wynikało to z jej nagłego wywyższenia, ale tę zmianę w zachowaniu przypisywałem przede wszystkim poczuciu winy.

– Nie powiedziałaś jej? O Jutowej Wiedźmie? – spytałem.

Zacisnął pasek mojej nałokcicy, po czym przesunął się, by uderzyć mnie w napierśnik.

– Ty też nie. Ani sierżant Swain, ani suplikant Delryk, za obopólną zgodą. Najlepiej będzie, jeśli tak zostanie, nie sądzisz?

Myślę, że ona wierzy, że jeden z Serafilów zstąpił z Krainy Nieskończonej Łaski, by przywrócić ją do życia. Myślę, że wyruszy w podróż, która na zawsze odmieni te ziemie, być może skąpie je we krwi, a wszystko to na podstawie kłamstwa. Nie powiedziałem tego

głośno, bo pomimo jego siły, odwagi i umiejętności, uważałem Wilhuma za człowieka pod wieloma względami kruchego i nie chciałem sprawiać mu bólu podczas naszego ostatniego spotkania.

– Nie lubisz jej okłamywać, prawda? – zapytałem. – To oszustwo ci ciąży. Jest wbrew rycerskiemu kodeksowi, czy coś?

– Kodeks rycerski to zbiór bezsensownych bredni, sklecony przez obłudników. Mistrz Redmaine wiedział o tym i próbował nauczyć mnie prawdy, choć byłem zbyt młody i skupiony na sobie, by go słuchać.

Oparł swój długi miecz o jeden ze słupków ogrodzenia otaczającego miejsce naszych ćwiczeń, po czym wziął do ręki parę drewnianych replik. Zatrzymał się na chwilę, a jego spojrzenie stało się odległe, skierowane ku wspomnieniom.

– Zabili go, wiesz? Mistrza Redmaine’a. Powiesili go za zdradę. Kilka dni wcześniej został ranny w bitwie, jednej z późniejszych potyczek w Wojnach Książąt. Jak przystało na człowieka, który sprzedaje swoje umiejętności za pieniądze, oddał swój miecz księciu z najgrubszą sakiewką, ale też z najgorszym wyczuciem sytuacji. Zwlekli go z łoża, wciąż krwawił z odniesionych ran, i powiesili obok tuzina innych. Mój ojciec, lord, któremu Redmaine służył od lat, był tym, który założył mu sznur na szyję. Przed śmiercią Redmaine błagał swojego byłego pana, by zaopiekował się jego żoną i synem, którzy zostali żebrakami, na skutek konfiskaty wszystkich dóbr. Zawsze chętny okazać swą łaskawość, przynajmniej publicznie, mój ojciec przyjął oboje, uczynił żonę pokojówką, a chłopca moim służącym. – Brzydki, gorzki uśmiech wykrzywił usta Wilhuma. – Rzadki akt dobroci, którego, jestem pewien, po dziś dzień żałuje. – Uśmiech zniknął, gdy szlachcic złapał moje spojrzenie i rzucił mi drewniany miecz. – Mówiłem ci, że to miłość przywiodła mnie do zguby, prawda? – Podniósł jesionową klingę w formalnym pozdrowieniu i ruszył w moją stronę, niepokojąco celowym krokiem. – To była miłość do pazia, który został żołnierzem.

Nie czekał, aż odwzajemnię salut, zaatakował od razu, zamarkował uderzenie znad głowy, po czym wycelował pchnięcie w mój tors. Udało mi się je sparować i uniknąć kolejnego ciosu w nogi.

– Żołnierzem, który nauczył się wszystkiego, czego mógł nauczyć od swego ojca. – Jego głos stał się szorstki i zgrzytliwy. Wilhum ruszył do kolejnego ataku, zmuszając mnie do cofania się, trzymanym oburącz drewnianym mieczem. Z każdym krokiem moje stopy wzbijały obłoczek pyłu, gdy starałem się przed nim uciec.

– Zwykły prostak, a mógłby pokonać każdego rycerza, może z wyjątkiem sir Ehlberta Bauldry'ego, ale wydaje mi się, że przegrałby o włos.

Uniknąłem cięcia w głowę i spróbowałem pchnięcia w brzuch, które sparował jednym ruchem nadgarstka.

– Oglądanie go podczas turnieju było jak oglądanie jednego z legendarnych bohaterów z dawnych czasów lub jednego z askarlijskich bogów wojowników. Syn Ulthnira we własnej osobie. – Zbliżył się do mnie, zbyt szybko, bym zrobił unik, unieruchomił moją rękę z mieczem w opancerzonej pięści i wychrypiął mi słowa prosto w twarz: – Co to znaczy kochać boga, Alwynie? I co to za los uzyskać jego wzajemność?

Gorzki uśmiech znów na moment wykrzywił mi usta, Wilhum obrócił się, zginając zarazem, i cisnął mnie na ziemię. Upadek wyrwał mi z ręki drewnianą klingę, ale wiedziałem, żeby się za nią nie rzucać. Podnosząc się na jedno kolano, zdążyłem chwycić go za przedramiona, gdy uderzył mieczem z siłą zdolną roztrzaskać mi czaszkę.

– Ojcu się to oczywiście nie spodobało. – Wilhum chrząknął i zamachnął się lewą nogą, wbijając opancerzoną stopę w mój napierśnik. Kopniak był tak mocny, że rozerwał mój uścisk i byłem zmuszony przeturlać się po ziemi, by uniknąć kolejnej serii ciosów. – „Ssij tyle kutasów, ile chcesz”, powiedział mi. „Ale czy musisz mnie zawstydząć, wlepiając z oddaniem te krowie ślepia w tego prostaka?”.

Stłumiłem instynkt, który kazał mi unikać jego ciosów i przewróciłem się na plecy, odrzucając głowę na bok, gdy pchnął bezlitośnie.

Drewniane ostrze roztrzaskało się o ziemię z ogłuszającym trzaskiem. Wzdrygnąłem się i wyprowadziłem kopnięcie, na tyle mocne, że wgniotło napierśnik Wilhuma i zmusiło go do cofnięcia się o kilka kroków.

– I tak – podjął, odrzuciwszy swoją zniszczoną broń i unosząc pięści, zręcznie odstepił na bok, unikając mojego pierwszego ciosu – kiedy mój młody bóg powiedział, że ma ochotę odejść i oddać swój miecz sprawie Pretendenta, jakże mogłem nie pójść za nim? – Uderzył, celując w mój nos, ale zbiłem jego rękę. Szczęknęły uderzające o siebie rękawice.

– Aldryk – powiedziałem. – Tak mu było na imię.

– Tak było. Razem wędrowaliśmy daleko, do Fiordowego Geldu i z powrotem. – Zablokował prawy hak, jaki wymierzyłem w jego szczękę i odpowiedział takim samym. Udało mi się go uniknąć, w większości, bo jego rękawica pozostawiła krwawą rysę na mojej głowie.

– Miło wiedzieć, że uważałeś. Ale... – pochylił głowę i rzucił się na mnie, oplótł ramionami w pasie i powalił – ty zawsze uważasz, prawda? Nic nie ujdzie uwadze Alwyna Skryby.

Uniosłem ramiona, żeby zarękawia zasłoniły moją głowę, bo zasypał ją gradem ciosów.

– Taki spostrzegawczy prostak! A jak umie pisać! Taki godny łask Namaszczonej Pani!

Znosiłem ciosy i czekałem na nieuniknioną przerwę, gdy się zmęczy. Trwało to dłużej, niż bym chciał i byłem pewien, że gdy zdejmę zbroję, moje ramiona pokryte będą paskudnymi sińcami. W końcu Wilhum trochę zwolnił, zachwiał się lekko, wystarczająco jednak bym mógł chwycić go za nadgarstek, wyciągnąć sztylet z paska i pchnąć go w oko. Chociaż rozgniewał mnie jego atak i sińce, myślałem na tyle przytomnie, by zatrzymać ostrze, zanim dotknęło Wilhuma, ustawiając je tak, by docisnąć krawędź do jego częściowo odsłoniętej szyi.

– Nigdy nie prosiłem o jej pieprzoną łaskę! – parsknąłem wściekle.

Nie dostrzegłem nawet cienia strachu w oczach Wilhuma.

– A jednak cię nią obdarza – stwierdził zimno. – Ty ją widzisz wyraźnie, ale ona ciebie nie. Już nie. Nie widzi, że zamierzasz uciec.

Spojrzał wymownie w dół, a ja uczyniłem to samo i odkryłem, że jego sztylet znieruchomiał nad szczeliną między dwoma taszkami, które zakrywały moje biodra. Wilhum trzymał go tak przez chwilę,

która mi zdała się wiecznością, po czym odetchnął ciężko, a ja poczułem, że pragnienie walki powoli go opuszcza.

Cofnąłem swój sztylet i każdy z nas odtoczył się na bok, leżeliśmy na plecach, dysząc w niebo, a pot stygł nam na skórze.

– Co się z nim stało? – spytałem, gdy już moje serce zwolniło. – Z Aldrykiem.

Wilhum zasłonił oczy przedramieniem, chroniąc się przed słońcem i milczał chwilę.

– Upadł i skręcił kark. Eskortowaliśmy Prawdziwego Króla przez góry Altien, werbując przy okazji tamtejsze klany dla jego sprawy. Większość klanów była chętna do współpracy, wciąż żywili żal do dynastii Algathinetów, która zastraszyła ich przed laty. Ale nie wszystkie. Klany uwielbiają wojować ze sobą jeszcze bardziej niż z Koroną, a sojusz z jednym oznaczał wrogość drugiego. Ruszyli na nas dziką szarżą, setkami spłynęli po zboczach doliny, wrzeszcząc przy tym tak głośno, że koń Aldryka się spłoszył. Był to młody ogier, nieprzyuczony do wojny, rzucał się tak gwałtownie i zaciekle, że Aldryk spadł z siodła, zanim zdołał uspokoić wierzchowca. Usłyszałem, jak kark mu pęka, pomimo wrzasków górali i szczęk ostrzy. Usłyszałem to i wiedziałem, że już po nim. Siedziałem tam i wpatrywałem się w jego połamane ciało, a wokół mnie szalała walka. Wiedziałem, że po mnie też przyjdzie śmierć. I chciałem, żeby przyszła. Ale Prawdziwy Król nie. Przebił się do mego boku i ściał górala, który miał mi właśnie wbić grot włóczni w twarz. Dołączenie do wielkiej sprawy Pretendenta to było wielkie pragnienie Aldryka, nie moje. Ale po tej bitwie, czułem, że mam dług wobec Prawdziwego Króla, więc zostałem. Poza tym planowałem dać się zabić przy pierwszej okazji. Ale nawet to spieprzyłem z pomocą ojca Evadine. Gdyby Aldryk był na Polu Zdrajców... – Westchnął z żalem i usiadł. – No cóż, jestem pewien, że rozmawiałbyś teraz z lordem Szambelanem Wilhumem Dornmahlem, człowiekiem wysoko postawionym na dworze króla Magnisa Pierwszego.

– Nie – odparłem, siadając. – Byłbym martwy. Tak jak każdy członek tej kompanii, nie wyłączając jej.

Nie klócił się z prawdą wyrażoną w sposób tak brutalnie otwarty.

– Nie pójdę z tobą. – Wstał. – Na wypadek, gdybyś zamierzał zapytać.

– Nie zamierzałem.

Roześmiał się i podał mi rękę.

– Robisz się coraz lepszy – pochwalił, pomagając mi się podnieść. – O wiele lepszy. Gdziekolwiek się udasz, powinienes znaleźć innego nauczyciela, najlepiej takiego, który zna się na koniach. Nadal jeździsz jak gruba maciora wsadzona przemocą na osła.

– Powiesz jej? – spytałem, gdy się odwrócił. – Że odchodzę?

– Już powiedziałem. Wyśmiała mnie. Najwyraźniej twoje odejście pozostaje w sprzeczności z jej wizją, więc się po prostu nie wydarzy. – Wilhum Dornmahl pokłonił mi się nisko; po raz pierwszy jakikolwiek szlachcic to zrobił. – Żegnaj, Alwynie Skrybo. Kiedy będziesz o mnie pisał, a nie wątpię, że będziesz, uczyni mnie... – wyprostował się i ściągnął brwi z namysłem – przystojnym. Człowiekiem godnym miłości boga. To by mi się chyba podobało.



– Powiedziała, że masz mnie nauczyć liter i cyfr – poinformowała mnie Ayin, zatrzymawszy się w trakcie zeskakiwania ze stopni wiodących do komnaty Evadine. Powiedziała, że będziesz zbyt zajęty, żeby zajmować się księgami kompanii i teraz ja to będę robić.

– Zbyt zajęty czym? – zapytałem, mijając ją.

– Och, wojną i innymi takimi, tak myślę. Mówi, że nadchodzą ciężkie czasy i powinnam się na nie przygotować. – Głęboka zmarszczka przecięła jej gładkie czoło. – Nie lubię, kiedy tak mówi.

– Ja też nie. Ayin – zaczęłam, gdy podjęła swoje skoki. Patrząc na jej otwartą twarz, w oczy niezasnute nawet cieniem podejrzenia, poczułem, że nie wiem, jak ją pożegnać, a przynajmniej nie w sposób, który miałby dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Ze wszystkich dusz, za którymi będę tęsknił ona była tą, która budziła we mnie największe poczucie winy. Choć była naprawdę

niebezpieczna, to zarazem równie krucha jak niemowlęta, które budziły w niej taki zachwyty.

– Ona ma rację – powiedziałem wreszcie. – Kiedy kompania wyruszy, na drogach będzie wielu złych ludzi. Miej zawsze nóż pod ręką i zawsze ostry, tak?

Wzruszyła ramionami.

– Zawsze mam. A litery?

Odwróciłem się i podjąłem wspinaczkę, bojąc się, że zobaczy kłamstwo w mych oczach.

– Jutro – odparłem z szorstkością, która miała zamaskować nagle ściśnięcie gardła. – Znajdź mnie po ćwiczeniach.

Zapukałem i otrzymawszy pozwolenie wszedłem do komnaty i zobaczyłem, że Evadine ma już gościa. Lord Kwestor trzymał głowę pochyloną, zwracając się do kapitan z rękami splecionymi w pasie. Upewniłem się w swojej ocenie jego nieprzeciętnej inteligencji, gdy zauważyłem biel jego knykci i to, jak dokładnie kontrolował głos. Przemawiał tonem formalnym i uprzejmym, bez popadania w służalczość. Goszczenie Zmartwychwstałej Męczennicy, która niedawno wygłosiła herezję i prawdopodobnie dopuściła się zdrady stanu z jego własnego balkonu, stawiało go w sytuacji daleko wykraczającej poza zwykle zakłopotanie. Ten człowiek o tym wiedział. Wiedział również, że poproszenie jej, żeby odeszła było równie ryzykowne, w końcu otaczali ją lojalni żołnierze i wciąż rosnące zgromadzenie wiernych.

Zamilkł na chwilę, gdy wszedłem, zerknął na mnie, ale zobaczywszy, że nie jestem nikim ważnym, natychmiast ponownie spuścił wzrok.

– Jestem przekonany, że to bardzo by uspokoiło panujące w mieście nastroje, moja pani – powiedział. – Potwierdziło, że nadal wierzysz w najważniejsze nauki Przymierza.

– Być może, mój panie – odpowiedziała Evadine. Siedziała przy oknie ubrana w strój podróży, który nosiła zwykle podczas marszu, miecz znajdował się w zasięgu ręki, oparty nieopodal kominka. Zastanawiałem się, czy miało jakieś znaczenie, że nie poprawiła szlachcica, który użył zwrotu „moja pani” zamiast jej stopnia: kapitan. – Jednakże – podjęła żywo – spodziewałabym się raczej, że prośba, bym stanęła przy ołtarzu podczas suplikacji

w Święto Męczenników, będzie pochodziła od najważniejszego kleryka w świątyni.

– Obecnie ascendant niechętnie opuszcza sanktuarium. – Jego lordowska mość drgnął pod wpływem ledwie kontrolowanego dyskomfortu. – Biorąc pod uwagę to, co stało się z jednym z jego suplikantów podczas twojego kazania, jego ostrożność jest zrozumiała. Zostałem również zmuszony do wystawienia straży wokół świątyni. Ostatnio doszło do kilku... nieprzemyślanych aktów niszczenia. Gdybyś zechciała wziąć udział w dzisiejszych suplikacjach, wielu uznałoby to za twoje błogosławieństwo dla Przymierza. Miejmy nadzieję, że wtedy ludzie zrozumieją, że lepiej będzie, jeśli skierują swą frustrację na inne cele.

– Jeśli mówiąc „frustracje” masz na myśli, panie, usprawiedliwiony gniew i umocnione oddanie wierze, to gotowam się zgodzić. – Wstała i przechyliła lekko głowę. – Proszę, poinformuj ascendanta, że z radością wezmę udział w nabożeństwie. Chciałabym też podziękować ci, panie, za twą gościnność. Moja kompania zbierze się i wyruszy jutro rano. Nie sądzę, by ta okazja wymagała jakichś formalności.

Byłem pod wrażeniem, że Lord Kwestor zdołał ukryć ogrom swej ulgi, tak że nie słychać jej było w jego głosie, ani nie widać w postawie.

– To był prawdziwy zaszczyt i wielka przyjemność. – Wycofał się ku drzwiom i wyszedł przez nie sprawiając wrażenie, że się spieszy.

– Zastanawiałam się, czy może nie opróżnić jego skarbca, zanim odejdziemy – powiedziała Evadine, kiedy zamknąłem za nim drzwi. – Fundusze ukradzione tym ludziom w naszych rękach zostałyby wykorzystane dużo lepiej, nie sądzisz?

– Sądzę, że trudno ci będzie zyskać królewską przyjaźń, jeśli zaczniesz od kradzieży jego podatków – zawiesiłem głos, by też się przed nią ukłonić – kapitanie.

Uniesieniem brwi skomentowała bezceremonialność mojej wypowiedzi, ale kąciki jej ust drgnęły w uśmiechu.

– Dlaczego miałabym zaprzętać sobie głowę przyjaźnią króla?

– Ponieważ bez względu na to, czy to ci się podoba, czy nie zdobycie tego królestwa dla twojej sprawy wymaga niestety aprobaty

Korony. Albo – zerknąłem na drzwi i zniżyłem głos – innej głowy, która będzie ją nosić.

Patrzyliśmy sobie w oczy i wiedziałem w tamtej chwili, że różnica naszego statusu nie ma teraz większego znaczenia. W tej komnacie i za każdym razem, gdy w przyszłości znajdziemy się sami, będziemy tak bardzo sobie równi jak to tylko możliwe. Ta świadomość mogła sprawić, że rozważyłbym porzucenie mych planów ucieczki, ale wykorzystałem ją do podsycenia determinacji. Jeśli zostanę u twego boku, to umrę w niedługim czasie.

– Jak widzę, możemy obrać dalszą drogę, kierując się twoją radą – stwierdziła, zaciskając usta w cienką linię. – Zawsze chętnie słucham twych rad Alwynie, mam nadzieję, że to wiesz.

– Wiem. – Sięgnąłem do kieszeni kaftana i wyciągnąłem gruby zwój pergaminu przewiązany czarną wstążką. – Po prawdzie przychodzę oferować ich więcej, choć nie moich własnych.

Spojrzenie Evadine stało się ciepłe, gdy przyjęła ode mnie zwój odczytując na głos słowa wypisane na nim z niemałym kunsztem.

– Testament Ascendantki Syldy Doisselle.

– Chciałbym, żeby został odpowiednio oprawiony – powiedziałem. – Być może iluminowany, ale nie ma na to czasu. To pełen testament, zawiera o wiele więcej jej mądrości niż kopia znajdująca się w posiadaniu ascendanta Hilberta w Callintorze. Zawiera on również... pewną informację, która w mojej opinii z pewnością pomoże ci we wszelkich negocjacjach z Koroną.

Ciepło w jej oczach przygasało, zastąpione wnikliwą kalkulacją, którą rzadko widywałem u niej przed jej cudownym uzdrowieniem.

– Jak to?

– Zrozumiesz, kiedy przeczytasz. Niektórzy z pewnością będą twierdzić, że to nic nie znaczy, że to tylko atrament rozmazany po pergaminie, bo przecież każdy skryba i każdy zhańbiony kleryk może kłamać, ale gdy prawdę zawartą w tym testamencie ogłosi zmartwychwstała Męczennica, o wiele trudniej ją będzie podważyć.

Jej dłoń gładziła pergamin w taki sposób, w jaki kobieta pieści wysadzany klejnotami prezent od kochanka.

– W takim razie przeczytam go z zainteresowaniem – zapewniła mnie szeptem.

Ukloniłem się i odwróciłem by odejść, jednak zatrzymałem się gwałtownie, gdy dodała tonem daleko głośniejszym.

– To nie jest prezent na pożegnanie, Alwynie.

Odwróciłem się i odkryłem, że spogląda na mnie raczej smutno niż rozkazująco, właściwie to nawet przepraszająco.

– Aczkolwiek wiem, że ty tak o tym myślisz. Nie mam do ciebie żalu za twój strach, bo tylko głupiec spoglądałby bez lęku na postawione przed nami zadanie. Ale bez względu na to, czy boimy się, czy nie, to jest nasze zadanie. Zostało nam powierzone i wszystkie plany, jakie sobie ułożyłeś spełzną na niczym. Jesteśmy teraz ze sobą związani, taka jest wola Serafila.

Niemal jej wtedy powiedziałem. Moje usta rozchyliły się, by wyrzucić prawdę, która domagała się uwolnienia. Twoja wizja to kłamstwo. Serafilowie niczego nie nakazali ani tobie, ani mnie! Wszystko to są wymysły poganki, kaeryckiej wiedźmy.

Pomimo tych wszystkich niekończących się wątpliwości i pytań, które dręczyły mnie przez lata, nigdy nie zastanawiałem się, jakby wyglądało wszystko, gdybym wtedy wyznał jej prawdę. Ile istnień zostałyby ocalonych? Jak wiele zniszczeń zostałyby oszczędzonych temu królestwu i innym? Niewątpliwie mam wiele do odpokutowania, ale moje milczenie w tamtej chwili nie jest jedną z moich zbrodni, albowiem wiem bez cienia wątpliwości, że niczego by to nie zmieniło. Wiara stwardniała w niej niczym granit, stała się silniejsza niż stal.

– Ja... – zająknąłem się, kaszlnąłem i cofnąłem się do drzwi, unikając jej spokojnego smutnego spojrzenia. Przez moment myślałem, że może wezwie Swaina i zakuje mnie w łańcuchy, żeby móc zatrzymać przy sobie jak psa. Ale ona tego nie zrobiła, ponieważ wiedziała doskonale, że gdy chodziło o mnie, nie potrzebowała żadnych łańcuchów.

– Za pozwoleniem, kapitanie – pożegnałem się, gdy dotarłem do drzwi, po czym oddałem jej salut, odwróciłem się i pospiesznie szedłem po schodach.



Noc była bezwietrzna, a wody portu znieruchomiały pod bezchmurnym niebem. Jasny krąg księżyca w pełni oprószył swym światłem liczne statki stojące na kotwicy. Din Faud poradził nam, byśmy zczekali po zawietrznej stosu drewna ułożonego w pobliżu miejsca, gdzie zakotwiczył jego statek. Najrozsądniej byłoby znaleźć jakieś wypełnione cieniem zagłębienie pośród ułożonych desek i przeczekać tam te niekończące się godziny dzielące nas od odpływu. Okazało się jednak, że nie mogę przestać chodzić. Podskakiwałem na każdy dźwięk, spodziewając się, że z mroku wyłoni się Swain lub Ofila w towarzystwie tuzina żołnierzy z kajdanami w dłoniach. Jedyne co dostrzegałem jednak to migające ogony szczurów.

– Czy ty się, kurwa, uspokoisz? – zirytowała się Toria. Usiadła na najwyższym stosie drewna i uważnie obserwowała port w nastroju tak dobrym, że mógłbym chyba nazwać ją pogodną. Pełne napięcia zgarbienie, które uważałem za jej zwykłą postawę, zniknęło nagle podobnie jak wiecznie zmarszczone brwi. Nietrudno było odgadnąć, dlaczego tak się stało. Po latach więzienia w końcu odzyskała wolność. Za to ja czułem się bardziej uwięziony niż kiedykolwiek dotąd.

Moje spojrzenie wędrowało ciągle od jednego skraju nabrzeża do drugiego, po czym wracało do wody, gdy bezskutecznie próbowałem ocenić postęp przyływu. Jak długo jeszcze? Po całym

moim starannym planowaniu, wciąż nie mogłem uwierzyć, że ucieczka będzie tak łatwa. Miałem właśnie zostać dezerterskim z Kompanii Przymierza Zmartwychwstałej Męczennicy Evadine Courlain i nikt, jak się okazało, nie chciał mnie powstrzymać. Ta świadomość mogłaby urazić moją dumę, gdybym nie chciał tak bardzo opuścić tego portu. Spojrzałem w górę na Torię siedzącą na swej grzędzie i zobaczyłem, że twarz jej zwrócona była w stronę ciemnego kadłuba Morskiej Wrony. Na rufie płonęła pojedyncza latarnia i mogłem dostrzec zarysy postaci spuszcających trap.

– Gotowy? – zapytała Toria i wylądowała u mego boku. Błysnęła stal, gdy wyciągnęła nóż z pochwy i obróciła w dłoni tak, że ostrze ukryte zostało za przedramieniem. – Trzeba być ostrożnym – powiedziała, wzruszając ramionami. – Kapitan wydaje się godny zaufania, ale to wciąż banita.

– Tak jak my – odpowiedziałem, ruszając przed siebie, cały czas rozglądając się niespokojnie po pagórkach ładunków, które wyrosły na nabrzeżu.

– Racja. – Toria zaśmiała się cicho i był to dźwięk osobliwy w swej lekkości. – Tak jak my.

Znowu jest tym, kim być chce, uświadomiłem sobie i ten brak wątpliwości sprawił, że wezbrała we mnie zazdrość.

Na końcu trapu stało dwóch marynarzy, którzy powitali nas podejrzliwymi spojrzeniami, tak typowymi dla przestępców. Pocieszałem się, że to nieżyczliwość jest dobra, albowiem uśmiechy i wyciągnięte dłonie w takich chwilach zapowiadały oszustwo i zdradę. Podniosłem wzrok i na pokładzie zobaczyłem barczystą postać Din Fauda. Podobnie jak ja rozglądał się po porcie, wypatrując jakichkolwiek zapowiedzi kłopotów, co było kolejną dobrą rzeczą.

– Marnujecie czas – powiedziała jedna z marynarzy, ciemnoskóra kobieta z bułatem przytroczonym w poprzek pleców.

Kiwnąłem głową i wszedłem na trap i w tym momencie mnie uderzyło. Przez ułamek chwili myślałem, że jednak zostaliśmy zdradzeni. Tak silny był bowiem cios, który mnie trafił. Ale szybko zrozumiałem, że uderzenie przyszło z wewnątrz, nie z zewnątrz. Zatoczyłem się, zaciskając palce na piersi, serce waliło mi wściekle, świat wokół falował. Przez sekundę znów byłem w komnacie

Evadine, ściskając dłoń Jutowej Wiedźmy. Przez sekundę czułem ten sam wyjątkowy ból, który przeszywał mnie do głębi. Chwiejnie cofnąłem się od statku i odwróciłem, bo niewidzialna, ale straszliwie silna dłoń pociągnęła mnie w stronę miasta.

Początkowo niczego nie widziałem, tylko usłyszałem. Odległość i labirynt przeplatających się uliczek stłumiły ten dźwięk, ale moje uszy wyczulone były na odgłosy wszelkich konfliktów. Najpierw usłyszałem krótkie, ale głośnie krzyki, kilka wrzasków, potem migotanie pochodni, żółte i czerwone cienie przesuwane się ponad wysoką iglicą Sanktuarium Męczennika Ihlandera.

– Kłopoty w świątyni – stwierdziła Toria, jej głos wydał mi się teraz chrapliwy, bo nie było w nim tej lekkości, którą słyszałem wcześniej. Obróciłem się ku niej i gdy spojrzałem jej w oczy zobaczyłem, że zrozumiała, co teraz się stanie. Jej oczy wypełniła wilgoć połyskująca w świetle księżyca, na policzkach zarysowały się mięśnie zaciśniętych szczęk. – Myślisz, że ona... cię kocha. – Słowa ledwie wydostawały się z klatki jej zębów. – Jesteś najgorszym z głupców, Alwynie.

Chciałem ją objąć, ale bałem się noża, który trzymała w dłoni.

– Powinnaś trafić tam bez problemu – powiedziałem, podając jej zwiniętą mapę z kieszeni. – Być może pewnego dnia rzucisz kilka moment temu staremu głupcowi.

Wyrwała mi mapę bez wahania i nie oglądając się za siebie ruszyła po trapie.

– Jeśli coś jej się stanie, to nie ma takiego miejsca na świecie, w którym moglibyście ukryć się przede mną – zapowiedziałem kobiecie z bułatem. – Powiedz swojemu kapitanowi.

Nie czekałem na nieuchronną, pełną obelg kłótnię i pobiegłem do świątyni tak szybko, jak mogłem.



Musiałem przedzierać się przez gęstniejący tłum wiernych, by dotrzeć do drzwi świątyni i serce ściskało mi się na myśl o tym, co mogę tam zastać. A jednak krew spływająca główną nawą okazała

się ponurym zaskoczeniem. Przy drzwiach leżał martwy mężczyzna w szatach suplikanta. Zatrzymałem się na chwilę, by spojrzeć mu w twarz, ale go nie rozpoznałem, za to dostrzegłem błysk kolczugi pod rozdarcie szaty. Usłyszałem nakładające się na siebie krzyki i błagania dochodzące od strony ołtarza, więc przepchnąłem się między parą żołnierzy z kompanii, którzy krwawili dość obficie z ran na twarzy i ramionach po czym znieruchomiałem, zobaczywszy scenę przed sobą. Klerycy sanktuarium leżeli martwi na stopniach ołtarza wraz ze swym ascendantem. Większość hałasu czynił Lord Kwestor, który klęczał przytrzymywany przez dłoń Ofili w stalowej rękawicy. Ostrze trzymanego przez nią miecza dotykało szlacheckiego karku.

– Nie wiedziałem – charczał lord. – Na Męczenników przysięgam, nie wiedziałem.

Usłyszałem szloch i odwróciłem się od błagającego szlachcika ku Ayin, która dygocąc na całym ciele tuliła się do szerokiej piersi Piwowara. Leżał u podnóża stopni wiodących do ołtarza, z twarzą zwiotczałą i całkowicie nieruchomą. Podszedłem bliżej i zobaczyłem, jak Ayin ściska trzy bełty z kuszy, które przebiły mu napierśnik.

– Wstawaj – prosiła przez zasłonę łez i smarków. – Nie ma jej i musisz po nią iść...

Przykucnąłem i przyłożyłem dłoń do czoła Piwowara, ciało było chłodne i miękkie, pozbawione wszelkiego życia. Nawet Jutowa Wiedźma nie mogła mu już teraz pomóc.

– Nie chciała mieczy w świątyni – powiedziała Ofila, wciąż przyciskając ostrze miecza do chudej szyi jego lordowskiej mości. – Pozwoliła się eskortować tylko Piwowarowi. Przybiegliśmy, gdy usłyszeliśmy hałas. – Zmeła przekleństwo w ciężkich szczękach.

– Mieli tuzin szermierzy rozstawionych w tłumie i kilku innych przebranych za suplikantów. Powstrzymywali nas, gdy wyprowadzali ją tyłem. – Nasze spojrzenia się spotkały i zobaczyłem zdumienie zmieszane z wściekłością. – Ona nawet nie walczyła, Skrybo.

– Sierżant Swain? – zapytałem. – Wilhum?

– Ruszyli w pościg. Sierżant kazał mi wyciągnąć z tego tu, co się da. – Mocno wbiła opancerzone palce w ramię Lorda Kwestora, na co ten jęknął boleśnie.

– To ascendant – zaszlochał błagalnie. – To na jego prośbę tu przyszła. Ja nic nie wiem!

– On umarł – przypomniała mu Ofila. – Ty jeszcze nie.

Podniosłem się i podszedłem do jednego z zabitych kleryków. Podobnie jak nieboszczyk przy drzwiach, on też miał rozciętą szatę. Jednak z pogruchotanej, krwawej ruiny jego głowy wywnioskowałem, że zginął od ciosu mosiężnego świecznika. Robota Piwowara, doszedłem do wniosku i przeszył mnie spazm żalu. Rysy martwego zalane były krwią, ale gdy przyjrzałem się bliżej, wydały mi się znajome. Złapałem za śliską masę włosów, podniosłem ociekająca krwią głowę z podłogi, teraz dokładniej zobaczyłem szczupłą twarz żylastego człowieka, którego widziałem kilka miesięcy wcześniej. Wtedy był czystszy, pomyślałem, pozwalając, by głowa żylastego sierżanta opadła na posadzkę z mokrym plaśnięciem.

„Ta szalona suka umrze, tak czy inaczej”. Słowa Lorine wypowiedziane wtedy w lesie, nabrały nagle dodatkowego znaczenia.

– To jeden z ludzi księcia Rouphona – oznajmiłem, podchodząc do Ofili. – Przypuszczam, że zabiorą kapitan do zamku Ambris. Zabójstwo Zmartwychwstałej Męczennicy w świątyni nie wystarczy. Potrzebują szybkiego procesu, ale w miejscu nadającym się do obrony i z dużą widownią. – Spojrzałem w rozbiegane oczy klęczącego lorda. – Czy mam rację, mój panie? Ostrzegam, że mam ucho bardzo wyczułone na kłamstwa.

Na twarzy szlachcica odmalowała się gorączkowa kalkulacja, ale mocne szarpnięcie Ofili zmusiło go do odpowiedzi.

– Mieli nakaz koronny! – wymamrotał. – I list z księżącą pieczęcią. Jaki miałem wybór?

Cofnąłem się, obserwując, jak Ofila zмага się z perspektywą morderstwa, jeszcze mocniej docisnęła miecz do bladej skóry szlachcica, a na ostrzu pojawiła się strużka krwi.

– Ty niewierny łajdaku! – wychrypiała. Zdrowy rozsądek wziął górę nad wściekłością. Zabicie tak wysokiego rangą urzędnika Korony byłoby czynem katastrofalnym, nawet teraz, gdy wszystko wydawało się stracone. Ayin jednak nigdy nie była zwolenniczką zdrowego rozsądku.

Gdy jego lordowska mość zwiotczał z ulgi, rzuciła się na niego, śmiertelnie niebezpieczna i dzika, ręka z nożem poruszała się tak szybko, że zdawała się jedynie rozmazaną plamą. Krew płynęła coraz obficie. Lord Kwestor padł na ziemię, a ostrze wbijało się w jego twarz, szyję i oczy, sprawiając, że w ciągu kilku sekund zmienił się nie do poznania. Nie miałem ochoty interweniować, a zdrowy rozsądek Ofili i tym razem powstrzymał ją przed jakąkolwiek próbą odciążenia Ayin, zanim ta skończyła.

– Żli ludzie... – sapnęła, podnosząc się znad okaleczonych zwłok szlachcica, pociągnęła nosem i wytarła kapiącą z niego krew. – Wszędzie źli ludzie. – Odwróciła się do mnie, obnażając poplamione czerwienią zęby i machnęła ostrzem ze znużeniem. – Trzymałam go pod ręką.

Odpowiedziałem jej uśmiechem, po czym odwróciłem się i ruszyłem do drzwi.

– Dokąd to, Skrybo? – chciała wiedzieć Ofila.

– Do zamku Ambris – odparłem. – A, kurwa, gdzie?! Idziesz?



Sierżant stojący na warcie przy wschodniej bramie nie miał ochoty oddać konia, a potem nie miał ochoty dyskutować, bowiem usiadł gwałtownie na tyłku trzymając się za obity nos. Skradziony wierzchowiec był silną klaczą o kudłatych nogach, wyhodowaną raczej z myślą o wytrzymałości, a nie szybkości. Jednak udało mi się skłonić ją do galopu.

Pragnienie dotarcia do zamku Ambris, gdy wyruszałem, było palącą potrzebą, ale stygła ona powoli, w miarę jak posuwałem się naprzód. Klacz zwolniła do klusa, a potem do stępa i to zmniejszone tempo dało mi czas, bym zastanowił się, co właściwie zamierzam zrobić, kiedy dotrę do celu. Wiedziałem, że księżę i każdy z królewskich urzędników zaangażowanych w to przedsięwzięcie będzie chciał jak najszybciej mieć je za sobą. Im szybciej Evadine zostanie potępiona jako heretyczka, a wszelkie sugestie o jej męczeństwie stanowczo stłumione, tym lepiej dla króla i Przymierza.

Najprawdopodobniej miałbym szczęście przybywając na czas, by być świadkiem egzekucji Evadine, ale nie zdołałbym tej egzekucji powstrzymać. Widok ciał przy drodze przerwał moje rozmyślenia. Zatrzymałem wierzchowca kładąc dłoń na rękojeści miecza i powiodłem czujnym spojrzeniem po drzewach po obu stronach drogi. Zerknąwszy ponownie na trupy dostrzegłem jeszcze, że to żołnierze w barwach księcia Shavine, a ich rany świadczą o zaciętej walce, która odbyła się bardzo niedawno. Jeden nie nosił jednak zbroi, a lekkie szaty, co sugerowało, że był raczej posłańcem niż zbrojnym.

– Niósł wiadomość dla króla.

Drgnąłem na dźwięk głosu Swaina. Sierżant stał na skraju drzew z zakrwawionym buzdyanem w dłoni i podejrzliwością w oczach. U pasa miał skórzaną tubę, w której znajdował się najpewniej list nieszczęsnego posłańca.

– Gdzieś był, Skrybo? – zapytał sierżant tonem, który sugerował, że powinienem pojawić się wcześniej.

– Znałem babki, które biegały szybciej niż ta zolza – odparłem, zsiadając z konia. Zbliżywszy się do sierżanta ruchem głowy wskazałem tubę.

– Zgaduję, że chciałbyś, bym pomógł ci to przeczytać.

Rysy Swaina stężały lekko z urazą, ale bez dyskusji rzucił tubę w moje ręce. Umiał czytać i pisać, ale niezbyt dobrze.

– Chodź – powiedział, odwracając się – obozujemy niedaleko.



– To relacja z procesu – powiedziałem Swainowi i Wilhumowi, po czym odczytałem im na głos zawartość jednego arkusza pergaminu, bo tylko tyle znalazłem w tubie. Relacja sporządzona była nierównym rozwlekłym pismem, z którego wywnioskowałem, że sporządził ją niezbyt wykwalifikowany skryba i to w pośpiechu. – Niniejszym informuję Jego Królewską Mość, że Evadine Courlain znana niegdyś jako lady z Leshalle i aspirantka Przymierza Męczenników została uznana dziś przez prawowite zgromadzenie

szlachty i duchowieństwa za winną najpodlejszej zdrady i herezji. Mianowicie: współpracy ze szpiegami Siostrzanych Królowych Askarlii w celu przekazania w ich ręce portu Olwersal oraz heretyckie i ze wszech miar fałszywe twierdzenia o męczeństwie i zmartwychwstaniu wskutek świętej interwencji Serafilów. Wyrok śmierci zostanie ogłoszony na mocy prawa Koronnego, jak i prawa Przymierza i zostanie wykonany w ciągu dwóch dni. Jeśli Jego Królewska Wysokość raczy okazać łaskę tej nikczemnej zdrajczyni, Jego życzenie zostanie uszanowane.

– Przekłęci kłamcy! – krzyknął Wilhum. Zranione ramię umocowane miał na temblaku i choć bladeść jego twarzy i plamy czerwieniące się na bandażach wskazywały, że lepiej byłoby mu odpocząć, to nie przestawał chodzić w tę i z powrotem. Wraz ze Swainem ruszyli galopem do zamku Ambris i natknęli się na posłańca z eskortą, nie mając czasu przygotować zasadzki. Pośpiech i wściekłość Wilhuma sprawiły, że stał się niezdarny i zabiwszy dwóch zbrojnych nie zdołał uniknąć ciosu trzeciego. Na szczęście buzdygan Swaina powstrzymał ostatniego z książęcych, zanim ten zdążył dokończyć dzieła. Królewski posłaniec podjął nierozsądną, choć godną podziwu decyzję o ucieczce zamiast spokojnie się poddać, za co otrzymał cios buzdyganem w czaszkę.

– Podpisano przez księcia Elbyna – powiedziałem, opuszczając pergamin – i całą listę kleryków i szlachty, z których tylko jeden ma znaczenie. – Podałem pergamin Wilhumowi, wskazując właściwy podpis.

– Sir Althus Levalle – przeczytał i twarz mu pociemniała, gdy gniew jego stał się jeszcze większy. – Zatem Korona przyłożyła do tego swoją rękę.

– Przynajmniej Kompania Koronna – uściślił Swain – jeśli zaś chodzi o króla, to fakt, że nie ma go tutaj może coś oznaczać. I dlaczego zwlekać dwa dni? Przecież i tak będzie po wszystkim, zanim jeszcze wiadomość dotrze do stolicy.

– Pozory. – Wilhum skrzywił się boleśnie i poprawił ułożenie temblaka. Trudno mi było powiedzieć, czy bardziej targa nim furia, czy jednak ból. – Jeżeli to postępowanie wzbudziłoby gniew prostego ludu, zawsze może twierdzić, że nie został powiadomiony na czas, by zainterweniować, więc jest w tym przypadku bez winy. No

i dwudniowa przerwa jest im potrzebna, aby wznieść szubienicę i zebrać publikę. Zabicie jej w głębi zamku bez tłumy, który byłby świadkiem jej śmierci to zwykle morderstwo, niezależnie od całego tego udawanego procesu. Boją się, a to coś znaczy.

– Wystraszeni czy nie, mają Kompanię Koronną i zbrojnych księcia – rozważał Swain, pocierając podbródek. – Nawet mając naszą kompanię nie wywalczylibyśmy sobie drogi do niej.

– Pokonać drogę z Farinsal w dwa dni to trudne zadanie, ale nie niemożliwe dla żołnierzy oddanych sprawie – powiedziałem. – Zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że suplikantka Ofila jeszcze nie wyruszyła z miasta.

Swain westchnął bezradnie i potrząsnął głową.

– Nadal nie dość. Przewaga liczebna będzie po ich stronie i nawet nasza najsilniejsza wiara i oddanie nie zdołają przechylić szali zwycięstwa na naszą stronę.

– Oddanie... – powtórzyłem odruchowo, bo słowa jego poruszyły strunę mej pamięci.

– Skrybo? – Na twarzy Swaina odmalowało się podbarwione niechęcią naleganie. Nadal miał względem mnie swoje wątpliwości, ale jednocześnie wydawało się, że moja przebiegłość zyskała jego szacunek.

– Ty i Wilhum powinniście zawrócić – oznajmiłem. – Odszukajcie naszą kompanię i przyspieszcie ich marsz tak bardzo, jak to tylko będzie możliwe. Jeśli zaś chodzi o przewagę liczebną, nie sądzę by była problemem.

– Będzie trudno – ostrzegł Wilhum. – Egzekucje odbywają się zawsze o poranku.

– W takim razie musimy wymusić opóźnienie ceremonii. Jeśli to ma być przynajmniej z pozoru postępowanie zgodne z prawem, będą musieli przestrzegać pewnych form, a to z kolei stwarza nam pewną okazję.

– Na co?

Biorąc pod uwagę, co zamierzałem zaproponować, zdumiewało mnie, że nie cierpię jeszcze z powodu mdłości. „Kłątwa Doenlish gorsza jest niż wszystkie inne”, powiedział kajdannik. „Zwiąże cię mocniej, niż ja bym zdołał...”

– Czy jest może szansa – zacząłem – że zabrałeś ze sobą zbroję?



S pójrzcie na tę zdrajczynię!
W chwili, gdy zacząłem przepychać się przez tłum rozpoczęło się już formalne potępienie i rozkazujący głos wykrzykiwał swoje z rusztowania. Tłum był znacznie gęstszy niż wtedy, gdy kilka tysięcy osób przyszło popatrzeć na śmierć księcia Rauphona. Ludzie przysłaniali mi widok, ale i bez patrzenia mogłem domyśleć się, kto stoi nas szafocie. Głosu mówcy nie potrafiłem jednak rozpoznać.

– To najgorsza bluźnierczyni, zdrajczyni prawd Przymierza! Patrzcie na jej wstyd i na jej winę! – Pomimo faktu, że świt wstał zaledwie kilka godzin wcześniej, niektórzy z zebranych tu przemocą lub z własnej woli widzów tego paskudnego spektaklu byli już mocno pijani i niechętnie ustępowali z drogi bez mocnego popchnięcia. Zdarzało się, że ten czy ów poczuł się rozżłoszczony moim przepychaniem się przez tłum, ale wszelkie groźby milkły, gdy tylko ewentualni przeciwnicy mieli okazję na mnie spojrzeć. Moja zbroja pozostała w Farinsal, ale Wilhum miał na sobie swoją, gdy towarzyszył Evadine do Sanktuarium Męczennika Ihlandera. Pasowała na mnie całkiem nieźle, a kilka godzin ze ścierką nadało niebieskiej emalii właściwego połysku. Tak więc, zarówno trzeźwi,

którzy ustępowali mi drogi, jak i przerażeni pijacy widzieli we mnie rycerza. Niejeden z nich kłaniał mi się nawet czołobitnie.

– Niech was nie zwiedzie jej twarz, dobrzy ludzie! Bo to tylko maska! Fasada skrywająca niewypowiedzianą podłość!

– Co to znaczy? – usłyszałem jak jeden chłop pyta drugiego, na co otrzymał równie zdumioną odpowiedź.

– Nie wiem co to ta cała „safada”.

Byłem już wystarczająco blisko, by dostrzec część szlachty stojącej na szafocie. Widok księcia Elbyna nie był dla mnie zaskoczeniem. Widziałem go przelotnie na Polu Zdrajców i uznałem go za postać nieciekawą, wyróżniało go bowiem jedynie kwaśne zniecierpliwienie zastygłe na twarzy. Towarzyszyło mu teraz kilku służących, ale nie Lorine. Wątpiłem, żeby księżę miał jakiegokolwiek pojęcie, gdzie podziewała się jego żona tydzień wcześniej i w ogóle co porabiała nocami.

– Nie zadowolając się sprzedażą jednego z umiłowanych klejnotów tego królestwa naszym znieawidzonym pogańskim wrogiem z północy ta nikczemna oszustka ośmieliła się również przyznać sobie płaszcz Męczennicy! Czyż studnia jej zepsucia nie ma dna?

Mówca miał piękny i silny głos, który pewnie zawładnąłby słuchaczami, gdyby nie ten dobór słów. Evadine zawsze wiedziała nie tylko jak dotrzeć do uszu słuchaczy, ale też jak pochwycić ich dusze słowami, które rozumieli. Z szafotu przemawiał zaś mężczyzna zakochany we własnej elokwencji, który, jak podejrzewałem, za nic miał opinię zebranego tłumu. Zwolniłem, zbliżywszy się do rusztowania, i w końcu zobaczyłem mówcę, odkrywając ze zdumieniem, że jednak go znam.

– A więc dobrzy ludzie – grzmiał aspirant Arnabus – po raz ostatni proszę was, spójrzcie na tę zdrajczynię!

Jego ramię wystrzeliło w stronę kobiety w białej szacie. Pociągnęła twarz Arnabusa, która podczas spotkania w obozie króla wydawała się niezwykle blada, teraz poczerwieniała i pokryła się kropelkami potu. Nie potrafiłem powiedzieć, czy było to spowodowane strachem, czy rozkoszą.

Za to twarz Evadine była dla kontrastu spokojna, niemalże obojętna. Jej skóra zawsze jasna, teraz wydawała się równie biała jak

szata, którą kapitan miała na sobie, a w powadze było coś posągowego. Nadgarstki miała skrępowane liną, ale w jej twarzy nie było bólu, raczej cierpliwe oczekiwanie. Była to mina kobiety męczonej nużącą rozmową, zbyt uprzejmej jednak, by tę rozmowę przerwać. Nie dostrzegłem też ani cienia strachu.

Towarzyszyło jej dwóch królewskich żołnierzy z Kompanii Koronnej i stojący blisko krawędzi rusztowania wielki rycerz w pełnej zbroi z mosiężnym orłem na napierśniku. Nieobecność królewskiego czempiona była może ryzykowna, ale z pewnością starannie przemyślana. Według wszelkich przekazów sir Ehlbert Bauldry z ogromną niechęcią przyjął rolę kata starego księcia. Wyglądało na to, że odmówił splamienia swojego rycerskiego honoru udziałem w tej kłamliwej farsie. Sir Atlhus Levalle nie miał takich skrupułów.

– Proszę was, byście byli świadkami jej sprawiedliwej egzekucji i zamknęli wasze serca przed litością! – Głos aspiranta Arnabusa przybrał na sile. – Proszę, byście jako lojalni poddani króla Tomasa zapamiętali to, co zobaczycie dzisiaj. I wreszcie pytam was, czy po tym, jak udowodniono, że winna jest wszelkich stawianych jej zarzutów, czy ktokolwiek wystąpi i podniesie miecz w obronie tej zdrajczyni?

– JA PODNIOSE! – Nie pozwoliłem na żadną przerwę między pytaniem a odpowiedzią i wyrzycałem ją tak głośno, jak tylko pozwoliło mi to gardło. Jednocześnie przepchnąłem się przez kilka ostatnich rzędów publiczności. Szereg księżących zbrojnych ustawionych przed rusztowaniem zareagował na moje pojawienie się z oczywistym niepokojem. Najbliżsi opuścili halabardy i próbowali utworzyć wokół mnie półkole.

– Przybywam podnieść miecz w obronie niesprawiedliwie oskarżonej! – zawołałem, unosząc nad głowę oręż wyciągnięty z pochwy. Tego dnia niebo było częściowo zachmurzone, ale udało mi się złapać całkiem przyzwoity blask promieni na obnażonym ostrzu. – Bo takie jest moje prawo, prawo każdego z poddanych Albermaine, ustanowione i przestrzegane od czasów pierwszego Trójkrólewia! – Obróciłem się, wciąż trzymając uniesiony miecz i kierując swe słowa do tłumu. – Każdy poddany niezależnie od tego, czy jest chłopem, rycerzem, czy żebrakiem może rzucić to

wyzwanie! Uszanujecie je, czy też pozwolicie, by wszyscy zobaczyli, jaką farsą jest ta egzekucja?

Wróciłem spojrzeniem ku platformie szafotu i zobaczyłem tam same zdumione twarze z trzema jedynie szlachetnymi wyjątkami. Podczas gdy książę i jego słudzy pogrążeni byli w nerwowych szeptach, aspirant Arnabus przyglądał mi się spod uniesionych brwi, ale bez szczególnego niepokoju czy niezadowolenia. Wydawało mi się, że widziałem, jak drgnęły kąciki jego ust, jego twarz przypominała twarz dziecka, które dostało niespodziewanie nową zachwycającą zabawkę.

Evadine również się uśmiechnęła, promiennie i serdecznie, ale bez zaskoczenia widocznego u kleroika. Nasze spojrzenia się spotkały i zrozumiałem, że nie miała wątpliwości, że się zjawię.

Sir Althus Levalle właściwie się nie uśmiechał, na jego szerokiej twarzy pojawił się raczej wyraz satysfakcji, który sprawił, że zacząłem się zastanawiać, czy on również przewidział moje pojawienie się na egzekucji.

– Kim jest ten człowiek?!

Książę Elbyn poderwał się z fotela i podszedł do krawędzi szafotu, po czym spojrzał na mnie z całym wzburzeniem i gniewem, których tak brakło aspirantowi Arnabusowi. Kiedy książę przewodził rzezi na Polu Zdrajców, miałem wrażenie, że przynajmniej sili się na zachowanie godne szlachcica. Teraz jednak wydawał mi się tak złośliwy i dziecinny, że nie mogłem zrozumieć, jak Lorine zdołała tyle czasu znieść jego towarzystwo, nie mówiąc już o poczęciu mu dziedzica. Jego pytanie skierowane było do Arnabusa, a każde słowo akcentowane machnięciem dłoni.

– Kim on jest, żeby przerywać to... tę tak ważną okazję?

– Kimś, kto zna się na prawie najwyraźniej – odparł Arnabus łagodnie, po czym zwrócił się do mnie. – A skoro zna się na prawie, to wie również, że musi podać swe imię, gdy formalnie podważa werdykt naszego sądu.

– Nazywam się Alwyn Skryba – odkrzyknąłem, podnosząc głos i po części zwracając się do zgromadzonych widzów. – Żołnierz Kompanii Przymierza i sługa zmartwychwstałej Męczennicy Evadine Courlain, niechaj będzie błogosławiona łaską Serafilów.

– Kłamstwa! – Książę pomachał na mnie ręką. – Kłamstwa i herezja! Ty tam! – Jego trzepocząca dłoń skierowała się w stronę kordonu żołnierzy. – Związać go! Jego też spotka sprawiedliwość...

– STAĆ!

Głos sir Althusa nie stracił nic ze swej władczości w ciągu minionych lat. Chociaż nie był dowódcą książęcych żołnierzy, ci zatrzymali się natychmiast. Komtur spokojnym krokiem podszedł do stopni szafotu z hełmem pod ramieniem i ręką na głowicy miecza. Nie odrywał ode mnie spojrzenia nawet wtedy, gdy książę Elbyn złapał go za rękę, mrużąc słowa, których nie zdołałem usłyszeć. Usłyszałem jednakże odpowiedź sir Althusa:

– Zawrzyj mordę, bezdusza gnido.

Zszedł po schodach tym samym niespiesznym krokiem, wydając po drodze kilka rozkazów i dwudziestu królewskich żołnierzy rzuciło się, by odepchnąć ludzi. Kiedy tłum cofnął się dostatecznie, utworzyli wokół nas kordon trzymając halabardy tak, aby utrzymać w ryzach żywo zainteresowanych widzów.

– Ładna zbroja – zauważył, zatrzymując się kilkanaście kroków przede mną. – Gdzieś ją ukradł?

Jego usta wykrzywił ponury uśmiech, który starannie odwzajemniłem.

– To był prezent.

– Zatem splamię go z przykrością. – Założył hełm i zaczął zapinać paski. – Zatem to zemsta, tak? Za przęgierz i za Wyrobiska, jak sądzę.

– Nie jestem tu z twojego powodu. – Założyłem swój hełm, jedyną część zbroi, której nie mógł dać mi Wilhum. Jego hełm okazał się być za mały na moją czaszkę, musiałem więc zadowolić się gorszym, który Swain wyszabrował na Polu Zdrajców. Hełm był mocny, ale nie miał zasłony, a ochronę twarzy stanowiła krata o czterech żelaznych zębach.

– Zatem to z jej powodu? – Sir Althus ruchem głowy wskazał Evadine, jednocześnie odpiął miecz i uwolnił go z pochwy. – Naprawdę myślisz, że jest tym, kim twierdzi?

– Myślę, że ona zasłużyła na ocalenie. – Uniosłem miecz, nie zwracając sobie głowy zwyczajowym salutem. Wiedziałem, że

Althus go nie odwzajemni. Poza tym nie miałem najmniejszej ochoty oddawać honorów temu człowiekowi. – Tak jak ty, na śmierć.

Przez jego twarz przemknęło rozbawienie, ale wzrok mu stwardniał.

– Tym razem cię nie oszczędzę, chłopcze. Mój dług wobec Deckina został spłacony, a tobie nic nie jestem winien.

– Wręcz przeciwnie, mój panie. – Uchwyciłem miecz obiema rękoma i ugiąłem kolana w postawie, której nauczył mnie Wilhum. – Winien jesteś krew i to nie tylko mnie.

– No cóż – sir Althus westchnął, odrzucił pustą pochwę i opuścił zasłonę przyłbicy – to by było na tyle.

Zaatakował bez zbędnych wstępów i ostrożnego okrażania, po prostu uniósł miecz na wysokość ramion i zaszarżował. Dzięki lekcjom Wilhuma wiedziałem, że jest to taktyka często stosowana przeciwko początkującym rycerzom na polu turniejowym. Naturalnym instynktem było parowanie pchnięć mieczem i wystawianie się tym samym na kopnięcie kolaniem w pachwinę lub opancerzonym butem w goleń. Wilhum powalił mnie tą sztuczką kilka razy, zanim przyswoiłem sobie tę lekcję, więc zamiast zbić miecz komtura, przesunąłem się w lewo i pchnąłem własnym w jego zasłonę.

Uchylił się, zanim czubek trafił w szczelinę, a stal pozostawiła rysę na jego hełmie. Błyskawicznie podniosłem i opuściłem miecz, siekąc go w ramię, ale był zbyt szybki, odchylił się do tyłu i powstrzymał mnie cięciem w nogi.

– Trochę się nauczyliśmy, co? – skomentował. Głos dochodzący z głębi hełmu dźwięczał metalicznym szyderstwem. – Za jakieś kilkanaście lat mógłby być z ciebie przyzwoity rycerz, chłopcze. Ale teraz wciąż jesteś dzieckiem w zbroi dorosłego mężczyzny.

Zaatakował ponownie, dzierżąc miecz oburącz, i wymierzył serię ciosów na moją głowę. Udało mi się sparować wszystkie, ale musiałem się cofnąć, bo moje stopy nie do końca opanowały szybki, lekki krok, który Wilhum wykonywał z taką łatwością. Potknąłem się po kilku pierwszych krokach, tylko nieznacznie, ale wystarczająco, by sir Althus zdołał przebić się przez moją zastawę. Odwróciłem głowę, gdy ostrze uderzyło, ale nie na tyle, by uniknąć iskier i odłamków pękniętego metalu, gdy rozerwało jeden z zębów hełmu.

Poczułem pierwszy mokry pocałunek krwi na skórze. Zatoczyłem się, pokazując, że jestem oszołomiony i opuściłem miecz. Uznałem, że zbytnia pewność siebie komtura sprawi, że będzie nieostrożny, i tak też się stało. Zbyt szybko rzucił się do ataku, próbując wbić ostrze miecza w moją odsłoniętą częściowo twarz, ale stracił przy tym równowagę. Obniżyłem głowę, by jego ostrze prześlizgnęło się po hełmie, uderzyłem barkiem w środek jego klatki piersiowej, wgniatając płytę i odrzucając go do tyłu. Szybko się pozbierał i zastawił mieczem, ale nie zdążył całkiem sparować uderzenia na prawą nogę.

Miałem nadzieję, że ją złamię, ale sir Althus zdołał odbić miecz na tyle, by temu zapobiec. Osiągnąłem jednak zwycięstwo w dwóch ważnych aspektach. Po pierwsze, cios był na tyle silny, że zerwał osłonę chroniącą jego udo i pozostawił po sobie paskudny i bez wątpienia bolesny siniak. Po drugie, rozwścieczyłem komtura.

– Ty skurwiały gównojadzie! – zazgrzytał głos zza zasłony.

Gniew czyni człowieka nieostrożnym, ale też szybkim. Wilhum być może zdołałby uchylić się przed kolejnym ciosem w moją głowę, ale ja nie. Błysk mnie oślepił, gdy ziemia uciekła mi spod nóg, niezliczona ilość kolorów przepłynęła mi przed oczami. Nagłe, dziwne zmęczenie ogarnęło mnie od stóp do głów, gdy upadłem na miękką, pokrytą rosą ziemię, przypominającą koc rozgrzanego łóżka.

Uratowało mnie uderzenie hełmu o ziemię, wstrząs bólu i pasy, które wbiły się w ciało dławiąc oddech, w jednej chwili usunęły zmęczenie. Sięgnąłem do pasków i zerwałem hełm, łapiąc spazmatycznie powietrze. Spróbowałem się podnieść.

– Nie. – Sir Althus postawił opancerzoną stopę na mojej piersi.
– Wolę, żebyś został tutaj.

Ciąłem go mieczem, który jakimś cudem udało mi się utrzymać, ale on po prostu uniósł rękę i pozwolił, by cios na nią opadł, po czym uwięził ostrze.

– To chyba odpowiedni koniec dla ciebie – chrząknął, cofając stopę i celując szpiczastym czubkiem trzewika w moją twarz. – Skopany na śmierć w błocie.

Uświadomiwszy sobie, że wciąż mam w ręku hełm, szybko zablokowałem nim kopniak. Szpiczasty trzewik przebił metal, ale nie

trafił w moje ciało. Obróciłem się z głuchym warkotem, porzucając miecz i wyrrywając sztylet zza pasa. Widząc niebezpieczeństwo, sir Althus próbował cofnąć stopę, ale pchnąłem hełm mocniej, unieruchamiając ją na tyle długo, by wbić sztylet w nieopancerzoną szczelinę za kolanem komtura. Nie zraniłem go tak mocno, jak chciałem, bo pod zbroją nosił grube przeszywane spodnie, ale z satysfakcją poczułem ciepło strumienia krwi.

Z wściekłym rykiem uderzył mnie pięścią w głowę. Kolejna błyskawica rozjarzyła mi się za oczami, zobaczyłem jeszcze więcej wirujących kolorów, ale tym razem nie towarzyszyło temu zmęczenie. Całym sobą byłem zaangażowany w tę bójkę, bo to była bójka. Wszystkie pretensje do rycerstwa poszły w zapomnienie. Teraz byliśmy już tylko dwoma banitami walczącymi na śmierć i życie, a to robiłem już wcześniej.

Trzymając nóż, przekręciłem go wbijając głębiej, aby zwiększyć ból komtura, zmuszając sir Athusa do sięgnięcia po ostrze, co zmusiło go zarazem do uwolnienia miecza. Szczęśliwym trafem oręż wpadł prosto w moje dłonie, a ja nie tracąc czasu zamachnąłem się nim z całej siły. Ostrze zetknęło się z przyłbicą w słabym punkcie zasłony i zerwało ją z rozpryskiem krwi i plwociny.

Z całej siły kopnąłem komtura w pachwinę, zmuszając go do cofnięcia się, co pozwoliło mi stanąć na nogi. Bardzo chciałem rzucić się na niego i zakończyć walkę, ale teraz gdy moje życie nie było bezpośrednio zagrożone, ciało domagało się zwłoki. Oparłem się na mieczu i dyszałem ciężko, podczas gdy sir Althus dochodził do siebie kilka kroków dalej. Kiedy uniósł miecz po raz kolejny i zaczął mnie okręzać, wyraźnie utykał. Jego twarz zastygła w skupieniu jak oblicze rzemieślnika, który zabiera się za wykonanie trudnego zadania.

– Czyli jednak nie dziecko, co? – zapytałem.

– Zawsze z radością zabiję też mężczyznę. – Splunął z wściekłością i zmusił mnie do podniesienia miecza, wykonując cięcie na tors. Jedna z taszek chroniąca moje bebechy poluzowała się w trakcie walki, stwarzając kuszącą szczelinę. Stał zadzwoniła głośno, gdy sparowałem pchnięcie i odpowiedziałem uderzeniem na jego zranioną nogę, którego uniknął z łatwością.

– A kobietę? – indagowałem, podczas gdy okrążaliśmy się nawzajem.

– Ona jest kurewsko obłąkana, chłopcze. – Krew sączyła się z rozciętych warg Althusa, gdy wykrzywił się w pogardliwym grymasie. – A to królestwo nie potrzebuje kolejnej Męczennicy.

– Nie ją – powiedziałem, zatrzymując się i wpiłem spojrzenie w jego oczy. – Syldę.

Widziałem, że imię to uderzyło go z siłą potężnego ciosu, pogardliwy grymas zniknął bez śladu, a komtur zamrugął wstrząśnięty.

– Musiałeś myśleć, że umarła w Wyrobiskach przed laty – podjąłem, nie przestając się w niego wpatrywać. – Nie umarła. Żyła wystarczająco długo, by nauczyć mnie pisać, żebym mógł spisać jej testament. I opowiedziała mi wszystko, mój panie. Myślisz, że ci ludzie tutaj chcieliby usłyszeć tę historię?

– Zawrzyj gębę – polecił mi Althus ochryplym szeptem, teraz blady i drżący. Sądziłem, że dusza tak czarna jak jego odporna będzie na wszelkie poczucie winy, ale najwyraźniej się myliłem.

– Powiedziała mi – zbliżyłem się odrobinę – o dwóch rycerzach, którzy przyprowadzili do jej świątyni ciężarną szlachciankę. Jeden był prostakiem wyniesionym do godności rycerza, a drugi miał zostać największym królem w historii.

– Zamknij się! – Althus zaatakował, szybko, ale niezdarnie, oszołomiony gniewem, bez trudu sparowałem jego ostrze. Nie odpowiedziałem uderzeniem, tylko mówiłem dalej, wciąż go okrążając.

– Opowiedziała mi, jak zaufanie i przyjaźń rozkwitły między nią a tym prostym rycerzem, jak spędzali godziny rozmawiając. Ale gdy dziecię szlachcianki, chłopiec, przyszedł na świat, rycerz wrócił do swych obowiązków i zostawił Syldę ze swym towarzyszem, rycerzem, który jak się okazało był ojcem dziecka. A matką dziecka była królowa.

Althus zamachnął się mieczem, skowycząc z wściekłości. Zamiast zrobić unik zanurkowałem pod klingą i dopadłem do niego. Gdy nasze pokryte stałą ciałą zderzyły się, spróbowałem wbić ostrze w szczelinę między obojczykiem a napierśnikiem. Źle jednak oceniłem kąt i miecz zsunął się w górę, przecinając mu policzek

i ucho. Na szczęście siła mojej szarży była wystarczająco wielka, by go powalić. Wylądowałem na nim, wyrywając mu powietrze z płuc. Zamachnął się, by mnie zrzucić, ale uderzyłem go czołem w twarz i przygniotłem oszołomionego.

– Kochała cię. – Prysnałem krwawą śliną, sycząc mu te słowa w twarz. – Ufała ci. Kiedy wróciłeś po latach myślała, że to dla niej. Ale ty zamordowałeś suplikanta i zrzuciłeś to na nią, żebyś mógł odesłać ją do tej zasranej dziury! – Podniosłem się, zmieniłem ułożenie rąk na mieczu i przygotowałem się, by pchnąć go prosto w usta.

– Tomas Algathinet jest bękartem, który nie ma większych praw do zasiadania na tronie niż ja! – wykrzyknąłem w nadziei, że usłyszą mnie wszyscy obecni, ale los bywa kapryśny.

Dokładnie w tej samej chwili tłum ogarnęło poruszenie, ludzie podnieśli wrzawę tak głośną, że utonęły w niej moje słowa. Zawahałem się i odwróciłem. Poza kordonem królewskich żołnierzy tłum zafalował w konwulsjach, a potem napał na nich pchany paniką. Żołnierze próbowali powstrzymać tłum, najpierw drzewcami i groźbami, potem ostrzami. Ale przewaga liczebna spędzonych na egzekucję widzów była zbyt wielka, by królewscy mogli dać im radę, nawet gdy halabardy zaczęły podnosić się i opadać i połała się krew.

Kolejny wybuch zamieszania przyciągnął moje spojrzenie do szafotu, ale zanim zdołałem zobaczyć co się dzieje, sir Althus, człowiek doskonale umiejący pochwycić każde źdźbło przewagi, odzyskał siłę na tyle, by uderzyć mnie w skroń głowicą miecza.

Po raz kolejna ziemia powitała mnie miękko, choć tym razem wydała mi się o wiele zimniejsza. Kłębiąca się karmazynowa mgła przesłoniła mi oczy, pogrążając świat w czerwonych cieniach. Bezskutecznie próbowałem poruszyć osłabłymi nagle kończynami. Ledwie docierało do mnie, że zostałem popchnięty na plecy i jakiś duży kształt pochyla się nade mną i pewnie skończyłby w tym zmieszaniu, gdyby nie to, że sir Althus chciał, abym wysłuchał jego pożegnania.

– Ocknij się, chłopcze! – Uderzenie opancerzoną dłonią w policzek było na tyle bolesne, by przywrócić mi jasność umysłu, niestety nie przywróciło mi sił. Zamrugąłem, patrząc na

zakrwawioną, poranioną twarz komtura, w oczy płonące nienawiścią i wściekłością, które znałem tak dobrze. Tak nienawidzi się kogoś, kto zranił śmiertelnie twą duszę, a nie ciało, ciął głębiej, niż zdolne to było uczynić jakiegokolwiek ostrze. Wpatrując się w te szeroko otwarte, szalone wściekłością oczy wiedziałem, że zniszczyłem zbroję, którą owinął swe serce. Bez względu na to, jakie bajki opowiadał sobie, by usprawiedliwić skazanie kobiety, którą kiedyś kochał, na najgorsze z więzień, wszystkie one okazały się teraz haniebnymi kłamstwami. Nigdy nie jest łatwo wysłuchać prawdy o tym, kim jesteśmy, ale sir Althusa zaboląła ona tak bardzo, że musiał natychmiast zasklepić rany kolejnymi kłamstwami.

– Zrobiłem to z obowiązku – wychrypiał. – Ponieważ to obowiązek wiąże to królestwo w całość, Skrybo. To obowiązek i powinność ludzi takich jak ja chroni nas wszystkich. Daje odpór chaosowi, niszczy wszelkie knowania i intrygi, śmieci jak ty.

Z przykrością stwierdzam, że była to jedna z niewielu okazji, kiedy nie miałem nic do powiedzenia, choć bardzo chciałem ułożyć ripostę dowodzącą mej wyższości i przenikliwości, pasującą do tej okazji, to jedyną odpowiedzią na jaką się zdobyłem, było splunięcie strugą krwi prosto w twarz sir Althusa Levalla. Rycerza i komtura Kompanii Koronnej, najbardziej zhańbionej duszy, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Kiedy się podniósł, z twarzą wykrzywioną nienawiścią i uniósł rękę do zabójczego ciosu, mogłem tylko bezskutecznie uderzać w jego napierśnik. Miecz opadł nagle i w tej samej chwili, na granicy pola mojego widzenia zamigotało drugie ostrze, w mistrzowskiej paradzie. Zbiło miecz Althusa na bok i przebiło niechronioną czaszkę komtura. Zobaczyłem, jak sir Althus Levalle przewraca oczami, a jego brwi unoszą się w wyrazie zaciekawienia, jakby zadano mu szczególnie kłopotliwe pytanie. Nigdy jednak nie znalazł na nie odpowiedzi. Zdziwienie zastygło na jego twarzy, gdy zwałił się na ziemię o cal ode mnie. Przez chwilę trwałem tak zafascynowany, dopóki widok ostrza wyrywanego z jego czaski nie otrzeźwił mnie nieco.

– Możesz chodzić, Alwynie Skrybo?

Evadine wciąż miała związane nadgarstki, ale pewnie trzymała miecz w obu dłoniach. Szata przywarła jej do ciała tam,

gdzie była morka od krwi, a była bardzo mokra. Wpatrywałem się w kapitan bezmyślnie, aż usłyszałem znajomy okrzyk szarżującego żołnierza i odwróciłem wzrok. Jeden z królewskich ruszył na nas z halabardą, celując wyraźnie we mnie. Gdyby był odrobinę mądrzejszy, z pewnością wycelowałby w Evadine. Czerwień i biel zawirowały, stal zgrzytnęła o stal i szarżujący żołnierz padł martwy obok swego komtura.

– Alwynie! – Głos Evadine pełen był ostrych dźwięków zniecierpliwienia. Kapitan wbiła w ziemię trzymany miecz, po czym zaczęła piłować linę wiążącą jej nadgarstki. Spojrzałem ku rusztowaniu i zobaczyłem, że tonie w chaosie szamotaniny. Książęcy zbrojni bezskutecznie próbowali odeprzeć napór tłumu. Jak podejrzewałem, część tego tłumu tworzyli wierni, którzy zbierali się pod oknami Evadine w Farinsal. Długi marsz z portu najwyraźniej nie zmęczył ich za bardzo, bo rzucili się do walki ze zwierzęcą wściekłością. Niektórzy mieli pałki lub topory, ale większość w ogóle nie była uzbrojona i gołymi rękami rozrywała szybko słabnącą linię żołnierzy.

Rozejrzałem się i zrozumiałem, że rzeź trwa wszędzie wokół. Żołnierze królewscy podnieśli swoje halabardy tylko po to, by zalała ich fala napastników i zostali wdeptani w ziemię. Nie wszyscy walczący byli członkami kongregacji Evadine, mieszkańcy Ambriside też walczyli, podobnie jak chłopci z okolicznych pól. Choć ujrzeli zmartwychwstałą Męczennicę zaledwie tego samego ranka, to i tak gotowi byli walczyć w jej obronie.

Kilkudziesięciu królewskich żołnierzy zdołało jakoś utworzyć obronny krąg i przez chwilę nawet go utrzymać, jednakże ich próby oczyszczenia sobie drogi skończyły się, gdy stanęli naprzeciwko Kompanii Przymierza. Z perwersyjną dumą patrzyłem, jak moi towarzysze rozprawiają się z królewskimi weteranami. Szybkość, z jaką zwyciężyli w dużej mierze była zasługą przewagi liczebnej, ale i tak był to wspaniały widok.

– Wstawaj! – Evadine oplótła mnie ramieniem i spróbowała podźwignąć. Po kilku sekundach stękania i wysiłków udało mi się stanąć na nogi, aczkolwiek nieustanne kołysanie się ziemi i nieba zmusiło mnie, bym wspierał się na ramieniu mojej wybawicielki.

– Kapitanie.

Ten charakterystyczny zgrzyt głosu Swaina przebił się przez ogólny zgiełk i zobaczyłem, że sierżant prowadzi ku nam oddział żołnierzy naszej kompanii.

– Książę zdołał dotrzeć do zamku i zbiera garnizon – zameldował. – Ludzie mówią, że w twierdzy są jeszcze dwie kompanie.

– No to ją zdobędziemy – powiedział Wilhum, który nagle pojawił się u mego boku. Spojrzał na mnie, skrzywił się i zarzucił sobie moją rękę na szyję. – Wygląda na to, że ci ludzie gotowi są zdobyć cały świat.

Zwróciłem zamglony wzrok na Evadine, która przyglądała się pobojuwisku. Królewscy żołnierze zostali wybici bądź uciekli, podczas gdy książę zdołał w porę uciec wraz z całkiem przyzwoitą liczbą zbrojnych. Wielu wiernych i mieszkańców miasta ruszyło w stronę zamku, ale mocno wątpiłem, by ten nieuporządkowany tłum miał jakieś szanse w starciu z obroną i murami. Evadine była tego samego zdania.

– Nie. Dość już dziś przelano krwi. Sierżancie, przekażcie tym ludziom, jak zdołacie najlepiej, powiedzcie im, że Męczennica Evadine dziękuje za ich odwagę i oddanie i prosi, aby wrócili do domów.

– No to gdzie pójdziemy? – zapytał Wilhum. – Z powrotem do Farinsal?

Evadine potrząsnęła przecząco głową.

– Nie zmuszę niewinnych, by prowadzili dla mnie oblężenie.

– No to gdzie?

– Do lasu – wymamrotałem, przepełniony chęcią pomocy. Moja głowa opadła bezwładnie, gdy chciałem odwrócić się do Evadine. – Mnóstwo kryjówek w lesie...

– Alwynie?

Głos Wilhuma zmienił się w niewyraźny odległy szmer, a przed moimi oczyma znów pojawił się wir kolorów. Przez pewien czas widziałem tylko tańczące barwy, a gdy znikwały – sunące po niebie chmury. Moje serce biło wolniej z każdą sekundą i miałem dość rozumu, by wiedzieć co to oznacza. Miałem niejasną świadomość, że jestem niesiony, i że jakieś głosy wciąż powtarzają moje imię, ale wszystko to było bardzo, bardzo daleko. I wreszcie

chmury przesłoniła ciemna, mocna sieć konarów, a w powietrzu powiało znajomym chłodem.

– Drzewa... – mruknałem i poczułem, że się uśmiecham. –
Zawsze... uspokajał mnie widok... drzew...

I tak znalazłem się w lesie i ponownie zostałem banitą.

Koniec
tomu pierwszego



Dramatis personae

Alwyn Skryba – wyjęty spod prawa, skryba, a później zbrojny suplikant Kompanii Przymierza.

Evadine Courlain – szlachetnie urodzona kapitan Kompanii Przymierza, komunikantka, a później aspirantka Przymierza Męczenników.

Deckin Scarl – przywódca banitów i nieślubny syn księcia Roupiona Ambris z Marchii Shavine.

Elbyn Blousset – księżę Marchii Shavine, mianowany przez króla Tomasa po skazaniu księcia Roupiona.

Lorine D'Ambrille – kochanka i prawa ręka Deckina.

Raith – wyjęty spod prawa i zaklinacz kaerycki.

Gerthe – wyjęta spod prawa, ładaczka i znawczyni języków, należąca do bandy Deckina.

Erchel – wyjęty spod prawa, banita o odrażających skłonnościach.

Shilva Sakwa – wyjęta spod prawa i przyjaciółka Deckina.

Todman – wyjęty spod prawa, członek bandy Deckina.

Fornal – wyjęty spod prawa, uczonek w pismach, członek bandy Deckina.

Król Tomasz Algałinet – szósty tego imienia władca Albermine.

Elbert Bauldry – rycerz, mistrz sztuki wojennej, czempion króla Tomasa.

Księżniczka Leannor Algathinet – siostra króla Tomasa.

Kajdannik – Kaeryta, handlarz pojmanymi przestępcami.

Toria – wyjęta spod prawa, więzień Wyrobisk, przyjaciółka Alwyna.

Sylda Doisselle – dawniej starsza rangą kapłanka Przymierza, więzień Wyrobisk, nauczycielka Alwyna.

Piwowar – więzień Wyrobisk, członek zgromadzenia Syldy.

Żywopłotnik – więzień Wyrobisk, członek zgromadzenia Syldy.

Magnis Lochlain – pretendent do tronu Albermaine, znany również jako „Prawdziwy Król”.

Althus Levalle – komtur Kompanii Koronnej.

Eldurm Gulatte – Lord Strażnik królewskich kopalni.

Ascendant Hilbert – starszy rangą kapłan w Sanktuarium Męczennika Callina w Callintorze.

Arnild – mistrz iluminator w skryptorium w Sanktuarium Męczennika Callina w Callintorze.

Albyrn Swain – sierżant suplikant Kompanii Przymierza.

Ofila Barrow – zbrojna suplikantka Kompanii Przymierza.

Delryk Cleymount – uzdrowiciel, suplikant w Kompanii Przymierza.

Jutowa Wiedźma – kaerycka wiedźma i uzdrowicielka, wedle plotek straszliwie szpetna, co ukrywa pod maską z jutowego worka.

Wilhum Dornmahl – popadły w niełaskę rycerz-renegat armii Pretendenta, żołnierz Kompanii Przymierza, przyjaciel Evadine z dzieciństwa.

Berrine Jurest – mieszkanka Fiordowego Geldu, Kustoszka Biblioteki Króla Aeryka w Olversal, zwolenniczka

askarlijskiego porządku, szpieg Siostrzanych Królowych.

Maritz Fohlvast – mieszkaniec Fiordowego Geldu, Lord Starosta Olversal, kupiec i krętacz.

Margnus Gruinskard – askarlijski watażka i tiewald zaprzysiężony w służbie Siostrzanym Królowym.



ZACHODNIE KSIĘSTWA
ALBERMINE

I - OLVERSAL · II - FARINSAL
III - ZAMEK AMBRIS · IV - WYROBISKA
V - CALLINTOR · VI - COURAVEL

O Autorze

Anthony Ryan mieszka w Londynie, jest autorem bestsellerowych serii New York Timesa *Kruczy Cień* oraz *Draconis Memoria*. Wcześniej wykonywał wiele prac dla rządu Wielkiej Brytanii, w tej chwili cały swój czas poświęca pisaniu. Interesuje się sztuką, nauką oraz nieskończonym questem znalezienia perfekcyjnej pinty piwa.

Dowiedz się więcej o Anthonym Ryaniu oraz o innych autorach Orbit, rejestrując się do naszego newslettera na orbitbooks.net.

Podziękowania

Dziękuję mojemu agentowi Paulowi Lucasowi, redaktorom z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, Jamesowi Longowi i Bradleyowi Englertowi, za wsparcie i ciężką pracę, jaką było tchnięcie życia w historię Alwyna Skryby.

COPYRIGHT © 2021 BY ANTHONY RYAN
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-979-2

TYTUŁ ORYGINAŁU: The Pariah

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

TŁUMACZENIE
Dominika Repeczko

ILUSTRACJA NA OKŁADCE
Jaimie Jones

PROJEKT OKŁADKI
Szymon Wójciak

REDAKCJA
Dorota Pacyńska

KOREKTA
Marta Sobiecka

ILUSTRACJE
Dominik Broniek

MAPA
Paweł Zaręba

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

TRYLOGIA PRZYMIERZA STALI



Władzę można odziedziczyć przez prawo krwi, ale zdobyć i utrzymać można tylko poprzez jej przelanie.

Życie Alwyna zaczęło się w rynsztoku, a przez ludzkie okrucieństwo miało skończyć się w leśnych ostępach. I skończyłoby się, gdyby nie najpodlejszy z podłych, król banitów. Oto historia życia, które zaczęło się bez celu i znikłoby niezauważone, gdyby nie okrucy

ludzkiej dobroci, wiary i zwykłego szczęścia, którego zabrakło wielu innym.

Historia człowieka, który zabijał, kiedy musiał, walczył, jeśli miał szansę wygrać i bez wstydu uciekał, gdy na szali leżało jego życie.

Historia człowieka, który osiągnąwszy dno, sięgnął po wielkość.



Banici zawsze dyndają na wystrzępionej linie utkanej z ich nieszczęść. Pewnego dnia ta lina stanie się pętlą dla każdego.



fabryka słów®
WARSZAWA

